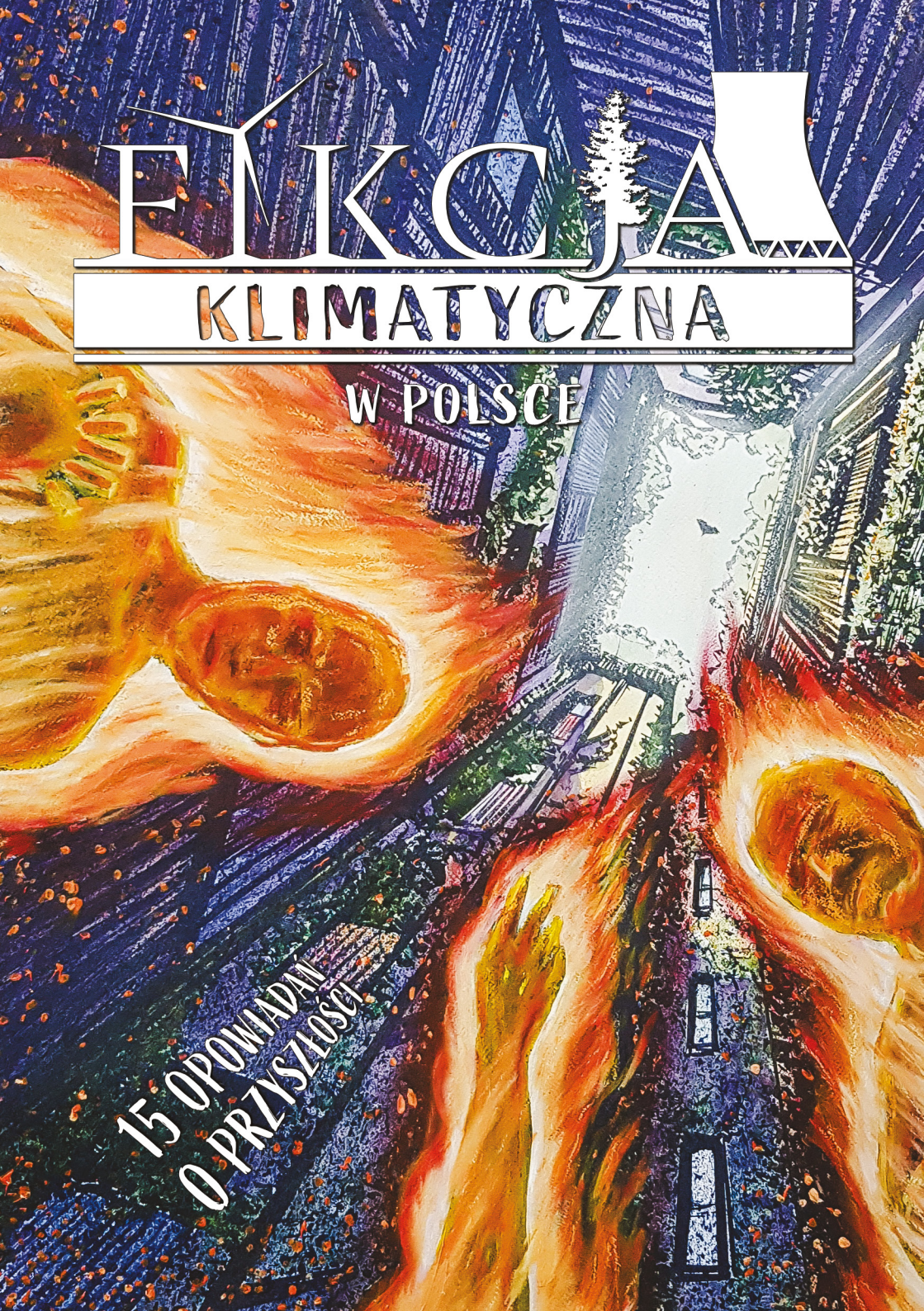




EFKCIJA

KLIMATYCZNA

W POLSCE

15 OPOWIADAŃ
O PRZYSZŁOŚCI

FIKCJA KLIMATYCZNA W POLSCE

MARTA MAGDALENA LASIK
EWA MARCZYŃSKA-GOLDSTEIN
MARTYNA BIESIADA
SIDA OLESIAK
MAŁGORZATA LEWANDOWSKA
NATALIA CIEJKA
MATEUSZ WYSZYŃSKI
ARTUR SIWEK
ISTVAN VIZVARY
KAROL LIGECKI
TOMASZ KOZŁOWSKI
MARTA GIDYŃSKA
JAKUB SOKOŁOWSKI
PAWEŁ JAKUB DOMOWNIK
ROMUALD PAWLAK



SIEDLCE 2026

Tytuł: *Fikcja klimatyczna w Polsce*
Seria wydawnicza: *Krucze antologie*

Copyright © 2026

Marta Magdalena Lasik, Ewa Marczyńska-Goldstein, Martyna Biesiada, Sida Olesiak, Małgorzata Lewandowska, Natalia Ciejka, Mateusz Wyszyński, Artur Siwek, Istvan Vizvary, Karol Ligecki, Tomasz Kozłowski, Marta Gidyńska, Jakub Sokołowski, Paweł Jakub Domownik, Romuald Pawlak

Copyright © 2026 Stowarzyszenie Klub Miłośników Fantastyki „Biały Kruk”

Copyright for the cover art
© 2026 Lech Kamiński

Redaktor prowadzący: Grzegorz Czapski

Redakcja i korekta: Grzegorz Czapski, Martyna Wróbel, Paula Rumanowska, Marta Choińska-Młynarczyk, Ewelina Bełz, Magdalena Zwolińska, Aneta Marciniak, Agnieszka Turbakiewicz, Justyna Krawczyk, Dariusz Frenki, Karol Ligecki, Janina Zabielska, Magdalena Siry, Natalia Kubicius, Anna Bolińska

Ilustracja na okładce: Lech Kamiński

Opracowanie okładki: Grzegorz Czapski, Andrzej Czapski, Marta Magdalena Lasik

Skład, łamanie i przygotowanie do druku: Grzegorz Czapski

Wydanie I

ISBN 978-83-967313-8-8 (PDF)

ISBN 978-83-967313-7-1 (oprawa miękka)

ISBN 978-83-967313-9-5 (numer serii wydawniczej: *Krucze antologie*)

All rights reserved.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Wydawca: Stowarzyszenie Klub Miłośników Fantastyki „Biały Kruk”
Siedlce 2026

Spis treści:

Grzegorz Czapski Wstęp	5
Marta Magdalena Lasik Raz, dwa, trzy! Baba Jaga patrzy	9
Ewa Marczyńska-Goldstein Tradycyjne role społeczne	47
Martyna Biesiada Opowieść miłosna o końcu świata	55
Sida Olesiak Rodzinny interes	85
Małgorzata Lewandowska Wolne blokowiska	101
Natalia Ciejka Po ile dziś powietrze?	143
Mateusz Wyszynski Ziemia ma się świetnie!	153
Artur Siwek Zerec	179
Istvan Vizvary Tylko to się liczy	195
Karol Ligecki Marek, Anna i Bartek	219

Tomasz Kozłowski Odłamki pór roku	233
Marta Gidyńska Hemimetabolia	251
Jakub Sokołowski Tożsamość narodowa	297
Paweł Jakub Domownik Morowy chłopak	341
Romuald Pawlak Rozwiewa się mgła nad Niebiańskimi Grobami	365



Wstęp

Grzegorz Czapski

Drodzy czytelnicy. Trzymacie w dłoni książkę, która jest efektem pracy całej rzeszy wspaniałych i utalentowanych ludzi: autorów, redaktorów i jednego artysty, którzy postanowili poświęcić najcenniejszy z zasobów jakie ma człowiek, czyli swój czas, umiejętności oraz chęci na dzielenie się nim ze światem. Dzięki temu powstał pierwszy tom serii wydawniczej, którą ochrzciliśmy *Kruczymi antologiami*. Wszystkie osoby z zespołu pracującego nad tą pozycją mają nadzieję, że przyjmiecie ją ciepło.

Pomysł stworzenia antologii krążył w mojej głowie już od jakiegoś czasu. Od prawie dziesięciu lat wydajemy jako Stowarzyszenie Klub Miłośników Fantastyki „Biały Kruk” czasopismo internetowe Magazyn „Biały Kruk”, dostępne całkowicie za darmo na naszej stronie internetowej. Niemalże każdy nasz numer ma temat przewodni, z którym autorzy z różnym stażem i warsztatem pisarskim próbują się zmierzyć, pisząc i przysyłając swoje teksty na naborry. Może się wydawać, że przemierzylismy całą galaktykę tematów, ale tak nie jest. Co roku zbieram jako redaktor naczelny „Białego Kruka” pomysły na tematy, zarówno od redakcji, jak i czytelników, a wszystkich propozycji każdego roku jest blisko setka. Co sprawia, że czeka nas cały wszechświat fantastycznych podróży. Jednak są tematy, które choć potrzebne, lub też egoistycznie i kolokwialnie powiem, mnie kręcą, nie przechodzą w głosowaniu, często różnicą jednego głosu. Nie raz już wewnętrznie czułem, że

fajnie byłoby dać im jakąś szansę. Tak właśnie wykluły się *Krucze antologie*.

Pomysłów na całą serię mam sporo, ale jednym z pierwszych i ważniejszych uznałem opowieści o klimacie i jego zmianach, których doświadczamy w tej chwili. Bo zmiany klimatyczne i potencjalna katastrofa z nimi związana w naszym kraju to fakt. W Siedlcach, z których pochodzę, od dłuższego czasu utrzymuje się susza hydrologiczna, ale nie tylko ten region z tego powodu cierpi, bo naukowcy wykazują taki sam stan niemal w połowie kraju. W tym roku, czyli 2026, mieliśmy pierwszy raz od prawie dwudziestu lat, prawdziwą, polską zimę, którą pamiętam z dzieciństwa w latach 90. i na początku 2000. Chciałbym, by na dłużej, bo lubię zimę, ale to mogła być tylko pojedyncza anomalia. Świat się wokół nas zmienia, więc trzeba dać głos wszystkim, którzy chcą spróbować wyobrazić sobie przyszłość, zarówno tą bardziej pozytywną, jak i tragiczną, która może z tego powodu nastąpić.

Ziarno dla pomysłu antologii o klimacie powstało dokładnie w 2024 roku, podczas mojego wyjazdu do Rotterdamu na konwent fantastyki Erasmuscon, który był zarazem Euroconem. Zjechali się tam ludzie z całej Europy, ale nie tylko, bo ledwo tydzień wcześniej odbył się Worldcon w Glasgow, więc było również sporo fanów fantastyki ze Stanów Zjednoczonych, uprawiających tak zwany *eurotrip*. Podczas właśnie tej imprezy poznałem Francesco Verso, pisarza, tłumacza i redaktora prowadzącego w inicjatywie Future Fiction. Miał tam całe stoisko, nie tylko ze swoimi książkami (sam jest autorem wielu książek solarpunkowych), ale również antologiami science fiction i fikcji spekulatywnej, które redagował. Niemal od razu można było zauważyć dwie główne orbity zainteresowań Francesco, czyli tematy: kwestie ekologii (sporo solarpunku) i biotranscendencji oraz science fiction autorów z innych krajów (Francesco w ramach akcji „Decolonize the Future” zbiera teksty science fiction z krajów nieanglojęzycznych, często z naszej perspektywy egzotycznych, dając im głos, który jest zagłuszany przez olbrzymią ilość pozycji z krajów anglosaskich, dominujących we współczesnej science fiction). Nie ukrywam, bardzo mi to zaimponowało. Przyglądając się tym pozycjom oraz rozmawiając wielokrotnie podczas Euroconu z Francesco,

zacząłem się zastanawiać, ile jest w Polsce pozycji z fantastyki mówiących o ekologii lub klimacie. Uznałem, że dość niewiele. Kojarzyłem pojedyncze antologie, jak np. *Gdy Ziemia miała nas dość* od Fantazmatów, i również pojedyncze opowiadania. Przypomniałem sobie, że przecież całkiem niedawno opublikowano powieść Magdaleny Salik *Wściek* (dopisek redaktora. a kilka miesięcy później miały wyjść *Dzieci jednej pajęczycy* Olgi Niziołek). Było więc miejsce dla potencjalnej publikacji w „Białym Kruku”.

Temat potem na jakiś czas ucichł w mojej głowie, by wrócić w momencie, gdy rodziła się idea antologii. Po kilku rozmowach w redakcji Kruka stwierdziliśmy, że opowieści o klimacie nam odpowiadają, a potem ogłosiliśmy nabór. Szybko powstał wniosek, dzięki namowom między innymi Marty Magdaleny Lasik, którą również znajdziecie w tym tomie (jest też autorką tej pięknej typografii na okładce), by dać autorom szerokie pole do popisu. Czyli nie tylko jeden konkretny aspekt opowiadania o klimacie, ale szerzej: historie dziejące się tuż przed, w jej trakcie lub po katastrofie klimatycznej, te bardziej dystopijne, jak i utopijne w postaci solarpunku. Również ostrzeżenia o zmianach klimatycznych, przesłaniach lub przewidywania rozwiązania problemu katastrofy klimatycznej również zapraszaliśmy z szeroko otwartymi rękami. Jednak dla mnie to wciąż było za mało i wtedy dodałem jeden, ostatni element – niech akcja dzieje się na naszym własnym podwórku, czyli w Polsce. Bo przecież u nas, jak wspominałem wcześniej, zmiany klimatyczne również zachodzą. Oto jak wykluła się *Fikcja klimatyczna w Polsce*.

Jak autorzy nadesłanych tekstów poradzili sobie z tematem? Mam wrażenie, że my, Polacy, to chyba mamy już genetycznie i kulturowo wpisany tryb „przygotowania się do katastrofy i adaptacji do warunków po niej”, nieważne jaka by ta katastrofa była, klimatyczna czy dziejowa (a takich katastrof i lokalnych apokalips mieliśmy w naszej historii sporo). Duży nacisk został położony na społeczności, które muszą mierzyć się ze zmieniającym się światem. Jest więc przegląd „przed” i „post” apokalipsy. Nawet jeśli oznacza to kompletne wywrócenie cywilizacji na drugą stronę. Opisywanie zmian społecznych, zwłaszcza w perspektywie naszego kraju to siła tej antologii, zwłaszcza, że sporo tekstów daje

nadzieję, że historia będzie dalej trwać. Smuci mnie, że przyszło bardzo niewiele tekstów solarpunkowych, i tylko jeden dostał się do antologii, ale kilka z tekstów, które znajdziecie w tym tomie też da nadzieję na lepsze jutro.

W *Fikcji klimatycznej w Polsce* prezentujemy Wam jako Stowarzyszenie Klub Miłośników Fantastyki „Biały Kruk” oraz zespół redakcyjny 15 tekstów, 12 z naboru, które dobrałem jako redaktor prowadzący, zaś 3 to teksty autorów przeze mnie zaproszonych do publikacji, jak np: Romuald Pawlak, Istvan Vizvary czy Karol Ligecki. Każde z nich, a mówię o całej piętnastce, ma swoją historię do opowiedzenia, zarówno o bliskiej, jak i dalekiej przyszłości. Co ważniejsze, utwór Romualda Pawlaka, czyli *Rozwiewa się mgła nad Niebiańskimi Grobami*, jest najdłuższym ze wszystkich tekstów, nie bez przyczyny zresztą. Jest to bowiem mikropowieść – rodzaj prozy, który jest uprawiany przez niewielką ilość autorów fantastyki w Polsce, co wielka szkoda. Jednak zakładamy, że *Krucze antologie* również będą miejscem dla nich.

Dlatego zapraszam Was wszystkich do lektury opublikowanych opowiadań i dzielenia się swoimi wrażeniami. Tu też mój apel, jeśli chcemy by fantastyka oraz ważne tematy, jak klimat istniały i się rozwijały, należy o nich mówić. Nawet jedno zdanie czasem wystarczy. Bowiem najgorsza ze wszystkich wiadomości zwrotnych, to cisza.

Dodam jeszcze, że ilustrację okładkową przygotował Lech Kamiński, artysta z Siedlec, wykorzystując technikę akryli, gwaszu i pastelii. Czyli mamy do czynienia z rzeczą stworzoną całkowicie ręką ludzką, bez użycia sztucznej inteligencji. To również był dla nas ważny aspekt, by z przyczyn ekologicznych, zwłaszcza zanieczyszczenia środowiska i zużycia ogromnych ilości energii przez centra danych, nie używać tych narzędzi. Mogę Was zapewnić, że zarówno antologie, jak i nasze czasopismo, nie korzystają ze sztucznej inteligencji do generowania czegokolwiek i jakkolwiek.

Kończę swój wywód, oddając miejsce piętnastce autorów i ich wizji. Dajcie się im porwać w świat przyszłości, bo naprawdę warto.

Grzegorz Czapski
Siedlce 10.07.2026



Raz, dwa, trzy!

Baba Jaga patrzy

Marta Magdalena Lasik

Wiedziała, że to nie dzieje się naprawdę, że zabezpieczenia i procedury nie pozwoliłyby, aby ta sytuacja zaistniała. Jednocześnie wszystko wydawało się realne. Zapach kontenera, posmak pseudokawy, nawet faktura plastiku pokrywki nad przyciskiem awaryjnego odstawienia turbozespołu. Żanna czuła chropowatość jej powierzchni, jakby naprawdę była w nastawni Pierwszej Wrocławskiej Elektrowni Heliotermalnej.

To bez sensu! krzyczała nieuśpionym fragmentem świadomości, ale to nie miało znaczenia. Było jak mówienie do bohaterów filmu, którzy – jak ona – pozostawiali więźniami scenariusza. Tylko że dla nich napisał go inny człowiek. Ten Żanny pochodził z jej własnej głowy.

Plastik odskoczył, odsłaniając powleczone antypoślizgową gumą przycisk. Wdusiła go powoli. Trzydzieści metrów dalej, u stóp wieży zwieńczonej zbiornikiem stopionej soli, turbina i generator Pierwszej Wrocławskiej EHT zaczęły zwalniać. W nastawni Żanna patrzyła na czerwone cyfry pokazujące prędkość obrotową turbozespołu.

3001

2987

2845

Za chwilę automatyka miała uruchomić pompę oleju lewarowego, by wirniki nie opadły na panewki łożysk i tarcie nie

uszkodziło ich bezpowrotnie. To było ważne! Nie odwracając wzroku od czerwonych cyfr, Żanna sięgnęła ku kolejnemu przyciskowi.

2789

2687

Wbrew zdrowemu rozsądkowi wcisnęła go, a wtedy pompy – choć jeszcze nie rozpędziły się na dobre – zaczęły zwalniać. Prąd przestał płynąć do położonej kilka kilometrów dalej Wrokologii 1. Znikła w niej sieć, zamarło Życie. Cisza wlewała się przez wielki otwór centralny na powierzchnię i wiry opadała ku najciaśniejszym tarasom na samym dole. Banki energii zasiły oświetlenie awaryjne i uruchomiły wentylatory rezerwowe. Z głośników popłynął kobiecy głos nawołujący do zachowania spokoju, pozostania w mieszkaniach i czekania na instrukcje. Ale ludzie nie słuchali.

Krzyk wściekłości narastał w ich gardłach. Wlano im w oczy ciemność. Wyrwano ich z Życia. Zabrano im nieograniczony, pełen możliwości świat i brutalnie rzucono w ten materialny. A kiedy w końcu wrzask wydobył się z ich ust, słysząc w nim było tylko strach.

Zawieszona ponad nimi, wszechwiedząca snem Żanna patrzyła, jak przerażeni wychodzili na korytarze, wyteżali wzrok, wpadali na siebie, gdy brnęli, niczym śmy do światła, ku otworowi centralnemu. Dopadali barier, zadzierali głowy ku szerokiemu oku leja, ale ono też było ciemne. Nie spoglądały na nich stamtąd ani Księżyc, ani gwiazdy. Nie widziały, jak wychylali się coraz bardziej, napierali na siebie mocniej, aż wreszcie stal i kompozyt ustąpiły pod ich ciężarem. Nie patrzyły, jak ludzie spadali z niecichnącym krzykiem ku ciemności w dole niczym upadłe anioły o połamanych skrzydłach.

Sen wypuścił Żannę.

Cisza nocy świdrowała w jej głowie. Sprawiała, że wydarzenia z koszmaru nie rozplątywały się, a wręcz przeciwnie – widziała je coraz wyraźniej pod powiekami, ilekroć mrugnęła. I nie pomagała świadomość, że to wszystko było niemożliwe. Że automatyka nie pozwoliłaby na to. Że arkologię zasilala jeszcze elektrownia

wiatrowa. Że nawet jeśli ta byłaby offline, to akumulatornie mogły utrzymać niemal normalne funkcjonowanie obiektu przez ponad tydzień...

Żanna zacisnęła dłoń na nadgarstku. Wbiła paznokcie w skórę i skupiła się na bólu, na własnym oddechu, na odległym świcie łopat turbin wiatrowych zainstalowanych na nasypie dawnej AOW¹. Nie była pewna, jak długo tak trwała, nim poczuła się panią samej siebie i znalazła dość odwagi, aby wstać, ale pogłos dzwonów Macierzyństwa wybijających dwudziestą trzecią jeszcze nie zakłócił ciszy nocy. Miała czas.

Powoli, ostrożnie zsunęła się z łóżka. Gdyby nadal mieszkała w dziurowcu, powidok koszmaru prawdopodobnie pełzłby za nią. Szum wentylatorów w jej uszach zmieniałby się w krzyk spadających ludzi. Zajączki odbitego światła układałyby się w wykrzywione w bólu twarze. Ale nie szła przez dziurowiec, lecz przez stary dom położony na zachód od obwodnicowej sekcji Wrocławskiej Elektrowni Wiatrowej.

Usiadła na kruszących się betonowych schodach i włożyła buty. Spod drzewa zabrała deskę z żaglem i pchnęła ją na drogę. Meandrując pomiędzy kępami trawy, które wyrastały ze spękań w asfalcie, Żanna próbowała zostawić koszmar za sobą, ale uczeplił się jej myśli mocniej niż jakikolwiek poprzedni.

Śnienie o katastrofie i wymarciu arkologii nie było niczym nowym. Spowodowanie tego końca?

– Co jest ze mną, kurwa, nie tak?



Dochodziła druga w nocy. Ciepło zmagazynowane w potężnym zbiorniku na szczycie wieży Pierwszej Wrocławskiej EHT pozwalało na pracę turbozespołu przez kilka godzin po zachodzie słońca. I dobrze. Zapotrzebowanie na energię we wrokologiach oraz w mieście nie zmniejszało się znacząco w nocy. Ludzie mieli życie oraz Życie. To drugie nie przejmowało się więzieniem stref

1 Autostrada A8 tzw. Autostradowa Obwodnica Wrocławia

czasowych. Zawsze gdzieś był dzień, gdzieś działały się rzeczy. Wystarczyło założyć maskę, rękawiczki i Żyć. Ponadto we wrokologiach wentylatory cały czas przepychały powietrze, a pompy tłoczyły płyny niezbędne ludziom, urządzeniom oraz uprawom, od których zależało nie tylko funkcjonowanie arkologii, ale też resztek miasta na powierzchni. Bez prądu...

– Gapisz się na ten przycisk, jakby zwyzywał ciebie i twoją rodzinę do siódmego pokolenia wstecz, Jarżeńska. Opuść mu zanim się zemści.

Żanna mrugnęła i spojrzała na siedzącą w fotelu obok Marzenę.

– Śnił mi się dzisiaj – przyznała.

– Przycisk?

– Tak. On, zacierający się wał, zniszczone łożyska i przerażeni ludzie rzucający się z tarasów pogrążonej w ciemności arkologii. Coś wiadomo o wyłączeniu?

Przez ostatni rok pogoda ich rozpieszczała. Upały ani razu nie podgrzały spłyconej Odry tak bardzo, żeby EHT musiała stawać i czekać, aż temperatura wody w rzece będzie dość niska, by używać jej w obiegu chłodzenia elektrowni. Przez to szybciej niż we wcześniejszych latach zużyli godziny pracy między przeglądami. Planowali stanąć na kolejny w maju, lecz wtedy albo nie wiało zupełnie, albo wiało tak bardzo, że większość wrocławskich wiatraków stała na hamulcach. Dlatego EHT pracowała dalej. Maj. Czerwiec. Czekali na dobry moment, bo jeśli dało się nie zostawić wrokologii jedynie na akumulatorach, należało to zrobić. Jednocześnie każda następna godzina pracy, zmiana mocy, kolejny start-stop minimalnie zwiększały ryzyko, że coś, czego nie będą w stanie szybko naprawić, trafi szlag. A wtedy Wrokologia 1 może podążyć drogą Gidori.

Żanna zadrżała.

Rijadzka arkologia straciła zasilanie pięć tygodni temu. Potężne akumulatornie zaprojektowano na czternaście dni nieprzerwanej pracy. Gdy dziesiątego nadal nie udało się usunąć awarii, ktoś z jajami ze stali podjął decyzję o ewakuowaniu ludzi do obozu tymczasowego na powierzchni.

Na pustyni.

Żanna rozumiała, że w Gidori, poza obrębem arkologii nie mieli żadnych upraw, więc utrzymanie tych w niej było sprawą życia lub śmierci. Jeśli ewakuacja mogła zapewnić zasilanie obiegu wody, nawozów, powietrza i czego jeszcze tam było potrzeba – Żanna nie знаła szczegółów – choć dzień lub dwa dłużej, należało ją zarządzić. To był wybór pomiędzy skazaniem części ludzi na śmierć z powodu upału, a narażeniem wszystkich na powolne umieranie z głodu przez miesiące potrzebne, by odtworzyć uprawy. Jednak podjąć tę decyzję, wziąć na siebie odpowiedzialność, że ktoś zginie, a nie czekać do ostatniej minuty w nadziei, że a nuż...

– W systemie jest nowy model meteo z linii DRS-BER – odpowiedziała Marzena. – Rano mamy zebranie z wiatrakowcami. Dowiemy się, czy pogoda pozwoli im przejąć większą część obciążenia, żeby aku nie musiały brać wszystkiego na siebie. Jeśli tak, roześlemy info. Zerkaj na blippera, Jarżeńska. I weź nie patrz tak na ten przycisk.

– Gidori stanęła, bo odwlekali –

– I właśnie dlatego nie gap się tak na ten przycisk, Jarżeńska, bo wykraczesz i faktycznie coś pieprzniesz.

– Ktoś tu jest przesądny? – Od strony wejścia rozległ się rozbawiony głos Miro.

Żanna spojrzała w jego stronę.

– Ty nie miałeś dziś wchodzić na wieżę? – zapytała.

– Miałem, byłem. Właśnie zdałem szeleccki i odniosłem pacholki. Wszystko w zgodzie z BHP. Więc co miałoby pieprznąć?

– Nic ponad to, co już pieprznęło, Wysocki – mruknęła Marzena. – A nawet mniej, jeśli naprawiłeś żarówkę na górze.

Miro prychnął i nieelegancko zwałił się na krzesło przy drzwiach.

– Prawie złożyłem się w ofierze wiatrom. Wierzta mi, tam na górze nieźle pizga. Jakby nie szeleccki, to by mnie zdmuchnęło, a po co? Nie jestem ani piękną niewiastą, ani dziewczicą, żeby jakieś bóstwo zadowolilo się mną jako ofiarą i nam pobłogosławiło. – Roześmiał się. – Ale spoko. Jest cacy. Jak teraz ktoś czymś podleci za blisko, to koledzy z ochrony mogą strzelać bez ostrzeżenia i nie ma wymówek, że yyy... eee... nie wiedziałem, że tak blisko wieża, bo przecie ciemno. Swoją drogą mam ku... – Miro wyciągnął nogi

przed siebie i ziewnął – kumpla. Sensowny chłop, mózg na karku ma, a jakiś czas temu zapytał, czemu ja na wieżę elektrowni wchodzi nocą, przecież w dzień byłoby bezpieczniej.

Żanna zakrztusiła się śmiechem, a Marzena prychnęła wyraźnie zirytowana i spojrzała ku świetlikowi w suficie nastawni. Niemal kilometrowej średnicy pole heliostatów odbijało światło słoneczne ku zbiornikowi na szczycie wieży. Nagrzewało solankę do temperatury, która pozwalała wytworzyć w wymienniku parę wodną niezbędną do pracy turbiny. Znajdzenie się na tarasie zbiornika w środku dnia byłoby samobójstwem.

– Z dziurowca? – burknęła Marzena.

– Nie! Całe życie mieszka tu na górze, ale robi w jakimś storytellingu w Życiu. Od lat funkcjonuje w strefie kopniętej o dziewięć godzin od nas, więc to jakby ciągle miał nocki... W sumie cholera wie, kiedy ostatni raz widział słońce na żywo, a nie jako asset pod maską. W temacie góry... – Uwaga Miro skupiła się na Żannie. – Jak się mieszka na powierzchni, Jeanne? Agnieszka daje radę jako gospodyni, czy słabo to idzie i będziesz wracała do dziurowca?

– Jest ok. – Spochmurniała. – Nie zamierzam wracać.

Wyprowadziła się trzy tygodnie temu. Całe życie mieszkała z rodzicami w starszej z dwóch wrocławskich arkologii. Wychowywała się w labiryncie korytarzy, a prawdziwe niebo pierwszy raz zobaczyła z tarasu położonego siedem pięter poniżej poziomu gruntu. Piękny niebieski owal wydawał się czymś namalowanym i nieprawdziwym. Wtedy nie przypuszczała, że kiedykolwiek zamieszka na górze. Nawet miesiąc temu traktowała tę opcję jako nieprawdopodobną.

W arkologii mieli przecież dużo wolnych apartamentów; populacja miasta i całego świata malała od lat. Wystarczyło złożyć wniosek i Żanna mogłaby wprowadzić się do dowolnego z nich dzień lub dwa później. Jednak kiedy wspomniła o tym rodzicom, od razu zaczęli jej udowadniać, jak głupi to pomysł. Jak nieprzemyślany. Przekonywali, że utrzymanie jednego apartamentu dla trojga jest bardziej wydajne, niż korzystanie z dwóch. Zużywają się tylko jedne drzwi wejściowe, jedne meble i tylko jedna lampa oświetla salon dla wszystkich. To jak ze stołówkami zamiast indywidualnych kuchni! Więc dlaczego? Czy Żanni nie rozumie,

jak cenne jest wszystko, co mają? Czy uważa, że zasługuje na więcej? Skąd w niej ten egoizm? Ta zachłanność?! Przecież nigdy taka nie była!

– Sorry, muszę do kibla.

Usiadła na desce i ukryła twarz w dłoniach. Miała ochotę przywalić Miro, że poruszył ten temat. Rozumiała jego ciekawość, w końcu to on przedstawił ją Agnieszce. To on przekonał kobietę, że Żanna będzie dobrą współlokatorką. Że nie ma agorafobii, podejrzanych nałogów ani szemranej przeszłości. Nie boi się owadów, więc nie będzie panikowała w eksperymentalnym sadzie, którym opiekowała się Eszka. Podkreślił, że Żanna ma pracę, do której musi chodzić, więc może czasami podejść do wrokologii, by zabrać przydziałową paczkę bazy białkowej, witamin czy innego dobra z podziemnych upraw i przynieść ją Eszce, która przez klaustrofobię nie była w stanie robić tego sama. Ba! Żanna może nawet zabrać zamówione w Życiu słoiki i dostarczyć je pod drzwi zainteresowanych.

To także Miro pokazał Żannie najlepsze drogi, którymi mogła dojechać na desce za Ścianę, i powiedział, których unikać. Oczywiście, że chciał wiedzieć, jak im się układa. Tym jednym, pozornie niewinnym pytaniem wywołał jednak lawinę myśli, na którą Żanna nie była gotowa. Nie, kiedy miała po zmianie odwiedzić wrokologię i zjeść z rodzicami śniadanie.

– Po cholerę przyjął ich zaproszenie...?



Gdy Żanna była dzieckiem i chodziła jeszcze do szkoły – tej we wrokologii, a nie do wirtualnej klasy w Życiu – uczono ją o kolejnych konferencjach, traktatach. Mówiono, że ludzkość dojrzała, rozumiała więcej i zatrzymała się w swoim pędzie ku końcowi świata. W opowieściach nauczycieli brzmiało to, jakby nagle do ludzi dotarło, że decyzje każdego z nich mają znaczenie, a cywilizacja, pierwszy raz w historii, stała się jednym spójnie myślącym organizmem. To był ten wielki moment. Przełom w dziejach, który

stworzył nowe oblicze świata. Gdyby to był film, w tle zagrałaby podniosła, pełna energii muzyka.

W domu Żanna poznała mniej piękne fundamenty tej przemiany.

Zasoby kurczyły się, łańcuchy dostaw stawały się coraz bardziej napięte, a koszty rosły szybciej niż możliwości nabywców. Ktoś przeliczył to wszystko, przeanalizował opcje i stworzył nowy produkt. Opakował go w piękną ideologię, ładne grafiki i sprzedał światu jako miasta w nowym duchu. Takie, w których konieczność zachowania równowagi w przyrodzie i ludzka potrzeba czynienia wszystkich równymi będą mogły spotkać się w nowy sposób. Tę drugą zaspokoją one nie poprzez rozpełzanie się po planecie i dążenie do powstania ekumenopolis, ale przez uniesienie się w górę i zejście w dół. W ten sposób zostawią miejsce dla matki natury, dadzą planecie odetchnąć.

Odkurzono zatem szkice Soleriego, stworzono animacje, zaprężnięto dogorywające gałęzie przemysłu do ostatniego wielkiego wysiłku i krzyknięto, że oto świat sięga po przyszłość niczym z solarpunkowych historii.

Efekt?

Ludzie na Ziemi zamieszkali w arkologiach niczym astronauta w habitatach na nigdy nie odwiedzonych planetach. Nie zagoniono ich do nich siłą, nie zamknięto na cztery spusty i nie pilnowano, by nie wyściubiali nosa. Pokazano jedynie, że tak żyje się wygodniej. Że w pionie wszędzie jest jakby bliżej i nie trzeba przejmować się pogodą. Że bliskość innych oznacza wydajność oraz bezpieczeństwo. I to nie było kłamstwo.

Nie kłamano też mówiąc, że Życie jest cudownym uzupełnieniem arkologii. W wirtualnym świecie nie ma ograniczeń materii. Można w nim kolekcjonować rzeczy dla samej przyjemności kolekcjonowania. Tworzyć dzieła sztuki bez myślenia o ich przydatności, a potem niszczyć je w akcie artystycznej pasji. To w Życiu jest miejsce dla mód i trendów. To w nim każdy może wyrażać się w sposób, który w świecie materii, świecie ograniczonych zasobów, nie jest ~~dozwolony~~ możliwy.



Jeden człowiek powiedział: każde ziarno piasku pod moimi butami jest moje.

I był głupcem.

Drugi człowiek powiedział: każda cząsteczka powietrza nade mną i każda kropla wody w rzece pode mną należy do mnie.

I był szaleńcem.



Dwie wrocławskie arkologie mogły pomieścić po niemal dwieście tysięcy ludzi każda. Zbudowane na równinie wbijały się głęboko w ziemię, rozchodziły pod jej powierzchnią niewidoczne dla ludzkiego oka i tylko ich bliźniacze studnie spoglądały w niebo. Na zdjęciach i wizualizacjach pokazywano je w najlepszy możliwy sposób. Ich centralny lej przypominał ogrody tarasowe. Z balustrad niczym wodospad spływały kaskadami kwitnące pnącza. Na dnie, jak skarby w kopalni krasnoludów, błyszcząły kolorowe światła.

Czasami wrokologie naprawdę tak wyglądały, jednak w pochmurne dni bardziej przypominały to, od czego wzięły swoją potoczną nazwę: dziurę. Zwykłą dziurę w ziemi i to do tej dziury jechała Żanna.

Zachodni wiatr wypełniał żagiel deski i pchał ją w stronę Wrokologii 1 położonej na północnym brzegu rzeki, tam, gdzie kiedyś rozciągały się Karłowice, Różanka i Psie Pole. Żanna przejechała przez niewielki park okalający wylot dziurowca, zostawiła deskę i na piechotę zagłębiła się w labirynt pochylni, schodów i korytarzy. Nie musiała patrzeć na kalkomanie na ścianach, by wiedzieć, przez który sektor idzie. Po ilości światła wielokrotnie odbitego od zwierciadeł umiała określić, ile pięter dzieli ją od powierzchni. Po zapachu powietrza – jak daleko znajduje się od centralnego leja. Uśmiechnęła się, mijając rzeźbę z rżniętego szkła. Do tego miejsca

w tym sektorze stosowano lustra, dalej oświetlenie musiało być sztuczne; w szkole uczyli ją, jak policzyć, po ilu odbiciach światła robi się za mało, by instalować kolejne zwierciadła, pokazywali eksperymenty.

Gdy myśli Żanny błędziły wśród wspomnień, nogi poniosły ją przez kolejne znajome skrzyżowania, aż stanęła przed drzwiami, za którymi przez lata znajdował się jej dom. Odetchnęła głęboko i wsunęła klucz w zamek. Dotykowy panel na ścianie zepsuł się już dawno temu. Można było go wymienić na taki z nieużywanego apartamentu, ale rodzice uznali, że nie ma potrzeby. Tradycyjne klucze nie pobierały energii i nie ulegały awariom, a dorobienie kolejnego nie stanowiło zbyt dużego problemu. Wyprodukowanie nowego panelu, owszem. Nie wymieniając go, rodzice chcieli dać przykład.

„Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni i nawet małe rzeczy się liczą – powtarzali. – Nie ma moje i twoje. Wszystko jest w jakiś sposób wspólne. Jesteśmy właścicielami rzeczy przez chwilę, ale one istnieją znacznie dłużej”.

Żanna wiedziała, że jej dziecięce sukienki były szyte z przetartych ubrań dorosłych, a te, w których ona zrobiła dziury, przerabiano na jeszcze mniejsze, aż nie pozostał kawałek materiału dostatecznie duży, by dało się go rozsądnie wykorzystać. Zabawki również przechodziły z rąk do rąk. Meble, narzędzia – wszystko co Żanna dziś posiadała, kiedyś miało stać się własnością kogoś innego. Jej obowiązkiem było więc dbać, by te przedmioty przetrwały jak najdłużej. Spojrzała na swoje spodnie. Ponieważ pracowała poza arkologią, niszczyła ubrania szybciej niż rodzice. Chodziła więcej niż oni. Czasami złapał ją deszcz, grad. Kiedy indziej niespodziewany podmuch wiatru lub niezauważona w porę dziura sprawiały, że spadała z deski na spękany asfalt lub prosto w błoto.

Ona mówiła, że to wypadki.

Rodzice, że egoizm.

Nacisnęła klamkę.

Światło w salonie pozwalało nie potknąć się o stół lub czyjeś nogi, ale już dostrzec, co kryło się w kątach – nie. Rodzice siedzieli w głębokich fotelach. Maski Życia przesłaniały im twarze, ciemne

rękawiczki sprawiały, że ich dłonie były prawie niewidoczne. Mama mówiła dostatecznie głośno, by mikrofony wychwytywały jej słowa, ale nie dość, aby stojąca w progu Żanna mogła je zrozumieć. Kobieta sprawdziła godzinę na wbudowanym w ścianę dystrybutorze płynów. Nie. Nie przyszła za wcześnie, więc to spotkanie Pokornych musiało się przeciągnąć. Podeszła bliżej. Wsłuchiwała się.

–...oni nie chcą słuchać... daleko... milczą...

Głos mamy przybierał na sile. Rozżalenie przeszło we wściekłość i kolejne słowa zabrzmiały wyraźnie.

– Kalkidan zrobiła u siebie kampanię i co? Zarzucono jej sianie paniki i wzbudzanie niepokojów! Zasłaniają się dobrem ludzi, a tak naprawdę cenzurują!

Coś musiało zdradzić, że Żanna jest w mieszkaniu, bo tata przesunął maskę nad czoło i spojrzał na nią. Uśmiechnął się przepaszająco.

– A ludzie sami nie pytają. – Mama cedziła słowa drżącym głosem. Już nie krzyczała, ale dla każdego, kto słuchał, musiało być oczywistym, że ma ochotę wrzeszczeć.

Żanna odpowiedziała ojcu wzruszeniem ramion.

– Nie interesują się...

– Dołącz, a ja pójdę po śniadanie – szepnął tata i wyciągnął do niej dłoń ze swoją maską.

Żanna zawahała się. Jako dziecko bardzo często brała udział w spotkaniach Pokornych. Zadawała pytania, domagała się wyjaśnień. Mama zawsze chwaliła ją za odwagę, przenikliwość i chęć zrozumienia. Z perspektywy czasu Żanna widziała jednak, że nigdy nie była ani przesadnie wyjątkowa, ani zdolna. Pytała, bo napędzały ją dziecięca niewiedza i brak zahamowań, ale mama zdawała się tego nie zauważać. Powtarzała, jak wiele Żanni osiągnie, jaka jest wspaniała i jak pomoże zmienić świat.

A potem Żanna wybrała kierunek studiów i zamiast wykorzystać nabytą wiedzę, by dalej pytać, zmuszać ludzi do przestrzegania ustalonych zasad, patrzeć na ręce tym, którzy uważali swoje potrzeby za ważniejsze, oraz nagłaśniać nadużycia, postanowiła po prostu pracować w zawodzie. Zaczęła logować się rzadziej. Nie z niechęci, ale z braku czasu. Dla mamy powód jednak nie miał znaczenia. Efekt? Westchnięcia, jakich nie powstydziliby się

Agnieszka, spojrzenia pełne zawodu, bo zdaniem rodziców marnowała się, siedząc przy konsoli w nastawni elektrowni.

Żanna opadła na fotel i zaklęła, gdy coś ostrego wbiło się jej w biodro. Wstała. Wyciągnęła z kieszeni spodni klucze do apartamentu i te od domu Eszki oraz od łańcucha deski z żaglem, przepustkę z EHT oraz blipper i rzuciła to wszystko na bok siedziska. Włożyła rękawiczki taty. Były na nią za luźne, ale za czwartym razem dobrze czytały mudrę i Życie wpuściło Żannę do przestrzeni Pokornych.

W pierwszej chwili nikt nie zwrócił na nią uwagi. Kilkanaście osób siedziało na betonowej podłodze w pustej hali. Rozmawiali, jakby faktycznie przebywali w jednym pomieszczeniu i mówili tym samym językiem. Animacje awatarów i wbudowane opóźnienia ukrywały działanie translatora. Maski przenosiły grymasy z życia do Życia, więc Żanna widziała na twarzy, która była i nie była twarzą jej mamy, tę samą wściekłość, którą słyszała chwilę wcześniej.

– Tam zginęli ludzie, ale pod petycją o ujawnienie, co dokładnie się stało, zebraliśmy zaledwie tysiąc podpisów. To tyle, co nic. Nie przekona tamtejszych władz. Będą powtarzać, że to była nieprzewidziana awaria. Jeśli ktoś śmie powiedzieć więcej, ocenzurują go, a my nigdy się o tym nie dowiemy. W przestrzeni żyjemy w wyspach cywilizacji, ale przecież mamy Życie właśnie po to, by informacje przepływały swobodnie i byśmy dbali o siebie i o planetę. Ale ludziom nie zależy. Nie chcą pytać.

– Niekoniecznie ze złej woli, Wiki. – Spokojny głos Kalkidan odbił się sztucznym echem od wysokiego sufitu. – Myślę, że to strach –

– Przed odpowiedzialnością – wszedł jej w słowo Roy, a inni mu zawtórowali.

Przez chwilę wirtualne powietrze wibrowało od nakładających się na siebie głosów.

- Bo wtedy musieliby zająć stanowisko.
- Wypowiedzieć się.
- Zadziałać.
- Zmienić coś, a ludzie nie chcą zmian.
- Stagnacja to przekleństwo.

– Po niej przyjdzie ruch w drugą stronę.

– Nie możemy na to pozwolić.

– Skupmy się na obecnej sytuacji.

– Dopóki nie wiedzą – próbowała dokończyć myśl Kalkidan – co się tam stało, nie boją się, że spotka to także ich. Nikt nie chce żyć w strachu.

– Ewakuowano niemal całą arkologię! – Mama znowu podniosła głos. – Jak poważna to musiała być awaria? Jak bardzo coś zaniedbano i gdzie jeszcze może się to zdarzyć?! Mamy oszczędzać wszystko, doskonalić, nie psuć. Tu nie chodzi o chęci, Kalkidan, ale o to, co jest konieczne! Jeśli jedynie strach może sprawić, że przestaną odwracać wzrok, zadowalać się tym, co mają, i zaczną pracować nad zmianą, to niech się boją.

– Z drugiej strony nagłaśnianie tego, może być jak woda na młyn dla nawołujących do opuszczenia arkologii i życia pod otwartym niebem.

– Wiedza?

– Strach. Strach, że arkologie nie są bezpieczne.

– To krótkowzroczne! – oburzyła się mama.

Żanna uśmiechnęłaby się, gdyby miała pewność, że maska nie syczy tego z jej twarzy. W zasadzie nie powinno jej dziwić, że sprawa Gidori dotarła do Pokornych. Zaraz po ewakuacji niemal całej arkologii prawie pół miliona ludzi po prostu znikło z Życia. Część dała znać, że jest alarm. Część nie. Pstryk i ich nie było.

Władze podawały komunikaty, że sytuacja jest pod kontrolą, ale to były tylko słowa. Oczywiście, że Pokorni zwrócili na to uwagę i zaczęli pytać, co się stało. W sieci pojawiały się plotki o zamachu i o fatalnej wadzie konstrukcyjnej arkologii. Spekulacje, że przy okazji przewozu krytycznych części do naprawy, ktoś zachłanny z Gidori ściągnie dla siebie coś ekstra z drugiego końca świata. Uciszano je. Uspokajano. Zagłuszano innymi wiadomościami, więc Pokorni przyglądali się temu jeszcze uważniej. Zawsze czujni. Zawsze podejrzliwi. Byli typem ludzi, którzy wywaleni przez drzwi, wracają oknem. Wywaleni ponownie, wchodzą przez szyb wentylacyjny.

Ostatecznie do opinii publicznej przekazano jedynie, że ewakuacja była konieczna z powodu awarii kaskadowej, mającej

źródło w drugim bloku energetycznym. Zapewniono, że została ona usunięta, a teraz modyfikowano procedury, aby już nigdy się to nie powtórzyło. Nie podano, co dokładnie poszło nie tak i czy winny był sprzęt czy człowiek. Żanna знаła prawdę, bo czytała zawartość puszki Pandory i przysłany później, równie poufny, raport końcowy.

– Żanni! – Głos mamy wbił się w jej myśli.

– Tak?

– A ty słyszałaś o tym? Wiesz o czym mówimy?

– Gidori tak?

– Czyli słyszałaś?!

– Tak. W pracy.

Błąd. Nie powinna była tego mówić. Mama zmarszczyła czoło, zacisnęła usta, spojrzenie jej awatara znieruchomiło. Pozostali Pokorni mogliby się wylogować, a ona nie zwróciłaby na to uwagi. Żanna była niemal pewna, że poza Życiem mama odsunęła maskę od twarzy i patrzyła na nią, na swoją córkę, która zawiodła, i w półmroku salonu widziała to wszystko, czego prosty zestaw do VR nie szczytywał: drgające kolano, wstrzymywany oddech, sztywne, wyprostowane plecy.

– W pracy czy w związku z pracą? – Druga połowa zdania wybrzmiała mocniej, a mięśnie Żanny napięły się.

– W związku z pracą. Kiedy gdzieś na świecie dochodzi do awarii powyżej czwórki w skali IPSES, wszystkie elektrownie dostają puszkę Pandory, znaczy CAN, a potem FAR i dla Gidori wydali już także ten drugi.

Miała wrażenie, że bredzi. Składała ze sobą słowa, które dla niej miały sens, bo знаła kontekst, kolejne kroki, twarze odpowiedzialnych za nie ludzi i przykłady. Dla kogoś z boku, to wszystko było zapewne niezrozumiałą papką. Odetchnęła. Uspokoiła drżące kolano i spojrzała najpierw na Kalkidan, potem na Roya. Próbowała skupić wzrok na kimkolwiek, byle nie patrzeć na mamę.

– IPSES to międzynarodowa siedmiopunktowa skala zdarzeń, awarii w systemach energetycznych w tym w elektrowniach. W Życiu są definicje, opisy poziomów, możecie je znaleźć, poczytać o nich. CAN to skrót od *Critical Accident Report*. FAR to raport z ustaleniami przyczyn zdarzenia, wnioskami oraz zaleceniami.

Rozsyła się je, by inni mogli sprawdzić, czy grozi im podobny scenariusz i podjąć odpowiednie działania, zanim będzie za późno. Uczymy się na cudzych problemach, bo łatwiej coś zmodyfikować, by zapobiec tragedii, niż wyprodukować nowe lub sprowadzić to z drugiego końca świata... – Zachłysnęła się powietrzem, gdy dłoń, prawdziwa, ciepła, ciężka, dotknęła jej ramienia; tata wrócił. – Świata. Gidori to była szóstka w skali IPSES, dlatego dostaliśmy CAN i FAR. To z nich dowiedziałam się o ewakuacji.

Chwilę później Żanna ściągnęła maskę i rozmasowała twarz. Tata już rozłożył talerze na stole, zdjął z nich pokrywki i teraz stał przy dystrybutorze, nalewając wodę do kubków. Mama jeszcze kończyła rozmowę. Jej słowa były ciche, ostre. Nalegała na podjęcie działań. Na nagłośnienie, że ponoć zginęło trzysta jedenaście osób. Na nawoływanie w Życiu, do przedstawienia światu dokładnej analizy przyczyn i skutków.

– Dziękuję – szepnęła Żanna, gdy tata postawił przed nią kubek. Odpowiedział jej uśmiechem.

Mama się wylogowała. Patrzyła na nich i wygładzała skołtunione przez pasek maski włosy.

– I jesteśmy narażeni na... na coś takiego? – zapytała.

– Nie. Nie jesteśmy. – Żanna powstrzymała chęć sięgnięcia po blipper.

Czuła, że rodzice chcieliby wiedzieć, dlaczego nie są narażeni, ale legalnie nie miała prawa im tego powiedzieć, nawet jeśli w tym konkretnym przypadku prawda nie mogłaby w żaden sposób zaszkodzić wrocławskim elektrowniom. Pierwotna przyczyna awarii w Gidori brzmiała: wielokrotne wymuszanie przełożenia przeglądu bloku energetycznego przez władze arkologii.

Bo święto.

Bo festyn.

Bo inna pokazówka, którą akurat chcieli zorganizować, więc żadne ograniczenie produkcji nie było dopuszczalne.

Zupełnie odwrotnie niż tutaj.

We wrokologiach organizowano festyny właśnie w czasie przeglądów. Zachęcano nimi ludzi, aby wyłączyli headsety, pogasili światła, wyszli z mieszkań i oddychali powietrzem w głównym leju, a nie tym, które trzeba było przepychać przez kilometry

kanałów oraz filtrów. Ale Wrocław nie leżał na pustyni, mieszkańcy dziurowców nie musieli kryć się przed ukropem panującym na zewnątrz.

– Czyli gdyby nie to CAN, nie miałybyś pojęcia, że coś takiego miało miejsce?

– Może gdzieś obiloby mi się to o oczy i uszy. Przypadkiem, bo nie śledzę, co się dzieje na świecie tak uważnie jak ty i tata, ale bardzo możliwe...

Błąd. Znowu błąd. Mama siedziała tak nieruchomo, jakby była swoim awatarem w Życiu. Żanna wiedziała, co to znaczy. To nie była zwykła wściekłość czy frustracja. Grymas na twarzy mamy wyrażał żal i rozczarowanie, bo przecież Żanna wychowała się wśród ludzi uważnie patrzących na to, co działo się na świecie. Takich, którzy rozumieli, że chociaż niemal zupełnie zamarli szlaki transportowe, a ludzie podróżowali tylko w Życiu, to wszyscy nadal są ze sobą związani. Arkologie nie istnieją w próżni. Wciąż wpływają na siebie. Jak ona, jej Żanni, mogła nie interesować się światem poza Wrocławiem? Nie sprawdzać wiadomości co rano? Nie szukać prawdy za krzykliwymi nagłówkami, nie dociekać, czy nie zamieciono czegoś pod dywan?! Każda inna osoba obudziłaby w Wiktorii Jarzeńskiej frustrację, ale jej własna córka... To było gorsze. To była zdrada.

– Mamo. Proszę. Każde z nas robi to, w czym jest dobre. Ty i tata patrzycie światu na ręce, a ja robię co w mojej mocy, aby wasze headsety i sieć zawsze działały. Żebyście mogli logować się do Życia i domagać wyjaśnień. Protestować i nagłaśniać, gdy ktoś gdzieś zaczyna zachowywać się, jakby należało mu się więcej. Jesteście jak bohaterowie starych filmów katastroficznych. – Patrzyła mamie prosto w oczy. – Jak naukowcy w nich, którzy do utraty tchu krzyczą, że zagraża nam zagłada, a potem stają się kluczem dla uratowania ludzkości. Wy może nie nurkujecie do jądra Ziemi, żeby rozkręcić je na nowo i przywrócić pole magnetyczne, ale ratujecie nas odrobinę każdego dnia. Jesteście taką Babą Jagą.

– Babą Jagą?

Spojrzała na tatę i przytaknęła.

– Jak w tej zabawie. Raz, dwa, trzy Baba Jaga patrzy. – Żanna uśmiechnęła się do wspomnień z dzieciństwa. – Patrzycie i przez to koniec świata nie może podejść bliżej.

Mama prychnęła.



„I tobie to wystarcza? Patrzysz na to i nie ogarnia cię wściekłość?”

Pytania wracały natrętnym echem. Mama zadała je, gdy Żanna stała już za progiem, jakby dawała jej do zrozumienia, że ma zabrać je ze sobą. Przemyśleć, a nie odpowiadać od razu.

Tak robiła. Zmęczona po nocy w pracy, rozmowie w Życiu i śniadaniu z rodzicami Żanna nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nawet nie chciała teraz o tym myśleć. Ramiona paliły ją od trzymania żagla ostro do wiatru, kolana zdawały się mieć tylko dwa tryby: usztywnione lub miękkie i niezdolne unieść ciężaru reszty ciała. Marzyła, by znaleźć się w łóżku. Włączyć któryś ze starych filmów, wygrzebanych dawno temu z zapomnianych plików Internetu nieidealnie skonwertowanego na Życie, i zasnąć na kilka godzin ukołysana jego ścieżką dźwiękową.

Najpierw jednak musiała pokonać kilometry miasta podzielonego na wyspy życia i martwe strefy. Żyło dawne centrum z grubymi murami, arkologia na północnym brzegu Odry, druga na dawnym Nowym Dworze, Krzyki, park maszynowy i uprawy przy nim oraz społeczność rozproszona za Ścianą wiatraków wybudowanych na nasypie nieużywanej obwodnicy miasta na zachodzie.

Pomiędzy nimi była ziemia porzucona. Całe osiedla wysokościowców, których nie opłacało się wyburzać, więc wypruto z nich rury i przewody, zabrano wszystkie meble, wyciągnięto okna, a betonowo-stalowe skorupy pozostawiono, by pogoda i czas same się z nimi rozprawiły. Nie monitorowano ich, nie zabezpieczano. Jednego dnia stały, kolejnego już trochę mniej, aż w końcu z hukiem zmieniały się w górę betonu, a wtedy natura przejmowała je na dobre. Najpierw trawy i mchy wypełniały mniejsze dziury, potem pojawiały się brzozy. Miejska legenda mówiła, że tam, gdzie na stertach betonu wyrosły drzewa owocowe, ktoś głupi siedł

na skróty między budynkami akurat w chwili, kiedy te zaczynały się walić.

Żanna nie była głupia. Jechała głównymi drogami. Patrzyła uważnie przed siebie i omijała szczeliny, w których mogłyby zakleszczyć się kółka deski. Odliczała ulice pozostałe do domu, do łóżka, próbując nie myśleć o pytaniu mamy. Ale ono uparcie wracało.

Dlaczego nie była wściekła, że żyje w świecie, w którym koniec cywilizacji nie jest motywem z filmów, lecz czymś, co wiecznie znajduje się na horyzoncie, i potrzeba ludzi takich jak jej rodzice, żeby nie podszedł bliżej? W świecie rozbitym na wyspy, w którym sąsiednie duże miasto jest nieosiągalne? W którym jej własne miasto to archipelag przetrwania i zapomnienia. Dlaczego nie była wściekła?

Nagły podmuch wiatru uderzył w żagiel, deska skrzyła na stare torowisko tramwajowe, kółko wskoczyło w zagłębienie szyny, Żanna straciła równowagę. Upadając, podparła się ręką i wrzasnęła, gdy szpila bólu przebiła się od dłoni przez łokieć aż po ramię. Wyraźne zium, zium, zium turbin odliczało upływające sekundy, kiedy kobieta próbowała uspokoić oddech. Nawet nie sprawdziła, czy rozdarła spodnie. Nie chciała wiedzieć. Myśl, że gdyby pozostała we wrokologii, nie upadłaby i nie zniszczyła niczego, zaczęła formować się w jej głowie, jednak odpędziła ją natychmiast. Brzmiała za bardzo jak mama.

Odetchnęła głęboko, wstała z ziemi i spojrzała w niebo. Chmury sunęły po nim, jednak nie były jeszcze na tyle gęste, aby znacząco wpływało to na pracę elektrowni heliothermalnej. Sięgnęła po blipper. Niewielkie urządzenie nie miało nawet setnej części funkcji, jakie zapewniały zestawy do Życia, ale z nimi nikt przy zdrowych zmysłach nie chodziłby ot tak po ulicach. Za łatwo było je uszkodzić, za trudno naprawić, a żyć zupełnie bez Życia się nie dało. Na dole, na górze, nieważne. Nie słyszała o nikim, kto byłby całkowicie offline. Nawet ktoś taki jak Eszka – pracujący i mieszkający na powierzchni – potrzebował Życia.

W porównaniu z maskami, blippery były pancerne. Żanna włączyła wyświetlacz i zakłęła. Zarząd wrocławskich elektrowni nadal nie wysłał żadnej wiadomości. Może wciąż analizowali prognozy, szacowali, kiedy banki akumulatorów Wrokologii 1

będą pełne, ale jeśli trwało to tak długo, to znaczyło, że warunki są niepewne.

– Dlaczego nie jestem wściekła, że pozostawiono mi świat, w którym życie i Życie, i w ogóle wszystko zależne jest od prądu, ale nie mamy jego stabilnego źródła? Jak fantastycznie łatwo musiało być kiedyś, w czasach, gdy już w maju można było określić, że produkcja trzynastego grudnia będzie wynosiła tyle i tyle megawatów.

Podświadomość od razu zaczęła Żannę sabotować. Wiele miejsc na świecie nie miało problemu z prognozowaniem: duże hydro, geotermia, atom, nawet EHT, w miejscach, gdzie dni pochmurne w roku można było policzyć na palcach rąk. Oni mogli planować. To Wrocław miał problem.

Blipper w jej dłoni zawibrował.

OUTAGE.

START 07.07 03:30

ETC +144h

W końcu! Nie było wprawdzie gwarancji, że po otwarciu turbiny i generatora nie znajdą jakiegoś skomplikowanego problemu, ale wykryty wcześniej mógł zostać naprawiony, nim będzie za późno. Echo głosu mamy przycichło zagłuszone przez ulgę.

– Nie okłamałam jej – mruknęła Żanna.

Zadarła głowę i spojrzała na wiatraki. Na tle gęstniejących chmur łopaty wirników wydawały się bielsze niż zwykle. Smukłe, pozornie ostre poruszały się majestatycznie.



Żanna leżała na łóżku. Nie spała. Na dworze sad starszy niż ona szumiał uspokajająco. Eszka pasteryzowała przetwory z pierwszych zbiorów. Zakłęła głośno, gdy źle chwyciła jeden z gorących słoików i niemal upuściła go na ziemię – jak wszystko, on też był dobrem, o które należało dbać.

Żanna odetchnęła. Te dźwięki były inne od tych, przy których zasypiała w arkologii, i nawet ją samą zaskoczyło, jak szybko do nich przywykła.

Teraz nieco zagłuszała je ścieżka dźwiękowa filmu. Jednego z tych, w których koniec świata mógł być osią fabuły, i nikt nie krzyczał, że to sianie paniki, bo gdy go kręcono, a nie w pełni generowano, zagłada była tak odległa, że w nikim nie budziła niepokoju. Po wewnętrznej stronie maski Żanna widziała, jak śmigłowce zamarzają w locie i spadają na ziemię. Mróz parł do przodu niemetaforyczną ścianą, nic sobie nie robiąc z dyfuzji gazów czy przenoszenia ciepła. To było głupie. Nierealne. Ale Żanna nie szukała w tym filmie realizmu. W zasadzie nie szukała w nim niczego, bo oglądała go piętnasty, może szesnasty raz. Nawet dialogów nie słuchała zbyt uważnie. Pozwalała im wlewać się do uszu, póki nie zaśnie. To był jej *comfort food*.

Tata: Żanni, zostawiłaś u nas identyfikator i jakieś drobiazgi.

Niewielkie okno wiadomości pojawiło się gdzieś pomiędzy zamarzającymi wirnikami śmigłowców.

Żanna wstała, by sprawdzić kieszenie przewieszonych przez krzesło spodni roboczych.

Zakłęła.

W półmroku mieszkania rodziców musiała nie zauważyć, że coś spadło między siedzisko a podłokietnik fotela. Złapała to co było na widoku i wcisnęła do kieszeni. Nie wychodziła stamtąd przesadnie uważna czy spokojna, ale to było marne usprawiedliwienie.

Żanna: Wpadnę po to jutro popołudniu, dobrze?

W tle, za okienkiem wiadomości, furgonetka pędziła po prostej, niespękanej, niezarośniętej krzewami drodze, by uciec irracjonalnej ścianie śmiertelnego mrozu.

Tata: A mogłabyś pojutrze, Żanni?

Tata: Mamy z mamą ważne spotkanie.

Prawie odpisała, że przecież może wejść sama i po cichu zabrać identyfikator i klucz do szafki w EHT. Powstrzymała się jednak. Prawdopodobnie rodzice chcieli z nią porozmawiać, dlatego tata podkreślił, że jutro nie mogą. Wzdrygnęła się na tę myśl. Liczyła, że będzie miała więcej czasu, by przygotować odpowiedź na pytania mamy.

Żanna: Ok! Pojutrze. Do zobaczenia.

Zamknęła okno. W filmie kamera unosiła się. Pół kadru zajmował świat jeszcze żywy, drugą zdominowały wraki, pokryte

białym szronem. Dym rozwiął się, pożary zgasły i zapanował martwy bezruch. „Końca świata” w tym starym filmie od początku nie dało się przeoczyć. Zagrożenie było widoczne. Tornada, huragany, sprzeczne z fizyką zmiany temperatur, olbrzymie fale – gdziekolwiek bohaterowie spojrzeli, widzieli, jak ich świat zmienia się nie do poznania. Nie musieli wspominać, jak to było kiedyś, wątpić w swoją pamięć, sprawdzać statystyk. Zagłada następowała w przeciągu godzin i minut, a nie lat czy dekad.



Pyzata twarz księżycy zaglądała do wnętrza arkologii. Zimne światło malowało ostre cienie, sprawiając, że ukryte z dala od krawędzi tarasów pomieszczenia tonęły w ciemności. Ludzie schodzili pochylniami, skręcali ku nim i przestawali istnieć, a tarasy trwały niezmienione. Bluszcze rozrosły się. Ich poskręcane korzenie sięgały w ciemność. Splecione ze sobą w warkocze szukały ludzi.

Chrzęst zgniatanej czaszki na chwilę zakłócił ciszę nocy, ale echo nie śmiało ponieść go daleko.

Po drugiej stronie balustrady pnącza opadały ku pustce w dole. Mięsiste liście nie odbijały blasku księżycy. Trupioblade płatki kwiatów falowały na wietrze. Przypominały skrzydła maleńkich ptaków, trzepoczące nerwowo, jakby chciały unieść długie łodygi ku centrum leja i dosięgnąć zawieszanej w nim Żanny, która spętana niewidzialną pajęczyną tkwiła w tym pozornym sercu wrokologii. Żywa, ciepła, świadoma.

Księżyc spoglądał na nią krzywo.

– Co z tobą jest nie tak? – pytało powietrze.

Żanna rozwarła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Cisza kleiła się do niej, wciskała słowa z powrotem do gardła i napierała na myśli. Wyciągała z głębi mózgu pierwotny strach, który unieruchamiał ciało.

Zium.

Zium.

Turbiny zdawały się wybrzmiewać coraz bliżej, głośniejszy, wyraźniej.

Chciała zacisnąć dłonie w pięści – instynkt miał inne zdanie.

Chciała krzyknąć – nie mogła.

Ktoś na nią patrzył... Księżyc nad arkologią, paranoja, strach o wielkich oczach?

Zium.

Zium.

Poddała się.

Paraliż minął.

Żanna nie spała.

Za oknem zapadła noc. Niewyraźny zarys drzew przesłaniał odległe wiatraki. Z łóżka Żanna nie widziała światła na ich szczytach, ale wyraźniej niż w dzień słyszała, jak czubki ich piór tną powietrze. Spokojnie. Równy. Niewzruszenie. Przez chwilę leżała i oddychała głęboko wsłuchana w ten dźwięk. Przynajmniej tym razem nie śniła o tym, że wywołuje *blackout*. Po cichu wstała, otuliła się wielką, patchworkową chustą pożyczoną od Eszki i – stąpając najdelikatniej jak potrafiła – wyszła przed dom. Ciemność tutaj była równie gęsta co w środku. Nawet jeśli Księżyc był na niebie, to chmury go pożarły. Żanna wyciągnęła przed siebie dłoń i nie mogła jej dostrzec. Zupełnie jakby ta przestała istnieć.

– Czemu nie jesteś wściekła, Jarżeńska? – spróbowała zabrzmieć jak Marzena. Nie wyszło. Potrzebowała pewnie jeszcze tak z dwudziestu lat pracy w elektrowni, szkolenia nowych i rugania tych, którzy powinni wiedzieć lepiej, żeby nauczyć się mówić jak ona.

Usiadła na schodach.

– Dlaczego nie jestem wściekła?

– Żre cię to.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Eszka – szepnęła, z trudem łapiąc oddech. – Nie skradaj się tak!

Wyobraziła sobie, że druga kobieta wzrusza ramionami. Usłyszała szelest jej kroków i poczuła, że ta staje tuż obok.

Co rodzice pomyśleliby o Eszce? Czy uznaliby, że ma dobry powód, by mieszkać na górze, czy stwierdziliby, że powinna znaleźć w sobie siłę i przezwyciężyć traumę, po tym, jak zatrzaśnięto ją przypadkiem na czterdzieści osiem godzin w jednym z niewielkich składzików we Wrokologii 2, gdy była dzieckiem?

„Klaustrofobia to wymówka. Egoizm”. Żanna próbowała usłyszeć te słowa wypowiedziane tonem mamy lub taty. Nie udało się. Żadne z nich nie było aż tak okrutne.

– Chodź.

– Słucham?

– Załóż buty. Ja znajdę latarnię i pójdziemy na spacer. Skoro ja nie śpię, ty nie śpisz, to możemy obejrzeć wschód słońca. Może zobaczymy na horyzoncie widmo końca świata i popatrzymy na nie, by nie podeszło bliżej.

– Eszka!

– Przepraszam, ale nadal bawi mnie to twoje porównanie. – Agnieszka westchnęła. – No, chodź. Pójdziemy na wzgórze, rozprostujemy nogi, wychodzisz trochę tych myśli.

Szły wałem. Snop światła z latarni wrzynał się klinem w ciemność. Wylawiał z niej cienie godne miejsca w koszmarach Żanny, ale ta starała się o tym nie myśleć. Nie skupiać na tym, jak liście zagłuszają swoim szelestem chrzęst kamieni pod ich butami. Jak niekiedy ponad ten dźwięk wybija się chłupot niewidocznej rzeki lub głuchy odgłos uderzających o siebie gałęzi, skrzypienie smukłych pni. Dla operatora jazu i słuzы znajdujących się za ich plecami musiały wyglądać jak tłusty świetlik podążający w stronę Brzegu.

Śmiech zabulgotał Żannie w gardle. Eszka mruknęła pytająco, a usłyszawszy wyjaśnienie, westchnęła tak ciężko, jakby sama dźwigała na barkach ciężar końca świata:

– A idź.

– Idę.

Wchodzenie pochyłą ścieżką było trudne. Kilka razy coś czmychnęło w głąb wysokiej trawy, syknęło w zaroślach, przebiegło w poprzek drogi, ale na tyle daleko, że nie mogły dostrzec co. Na szczęście nie zaatakowało.

Na szczycie znalazły starą ławkę. W szarówce przedświt nie było widać farby łuszczącej się z jej siedziska, ani tego, że cała konstrukcja przechylona jest na jedną stronę. Żanna musiała zaprzeć się nogami, by z niej nie zjechać.

Dlaczego nie jestem wściekła? zapytała siebie po raz kolejny.

Patrzyła, jak na powoli jaśniejącym niebie zaczynają być widoczne olbrzymie sylwetki pylonu i lin najbliższego mostu. Smukłe wiatraki ciągnęły się na prawo i lewo od niego. Poniżej horyzontu czerń nakładała się na czerń i nic nie świadczyło o tym, że są tam jeszcze ludzie. Kiedyś, dawno temu most i wszystko za nim było oświetlone. Żanna wiedziała o tym tylko dlatego, że znalazła stare zdjęcia, na których łuna miasta malowała niebo na pomarańczowy kolor.

„Po co? – pytali jej rodzice. – Czy te wszystkie światła były naprawdę potrzebne, czy to tylko kolejny przejaw egoizmu, przedkładania chwilowego komfortu ponad przyszłość?”

– Jakie to ma znaczenie...? – Żanna nie zamierzała mówić tego głośno, ale w zamyśleniu to zrobiła.

– Słucham?

– Nic.

W oddali migało czerwone światło, które zaledwie poprzedniej nocy wymieniał Miro. Żannie zdawało się, że rozmowa w nastawni miała miejsce bardzo dawno temu. Za dużo wydarzyło się między wtedy a teraz. Zbyt mocno szarpało to jej emocjami. Wyciągnęła nogi przed siebie i zadarła głowę, ale zobaczyła jedynie rzędną czerń.

– Na kogo miałabym być wściekła? – zapytała cicho.

Eszka spojrzała na nią uważnie.

– Słucham –

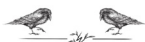
– Ciii. Chyba zrozumiałam. – Jej szept wyraźnie niósł się w ciemny poranek. – Mama zapytała, czy naprawdę wystarczy mi, że trzymamy koniec świata na odległość ramienia, i dlaczego nie jestem wściekła na to wszystko. Ale na kogo mam być wściekła? Na rodziców i całe ich pokolenie? Oni urodzili się we wrocławskich dziurowcach. Stworzyli wiele obecnych mechanizmów społecznych i zasad w ramach świata, który mieli. Na dziadków, którzy robili dokładnie to samo? Pradziadków, którzy podjęli decyzję o budowie arkologii, zamknięciu szlaków komunikacyjnych? Ale dlaczego? Bo może mogli zrobić coś lepiej? Tylko co to da? Przecież są martwi. A może mam być zła na ich równie martwych poprzedników? To bez sensu. Nie mam na kogo być wściekła. Nie umiem. Nie rozumiem. Nie czuję tego.

Obok niej Eszka westchnęła. Żanna, nie po raz pierwszy, miała ochotę zapytać, czy robi to tak egzystencjalnie, czy czasami po prostu zapomina oddychać i musi nadrobić zaległości, inaczej padnie niedotleniona. Ale to nie był dobry moment.

Złocista tarcza słońca wynurzyła się ponad horyzont i śmiech podszedł Żannie do gardła.

U zarania swego istnienia to wzgórze było hałdą odpadów – nieważne, że wiele dekad temu zrewitalizowaną i przywróconą naturze. A teraz one siedziały na szczycie tej śmieciowej góry i patrzyły, jak słońce wschodzi nad powolutku umierającym światem. To nie powinno być źródłem spokoju – Żanna o tym wiedziała – jednak właśnie spokój czuła w tamtej chwili, i nawet wizja rozmowy z mamą nie wydawała się jej straszna.

Dasz radę, Jarzeńska, pomyślała. Nadal nie brzmiała jak Marzena, ale i tak uśmiech rozciągnął jej usta, a mięśnie ramion się rozluźniły.



Natarczywy dzwonek blippera wylewał się przez uchylone okno na podwórze. Żanna odstawiła gorący, ledwie wyciągnięty z garnka słoik, i spojrzała w stronę swojej sypialni. W pierwszej chwili była pewna, że się przesłyszała. EHT pozostawała offline. Nie istniał powód, aby czegoś od niej potrzebowali, chyba że odwołano wyłączenie. Znowu. Miała nadzieję, że nie. Naprawdę musieli je w końcu zrobić.

Wbiegając po schodach na piętro, starała się nie myśleć o Gido-ri ani o tym, co powie mama, gdy wszystko walnie, a Wrokologia 1 pograży się w ciemności.

Znalazła urządzenie na szafce nocnej i sprawdziła wyświetlacz.

GDZIE JESTEŚ // MARZENA

W DOMU. ZA ŚCIANĄ. // ŻANNA

SKONTAKTUJ SIĘ. // MARZENA

ŻYCIE // MARZENA

Sięgnęła po maskę i założyła rękawiczki. W powitalniku już czekała na nią zapraszajka. Żanna zaakceptowała ją i znalazła się w niespersonalizowanym pokoju.

– Kiedy ostatni raz byłaś we wrokologii? Jedyńce.

– Wczoraj rano.

– Po co?

– U rodziców na śniadaniu.

– Dokładniej.

– Poziom siódmy, sektor trzydziesty szósty...

Pytania padały jedno po drugim. Marzena nie dawała Żannie czasu zastanowić się, dokąd to zmierza.

– Gdziekolwiek indziej?

– Nie.

– Jak długo?

– Zaraz po pracy i wyszłam koło dziesiątej.

– Wydarzyło się wtedy coś?

Poza kłótnią...

– Nie... Poza tym, że zostawiłam u nich przepustkę. Miałam podejść po nią dzisiaj, ale ostatecznie umówiliśmy się na jutro. I –

– Dlaczego?

– Dlaczego jutro?

– Tak.

– Tata powiedział, że dziś są zajęci. Nie chciałam przeszkadzać, a mamy *outage*, więc dziś czy jutro, to żadna różnica.

– Mieszkałaś z nimi do niedawna, tak?

– Tak. *Circa* trzy tygodnie temu się wyprowadziłam.

Pierwszy raz zapadła cisza. Żanna oddychała najciszej jak tylko potrafiła, żeby nie uronić ani słowa, ale żadne nie padło. Chciała być cierpliwa, jednak minuty mijały i w końcu nie wytrzymała.

– Co się stało?

Awatar Marzeny pozostał nieruchomy. Musiała ściągnąć maskę. Może nawet nie usłyszała pytania.

– Co się stało?

– Nic, Żanna. Moment.

Nie uwierzyła. Marzena nigdy nie mówiła do nikogo po imieniu. Coś było cholernie nie tak.

– Co się stało?

– Daj mi chwilę.

Chwila trwała długie dwadzieścia trzy minuty. Myśli Żanny zdążyły w tym czasie odejść zupełnie od wizji wypadku w domu i nakreślić kilka, o wiele bardziej niepokojących scenariuszy.

– Co odwalili moi rodzice?! – wycedziła mimo zeszytywniałych mięśni przy zuchwie.

– Miro jedzie po ciebie. Porozmawiamy IRL.



– Wyjaśnij – zażądała po raz trzeci Eszka, tym razem nieco głośniej, bardziej dobitnie niż poprzednio.

Miro rzeczywiście przyjechał. Dosłownie. Skąd miał wóz i konia? Gdzie w ogóle nauczył się go prowadzić? Żanna nie wiedziała. W każdej innej sytuacji zapytałaby o to, ale teraz tylko patrzyła na niego i Eszkę, stojących po dwóch stronach zamkniętej bramy prowadzącej na posesję. Sama nie przekroczyła progu domu. Stała w drzwiach i zaciskała dłoń na klamce.

– Zejdź ze mnie – próbował bronić się Miro.

– Wystarczy jedno zdanie. Słucham. Co się odważyło?

– Eszka, proszę.

– Ja też proszę. Doprowadziliście Żannę półsłówkami do poziomu solidnego ataku paniki, więc ona nigdzie, kurwa, nie idzie, póki nie dowiem się, o co chodzi!

– To ważne. Naprawdę. Dostałem polecenie, że mam ją przywieźć. Ja, nie ktoś z ochrony, bo nie robimy szumu i wszystko jest cacy, ale zaraz może nie być. – Miro wyrzucał z siebie słowa w tempie karabinu. – Rozumiem, że się martwisz, troszczysz i w ogóle. Super, że się tak zgadałyście, ale teraz proszę: potem, Eszka, ok?

– Nie strzęp języka, Miro.

– Nienawidzę cię! – wycedził. – Jej rodzice na lewo weszli do stacji rozdzielczo-transformatorowej przy jednym z punktów przyłączenia wrokologii do sieci. Coś ci to mówi? Nie! Otwórz tę bra –

– Jak to weszli do rozdzielni?! – Głos Żanny wybił się ponad rżenie konia i szum wiatru w koronie jabłoni. – Której?

– Wpuścili ich... Możemy to już po drodze? Proszę!

Żanna zbiegła po schodach. Miała wrażenie, jakby ktoś przywiązał jej ołowiane kule do nóg, ale nie zwolniła. Sama zaczęła otwierać bramę.

– Kto! Dlaczego?!

– Kretyn z konserwacji wrokologii. Zobaczył przepustkę EHT i uznał: tak, spoko, oczywiście, że mogę wpuścić kogoś takiego do stacji rozdzielczo-transformatorowej i nie –

– Moment, Miro, kurwa! Jaką przepustkę? Moją? – Żanna z trudem łapała powietrze. – Dlatego nie chcieli, abym przyjechała po nią dzisiaj... Ja ją u nich zostawiłam przypadkiem. Napra –

– Spoko, Jeanne. Nikt w to nie wątpi. Historie się zgadzają, ludzie wiedzieli, że się chcesz wymiksować z mieszkania z rodzicami, mówiłaś o tym, więc... Nieważne. Utrzymanie wrokologii będzie musiało zrobić szkolenia z tego co, gdzie i komu wolno. Typ ich nie wypowiedział, nie sprawdził, nie zapytał o pozwolenie. Dramat. Jakby to było w którejś EHT, to delikwent już stałby na wieży w pełnym słońcu.

Żanna się wzdrygnęła.

– No i twoja historia zgadza się z monitoringiem. Więc jesteś czysta, *easy*. Wsiadaj.

– Więc po co mam tam być...?

Spojrzał na nią i poczuła, że nie chce usłyszeć odpowiedzi.

– Oni tam weszli, ale nie wyszli. Zabarykowali się, zwarli zamek i grzebią w urządzeniach. Nic jeszcze nie poszło z dymem, bo jesteśmy wyłączeni. To też postawiło cię poza podejrzeniami. Jakbyś w tym siedziała, to nie stałoby się to, gdy nasza EHT stoi, co nie? Ochrona i inni chcą zadać ci kilka pytań, ale offline, żeby lepiej wyciąć, z kim mają do czynienia. A przede wszystkim liczą, że przekonasz swoich rodziców, by odpuścili. Bo nas nie słuchają, a nikt nie chce posuwać się do ostateczności.

– A ta ostateczność to? – zapytała Eszka.

Żanna nie musiała. Może nie знаła się na zasadach pracy ochrony i procedurach postępowania w takiej sytuacji, ale wiedziała, jak można unieszkodliwić ludzi w zamkniętej stacji tak, by nie zniszczyć niczego w środku. System gaśniczy.

– Mają przewymiarowane zbiorniki CO₂ – zaczął tłumaczyć Miro. – To do gaszenia pożarów, ale mogą zbić ilość tlenu w środku grubo poniżej poziomu, jaki jest potrzebny, by wszystko pogasło. A ludzie –

– Wystarczy! – weszła mu w słowo Eszka. – Zrozumiałam.

Przy ilu procentach tlenu gasły płomienie, a przy ilu ludzie umierali? Kiedyś Żanna na pewno to wiedziała, ale teraz nie mogła sobie tego przypomnieć.

– Jadę z wami.

– Po chuja ty tam Eszka? To jest trzy piętra pod ziemią na samym skraju stożka wrokologii. Za chuja tam nie dojdiesz ze swoją klaustrofobią.

– JA-DE. Z. WA-MI.



Kolorowe światła na dnie wrokologii błyszczały pierwszy raz od wielu miesięcy. Nad studnią, na pajęczynie ledwie widocznych przewodów bujały się kolorowe lampiony. Ludzie zachęteni ogłoszeniami administracji wylegli na tarasy. Nie wiedzieli czemu akurat teraz organizowano święto, ale też nie pytali. Nie pierwszy i nie ostatni raz się tak zdarzało.

W kilku miejscach grała muzyka. Na trzecim poziomie trwało jakieś wydarzenie dla dzieci, ale o co dokładnie chodziło, w co się bawili – Żanna nie zwróciła uwagi. Szła na sztywnych nogach z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała, jakby przywiązano do nich ciężary. Miro szedł krok przed nią. Eszka obok. Im bardziej oddalali się od leja, tym Żanna wyraźniej słyszała jej oddech. Głęboki, wymuszenie wolny. Skupiła się na nim. Wyrównała do niego swój. „Mamy z mamą ważne spotkanie”.

Włamanie do trafostacji – to było to spotkanie! Żanna zastanawiała się, jak szybko rodzice zauważyli, że zostawiła u nich przepustkę. Kto pierwszy wpadł na pomysł, by z niej skorzystać. Przez chwilę myśli kobiety zapętlily się na tym, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. W kolejnej uderzyło ją coś bardziej

niepokojącego: ani przez chwilę nie przeszło jej przez myśl pytanie, dlaczego to zrobili.

Wiedziała.

Chodziło o strach. O to by ludzie się bali.

Zmyliła krok.

– Jeanne?

– Nic mi nie jest. – Nie zabrzmiało, jakby to była prawda, ale Miro nie naciskał.

Rodzice zainspirowali się Gidori, tylko że to nie miało sensu. Nie sama idea... chyba. Żanna nie знаła się na psychologii, nie wiedziała, ile do gadania ma tutaj strach, a ile to, że inni – tak jak ona – po prostu przywykli do wizji końca świata na horyzoncie. Ludzie we wrokologii nie śnili o podboju kosmosu, o wielkiej cywilizacji ludzkiej, o solarpunkowych miastach. Nie dzielili marzeń rodziców, dziadków i tych przed nimi. Po prostu żyli najoszczędniej, jak potrafili, i tyle. Czy wystraszenie ich naprawdę mogło tu coś zmienić? Sprawić, że zaczęliby robić więcej, domagać się kolejnych zmian, żądać kategorycznego zakazu mieszkania na powierzchni, uważniej patrzeć na inne arkologie? Nieważne. Jeśli rodzice liczyli, że pogrązą wrokologię w ciemności i chaosie, to Miro miał rację, wybrali idiotyczny termin. Gdyby Żanna była z nimi w spisku, powiedziałyby im o tym. Ale nie była.

Przy drzwiach na końcu korytarza niska, mocno zbudowana kobieta z opaską ochrony na ramieniu skinęła Miro głową i spojrzała na Żannę i Eszkę. Żadna z nich nie wzięła udziału w wyjaśnianiu kim są ani po co tu są. Słowa mężczyzny wybrzmiewały pomiędzy ścianami, ale oddech Eszki był jedynym, na czym Żanna skupiała w tamtej chwili uwagę. Pomagał jej się wyciszyć.

– Żanna.

Marzena stanęła w otwartych drzwiach. W sztucznym świetle arkologii zmarszczki na jej twarzy zdawały się głębsze, a skóra bardziej niezdrowa niż zwykle w nastawni. Przeniosła spojrzenie na Eszkę.

– Agnieszka Staszak – podpowiedział Miro.

– Świat jest mały, chyba dojadłam na śniadanie twój dżem.

– Smacznego? – Głos Eszki zabrzmiał, jakby przeciskała słowa przez słomkę.

– Nikt nie chce, by ktokolwiek tu ginął. – Marzena zwróciła się znowu do Żanny – ale oni nie wierzą, kiedy mówimy, że jedyne co tu osiągną, to zniszczenie trudnych do zastąpienia urzędów.

– Mówili coś?

– Głównie ona.

Żanna nie była zaskoczona.

– Co mówiła? – wycedziła.

– Że ludzie się nie interesują i trzeba ich przebudzić z wygodnego snu, cokolwiek to miało znaczyć.

Żanna doskonale wiedziała, co mama miała na myśli.

– Ile mam czasu?

– To zależy od nich. Jak nie będą dotykali niczego, to póki nie padną z odwodnienia.

Czyli jeśli będą pchać ręce, gdzie nie powinni, mogło to oznaczać minuty.

– Jak szybko instalacja może obniżyć poziom tlenu do czternastu procent? – Marzena spojrzała na mężczyznę przy konsoli.

– Dwie minuty – odpowiedział. – Pojemność zbiorników i szczelność pomieszczenia pozwala zejść do trzech procent.

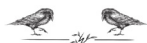
Przy sześciu ludzie tracili przytomność i umierali szybko – teraz Żanna przypomniała to sobie bez trudu. Nawet nie musiała szukać w pamięci łańcucha skojarzeń, by dojść do tej informacji. Po prostu wiedziała. Miała w głowie całą tabelę. Przy siedemnastu zawodziła ocena sytuacji. Przy szesnastu pojawiały się zawroty głowy. W okolicy trzynastu zaburzenia koordynacji.

Odetchnęła.

Zrobili jej miejsce przy konsoli i wskazali, gdzie jest przycisk interkomu. Eszka stanęła za jej plecami. Ekrany przed Żanną przedstawiały trzy ujęcia z rozdzielni. Jedno spojrzenie wystarczyło, by nabrać pewności, że gdyby urządzenia były pod prądem, nie miałyby już do kogo mówić.

– Mamo, przestańcie.

Funkcjonariusze ochrony, ludzie z utrzymania wrokologii, Marzena, Miro, oni wszyscy przestali dla Żanny istnieć.



– Mamo, tato, to nie będzie druga Gidori.

– Żanni?

– Tak. Proszę odejdźcie pod ścianę i –

– Nie, Żanni. – Mama odwróciła się od szafy elektrycznej i zaczęła rozglądać po pomieszczeniu. Szukała oka kamery. – Nie rozumiesz, Żanni, i to po części nasza wina. Porównałaś naszą pracę, naszą misję do dziecięcej zabawy. Nazwałaś nas Babą Jagą. Powiedziałaś, że patrzymy i tak trzymamy koniec świata z dala od ludzi. Brzmiałaś wtedy, jakby to było coś dobrego. Wspaniałego wręcz. To było takie...

W tle tata roześmiał się, a mama mu zawtórowała.

– Takie naiwne – dokończyła. – My nie patrzymy na koniec świata, kochanie, tylko na ludzi. Bronimy nas przed szaleńcami, gotowymi przyspieszyć zagładę dla zysku i własnej wygody.

Tata coś szepnął. Mikrofon na panelu przy drzwiach wychwycił to tak słabo, że Żanna nie zrozumiała słów. Na ekranie mama odwróciła się od kamery. Szepтали między sobą, a z głośników w pomieszczeniu kontrolnym dobiegał tylko szelest.

– Mamo!

Zignorowali ją.

– Baba Jaga to jakiś kryptonim?

Żanna zadarła głowę i spojrzała na stojącego obok funkcjonariusza ochrony. Nie zauważyła, kiedy podszedł tak blisko i zaczął wpatrywać się w monitory.

– Kiedyś powiedziałam, że są taką Babą Jagą z zabawy. Przyglądają się temu, co dzieje się na świecie, interweniują i...

Na ekranie mama znowu patrzyła ku ścianom uważnie.

– Żanni, nie rozumiesz. Nikt nie zatrzymuje końca świata. On każdego dnia jest coraz bliżej. Stoi w tym samym miejscu na osi czasu, a ty, całe twoje pokolenie może nie przyspieszacie go, ale przez swoją beczynność każdego dnia sami do niego podchodzicie. I to nasza wina. Arkologie są darem i przekleństwem. Dzięki nim dajemy ziemi odetchnąć, ale to powolny proces. Nie uratuje nas. Wychowaliśmy was w poczuciu bezpieczeństwa. To przez nie żyjecie, jakby zrobiono już wszystko, co dało się zrobić. To nasz błąd i teraz go naprawimy. Przypomnimy wam, że jest

jeszcze wiele do zrobienia. Musicie działać. Odkrywać. Udoskonalać. Stworzyć nową przyszłość, lepszą cywilizację, a nie tylko czekać.

– Nie pomożecie tak środowisku. Zniszczycie coś, czego naprawa wymaga materiałów z drugiego końca planety. Sprowadzenie ich będzie trwało tygodnie!

– Nie jest nam dobrze ze świadomością, że stworzycie coś zupełnie nowego i uruchomicie specjalny transport, ale –

– To przestańcie!

– Nie możemy. To najlepszy sposób. Sama powiedziałaś, że dbasz, byśmy mogli spotykać się w Życiu. To dało nam do myślenia. Póki jest prąd, póty czujemy się bezpieczni i jest nam wygodnie. To czyni większość ludzi biernymi, a takim jak ty daje wrażenie, że robią coś dobrego, choć tak naprawdę niczego nie zmieniacie.

– Tak, powiedziałam to, ale to nie będzie druga Gidori. Nawet jeśli rozbierzecie na części wszystkie urządzenia w zasięgu waszych rąk, nic się nie stanie.

– Tędy prąd dociera do wrokologii. W Życiu są animacje dla dzieci, słowniki opisujące proces.

– Zrobiliśmy risercz, kochanie. Wiemy, jak to działa. Wiemy, że to naprawicie. Powiedziałaś, że to zajmie kilka tygodni. Cudownie. – Tata siedział na podłodze przy otwartej łomem szafie elektrycznej i rozglądał się, jakby szukał głośnika, oka kamery.

– Tato, te urządzenia są aktualnie nieużywane. Nikt niczego nie zauważy. Będę wiedziała ja, kilka osób, które są tu ze mną i tyle.

– Kłamiesz! – Głos taty zabrzmiał obco.

Żanna nigdy nie słyszała u niego takiego tonu, takiej pewności własnych słów wymieszanej z gniewem wymierzonym w nią.

– Nie kłamie! Nie wywołacie blackoutu, a jedynie kłopot! – Nie chciała podnosić głosu, ale zrobiła to i teraz nie potrafiła już mówić spokojnie. – Jeśli komukolwiek zaszkoǳicie, to tylko reszcie waszej grupy. Pojawią się pytania, czy to był wasz pomysł czy skoordynowana akcja. W zasadzie już to zrobiliście. Ktoś przegląda logi tego, z kim rozmawialiście, może już nawet rozesłali alerty do innych arkologii i wspólnot na świecie!

Nie miała pojęcia czy to prawda, ale te słowa sprawiły, że rodzice znieruchomieli. Zaczęli szeptać między sobą i znów

Żanna słyszała tylko szelest. Spojrzała na ochroniarza obok. Stał ze zmarszczonym czołem i wpatrywał się uważnie w ekran.

– Mamo! Tato! Przepraszam, ale –

– Za co przepraszasz, Żanni?! Nie wiesz, prawda? Używaś tego słowa jak wytrychu, ale ono nic dla ciebie nie znaczy. Jest wygodne. Nic więcej! Grasz na czas, by otworzyli drzwi!

Żanna ukryła twarz w dłoniach. Próbowwała uspokoić oddech, ale nie potrafiła. To byli jej rodzice. Ludzie, którzy ją uformowali. Nie łudziła się, że pozwolono jej z nimi negocjować z sympatii. Żywi byli po prostu lepszym źródłem informacji. Mimo to, siadając w fotelu, myślała, że da radę. Że ich przekona. Że uwierzą jej, bo jest ich córką.

– Za to, że nie potrafię na to patrzeć jak wy – wycodziła wreszcie. – Że nie śnię o odnowie, o solarpunkowej przyszłości. Że potrafię obsługiwać elektrownię, ale nie umiem projektować od zera nowych technologii. Że trwam i że nie robię dość, że nie chodzę wiecznie wściekła na ludzi, którzy dawno zgnili w ziemi! Za to, że pogodziłam się z myślą, że wymrzymy powoli i po cichu jak wiele innych gatunków przed nami i –

– Które zabiliśmy!

– I swój własny też zabijemy, już –

– I to nie wywołuje w tobie buntu, nie napędza cię do zmian?!

– Nie, nie wywołuje. Żyję tak, żeby nie przyspieszać końca. Robię, co potrafię. Wszyscy to robimy w jakimś stopniu. Może ktoś gdzieś znajdzie sposób, by dać nam kilka dekad więcej, a może nie. Ale jeśli nie odsuniecie się od tych urządzeń i nie usiądziecie pod ścianą, to nie będziecie mieć szansy się dowiedzieć!

Nie słuchali jej. Tata znów wyciągał karty z szafy. Wyrwał je z gniazd. Mama podniosła z podłogi coś, co wyglądało jak nóż.

– Nie odetniecie nas od Życia – mówiła, wciskając go pod metalową pokrywę w podłodze. – Świat wie o Gidori. Informacje zaczynają krążyć. Wypychamy je na powierzchnię. I o ciemności tutaj też się dowiedzą.

– Nie będzie żadnej ciemności! I nikt nie zamierza odcinać was od Życia przez wielkie żet. Małe za to...

– Inni będą domagać się wyjaśnień.

– I poznają prawdę, że zginęliście w akcji gaśniczej.

– Woda – prychnęła mama. – Więc sami gotowi jesteście zniszczyć to, co tu jest, w imię swojej wygody!

Eszka zacisnęła dłoń na ramieniu Żanny. Nie miało znaczenia, czy zrobiła to, bo przegrywała ze swoją klaustrofobią, czy po to, by dodać jej pewności siebie, Żanna sprowadziła całą siebie do tego punktu, gdzie palce przyjaciółki wbijały się jej pod obojczyk.

– Mamo! Żadna woda. Dwutlenek węgla.

Nie uwierzyli jej.

Patrzyła na ich twarze na ekranie i nie miała wątpliwości, że jej nie wierzą. Pierwszy raz w życiu poczuła tę przytłaczającą wściekłość, o której tyle mówili. Tę, która napina mięśnie i sprawia, że chce się krzyczeć. Wyjść do ludzi i domagać się, by wrzeszczeli razem z tobą. Ale to trwało mgnienie. Emocja zapłonęła i zgasła. Żanna nie była tylko ich córką. Była kimś, kto potrafił wyciągać gorące słoiki z garnka i wejść na Wzgórze Maślickie bez zadyszki. Była operatorką Pierwszej Wrocławskiej EHT. Może nie miała takich jaj jak ci, którzy ewakuowali Gidori, ale tu i teraz to ona musiała podjąć decyzję, która – była tego pewna – będzie ciążyła jej na sumieniu przez lata.

Ich dwoje, jej rodzice versus lata bezpiecznego funkcjonowania arkologii, które mogły zapewnić urządzenia za ścianą.

– Poddaję się – szepnęła i nie odwracając wzroku od ekranów, dodała: – Gaście.



– Jakby to się skończyło w jednym z tych filmów, które w kółko oglądasz?

Żanna odłożyła narzędzia, ale nie spojrzała na Eszkę. Siedziały na dachu domu i naprawiały sekcję kolektora, która zaczęła przeciekać poprzedniego dnia. Pięć godzin wcześniej, stojąc za konsolą w nastawni, Żanna zsynchronizowała Pierwszą Wrocławską Elektrownię Heliotermalną z siecią. Jeszcze w czasie jej zmiany prąd popłynął ku Wrokoologii 1. Akumulatornie przeszły z trybu mieszanego w tryb ładowania, presja na elektrowni wiatrowej zmalała. W układzie znowu istniała rezerwa produkcyjna

i wszyscy zaangażowani odetchnęli z ulgą. Planowe wyłączenie skończyło się, lecz skutki wydarzeń minionego tygodnia nie zniknęły.

Rodzice przeżyli, ale zostali zamknięci w izolacji. Żanna mogła ich odwiedzić, jednak nie chciała. Wróciła do pracy, choć miała wrażenie, że władze elektrowni nie powinny na to pozwolić. Zwierzyła się z tego Marzenie. Przełożona prychnęła w odpowiedzi, po czym zrobiła Żannie wykład, jak niewiele osób pracowałoby w EHT, jeśli zwalnialiby każdego, kto czasem pomyślał, że ma ochotę to wszystko rozpizgnąć. I że gdyby doliczyć ludzi, którzy tylko o tym śnili, nie zostałby nikt. Powiedziała też, że nie stosują kar na pokolenia wstecz i w przód. To rodzice Żanny byli winni, nie ona. A jeżeli tak bardzo chciała zostać ukarana, mogła zastąpić Miro i następnym razem sama wymienić żarówkę na wieży. W tamtej chwili miała się po prostu określić, czy bierze na jakiś czas pierwszą zmianę, czy zostaje na trzeciej.

Kilka godzin później Marzena wysłała Żannie namiar na terapię z Wrokologii 2.

Miały już jedną sesję.

– Ziemia do Żanny. Więc jakby to było w tych filmach?

– Uratowałabym i rodziców, i świat. Albo ocaliłabym chociaż rodziców. Pogodziłabym się z nimi. Ostatnia scena byłaby czymś ku pokrzepieniu serc. Ochronienie całej planety jest ponad siły głównego bohatera, ale przynajmniej uratował on własny mikroświat. Stałybyśmy na Wzgórzu Maślickim i patrzyły, jak wstaje nowy, lepszy dzień. Kamera oddaliłaby się, obraz ściemniałby aż do czerni, pokazałoby się „The end” i zaczęły napisy, a muzyka trwałaby dalej, aż do ostatniego nazwiska i loga na liście. Taka podniosła, poważna, pełna nadziei.

Eszka westchnęła. Żanna spojrzała na nią.

– Ty tak egzystencjalnie to robisz, czy zapominasz oddychać i nadganiaasz?

– Oba? Możemy pójść na wzgórze zobaczyć zachód, chcesz? A nuż będzie widać Karkonosze? Kiedyś chciałam tam pojechać. Wziąć jeden z rowerów, odnowić go i zrobić wielką wybieczkę. To nie jest tak koszmarnie daleko. Rower ogarnęłam,

podjechałam raz pod Maślickie i... – Kolejne rozdzierające westchnięcie zabrzmiało nad dachem domu.

– Zachód słońca chyba bardziej pasuje do naszego końca świata.

– Z muzyką gorzej. Mogę zabrać garnek i drewniane łyżki?

Żanna roześmiała się. Nie pełną piersią, nie ze łzami rozbawienia w oczach i nie gnąc się w pół, lecz nieco drżąco i niezbyt głośno. Ale to był jej pierwszy śmiech od wielu dni.

– Może lepiej nie bierz. Ale spacer brzmi dobrze.

Patrząc na zachód słońca, nie widziały miasta. Ponad morze ciemności, pomiędzy wzgórzem a odległymi szczytami wyrastały jedynie antena na Ślęży i niepoddająca się upływowi czasu wieża ciśnień na Marszowicach. Karkonosze pofalowaną linią grzbietu wgryzały się w złotopomarańczowe niebo. Jasny talar słońca opadał ku nim niespiesznie. Najpierw piękny, okrągły, wciąż oślepiający. Potem wyglądał jak połówka monety, aż z ostatnim błyskiem zniknął zupełnie.

THE END

O autorce

Marta Magdalena Lasik – rocznik osiemdziesiąty piąty, Wrocławianka, fotoamatorka, opowiadaczka, korposzczur, teoretycznie operator elektrowni jądrowych.



Tradycyjne role społeczne

Ewa Marczyńska-Goldstein

Woda w wysokich, oszronionych szklankach była luksusem. Stella jednak mogła sobie pozwolić na podanie jej w odkrytych naczyniach, a miny sąsiadek, które nie dysponowały podobnymi zapasami wilgoci, tylko utwierdzały ją w przekonaniu, że było to dobre posunięcie. Takie wodne „zastaw się, a postaw się”, niebywale satysfakcjonujące. Nie świadczyło o niej najlepiej, ale akceptowała ten fakt bez oporów. Nigdy nie twierdziła, że nie jest trochę wredna. Zwłaszcza wobec osób, które nie umiały powiedzieć trzech zdań bez skrytykowania czegoś w swoim otoczeniu.

– Bardzo tu przyjemnie i chłodno. Doprawdy, w taką pogodę dobrze mieć klimatyzator.

Słowa Wioletty niby były pochwałą, ale w niektórych ustach nawet komplementy brzmią podejrzenie.

– Nie wszystkich stać na takie fanaberie – powiedziała oschle Klaudyna. – Oczywiście, jeżeli nasza gospodyni nie widzi problemu w rachunku za prąd, który zużywa to ustrojstwo...

Stella nie była lubiana przez sąsiadki. Zresztą taką samą niechęcią darzone były jej siostry, córki i wnuczki. Działo się tak głównie dlatego, że Stella pozwalała swoim krewnym studiować to, co im się podobało i pracować w zawodach, które lubiły. Nawet jeżeli ich wybory uważane były przez otoczenie za całkowicie nieodpowiednie, nietradycyjne i niesłuszne.

– Anula niedługo się broni, dobrze pamiętam?

Nie żeby Stellę specjalnie obchodziły plany życiowe Anuli, ale czuła się w obowiązku dać wszystkim szansę na pochwalenie się potomkiniami.

Podtrzymywanie więzi towarzyskich warte było słuchania o tym, jak znakomicie Anula sobie radzi i jak strasznie trudno jest znaleźć granty z jej dziedziny, i jak jeździ nad Biebrzę badać ostatnie żywe torfowiska w kraju...

Gospodyni musiała się ugryźć w język, by nie skomentować, że przy tej ilości ocalałych torfowisk trudno będzie Anuli utrzymać się z badań nad nimi. Zresztą pozostałe smarkate tradycjonalistki też nie mogły liczyć na lukratywne posadki. Wybierały zawody „odpowiednie” – bliskie naturze, tradycyjne, fizyczne – i jedyne, co zyskiwały, to zachwyt babć, matek i ciotek.

Stella starannie unikała zadawania Klaudynie pytań o sukcesy zawodowe jej siostrzenicy, Alinki, która uparła się studiować na AWF, bo od dziecka marzyła o tym, żeby zostać ratowniczką. Wybór ten na pewno miał wiele sensu w kontekście wprowadzonego sześć lat wcześniej racjonowania wody, które stało się gwoździem do trumny ostatniego miejskiego basenu.

Oczywiście Klaudyna była bardzo zadowolona z planów durnej Alinki. Ratownictwo wodne – odpowiedni kierunek dla dziewczyny z jej pochodzeniem.

W dobie takiego ocieplenia klimatu, że Wisłę w Krakowie dało się przejść suchą nogą.

Doprawdy, niebylewale pożyteczne zajęcie. Mogłaby się jeszcze zatrudnić w stoczni albo jako instruktorka aqua aerobiku.

– Wiklina coraz droższa – wymamrotała Dusia, nie odrywając oczu od telefonu. – Chciałam zamówić, a tu mi dostawca pisze, że od zeszłego miesiąca podrożała o trzydzieści procent...

Dusia była jeszcze lepszym przykładem na to, że przywiązanie do tradycyjnych postaw i rzemiosł nie wystarcza, by utrzymać rodzinę. Owszem, Stella podziwiała estetykę jej koszy i tacek, ale wikliniarstwo nie miało przyszłości. Po prostu nie miało. W miarę jak globalne ocieplenie wysuszało kolejne zbiorniki wodne, wiklina stawała się coraz trudniej dostępna, a jej jakość była coraz niższa. Na terenach Małopolski, gdzie kiedyś każda wieś miała co

najmniej jednego plecionkarza, dziś koszykarki były zmuszone do przerzucenia się na trzcinę.

– A masz zbyt? – zapytała niezbyt uprzejmie Gabriela.

Jej ród od wieków żył w bliskim związku z wierzbami, więc na Dusię patrzyła niemal jak na morderczynię sprzedającą dekoracje ukręcone ze zwłok.

– A mam! Ostatnio pani prezydentowa zamówiła czterdzieści koszy. Twierdzi, że wiklina jest uznawana za bardzo elegancką, dlatego że tak trudno ją kupić. Jest teraz bardzo popularna, wręcz ekskluzywna! Tylko nie wiem, czy cena, którą podałam, wystarczy mi chociaż na pokrycie kosztów... – dokończyła ponuro. Po chwili milczenia odkaslnęła i wyprostowała się. – Stella, a twoja Patrysia to co właściwie studiuje? Mówiłaś, ale zapomniałam.

Patrycja była dla sąsiadek żdźbłem w oku i kolcem w tyłku. W przeciwieństwie do Anuli, która nawet na pobieranie próbek torfu potrafiła się wybrać w powłóczystym białym giezle, wnuczka Stelli chodziła w dżinsach i kraciastych koszulach, strzygła się na krótko i zmieniała kwiecistą chustkę na różową bandankę w czarne trupie czaszki.

– Elektronikę i mechatronikę – odpowiedziała zdawkowo Stella.

– Elektronikę – powtórzyła Dusia. – I *mechatronikę*.

Brzmiało to tak, jakby uczyła się nowego języka.

Albo jakby przeklinała.

– Nie rozumiem, jak możesz pozwalać swoim dziewczynom na takie... – Klaudyna pokręciła głową. – Nie wypada. Nie wypada, naprawdę, nie wypada.

– A twoje córki nie mają nic przeciwko? – zapytała z wahaniem Wioletta.

– Matka Patrycji jest gorącą zwolenniczką samodzielnych wyborów i brania za nie odpowiedzialności.

– Ale to ty jesteś jej babką! Powinnaś ją... Zdyscyplinować! – za-perzyła się Dusia.

Stella podeszła do skraplacza zawieszonego w rogu pokoju. Chłodna, przefiltrowana woda spłynęła do karafki. Sąsiadki ucichły, wsłuchane w dźwięk przelewającego się płynu.

– Poleciłam jej, żeby zajęła się czymś, co uważa za pożyteczne, praktyczne i rozwijające. Sama wybrała kierunek. Tak samo zresztą jak jej młodsza siostra.

Paulinka właśnie zaliczyła pierwszy rok klimatyzacji i chłodnictwa na politechnice, o czym sąsiadki doskonale wiedziały. Wszystkie skrzywiły się jak na komendę.

Stella zatkała karafkę silikonowym korkiem, żeby ani gram cennej wody nie wyparował.

– Ile litrów zbierasz dziennie? – zapytała cicho Aldona.

– Do siedmiu, ale znajoma w centrum zbiera nawet dziesięć. W starych kamienicach jest łatwiej, bo ściany inaczej trzymają wilgoć.

Klaudyna przełknęła z wysiłkiem.

– Bardzo ciekawe to rozwiązanie. Tylko kosztowne – powiedziała po długiej chwili.

– Oplaca się. Atestowane beczki na deszczówkę też tanie nie są, ale jeżeli chce się mieć więcej wody niż miasto daje, to trzeba się wykosztować.

Tego, że sama nie kupiła ani skraplacza, ani beczek, ani systemów zbierających, sąsiadki wiedzieć nie musiały. Nie miała obowiązku zdradzać się ze wszystkimi rodzinnymi sposobami na zaspokajanie podstawowych potrzeb. Tym bardziej, że cała instalacja była dziełem Paulinki, która zmontowała ją w ramach zaliczeń, łącząc pożyteczne z pożytecznym.

Wieloletnia susza i postępująca degradacja gleby zmusiły Kraków do wprowadzenia znacznych ograniczeń na użycie wody z miejskich wodociągów, więc każdy robił, co mógł, żeby zabezpieczyć dość wody dla siebie i rodziny. Dla ludzi był to mniejszy problem, bo przydzielowa ilość wystarczała do nawodnienia organizmu i podstawowej higieny. Dla rusałek niestety wody było drastycznie za mało. Szczęśliwie, w przeciwieństwie do utopców, nie miały skrzeli, więc nie musiały spędzać większości czasu w wodzie, żeby oddychać, ale i tak każda powinna zanurzyć się w niej częściej niż raz na tydzień. Miejski limit zużycia kranówki nie był określony z myślą o nich.

Siedem starszawych rusałek, zgromadzonych w salonie Stelli, patrzyło na pełną wody karafkę wygłodniałymi, nadmiernie przesuszonymi oczami.

– Beczki... – wychrypiała Klaudyna.

– Bardzo polecam. Wystarczy dwie godziny dobrej ulewy, żeby je napełnić, a przy odpowiednim przechowywaniu woda nawet po miesiącu jest zdatna do użytku.

– Odbierasz ziemi deszcz...! – zaperzyła się Dusia. – To nieprzyzwoite! Wiedziałam! Od zawsze wiedziałam, że te studia musiały ci zaszkodzić! Kto to widział, żeby rusałka studiowała na AGH!

– Użyjże rozumu, Duśka! Ziemia na naszym osiedlu jest tak wyschnięta, że nie wchłania ani kropli, nawet w trakcie oberwania chmury! – huknęła na nią Klaudyna. – Stella dobrze robi, że zbiera wodę. Pewnie w razie czego... – przełknęła z wysiłkiem – można by trochę pożyczyć?

Stella zakłęła w duchu, ale nie mogła odmówić wprost. Dla dobra rodziny musiała z sąsiadkami żyć w zgodzie. A przynajmniej nie w otwartym konflikcie.

Rusałki potrzebowały społeczności. Potrzebowały ludzi, zwłaszcza mężczyzn, koniecznych do wyprodukowania potomstwa – nie każda była na tyle odważna, żeby sypiać z utopcami, narażać się na kontakt z ich łuskami i ryzykować Skomplikowane Efekty Genetyczne – ale jeszcze bardziej niż ludzi potrzebowały innych rusałek. Są problemy, których człowiek nigdy nie zrozumie, nie tak jak inna rusałka właśnie. Dlatego łączyły się w klany, a klany w społeczności powiązane siecią wielopokoleniowych zobowiązań, które ich gatunek traktował niezmiernie poważnie.

Stella właściwie mogłaby się odciąć od tej sieci. Miała trzy córki i dość wnuczek, żeby zyskać pewność, że rodzina zachowa ciągłość. Tworzyły samodzielny klan, mieszkaly niedaleko siebie i wspierały się nawzajem.

Czasem jednak trzeba było porozmawiać z kimś spoza najbliższej rodziny, zachowując komfort płynący ze wspólnej historii i wspólnego kontekstu, a ten mogły zapewnić tylko inne rusałki. To, że większość z potencjalnych rozmówczyń mentalnie nadal żyła w dwudziestym pierwszym wieku i zdawała się nie zauważać, że sytuacja hydrologiczna w Polsce jest coraz gorsza,

to była zupełnie inna sprawa. Stellę nieraz świerzbiła ręka, żeby złapać siostry-rusałki za kudły, zawlec je na środek koryta wyschniętej Wisły, Wilgi czy dowolnej innej krakowskiej rzeki i kazać im stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Jednak nie chciała antagonizować sąsiadek – chociaż żyły w wyparciu, były jej społecznością.

Dlatego nie zaprzeczyła, tylko uśmiechnęła się uprzejmie, poprawiła ustawienia klimatyzacji i zanotowała w telefonie, że musi lepiej zabezpieczyć beczki napełnione w trakcie niedawnych opadów. Na pewno któraś z wnuczek znała jakiegoś specja od alarmów. W końcu elektrycy też kończyli Politechnikę.

Uporczywe wysyłanie młodych rusalek na „tradycyjne i odpowiednie dla nich kierunki” było marnowaniem czasu i potencjału potomstwa. Należało iść z postępem, a nie siedzieć tyłkiem w wysychającym bagnie i twierdzić, że tak właśnie powinna żyć porządna rusalka.

– Jeszcze wody? Mam też lód, jakby któraś z pań chciała Wioletta prychnęła.

– Lód? Doprawdy, przesadzasz z tymi fanaberiami, Stello. Czy sta woda ze strumienia była dostatecznie dobra dla naszych prametek. Nam powinna wystarczyć zwykła kranówka.

Mimo tej krytyki, Stella wrzuciła kilka kostek do swojej szklanki. Być może użycie lodu oznaczało, że nie jest tradycyjną rusalką. Zdecydowanie przedkładała to nad bycie rusalką przesuszoną i przegrzaną. Dwudziesty drugi wiek może oznaczał szaleństwa klimatyczne, ale dostarczał też narzędzi, żeby sobie z nimi poradzić.

Kiedys trzeba było wyjść z lasu.

O autorce

Ewa Marczyńska-Goldstein – Krakowianka mieszkająca w Warszawie. Z wykształcenia i zawodu informatyczka, uprawia rękodzieło, uczy się rysunku, akwareli i włoskiego. Do pisania słucha Adiemusa, Loitumy oraz nocnych odgłosów miasta. Żywi się herbatą imbirową, miętówkami i zdjęciami ładnych kamienic. Lubi fanfiction (czytać i pisać). Debiutowała w „Nowej Fantastyce” 11/2025 opowiadaniem "O przewodze safianowych trzewiczków".



Opowieść miłosna o końcu świata

Martyna Biesiada

„Ty zawsze jesteś taka spokojna”.

To zdanie przyczepiło się do niej z samego rana, przykleiło się i za nic nie chciało zniknąć. Było przy niej, kiedy przebierała się wśród innych kobiet, słuchając ich rozmów. Było, gdy schodziła razem z nimi na halę magazynową i kiedy wybierała najmniej zużyty ze skanerów. Słyszała je, kiedy na niewielkim porysowanym ekranie pojawiały się pierwsze zamówienia do kompletacji.

Taka spokojna.

Ona nie powiedziałaaby o sobie, że jest spokojna – jeśli już miałyby coś powiedzieć, to stwierdziłyaby, że jest pusta. Że w środku niej nie ma nic poza otwierającą się do wewnątrz bezdenną ciemnością; pustką, która pochłaniała wszystko – rzeczy dobre i złe, smutne i radosne. To właśnie tę ciemność ludzie mylili ze spokojem.

Sama nie zauważała tego na co dzień – tylko wtedy, gdy ktoś mówił, że jest „taka spokojna”. Wtedy miała ochotę krzyczeć. Jednak cisza, która towarzyszyła pustce, jej na to nie pozwalała. Stefa połykała słowa i za każdym razem, kiedy to robiła, czuła, że cisza rośnie w siłę, a ona sama oddala się od innych ludzi jeszcze bardziej. Wiedziała, oczywiście, że nie jest to nic dobrego, i wiedziała też, jak to się skończy. Osiągnęła jednak stan, w którym nie miała ochoty udawać nawet sama przed sobą, że ją to obchodzi.

– Zejdź na dół pomóc. – Polecenie wyrwało ją z zamyślenia.

Poziom niżej było nieco chłodniej – czuła przeciąg spowodowany otwartymi dokami przeładunkowymi. W takie dni jak ten, mimo działającej na pełnych obrotach klimatyzacji, temperatura na wyższych piętrach magazynu potrafiła zbliżyć się do trzydziestu stopni. Omdlenia wśród pracowników zdarzały się wtedy regularnie, ale nikogo nie obchodziło to na tyle, żeby zatrzymać z tego powodu pracę. Każdy musiał radzić sobie sam.

Stefa czasami dziwiła się, że ludzie wciąż okazywali się tańsi i bardziej efektywni, niż maszyny kompletujące towar. Możliwe jednak, że miało to coś wspólnego z tym, że w porze cieplej coraz częściej zdarzały się przerwy w dostawach prądu spowodowane zbyt wysoką temperaturą i przeciążeniami sieci – robot wtedy nie pracował, ale Anka z trzeciego poziomu owszem, i to Anka wyrybiała normę.



Rozejrzała się, opuszczając swój sektor, i skierowała się w stronę wysokiego składu. Nie była pewna, co tak naprawdę zwróciło jej uwagę – najpewniej był to drobny, niespodziewany ruch uchwycony kątem oka. Coś, co łatwo było przeoczyć. Zatrzymała się wtedy, patrząc i nie rozpoznając tego, co widzi. To znaczy, później była pewna, że rozpoznała zwierzęta od razu. Po prostu potrzebowała co najmniej pełnej minuty na to, żeby w nie uwierzyć.

To były sarny. Matka, delikatna i wystraszona; młode o nakrapianym futerku wciąż niepewnie stojące na nóżkach cienkich jak zapalki. Oboje oszołomieni z powodu upału i hałasu.

Stworzenia, które jeszcze czterdzieści lat temu stanowiły gatunek najmniejszej troski – można było je spotkać w lesie podczas wieczornego spaceru. Teraz zaś nie widziano ich w okolicy od co najmniej piętnastu lat.

W tej chwili patrzyła na nie – na te płochliwe, nieduże zwierzęta, które spoglądały na człowieka oczami wielkimi i przepastnymi, kryjącymi w sobie cały kosmos. Przez krótką chwilę Stefa myślała, że rozplacze się na ten widok. Poczuła, że coś, co było uśpione i zagrzebane głęboko w środku niej, zaczyna się budzić.

– Chodź tu do mnie – powiedziała, wyciągając otwartą dłoń.

Matka rozszerzyła chrapy i zastrzygła uchem. Gdzieś coś upadło, huknęło, ktoś zaklął, ale dźwięk dotarł do nich już niewyraźny, przytłumiony, jakby otoczył je kokon z waty. Stefa z całej siły starała się utrzymać to wrażenie – spowolnienie i roztaczające się dookoła nich ciszę oraz spokój. Chciała dać zwierzęciu czas. Wiedziała, że sarna w końcu do niej podejdzie.

Wzięła głęboki oddech, czując, że jej serce zaczyna bić szybko i ciężko – nie otwierała Ścieżek od dawna, nawet nie pamiętała już od kiedy. Poza tym nigdy nie była w tym tak dobra jak Adam. Wspomnienie mężczyzny sprawiło, że poczuła nagły ucisk w gardle. Odchrząknęła. Nie miała teraz czasu na to, żeby się rozklejać. Musiała być tutaj, w tym miejscu – jeśli chciała uratować sarnę i jej młode.

Zwierzę postawiło niepewny krok w jej stronę. I kolejny. Potem się zawahało.

– Nic ci nie zrobię – zapewniła Stefa łagodnie.

Zamarły na chwilę, mierząc się wzrokiem. Mała sarenka stała nieco z tyłu, tuż obok matki, chwiejąc się trochę na nóżkach.

Niewyraźny humanoidalny cień minął je szybkim krokiem. Stefa poczuła nagły, gwałtowny ból w prawym oku. Wciągnęła głośno powietrze, prawie tracąc koncentrację – serce zabiło jej jeszcze szybciej, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co mogło się stać. Poczuła mdłości podchodzące do gardła. Przełknęła kilka razy gorzką ślinę, czekając, aż ból trochę się uspokoi.

– Chodź do mnie – powtórzyła cicho. – Mogę cię stąd wyprowadzić. Mogę cię przeprowadzić.

Minęło kilka niemożliwie długich minut, zanim sarna zbliżyła się na tyle, żeby dotknąć pyskiem jej dłoni – nos miała ciepły i lekko wilgotny. Kobieta pogładziła ją delikatnie po chrapach i pysku. Poczekala, aż zwierzę nabierze do niej zaufania, i ostrożnie podniosła młode. Sarenka ważyła tyle co nic, pachniała mlekiem i krwią.



Korzystanie ze Ścieżki było trudniejsze, niż Stefa zapamiętała. Przez jakiś czas kluczyły między półrzeczywistymi regałami i zatrzymywały się kilka razy po to, żeby przepuścić wielkie, niewyraźne kształty, w których kobieta rozpoznawała załadowane wózki widłowe. Za każdym razem ból w jej oku odzywał się na nowo.

Dźwięki były przytłumione i niezwykle denerwujące – rozmowy na granicy słyszalności, słowa, które powinna rozpoznawać, a jednak ich nie rozumiała. Dziwne, niepokojące odgłosy, nieprzywodzące jej na myśl nic, co знаła. Nie chciała się nawet zastanawiać, jak okropna musiała być ta Ścieżka dla zwierząt.

Co gorsza, czasami znikąd wyłaniały się artefakty – wspomnienia miejsc zachowane w czasie bez czasu, w przestrzeni, z którą graniczyły wszystkie Ścieżki. Czasem zagradzało im drogę coś, czego nie powinno tam być, a zakręt, mający prowadzić do wyjścia z magazynu, tylko je od niego oddalał.

Stefa wiedziała, że gdyby miała trochę lepszą technikę, mogłaby spróbować wykorzystać tę nową przestrzeń w taki sposób, w jaki robił to czasami Adam – kiedy chciał pokazać jej, jak wyglądała okolica, zanim zniszczyli ją ludzie. Potrafił zaprowadzić ją do miejsca, w którym widziała rozłożyste, stare dęby rosnące w środku miasta.

Poczuła nagle, że płacze. Pociągnęła nosem. Odsunęła się na bok, żeby przepuścić kolejną widmową postać, która je mijała. Zastanawiała się kiedyś, jak widzą ich ludzie, którzy nie potrafili korzystać ze Ścieżek – czy w ogóle coś widzieli? Zamazany powidok osoby? Czy może po prostu mieli wrażenie, że ktoś obok nich stoi albo spogląda im przez ramię. Może stąd brały się te wszystkie opowieści o duchach. Nie знаła odpowiedzi na te pytania.

Przypomniwała sobie, że niedaleko powinny znajdować się niezagospodarowane jeszcze kontenery dla kierownictwa. Poszła w ich stronę i odetchnęła z ulgą. Zobaczyła, że nadal tam stoją i że wciąż są puste. Wzięła głęboki, drżący oddech i przeszła przez ścianę. Wrażenie było takie, jakby na chwilę oblepiła ją gęsta pajęczyna. Kiedy ustąpiło, uderzył ją zapach kurzu i wnętrza marketu budowlanego. Ostrożnie postawiła małą sarenkę na podłodze – matka zaraz do niej podeszła. Zwierzęta przytuliły się do siebie.

Stefa usiadła pod ścianą, ukryła twarz w dłoniach, a potem zaczęła po prostu płakać.



Adama poznała w dniu, który miał być jej ostatnim. Zaplanowała wszystko z taką precyzją i starannością, że zdarzały się chwile, w których żałowała, że nie ma nikogo, kto mógłby pochwalić jej umiejętności organizacyjne. Przygotowania zaczęła kilka miesięcy wcześniej, kiedy zabrała się za porządkowanie spraw finansowych, zawodowych i towarzyskich. Rzeczy podzieliła na te, które mogły jeszcze jej się przydać, i na te, do których nie była specjalnie przywiązana. Te ostatnie bez żalu oddała osobom, którym mogły się spodobać. Rachunki za wynajem i media zapłaciła na dwa miesiące do przodu, uznając, że tyle czasu wystarczy wszystkim na to, żeby zorientować się w jej nieodwołalnej nieobecności. Zdystansowała się od znajomych, ale nie wydawało się, żeby to zauważyli. Wypowiedzenia w pracy nie składała, bo wiedziała, że łatwo będzie ją zastąpić, nawet z dnia na dzień.

Telefon i ubrania spakowane na weekend zostawiła rano w motelu, do którego nie zamierzała już wracać.

Nie napisała żadnego listu, bo uważała, że i tak nikt jej nie zrozumie.

Stefa często czuła się nierozumiana – od dziecka miała przeżośnięcie, że świat dookoła niej umiera i że nikt nie zwraca na to uwagi. A może nie tyle nie zwraca uwagi, co nikogo tak naprawdę to nie obchodzi. Najwidoczniej umieranie nie było na tyle ważne, żeby się tym przejmować.

Miała siedem lat, kiedy dowiedziała się, że nigdy nie zobaczy żywego wilka. Dziewięć – kiedy umarł ostatni nosorożec. Jedenaście – kiedy wyblakła ostatnia rafa koralowa. Piętnaście – kiedy afrykańskie słonie można było liczyć w dziesiątkach i dlatego nie mogły przemieszczać się już po sawannach bez towarzysztwa uzbrojonych strażników. W wieku szesnastu lat, podczas przeglądania Internetu, przypadkiem natknęła się na filmik przedstawiający orangutana próbującego zatrzymać buldożer, który

niszczył las. Wtedy dowiedziała się też, że na świecie nie ma już żadnych orangutanów.

Gdy miała siedemnaście lat usłyszała nagranie śpiewu ostatniego *Kaua'i 'ō'ō*. Właśnie wtedy otworzyła się w niej ta pochłaniająca wszystko pustka. To nie był zwykły smutek, jak próbowano ją później przekonać, a coś o wiele większego i wszechogarniającego. Nie pomagało też to, że ani rodzina, ani znajomi nie rozumieli tego, w jaki sposób śpiew ptaka, który został uznany za wymarłego już 1987 roku – a więc na długo przed jej narodzinami – tak ją poruszył. Owszem, kilka osób przyznało, że to „smutne”, ale nikt nie widział większego powodu, żeby przejmować się czymś, co wydarzyło się „tak dawno temu”. I na co „nikt nie miał wpływu”.

Stefa zupełnie się z tym nie zgadzała – uważała, że wszyscy mieli na to wpływ, tak samo, jak mają wpływ na to, co dzieje się teraz.

O tym, że naprawdę czuje umierające rośliny, nawet nie wspominała. Codziennie w drodze do szkoły i na uczelnię, a później do pracy i do domu mijała krzewy i drzewa, które z roku na rok wyglądały na coraz słabsze i coraz bardziej chore.

„Solastalgia”, powiedział jej terapeuta. Psychiatra zdiagnozował nawracającą depresję i zaburzenia lękowe. Dostała leki. Nie sprawiły one jednak, że przestała czuć i widzieć otaczającą ją na każdym kroku śmierć. Zmieniło się tylko to, że była w stanie – tak jak tamtego poranka – bez załamania nerwowego minąć leżącą na piasku martwą mewę.



Tego dnia, gdy się poznali, siedziała na wąskiej plaży pod Klifem Orłowskim, który nie przypominał już niczego, co widziała na zdjęciach z podróży poślubnej swoich rodziców. Klif był jednocześnie mniejszy i bardziej stromy niż wcześniej. Był też zdecydowanie bardziej martwy – Stefa czuła wznoszącą się za jej plecami zimną i martwą pustkę i z każdą chwilą upewniała się co do słuszności swojego wyboru. Bo to, co było przed nią –

zanieczyszczone, zakwaszone, szare morze, od którego wiatr przynosił słodkawy zapach zepsutej wody – też było martwe.

W kieszeni miała starannie przeliczoną dawkę leków, które powinna przyjąć. Na razie jednak czekała na dobry moment, obserwując mdły świt wpełzający na świat tylnymi drzwiami. Marzec nad morzem nie był tak chłodny, jak myślała, że będzie. Siedziała w rozpiętej kurtce i słuchała szumu fal. Nad głową widziała wysokie, bladoszare, zasnuite cienką warstwą chmur niebo. Miała dwadzieścia osiem lat i naprawdę chciała z tym skończyć. Chciała już nie musieć zadawać sobie pytania o to, jak długo jeszcze.

Ile przed nią dni, w których będzie musiała uruchomić firmowy komputer, wpisać szereg haseł, zalogować się do kilku programów i załączyć odpowiednie aplikacje tylko po to, żeby założyć słuchawki i przez kolejne godziny zaczynać połączenia od wystudiowanej formułki: „Dzień dobry, z tej strony Stefania Dąbrowska, dzwonię w imieniu firmy...”. Ile dni, w których będzie musiała się zastanawiać, jak wiele fal upałów jeszcze przed nią, kiedy się zaczną, jak długo będą trwały i w jaki sposób powinna zabezpieczyć przed nimi rośliny, które trzymała w swoim pokoju.

Jak długo, przeglądając Internet, będzie natrafiać na nowe informacje o kolejnych tragediach, gwałtownych powodziach i o tym, że ostatnie wielkie latające nietoperze umierają z powodu udaru cieplnego. Ile razy będzie oglądać kolejne ujęcia płonącej Kalifornii, Grecji czy Australii.

Ile razy jeszcze będzie płakać na myśl o tym, że firmy kosmetyczne i farmaceutyczne w dalszym ciągu obchodzą prawo i wciąż testują swoje produkty na zwierzętach. Ile razy będzie się wkurwiać na kolejne pomniki stawiane poświęceniu zwierząt laboratoryjnych, jakby to one same decydowały się spędzić i zakończyć swoje życia w męczarniach, po nieludzkim traktowaniu. Ile razy będzie miała ochotę wrzeszczeć na koleżankę z pracy, która chwaliła się nową torebką z wężowej skóry.

Tego dnia od rana chodził jej po głowie cytat z *Przekleństw niewinności* Eugenidesa: „Zabiły się z powodu naszych umierających lasów, z powodu krów morskich rozszarpanych przez śruby statków; zabiły się na widok zużytych opon ułożonych w stos przewyższający piramidy; zabiły się, nie znalazłszy miłości, którą

nie mógł być żaden z nas. Rozdzierające tortury, jakie cierpiały Lisbonki, wskazywały, że po zastanowieniu odmówiły zaakceptowania świata w takiej postaci, w jakiej im został przekazany, tak pełen usterek”¹.

Naprawdę miała dość, a mimo to wciąż siedziała w bezruchu, z rękami w kieszeniach, przesypując między palcami tabletki, i obserwowała podnoszące się powoli morze. Z tego stanu wyrwał ją odgłos czyichś kroków. Odwróciła się odrobinę, żeby zobaczyć, kto jeszcze przyszedł na plażę, zła i trochę wystraszona, że zwlekała zbyt długo i przez to nie uda jej się doprowadzić planu do końca, przynajmniej tego dnia. Bo czasowo też wyliczyła wszystko tak, żeby przyływ zabrał ze sobą jej martwe ciało.

Mężczyzna, który ją minął, poruszał się trochę niezgrabnie, jakby miał chorą nogę. Wysoki i barczysty, z sylwetki raczej miśiowaty niż wysportowany. Niespecjalnie przystojny ani rzucający się w oczy, a mimo to miał w sobie coś, co kazało jej patrzeć, jak podchodzi do martwej mewy. Zatrzymał się przy niej, a potem przykucnął i ostrożnie wziął ją w dłonie. Stefa obserwowała go z uwagą i przez chwilę miała wrażenie, jakby jego sylwetka się rozmyła, tak jak rozmywały się powidoki gorącego powietrza, unoszące się nad rozgrzanym asfaltem w szczególnie gorące dni. Zamrugła i wrażenie minęło.

A potem mewa wzbiła się do lotu. Żywa.



Stefa nienawidziła płakać. Nie dlatego, że nie lubiła wyrażać swoich emocji – na poziomie czysto intelektualnym wiedziała, że to jest jej potrzebne, że płacz może być oczyszczający, tak samo jak oczyszczający był ten histeryczny szloch, który wyrwał się z jej piersi wtedy, dawno temu, na plaży pod Klifem Orłowskim.

Nienawidziła płakać, bo za każdym razem, kiedy kończyła to robić, czuła się słaba, zmęczona i nieadekwatna, jakby właśnie

1 J. Eugenides, *Przekleństwa niewinności*, Katowice 2019

zawiodła kogoś bliskiego. Do tego ból zatok dokuczał jej potem przez kilka kolejnych dni.

Teraz, kiedy ocierała mokrą twarz wierzchem dłoni, przemknęło jej przez myśl, że w zasadzie wcale nie jest pewne, czy ma przed sobą jakieś dni. Sarenka zwinęła się na podłodze. Matka stała w pobliżu, strzygąc czujnie uszami. Stefa podniosła się i pociągnęła nosem. Przez chwilę czuła się okropnie i niemożliwie samotna. Nie było dnia, w którym nie brakowałoby jej Adama, jego spokojnej, cierpliwej obecności i tego wrażenia, kiedy był obok, że wszystko będzie dobrze. Teraz jednak była sama i musiała radzić sobie najlepiej, jak potrafiła. I wcale nie pomagał w tym jej wiek – wciąż czuła się tak samo zagubiona w świecie, jak wtedy, kiedy miała lat siedemnaście albo dwadzieścia pięć.

– Idziemy – powiedziała cicho, podnosząc młode z podłogi. – Jeszcze tylko kawałek i będziemy na zewnątrz. Tam znajdziemy wygodniejszą ścieżkę.

Skupiła się, kiedy sarna oparła się bokiem o jej udo, i roztoczyła wokół nich ciszę jak wata. Pomieszczenie ponownie się rozmyło, kontury otaczających je rzeczy stały się niewyraźne, ściany stały się opcjonalne. Dźwięki znowu były gdzieś obok.

Ruszyła przed siebie.



Oddalenie się od magazynów zajęło im około godziny starannego, cierpliwego wybierania drogi między kolejnymi nie do końca widocznymi przeszkodami, a mimo to, kiedy zatrzymały się w niewielkim wąwozie na brzegu lasu, powietrze wciąż było suche i gorące.

Sam las zaś był czerwony i martwy.

Rdza przetoczyła się przez Europę, idąc od Wschodu – najpierw zaczęła chorować trawa. Czerwieniała, stawała się łamliwa, sucha. Nie działały ani opryski, ani podlewanie. Nie działało wypalanie, nie działało bronowanie gleby. Nic nie działało.

Następnie zaczęły rdzewieć drzewa iglaste. Całe lasy stawały się czerwone. Na początku niektórych ludzi to bawiło – Stefa wciąż

pamiętała serie uroczych selfiaczków nastolatków pozujących na tle czerwonych choinek. Fakt, że zdjęcia te pojawiały się na potęgę w internetowych artykułach i telewizyjnych wiadomościach ani trochę nie pomógł w osłabieniu trendu. Byli tam również naukowcy, którzy mówili: „Nie znamy jeszcze przyczyny choroby trawy i drzew, więc powinniśmy uważać”. Ostrzegali: „Należy zachować daleko idącą ostrożność na wypadek, gdyby okazało się, że ludzie mogą roznosić zarazę w nowe miejsca, na przykład na podeszwach butów...”. Ale, tak jak w przypadku choroby białych nosków u nietoperzy, nikt ich nie słuchał. Minęły dwa lata i rdzewieć zaczęły zwykłe drzewa liściaste. Tak samo te rosnące pod blokami, jak i te w wypielegnowanych sadach. Te, które rosły na szczytach gór i w dolinach. Te z lasów i z miejskich parków.

Teraz już tylko sporadycznie można było zobaczyć pojedyncze zielone drzewa. Badano ich genotyp na okoliczność stworzenia szczepionek mających uratować nowe rośliny albo pomóc tym, które chorowały od niedawna, ale jak na razie bez powodzenia. Młode listki, jeśli w ogóle pojawiały się na gałęziach, niemal natychmiast czerwieniały, a w miarę rozwoju pory cieplej stawały się coraz bardziej suche i łamliwe. W dodatku było w nich coś, co mocno uczulało alergików. Osobom z astmą zalecano by w ciepłych miesiącach w ogóle nie wychodziły na zewnątrz bez maseczki.

Stefa zakaszlała i wyciągnęła z bocznej kieszeni spodni butelkę. Upiła łyk wody, a potem resztę nalała do stulonej dłoni i podsunęła ją ostrożnie zwierzętom, żeby też mogły się napić.



Tamtego dnia przy klifie Adam spędził sporo czasu na tym, żeby ją uspokoić. W końcu musiał obiecać Stefie, że wszystko jej wytłumaczy. Zapewnił ją przy tym niezliczoną ilość razy, że nie jest szalona, że ta mewa naprawdę była martwa i że martwa już nie jest. Zeszli z plaży w ostatniej chwili przed przypływem.

Nie zabiła się ani tego dnia, ani następnego. Co więcej, odkryła, że ma ochotę żyć, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Nawet

mimo tego, że Adam od razu powiedział jej, że różni się od siebie i że ona prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie powtórzyć tego, co zrobił. Zapewnił jednak, że ona posiada swój własny dar, tylko musi nad nim jeszcze popracować.

– Jesteś tego taki pewien – powiedziała wtedy – ale właściwie dlaczego? Skąd w ogóle wiesz, że cokolwiek potrafię?

– Widziałeś mnie – odpowiedział takim tonem, jakby to było coś zupełnie oczywistego.

Nie było i zauważył to, bo wytłumaczył jej zaraz, czym są Ścieżki. Powiedział, że podczas spaceru trafił na jedną z nich i podążając nią, minął siedzącą na plaży Stefę. Owszem, kobieta wydawała mu się trochę zbyt rzeczywista, ale nie zwrócił na to wtedy uwagi, bo miał inne sprawy na głowie. Pewnie gdyby wiedział, że ona będzie widzieć to zwierzęce zmartwychwstanie, to zorganizowałby wszystko inaczej, a tak to...

Nie, nie byłby w stanie ożywić nic większego od ptaka albo szczura. Ani psa, ani nawet kota. Tak, próbował i nie skończyło się to dobrze. Musiał to odchorować. Teraz też nie czuł się najlepiej, ale to po prostu ból głowy, coś, co przejdzie. Wtedy było dużo gorzej. Po prostu nie był w stanie tego zrobić, nie wiedział dlaczego. Ale tak, owszem, słyszał kiedyś o innych ludziach, którzy potrafili ożywiać duże zwierzęta. To było jednak dawno temu i znał ich tylko ze słyszenia. Nie, w pobliżu nie przebywał w tej chwili nikt podobny do nich. Gdyby było inaczej, pewnie już by na siebie wpadli.

Stefa była zafascynowana.

– Naucz mnie tego – poprosiła.

Nie wiedziała, co robi, jeśli mężczyzna odmówi. Po raz pierwszy czuła się tak, jakby za chwilę miała znaleźć odpowiedzi na swoje pytania, jakby istniała szansa na to, że na tym świecie jednak istnieje jakieś miejsce, które może należeć tylko do niej.

– Proszę – dodała, bo nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć.

Wszystkie rzeczy, które przychodziły jej do głowy, jako argumenty wydawały się głupie, nieprzekonujące albo wręcz niestosowne.

Adam wahał się dłuższą chwilę.

– Jak to sobie wyobrażasz? – spytał w końcu. – Rzucisz wszystko, żeby tu zamieszkać i uczyć się, sama nie do końca wiesz czego?

Nie odpowiedziała od razu, tylko rozejrzała się po okolicy. Siedzielili na schodach prowadzących do niewielkiego, zarośniętego chwastami i zdziczałym bzem ogrodu. Za ich plecami znajdowało się wejście do opuszczonego piętrowego budynku, w którym zamieszkał Adam. Okolica była wyludniona i zdecydowanie pamiętała lepsze czasy. Leżąc po drugiej stronie ulicy kupa porośniętego nawłocią gruzu była kiedyś innym domem. Rdza płatami odchodziła z ogrodzenia otaczającego ogród. Popękany asfalt był kiedyś prawdziwą drogą. Mimo to ziemia dookoła niej żyła. Żyły rośliny, chwasty i drzewa. Nawet zdziczały krzew bzu nie podwijał listków – gdzieś w okolicy wciąż musiało znajdować się źródło wody. Czuła to każdą komórką swojego ciała.

– Dokładnie tak – potwierdziła.



W trakcie nauki Stefa odkryła dwie rzeczy: że znalezienie Ścieżki jest łatwiejsze niż podążanie nią, i że Ścieżka nie istnieje w sensie fizycznym, w przeciwieństwie do samego Przejścia, które może – ale też nie zawsze musi – być czymś rzeczywistym.

Pamiętała, że na początku niezupełnie to rozumiała i próbowała się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi i jakie są różnice między tymi dwoma rzeczami, ale o Przejściu Adam mówił niechętnie. Tłumaczył jej, że to naprawdę indywidualna sprawa i że to jest coś, co każdy rozumie i odkrywa we własnym czasie. Dużo później pojęła, co chciał przez to powiedzieć. Jednak było wtedy już za późno na to, żeby wściekać się na niego z tego powodu, że jej nie uprzedził.

Teraz zaś, stojąc w martwym, czerwonym i suchym lesie, Stefa zastanawiała się nad swoimi wcześniejszymi słowami, nad tym, co powiedziała sarnie – że może ją przeprowadzić. Zmarszczyła brwi. Słowa miały moc, nie była jednak pewna, czy dobrze tę moc rozumie.

Z pewnym zdziwieniem zorientowała się, że czuje coś w rodzaju niecierplivej ekscytacji. Potrząsnęła głową i przymknęła oczy, żeby się skupić. Przez chwilę badała zmysłami Ścieżki, które

się przed nimi rozwijały – wyraźne były tylko dwie. Jedna z nich docierała do celu po spirali i tą Stefa zdecydowała się podążać. Naprawdę była ciekawa, czy jej przypuszczenia się sprawdzą. Miała nadzieję, że tak. Mogłaby się o to nawet pomodlić, gdyby wierzyła w jakiegoś boga.

– Chodźmy – powiedziała do saren.

Otworzyła Ścieżkę, a zwierzęta podążyły za nią w martwą ciszę lasu.



Z początku Stefę frustrowało to, że nie potrafi robić rzeczy spektakularnych – tak jak podejrzewał Adam, nie była w stanie ożywić martwego zwierzęcia. Nie była też w stanie skłonić pomidorowego krzaka do tego, żeby rósł szybciej. Nie rozumiała mowy ptaków ani innych stworzeń. Większe pająki, takie jak szare kątniki przeżykające czasem po progu domu, wciąż wywoływały w niej takie samo ukłucie pierwotnego lęku jak wtedy, kiedy była dzieckiem.

Adam uważał, że to zabawne.

Jedyną rzeczą, którą naprawdę dobrze potrafiła robić, było wyczuwanie życia dookoła – wiedziała, kiedy drzewa i rośliny były szczęśliwe i zdrowe. Bez większego trudu potrafiła znaleźć te nieliczne zapylające owady, których nie zabiły jeszcze choroby, środki owadobójcze, pestycydy i zmiany klimatu. Rośliny, którymi się zajmowała, rosły jak szalone – zupełnie jakby wystarczyła im sama jej obecność. Wydawało się jednak, że to nic przy tym, co potrafił Adam.

– Przynajmniej wiesz, że nie jesteś sama – zauważył kiedyś, podczas jednego ze spacerów.

To rzucone mimochodem zdanie sprawiło, że Stefa poczuła, jak coś się w niej zmienia i przełamuje. Uczucie było jednocześnie silne i bardzo ulotne, zabłysło i zniknęło, zostawiając po sobie powidok, zupełnie jak słońce, gdy za długo się na nie patrzy. Następny dzień spędziła samotnie, siedząc pod młodym jesionem rosnącym nieopodal domu. Obserwowała przez zasłone liści bładoniebieskie, okrutne niebo późnej pory ciepłej i myślała. Myślała o tym,

że Adam ma rację i być może faktycznie nie jest sama. Że dookoła niej jest życie, nie tylko umieranie.

Przyszedł do niej pod wieczór. Usiadł obok bez słowa i podał jej kanapki, które zrobił. Kroił chleb krzywo i nieco zbyt grubo, co zawsze ją zadziwiało, bo pod względem manualnym był naprawdę uzdolniony – znalazła kiedyś na piętrze obrazy, które malował na kawałkach drewna. Na dnach szuflad, na drzwiach od szafek czy na blatach starych biurek – zwierzęta najróżniejszych kształtów i kolorów, każde z aureolą. Wyjaśnił jej z pewnym skrępowaniem, że wszystkie są święte. Pomyślała wtedy, że to niesamowicie urocze, ale nie powiedziała tego na głos. W zamian wskazała wizerunek dziwnego szarego ptaka o dziobie, który kojarzył jej się z orzechem ziemnym w łupince, i zapytała, co to za zwierzę.

Powiedział wtedy, że to trzewikodziób. Ptak, który był zagrożony wyginięciem już w 2025 roku, ale nikogo nie obeszło to na tyle, żeby coś w tej sprawie zmienić. Teraz już nie można było zobaczyć go żywego, chociaż Adam nie wykluczał, że może jeden z nielicznych ogrodów zoologicznych opiekuje się jakimś starym, ostatnim należącym do gatunku ptakiem. Wątpił w to jednak.

Opowiedziała mu wtedy o *Kaua'i* i o tym, że śpiew tego ptaka prześladował ją od momentu, gdy usłyszała go po raz pierwszy. Że w całym swoim życiu nie słyszała nic bardziej smutnego niż ten ostatni samiec szukający pary – kogoś, kto do niego przyleci i go zrozumie; kogoś, kto będzie śpiewał w jego języku i kto odpowie na wołanie. Przyznała się do tego, co się wtedy w niej złamało i czego nie potrafiła naprawić. I zanim pomyślała, co robi, przyznała się też, że wcale nie tak dawno zamierzała się zabić. Wyjść tylnymi drzwiami, zgasić światło i nie musieć już uczestniczyć w tym bezustannym, powolnym umieraniu, które ją otaczało.

Nie patrzyła na niego, kiedy o tym mówiła.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedział, zanim cisza, która zapadła po jej słowach, zrobiła się niezręczna. I powiedział to takim tonem, że od razu mu uwierzyła.

A kiedy wreszcie przeniosła na niego spojrzenie, zobaczyła, że Adam naprawdę rozumiał to, co chciała przekazać swoim wyznaniem.

Wtedy też poczuła, że zaczyna go kochać.

Oczywiście nic z tym nie robiła. Bała się, że coś zepsuje, a za nic nie chciała zniszczyć przyjaźni, która ich połączyła. Nie wiedząc zatem, co powinna zrobić, nie robiła nic. Ograniczała się do obserwowania go podczas zwykłych, codziennych czynności – począwszy od tego, w jaki sposób parzył herbatę, przez to, w jaki sposób się poruszał, skończywszy na zauważeniu, że utykał bardziej, kiedy zanosił się na deszcz albo gwałtowną zmianę pogody. Wiedziała, że za każdym razem, gdy przywrócił do życia jakieś zwierzę, bolała go głowa i miał zimne dłonie. Wiedziała, że nie lubił nocnego zawrota wiatru, ale za to nie miał nic przeciwko obserwowaniu sztormu na morzu. Lubiła patrzeć, jak się uśmiecha, i obserwować kurze łapki, które pojawiały się wtedy w kącikach jego oczu. Uśmiech miał ładny i nie potrzebowała wiele, żeby go wywołać, co w głębi ducha brała za dobrą monetę.

– Kim byłeś wcześniej? – zapytała, odbierając od niego kanapkę. – Wiesz, zanim to wszystko...

Urwała i machnęła ręką, nie bardzo wiedząc, jak powinna dokończyć zdanie. Uniósł lekko brew, a potem wzruszył ramionami.

– Analitykiem danych.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Naprawdę?

– Myślałaś, że kim?

Zamyśliła się.

– Nie wiem – westchnęła w końcu. – Mówiłeś kiedyś, że pracowałeś w Mordorze; potrafisz malować, więc myślałam, że może robiłeś coś w branży kreatywnej. Wiesz, że byłeś grafikiem albo ilustratorem. Ale gdybym nie wiedziała, że pracowałeś w korpo, to powiedziałabym, że byłeś weterynarzem albo kimś takim.

Potrząsnęła głową.

– Mój ojciec był – powiedział. – Popęłił samobójstwo, kiedy miałem szesnaście lat. Nie chciałem tego powtarzać. Bardzo długo nie chciałem mieć nic wspólnego z żadnymi zwierzętami. Potem odkryłem, że to nie ich wina, tylko ludzi.

Zapadła cisza. Stefa żałowała, że zadała to pytanie – tak jak wtedy, kiedy zapytała kiedyś o to, w jaki sposób odkrył, że potrafi ożywiać zwierzęta. Adam wytłumaczył jej, że był w pracy, kiedy w szybę obok jego biurka uderzył gołąb.

– Ptaki – wyjaśnił – nie widzą szkła jako rzeczywistej przeskody. A tym bardziej szkła zabezpieczonego folią odbijającą słońce, wtedy wygląda ono jak lustro i odbija niebo, bezpieczną przestrzeń, którą ptak może przemierzać bez żadnej szkody dla swojego życia i zdrowia.

Pamiętał, jak był zaskoczony tym, że nikt nie zwrócił uwagi na ten wypadek. Przyznał, że też próbował to zrobić, skupić się ponownie na pracy, ale nie mógł – czuł przemożną potrzebę natychmiastowego wyjścia z biura i zrobienia czegoś, czegokolwiek. Nawet mimo tego, że doskonale wiedział, że ptak najprawdopodobniej już nie żyje. W każdym razie zapisał raport, nad którym pracował, poinformował kogo trzeba, że wychodzi na przerwę, i opuścił budynek.

Gołębia znalazł od razu. Ptak leżał na chodniku niedaleko wejścia. Szary, z łebkiem wykrzywionym pod niemożliwym kątem. Z rozchylonego dzioba sączyła się krew. Martwe, bursztynowe oko wciąż było otwarte. Adam podszedł do zwierzęcia, podniósł je i z jakiegoś powodu uznał wtedy, że przytulenie gołębia jest tym, co powinien zrobić. Wtedy też zobaczył to, co widział ptak na chwilę przed uderzeniem. Poczuł to, co czuło zwierzę. I zanim się zorientował, poczuł również, że ciało w jego dłoniach ożywa – coś w gołębiu przeskoczyło, trzasnęło, jego serduszko zabiło, ptak zatrzepotał skrzydłami, oswobodził się z jego uścisku i odleciał.

Po czymś takim nie mógł już wrócić na górę, do pracy i do tego, co robił wcześniej. Wszystko to, co doprowadziło go do tej chwili – rodzina, szkoła, studia, znajomości, związki, praca – stało się całkowicie nierealne i nic nieznaczące. Miał wrażenie, że po raz pierwszy widzi świat takim, jakim uczynili go ludzie – nieprzyjaznym, wrogim, gorącym i nieprzewidywalnym miejscem.

Przez dwa dni chodził po mieście i obserwował. Do swojego mieszkania wszedł dopiero za drugim razem, miał tak silny atak paniki. Jednak, kiedy już wszedł do środka, zabranie najważniejszych rzeczy zajęło mu niecały kwadrans. W ostatecznym rozrachunku okazało się, że potrafi sprowadzić całe swoje życie do wartości dużego plecaka. Tego samego dnia wyjechał z Warszawy i nie oglądał się za siebie.

– Przykro mi – powiedziała.

– Niepotrzebnie. To było ponad dwadzieścia lat temu.

Siedzieli w milczeniu do późnej nocy, obserwując ciemniejące niebo i pojawiające się na nim gwiazdy. Żadne z nich nie znało ich nazw, więc wymyślali własne. I kiedy tak leżeli obok siebie w trawie pod jesionem, Stefa po raz pierwszy dotknęła jego dłoni w celowy sposób. Fakt, że nie cofnęła ręki, wprowadził ją niemal w euforię. To uczucie było tak silne i nieporównywalne z niczym innym, co czuła w swoim życiu, że nawet teraz, po tych wszystkich latach, była w stanie przywołać je z taką dokładnością, jakby działo się w tej chwili.

Otarła załzawione oczy wierzchem dłoni. Ścieżka, którą podążała, prowadząc za sobą sarny, stawała się w tym miejscu węższa i nieco bardziej stroma. Zatrzymała się, żeby wziąć młode na ręce – stworzenie ufnie jej na to pozwoliło.

Od dawna nie czuła takiego połączenia z żadną żywą istotą.



Niezwykłe ostrożnie przemierzała zawalone śliskimi kamieniami przewężenie i naprawdę cieszyła się z tego, że nosiła ciężkie, robocze buty z mocną antypoślizgową podeszwą. Najchętniej tę część drogi przebywałyby najpierw sama z młodą sarenką w ramionach, a potem wróciłyby po jej matkę, ale nie wiedziała, czy nie zgubiłyby się po drodze albo czy któreś ze zwierząt nie zeszłoby przypadkiem ze Ścieżki, narażając się tym samym na niebezpieczeństwo.

W zasadzie nie wiedziała, czy to możliwe – żeby zwierzę samo wstąpiło na Ścieżkę albo ją opuściło – ale też nigdy nie przeprowadzała w ten sposób więcej niż jednego stworzenia naraz. Nie zamierzała też próbować niczego nowego. Wiązałoby się to z ryzykiem, na które nie mogła sobie pozwolić. Tym bardziej teraz, kiedy spotkał ją prawdziwy cud – saren przecież nie widziano na tych terenach od lat.

A co dopiero młodych!

Ta część Ścieżki wciąż pamiętała głębokie i wąskie koryto rzeki, która kiedyś płynęła w tym miejscu. Możliwe, że jeszcze kilkanaście lat temu gdzieś w okolicy po szczególnie ulewnych deszczach

pojawiał się płytki, ciepły strumyk. Gdyby jednak teraz zboczyła ze Ścieżki, weszłaby w suszę i drażniący zapach rozsypujących się chorych, czerwonych liści. Stefa ledwo pamiętała te wilgotne poranki, które przeżyła – czasami wydawały jej się tylko wytworem wyobraźni, tak samo jak Adam i to, co razem przeżyli. Wiedziała jednak, że to wszystko było jak najbardziej rzeczywiste.

Ścieżka zakręciła gwałtownie pod ostrym kątem i Stefa musiała zmienić uchwyt na młodej sarence – potrzebowała wolnej ręki, żeby przytrzymać się brzegu wąwozu, do którego cały czas schodziły. W jej nozdrza uderzył nagle zapach, którego nie czuła co najmniej od dekady – chłodna woń wilgotnej ziemi i gnijących liści pod koniec ciepłej pory letniej. To był zapach tych kilku tygodni w roku, które lubiła najbardziej, nawet mimo tego, że pogoda nie była wtedy najlepsza i często przechodziła z zimnych, zamgłonych poranków w przyjemnie ciepłe dni. To był czas, w którym Stefa czuła, że wszystko jest przez chwilę tak, jak powinno być. Czas, który poznawała w starych książkach. Jak to lato, które miało być przyjemne, a którego nigdy nie poznała, bo nie mogła tego zrobić – urodziła się zbyt późno, w złym czasie, kiedy wszyscy ludzie przed nią zdążyli już wszystko zepsuć. To był czas, który przywodził jej na myśl tę całą zieloną, soczystą trawę, o której czytała, wysokie chwasty, drzewa dające cień i świerszcze, które grały wczesnym wieczorem. Nietoperze, które latały nisko nad głowami i polowały na ćmy i komary.

Stefa nigdy nie widziała żywego nietoperza. Ćmę może dwa razy.

Ale drzewa zmieniały wtedy kolory i przez te kilka tygodni świat nie wydawał się taki smutny i pozbawiony nadziei. Jej dziecięcego zachwyty nie było w stanie zakłócić nawet to, że w takie dni Adam musiał zakładać ortezę na staw kolanowy, bo bez niej ciężko było mu się poruszać z powodu bólu nogi. Któregoś popołudnia odważyła się zapytać, co mu się właściwie stało, i okazało się, że była to dość zwyczajna historia – nieszczęśliwy wypadek na rowerze, dawno temu. Jakaś wycieczka ze starszym bratem i ich wspólnymi znajomymi, przeszacował swoje umiejętności i oto jego pamiątka.

Stefa poczuła, jak ściska się jej serce na wspomnienie tego, że właśnie wtedy, któregoś z tych mglistych, szarych, wilgotnych poranków, pocałowali się po raz pierwszy. I to było tak, jakby świat się zatrzymał.



Zastanawiała się czasami nad tym, czy byłaby w stanie wskazać jakąś datę, jakiś konkretny moment, w którym zaczął się ich związek, i nieodmiennie dochodziła do wniosku, że nie. To nie było coś, co miało swój wyraźny początek – były momenty, które pamiętała lepiej, jak ten, w którym po raz pierwszy chwyciła go za rękę, albo ich pierwszy pocałunek. Doskonale pamiętała też drobne, miłe rzeczy, które robili dla siebie nawzajem, albo to, jak niesamowicie szczęśliwa się czuła, mogąc po prostu na niego patrzeć. Adam mógł sadzić rośliny, mógł gotować, czytać albo leżeć obok niej i to właściwie wystarczyło Stefie do tego, żeby zachwycać się kształtem jego dłoni albo tym, w jaki sposób układały się jego włosy, kiedy odgarniał je z twarzy.

To było dla niej coś zupełnie nowego, coś, o czym wcześniej nigdy nie myślała – tak samo, jak odkrycie, że seks może być całkiem przyjemną aktywnością, a nie czymś, co trzeba odhaczyć w ramach związku.

To dzięki Adamowi Stefa po raz pierwszy w życiu poczuła się zauważona i wysłuchana. Mogła opowiadać mu o wiktoriańskim języku kwiatów i o tym, w jaki sposób łączono wtedy rośliny, żeby stworzyć idealny bukiet – taki, który miał wyrażać miłość, podziękowanie albo nienawiść. Mogła wygłosić półgodzinną mowę na temat paproci, którą znalazła w lesie, na temat zwykłej wietlicy, a on słuchał. I nawet poszedł z nią potem na spacer, chociaż to był jeden z tych dni, w których potrzebował zarówno ortezy, jak i kuli, i zrobił to tylko po to, żeby mogli razem obserwować, jak wilgoć zbiera się na liściach.

Pamiętała też, że pewnego chłodnego dnia przygotował dla niej niespodziankę – wstał wcześniej i zaparzył kawę. Nie odpowiedział na pytanie o to, skąd ją właściwie ma i jak udało mu się

ją zdobyć – uśmiechnął się tylko tym swoim uśmiechem, który oznaczał, że Stefa niczego więcej się nie dowie, i zapewnił, że miał swoje sposoby.

Stefa pamiętała, że siedziała wtedy przy kubku tak długo, po prostu wdychając przyjemny, obcy i trochę cierpki aromat czarnego płynu, aż Adam zaczął się śmiać.

– Pij, zimna nie będzie taka dobra – powiedział.

Zawahała się, ale w końcu upiła łyk. Czuła się trochę dziwnie z myślą, że kawa musiała kosztować teraz fortunę. Już wtedy, kiedy kończyła studia, był to napój dla elit i tych wszystkich bananowych dzieciaków, których rodziców wciąż było stać na wakacje dwa razy w roku. Oczywiście wakacje zagraniczne, all-inclusive i w miejscach, które akurat nie płonęły.



Ze wspomnień wyrwał ją gwałtowny ból oka, aż jęknęła, zatrzymując się w miejscu. Ból był dosłownie oślepiający, Stefa poczuła ukłucie paniki, ale po chwili odzyskała wzrok. Nad nimi, nad rozpadliną, którą prowadziła ich Ścieżka, przemknął jakiś duży, włochaty kształt. W pierwszym odruchu kobieta chciała za nim zawołać, ściągnąć go jakoś do siebie, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Nie mogła wszystkich uratować, to było niewykonalne.

Zamiast tego postawiła małą sarnę przy sobie i zaczęła rozgarniać wilgotną ziemię. Jama, którą wygrzebała, wciąż była płytka i z całą pewnością była niewygodna, ale musiała wystarczyć. Zagoniła do niej zwierzęta, przysłoniła je od góry wyszarpniętymi z ziemi korzeniami i stanęła przed nimi.

Myślała, że była na to gotowa, ale kiedy usłyszała pierwszy – jeszcze daleki – strzał, prawie straciła koncentrację. Zaciśnęła mocno powieki, czując przerażenie zwierząt ukrywających się przy niej.

Zaczęła szeptać do nich uspokajające słowa, myśląc jednocześnie, że musi być niesamowicie nieprzekonująca – jedyną rzeczą, której teraz pragnęła, było zwiniecie się na ziemi

i wycie z rozpaczy. Ale nie mogła tego zrobić, bo inaczej skazałaby je na śmierć, bo padłyby niechybnie, tak jak padnie to stworzenie, które przemknęło nad nimi, uciekając przed nagonką.

Otworzyła oczy i pochwyciła spojrzenie sarny. Zwierzę przyglądało jej się z takim zrozumieniem, że Stefa od razu pojęła, że ich ból, strach i miłość są wspólne.

Rozległ się kolejny strzał, tym razem bliżej. Stefa zacisnęła mocno zęby i poczuła, że po jej twarzy płyną łzy. Ktokolwiek to był, musiał się zbliżyć, bo czuła narastający, pulsujący, migrenowy ból głowy. I nienawiść, tak gwałtowną i złą, że mogłaby spalić świat.



Adam stracił życie podczas czyjegoś polowania. „To był przypadek”, powiedzieli potem. „Naprawdę nie trzeba było zgłaszać tego polowania”, dodali.

„Dzieciak, który go zastrzelił, nie wiedział, co robi, i na pewno nie zasłużył sobie na to, co mu zrobiła”, mówili.

Nie pamiętała tego, co zrobiła. To wszystko, co działo się później – od momentu, w którym Adam umarł jej na rękach – było zlepkiem chaotycznych, niezrozumiałych obrazów i dźwięków. Pamiętała strach i bezsilność, pamiętała złość i rozpacz i pamiętała, co Adam do niej powiedział i co mu wtedy obiecała. Pamiętała, jakie to było uczucie widzieć, że w jego oczach gaśnie życie, i wiedzieć, że już go nie ma. Pamiętała, jak pusta się wtedy czuła. Ale tylko przez chwilę, bo kiedy wyszli na nią myśliwi, ogarnął ją taki szal, jakiego nie czuła przez całe swoje życie – to było tak, jakby puściła w niej jakaś tama, jakby to był ten jeden jedyny moment, w którym mogła wyrazić całą swoją wściekłość.

Naprawdę nie pamiętała tego, co zrobiła.

Pamiętała, że miała krew w ustach.

Pamiętała, że kilka osób musiało ją trzymać.

Pamiętała, że dostała coś na uspokojenie.

I potem nic już nie pamiętała, albo nie chciała pamiętać. To, co się działo, działo się obok niej – trzymali ją w szpitalu, próbując ustalić, jak się nazywa, ale ignorowała wszystkich i wszystko tak

długo, aż w końcu wylądowała pod kroplówką, żeby się nie odwodnić i nie umrzeć z głodu.

Rodzice przyjechali po jakimś czasie, najwyraźniej policji w końcu udało się ustalić jej tożsamość. Chcieli wiedzieć, co się z nią działo, byli na nią wściekli i domagali się odpowiedzi.

Ale ona nie miała żadnych.

Brat Adama też się zjawił, razem ze swoją żoną, i też zadawał jej pytania – o to, kim jest, jak się poznali, dlaczego byli razem w tym, a nie innym miejscu? Mówił, że szukali go po tym, jak zaginął, opowiadał, co robili, żeby się czegoś o nim dowiedzieć, cegokolwiek. Pytał, czy wiedziała, co się z nim działo przez ten cały czas. Prosił, żeby się do niego odezwała, żeby coś mu powiedziała, cokolwiek, to nawet nie musiało być nic dużego. Szukał wyjaśnień. A ona nie mogła na niego patrzeć, bo za bardzo przypominał jej Adama.

Kiedy mężczyzna zorientował się, że niczego się od niej nie dowie, wyszedł i przysłał swoją żonę. Chyba uważał, że kobieta zawsze dogada się z kobietą.

Jej też Stefa nie miała nic do powiedzenia. Oni również byli na nią wściekli, chociaż może bardziej rozczarowani. Pewnie by im współczuła, gdyby była wtedy do tego zdolna. Przede wszystkim jednak Stefa była na siebie zła za to, że tak głupio i bezmyślnie obiecała Adamowi, że będzie żyć i że nie zabije się od razu. Miotła się między nawalem uczuć tak silnych i niemożliwych do nazwania, że myślała, że pęknie jej serce, a absolutną, spokojną, katatoniczną pustką, tak ciężką i ciemną, że nie było w niej nawet echa.

Powiedział jej, że na nią poczeka. Że musi być dzielna. Że jeszcze się spotkają. Był tego pewien. To była jedyna rzecz, której się trzymała.



Wiedziała, że nie może wrócić do normalnego życia, nawet mimo tego, że jej rodzicom udało się zatrudnić naprawdę dobrego adwokata, który od razu zabrał się za ustalanie jak najkorzystniejszej ugody z rodziną chłopaka, któremu zrobiła krzywdę.

– Wiesz, ile nas to będzie kosztować? – pytała ją matka z goryczą. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś?

Stefa patrzyła na nią bez wyrazu, tak jak patrzyła wtedy na wszystkich. Czasami w jej umyśle pojawiały się jakieś przebląsy, wspomnienia tej chwili w lesie, ale gasły za szybko, żeby zrozumiała, co tak naprawdę przedstawiają. Możliwe, że jej umysł robił to specjalnie, że to była jakaś reakcja obronna jej psychiki.

– Słyszysz mnie? Wiesz, co zrobiłaś?

Nie zareagowała. Siedziała na szpitalnym łóżku, podniesiona do pozycji półsiedzącej, z rękami w pasach, bo zdaniem psychiatry wciąż istniało ryzyko, że zrobi krzywdę sobie albo komuś z otoczenia.

– Ta sprawa jest medialna. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Wiesz, co to znaczy dla mnie i dla twojego ojca? Trzeba było zatrudnić ludzi, którzy zajmą się ratowaniem wizerunku naszej firmy, bo zachciało ci się kurwić z jakimś bezdomnym...

Stefa zaczęła wrzeszczeć i wrzeszczała tak długo i głośno, aż zawołano lekarzy. Pamiętała wyraz twarzy matki – mieszaninę strachu, obrzydzenia i pogardy. To była jej ostatnia wizyta w szpitalu. Nie pamiętała, żeby ojciec ją wtedy odwiedzał. Może faktycznie był zajęty ratowaniem firmy, którą kiedyś miała po nich odziedziczyć.



Następne miesiące spędziła na oddziale psychiatrycznym – z początku nie robiła żadnych postępów. Zdaniem lekarzy nie tylko nie reagowała na leczenie, ale też nie przejawiała chęci do życia z powodu przebytej traumy. Podczas jednej z późniejszych rozmów telefonicznych z ojcem dowiedziała się, że adwokat był zachwycony takimi zapisami w jej dokumentacji medycznej. Powiedział, że bardzo im pomogły.

Po pewnym czasie dotarło do niej, że musi zacząć przejawiać jakieś oznaki poprawy, jeśli chce zostać wypisana. Stopniowo zaczęła się odzywać i mówiła wtedy to, co lekarze chcieli od niej usłyszeć. Brała nawet udział w grupowych zajęciach

terapeutycznych i rysowała smutne, szare, niewyraźne kształty na równie smutnych, nierównych kartkach papieru i w zależności od nastroju opowiadała cichym, monotonnym głosem o tym, co miały przedstawiać, lub tego nie robiła i zostawiała wszystko interpretacji współpacjentów.

Wypisano ją w jakiś szczególnie upalny wtorek. Pamiętała, że pierwsze piętnaście minut swojej świeżo odzyskanej wolności spędziła, stojąc w pełnym słońcu na skraju parkingu i mrużąc oczy. Potem dotarły do niej dwie rzeczy: pierwszą było to, że jej rodzice znowu się spóźnili. Drugą, że w związku z tym jest wolna i może iść, gdzie chce.

Więc poszła.



Wróciła do domu, w którym mieszkała z Adamem, i z każdym krokiem, który ją do niego przybliżał, czuła się coraz gorzej. Swojego czasu czytała wiele książek, oglądała sporo filmów i seriali, a mimo to zawsze myślała, że ta prawdziwa rozpacz, którą oglądała i o której czytała, była wyolbrzymiona, przerysowana na potrzeby spektaklu. Myślała, że człowiek nie może czuć takiego bólu.

Mylili się.

Czuła ból całą sobą. Myślała, że pęknie jej serce. Nie była w stanie oddychać, nie była w stanie płakać, nie była w stanie ruszyć się spod przyschniętego jesionu. Przyłożyła dłoń do jego ciepłej, chropowatej kory, próbując wyczuć przez nią życie, tak jak robiła to wiele razy wcześniej, ale czuła go coraz mniej.

Okolica umierała.

I Stefa też czuła się martwa.

Z bezruchu wyrwał ją dopiero gwałtowny podmuch wiatru, który cisnął pyłem w jej twarz. Zapiekły ją oczy, zakaszała. W pobliżu huknął grzmot. Zerwała się wtedy do biegu – drzwi domu otworzyła, gdy pierwsze gorące krople deszczu zaczęły uderzać o ziemię.

Powietrze wewnątrz budynku było ciężkie i zatęchłe. Wszystkie rzeczy i przedmioty, które po sobie zostawili, opowiadały

historię, która nie miała już kontynuacji. Zaczęła otwierać okna – nie miała czym oddychać.



Następne dni spędziła w łóżku – nie była w stanie zmusić się do czegokolwiek. Czuła, że wszystko w okolicy powoli ginie – ciche umieranie dotarło też tutaj. Całkiem możliwe, że tylko łudzili się, że je powstrzymają, że świat się dla nich zatrzyma i pozwoli im być szczęśliwymi. Czuła, jak powoli opuszczają ją drzewa, jak usycha trawa, jak drobne żyjątka zasiedlające łąkę gasną jedno po drugim. Nie czuła już żadnego z pajaków i przypomniała sobie, jak Adam próbował ją do nich przekonać, mówiąc, że kiedyś wierzono, że przynoszą szczęście domowi, w którym znalazły schronienie. Możliwe też, że po prostu to dla niej wymyślił.

Wieczorami wrzeszczała na drzewo – na jesion, który był ich drzewem, bo on też powoli umierał i zostawiał ją samą.

Wszystko umierało i ona nie mogła nic z tym zrobić, nie miała na to żadnego wpływu. Była sama. Była samotnym pyłkiem w wielkiej, pustej, chaotycznej i niezrozumiałej przestrzeni. Czuła się rozgoryczona, bo miała przeświadczenie, że przecież wiedziała o tym od zawsze. Tylko z jakiegoś powodu pozwoliła sobie w pewnym momencie uwierzyć w to, że jednak jest inaczej.

Któregoś ranka usłyszała chrobot na piętrze, w pracowni Adama. Poszła sprawdzić, czy nie schowało się tam jakieś zwierzę. Przeszukała każdy kąt, ale cokolwiek tam było, musiało już uciec przez uchylone okno. Zamknęła je. Kiedy wychodziła, jej spojrzenie zatrzymało się na niedokończonej, zasłoniętej pracy.

To miała być niespodzianka.

Podeszła do deseczki i ściągnęła z niej koszulkę.

Dopiero wtedy zaczęła płakać i długo nie była w stanie przestać. Adam malował dla niej reliktowce, *Kaua'i*. Parkę. Jeden z ptaków był wyraźny i skończony, siedział na tle nocnego nieba, w złotej poświacie aureoli, jego dziób był rozchylony, jakby śpiewał. Słuchał go drugi reliktowiec, nieco mniejszy, siedzący

na niższej gałęzi. Czekał na swoją kolej. Albo na moment, w którym zaśpiewają razem.

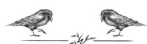
Na tym obrazie Kaua'i miały dobrać się w parę i odlecieć tam, gdzie nie groziło im nic złego, gdzie nie było ludzi, śmierci i bólu.



Ostatniego dnia, który spędziła w domu, ustawiła wszystkie przedmioty tak, jak robili to zazwyczaj. Jedyną rzeczą, którą ze sobą zabrała, był niedokończony obraz. Wychodząc, zostawiła otwarte drzwi, żeby było wiadomo, że nikogo nie ma w środku i że nikt już tu nie wróci.

Zatrzymała się pod jesionem, czując, jak nagle opuszczają ją siły. Położyła się przy nim, na rozgrzanej, suchej ziemi. Przeleżała tak cały dzień, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, i wpatrując się w niebo, ale nic się nie stało.

Drzewo milczało. Było martwe.



Od tamtego czasu minęło osiem lat. Osiem lat, w trakcie których Stefa wykonywała najbardziej powtarzalne i proste czynności, jakie tylko mogła wymyślić. Rodzice jej szukali, niezbyt intensywnie, ale i tak w pewnym momencie udało im się ją znaleźć. Stefa zgodziła się na rozmowę tylko po to, żeby powiedzieć im, co robi i jakie konsekwencje będzie to miało dla wizerunku firmy, jeśli nie zostawią jej w spokoju.

– Zniszcz sobie życie, ale nas w to nie mieszaj – wycedziła matka i były to ostatnie słowa, które do niej powiedziała. – I nie próbuj potem nawet wracać do nas na kolanach i o cokolwiek nas błagać. Jesteś odcięta, rozumiesz? Odcięta.

Te lata Stefa spędziła w samotnej ciszy. Odzywała się tylko wtedy, kiedy musiała. Nie lubiła patrzeć w lustra, bo w odbiciu nie rozpoznawała już siebie – wyglądała obco, z twarzą zmienioną przez ból i z posiwiałymi włosami. Ze zmarszczkami, ale nie

takimi, o jakich myślała, że będzie mieć. Ze zmarszczkami znaczącymi twarz osoby rozgoryczonej, zimnej i niedostępnej.

I teraz, po ośmiu latach, jedyną rzeczą, która przypominała jej, dlaczego znalazła się w tym miejscu i że to wszystko, co ją spotkało, było prawdziwe, był niedokończony obraz Adama. Obraz, który zabierała ze sobą wszędzie, od pokoju do pokoju, od hotelu do hotelu, od jednego małego, obskurnego mikroapartamentu do drugiego.

Osiem długich lat, podczas których musiała jakoś żyć. I dzisiaj, tego dnia, gdy spotkała dwie zagubione sarny, zaczynał się rok dziewiąty.



Czekała. Ostatni daleki strzał rozległ się jakieś dwadzieścia minut wcześniej, ale i tak czekała. Musiała być pewna, że doprowadzi zwierzęta do Przejścia i że je przed nimi otworzy. Świat, w takim kształcie, jaki nadali mu ludzie, nie zasługiwał na sarny. Nie zasługiwał na kruki, psy, chomiki i szynszyle. Nie zasługiwał na krowy, lisy i kury. Na słonie, nosorożce i wilki grzywiaste. Na kawki, plectwale i mewy. Być może kiedyś wrócą – w innym czasie, w innej formie czy w innym kształcie, ale teraz nie powinno ich tu być.

Teraz wszystko powinno umrzeć i narodzić się za jakiś czas na nowo.

Bez ustanku szeptała do zwierząt, a one jej słuchały. Młode przytulone nakrapianym ciałkiem do matki. Opowiadała im, co na nie czeka, jak długą drogę już przeszły i jak niewiele przed nimi zostało. Opowiadała, jak będzie wyglądać Przejście, prosiła, żeby się nie bały, że to nic przerażającego. Mówiła to z pewnością, która ją samą zaskoczyła.

Sięgnęła zmysłami w dal, sprawdzając, czy Ścieżka jest bezpieczna i czy w pobliżu nie ma żadnych ludzi, którzy mogliby chcieć zrobić im krzywdę – nikogo nie wyczuła, odsunęła się więc od jamy, którą wykopała, i wypuściła zwierzęta.

Chwyciła młodą sarnę w ramiona i poczuła bicie jej serca. Ruszyła Ścieżką, która zakręcała w coraz ciaśniejszym łuku.

I chociaż wrażenie było takie, jakby droga cały czas się wznosiła, to równocześnie zbocza wąwozu wydawały się coraz wyższe i coraz bardziej strome.

Miała wrażenie, że schodzą razem w głąb ziemi. Może faktycznie tak było.



W końcu Ścieżka otworzyła się w sercu spirali – droga poprowadziła ich do półokrągłej sadzawki wypełnionej krystalicznie czystą, stojącą w bezruchu wodą.

Stefa postawiła sarenkę na ziemi i zbliżyła się do sadzawki. Na jej brzegu znajdowała się niewielka kamienna płytką. Miała wielkość zwykłego szkolnego zeszytu i była obtłuczona po bokach. Wydawała się niepozorna i niczym się nie wyróżniała, Stefa wiedziała jednak, że to właśnie ona jest jej potrzebna.

Pochyliła się nad wodą i zobaczyła w niej odbicie nieba, którego nad nimi nie było, i gałęzie zielonych drzew. Dzień chylił się ku zachodowi, to jedno się zgadzało. Kobieta była pewna, że gdyby wpatrywała się w wodę odpowiednio długo, to prędzej czy później zobaczyłaby przemykającego po nieboskłonie ptaka. Własnego odbicia jednak nie widziała.

Spojrzała na swoje brudne od ziemi i zwierzęcego futra dłonie i nachyliła się nad sadzawką, żeby napić się wody, która okazała się lodowata i ciężka do przełknięcia, jakby oleista.

– Wy nie – powiedziała do zwierząt przez ramię.

Sarna cofnęła się pół kroku, odsuwając młode.

Stefa pochyliła się po raz kolejny, czując, jak wewnątrz jej ciała rozchodzi się zimno. Upiła jeszcze jeden łyk i razem z nim przyszła wiedza – zrozumiała, co musi zrobić, kiedy i w jakiej kolejności. Zakręciło jej się w głowie i poczuła mdłości. Zaciśnęła mocno zęby. Woda miała żelazny, ziemisty posmak.

Napiła się po raz trzeci i wyprostowała się, czując, że ogarnia ją przemożna ciężkość. Usiadła przed płytką i położyła na niej dłonie. Palce musiała mieć naprawdę zimne, bo kamień w dotyku wydawał się ciepły i przyjemny. Przymknęła oczy, chociaż miała

wrażenie, że jeśli to zrobi, to już ich nie otworzy, przynajmniej nie bez wielkiego wysiłku. Dostroiła się do Przejścia i otworzyła je.



Nic, co mógłby jej kiedykolwiek powiedzieć Adam, nie byłoby w stanie przygotować Stefy na to, co nastąpiło potem. Serce w jej piersi zabiło mocno, nieregularnie, trochę zakłuło – jednocześnie poczuła się niesamowicie pobudzona i słaba. To było jak usypiająca euforia.

Na granicy wody rozciągnęła się cienka, połyskliwa zasłona – jak pajęczna sieć. Za nią było... coś. Coś innego. Inny świat, te wszystkie rzeczy, o których opowiadała sarnom. Nie była w stanie w nie uwierzyć, mimo że miała je przed oczami.

Zwierzęta minęły ją cicho i zniknęły za zasłoną.

Stefa chciała wstać i pójść razem z nimi, ale nie była w stanie oderwać dłoni od kamienia – czuła się strasznie słaba i wiedziała, że umiera. To był ten moment, chwila, do której konsekwentnie dążyła całe swoje życie i której tak wyczekiwała.

Rozczarowująca.

Do czasu, kiedy poczuła, że faktycznie po nią przyszedł, i zrozumiała, że naprawdę czekał, zgodnie z obietnicą. Usiadł przy niej, tak jak to robił, kiedy siadali wspólnie pod jesionem. Oparła głowę o jego ramię, a Adam ujął ją za rękę. Siedzieli tak przez chwilę, nic nie mówiąc, i wreszcie wszystko było tak, jak być powinno.

W końcu Stefa oderwała wzrok od miejsca, w którym zniknęły sarny, i zauważyła, że jej dłoń znowu jest taka, jaką zapamiętała. Młoda, pozbawiona wszystkich blizn i przebarwień, których dorobiła się w międzyczasie.

– Więc to tak będzie? – spytała.

– Tak.

Podniosła spojrzenie z ich splecionych palców i zobaczyła, że Adam uśmiecha się do niej tym samym łagodnym, pełnym miłości uśmiechem co zawsze. Odwzajemniła go.

– Chodź. – Pomógł jej wstać. Poczuła się lekko, jakby zrzuciła z siebie wielki, niewypowiedziany ciężar.

Nie odwróciła się, żeby zobaczyć, co zostawia za sobą i jak wygląda.

Nie to chciała pamiętać.

O autorce

Martyna Biesiada – szczęśliwy rocznik '89, socjolog z wykształcenia, bibliotekarka z zawodu, hafciarka z zamiłowania. Kiedy akurat nie czyta, to pisze, kiedy nie pisze, to gra, jeśli gra, to w klasyczne RPG-i albo w gry komputerowe, jeśli nie gra, to zajmuje się swoimi roślinami doniczkowymi, a jeśli tego też nie robi, to pewnie spaceruje po okolicy. Jest Ciocią Wszystkich Piesków.



Rodzinny interes

Sida Olesiak

Babcia Józefina Lipka zawsze miała tajemnicze sny. Była też w stanie rozpoznać rozmaite znaki na niebie i ziemi, które zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia. Potrafiła przewidzieć słabe plony, wiedziała, kiedy rzeka wybije z brzegów, a nawet która krowa nie przeżyje do kolejnej wiosny. Wnuczęta, z Helenką na czele, uwielbiały słuchać jej prorocstw i opowieści o tajemniczych wizjach, ale z roku na rok dorośli członkowie rodziny przykładali do nich coraz mniejszą wagę.

– Starej babie wiek odbiera rozum – mówił jej najmłodszy syn, ojciec Alberta.

– Nie słuchajcie, dzieci, babka znowu wymyśla – dodawała jej córka, matka Józia i Marianki.

– Morza zaleją całe Prusy, a potem będą się gotować jak woda w garnku – uparcie nadawała staruszka.

Helenka nie zamierzała ignorować wróżb. Fakt, może ostatnie nie były aż tak dokładne, ale to nie miało znaczenia. Siadała wśród kuzynostwa na kamieniach leżących na skraju pola i powtarzała im słowa babci.

– Morze zaleje Prusy? Ale tam jest tyle jezior i rzek, może jej się z nimi pomyliło? – zasugerował nieśmiało Józek, bawiąc się brzegiem koszuli.

– Nie, na pewno się nie pomyliło. – Helena skrzyżowała ręce na piersiach i posłała chłopcu poirytowane spojrzenie.

– Babcia Józefina się nie myli – potwierdził Albert z pełnym przekonaniem. Siedzący na jego kolanach Józio energicznie pokiwał głową.

Antonina, najstarsza z wnucząt, kołysząca w ramionach malutką Mariankę, sapnęła głośno:

– Wy, dzieci, za bardzo wierzycie babce. Wiadomo, że jak jest taka stara, to może jej się mylić.

– Ale jej się nie myli! Prawie. – Helenka powiedziała to pewnie, ale zaraz nieco się zmieszała. – Oprócz tych kilku ostatnich razy, ale to...

– Ale z gęsiami miała rację – rzucił szybko Józek.

– O, właśnie! Z gęsiami miała rację!

– I mówiła, że muł wujka Staszka się potknie i umrze, i faktycznie tak było – dodał Albert, zazwyczaj siedzący cicho.

– Przecież on umarł przez zapalenie w brzuchu – sapnęła ponownie Antonina.

– Ale wcześniej się potknął, dzień wcześniej, pamiętam – zawołała Helena. – Pamiętasz, Tosiu? Byłaś tam.

Józio gwałtownie pokiwał głową. Też tam był i pamiętał. Co prawda nie wiedział do końca, o czym jest mowa, ale faktycznie widział, jak muł Szczęściarz się potknął.

– Helciu, daj temu spokój. Jesteś już prawie dorosła. – Antonina spojrzała po wszystkich młodszych kuzynkach i kuzynach. – Przestańcie słuchać babki i lepiej idźcie pomóc rodzicom.

Wstała, podała Helence Mariankę, otrzepała spódnicę z suchej trawy i poszła w stronę domów.

– Może twoja siostra ma rację, Helciu. – Albert wymieniał niepewne spojrzenie z Józkiem.

– Żadną rację – fuknęła Helena. Podniosła się i przekazała Mariankę kuzynowi. Omiotła zgromadzone dzieci wzrokiem. – Dziś pójde do babci i posłucham, co opowie. Możecie iść ze mną.

Odeszła w stronę kurników akurat w momencie, kiedy Marianka zaczęła głośno płakać.

Wierzyła całym sercem w proroctwa babki, ale czasami marzyła się, że mogła już być za duża, by ich słuchać, i że Tosia może mieć rację. Za parę lat czekało ją małżeństwo, więc nie mogła wiecznie ufać gusłom.

Kiedy karmiła kury i kaczki, myśląc intensywnie o tym, jak przekonać Antoninę do swojej racji, usłyszała jakieś dźwięki. Były to zwykłe odgłosy – takie, jakie słyszy się codziennie: skrzypienie drzwi, trzepot skrzydeł ptactwa, odległe muczenie krów. Z jakiegoś powodu jednak zabrzmiał inaczej. Niepokojąco.

Spojrzała na wiszące na samym środku nieba słońce, po czym szybko przeniosła wzrok na rozległe pole pod nim. Może była to jakaś mara nawiedzająca okolicę? O takich babcia też mówiła – o zmorach wędrujących wśród złocistych łąnów, kiedy słońce jest w zenicie. Patrzyła uważnie, ale nie dostrzegła niczego wśród chwiejącego się na wietrze zboża.

Wciąż jednak niepokoił ją dźwięk, który słyszała.

Jak stała, rzuciła wszystko i pobiegła do domu, do pokoju babci.

Kobieta leżała w łóżku, jak zazwyczaj. Była drobna i blada, aż trudno było ją dostrzec spod grubej kołdry. Żyła, na co Helena odetchnęła z ulgą.

– Babciu, ależ się zlekłam! Usłysza...

– Zosia... Nie, Hela! Helenka, jakaś ty podobna do swojej matki... – Głos staruszki był słaby, ale Helena stała blisko i dobrze słyszała każde słowo. – Helciu, przyprowadź wszystkie dzieci, już!

– Jest środek dnia, wszyscy są zaję...

– Helciu, to moje ostatnie chwile! – zawołała babka, tym razem głośniejszym i mocniejszym głosem. Dziewczyna aż podskoczyła.

– Co? Jak to? Co to zna...

– Helenko, już! – przerwała jej ponownie.

Wnuczka posłusznie pokiwała głową, po czym wyleciała z pomieszczenia jak strzała.

Wiedziała, gdzie kto jest, co właśnie robi. Szybko znalazła każdego kuzyna i każdą kuzynkę i poinformowała ich o nadchodzącej śmierci babci. Dorośli, którzy akurat znajdowali się obok, kręcili tylko głowami z politowaniem. Nie powstrzymywali ich, choć głośno wyrażali niezadowolenie.

Antonina wzbraniała się przed przyjściem, ale w końcu ruszyła, wzdychając głośno.

– Babciu, pani babciu! – wołały dzieci, ściskając się przy łóżku.

Kobieta uśmiechnęła się słabo i wyciągnęła kościstą rękę pokrytą masą ciemnych plam, by pogłaskać każde z wnucząt

po głowie. Każde prócz Antosi i trzymanej przez nią Marianki, bo do nich nie sięgała.

– To już koniec, dzieci, babci już niewiele czasu zostało... Nie, nie, czekajcie, nie idźcie po nich. Muszę z wami porozmawiać.

– Ale babciu...

– Żadnego ale! Muszę wam opowiedzieć o strasznych rzeczach, które dano mi oglądać. Musicie...

Antonina fuknęła głośno:

– Babciu! Jeśli naprawdę źle się czujesz, pošlemy po...

– Nie, nie. Tosiu, posłuchaj. Tylko wy możecie zaradzić temu, co nadejdzie. Musicie uważnie słuchać.

Dziewczyna zawahała się przez moment, ale ciekawość wzięła górę. Skinęła głową.

Józefina odchrząknęła raz i drugi, po czym zaczęła opowiadać.

Była to opowieść niesamowita, kompletnie niewyobrażalna. Wnuczęta słuchały, momentami wytrzeszczając oczy i zakrywając otwarte w szoku usta. Babka mówiła bez przerwy, nie robiąc pauz na głębokie oddechy, jak miała to w zwyczaju. Jej słowa – dziwne, niecodienne – wylewały się z niej jak potok. Mówiła o wielkich konstrukcjach z metalu, o szklanych domach sięgających chmur, o milionach powozów jeżdżących bez koni, a także o słońcu, wodzie i ziemi. Momentami wypowiadała dziwne, nieznane nazwy, które wcale nie brzmiały jak ludzki język.

Historia miała jeden, przerażający wydźwięk: w odległej przyszłości ludzkość zginie, jeśli ktoś temu nie zapobiegnie.

Helenka mocno ścisnęła rękę siedzącego obok Józia, który w czasie tej opowieści zdążył popłakać się trzy razy. Nie było to jednak dziwne – większość wnucząt miała na twarzach ślady łez. Nawet Antonina, która oddała Mariankę Albertowi i siedziała z tyłu, ocierała teraz policzki chustką.

Kiedy babcia przestała opowiadać, opadła na poduszki i zaczęła łapać gwałtowne, krótkie oddechy.

– Babciu, czy... – zaczęła Hela, ale urwała. Poderwała się na nogi i krzyknęła, przerażona: – Babciu!

Wszystkie wnuczęta rzuciły się ku łóżku. Okrzyki strachu i niedowierzania wypełniły mały pokój.

– Jeszcze żyję – wyspała staruszka. Kiedy oddechy ulgi ucichły, kontynuowała: – Jeszcze żyję, ale to moje ostatnie chwile. Dobrze, że zdążyłam opowiedzieć wam tę najważniejszą wizję.

– Babciu, ale... to wszystko będzie za sto lat, prawda? Albo nawet więcej? – zapytał niepewnie Albert.

– Wiele setek, tak. Ale czas mija szybko, drogie dzieci.

– Ale... – Antonina zbliżyła się do łóża. Otarła już twarz z łez i teraz marszczyła brwi, niezadowolona. – Ale przecież nas już nie będzie na świecie za tyle lat. Co mamy z tym wspólnego?

Helena aż zadrżała. Ktoś sapnął, zszokowany. Wszystkie oczy znów zwróciły się ku babci Józefinie.

– Oczywiście, że was już nie będzie, słowiczku kochany. Ale dzieci waszych dzieci... Za wiele pokoleń wasza krew wciąż będzie żywa, a z nią, mam nadzieję, moja opowieść.

– Opowieść będzie w naszej krwi? – spytał drżącym głosem Józio.

– Nie, głuptasie! – zawołała Antosia.

– Nie?

– To znaczy, że musimy powiedzieć kolejnym... w sensie... – zawahała się i spuściła wzrok, zawstydzona. – Chodzi o to, że... no, jeśli w to wierzyć.

– Oczywiście, że wierzymy – zawołała głośno Helenka, wstając gwałtownie. Czuła na sobie spojrzenia kuzynostwa i wiedziała, że musi okazać pewność siebie, by uspokoić ich wątpliwości. – To wszystko się wydarzy i tylko my możemy to powstrzymać.

Józek westchnął głośno, a Albert aż otworzył usta z wrażenia. Wnuczęta zaczęły kiwać głowami i mówić cicho między sobą. Nawet Antosia, wcześniej sceptyczna, wymruczała coś potwierdzającego.

– Tak, dobrze. Ja za moment odejdę, ale wy musicie pamiętać, żeby przekazać kolejnym pokoleniom tę przestrożę. – Babcia mówiła cicho i powoli, ale wnuczęta słuchały cierpliwie każdego słowa. – Inni mogą nie wierzyć, ale wy musicie, pamiętać.

Dzieci zgodnie pokiwały głowami. Miały misję i było to wspólnie uczucie.



Przepowiednia babki na pewno była prawdziwa, jednak własnej śmierci nie przewidziała tak dokładnie – żyła jeszcze kilka tygodni, choć codziennie twierdziła, że to jej ostatnie chwile. Kiedy jednak w końcu zmarła, wnuczęta były już w pełni zdeterminowane i gotowe do działania.

– Musimy ustalić zasady – powiedziała Helenka na kilka dni przed śmiercią staruszki. – I powinniśmy ich zawsze przestrzegać.

– Jakie zasady? – zapytał Józek.

– Takie najważniejsze. Na całe życie.

– Czego mają dotyczyć? Po prostu musimy powiedzieć wszystko naszym dzieciom, tak? – Albert kołysał Mariankę na rękach i rozmyślał na głos. – No i musimy to zawsze pamiętać, i nie mówić innym, bo nie uwierzą. I... A, takie zasady.

– Tak, dokładnie. Jak będziemy dorośli, to może nauczymy się pisać i będziemy mogli zapisać je w księdze – rzuciła dumnie Helena. Zaraz jednak zmarszczyła brwi. – Chociaż to może być trochę trudne.

Józio oparł się o głaz i przez chwilę myślał nad czymś intensywnie. W końcu się odezwał:

– A co, jak nie będzie się miało dzieci?

Hela pokręciła głową z politowaniem.

– Józiu, cały plan polega na tym, że będziemy je mieć.

– Ale co, jak ktoś nie będzie mógł?

– Jak nie? Każdy może, przecież to nie teraz, za chwilę, tylko jak będziemy starsi.

– Ale nawet jak będziemy starsi, to co, jak ktoś nie będzie mógł?

– Co masz na myśli?

– No, na przykład stara Ilona, co mieszka za lasem. Ona nie ma dzieci, bo nie może, tak kiedyś mówiła mama.

Helena otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co odpowiedzieć. Nie pomyślała o takiej możliwości. Nie ona jedna – wszyscy przez chwilę milczeli.

– A... a co, jakby się wtedy przygarnęło jakieś sieroty? – rzucił niepewnie Albert.

Marianka pokiwała głową. Nie miała pojęcia, na czym polega problem, ale bardzo chciała uczestniczyć w rozmowie.

– Henio jest sierotą – powiedziała, mając nadzieję, że to pomoże.

Okazało się, że informacja o Heniu, ich dalekim sąsiedzie, nie wniosła wiele do dyskusji. Marianna jednak się nie zrażała i dalej entuzjastycznie kiwała głową, gdy tylko ktoś coś powiedział.

Nie mieli jak spisać zasad, więc postanowili, że będą zawsze trzymać się blisko, by móc przypominać sobie nawzajem słowa babci. Mieli uczyć swoje lub przygarnięte dzieci. I, co ważne, obiecali trzymać wszystko w sekrecie.

– Czemu? – spytała Tosia. Dopiero do nich dołączyła, bo przyszła dowiedzieć się, dlaczego nic nie robią, tylko lenią się na polu.

– Co czemu? – Helenka skrzyżowała ręce na piersiach. – Bo to nasz sekret.

– Ale jeśli powiemy innym, to więcej osób może coś zrobić, żeby powstrzymać klęskę.

Zapadła cisza, w czasie której dzieci próbowały wymyślić jakąkolwiek odpowiedź. Nikomu się nie udało. W końcu odezwał się mały Józio:

– Tylko my możemy uratować klęskę – powiedział głośno i dumnie.

– Zapobiec klęsce – poprawiła go Hela.

– Tylko my możemy zapobiec klęsce.

– Ale czemu? – pytała dalej Antosia.

Ale decyzja już zapadła. Ich rodzina miała zapobiec straszliwej katastrofie, która zniszczy całą ludzkość. Mieli na to kilkaset lat. Byli bardzo mocno zdeterminowani.



Trzymali się razem, nawet po tym, gdy dziewczęta zostały wydane za mąż i przeniosły się do pobliskich wsi. Dystans był na tyle niewielki, że często się odwiedzali. Na początku nie zwracano na to uwagi, ale po jakimś czasie bliscy zaczęli się skarżyć.

– Czemu ciągle widzisz się z kuzynostwem? Naprawdę musisz iść do nich dzisiaj?

Oczywiście nie spotykali się tylko po to, by rozmawiać o przepowiedni babci. Po prostu spędzali razem czas, dzielili się swoimi codziennymi troskami i radościami. I tylko co jakiś czas przerywali tę sielankę, by snuć nowe teorie.

– Myślę, że te metalowe powozy plujące dymem to jakiś magiczny wynalazek. Może czarownice je stworzyły, żeby truć bydło – mówił rozemocjonowany Albert.

– To faktycznie może być to. W końcu skoro ludzie jeżdżą w tych powozach bez żadnych koni, to może wszystkie już zostały skażone? – zgodziła się Marianna, kołysząc w ramionach swojego małego synka. Był za młody, by rozumieć tę historię, ale i tak chciała, by był obecny na spotkaniach.

– Ale skoro już je zatrąły, to po co dalej robią ten dym? – zaznaczyła Helena, kręcąc głową. Skrzywiła się. – Czarownice to dobry trop, ale musimy się jeszcze zastanowić, czy na pewno zabijają bydło.

Każde zebranie dawało im wiele nowych pomysłów na to, jak ocalić świat.



Z biegiem lat rodzina Lipków się powiększała, a dzieci wnucząt babki Józefiny podrosły na tyle, by móc poznać przepowiednię. Pierwsze próby zmierzenia się z nią zazwyczaj wiązały się z dozą niepewności i brakiem zrozumienia, ale częste wyjaśnienia pomagały. Każda ciotka i każdy wujek dokładnie opowiadali ostatnie słowa mentorki.

Zmieniały się czasy i okoliczności. W końcu niektóre z potomków Helenki i jej kuzynów miały możliwość nauczania się pisać. Dzięki temu proroctwo babki spisano, a wraz z nim zasady potrzebne, by zapobiec katastrofie. Te z biegiem lat się zmieniały, dodawano do nich kolejne, później znów usuwano... Ale podstawy zostały takie same.

–Skończyłam zapisywać to, co babcia Hela tydzień temu mówiła o wielkich lodowcach i białych niedźwiedziach – chwaliła się na jednym ze spotkań córka drugiego syna Helenki.

–Napisałaś, jak się topią? – spytał jej wuj, syn Marianny.

–Oczywiście! Napisałam dokładnie tak: lód się topi i niedźwiedzie też.

–Czy białe niedźwiedzie nie potrafią pływać? – spytał mały Albert, siedzący na kolanach swojego imiennika, dziadka Alberta.

Posiwały mężczyzna podrapał się po brodzie.

–Na pewno umieją, ale może nie aż tak dobrze – sapnął, niezadowolony. – Musisz dopisać, że nie pływają zbyt dobrze.

–Dobrze, dopiszę.

„Powstrzymanie tego lodu od topienia może być najważniejszą rzeczą, którą musimy zrobić”, powtarzała zawsze babcia Hela. Marzena dbała o to, by odpowiednio podkreślić to w zapiskach.



Kiedy wszystkie wnuczeta Józefiny zmarły, kolejne pokolenia troszczyły się o to, by pozostawać w bliskich stosunkach, nawet kiedy wszyscy mieli mężów, żony, teściów i innych krewnych. Niektórzy dzielili się z nimi rodzinnym sekretem, ale tylko nieliczni wierzyli. Tak czy inaczej, grono się powiększało. Coraz więcej z nich umiało czytać i pisać, co pomagało w omawianiu zapisków i tworzeniu nowych teorii. Mieszkający daleko członkowie rodziny wysyłali też mnóstwo listów z interpretacjami tekstów.

–Co to znaczy „freony”? – zapytał Józek, młodzieniec nazwany na cześć swojego praprapradziadka Józefa. Oglądał, z lupą przy oku, kartki z zapiskami podczas jednego ze spotkań.

–Skąd wziąłeś to słowo?

–Tu jest taki fragment, w późnych relacjach cioci Antoniny. Że w wizji babka Józefina słyszała w pewnym momencie tę nazwę właśnie.

–Nie pamiętałem tego fragmentu – powiedział jeden z kuzynów. Jego siostra sięgnęła po pióro.

– Zapiszmy, żeby być czujnymi, jeśli kiedyś usłyszymy to słowo. To może być klucz do rozwiązania problemów.

Mieli wiele takich słów-kluczy. Notowali je osobno, żeby nigdy o żadnym nie zapomnieć. Starali się dowiadywać jak najwięcej o tym, co dzieje się na świecie. Robili wszystko, by móc zdobywać wykształcenie lub doświadczenie, które miało im pomóc. Z każdym pokoleniem pojawiało się coraz więcej możliwości. Niektórzy zostawiali swoim dzieciom już całkiem pokaźne majątki.

Spotkania były rzadsze, ale tym bardziej wyczekiwane.

– Słyszeliście, co się stało? – zawołała Aneta, potomkini Mariany, gdy tylko weszła do pięknej jadalni domu Pawła (nie pamiętała, jakie dokładnie pokrewieństwo ich łączyło). – Jakiś Francuz stworzył powóz napędzany silnikiem parowym!

Zebrani poderwali się i zaczęli gwałtownie wertować ster-ty zapisków.

– Wiedziałem, że ta cała para wodna będzie problemem – mru-czał zdenerwowany Paweł.

– Spokojnie, to jeszcze nie koniec świata. – Próbowwała uspokoić zebranych jego żona. – W wizji było ich wiele, a to tylko jeden, tak?

– Teraz jeden, ale co będzie za chwilę? – zagrmiał Mateusz. – Trzeba to powstrzymać.

– Dokładnie tak. Ostatnio pisałem w liście do siostry, że musimy mieć większe wpływy za granicą – powiedział inny z kuzynów Anety.

Nadarzyła się ku temu idealna okazja, chociaż nie z ich woli. Kilka lat po skonstruowaniu pojazdu parowego sąsiednie państwa zaczęły dzielić między siebie tereny Polski, a z czasem kraj całkowicie zniknął z mapy. Choć była to sytuacja tragiczna, stanowiła dla rodziny Lipków doskonały argument, by rozszerzać swoje wpływy za granicą.

Spotkania stały się rzadsze i odbywały się w terminach wyznaczonych z dużym wyprzedzeniem. Listy były wysyłane w ogromnych ilościach. Rodzice planowali, jak pomóc swoim dzieciom wybrać karierę, która przysłuży się sprawie, a każde z nich pracowało dzielnie, by osiągnąć sukces. No, prawie każde. Niektórzy odrzucali rodzinne dziedzictwo i nie wierzyli w prorocstwo, ale było ich niewielu i pamiętać o nich szybko ginęła.

– W końcu widzimy się w podobnym składzie – mówił na początku każdego spotkania zadowolony Franciszek. – Zaraz zaczniemy podsumowanie korespondencji z ostatnich miesięcy...

– Benz. Widzieliście Benza? – przerwał mu podekscytowany potomek Antoniny.

– Tak! Nie zdążyłam jeszcze nikomu o tym napisać, ale tak! – zawołała córka Franciszka. – To ten przeklęty powóz bez koni, o którym mówiła babcia Józefina, jestem tego pewna.

Ktoś wyciągnął wycinki z gazet. Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, złorzecząc Benzowi i jego wynalazkowi.

– Musimy to powstrzymać! Mamy teraz więcej możliwości niż nasi przodkowie. Na pewno nam się uda.

– Wy dwoje, zostaliście dziennikarzami nie bez powodu, prawda? Obsmarujcie go, może to pomoże.

– Ty jesteś komisarzem, tam na pewno znajdzie się coś nielegalnego, nie? Przekonaj do tego lokalne władze.

– Tak, tak. A ty masz znajomości wśród innych właścicieli tych... co ty tam masz? Kopalń? Może uda się przeszkodzić im w pracach?

– Ciociu, możesz komuś zlecić wyperswadowanie im robienia takich pojazdów?

Plany były skrupulatnie spisywane. Pełne proroctwo babci Józefiny, a także wszelkie notatki i listy – wszystko zostało zebrane w jeden ogromny, ciągle rosnący tom. W kolejnych latach sporządzane były dodatkowe kopie, aby trzymać je w kilku siedziach rodziny.

Działania, mniej lub bardziej legalne, mające na celu powstrzymanie Benza i jemu podobnych przynosiły niezłe skutki. Rozwijające się i ciągle wzbogacające imperium rodzinne było w stanie wywrzeć mocny nacisk, dzięki czemu masowa produkcja samochodów została opóźniona o wiele lat. Jednak nie udało się wypełnić idei powozu bez koni i co pewien czas kolejni wynalazcy starali się stworzyć swoją wersję automobilu.

– To jest pierwszy krok do katastrofy – krzyczała potomkini Józefa, uderzając otwartą dłoń w stół. – Ale skoro już się nam nie uda dłużej tego odwlekać, czas skupić się na czymś innym.

– Na freonach? – zapytał jej brat stryjeczny. Westchnął, zmęczony. – Już prawie nam się udało. Projekt wykorzystania freonów,

mający powstrzymać topnienie Arktyki i Antarktydy, jest bliższy ukończenia.

– Ciocia nie wie, jak trudno jest to zorganizować na tak wielką skalę – dodał szybko któryś z kuzynów. – To trudniejsze, niż zastraszenie paru domorosłych wynalazców.

Dalsza część spotkania minęła głównie na kłótni między frakcją zajmującą się ochładzaniem lodowców a tą walczącą z samochodami. Właściwie wiele zebrań tak się kończyło. Obok tych dwóch głównych grup działało jeszcze wiele mniejszych; wszystkie były zdeterminowane i chętnie wykorzystywały swoje bogate zasoby, by robić wszystko, co – według ich teorii – miało uratować świat.



Lata mijały, imperium rodziny – składające się głównie z wielkich firm, takich jak LipPol, Lipynsky Inc., czy Josephine Foundation – pracowało coraz ciężiej.

Józefina, imienniczka swojej pra...prababci, dzielnie walczyła o utrzymanie lodowców.

– Te dziennikarskie gnidy znowu podnoszą raban o szkodliwości freonów. Idioci. – Nalała sobie whiskey i upiła łyk. – Jesteśmy jedynymi, którzy powstrzymują te lodowce przed topnieniem, powinni być wdzięczni.

– Tylko... one i tak topnieją szybciej, niż wynikało z przepowiedni... – zaczęła nieśmiało Aneta, kuzynka jej syna.

– Szczegóły. I tak nie mają żadnych dowodów na tę swoją „dziurę ozonową”.

– Właśnie mają...

– Aneta! Przestań, stresujesz ciocię – powiedział jakiś wujek.

Wspomniana ciocia wychyliła resztę szklanki jednym łykiem i orzekła:

– Musimy się bardziej postarać. W wizji prababcia widziała energię nuklearną i wielki wybuch, dlatego pamiętajcie: nieważne, ile was namawiają, nie możemy w to inwestować. Węgiel jest lepszym rozwiązaniem.

– Węgiel nie ma żadnego złego wpływu na świat, więc to idealny wybór – potwierdził dziedzic sieci kopalni węgla brunatnego.

– Niedawno analizowaliśmy dane i obawiam się, że... – zaczęła Aneta, ale szybko jej przerwano.

– Przestań, przestań – westchnęła głośno Józefina. – Całe pokolenia Lipków robiły wszystko, byśmy byli w miejscu, w którym teraz jesteśmy. Nie psuj tego, doszukując się dziur w planie starszym od ciebie samej.

Aneta chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie miała wystarczającej siły przebicia. Zamiast tego usiadła przy paru młodszych członkach rodziny i zaczęła opowiadać im o dziurze ozonowej.

– Prababcia nie mówiła chyba o żadnej dziurze – powiedział sceptycznie jeden z jej kuzynów.

– Wydaje mi się, że mówiła, tylko innymi słowami. Pamiętacie? Na stronie siedemnastej...

– Aneta... Przestań doszukiwać się problemów tam, gdzie ich nie ma. – Któraś z jej dalekich krewnych pokręciła głową z dezaprobatą. Nadziała na widelec kawałek wystawnego posiłku. – Tylu naszych przodków się starało i zobacz, w jakiej wspaniałej sytuacji teraz jesteśmy. I w dodatku prawie powstrzymaliśmy katastrofę!

Aneta zmusiła się do uśmiechu. Nie była jedyną osobą w rodzinie, która widziała, że ich działania mogą nie przynieść dobrego rezultatu. Ale nikt z nich nie mógł już nic zrobić.

Ogromny projekt chłodzenia Antarktydy i Arktyki pochłaniał takie ilości pracy i pieniędzy, że mało co mogło się z nim równać. Największe tytuły prasowe świata, założone przed laty przez Lipków, mówiły głośno o potrzebie korzystania z węgla. A odkąd Lipynsky Inc. wykupiło większość firm motoryzacyjnych, chwaliły też korzystanie z samochodów. Zarząd uznał, że w wizji prababci auta nie były przedstawione jednoznacznie źle, więc to właśnie ich wzmożone użytkowanie przyniesie dobre skutki. Oczywiście zapiski sprzed setek lat można było interpretować na różne sposoby.



– Dziura ozonowa jest już ogromna, odbywa się też coraz więcej protestów – mówił z przerażeniem jeden z potomków Józefa. – Musimy wydać oświadczenie.

– I zatrzymać projekt chłodzenia – wszedł mu w słowo syn Anety. Nerwowo ścisnął grzbiet nosa i przez chwilę milczał. – Ale jesteśmy za daleko.

– To prawda, nie możemy go tak po prostu zatrzymać. Zresztą wciąż jest szansa, że te badania dotyczące dziury są zmyśłone.

– Masz rację! Nie ma na to twardych dowodów. A to całe podwyższenie temperatury może być równie dobrze przypadkowe.

– Dokładnie! Babcia Józefina nie mówiła nic o warstwie ozonowej. To nie ma nic wspólnego z katastrofą.

Spotkania, znów coraz częstsze, stawały się coraz bardziej nerwowe. Jedynie mała część rodziny wspominała o zarzutach ekologów kierowanych pod ich adresem, jednak wszyscy mówili o negatywnych zmianach, które było widać gołym okiem.

Pomiary jasno pokazywały zwiększającą się z roku na rok średnią temperaturę. Lodowce, które nie były objęte projektem ochładzania – a, jak się okazało, było ich całkiem sporo – topniały w zastraszającym tempie. Badania wskazywały na pogarszanie się jakości powietrza, a aktywiści twierdzili, że jest to spowodowane paleniem węglem. Rodzinny biznes walczył ze wszystkimi tymi zarzutami, jak tylko mógł. Lobbowanie w gazetach było jednym ze sposobów, drugim – zastraszanie i przekupywanie tych, którzy zbyt głośno mówili o negatywnym wpływie freonów czy węgla brunatnego.

Z roku na rok sytuacja stawała się gorsza.



– Podobno rząd amerykański znowu myśli o badaniach nad lotami w kosmos... Jakby to było komukolwiek potrzebne. Musimy ich przekonać, że lepiej będzie kontynuować budowę nowej ośmiopasmówki.

– Lataniem w kosmos będzie można się zająć, jak już się upewnimy, że powstrzymaliśmy katastrofę.

– Dokładnie. Zaraz zacznie się dwudziesty pierwszy wiek, a my znowu musimy odciągać ich od tego głupiego pomysłu... Jeśli nie mają na co wydawać pieniędzy, chętnie je od nich wezmę. LipPol będzie musiał otworzyć kilka nowych fabryk.

– Stare zapiski babci mówiły coś o wojnach, prawda? Może powinniśmy zainwestować więcej w przemysł militarny, żebyśmy byli gotowi, tak na wszelki wypadek?

– O, to na pewno! Hej, pokaż te dane z zeszłego kwartału. Nie, nie te... O, widzicie? Nawet jak zwiększymy budżet projektu chłodzącego, to na spokojnie starczy nam, żeby pójść w ciężkie zbrojenie.

Jeden z najmłodszych przedstawicieli rodziny obecny na spotkaniach zmarszczył brwi. Wydawało mu się, że przepowiednia babci raczej przestrzegała przed wojnami, ale nie był do końca pewien. W końcu to dorośli znali się na tym wszystkim lepiej.

Inwestowanie w przemysł militarny okazało się strzałem w dziesiątkę. Traf chciał, że niedługo po podjęciu tej decyzji w Azji i Ameryce Południowej wybuchło kilka niewielkich konfliktów zbrojnych. Powodem były podobno problemy z dostępnością wody. Te małe wojenki sprawiły, że rodzina wzbogaciła się jeszcze bardziej – wśród dziesięciu najbogatszych ludzi na świecie już nie czwórka, tylko szóstka pochodziła z ich rodu. Imperium rozwijało się nie tylko w kilku krajach Europy, ale też za oceanem. Im dalej sięgało, tym więcej słyszało się o niebezpiecznie wysokich średnich temperaturach, o smogu, o niszczącym środowisku naturalnym.

Każde pokolenie Lipków zgadzało się, że muszą robić wszystko, by powstrzymać katastrofę. Czas jednak przyniósł pewne zmiany w ich podejściu:

– Faktycznie, używanie freonów mogło być błędem, ale skoro już poświęciliśmy na to tyle czasu i pieniędzy, to gorsze byłoby zrezygnowanie, prawda?

– A przed samochodami wizje na pewno nie miały przestrzegać. Przeciwnie, na pewno był to znak, byśmy się tym zajęli.

– Ekolodzy i tak przesadzają. Nasze nowe technologie nie mają aż tak złego wpływu na środowisko.

Z czasem pojawił się konsensus: babcia Józefina jednak nie miała racji. Katastrofa wcale się nie zbliżała. Bo jak miała nadchodzić, skoro biznes kręcił się tak dobrze?

O autorce

Sida Olesiak – (ur. 1996 r.). Oryginalnie Łodzianka, obecnie Bydgoszczanka, w przyszłości – nie wiadomo. Od dziecka zakochana w fantastyce, Pokemonach i ciekawych postaciach kobiecych. Tworzy do szuflady od małego, zdarza jej się prowadzić prelekcje na konwentach.



Wolne blokowska

Małgorzata Lewandowska

Rak kojarzył mi się ze złem, śmiercią oraz wykradaniem zdrowym komórkom sił i zasobów – w tym wytwarzających energię mitochondriów. Poza tym komórki rakowe miały zdolność infiltracji. Wnikały w sąsiadujące tkanki i organy – także układ nerwowy. Jakże adekwatnie podrzuciła pamięć, skoro siedziała przede mną dwójka naukowców. Czyli przedstawiciele grupy zawodowej, która wraz między innymi ze społecznikami i artystami od pewnego czasu kojarzyła mi się właśnie z układem nerwowym funkcjonującym w zróżnicowanym tworze zwanym ludzką społecznością. Dodatkowo właśnie ta para naukowców oświadczyła:

– Jesteśmy jak rak, który od środka pożera ten skorumpowany system.

No dobrze. Przesadziłem. Mimo użytej liczby mnogiej nie zabrzmiało unisono. Stwierdzenie padło z ust młodszego mężczyzny i zostało skorygowane przez starszą, siedzącą obok niego kobietę:

– Jeśli już, to nie rak, a wirus raka. Rakiem jest sam aktualnie panujący nam system.

Cóż, nie mogłem zaoponować.

Młodszy naukowiec także przytaknął i dodał:

– W każdym razie chcielibyśmy zaoferować panu pomoc w zamian za dołączenie do naszego projektu. Od dawna poszukiwaliśmy obiektu testowego. To, co pan stworzył...

– Stworzył? – wszedłem mu w słowo. – Chodzi o tę sąsiedzką współpracę? Ogród osiedlowy? Nie sądziłem, że tak niewinny

projekt wzbudzi jakiekolwiek zainteresowanie. Poza tym to nie moje dzieło. Nie ja je zacząłem ani nie byłem główną siłą napędową. Jedynie dołączyłem, że tak powiem, po drodze.

– Ale reprezentuje pan osiedle.

– Tak. Po prostu wszyscy inni byli zajęci. Nasz ogród to niby tylko kilka drzew, krzaków i innej zieleniny, jednak o tej porze roku wymaga sporego zaangażowania. Dzieci już nawet ćwiczą piosenki na osiedlowe dożynki. Ktoś musi tego dogłądać.

Kobieta uśmiechnęła się, jakby chciała do mnie puścić oczko, i powiedziała:

– Wspaniale jest poznać kogoś, kto docenia wagę pracy zespołowej. Szczególnie w czasach, gdy świat dusi się w oparach narcystycznej megalomanii. Panie Marku, to, co wspólnie stworzyliście, ten, hmm, jak pan to nazwał, „ogród osiedlowy”, jest niesamowite już samo w sobie. Jeśli się zgodzicie, chcielibyśmy doradzić wam pewne opcje, które mogą uczynić go jeszcze lepszym.

Dlatego, przechodząc do meritum, zaproponowali nam pomoc w osiągnięciu samowystarczalności energetycznej poprzez montaż eksperymentalnego reaktora jądrowego. Takiego w wersji mini, nazwanej dla ocieplenia wizerunku „przydomową”. Przeszły mnie ciarki – z jednej strony czułem obawy, z drugiej ekscytację. Skojarzenia: energia, mitochondria i rak przywołany przez nich, wybrzmiały z podwójną siłą, niczym obosieczny miecz. Rak zjadający winnych aktualnej sytuacji czy nas? Poza tym od jakiegoś czasu intrygowało mnie jeszcze coś.

– Dlaczego uważają państwo, że w ogóle potrzebujemy takiej pomocy? – zapytałem, próbując brzmieć na autentycznie zaskoczonego absurdalnością propozycji. – Po co nam reaktor w ogrodzie osiedlowym? Skąd w ogóle taki pomysł? Przydałyby nam się raczej nowe odmiany kapusty czy kalarepy. Albo świetnie plonujące ziemniaki na biopaliwa, skoro pisali państwo o potrzebach energetycznych. I oczywiście przy takich testach moglibyśmy pomóc, ale reaktor?

Naukowcy spojrzeli po sobie. Kobieta dała ledwie widoczny znak przyzwolenia mężczyźnie.

– Wie pan... – zaczął.



Zawsze dzieliłem świat na ten ich i nasz. Wyznaczałem kolejne linie demarkacyjne i z dumą wpisywałem się w przeszłości w część, którą aktualnie uznawałem za nie naszą, obcą. W poprzednim życiu, gdy tylko mogłem, wyprowadziłem się do Warszawy. Studiowałem i zdobywałem kolejne kwalifikacje. Piąłem się po szczeblach kariery. Żyłem zgodnie z hasłem, które teraz skróciłbym do „kariera, kupowanie, kredyt”, i z pychą uważałem, że nigdy nie wrócę do miejsca, gdzie z racji urodzenia przyszło mi się wychować.

Tak „uważałem”. To określenie pasuje do opisu mojego ówczesnego sposobu myślenia. Jeszcze lepszym jest jednak „ludziłem się”. Sugeruje bowiem stan wyparcia, w jakim funkcjonowałem. Iluzja prysła, gdy zatrudniająca mnie firma postanowiła przeprowadzić kolejną redukcję pracowników ludzkich na rzecz AI.

Potem wszystko przyspieszyło, a moja codzienność stoczyła się szybko i sprawnie po zboczach życiowego awansu, które wcześniej zdobywałem z ogromnym trudem. Minimalne oszczędności i duży kredyt oraz niemożność znalezienia pracy na rynku wysyconym bezrobotnymi ludźmi o podobnych kwalifikacjach równały się utracie mieszkania na rzecz banku i przeprowadzce do rodziców.

Do rodziców!

Czyli z powrotem do miejsca startu, z którego tak bardzo przed laty chciałem się wyrwać. Do rodziców, którym nie raz mówiłem, że mieszkają w małomiasteczkowej dziurze. Rodziców nieodwiedzanych przez lata, którzy... mimo tego wszystkiego przyjęli mnie pod swój dach.

Na początku nie doceniałem wąskiego łóżka w swoim starym pokoju, chociaż alternatywą było przecież spanie pod mostem. Wypełniała mnie złość – agresywna twarz męskiej depresji. Oto znowu znalazłem się w punkcie wyjścia. Z tym że teraz byłem starszy i nie miałem już złudzeń. Znałem dwie zasady. Po pierwsze, pracując ciężko, nie wdrapiesz się na szczyt bez szczęścia, znajomości i pewnej dozy dupolizania. Po drugie, nawet

największe dupolizanie i umiejętności zawodowe nie gwarantują, że na tym szczycie zostaniesz. W świecie, gdzie zysk stanowił najwyższą wartość, nie było osób niezastępowalnych.

Wystarczyło, że nowa generacja AI okazała się dużo tańszym i wydajniejszym rozwiązaniem. Poza tym modernizacja i nadążanie za postępem brzmiały atrakcyjnie. „Ludzki element” trącił zaś vibe'em zegarków analogowych, których miejsce jest w sklepach z antykami wśród innych staroci.



Potrzebowałem czasu, aby zrozumieć, że w szczególnych przypadkach prawdziwa awangarda kryje się w pozornym regresie.

Może poszłoby mi szybciej, gdybym mógł, jak radził mój coach duchowy (kiedy jeszcze mogłem sobie na niego pozwolić), odzyskać wewnętrzną harmonię na łonie natury. W jakimś ustronnym domku z pięknym widokiem na góry lub na morze i innymi takimi pierdołami. Zamiast tego wylądowałem na Podlasiu i miałem do dyspozycji cztery ściany w niewielkim mieszkaniu. Jednej z wielu komórek zamkniętych w betonowych ryzach bloku. Pięciopiętrowej, szarej, prostokątnej bryły zamkniętej z innymi budynkami na ogrodzonym terenie osiedla pracowniczego. Osiedla zamkniętego pierścieniem murów posiadłości możnych.

No dobrze, może nie pełnym pierścieniem, tylko takim otwartym, do zaciskania (co kojarzyło mi się z kolei z duszeniem) – jakkolwiek nazywa się typ obrączek, który pozwala je własnoręcznie dopasować. Pomiędzy murami biegł bowiem przesmyk zaniedbanej drogi.

Zostawiono ją, aby dać ludziom z osiedla namiastkę wolności i nie budzić koszmaru PR-owego, czyli skojarzeń z więzieniem, kolonią karną lub obozem pracy. Osiedle, z którego pochodziłem, a którego nie chciałem wówczas nazywać „moim”, było bowiem ostatnim, co zostało z niewielkiej miejscowości. Wraz ze zmianami klimatu i wzrastającą modą na Podlasiu region stopniowo wykupowali bowiem coraz majątniejsi.

Pierwsi nowi właściciele ziemscy pochodzili ze średniej warstwy społecznej z Warszawy i okolic. Nabywali stare gospodarstwa rolne, aby zmienić je w wiejskie posiadłości. Biznes kwitł do tego stopnia, że w pewnym momencie skończyły się gospodarstwa, działki siedliskowe, pola, a nawet część nieużytków. Wzięto się więc za lasy. Wystarczyło zmienić przepisy, co po rzezi drzew w ramach *lex Szyszko* nie stanowiło problemu. Wprowadzenie poprawki Chojrak-Modrzewskiego spotkało się z entuzjazmem właścicieli ziemskich i sprzeciwem organizacji ekologicznych. Doszło do spięć, a nawet bójek z policją. Porażka protestów została jednak przesądzona, gdy posiadłości na Podlasiu zaczęto traktować... jak inwestycję w apartamenty na wynajem.

„Modernizacja lasów” nie wystarczyła na długo. Dodatkowo ceny gruntów jeszcze wzrosły, wobec czego zaczął się dość niezwykły proces wykupowania na wiejskie posiadłości przedmieść i bardziej zaniedbanych okolic średnich miejscowości. Podkreścany zmianami klimatu hype na Podlasiu rósł, a do gry wkroczyli jeszcze zamożniejsi, wykupując klasę wyższą, średnią i całe wsie. Mniejsze miejscowości takie jak ta, z której pochodziłem, właściwie też zniknęły zaorane pod rozłożyste wille ze schronami, ogrody, baseny, pola golfowe czy świątynie dumania oraz mury. Bowiem jak wiadomo – *good fences make good neighbors*. Stawiano więc mury porządne. Grube i wysokie – przeciwieństwo siatkowego czegoś, smętnie udającego zaporę na wschodniej granicy.

Bogacze grodzili się na potęgę od wszystkiego, co im tylko przyszło na myśl. Od siebie, od lokalsów, od obcych, od złodziei i potencjalnych uchodźców klimatycznych lub innych. Wspólnie, choć niezależnie od siebie, uczynili tę część Polski najlepiej ufortyfikowanym regionem, czym nie omieszkali pochwalić się rząd, przedstawiając to jako sukces. Ogłoszone z pompą na specjalnej konferencji zabezpieczenie wschodniej flanki.

Chociaż oczywiście wiedziałem o tym wszystkim z doniesień medialnych, znałem nowy wygląd Podlasia tylko z filmików reklamowych rządu. Pochłonięty robieniem kariery, nie odwiedzałem rodziców od prawie piętnastu lat (ograniczając kontakt jedynie do krótkich rozmów) i nie byłem przygotowany na stan rzeczywisty. Po raz pierwszy zobaczyłem na własne oczy,

jak bardzo zmieniła się okolica, gdzie dorastałem, gdy wracałem tam niechlubnie niczym syn marnotrawny.

Nie miałem już samochodu, więc dojechałem z Warszawy pociągiem do Siedlec – jednego z ostatnich miast oryginalnego Podlasia – i tam spotkałem się z rodzicami. Czekali na peronie z miłością i łzami. A mnie ogarnęły takie wstyd i złość na system oraz siebie, że w zamian dałem im tylko oziębłość i sarkazm.

A przecież mieli prawo do tych łez. Wszędzie, choćby na Dworcu Centralnym w stolicy, z telebimów sęczyły się informacje o planowanej walce rządu z narastającą falą samobójstw osób, które straciły wszystko po ostatnich masowych zwolnieniach. Porównywano je nawet do efektu Wielkiego Kryzysu w USA.

Najczęściej wybieranym sposobem na zakończenie udręki był skok z okna przejętego przez bank mieszkania. Jak powiedziałem mamie tuż po kilku pierwszych, szeroko komentowanych w prasie samobójstwach, nie musiała się o to martwić. Nie mogłem zrobić nawet takiego pokazu. Miałem apartament na trzecim piętrze. Sprawdziłem, że ryzyko przeżycia próby było zbyt wysokie.



Z parkingu przy dworcu w Siedlcach pojechaliśmy samochodem rodziców do domu. Czy raczej ich domu. Dla mnie to tylko klatka na osiedlu.

Pierwsze ogrodzenia pojawiły się tuż za miastem. Potem było ich coraz więcej, tak jak dziur w drodze. Tata zwalniał przy tych większych i omijał mniejsze, więc mogłem na bieżąco monitorować rozkład ubytków w nawierzchni. Tymczasem mury rosły, pnąc się wzwyż i zasłaniając widoki, bardziej niż kiedykolwiek robiły to billboardy. Tylko co jakiś czas jednostajność wysokich ścian przerywały odchodzące od szosy rozgałęzienia drogi.

– Gdzie prowadzą? Do jakiejs gospody, restauracji, baru? – zapytałem. Poczułem niespodziewany głód i chęć na alkohol. Miałem nadzieję, że piwo czy coś mocniejszego pomogłoby mi przebrnąć przez ten dzień.

– Nie, synku – odparła mama, a ja zgrzytnąłem zębami na to „synku”. – To drogi na inne osiedla. Tędy już prawie nikt nie jeździ, bo i po co? To i restauracje splajtowały.

Wstyd się teraz przyznać, ale dopiero wtedy zauważyłem, że poza samochodem rodziców drogą nie poruszało się nic innego. Nie zauważyłem nawet ptaków czatujących na łatwy posiłek w postaci przejechanego gryzonia.



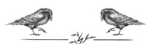
Osiedle rodziców przetrwało z tego samego powodu co kilka innych w regionie – ktoś musiał pracować w posiadłościach bogaczy.

Oczywiście najlepsze stanowiska związane z zarządzaniem czy z ochroną zostały zajęte przez zaufanych nielokalsów wspieranych przez AI. Osiedlowi tuziemcy byli potrzebni do prostszych prac. AI mogło zastąpić ludzi przy tworzeniu sztuki czy przy profesjonalnych analizach, lecz nie sprawdzała się przy pracach manualnych, takich jak sprzątanie lub pielęgnacja zieleni. Postęp technologiczny w bezwzględny sposób udowodnił wyższość ludzkich dłoni nad mózgiem. To ostatnie można było zaskakująco prosto zastąpić. Osadzonej na mobilnej konstrukcji pary dłoni z ewolucyjnie dopracowanym układem mięśni, ścięgien, naczyń krwionośnych, nerwów, kosteczek i stawów oraz skórą napakowaną pierdylionem wyśrubowanych receptorów, umożliwiających błyskawiczną adaptację do różnych powierzchni i perfekcyjne regulowanie siły nacisku – już nie.

Z tego samego powodu ludzie nadal lepiej sprawdzali się także przy obróbce jedzenia. Do tego dochodziły kwestie smaku. Przepis przepisem, lecz ludzcy kucharze mieli to coś wspierane kubkami smakowymi, czym nie dysponowały nawet najdroższe AIdroidy nowej generacji z receptoczujujnikami. Nadal to ludzcy szefowie kuchni wygrywali zawody kulinarne.

Poza tym ludzcy pracownicy niskiego szczebla poprawiali statystyki. Można się było pochwalić przy sprawozdaniach i na balach dobroczynnych, że stworzyło się miejsca pracy dla tylu i tylu ludzkich osób. Pisano także i mówiono o zrównoważonym

postępie i elastycznym podejściu do kariery, gdy na przykład jedyną opcją zatrudnienia dla mojej mamy i wielu innych pań z osiedla zostało sprzątanie posiadłości bogaczy. Preferowano kobiety ze względu na większą uważność i dokładność wykonywanej usługi. Mężczyzn wybierano do prac ogrodowych i naprawczych. Jedynie w kuchni płęć nie miała znaczenia.



Po przyjeździe do domu rodzice nie nalegali, abym podjął jakąkolwiek pracę, chociaż zasygnalizowali taką możliwość. W ogóle nie nalegali na wiele. Przez pierwsze dni pozwolili mi być aktualną wersją siebie, czyli człowiekiem wypełnionym żałobą po straconym sensie.

Jedynym wyjątkiem w ich postępowaniu było jedzenie. Mama regularnie pukała do drzwi mojego pokoju, sygnalizując kolejne posiłki. Jeśli nie wychodziłem i nie siadałem z nimi do stołu, przynosiła mi jedzenie. Odwrócony do ściany, słyszałem wtedy, jak otwiera okno, wietrzy pokój i siada na krześle przy biurku, na którym dawno temu odrabiałem lekcje. Zawsze czekała, aż zjem, wobec czego robiłem to, aby wreszcie zostawiła mnie samego. Zanim zabierała naczynia do kuchni, zamykała okno.

Nie patrzyłem jej w twarz. Za bardzo się wstydziłem, jednocześnie czując irytującą bezsilność.

Raz rzuciłem talerzem o ścianę. Mama w ciszy posprzątała i przyniosła mi nowy posiłek na drewnianej tacce. Cierpliwie znosiła także inne objawy mojej złości, takie jak niszczenie starych książek czy łamanie figurek z idiotycznej kolekcji licealisty. Nie rozumiałem, czemu rodzice nie wyrzucili tego całego badziewia. Po co je trzymali? Żeby mi przypomnieć okres, kiedy żyłem iluzją?

Pewnej nocy obudziłem się z koszmaru cały spocony. Wstałem i podszedłem do okna. Najpierw tylko chciałem je otworzyć. Krok później dotarło do mnie, że równie dobrze mogę skończyć ze sobą – z bezsilnością, wstydem i złością. W końcu mieszkanie rodziców znajdowało się na ostatnim piętrze, więc może przynajmniej tego nie udałoby mi się spieprzyć?

Z nadzieją sięgnąłem do klamki. Nie drgnęła. Zakląłem i nacisnąłem mocniej – nic. Wymacałem zamek. Oczywiście bez kłuczyka. Puściłem wiązankę przekleństw i zacząłem po omacku szarpać się z klamką i walić w ramę.

Wtem do pokoju wpadli rodzice, a z nimi struga światła z korytarza. Mama wcisnęła się między mnie a okno, tata ciągnął do tyłu. Byli przerażeni. Doskonale wiedzieli, co chciałem zrobić. Po chwili szamotaniny wyrwałem się im i pobiegłem do pokoju obok. Tam także okna miały zamki. Wpadłem w furję.

Nadal mi wstyd za niszczenie rzeczy, rwanie książek, rzucanie wyzwisk...

Nie wstydzę się płaczu i prób rozmowy. Dzięki nim ta noc zmieniła wiele.

Później, patrząc z łóżka na świt malujący ciemność nieba kolorami różu i złota, podjąłem decyzję: spróbuję jakoś żyć. Nie zapomniałem o tym, co kilka godzin temu chciałem zrobić, ale zachowałem tę możliwość jako ostateczne wyjście. Łatwiej żyć, mając alternatywę.

Przewróciłem się na bok, napięte nocnymi przejściami mięśnie zaprotestowały. Usiadłem na materacu i spojrzałem na uchylone drzwi – warunek, pod którym rodzice zostawili mnie samego. To aż śmieszne, ile odcieni ma wstyd, a ja właśnie mogłem poczuć jego kolejną odmianę. Zacisnąłem pięści i wstałem.

Miałem prosty plan – początek nowego etapu powinienem zacząć od przeprosin. Nagle uderzyły mnie jednak odór i lepkość zaniedbanego ciała oraz ubrań. Najpierw łazienka, pomyślałem więc, a kolejny odcień wstydu zabarwił myśli. Rodzice tak długo znosili moją obskurność. Jedyнным komentarzem, czy raczej zachętą do zmiany, była przynoszona przez mamę czysta odzież.

Zmodyfikowałem plan – wygrzebywanie się z żałoby po przeszłości zacznę od porządnego prysznica. W końcu, jak mówił jeden z moich coachów, czystość ciała to wstęp do czystości umysłu. Poza tym myślałem, że porządne przeprosiny wymagają porządnego wyglądu.

Otworzyłem walizkę, której nawet nie rozpakowałem po przyjeździe. Wyciągnąłem kosmetyczkę oraz świeże ubrania. Spojrzałem na designerskie spodnie i jedwabną koszulę. Odłożyłem je,

zabrałem tylko bokserki oraz skarpetki i podszedłem do szafki, na której mama zostawiła mi złożony w kostkę stosik wygodnych ciuchów. Nowy etap – nowy ja, pomyślałem. Wziąłem je i wyslizgnałem się na korytarz. Nie chciałem obudzić rodziców, lecz okazało się, że już, a może jeszcze, nie śpią.

Na ich widok zatrzymałem się jak jeleń zaskoczony światłem reflektorów.

– Chciałem was bardzo prze... przeprosić. – Ostatnie słowo jakby utknęło mi na moment w gardle pod wpływem emocji.

Mama tylko machnęła ręką, szybko się odwróciła i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę. Tata chrząknął, potarł zaczerwienione, opuchnięte oczy, spojrzał na trzymane przeze mnie ubrania i podjął próbę uśmiechu.

– Przyda mi się... – zaczął, po czym odchrząknął i znowu potarł oczy. – Przyda mi się dzisiaj twoja pomoc. Prace porządkowe w parku. Jeśli chciałbyś...

Kiwnąłem szybko głową, nie pytając o szczegóły.

– To ja wam zaraz zrobię śniadanie – powiedziała mama lekko drżącym głosem. Otarła oczy i policzki i wyciągnęła z szafki patelnię. Jak zwykle, gdy myślała o czymś innym, z lekkim rumorem.

W poprzednim życiu denerwowało mnie to przypadkowe uderzanie garnkami czy proponowanie jedzenia zamiast rozmowy. Brałem to za marginalizację problemów. Teraz przyjąłem znaną codzienność z ulgą. Zrozumiałem, że mama nie umniejszała problemów, po prostu komunikowała emocje w innym języku. Języku, którego nawet nie próbowałem wcześniej zrozumieć, jednocześnie oczekując, aby mówiła w mój wypracowany sposób.

Kiedy wyszedłem z łazienki, mama wskazała mi miejsce na przeciwko taty i od razu nalała do kubków mocnej kawy. Potem nałożyła nam wszystkim na talerze obłędnie pachnącą jajecznicę z cebulką i pomidorami.

– Wow! – wyrwało mi się, na co mama uśmiechnęła się lekko.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

– Te jajka... – powiedziałem po przełknięciu ostatniego kęsa. – Pomidory! Są pyszne! – Stwierdziłem fakt, ale też chciałem sprawić jej przyjemność. – Musicie mieć tu świetny sklep.

Nawet lepszy od tych ekologicznych w... – przerwałem. „W Warszawie” smakowało goryczą porażki.

– Żaden sklep. Tutaj tylko drony latają z zamówieniami – powiedział szybko tata, po czym dodał z dumą: – To wszystko jest nasze, osiedlowe. Postawiliśmy kurnik, a cebula i pomidory są z balkonu. Pokażę ci, bo dzisiaj nie musimy się spieszyć. Chodź.

Wstał i wskazał na mamę:

– Twoja mama ma po prostu, ten no – pstryknął – *green thumb!* – powiedział i odsłonił w uśmiechu lekko krzywe zęby w kolorze kości słoniowej.

Wydały mi się dziwnie żółte w porównaniu do śnieżnobiałych, idealnych licówek, do których przywykłem. Zastanowiłem się odruchowo, czy też będę takie miał, jeśli pożyję tu dłużej. Jeśli nie mieli tu sklepu, to czy mieli dentystę?

Tata chyba wziął mój brak odpowiedzi i chwilowe zawieszenie wzroku za niezrozumienie, gdyż wyjaśnił:

– Wiesz, twoja mama to prawdziwa magiczka od roślin. *Green thumb*. Tak?

Tym razem szybko przytaknąłem z uśmiechem. Natomiast mama, jak to mama, stwierdziła, że przesadza, i zaczęła zbierać talerze. Szybko dopiłem kawę, której jedyną zaletą była wysoka zawartość kofeiny, i poszliśmy na balkon.

Aż zamrugalem ze zdziwienia, gdyż faktycznie robił imponujące wrażenie. Zapamiętałem szarą, niewykończoną przestrzeń, z wiecznie leżącymi po kątach płytkami, deskami czy z innymi pozostałościami po domowych projektach taty. Tymczasem teraz, w promieniach złotej godziny, balkon wyglądał jak miniaturowa dżungla urodzaju. Wydawał się też znacznie większy. Moją uwagę przykuły jednak widoczny pomiędzy blokami fragment ogrodzenia oraz wysoki mur i rozciągający się za nimi ogromny trawnik ułożony naprzemiennie z pasów różnokolorowej trawy. Przełknąłem ślinę. Trawniki wyglądały intrygująco. Lepiej niż leżące tam niegdyś dzikie boisko, przedszkole, obskurny supermarket i stary park z ruiną pałacyku. Dlaczego więc poczułem ciarki na plecach?

– Widząc, jakie cuda robi twoja mama, sąsiedzi oddali nam połowę swojego balkonu – powiedział tata, przywołując mnie do tu

i teraz. – Najpierw nie chcieliśmy, ale przekonali nas, że używają go jedynie do suszenia ubrań. A do tego wystarczy im tylko połowa i szkoda marnować resztę. Pomogli nam je połączyć i zbudować nową ścianę. Dajemy im za to część plonów. – Zaśmiał się z lekką dumą. – Nie chcieli, ale znasz swoją mamę.

Pokiwałem głową, bo nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nadal byłem pod wrażeniem zmian. Poza tym na widok owoców pyszniących się kolorami w słońcu doznałem przeblysku dawnego ja. Rzeczy miały wartość tylko wtedy, kiedy nadawały się do sprzedania. A za te tutaj można było uzyskać dobrą cenę. Kompletnie nie znałem się na uprawie, ale od razu pomyślałem o zwiększeniu wydajności... Ile takie dorodne pomidory i cała reszta kosztowałyby w sklepie ekologicznym w Warszawie? A gdyby tak...

– Nie chcemy tego sprzedawać – oznajmił tata, jakby czytał mi w myślach.

– Czemu? – Spojrzałem na niego z niezrozumieniem i lekką dezaprobatą.

– Bo też musimy jeść. Wiesz, ile kosztuje zamówienie tu drona ze sklepu? Można oczywiście pojechać samemu, ale to także są koszty. Poza tym jakość rzeczy, które nam wysyłali... – Machnął ręką, skrzywił się i zmełł przekleństwo pod nosem. – Zapomnij. Jakies totalne badziewie. Odrzuty z odrzutów. Dlatego twoja mama się w końcu tak wkurzyła, że kazała mi zbić doniczki z tych leżących na balkonie desek. Znalazła w bibliotece książki o uprawie roślin. Poszperała w internecie. Załatwiliśmy ziemię i tak się zaczęła balkonowa rewolucja.

Podszedłem do balustrady i wychyliłem się ostrożnie, aby nie zgnieść roślin. Kątem oka zauważyłem, że tata wyciąga rękę, jakby chciał mnie złapać, po czym szybko ją cofnął. Chrząknął i dodał:

– Potem twoja mama zaczęła namawiać do zmiany sąsiadów. Zaskoczyło, kiedy sąsiadki spróbowały naszych pomidorów. Też chciały takie, a najlepiej własne. Nawet ktoś ukuł hasło „Pomidory zamiast petunii”.

Zaśmiał się niby z żartu, chociaż kątem oka dostrzegałem napięcie w jego sylwetce. Potem dodał:

– Od kilku lat wszyscy kolektywnie podejmują decyzję, co sadzimy na osiedlu, żeby jakieś choroby czy inne złe się nie przenosiły za bardzo. Taka balkonowa trójpółówka czy raczej czteropółówka.

Znowu przytaknąłem.

Tata chrząknął.

– A jajka są od cioci Anieli z osiedlowego kurnika. Pamiętasz ciocię Anielę? – zapytał.

– Trochę – odpowiedziałem. – Nadal mieszka... – nie mogłem sobie przypomnieć nazwy miejscowości, gdzie miała dom siostra taty – ...no tam pod lasem?

Tata pokręcił głową.

– Nie. Teraz mieszka tutaj. Na osiedlu. Przepisała dom i gospodarstwo dzieciakom w zamian za dożywocie, ale ją oszukały. Sprzedały wszystko deweloperowi. Podzieliły się kasą, a Aniela została sama. Z kurami i psem. Zadzwoiła do nas, że nie ma gdzie mieszkać. Że wyrzucili ją, Czarta i kury za płot i nie wie co zrobić. To ją wzięliśmy tutaj. Pan Stasio, wiesz, ten z dwójki... – pokręciłem głową, a tata zamiast wyjaśnić, machnął ręką w kierunku jednego z bloków – ...potrzebował kogoś do pomocy w domu. Niby gotowanie, sprzątanie, a tak naprawdę to smutno mu było same-mu na starość. Poznaliśmy go z Anielą, zaiskrzyło i mieszkają teraz razem. Oczywiście z Czartem. A kury są tam, pod dwójką. – Wskazał niewielką, zaskakująco schludną dobudówkę przy węższej ścianie bloku obok.

Znowu wychyliłem się lekko z balkonu. Tym razem tata także drgnął.

– Tadek z trójki zaprojektował i zdobył materiały, i zbudowaliśmy. Niby tylko kurnik, a ocieplany i z ogrzewaniem. – W jego głosie znowu zaiskrzyła duma. – Kiedyś Tadek był majstrem na budowie, ale po wypadku, jak potrzebował rehabilitacji, to go wyrzucili. I jeszcze zwalali na niego winę, żeby kryć jakiegoś idiotę przydupasa, przez którego to wszystko się stało.

Westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Wiesz, synek – powiedział miękko – tu, na osiedlu, większość z nas ktoś oszukał. Wykorzystał. Zastąpił. Albo po prostu zostawił, porzucił, bo zakład pracy uległ likwidacji. – Poklepał mnie po ramieniu i wszedł do mieszkania.

– Was też? – rzuciłem w stronę jego pleców.

Zgrzytnął zębami i odwrócił się powoli.

– Pamiętasz sprawę Amber Sold? – zapytał.

– Nie... – odparłem w ten charakterystyczny sposób, w którym w języku polskim wyraża się niedowierzanie zmieszane z pytaniem.

– Straciliśmy wszystkie oszczędności. Także większość z kont emerytalnych. Bo to przecież miała być taka świetna inwestycja. – Zmełł przekleństwo pod nosem i przez moment wyglądał, jakby chciał splunąć. – Niby procesy nadal się toczą, ale... – dodał po chwili i wzruszył ramionami. – I tak pewnie do końca życia będziemy musieli pracować, żeby jakoś... żyć.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedzieliście?

– Hmm. Nie chcieliśmy cię martwić. Miałeś na głowie rozwód i zmianę pracy. Rzadko dzwoniłeś. Nie chcieliśmy ci dorzucać naszych problemów. Poradziliśmy sobie i radzimy nadal.

– Ale... – Chciałem coś powiedzieć, lecz rozdzwoniła się komórka taty.

Rzucił spojrzenie na ekran i natychmiast odebrał. Rozmowa nie trwała długo i wydała mi się dość lakoniczna.

– Co się stało? – zawołała mama z kuchni.

– Do państwa przyjeżdżają goście. Mamy się zająć stawem.

– Kiedy?

– Dzisiaj. Teraz. Dostaniemy specjalny bonus za pracę, jeśli pojawimy się na miejscu za maksymalnie kwadrans.

Prychnąłem.

– Za kwadrans? Jak oni was traktują? To się często zdarza?

– Tak... – odparł tata, jakby myślał o czymś zupełnie innym.

– A... – Mama weszła do pokoju i spojrzała znacząco najpierw na tatę, a potem na mnie.

– Jeśli się przydam przy stawie, mogę iść – odparłem.

– Potrzebujemy ryb. Casus praktykanta – zauważyła enigmatycznie mama.

– Casus praktykanta? – powtórzyłem jak echo. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Lokalne prawo wprowadzone przez właściciela posesji – wyjaśniła mama. – Hrabianka, znaczy jego żona, zanim została żoną,

miała fatalne doświadczenie na praktykach. Ponoć wyliczano jej liczne błędy i tak dalej. Wobec tego na jej prośbę zarządca posesji ma łagodniej traktować praktykantów.

Tata pokiwał głową i rzucił:

– Jesteś gotowy?

– Zaraz będę.

– W takim razie nie ma co gadać, trzeba się zbierać.

– Idźcie, idźcie, tylko nie zapomnij dowodu – powiedziała mi mama i zniknęła w przedpokoju.

– Tak, weź dowód, a ja zgłoszę cię na pomocnika-praktykanta. I tak miałem to zrobić dzisiaj, tylko później – odparł tata. Otworzył aplikację w telefonie i zaczął coś pisać. – Tylko szybko.

– Macie pracownicze apki? – zapytałem.

– Mhm – mruknął i popędził mnie uniesieniem brwi.

Poszedłem więc do swojego pokoju po dokumenty. Chwilę później w drzwiach przystała mama.

– Masz wodery, zobacz, czy będą pasowały. – Podała mi coś, co wyglądało, jak spodniobuty, połączenie ogrodniczek z gumiakami.



Dopiero poza mieszkaniem rodziców zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłem nieobecny duchem, kiedy tu przyjeżdżaliśmy. Kompletnie nie zwróciłem wówczas uwagi na zmiany, jakie zaszły we wnętrzu budynku. Mimo wczesnej pory klatka schodowa wydawała się jakaś jaśniejsza i odrobinę ładniejsza.

– Twoja mama miała dosyć zniszczonych lamperii i razem ze swoim kółkiem ogrodnictwa balkonowego zorganizowała odnowienie klatek. Oczywiście poza parterem – powiedział tata. – Tak, dek pomógł im z materiałami.

– Dlaczego poza parterem? – zapytałem, gdy wchodziliśmy do windy, równie obskurnej co za mojej młodości.

– Żeby mieć możliwość kontroli narracji.

– Co? – Aż uniosłem brwi z wrażenia, gdyż tata nagle zabrzmiał bardziej jak mój kumpel z PR niż mało znaczący urzędnik z zadupia.

– Żeby mieć możliwość kontroli narracji – powtórzył powoli tata. – Powinieneś wiedzieć, jakie to ważne – zauważył. – W zależności od potrzeby pokazujemy zainteresowanym obraz biedy lub względnego radzenia sobie. Najczęściej jednak to pierwsze. Na przykład kiedy rozpuszczaliśmy plotkę o azbestie. Że niby jak komuniści budowali te bloki, to go używali. Ludzie to wzrokowcy, więc porobiliśmy też odpowiednio paskudne zdjęcia na parterze, w windzie i na dachu.

– Przecież to bzdura! Te bloki nie są aż tak stare. Może projekty powstały za komunizmu, ale same bloki już po.

– Nieważne, czy to bzdura, ważne, że działa.

– Bogatym nie przeszkadza ten azbest?

– Przeszkadza, nie przeszkadza. Na wszelki wypadek zbudowali od strony osiedla wyższe mury. Poza tym nie dorobili się fortun, wnikając w szczegóły warunków życia i traktowania pracowników. Wystarczy im, że mają tanią siłę roboczą – zauważył i wyszedł z windy na wyjątkowo obskurną klatkę. Wyglądała nawet gorzej, niż pamiętałem. – Domalowaliśmy trochę brudu i zbiliśmy część tynku. Sąsiadkom bardzo się nie podobał ten pomysł. W końcu jednak czego się nie robi dla celu.

– Mogliście użyć programów graficznych.

– A weź daj spokój. Jeszcze jakiś spec od rozpoznawania deepfake'ów by się przyczepił. A tak wyszło spójnie. Na dachu też. Tadek skombinował gdzieś trochę eternitu. Położyliśmy do sesji i wyszło miodzio.

– Mieliście chociaż maski?

Tata uciekł spojrzeniem w bok. Pokręciłem głową. Cały tata. Wyszliśmy z bloku. Przestrzeń przed nim i pomiędzy budynkami była zarośnięta jakimiś wybujałymi chwaściorami, które zastąpiły nawet miejsca parkingowe.

– Krzewy aronii, porzeczki, śliwa, orzechy, winogrona... – wyliczał tata. – W tym roku będziemy mieć też wreszcie własne jabłka. Mama z ciotką Anielą i resztą klubu starają się, aby to wszystko wyglądało na półdzikie. Tak na wszelki wypadek. Bez idealnych rzędów. Nie może być za ładnie i równo. Chociaż ja tam lubię, jak jest właśnie tak. Przypomina mi to ogród dziadków.

Pokiwałem głową. Mimo znanych nazw dla mnie to wszystko i tak wyglądało jak wyrośnięte zielsko.

– Parking przenieśliśmy na tył trójki – powiedział tata, wskazując na odpowiedni blok. – Tam było najwięcej cienia, gorsza ziemia i mało co rośło.

– Wszystkie samochody się tam zmieściły? – spytałem zdziwiony, pamiętając zatłoczone wieczorem i wczesnym rankiem parkingi.

– Mareczku... – zaczął tata.

Skrzywiłem się na nie lubiane zdrobnienie. Zauważył to i dokończył:

– Synu, to nie stolica. To już nawet nie małe miasto czy wioska, tylko osiedle pracownicze. Tu jest inaczej. Kilka elektryków na nas wszystkich wystarczy. I tak, elektryków. Nawet hybrydy musieliśmy zmodyfikować, bo tu już nie ma ani jednej stacji paliw w okolicy. Nie opłacało się. No i bogaci wolą ciche samochody bez spalin. Nie ma też teatrów, muzeów, kin, sklepów. Nawet lekarze pierwszego kontaktu i szkoły są on-line. Nie ma przedszkola. Zresztą dzieci też nie ma dużo. Już? Jeszcze? Nie wiem. Przyszłość pokaże. Chodź. Nie ma co marnować bonusu. Pokażę ci, jakie mamy limuzyny w pracy.

Im bliżej ogrodzenia podchodziliśmy, tym bardziej zdawało się maleć w cieniu leżącego kilka kroków za nim muru.

– Po co postawili i ten płot? – zapytałem, gdy przechodziliśmy przez wąską furtkę.

– Nie postawili – odparł tata. – Myśmy to zrobili.

– Po co?

– Żeby im pokazać, że też ich mamy w głębokim poważaniu – powiedział cicho.

Prychnąłem.

Tata nie zareagował, tylko podszedł do muru. Na gładkiej powierzchni znajdował się ekran z czytnikiem i skanerem. Tata aktywował go, przedstawił się, dodając, że jest z nim druga osoba: pomocnik-praktykant, i podał moje nazwisko oraz stopień pokrewieństwa. Następnie przyłożył do gładkiej powierzchni dłoń. Właściwie momentalnie został zidentyfikowany jako upoważniony do wstępu na posesję.

– Teraz ty – powiedział tata.

– Mam przyłożyć dłoń?

– Tak. Potem postępuj zgodnie z instrukcją. Rejestracja jest błyskawiczna. Masz dowód?

Przytaknąłem i przyłożyłem dłoń do skanera.

– Wykryto nowe odciski palców – poinformował mechaniczny głos. – Proszę o podanie nazwiska, okazanie dokumentu tożsamości i podanie celu wizyty.

Zastosowałem się do instrukcji. Zawahałem się tylko przy celu wizyty.

– Rejestracja nowego praktykanta. Pomoc w oczyszczaniu stawu rybnego – powiedział tata zza moich pleców.

Automat zaczął grać *Disturbie* Rihanny, po czym poprosił tatę o potwierdzenie mojej tożsamości oraz celu wizyty. Nazwał przy tym tatę moim opiekunem praktyk oraz zagroził, że w wypadku naruszenia regulaminu konsekwencje poniesiemy zarówno on, jak i ja.

Tata potwierdził, że rozumie i zgadza się z warunkami, a ja dostałem do akceptacji krótką umowę. Wyświetliła się na ekranie oraz została mi przeczytana automatycznym głosem. Była zaskakująco mało skomplikowana w porównaniu z tymi, które podpisywałem do tej pory. Zaskakująco niskie były też stawki godzinowe. Do tego otrzymałem informację o monitorowaniu mojej pracy na bieżąco za pomocą specjalnego systemu audio-wizualnego. Chciałem to jakoś skomentować, lecz tata popędzał do szybkiego załatwienia formalności. Gdy tylko potwierdziłem umowę odciskiem kciuka (nawet nie podpisałem, przez co poczułem się potraktowany jak analfabeta), część gładkiego muru zapadła się i ukazała przejście.

– Chodź – zakomenderował tata. – Urządzenia do nagrywania mają zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo i komfort pracy, dlatego umieszczono je w murze, pojazdach oraz oczywiście infrastrukturze posiadłości. Myślałem, że będziemy mieć więcej czasu na wyjaśnienia rano w domu.

Chciałem coś powiedzieć, ale tylko pokręcił lekko głową. Przeszliśmy na drugą stronę. Wejście zamknęło się za nami równie szybko i cicho, jak wcześniej otworzyło.

– Nieźle – skomentowałem. Po czym dodałem: – Rozumiem kontrolę dla lepszej pracy i tak dalej, ale czemu nie pytano nas o urządzenia do nagrywania? Wiesz, jak przy tajnych projektach, kiedy trzeba zostawiać elektronikę przed wejściem na salę. Nawet u mnie w firmie to czasem robili. Nie musiałem też podpisywać teraz żadnej klauzuli poufności. Myślałem, że mają ob... znaczy, są wyczuleni na tym punkcie.

Tata skrzywił się, jakbym powiedział coś głupiego, po czym odparł głośno:

– Prawo do prywatności jest świętym prawem. Nasi wspaniali pracodawcy kontrolują większość kanałów informacyjnych, czyli wszystkie te, które mają znaczenie. – Udał, że poprawia mi kaptur bluzy i wyszeptał: – Nawet plotki są do pewnego stopnia kontrolowane, na podobnej zasadzie, jak my rozpuszczamy te o azbeście. – Odsunął się i dodał głośno: – Jeśli natomiast nieoficjalnie nagrasz tu coś, żadna szanowana agencja informacyjna tego od ciebie nie kupi. Jeśli zamieścisz filmik w internecie na jednym z portali społecznościowych i oznaczysz lokację, zostanie usunięty prawie tak szybko, jak go wstawiłeś, o ile w ogóle uda ci się go załadować.

– Bzdura, przecież widziałem...

– Wiem, co widziałeś – wszedł mi w słowo tata. – To były „oficjalne”, czyli kontrolowane przecieki. Wierz mi, kilku młodych próbowało szybko zarobić na sprzedaży informacji. Więc nawet o tym nie myśl! – powiedział głośno, jakby na pokaz, i pokiwał karcąco palcem. Następnie stanął tyłem do muru i wyszeptał: – Wnuk Tadek trafił w ten sposób do więzienia. Chciał pomóc w zebraniu kasy na rehabilitację dziadka. Myślisz, że dlaczego Tadek robi teraz to, co robi?

Chciałem zapytać, co takiego robi, ale tata wskazał na jeden z kilku pojazdów, wyglądający jak cyberpunkowa wersja trzykołowych włoskich Piaggio Ape w wersji *de luxe* i powiedział:

– Wskakuj na pakę.

Sam wsiadł do kabiny kierowcy. Oczywiście pojazdy były elektryczne, z dodatkowym niezależnym źródłem ładowania w postaci baterii słonecznych.

Tata aktywował ekran i ruszyliśmy z miejsca.

– Te pasy z trawy to jakaś nowa moda ogrodowa na boisko do piłki nożnej? – zapytałem po chwili, wskazując na zmieniające się kolory roślin.

– Każdy pas ma metr szerokości. Te bordowe oznaczają dziesięć metrów. Ten przemyślany, a jakże prosty system ma pomagać w identyfikacji stopnia penetracji zagrożeń, gdyby ktoś niepowołany przedostał się przez mur.

Spojrzałem na tatę ze zdziwieniem, chociaż pomny jego wcześniejszych uwag nie powiedziałem ani słowa.

Wreszcie przejechaliśmy szerokie pole traw i dotarliśmy do pierwszych drzew. Następnie minęliśmy coś, co wyglądało jak zagajnik bambusowy z kilkoma ścieżkami. Tata przystanął przy jednej z nich i wysiadł z pojazdu.

– Chodź – powiedział, a ja zacząłem się zastanawiać, czy „chodź” stało się jego ulubionym słowem. Skojarzyło mi się także z *follow* używanym w anglojęzycznych grach przez osoby mentorskie.

– Widzisz te dwa kamienie? – Wskazał na szare otoczaki leżące przy ścieżce. – Szare oznaczają przejścia dla pracowników. Białe dla państwa i gości – powiedział i wszedł między rośliny.

Ścieżka prowadziła do niewielkiej, wyglądającej jak uroczy, drewniany domek narzędziowni. Tata przycisnął kciuk do ekranu zamka, wpisał kod i otworzył drzwi.

– Każdy pracownik dostaje swój indywidualny kod.

– Nic nie dostałem.

– Bo na razie jesteś tylko praktykantem. Zamiast kodu dostajesz większy margines popełniania błędów zgodnie z casusem praktykanta.

Zaczął wyciągać z narzędziowni wiadra, siatki, pojemniki i inne przedmioty, których nazwy wówczas nie znałem. Podał mi część i wyszeptał:

– Czyli możesz spieprzyć więcej rzeczy, co nam się bardzo przyda.

Odsunął się i wrócił do przeglądu sprzętu. Odłożył wędkarskie wodery, po czym podjął heroiczną próbę wpasowania podbieraka w stosik, który już trzymałem. Zrezygnował i dodał:

– No, nie stój tak, wracaj do auta i ładuj to wszystko na pakę.

Wróciłem ścieżką do naszego środka transportu i zacząłem operację przypominającą zabawę w *Tetris*. Po chwili tata wyszedł z zagajnika z kilkoma innymi przyborami, w tym czymś, co wyglądało jak jakiś dziwaczny minitransformers. Załadował całość na tył auta, zrobił mi miejsce w szoferce i ściśnięci pojechaliśmy do stawu.

– Kto zazwyczaj z tobą jeździ? – zapytałem po drodze.

– Twoja mama. Zajmuje zdecydowanie mniej miejsca.

Prychnąłem.

Tuż przed stawem skręciliśmy w zjazd dla pracowników, który doprowadził nas do niewielkiej, wysypanej połyskującym piaskiem plaży.

Wysiadłem z ciasnej kabiny i przystanąłem z wrażenia. Przestrzeń aż pulsowała intensywnością kolorów, jakby została utkana z barwnej esencji i złocistego światła. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz widziałem coś tak pięknego. Czy była to iluzja wywołana odpowiednim kątem padania promieni słonecznych? Czy dni spędzone w ścianach ciasnego pokoju i wydarzenia z ostatniej nocy sprawiały, że życie smakowało inaczej? A może przyczyn zachwyty należało szukać w ostatnich stresujących tygodniach w stolicy spędzonych na wysyłaniu CV, próśb o spotkania czy błagań o odroczenia płatności... Niezależnie od powodu widok wody rozjaśnionej refleksami i rzucającej migotliwy blask na falujące w porannym wietrze liście, złocistych łuków dachów pagody na wysepce, czapli zrywającej się do lotu, pasm mgły otulającej brzegi oraz krystaliczne powietrze i śpiew ptaków... Ach! To wszystko zdawało się magicznie oczyszczać duszę i umysł.

– No, nawet tu ładnie. Chociaż jest lepiej, kiedy staw jest całkiem wypełniony wodą – skomentował tata. – A teraz do pracy.

Otrząsnąłem się z zauroczenia i zapytałem:

– Co mam robić?

Tata, zanim odpowiedział, podszedł do trójkółowego auta i włączył radio. Następnie wrócił do mnie i powiedział cicho:

– Błędy. W końcu jesteś praktykantem, a my potrzebujemy ryb. Pamiętasz, jak kiedyś zabrałem cię do dziadka? Uczył cię łowić.

– Nie bardzo – odparłem równie cicho.

– No to sobie przypomnisz. – Puścił oko i dodał głośniej: – A na razie wypakuj sprzęt i nalej trochę wody do wiader. Przywiozę zbiornik – powiedział i już miał sobie iść, gdy wtem na ziemię koło jego nóg upadło coś przypominającego dwie kostki w kolorze khaki.

– O! – powiedział tata. Podniósł je, obejrzał uważnie i schował do kieszeni. – Dobra robota.

– Do kogo mówisz? Do mnie? – zapytałem szeptem.

– Nie – odparł tata, wyciągnął z drugiej kieszeni garść orzechów i powiedział cicho, wskazując na mnie:

– To przyjaciel. – Poklepał mnie po ramieniu. – Przyjaciel. Możesz się pokazać. – Rzucił orzechy dwa metry od siebie i powtórzył. – Przy-ja-ciel.

Po ostatnim zapewnieniu nad nami rozległ się szum skrzydeł i przy orzechach wylądował duży, szaro-czarny ptak.

– Wrona? – zapytałem, a ptak spojrzał na mnie, przechylając głowę.

– Ciii! Nie tak głośno. – Tata wskazał na zaparkowany pojazd. Potem podszedł do mnie jeszcze bliżej i dodał cicho: – To Kacper. Z rodziną likwidują podsłuchy i niszczą kamery w parku. Ale nadal działają te w aucie. Dlatego zostawiamy chodzące radia, żeby zagłuszały.

– Co?!

– Ciii... – złązał mnie tata. Przysunął się bliżej i zaczął szeptać: – Pytasz o działania wron czy o podsłuchy?

– I to, i to.

Tata nabrał głęboko powietrza, jakby szykował się do dłuższej opowieści.

– Państwo nie życzyli sobie wron, bo ich krakanie to według hrabianki zły omen. Więc kazali zarządcy, a on nam, pozbyć się ich z posesji. Tylko że... no nie mogliśmy. Bo co te wrony winne, że kraczą? Brzmia, jak brzmia, i zawsze tu były. Pamiętasz? W parku i okolicy?

Przytaknąłem.

– No właśnie. I tak sobie pomyśleliśmy: nie wystarczy, że bogaci wykupili całą ziemię i przeorali wszystko? Zamknęli nas w osiedlowym obozie? Jeszcze ptaki im przeszkadzają! No nie mogliśmy

po prostu, chociaż zarządca straszył nas karami za brak wydajności i wyzywał od idiotów, których potrafią przechytrzyć nawet ptaki. Tylko koniec końców nie umiał udowodnić, czy nam nie wychodzi ta eksterminacja wron, bo jesteśmy owymi idiotami, czy ze złej woli. Wreszcie wezwał ekipę z miasta i chciał już tylko, abyśmy wskazali im gniazda. – Przewrócił oczami. – W tym czasie znaleźliśmy też pierwsze urządzenia śledzące.

– Myślałem, że o nich wiedzieliście?

– O tych oficjalnych, w samochodach i na budynkach, tak. O tych nam jednak nie powiedziano. Dopiero gdy zarządca ukarał Tadka za wysikanie się w krzakach, zaczęliśmy się zastanawiać, czy na terenie posiadłości nie ma innych kamer. Do kibla było daleko, a jak trzeba, to trzeba. Nieważne. – Machnął ręką. – Po kilku innych zdarzeniach doszliśmy do wniosku, że jesteśmy tutaj monitorowani non stop niczym w tym klasyku, nooo – pstryknął palcami – *Truman Show*. Zaczęliśmy szukać kamerek, ale to naprawdę nie było proste. Znaleźliśmy kilka pluskiew w krzakach, jednak tak naprawdę pomogły nam wrony.

Jakby na komendę gdzieś nad nami rozległo się krakanie.

– Tak, tak. Wy – powiedział tata w kierunku koron. Znowu rzucił kilka orzechów i wrócił do opowiadania: – Aniela, moja siostra, wpadła na pomysł, aby spróbować je wytrenować i... zadziałało. Niby słyszysz, że krukowate to mądre ptaki, ale to naprawdę są cholernie mądre ptaki. Nawet prawie przestały krakać koło budynków. Za to jeśli zarządca zostawi gdzieś samochód, bezwzględnie zasrywają karoserię. Są niesamowicie celne. – Ponownie uniósł twarz do koron drzew i obiecał ptakom rybne resztki. Następnie westchnął i dodał: – Czekaj, muszę w końcu iść po ten zbiornik.

Wrócił kilka minut później miniciągnikiem z doczepioną cysterną i zabraliśmy się za pracę. Pracę, jakiej doprawdy się nie spodziewałem. Polegała bowiem na odłowieniu zwykłych karpi, żeby nikt z zaproszonych na najbliższy weekend bogatych gości nie pytał, czemu w stawie ze specjalnie sprowadzanymi z Japonii ozdobnymi koi pływają te zwykłe, bure.

– A dlaczego pływają? – zapytałem cicho, wyczuwając śliskość tematu.

– Bo ktoś popełnił błąd – odpowiedział tata z krzywym uśmiechem. – Nigdy nie ustalono, czy był to zamawiający, hodowca, przewoźnik czy ktoś inny. Po prostu pewnego razu zauważono, że wśród barwnych karpki pływają te mniej „spektakularne wizualnie”. Do tego te zwykle zaczęły się krzyżować z ozdobnymi. Najpierw zrobiono „twardy reset”. Jednak problem znowu się pojawił, więc teraz tylko od czasu do czasu odławiamy część tych zwykłych, żeby nie rzucały się aż tak w oczy. I pamiętaj – zaznaczył bardzo głośno – mamy być humanitarni. Kolorowe oczywiście wracają do stawu. Zwykle żywe karpie wrzucaj do zbiornika. Ma system napowietrzania i utrzymania odpowiedniej temperatury. Te w odmiennym stanie do wiader i do pojemników na bio.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Tato – wyszeptalem – powiedziałaś, że potrzebujemy ryb.

Przytaknął.

– Czyli dostaniemy ryby ze zbiornika?

– Nie. Te z wiader i pojemników na bio.

– Nie rozumiem. Czemu nie te ze zbiornika?

– Bo zarządca ma wobec nich inne plany. Każdy tu jakoś dorabia na boku.

– A... A jak nie będzie żadnych martwych?

– Na pewno będą.

– Ale przecież...

– Nie martw się o to. Po prostu wrzucaj do wiadra żywe – powiedział tata równie cicho. – Tylko wybieraj ładniejsze. Zajmę się resztą.

Przytaknąłem, bo co innego miałem zrobić? Według rodziców potrzebowaliśmy ryb.

– A kamery w samochodach? Nie złapią nas? Że robimy coś nie tak? – zapytałem po chwili.

– Nie. Ustawiłem samochody tak, że kamery nagrywają tylko kawałek lasku. Poczekaj. – Poszedł do kabiny ciągnika i wyjął z niej torbę z lodem, który wsypał do wiader przeznaczonych na bio. – Pamiętaj, jesteś praktykantem, masz prawo popełniać błędy – powiedział głośno, cicho dodał: – Nawet jeśli błędy polegają na nierozróżnianiu ryb żywych od martwych.

Faktycznie tego ranka myliłem się wielokrotnie. Nie zawsze celowo. Na przykład po tym, jak tata z pomocą półautomatycznego systemu rozłożył ogromną siatkę-pułapkę, spychającą ryby w jedną część jeziora, o mało ich nie wypuściłem. Ostatecznie tata był jednak ze mnie zadowolony. Sprawilo mi to radość, która mnie zaskoczyła. Na koniec załadowaliśmy wiadra z rybami do pojemników na odpadki organiczne (praktykanci mogli robić więcej błędów, a więc i produkować więcej odpadków) i w ten sposób przenieśliśmy je z posiadłości na osiedle.

Przywitano nas prawie jak bohaterów. W moim poprzednim życiu karpie nigdy nie wzbudziłyby takich emocji. Teraz jednak szybko rozdysponowano ryby, chwając mnie za umiejętności, czy raczej, jak żartowano, za ich brak. W wesołym rozgardiaszu zdążyłem przywitać się z ciotką Anielą, której nie poznałem na początku, gdyż wyglądała niczym naczelną wiedźma z filmu o czarownicach. Nie zdążyłem nawet z nią porozmawiać. Zaraz zniknęła gdzieś z tatą i jednym z wiader. Chciałem zapytać, co robią, ale mama zaczęła mnie przedstawiać nowej grupie ludzi.

Tego dnia spotkałem się z kilkoma osobami z dawnych czasów. Dodatkowo mama poznała mnie z nowymi ludźmi, których nazwiska wtedy niewiele mi mówiły, a teraz są na stałe wpisane w moją pamięć. Po wszystkim, gdy znalazłem się sam w pokoju, zdjąłem spodniobuty, padłem na stare łóżko i po raz pierwszy od dawna spałem jak kamień. Przez ponad dziesięć godzin bez choćby jednego koszmaru.



Następnego ranka obudził mnie niesamowity zapach świeżo pieczonego chleba. Wstałem, czując lekki ból w mięśniach, i pomyślałem o tacie. Był ode mnie starszy, a wczoraj wydawał się mieć więcej energii niż ja. Trzeba się będzie za siebie wziąć, mruknąłem pod nosem i wyszedłem z pokoju. Zajrzałem do kuchni. Mama właśnie otworzyła piekarnik i wyjęła blaszkę z pięknym, rumianym bochenkiem.

– Mamo?

Postawiła blaszkę na płycie grzewczej i uśmiechnęła się do mnie.

– O, już wstałeś.

– Mhm. Pachnie tak obłędnie, że nie mogłem już spać. Nie to, że narzekam! – zastrzegłem. – Od kiedy pieczesz chleb? Mogę spróbować? Czy kupujesz zamrożone i dopiekasz? Karol tak robił. – Na wspomnienie byłego męża poczułem ukłucie bólu.

– Ech, synek. Sprowadzanie mąki jest tańsze niż chleba, a woda jest jeszcze, odpukać, tańsza niż transport dronem. Pamiętasz? Tu nie ma sklepów.

– Piekarni też nie?

Spojrzała na mnie w ten specjalny sposób mam. Poczułem rumieńce wypływające na policzki i miałem ochotę trzepnąć się w czoło. Przecież gdybym tylko pomyślał, nie musiałbym pytać.

– Najbliższa piekarnia jest w Siedlcach – odparła. – Trochę daleko na ranny wypad po pieczywo. Idź do łazienki i wróć do kuchni. Chleb i tak musi jeszcze trochę odczekać. – Wskazała na dwa bochenki leżące na desce, których wcześniej nie zauważyłem.

Momentalnie zniknąłem w korytarzu.



– A gdzie tata? – zapytałem, delektując się grubą pajdą posmarowaną masłem.

Bąłem się zapytać, czy to ostatnie także jest domowej roboty. Po chwili uznałem, że pewnie nie. W końcu, jak wydedukowałem z lekką dumą, ze względu na zawartość wody ściągnięcie masła było tańsze niż śmietany, a krów nigdzie nie widziałem. Jeszcze.

– Tata jest w byłym mieszkaniu Karola – odparła mama.

Z wrażenia o mało nie upuściłem kanapki.

– Syna Tadka – dopowiedziała szybko. – Nie twojego. – Odwróciła się i zaczęła z pietyzmem kroić chleb na wręcz idealnie równe kromki.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. To nie była wina mamy, że wspomnienia nadal bolały, chociaż niby wiedziałem, że wiele osób nosi imię Karol.

– Pyszny chleb, mogę jeszcze trochę? – zapytałem wreszcie.

– Nadal lubisz piętki?

– Są najlepsze!

– Dwie kromki wystarczą ci na śniadanie czy chcesz więcej? – zapytała i podała mi przylepę.

– Wystarczą – odpowiedziałem z pełnymi ustami.

Mama przytaknęła i zaczęła uważnie dzielić na części i zawijać resztę pokrojonego chleba.

– Zamrozimy je, żeby codziennie rano mieć świeże – wyjaśniła, a ja znowu pomyślałem o Karolu.

Złajałem się w myślach i zapytałem o pierwszą rzecz, która mi przyszła do głowy:

– Idziesz dzisiaj do pracy? Potrzebujesz praktykanta?

– Czemu nie, dodatkowa para rąk zawsze się przyda. Pamiętasz jeszcze, jak cię uczyłam sprzątać?

– Jak mógłbym zapomnieć – odparłem i trochę pożałowałem, że zapytałem o pracę.

Myślałem o czymś ciekawszym. Nie lubiłem sprzątanía, chociaż nie gardziłem porządkiem. Dlatego od dawna korzystałem ze sprzątaczkí. Korzystałeś w poprzednim życiu, przypomniál cichy głos w myślach. Jeśli mama, w dawnym życiu bibliotekarka i naczelna lokalnej gazety, mogła sprzątać, to tobie też korona z głowy od tego nie spadnie.

Nieświadoma moich przemyśleń, doprecyzowała:

– Mamy sprzątać z Lidką, siostrą Anny, sąsiadką z piętra, poznałeś ją wczoraj. W teorii wolą do sprzątanía kobiety, ale powiemy, że będziemy odkurzać za meblami i przydasz się jako dodatkowa siła robocza. Idziemy po siedemnastej. Kiedy państwo z gośćmi polecą do teatru.

Skrzywiłem się.

– Czemu mówicie na nich „państwo”?

– Bo „właściciel” brzmi dziwnie, jak z czasów kolonialnych. Po nazwisku odpada, bo na osiedlu mamy dwie rodziny o takich samych, więc mogłoby się mylić.

– No to jakoś inaczej?

– Hmm... kiedy wujek Tadek z Karo... swoim synem mówili o nich, przepraszam za język, per chuje, mieliśmy spore

problemy. Przy „państwo” i „hrabianka” nie. I nie, oczywiście Tadek nie mówił tak o nich przy nich, tylko okazało się, że zarządca podsłuchiwał nas nawet przy pieleniu grządek.

– Tata coś wspominał. O wronach też. Nie boicie się, że skurczybyk podsłucha was tutaj?

– Kiedyś się baliśmy. Nawet dokładnie przeszukaliśmy budynki pod kątem podsłuchów i nadal okresowo to powtarzamy. Przeprowadziliśmy też testy werbalne. Niezależnie od rzucanych nazw i groźb nikt nie został zawieszony w pracy i nie dostał choćby upomnienia.

Mimowolnie się zaśmiałem. Takie klęcie na państwo i zarządcę mogło być niezłą sesją terapeutyczną.

Mama kontynuowała:

– Myślę, że tak naprawdę zarządca i państwo mają za dużo na głowie, aby przejmować się nami, jeśli praca jest wykonana dobrze. A zarządca tak naprawdę ma za krótkie ręce i w sumie spał się mentalnie do rozleniwienia na tej synekurze. Na wszelki wypadek nie wchodzimy na salę obrad z osobistymi urzędzeniami elektronicznymi. Komórkami, smartwatchami i innymi.

Musiałem mieć pytanie wypisane na twarzy, gdyż mama wyjaśniła:

– Chcieliśmy stworzyć miejsce, gdzie możemy się spotykać i mówić, co myślimy, bez obaw, że nagra nas na przykład sąsiad z piętra. Więc stworzyliśmy salę obrad.

– A... W sumie ma to sens. Tylko... takie rzeczy naprawdę się zdarzały? Z tymi sąsiadami donosicielami?

Mama przybrała wyraz twarzy niczym mafijny boss. Zaczęła wkładać chleb do zamrażalnika i dopiero po chwili odparła zimno, cedząc wyrazy:

– Tak. Raz. Ale poradziliśmy z tym sobie. Tych ludzi już tu nie ma.

– Zabiliście ich?!

Mama zamknęła zamrażalnik i zaczęła się śmiać, jakbym opowiedział dobry kawał.

– Nie. Nikogo nie zabiliśmy. Po prostu uprzykrzaliśmy im życie tak długo, aż sami się wynieśli.

Chciałem odpowiedzieć: „Gdzie? Przecież to już jest koniec świata!”, lecz w porę ugryzłem się w język.

– Tata idzie później do pracy? – zapytałem zamiast tego.

– Nie, ma dzisiaj wolne. Sobota, państwo nie chcą świadków przy stawie i w ogrodzie. – Pokręciła głową i dodała: – Wiesz co, idź do niego. Zobaczysz efekty waszej wczorajszej pracy i dowiesz się więcej o osiedlu.

Najpierw pomyślałem o spotkaniu lokalnego Karola, potem o jakiejś wędzarni ryb na balkonie i nie bardzo miałem ochotę przystać na tę propozycję. Mama jednak nalegała, ewidentnie uważając to za świetny pomysł na zabicie czasu do siedemnastej. Podała mi adres i w końcu poszedłem. Czasem trzeba wziąć byka za rogi, jak mawiała.



Ku mojemu zdziwieniu otworzył mi nie Karol czy tata, a ciotka. Znowu wyglądała niczym naczelnia wiedźma z filmów o czarownicach, czyli zupełnie inaczej, niż kiedy byłem dzieckiem. Wówczas wołała wygodne dżinsy i eksplodujące kolorami ciuchy. Teraz najwyraźniej preferowała czernie i spódnice do kostek. Jedynymi kroplami koloru były apaszka na szyi i pomalowane na czerwono usta. Jakby próbowała krwistym odcieniem zastąpić ogniste niegdyś włosy. Aktualnie siwe i upięte w wysoki kok.

– O, Marek, przyszedłeś zobaczyć staw? – zapytała.

Oniemiałem. Jaki staw? Ten z wczoraj? U państwa? Przecież...

– Marek? – rozległ się głos taty gdzieś z głębi mieszkania, przerywając tok myśli.

Ciotka zaprosiła mnie gestem do środka. Przekroczyłem próg. Zamknęła dokładnie drzwi i przeszliśmy do pokoju.

Tata wydawał się lekko zmieszany. Spodziewałem się jakiejś wędzarni, a zamiast niej pokazał mi niski, stelażowy, niebieski basen ogrodowy postawiony w dużym, pustym pomieszczeniu, które w przeszłości chyba służyło za salon. Chyba. Nie byłem pewien, gdyż jedynymi pozostałościami po poprzedniej funkcji były

jasne plamy na zakurzonych ścianach wskazujące dawne miejsca mebli.

Podszedłem bliżej zbiornika i zauważyłem, że jest okryty siatką, zaś jego dno wysypano niewielkimi otoczakami. W środku, jak gdyby nigdy nic, pływało kilka średniej wielkości karpi.

– To część tych, które przynieśliśmy wczoraj – wyjaśnił tata. – Zostawiłem kilka żywych, właśnie do tego projektu. Mieliśmy już od jakiegoś czasu przygotowany basen i czekaliśmy na okazję, czyli odławianie karpi.

– Mhm. Czemu mi nie powiedziałeś? – zapytałem, przypominając sobie, jak tata zniknął wczoraj z ciotką i jednym z wiader.

– Chciałem, ale... nie wiedziałem, czy przeżyją. Myślałem, że lepiej będzie poczekać, aż będziemy pewni.

– Odpukać, na razie wszystko dobrze. Karol wzmocnił konstrukcję i zrobił im system napowietrzania i filtrowania wody – dopowiedziała ciotka.

Pomyślałem, że imię Karol chyba będzie mnie tu prześladować.

– Długo je tu zamierzacie trzymać? – zapytałem.

Tata wzruszył ramionami.

– Na razie to eksperyment – wyjaśniła ciotka. – Jeśli przeżyją do jesieni, to będzie sukces. Jeśli do świąt, nie będziemy się martwić o Wigilię. Żartuję. Zostawimy je na tarło.

– Na razie skoncentrujemy się na najbliższej przyszłości – skontrolował tata.

– Czym je karmicie?

– Specjalną karmą i robakami. Założyliśmy minihodowlę glizd. Kury też je uwielbiają.

– Aha – powiedziałem, nie wiedząc, jak to inaczej skomentować.

W tym momencie, gdyby mi powiedzieli, że mają bioreaktor w piwnicy i dzięki zmodyfikowanym bakteriom produkują krowie mleko na masło, wcale bym się nie zdziwił.

– Co masz taką minę? – zapytała mnie ciotka.

– Nie, nic...

– No przecież widzę, że coś.

– Po prostu zastanawiam się, czy nie ukrywacie jeszcze jakichś tajemnic w piwnicy.

Tata z ciotką spojrzeli szybko po sobie, po czym równocześnie powiedzieli:

– Już nie.

– Jeszcze nie.

Popatrzyłem uważnie najpierw na jedno, potem na drugie i zapytałem:

– Która wersja?

Westchnęli niczym rasowe rodzeństwo.

– Mieliliśmy tam kiedyś hodowlę pieczarek. Ostatecznie zrezygnowaliśmy, bo nasz sprawdzony producent podłoża został wykupiony przez inną firmę i przysłali nam jakieś zainfekowane gówno – powiedziała ciotka.

Tata przytaknął.

Nie doczekawszy się dalszego ciągu, zapytałem:

– Czyli to było „już nie”. Co planujecie? Co się kryje pod „jeszcze nie”?

Ponownie wymienili się spojrzeniami, po czym ciotka kiwnęła głową, jakby dawała tacie znak: „teraz ty”.

Tata odchrząknął i powiedział:

– Jeśli ten test z karpami wyjdzie... – Znowu chrząknął, a ja spojrzałem na niego wyczekująco. – No... Jeśli wyjdzie, myśleliśmy o tym, chociaż to w sumie nie jest w piwnicy, tylko pod, w każdym razie myśleliśmy, aby zrobić takie jakby podziemne jezioro.

Przez moment stałem jak oniemiały. Czy dobrze usłyszałem?

– Podziemne jezioro?! – zapytałem wreszcie. – A nie możecie wykopać takiego zwykłego, jak normalni ludzie? Na przykład między blokami?

– W pewnym momencie padł taki pomysł – odparł spokojnie tata. – Jednak podobne rozwiązanie ograniczyłoby tereny, na których sadzimy rośliny. Poza tym... hmm... Niby okoliczni bogacze nie dorobili się fortun, wnikając w szczegóły warunków życia i traktowania pracowników, ale... Nie chcemy wyglądać zbyt atrakcyjnie. Nie chcemy wzbudzać podejrzeń, skąd coś mamy i tak dalej... Nie chcemy także, aby myśleli, że umiemy więcej, niż im oficjalnie pokazujemy. Uważają nas za osiedlowych ćwoków od ciężkiej pracy i niech tak zostanie. Jako wtórni analfabeci mamy spokój. Gdyby mieli dowody, że umiemy więcej... – Rozłożył ręce.

– A umiecie? – wyrwało mi się, jakbym wrócił do wersji siebie z okresu liceum i robienia kariery.

Tata i ciotka natychmiast podobnie zmrużyli oczy i zacisnęli usta.

– To znaczy, wiem, że umiecie – doprecyzowałem szybko. – I nie jesteście ćwokami. Tylko robienie podziemnego jeziora to... To nie budowa kurnika, sprzątanie, łowienie ryb czy sadzenie krzaków na trawniku. Na tym się trzeba znać!

– Marek, wiem, że z twojej perspektywy zawsze byliśmy jednym wielkim zbiorem przegrywów, wręcz biblioteką nieudaczników. Ale wiesz co, po pierwsze, zainwestowanie pieniędzy w piramidę finansową czy przepisanie domu dzieciom nie oznaczają, że jesteśmy ćwokami w innych dziedzinach. Po drugie, popełnianie błędów to też nauka. A wspólnie popełniliśmy ich tyle, że naprawdę wiemy, co znaczy głupota i ryzyko. Poza tym jak nie masz już co przegrać, możesz tylko zacząć zyskiwać.

– No nie wiem. Nadal macie swoje mieszkania. A jak blok się zawali czy coś? W końcu ponoć Tadek miał wypadek na budowie. Jeśli popełnił katastrofalny błąd raz, to może się to zdarzyć ponownie.

Tata zaśmiał się gorzko.

– Co w tym takiego śmiesznego?

– Miałem nadzieję, że się zmieniłeś. Ale nie. Nadal zapamiętujesz wszystko związane z nami tak strasznie wybiórczo. Mówiłem ci, zwalono na niego winę, aby kryć jakiegoś przydupasa. – Westchnął. – Wiesz co, po prostu chodź za mną. Sam ocenisz, czy jesteśmy idiotami i czy czujesz się tu bezpiecznie. Jeśli nie, droga wolna. Możesz wracać do stolicy, czy gdzie tam chcesz.

– Jesteś pewien? – zapytała ciotka, łapiąc go za rękę.

Zamiast odpowiedzi zacisnął zęby, skinął głową i wyszedł z pokoju.

Chociaż było mi przykro, ruszyłem za nim. Już na zewnątrz budynku zapytałem ciotki:

– Czemu nie możecie po prostu nadal korzystać ze stawu... państwa? – Ostatnie słowo ledwie przeszło mi przez gardło.

– Przy sprzątaniu usłyszałyśmy, że hrabiance znudził się styl japoński. Myśli o zmianie i teraz szuka kolejnej inspiracji. – Odmachała pozdrawiającym ją ludziami pielącym chwasty i dodała: – Generalnie ma już dosyć tych cholernych karpi.

Nie wyklucza likwidacji stawu lub zmiany tego terenu w innowacyjny wodno-akwarystyczny labirynt.

– Co?

– Wodno-akwarystyczny labirynt. Czyli labirynt ze ścianami z akwariów. Oni naprawdę już nie mają na co wywalać kasy. Tym razem chce w pełni zautomatyzowany system i jakieś tropikalne rybki i koralowce. Wszystko, byle nie karpie.

– A... – odpowiedziałem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.



Weszliśmy do naszego bloku i wjechaliśmy na ostatnie piętro. Myślałem, że skręcimy do mieszkania rodziców. Tata zapukał jednak do innych drzwi.

Na początku nic się nie stało. Zapukał ponownie, po czym zadzwonił trzy razy, zapukał dwa i ponownie zadzwonił. Chwilę później w ciszy, która zapadła, usłyszałem dźwięk odsuwanej klapki na judaszu i drzwi się uchyliły. Zauważyłem blokujący wejście porządny łańcuch.

– No co tam? – zapytała Lidka. Na oko równolatka moich rodziców z obciętymi na jeża siwymi włosami.

Tata odsunął się i wskazał na mnie.

– Uważa, że jesteśmy idiotami.

Chciałem zaprotestować, lecz ciotka złapała mnie ostrzegawczo za rękę.

– Może i lepiej – odparła Lidka. – Kto nie umie patrzeć, nie zobaczy. Zawsze może wrócić do Warszawy albo posurfować po necie. Tam jest więcej Alignorantów. A przepraszam: Almędrków.

Zacisnąłem szczękę, czując się jak gówniarz, którego obmawiają w jego obecności.

– Chcemy mu pokazać produkcję – powiedziała ciotka.

– Na pewno? – zapytała Lidka, ale zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. – Proszę bardzo. Czym chata bogata, tylko ręce przy sobie, macie nie przeszkadzać i założcie kapcie lub ochraniacze.

Zostawiła nas na chwilę samych. Ciotka szturchnęła mnie, abym zmienił obuwie, i wyszeptała:

– Lidka pracowała kiedyś przy ogniowach fotowoltaicznych. Była cenioną naukowczynią w dużej firmie, aż odkryła, że jej szef zmuszał młode pracowniczki do seksu w zamian za awans. Zgłosiła problem do szefa swojego szefa i zajęto się tym. Czyli zwolniono ją i ukręcono łeb jej karierze. Jej nieodżałowana siostra mieszkała tu wtedy. Zaproponowała Lidce pomoc i tak się to wszystko zaczęło.

– Pani Ania umarła? – zapytałem.

– Tak. W zeszłym roku. Guz mózgu. Nic już się nie dało zrobić. – Pokręciła głową. – Nie mamy tu właściwie żadnej opieki medycznej. Porady on-line muszą wystarczyć, do tego te kolejki... Kiedy Anka wreszcie pojechała do miasta na kompleksowe badania, było już za późno.

Lidka wróciła do przedpokoju.

– Zapraszam – powiedziała. – Tylko nie przeszkadzajcie nikomu.

Weszliśmy w głąb mieszkania. Minęliśmy najbardziej zwyczajnie wyglądający salonik oraz kuchnię ze starymi meblami. Następnie gospodyni otworzyła drzwi, wyglądające na łazienkowe. Faktycznie kryła się za nimi maciupka toaleta. Lidka ponownie oceniła nas krytycznym okiem, sapnęła i nacisnęła na jedną z ceramicznych płytek pomalowanych w kwiatki. Kafelek się zapadł, ściana rozsunęła i wtem naszym oczom ukazał się długi pokój, który wyglądał jak połączenie drukarni oraz laboratorium z jakiegoś filmu o szalonych naukowcach.

Aż uniosłem brwi z wrażenia.

– To projekt Lidki i Anny – powiedziała ciotka.

– Pracujemy nad nowymi rodzajami organicznej folii fotowoltaicznej – wyjaśniła Lidka.

– Ich ostatnia, chociaż wygląda niepozornie, jest niesamowicie wydajna i wytrzymała – dodał tata. – Pokryliśmy już nią prawie wszystkie dachy. Oczywiście pod nadzorem Lidki i Tadka. To był dla nas wielki przełom. Mogliśmy być bardziej niezależni energetycznie i zintensyfikować prace.

– Jakie prace? – zapytałem.

Nikt mi nie odpowiedział. Zamiast tego tata podziękował Lidce i wróciliśmy na klatkę schodową. Zjechaliśmy na parter i weszliśmy do kolejnego mieszkania. Wyglądało jak kwintesencja

zapyziałej zwyczajności. Urządzono je tanimi meblami z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych poprzedniego wieku. Ot, kilka zniszczonych meblościanek, kanapa okryta wytartym kocem, fotel z dziurawymi podłokietnikami, porysowany stół z brudną serwetką i ukruszonym wazonikiem i tym podobne. Niby nic specjalnego, poza tym że za drzwiami ostatniego pokoju kryła się winda. Zjechaliśmy nią na piętro –2, gdzie trafiliśmy na podziemny plac budowy.

– Co to jest? – zapytałem, ledwie wierząc własnym oczom.

– Nasza przyszłość – odparł tata. Po czym przywitał się z Tadkiem i kilkoma innymi pracującymi sąsiadami.

– Jakies sześć lat temu, dobrze pamiętam? – zapytała ciotka, a tata przytaknął. – A więc jakies sześć lat temu hrabianka zażyła sobie stworzenia na posesji kompleksu jaskiń. Oryginalnej kopii tych, które zwiedzili podczas jednej ze swoich tropikalnych wypraw. Stworzono plany, zamówiono materiały, zaczęto prace i... wieczorem, tuż przed majówką, hrabianka zmieniła zdanie. Ponoć nie wiedziała, że budowa będzie trwała tak długo i psuła jej widok podczas przechadzek. Poza tym planowała zaprosić gości na majówkę. Zarządca tak się tym zdenerwował, że trafił do szpitala w stanie przedzawałowym. Budowlańcy z wynajętej firmy już sobie poszli, ale nie ludzie z osiedla. Hrabianka podeszła więc do pierwszej osoby, którą zobaczyła przy placu, czyli twojego ojca. Dała mu kilka tysięcy i powiedziała, żeby te zakłócające widok rzeczy zniknęły.

– Mhm. Nie myślałem wtedy o budowie pod blokiem. Tylko o tym, że to wszystko mogłoby się nam przydać – wtrącił tata.

– Mhm. Zapytał też, czy mają zasypać dziurę – odpowiedziała ciotka, jakby tam była. – Hrabianka odpowiedziała, że nie. Że jest za recyklingiem. Niech przerobią po weekendzie dziurę na staw w stylu japońskim. Aha, i że koparka w sumie może zostać, bo jej czerwień jest nawet malownicza. Tylko te wszystkie pręty, wory, brudy i reszta badziewia są niepejzażowe.

– Oczywiście sprowadziłem Tadka i resztę osiedlowej ekipy. Pracowaliśmy jak mrówki. Wszyscy pomagali. Nawet dzieciaki. Zdążyliśmy zabrać całość, zanim zarządca wrócił i przyjechali goście.

– Ponoć facet tak się wściekł, jak zobaczył, że materiały budowlane zniknęły, że znowu go zabrali do szpitala. Tylko tym razem na dłużej.

– W międzyczasie przysłała ziemia pod rośliny tropikalne i oświetlenie, które ktoś zamówił za wcześniej. Więc też je zabraliśmy i ukryliśmy na osiedlu. Dopiero później powstał plan, aby to wszystko wykorzystać do budowy podziemnych piętér z ogrodem.

– I polem, i jeziorem.

– Tylko najpierw trzeba było się nakopać.

– Tak, tak... Ale z machaniem łopatami nabraliście wprawy przy hrabiance – westchnęła i dodała: – W sumie, jak tak sobie teraz myślę, hrabianka jest jednak naprawdę naszą dobrodziejką. Gdyby nie jej pomysły na ciągłą modernizację posiadłości...

– ...nie mielibyśmy większości rzeczy – odpowiedział tata. – Śmieci jednych są skarbem drugich. – Wzruszył ramionami i zwrócił się do mnie: – W każdym razie blok się dotychczas nie zawalił. Więc zanim zaczniesz wszystkim innym na osiedlu mówić, jacy są niekompetentni, zanim ocenisz sytuację, chociaż ją najpierw poznaj.

– Jak mam ocenić, jak nic mi nie mówicie?! – odpowiedziałem, czując stary zew złości.

– A dlaczego mamy ci wszystko mówić?! – wybuchł tata. – Przez lata traktowałeś nas jak śmieci. Nawet do nas nie zajrzałeś. Rozmawialiśmy może po pięć minut raz na kilka tygodni, bo to my dzwoniiliśmy. Przyjechałeś tu w końcu jak na skazanie, tylko i wyłącznie dlatego, że nie miałeś alternatywy. Przyjeliśmy cię, chociaż nam się nie przelewa. Nie zmuszaliśmy cię do pracy, daliśmy czas. A ty głównie leżałeś lub spałeś. Nic cię nie interesowało. Dopiero od wczoraj wychodzisz na zewnątrz i... i już masz do nas pretensje. Ot tak – pstryknął palcami – znowu jesteśmy... nie wiem... małomiasteczkowymi idiotami bez ambicji? Mieliliśmy ci rozrysować mapki i przygotować wyczerpującą prezentację? Tu nie jest tak jak w twoim świecie. Nie mamy czasu na robienie slajdów i inne korpo...

Ciotka położyła mu dłoń na ramieniu. Tata zgrzytnął zębami, zaklął pod nosem i odszedł w stronę jeziora. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, lecz zabrakło mi kąśliwych ripost. W końcu

miał rację. Ciotka spojrzała na mnie z wyrzutem i poszła za tatą. Zaciśnąłem pięści, czując każdy mięsień. Spojrzałem na ogromne filary i lampy zalewające podziemne piętro światłem. Na Tadka tkwiącego koło wielkiej dziury przyszłego jeziora, na jego ekipę, której członkowie patrzyli na mnie z niezrozumieniem, na panie zastygłe w pół ruchu nad jakąś mapą, i w pierwszej chwili chciałem uciec. Kurwa, zakląłem w myślach i rozluźniłem pięści. Tata miał rację.

– Przepraszam – zacząłem cicho. – Przepraszam! – dodałem głośniej. – Nie jesteście idiotami. To ja jestem ćwokiem!



Tamten dzień należał do początku kolekcji pod tytułem: „Jak zacząłem być trochę mniejszym ćwokiem i bucem”. Rozpocząłem naukę nowej rzeczywistości. Otworzyłem się na nią, jakby powiedział mój coach duchowy z dawnego życia, i przyjęto mnie. Powoli dostawałem nowe zadania. Coraz częściej samodzielne, a ich wypełnianie przynosiło mi coraz więcej radości. Nawet zaprzyjaźniłem się z wronami!

A Karol... Okazał się tak odmienny od mojego byłego męża, że nawet zaczęliśmy się rewelacyjnie dogadywać przy projektach. Ma świetną rodzinę. Uwielbiam jego żonę.

Z czasem mama zaczęła mi podsuwać książki i artykuły o uprawie roślin i przydatnych technologiach. Staw rybny aka jezioro i próbny warzywnik pod ziemią się przyjęły. Od momentu założenia podziemnej hodowli roślin mama spędzała tam każdą wolną chwilę. Zdziwiło mnie to, gdyż kochała prawdziwe słońce i wiatr. Zapytałem ją o tę zmianę, nie chcąc więcej wyciągać wniosków bez odpowiednich danych.

Wyjaśniła, że po pierwsze, pogoda z każdym rokiem jest coraz mniej przewidywalna. Po drugie, zbyt dużo przeczytała na temat zmian klimatu i ma obawy, iż pewnego dnia na ich skutek może dojść do ustania prądów oceanicznych, które regulują klimat na naszej półkuli. Taka katastrofa spowodowałaby trudne do oszacowania ochłodzenie. Dlatego mama chciała przygotować system

umożliwiający przeniesienie pod ziemię wrażliwych odmian i uzyskanie samowystarczalności. Wtedy chyba po raz pierwszy tak naprawdę uderzyło mnie, jak długofalowym projektem jest osiedle.

Zacząłem też coraz więcej pracować z mamą. Okazało się, że odziedziczyłem jej rękę do kwiatów i nawet lubię babrać się w ziemi. Odkryłem, że ziemia to nie brud. Ziemia to ziemia, żywy i niezwykle skomplikowany układ, który nie tylko dostarczał nam żywności, ale i miał wpływ na samopoczucie. Kontakt ze zdrową ziemią był jak spotkanie przyjaciela.

Powoli nabierałem krzepy, chłonałem naukę i wrastałem w życie osiedla. Z czasem im więcej wiedziałem, tym więcej pomysłów zaczęło pączkować mi w głowie. Coraz częściej patrząc na staw, myślałem o momencie, gdy pierwszy raz zobaczyłem basen z rybami i rzuciłem uwagę o bioreaktorach w piwnicy. Zacząłem czytać więcej o rolnictwie komórkowym i produkowaniu w ten sposób mleka czy innych substancji. Im więcej jednak zdobywałem wiedzy w tej dziedzinie, tym bardziej byłem świadom, że nie poradzimy sobie z tym zadaniem sami, w aktualnym składzie ekipy osiedlowej. Tak: mogliśmy wiele, ale wiele też nam brakowało.

Aż pewnego dnia niespodziewanie skontaktowali się z nami naukowcy. Ci, o których wspominałem na początku – od reaktorów jądrowych. Ich pierwsze wiadomości były mocno enigmatyczne. Zrozumieliśmy jedynie, iż chodzi o coś związanego z zapotrzebowaniem energetycznym osiedla. W dalszej części korespondencji wykazywali spore zainteresowanie naszą wiedzą na temat reaktorów jako alternatywnego źródła energii oraz zaoferowali odpowiedzi, jeśli postanowimy zadać pytania w tym temacie.

Po ustaleniu, że nie są to jakieś żarty czy wyjątkowo dziwny phishing, zwołaliśmy osiedlowe obrady i postanowiliśmy, że zajmę się tą sprawą. Zbiore pytania, umówię spotkanie i wystąpię na nim jako reprezentant osiedla. Większość zdawała sobie sprawę, że jego dalszy rozwój zależy od zasobów, w tym energii. Jednak to ja byłem najbardziej zaintrygowany i entuzjastycznie nastawiony. Jakiś cichy głos, może budząca się intuicja, podpowiadał, aby potraktować te kontakty bardzo poważnie. Jak prawdziwą szansę.

Miałem także oczywiście nagrać całość. Druga kandydatka, Lidka, zrezygnowała. Uznała, że już trochę okrzepłem i sobie poradzę.

I tak znalazłem się w sytuacji, w której byłem na początku tej opowieści.

– Tylko udawaj głupa. Dobrze? Na wszelki wypadek – powiedziała mi mama na pożegnanie. – Lidka użyła jakichś swoich starych kontaktów i to są faktycznie prawdziwi naukowcy. Nie sfabrykowani. Szkoda tylko, że nie wiemy, co z nich za ludzie.



– Dlaczego uważają państwo, że w ogóle potrzebujemy takiej pomocy? – zapytałem, próbując brzmieć na autentycznie zaskoczonego absurdalnością propozycji. – Po co nam reaktor w ogrodzie osiedlowym? Skąd taki pomysł? Przydałyby nam się raczej nowe odmiany kapusty czy kalarepy. Albo świetnie plonujące ziemniaki na biopaliwa, skoro pisali państwo o potrzebach energetycznych. Przy takich testach oczywiście moglibyśmy pomóc. Ale reaktor?

Naukowcy spojrzeli po sobie. Starsza kobieta dała ledwie widoczny znak przyzwolenia mężczyźnie.

– Wie pan... – zaczął. – Wiemy o państwa osiedlu dzięki współpracy i zebranych danym.

– Bo tak jak wy, stawiamy właśnie na nią. Budujemy sieć niezależnych specjalistów i innowatorów, którą mój kolega być może na wyrost nazwał rakiem pożerającym od środka skorumpowany system – wyjaśniła. – Lubię myśleć o naszej sieci jako o odtrutce na oligarcho-kapitalizm.

Jej towarzysz przytaknął i dodał:

– Z naukowego punktu widzenia zmiany społeczne, ekonomiczne, kulturalne... do których doszło na Podlasiu, są niesamowicie interesującym zjawiskiem. Być może z waszej perspektywy ostatnie dekady mogły wyglądać, jakby świat o was zapomniał, ale na pewno nie nauka.

– Przepraszam, zgubili mnie państwo. Jesteście specjalistami od kultury, raka czy reaktorów?

Mężczyzna się zaśmiał.

– Oczywiście reaktorów. Jednak dowiedzieliśmy się o wyjątkowości waszego osiedla, czy jak wolicie to nazywać, „ogrodu osiedlowego”, od naszych znajomych z działu socjologii i ekonomii społecznej. Współcześnie zbieranie interesujących ich danych jest zwyczajnie prostsze. Generalnie zauważono dwa modele rozwoju współczesnych osiedli pracowniczych na Podlasiu. Powolny rozpad społeczności i ogólny spadek poziomu życia oraz oczywiście proces odwrotny. Ten drugi przebiega zazwyczaj dość powolnie. Zazwyczaj. Na tym tle wasze osiedle zdecydowanie się wyróżnia. Można wręcz postawić hipotezę swego rodzaju emancypacji. W każdym razie tak twierdzą nasi koledzy. Natomiast my wiemy, że rozwój wymaga energii. Dlatego chcemy wam pomóc.

– Dlatego pomyśleliśmy, że możemy sobie wzajemnie pomóc – poprawiła go naukowczyni. – Później, oczywiście jeśli nie będziecie mieć nic przeciwko, moglibyśmy spróbować przenieść emancypację państwa osiedla – mimowolnie się uśmiechnąłem, słysząc to „państwa” – na inne miejsca. Jeśli byłoby ich wystarczająco dużo, moglibyśmy rozwinąć raczkujący drugi obieg, niezależny od bogaczy.

Powoli przytaknąłem. Podobał mi się ten plan.

– Hmm, w takim razie może przejdę do listy pytań, którą przygotowaliśmy. Uprzedzam, każdy mieszkaniec osiedla miał prawo wpisać na nią dowolne pytanie związane z reaktorem, tak że trochę się ich zebrało.

– Zakładałam, że pan to nagrywa, panie Marku? – zapytała kobieta. – Jeśli nie, chciałabym zaproponować, aby pan zaczął.

Zgodziłem się z nią, nie wspominając, że nagrywałem spotkanie od początku. W końcu byłem tylko posłańcem.



Wczoraj na osiedlowych obradach odtworzyłem film ze spotkania z naukowcami. Przegadaliśmy kwestię oraz ustaliliśmy, że każdy ma dobę na podjęcie decyzji. Dzisiaj odbędzie się głosowanie

w sprawie dalszych rozmów na temat instalacji reaktora. Karty wyborcze są nieskomplikowane. Wystarczy zaznaczyć:

☐

ZA

lub

☐

PRZECIW

Patrzę przez chwilę na ten niby prosty wybór i stawiam krzyżyk przy jednej z kratek. Zastanawiam się, które pole wybrałby dawny ja.

A ty? Którą odpowiedź byś wybrał?

30.10.2025 r.

O autorce

Małgorzata Lewandowska – należy do Sekcji Literackiej Krakowskiej Sieci Fantastyki. Ukończyła Kreatywne Pisanie na UKSW (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego) w Warszawie. Po godzinach ilustratorka i komiksiara.

Publikowała m.in. w magazynie „Histeria”, „Białym Kruku”, „Nowej Fantastyce”, licznych zinach i antologiach. Często tworzy opowieści czerpiące z bogactwa Słowiańszczyzny. Debiutowała w 2007 r. w antologii poezji *Słońcem pisane*. W 2025 r. ukazała się jej pierwsza powieść: komedia obyczajowa *Przyjdę do ciebie we śnie*. W 2026 r. nakładem Wydawnictwa IX ma ukazać się jej kolejna powieść, tym razem z nurtu poetyckiego weird fiction. *Dom zagubionych wspomnień* wzbogacają autorskie ilustracje.

Jej twórczość można znaleźć na stronie www.facebook.com/ArtByGoria lub pod @art_by_goria oraz na blogu *poTworzenie Gorii*.



Po ile dziś powietrze?

Natalia Ciejka

– Będiesz miał jakieś zniżki?

Igor odłożył kanapkę na talerz, nie pozwalając okruszkom odebrać się od kromki, i przeniósł spojrzenie na matkę. Siedziała na kanapie, zakopana pod kołdrą i pięcioma kocami, w czapce nasuniętej głęboko na czoło, spod której wystawały tylko oczy i nos. Odkąd rachunki za powietrze poszły w górę, musieli oszczędzać na ogrzewaniu.

– Szczerze? Nie mam pojęcia. Na razie to okres próbny, więc nie rób sobie nadziei. Wszystkiego dowiem się na stacji. – Otrzeptał mitenki i wstał, by schować resztki do lodówki. – Ale nawet te trzy miesiące są lepsze od bezrobocia.

– Prawda. Choć zniżki by się przydały. Zapytaj o to. – Skinęła na niego pisakiem i wróciła do rozwiązywania krzyżówek na tablecie.

– Jeśli będą mnie chcieli na dłużej, to wtedy zapytam. Wcześniej nie ma sensu.

Tego Igor nie wiedział. Do Stacji Uzdatniania Powietrza dostał się tylko dlatego, że dwie osoby o mocniejszych plecach zrezygnowały z pracy w tym miejscu. Najwyraźniej kogoś potrzebowali – tym razem kogoś takiego jak on. Już ponad dwa lata temu pogodził się z losem jednostki mniej uprzywilejowanej w świecie układów i znajomości. Bo choć z wyróżnieniem ukończył studia z Technologii Środowiskowych, to dotąd dyplom tylko

komplikował sytuację na rynku pracy. Dlatego mężczyzna łapał się różnych zawodów – od barmanów, poprzez pomywaczy, a na kurierach kończąc – jednak po raz pierwszy znalazł pracę w swoim fachu. Zabawne. Kiedyś uważał, że zapotrzebowanie na technologów środowiskowych nigdy się nie skończy.

Od III wojny światowej minęło trzydzieści lat, ale biologiczno-nuklearna walka skaziła powietrze na taką skalę, że aby przetrwać, trzeba było stworzyć całe systemy uzdatniania powietrza oraz wtłaczania go do mieszkań. Grube ołowiane osłony chroniące przed promieniowaniem, uszczelnienia, membrany, ciągnące się kilometrami tunele podziemne i wszędzie te cholerne przewody... a to wszystko przecież wymagało technologów!

Igor przeniósł spojrzenie na ekranowane ołowiem okno, przez które ledwo przeciskały się promienie i to w miejscu, gdzie nierówno przyłożono folię. Już nieraz się zastanawiał, jak wygląda świat na zewnątrz, jednak nie uzyskał przepustki, by samemu się o tym przekonać. Skażenie biologiczne osiągnęło taki poziom, że poruszanie się po powierzchni było skrajnie niebezpieczne i możliwe tylko w specjalnie przystosowanych skafandrach. W rezultacie miejsca takie jak Stacje Uzdatniania Powietrza wydawały się Igorowi bliżej tego zewnętrznego świata. Stanowiły pas łączący świat ludzki z tym dzikim. Tam mogło kryć się wszystko. I chyba ta niewiadoma pociągała Igora najbardziej.

Oparł się o kuchenny blat i spojrzał na telewizor, na przesuwający się od kilku godzin obraz. Włączył bezmyślnie, jak zwykle zresztą. Leciał akurat serial historyczny, w którym przewodnik oprowadzał ludzi po uliczkach Krakowa. Bez skafandrów, nawet bez masek filtrujących. Po prostu wszyscy stali tam – w krótkich spodenkach, w pełnym słońcu, wśród starych ulic oraz budynków porośniętych bluszczem – i oddychali pełną piersią jeszcze nieskażonym powietrzem. Nie mieli pojęcia, że za kilkadziesiąt lat znany im świat zniknie, zdmuchnięty jak płomień.

I czego nam brakowało?, zapytał po raz któryś Igor.

Podziwiał przepływ chmur na błękitie nieba, majestat Kościoła Mariackiego i tętniące życiem ulice z bolesną tęsknotą za czymś, czego nigdy niedane mu było doświadczyć. I choć czasem się zastanawiał, czy tamten świat naprawdę istniał, czy był tylko jedną

z wielu kojących iluzji wykreowanych przez grafików i sztuczną inteligencję, to chciał wierzyć, że jeszcze można go odzyskać.

Częściej jednak wątpił we wszystko, co wyświetlał system.

– A o której zaczynasz?

– Za jakąś godzinę, ale dziś badania, testy, szkolenia, generalnie sprawy organizacyjne... pewnie nic ciekawego.

– Ojciec byłby z ciebie dumny, wiesz?

Spojrzenie Igora znów się przeniosło, tym razem na duże zdjęcie ojca, wiszące na przeciwległej ścianie. Całe życie spędził na drażnieniu kanałów łączących nowe siedziby ludzi. Pierwszą podziemną metropolię w Polsce zbudowano na pozostałościach kopalni soli w Wieliczce, od niej poprowadzono infrastrukturę dalej, do bloków oraz gmachów, które pokrywano ołowiem. Następnie utworzono podziemne linie metra i od tego czasu ludzie żyli jak robaki, schowani pod ziemią bądź w szczelnych budynkach.

Jednak ojciec był pokornym człowiekiem. Oddanym pracy. Tak też zginął – poświęcając się jej. A jedyne, czego pragnął, to lepszego życia dla nowych pokoleń.

Igor pokiwał głową, zabrał torbę, ucałował matkę w czoło, a właściwie w skraj czapki, i wyszedł.

Mieszkali w jednym z tańszych bloków zabezpieczonych warstwą ołowiu przed promieniowaniem. I tak przenikało ono do wnętrza, nie było jednak aż tak śmiertcionośne jak za murami. Igor nigdy nie poznał poparzeńców, którzy podobno żyli gdzieś tam, poza zamkniętym światem, w którym powietrze jest reglamentowane.

Zjechał windą na sam dół, aż do systemu korytarzy nadziemnych, i skierował się do jednego z wejść metra. Stanowiło ono główny środek transportu, więc ścisk na peronie był ogromny. Mężczyzna mógłby powiedzieć, że w tym miejscu wręcz brakuje tlenu, ale wiedział, że system skanuje przestrzeń i włącza odpowiednią ilość przez maleńkie dysze poukrywane w ścianach.

Pod schodami i w kątach kryli się wraz z całym dobytkiem bezdomni, których nie było stać na opłacenie metrażu. Dopóki władza przymykała na nich oko, korzystali z miejsc publicznych. Często zmieniali lokalizacje, gdyż przebywanie dłużej niż dwanaście godzin w tej strefie groziło mandatem za zużycie powietrza.

Igor przyłożył zegarek do bramki, opłacił bilet, po czym wciśnął się w tłum, by wraz z nim wdrzeć się do jakiegoś wagonu. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i tę przewagę, że kościste ramiona ułatwiały mu przebijanie się między ludźmi. Pierwszego dnia nie chciał się spóźnić. Rozmowa kwalifikacyjna odbyła się zdalnie, więc jeszcze nie był w Stacji.

Metro podjechało, zasyczało, a tłum pełen wbijających się kończyn, deptanych butów i oddechów tuż nad uszami zaczął napierać na drzwi. Porwał ze sobą Igora, na co zresztą mężczyzna liczył. I w tym zgiełku, ścisku, gdzie nawet zapalki się nie wepchnie, technolog środowiskowy jechał do pracy. Pieczołowicie liczył przy tym przystanki i oddychał za każdym razem, gdy napór na jego ciało odrobinę malał.

Gdy dotarł na ostatnią stację, był sam. Nigdy jeszcze nie widział pustego metra i jego obraz wydał mu się absurdalny. Drzwi zasyczały, za nimi ujrzał niewielki podest i kolejne drzwi – pancerne, z niewielkim skanerem na linii oczu. Wiedział, że Stacja Uzdatniania jest strzeżona, a jednak widok zabezpieczeń wprowadził go w zdumienie. Czego jego nowi pracodawcy obawiali się w świecie, w którym każdy ceni wartość powietrza?

Igor podszedł do drzwi. Skaner przebudził się z cichym kliknięciem, wiązka lasera przejechała najpierw po sylwetce mężczyzny, potem po twarzy, a na końcu po gałce oka.

– Igor Zalewski. Sektor 52 B. Dostęp uzyskany.

Metalowe panele rozsunały się ze szcękami, ukazały długi jasny korytarz z szeregiem drzwi po prawej i lewej stronie. Z jednych spośród nich wynurzył się elegancik w granatowym garniatku i podszedł do technologa z ręką wyciągniętą na powitanie.

– Pan Igor? – Ucisnął mu dłoń. – Zapraszam. Nazywam się Adam Ratajczak, rekrutowałem pana. Czeka nas kilka formalności, kilka dokumentów, szkolenie, pozna pan też przełożonego.

– Przesłałem podpisaną umowę na pana...

– Tak, tak, oczywiście, ale jesteśmy obiektem wagi państwowej, sam pan rozumie. To nie chodzi tylko o umowę, ale też kwestie bezpieczeństwa. Zapraszam, zapraszam.

Adam zaprowadził go do prostego, jasnego gabinetu, w którym jedna żarówka migała uparcie, za to powietrze było aż słodkie.

Stały tam tylko proste biurko i krzesło oraz jakaś tablica, oparta w kącie o ścianę.

– Proszę siadać, zapoznać się z regulaminem i klauzulami, zaparafować na każdej stronie i podpisać na końcu z dzisiejszą datą. Gdy pan skończy, zapraszam do mojego gabinetu. Drzwi obok.

Igor zmarszczył brwi na widok centymetrowego pliku papierów, które na niego czekały ze staromodnym, tuszowym długopisem położonym tuż obok. *Po co tyle tego?*, zastanowił się, a potem przyszła kolejna myśl: *Czemu marnują papier na dokumenty?* Już nikt tego nie robił!

Mimo to usiadł za biurkiem i rozpoczął czytanie. Przebrnął przez regulamin pracy, regulamin świadczeń socjalnych, zasady poufności danych i odpowiedzialności karnej. Przy ostatnich dwóch zaczęło mu się robić słabo. Kary, które groziły za zdradzenie tajemnic służbowych, przekraczały kwoty, jakie kiedykolwiek udało mu się zgromadzić. Wiedział jednak, że sytuacja w domu jest trudna i lada dzień zabraknie na rachunki. Dlatego błady i z zimnym potem na czole czytał i podpisywał kolejne paragrafy.

To cholerna Stacja Uzdatniania Powietrza, a nie magazyn broni!, pomyślał. *Więc skąd tu takie restrykcje?* Z ostatnich zdań dowiedział się, że grozi mu nawet postępowanie karne z tytułu zdrady stanu w przypadku wyjawienia tajemnic służbowych.

Odetchnął kilka razy i poszedł do Adama, by zwrócić mu cały ten plik. Ratajczak starannie przejrzał papiery, sprawdził, czy ilość podpisów się zgadza, i dopiero wtedy na jego skupionej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Świetnie. Zapraszam w takim razie na szkolenie.

Igor przeszedł je w sali wizualizacyjnej, w której szkoleniowcy zaprezentowali mu schemat stacji, ciąg technologiczny, plan pomieszczeń oraz podświetlili miejsce, za które będzie odpowiadał – stację dmuchaw przy filtrze cząstek stałych. Przedstawili sytuację, sposób konserwacji urządzeń, środki ostrożności, możliwe awarie oraz szereg innych informacji, które nowy pracownik starał się zapamiętać. Do tej pory myślał, że przypadnie mu papierologia, nie spodziewał się, że będzie pracował przy technologii uzdatniania, co wzbudziło w nim zarówno ciekawość, jak i czujność.

– To kierownik zmiany, pan Wojciech. Zaprowadzi cię na miejsce i jeszcze wyjaśni, co i jak. A to Igor, nasz nowy pracownik. Poznajcie się, panowie.

Pan Wojciech miał wąsy, ogrodniczki całe w smarze i małe, lustrujące oczy, którymi obrzucił nowo poznanego chudzielca. Odchrząknął na widok jego swetra w pasikoniki i skinął, by ten poszedł za nim.

– Rzadko nam się trafia taki świeżak – zaczął, gdy prowadził przez ciąg korytarzy. – Jednak trzeba przyznać, że stanowisko jest pechowe.

– Pechowe? Co to znaczy?

Kierownik obrócił się do Igora i zmierzył go wzrokiem, jakby jeszcze rozważał, czy jest godny zaufania.

– To znaczy, że ludzie szybko rezygnują z tej pracy. Nie jest ciężka. Nie można tak o niej powiedzieć.

– Więc co jest powodem?

– Nie wiem. Może kiedyś sam go znajdziesz. Tu skręcamy.

Wskazał na metalowe drzwi. Za nimi rozlegały się szумы, gwizdy, stukania, pobrzękiwania niczym z ogromnego warsztatu. Wojciech zatrzymał się z ręką na klamce.

– W hali nie da się rozmawiać. Ale musimy przejść przez główny ciąg technologiczny, żeby dotrzeć na miejsce. Tam ci wszystko wyjaśnię. Póki co, załóż to. – Podał mu słuchawki ochronne.

Igor nie protestował. Gdy kierownik otworzył drzwi, w nowicjusza uderzyła fala dźwięków, które słuchawkom ledwo udało się stłumić. Ogrom hali, maszyn, dmuchaw, przeźroczystych rur ciągnących się w każdym możliwym kierunku oszałamiał. Igor nie wiedział, na czym zatrzymać wzrok, nie miał też na to czasu, bo przewodnik szedł szybko po kratowanym pomoście. Wskazywał tylko płataniny kabli, dziury i wystające elementy, by technolog na nie uważał, aż dotarł do kolejnych pancernych drzwi, które otworzył zamasyście, i zaprosił Igora do środka. Lecz ten, nim wszedł, obejrzał się z zachwytem na urządzenia, dotąd oglądane wyłącznie na wizualizacjach. Ogromne rozprężarki, membrany, filtry węglowe... Przy nich jego wzrok zatrzymał się nieco dłużej, czoło zmarszczyło, ale nim wszystkie myśli zagnieździły się w głowie, Wojciech wciągnął go do kolejnego pomieszczenia.

– Jeszcze będziesz miał dość tego widoku. Zaręczam ci – powiedział, gdy ściągnął mu słuchawkę z jednego ucha. – Słuchaj uważnie, bo nie lubię się powtarzać. Tutaj masz zapasowe rękawice. – Wskazał na metalową szafkę. – Zawsze pracujesz w rękawicach i masce ochronnej, jasne?

Igor przytaknął, bo na to właśnie czekał kierownik, by kontynuować swój wywód.

– Generalnie twoje zadanie jest dość proste. Co godzinę otwierasz ten zawór tutaj, czekasz około minuty, po tym czasie wyciągasz po kolei wszystkie sita i to, co zostało na nich, zmiatasz do tego kubła i potem wrzucasz, o, tutaj. – Otworzył jakąś klapę. – Sita wkładasz z powrotem i zawór zamykasz. Jasne? No dobrze. Generalnie wiesz, do czego to służy?

– Tak. – Igor podniósł głowę w górę na ogromne rury, którymi wtłaczane było powietrze. – To filtry cząstek stałych. Nie wiedziałem, że aż tak często należy je czyścić. Na studiach mówili...

– Posłuchaj. To, co mówią na studiach, raczej nie przydaje się w prawdziwej robocie. Więc ci wyjaśnię. Normalnie, faktycznie, filtry takie jak te powinny być czyszczone raz, może dwa razy dziennie. Pewnie wtedy nawet nie szukaliby nikogo, tylko jeden z nas by to robił.

Wojciech kopnął pełen kubel i wskazał na zgromadzoną tam płataninę śmieci, pyłów, liści, szczątków drzew i zdechłych owadów wielkości myszy.

– Ale klimat na powierzchni uległ zmianie. A wynikiem tych zmian są porywiste wiatry, które szczególnie teraz, na wiosnę, niosą całą masę różnego badziewia, które wpada nam wraz z powietrzem na filtry. Ty masz tę robotę, ale mam tu jeszcze trzech ludzi, którzy odpowiadają za zewnętrzne turbiny, które co rusz się zapychają albo zatrzymują, gdy jakieś wleczone badyle wepchną się do środka. Chyba rozumiesz, jaki to problem dla szczelnego środowiska, w jakim żyjemy, które potrzebuje tego cholerne go powietrza, by po prostu, kurna, istnieć. – Tu splunął.

Ale coś w jego spojrzeniu nie grało Igorowi. Jakby kierownik nie do końca wierzył w słowa, które powtarza. Albo powtarzał je od tak dawna, że już przestał w nie wierzyć.

– A za tą klapą co jest?

– Tą? – Wskazał na miejsce, gdzie kazał wyrzucać resztki pyłu. – To zsymp. Tam nic nie ma. Tam badziewie wraca do tamtego świata. Tym się nie przejmuj.

Efekt był odwrotny. Spojrzenie Igora zatrzymało się ponownie na klapie, a dreszcz ekscytacji aż przeniknął jego ciało. Droga na zewnątrz. Wprost na zewnątrz. Bez żadnej przepustki.

– No dobrze, a teraz wyjaśnię ci sposób obsługi panelu. O, tego tutaj.

Tu już nie było zaskoczeń, wszystkie przyciski sterowania zgadzały się z tym, co pokazywano na studiach. Jednak niespokojne myśli nie dawały za wygraną.

– Mogę mieć jeszcze jedno pytanie? – Nie wytrzymał w końcu.

Wojciech spojrzał na niego z ukosa, bo coś w tonie młodzika mu się nie spodobało, i przez kilka sekund rozstrzygał, czy aby dać mu przyzwolenie. W końcu jednak skinął niechętnie.

– Czemu ten filtr węglowy jest taki czarny?

– Filtr? Jaki filtr?

– Na ciągu technologicznym. No wie pan, ten olbrzymi walec z cienkiego włókna tuż przed...

– Wiem – przerwał krótko.

– Więc?

– A jaki ma być?

– Białe.

Kierownik tylko oddychał, patrząc z pewną irytacją na technologa, który zbyt szybko zaczął zadawać pytania. Niewygodne w dodatku.

– Kiedy go wymieniano? Wie pan... on już teraz nie działa, bo ten filtr musi być regenerowany, i generalnie jeśli ma taki kolor, to oznacza, że...

Wojciech odchrząknął i się obrócił, nagle wielce zajęty czyszczeniem jakiejś gałki.

– I dlatego nie przyjmujemy tu ludzi z wykształceniem – burknął.

Igor się zawahał, w jego oczach najpierw pojawiła się niepewność, a potem niedowierzanie. Prawda przebiła się do niego ostrożnie, jak igła przez skórę dziecka. Lecz i równie dotkliwie.

– Nie... – powiedział cicho. – To nie ma prawa działać.

Wojciech niechętnie skinął głową, ale nie odpowiedział, tylko trzepnął jakąś pajęczynę swoją parą słuchawek.

– Chce pan powiedzieć, że trujecie ludzi? – dopytał Igor. – Od jak dawna to nie działa? Od kiedy takie nieprzefiltrowane powietrze idzie na sieć?

Mężczyzna westchnął ciężko i spojrzał z politowaniem na idealistycznego nowicjusza.

– Nie. Nie to chcę powiedzieć.

– Ale taka jest prawda, tak?

– Nie. Nie taka jest prawda.

Na chwilę zapanowało milczenie, a w oczach Wojciecha zagnieździło się wahanie. Nie wiedział, czy mówić, czy milczeć, ale jedno i drugie niczego już nie mogło zmienić. W końcu więc machnął ręką i wyjaśnił:

– Powietrze nie jest trujące. I tyle, ot co.

Igor zmarszczył brwi, cofnął się o krok, najpierw spojrzał na drzwi, potem na Wojciecha i znów na drzwi, za którymi krył się ten niesprawny filtr, a na jego twarzy z każdą sekundą, z każdym oddechem coraz wyraźniej malowało się niedowierzanie. W końcu podniósł głowę na ogromne rury pokryte ołowiem, w których świszczało tłoczone powietrze, i znów na swojego przełożonego.

– Powietrze nie jest trujące? – dopytał zaskoczony. – I od kiedy pan to wie?

– No będzie tak... z kilka lat będzie.

– A te bzdury w telewizji, że stężenie pyłu radioaktywnego wzrosło? Że zwiększają się koszty uzdatniania, więc i ceny powietrza idą...

– Jak to określiłeś...? „Bzdury”?

– Więc... – Igor się zawahał. – Więc co to jest, do cholery?

Wojciech zaśmiał się cicho, niewesoło, chrapliwie.

– To, chłopcze – rozłożył ręce na całą maszynierię dookoła siebie – to jest maszynka do robienia pieniędzy.

Igor zbladł. W jednym momencie dotarło do niego, że wszelkie trudy, z którymi musiał radzić sobie na co dzień – rachunki, wymiany filtrów, cotygodniowe pomiary tła radiacyjnego w mieszkaniu, wykonywane przez przychodzącego specjalnie w tym celu urzędnika – że to wszystko zostało nakręcone przez system.

Dla hajsu. Mieli produkt niewymagający produkcji, darmowy więc, i zdecydowali się go reglamentować, ot tak, by ludzie mieli się o co martwić. Choć już nie musieli.

Wojciech przewrócił oczami, jakby nie po raz pierwszy spotkał się z taką reakcją.

– Porąbane, nie? No, ale co ci będę ściemniał. Taka praca.

Przez dłuższą chwilę Igor nie mógł dojść do siebie. Całe życie okazało się kłamstwem. Walką o coś, o co nie trzeba było się bić. Tylko nikt o tym nie wiedział.

– Porąbane – przyznał, a jego spojrzenie znów przeniosło się na klapę.

Bo jak szybko prawda przedarła się do jego świadomości, tak i szybko zrozumiał powód rezygnacji poprzedników. Klapę. Drogę ucieczki z tego chorego systemu. I to zaraz obok. Praktycznie pod ręką.

O autorce

Natalia Ciejka – autorka literatury fantasy, romantyczka i marzycielka, która świat poznaje przez ludzi, podróże i sztukę. Absolwentka inżynierii środowiska na AGH w Krakowie oraz Politechnice Rzeszowskiej. Od lat zanurzona w świecie fantasy i science fiction, gdzie szczególnie interesują ją relacje między-ludzkie i moralne wybory bohaterów. Pisarsko swoje pierwsze kroki stawiała na Wattpadzie. Ukończyła Kurs Pisania Powieści Miasta Literatury UNESCO, debiutowała opowiadaniem *Złotniczka* w czasopiśmie „Biały Kruk” oraz publikowała w *Ekstraktach*.



Ziemia ma się świetnie!

Mateusz Wyszyński

Drogi Czytelniku!

Cieszę się, że moja książka trafiła w Twoje ręce. Nim przełożysz tę ostatnią kartkę, a potem zatrzaśniesz ją okładką, chciałem Ci podziękować za przeżycie tej przygody, która narodziła się w mojej głowie, przez lata kiełkowała, by wreszcie, po wielu miesiącach trudnej pracy, zostać przelaną w całości na te setki stron, które są już za Tobą.

Przez całe życie nie udało mi się zainteresować moimi dziełami żadnego wydawnictwa. Byłem załamany. Wiedziałem, że ludzie chętnie zapoznaliby się z moimi słowami, ale nie miałem możliwości, aby do nich dotrzeć.

Egzemplarz, który trzymasz w ręku, wydrukowałem i oprawiłem samodzielnie. A później, nie mając już co z nim zrobić, odłożyłem na półkę w moim mieszkaniu. Pogodziłem się z myślą, że umrę, a pamięć o mnie, Olbrychcie Warzyńskim – pisarzu science fiction – umrze wraz ze mną.

A jednak czytasz właśnie te słowa. Jakimś sposobem, ktoś odnalazł moje dzieło i trafiło ono teraz w Twoje ręce!

To znaczy, że wcale nie poszło mi tak źle. Wielu artystów zostało docenionych dopiero po śmierci. Jeżeli istnieje (w co wątpię) jakaś pozagrobowa forma jaźni, to z pewnością moja właśnie skacze z radości.

Moje dziedzictwo jednak trwa.

I właśnie za to, jeszcze raz – dziękuję Ci, Czytelniku.

– Oj, panie Warzyński. – Filip pokręcił głową. – Tak bardzo się pomyliłeś.

Westchnął i wyrwał tę, już ostatnią kartkę. Wrzucił ją do metalowego kubła, by podtrzymać płomień. Pustą okładkę ze sztucznego, niepalnego tworzywa cisnął przez ramię.

Podciągnął kolana bliżej klatki piersiowej, objął je ramionami i skupił wzrok na płomyku.

Ale nie przejmuj się, pomyślał. Nie tylko twoje dziedzictwo przepadło. Jeśli ktoś miałby rozpaczać, to ci, którzy umarli w przekonaniu, że ich imię będzie żyło wiecznie.

Chłodny, wieczorny podmuch dostał się do pustego mieszkania pisarza przez wyrwę po oknie. Płomień zatańczył, a wraz z nim cienie. Filip skulił się mocniej i przysunął bliżej ognia.

Słońce schowało się za ruinami, a puste miasto zaczęło powoli pogrążać się w milczącej ciemności.



Jak zwykle, obudził się jeszcze przed świtem. Szczękając zębami z zimna, podciągnął brzeg puchowego śpiwora pod nos. Zawsze, gdy to robił, zastanawiał się, czy nie powinien chwilę dłużej nacieszyć się tym porannym chłodem. Gdy słońce wzejdzie wyżej, temperatura zrobi się nie do zniesienia. I to nawet o tej porze roku, bo chyba była jeszcze wiosna.

Wygramolił się z posłania. Wysikał się przez dziurę po oknie, zwinął śpiwór i zebrał się do dalszej drogi.

Mieszkanie pisarza znajdowało się na trzecim piętrze bloku. Wybrał je z prostego powodu: drzwi miały wyłamany zamek.

Na samym dole klatki schodowej zostawił swój wózek. Nie zadał sobie nawet trudu, by go gdzieś schować na noc. Kiedyś to robił, ale od tak dawna nie spotkał żadnego człowieka, że przestał się tym kłopotać. Wstawił go jedynie do budynku i zagrodził wejście jakimiś rupieciami, by nie dostały się do niego żadne dzikie zwierzęta.

Jego wózek był starą przyczepą samochodową na czterech wysokich kołach. Choć nie miała wiele większej szerokości od

barków człowieka, Filip dał radę zapakować na nią cały swój dobytek. W jego skład wchodziło kilka ciepłych ubrań, baniaki na wodę, żywność w puszkach oraz urządzenia elektroniczne: przenośny komputer, głośnik i telefon. Od góry przykrywał to wszystko panel słoneczny podłączony do dużej baterii, a na nim spoczywał brezent, który czasem służył Filipowi za namiot lub prowizoryczne schronienie przed ulewą. Choć te zdarzały się bardzo rzadko.

Filip wcisnął śpiwór pod panel, następnie zdjął z wózka brezent, pozwijał go i wrzucił do wnętrza przyczepy. Chwycił za dyszel i zapierając się mocno nogami, wyprowadził pojazd z budynku. Wózek zakołysał się on niebezpiecznie na niskich stopniach podejściowych, ale na szczęście przejazd odbył się bez wywrotki.

Filip odetchnął. Sięgnął po jeden z plastikowych białaków o brudnożółtym kolorze i wypił dwa solidne łyki wody. W środku została już tylko marna resztką. Miał jeszcze trzy pełne butle. Na jakiś czas mogło starczyć, ale już zaczynał odczuwać niepokój związany z brakiem deszczu.

Zadał głowę do góry. Niebo było okrutnie bezchmurne.

Znużony ruszył dalej. Zmęczone mięśnie ramion i barków zapiekły go od ciężaru wozu. Ile już trwała ta wędrówka przez pustkowia?

Szedł, spoglądając jedynie pod nogi, na popękany asfalt. Tak było wygodniej, gdy się ciągnęło przyczepę. Zresztą widok rozpadających się budynków tylko go przygnębiał.

Kilkanaście minut później dotarł do miejsca, które w myślach nazywał swoją autostradą – do koryta rzeki.

Mimo, że jej wyschnięte dno nie było najwygodniejszym podłożem, w szczególności gdy ciągnęło się za sobą taki ciężar, uparcie podążał tą drogą. Od wielu dni. Miał zamiar iść i iść, aż pod nogami poczuje wilgoć ziemi, aż zobaczy płynącą w korycie wodę. Będzie siedł, choćby miał dotrzeć do samego źródła, daleko na południu. Bo tam, gdzie będzie woda, tam pewnie będą i ludzie, i normalne miasto.

Cywilizacja. A przynajmniej to, co z niej zostało.

W końcu odnajdzie swój dom, a przygnębiające cmentarzysko dawnego świata zniknie gdzieś w niepamięci.

Po prawej, zza wysuszonego krzaka, wyskoczył zajęc i pomknął w głąb zrujnowanego miasta. Filip ledwo go dostrzegł kątem oka. Żywe zwierzę to nie był częsty widok.

Muszę w końcu nauczyć się polować, pomyślał, odruchowo sprawdzając nóż przytroczony do pasa. *Cywilizacja agrarna upadła, a ja wiodę żywot prehistorycznego zbieracza-łowcy. Tylko że łowca ze mnie żaden, a zamiast jagód i ziół zbieram konserwy.*

Słońce wspinało się coraz wyżej. Upał robił się nie do zniesienia.

Filip starał się znaleźć równowagę między skrywaniem ciała przed słońcem, od której dostałby oparzeń, a odsłanianiem go, by nie ugotować się pod ubraniami. Na głowie nosił zawiązaną arafatkę, niegdyś była czarno-białą. Teraz była szara i poszarpana.

Koszulki nie nosił wcale, a kark i barki zakrywał kawałkiem materiału wydartym ze starej bluzy, jasnej i cienkiej. Z tego samego materiału miał zrobione owijki wokół dłoni, chroniące go przed pęcherzami od ciągnięcia przyczepy. Nosił też dżinsowe spodnie sięgające kolan. Żeby nie spadały, jako pasek używał kawałka sznura, który znalazł w tym samym korycie rzeki, którym właśnie podążał. Do sznura przytroczył skórzaną pochwę z długim nożem. Najgorzej było ze stopami, schowanymi w wysokich, górskich butach. Mimo dyskomfortu, jaki sprawiało mu obuwie, lubił je ze względu na wytrzymałość. Czasem myślał, że to wszystko, co zostanie po ludzkości. Buty i plastik.

Przynajmniej w taką pogodę bateria na wózku szybko się ładowała.

Znalazł kawałek cienia pod betonową konstrukcją stojącą na brzegu rzeki. Kiedyś mogło to być przesło mostu. Ktoś farbą w sprayu napisał na niej: „Trzeba było kurwa słuchać IPCC!”.

Filip potaknął. *Trzeba było.*

Usiadł pod napisem i odetchnął. Otworzył jedną z konserw i palcami wyjadł całą jej zawartość. Z zadowoleniem stwierdził, że była lepsza od poprzedniej. I to mimo zniechęcającego zdjęcia uśmiechniętego psa na jej etykiecie. Pamiętał konflikty między ludźmi spowodowane ograniczonym dostępem do żywności. Później, gdy spod roztopionej wiecznej zmarzliny na dalekiej północy

wydostały się prehistoryczne mikroby, na świecie szybko zrobiło się mniej ludzi niż zasobów.

Wyrzucił pustą puszkę za siebie, wytarł palce o spodnie i sięgnął po komputer – podręczny model z otwieranym ekranem i klawiaturą mechaniczną. Nie należał do ostatnich, jakie wyprodukowano, i ważył ponad kilogram. Ale może właśnie dzięki temu był odporniejszy i wciąż działał.

Filip oddał się rytuałowi przeglądania katalogów. Piękne zdjęcia miast, ogromnych ludzkich aglomeracji; filmy z lotu ptaka ukazujące bujne lasy, góry i jeziora.

Na moment, jak zwykle, zawiesił kursor nad katalogiem o nazwie *Karolina*.

Chwilę trwał bez ruchu, po czym zamknął laptopa. Był w stanie oprzeć się tęsknocie za dawnymi czasami, ale za własnym życiem – jeszcze nie.

Poczuł znużenie, więc uciął sobie drzemkę. Zanim się obudził, słońce zeszło niżej i poza zacienionymi schronieniami zrobiło się odrobinę znośniej. Zebrał się i ruszył w dalszą wędrówkę.

Włączył telefon i połączył go bezprzewodowo z głośnikiem. Puścił muzykę z gry wideo, której nie pamiętał za dobrze, ale jego siostra uwielbiała w nią grać. Fabuła tej gry była osadzona w kosmosie, ale muzyka dziwnie pasowała do tych suchych, ziemskich pustkowi. Gitary akustyczne nuciły cichą, bluesową melodię, wokalista śpiewał nieokreślone poetyckie frazy o samotności i wędrówce. Filip zaczął podśpiewywać sobie piosenkę pod nosem. Ominął zdemolowany pojazd ustawiony w poprzek rzeki, eksponujący napis na boku, niczym szyderczy transparent: „GO ECO! – GO ELECTRIC!”

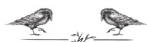
Filip nie chciał się jeszcze zatrzymywać, ale już powoli rozglądał się za jakimś schronieniem. Pomyślał, że lepiej wcześniej położyć się spać, niż nie znaleźć schronienia do późnej nocy. Teraz zwierzęta nie będą się do niego zbliżać, ale jeśli zaśnie pod gołym niebem...

Dostrzegł w oddali, tuż przy korycie rzeki, drewniany domek. Uradował się tym widokiem. Nie będzie musiał wciągać wózka po zboczu.

Dotarł na miejsce. Na tyłach domku znalazł małe zadaszenie, które niegdyś mogło służyć za miejsce do składowania drewna. Tam zostawił przyczepę i rozwiesił brezent w taki sposób, by utrudnić do niej dostęp.

Obszedł budynek, otworzył zbutwiałe drzwi bez zamka i wszedł do środka. Domek składał się z jednej izby. Może kiedyś ktoś spędzał w nim regularnie wakacje, ale teraz mieszkała tu tylko ciemność.

Filip rozłożył śpiwór w kącie i prędko zasnął.



Następnego dnia wkroczył do dużego miasta. Panoramę po obu stronach rzeki tworzyły rozpadające się budynki. Każdy z nich nosił ślady dawnych katastrof, niczym mural. Utrwalone na elewacjach echa powodzi, huraganów i walk między ludźmi. Gdzieś w oddali po lewej stronie majaczyły resztki drapaczy chmur, centrum dawno temu tętniącego życiem.

Wszystko teraz było takie martwe i ponure. W zasięgu wzroku Filip był jedynym dowodem na istnienie życia. I nie było to dobre życie.

Przechodził pod wielkimi mostami, którymi raczej nie odważyłby się przejść. Po minięciu jednego z nich dostrzegł wielki budynek postawiony niemalże przy samym brzegu rzeki, na jej wysokim, lewym zboczu. Jego ściany miały dziwaczne, nieregularne kształty. Spora część wystawała w powietrzu w kierunku rzeki, stojąc jedynie na wielkiej, betonowej nodze.

Jednak uwagę Filipa nie przykuł budynek, lecz niewielka konstrukcja stojąca przy krawędzi koryta – wielka płachta przywiązana do dwóch pali, łopocząca leniwie na delikatnym wietrze.

Zatrzymał się przy niej i przeczytał wypisany farbą napis:

ZAPRASZAMY DO PLANETARIUM! POKAZY KOSMICZNE!

Pod napisem widniała namalowana wygięta strzałka, która wskazywała na mniejszy, kanciasty jak głaz budynek, przytulony

do tego większego. Kilkanaście metrów przed jego ścianą frontową stało suche, popękane drzewo. Być może kiedyś, w letnie popołudnia, ludzie odpoczywali w jego cieniu, przy brzegu rzeki. Teraz dawało jedynie upiorne wrażenie.

Filip otarł spocone czoło wierzchem dłoni.

Nieemożliwe, pomyślał.

Kiedyś był w planetarium, dawno temu, choć pamiętał to jak przez mgłę. Jedno z tych wielu rozmytych wspomnień z dzieciństwa, kiedy jeszcze miał rodziców i siostrę, a świat działał, jak należy.

Pamiętał, że lecieli z ogromną prędkością i oglądali planety. Pamiętał srebrzystobłękitny talerz galaktyki, rozświetlony kropeczkami gwiazd, kręcący się nad ich głowami. Jemu też kręciło się w głowie, ale było to niesamowite przeżycie. Bał się ciemności, ale Karolina trzymała go za rączkę i wiedział, że jest bezpieczny.

Chwycił mocno za dyszel przyczepki i zaczął podciągać ją na zbocze. Odległość do pokonania była niewielka, ale stromizna okazała się wystarczająco duża, a ziemia wystarczająco miękka, by Filip się zmęczył. Minął drzewo i odstawił przyczepę pod samą ścianą budynku, gdzie wisiała kolejna płachta z identycznym zaproszeniem.

Napił się wody. Odstawił z powrotem do przyczepy pusty baniak i się skrzywił. Został mu już tylko jeden, nie wyglądało to dobrze.

Rozejrzał się. Nie chciał wchodzić do środka, zostawiając cały dobytek na zewnątrz. Przeszedł kilka kroków, by dokładniej przyjrzeć się wejściu do budynku. Frontową ścianę planetarium w całości wykonano ze szkła. Z głównych drzwi ziała ogromna dziura, z poszarpanymi brzegami resztek szyb. Filip po cichu zaciągnął przyczepkę do środka. Wnętrze świeciło pustką. Minął schody prowadzące na tarasy wyższych pięter i wszedł do przestrzeni ograniczonej niskim sufitem parteru. Odstawił przyczepkę za winklem, tak by nie dało się jej dostrzec z zewnątrz.

Wtem zamarł w bezruchu. Gdzieś w oddali wybrzmiewał... głos?

Filip już dawno nie słyszał żadnego człowieka, poza sobą. Nadstawił uszu.

Tak, zdecydowanie ktoś coś mówił, choć z daleka nie dało się rozróżnić pojedynczych słów. Kilka kroków dalej wędrowiec znalazł przejście. Dźwięk dobiegał stamtąd.

Filip chwycił za rękojeść noża przytroczonego do sznura-paska i ostrożnie podszedł do drzwi. Wyrzwał przez nie na klatkę schodową. Betonowe stopnie, zamknięte w wysokim korytarzu, prowadziły na piętro.

Ostrożnie zaczął po nich wchodzić.

Głos stawał się coraz wyraźniejszy. Bez wątpienia należał do mężczyzny, prawdopodobnie starszego od Filipa. Sądząc po barwie głosu, mógł mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Ale chyba z nikim nie rozmawiał, raczej coś sobie nucił pod nosem.

Filip zacisnął mocniej pięść na rękojeści noża. Wprawdzie nie czuł się zagrożony, ale wystarczająco wiele lat spędził na pustkowiach, by wiedzieć, że nie należy całkowicie ufać swoim uczuciom.

Stąpał ostrożnie po kolejnych stopniach, przyciskając plecy do ściany. Próbował poruszać się bezszelestnie, ale chyba nie wychodziło to najlepiej, gdyż w pewnym momencie nucenie ustało. Znieruchomiał.

Nastąpiła krótka, napięta cisza, a chwilę później z piętra dobiegło pytanie:

– Ktoś tu jest?

Nie odpowiedział. Przez głowę przemknęła mu myśl, by rzucić się do ucieczki.

– Halo? – zabrzmiał ponownie głos, z wyczuwalną nutką zaniepokojenia.

Filip wreszcie się przełamał.

– Tak... – odpowiedział, ale zabrzmiało to słabo i ochryple w wysuszonym gardle. Odchrząknął i powtórzył, tym razem zdecydowanym głosem: – Tak!

– Jestem na piętrze! – odparł nieznajomy.

Filip wznowił wchodzenie po schodach, stawiając kroki celowo głośno, jakby chciał podkreślić, że wcale się nie skradał. Skądże.

Wyjście z korytarza schodowego było po prawej. Filip przeszedł przez nie i znalazł się w przestrzeni z wysokim, szklanym sufitem oraz szklanymi ścianami, w wielu miejscach połączonymi. Przy ścianach wznosiły się solidne, metalowe przesła utrzymujące

konstrukcję budynku. Tuż przed Filipem znajdowało się otwarte wejście do pomieszczenia o pochylej, zaokrąglonej ścianie.

Z ciemności wejścia wyłonił się tyczkowaty mężczyzna. Na pierwszy rzut oka był odrażający. Miał siwą, krzywą brodę, a na głowie kępki zaniedbanych, białoburych loków. Nosił poszarpane, długie dżinsy i dziurawą, zieloną koszulkę. Chodził boso.

Patrzył na Filipa jednym, niemalże żółtym okiem. Drugie uciekało gdzieś w górę. Mężczyzna początkowo się uśmiechał, przy okazji eksponując ubytki w uzębieniu, jednak nagle twarz mu pobladła, a uśmiech znikł. Rozłożył ręce lekko na boki, pokazując otwarte dłonie.

– Mogę podzielić się wodą i jedzeniem – rzekł spokojnym tonem. Takim, jakby starał się nie rozdrażnić rozmówcy.

Dopiero teraz Filip zorientował się, że wciąż kurczowo ściska nóż, a mężczyzna na to patrzy. Zrobiło mu się głupio. Schował broń i uniósł dłonie, w geście naśladowującym rozmówcę.

– Chętnie wymienię się moim jedzeniem za twoją wodę – powiedział.

Szeroki uśmiech wrócił na twarz starca. Filip także się uśmiechnął.

Mężczyzna podszedł do niego i wyciągnął dłoń. Filip uściśnął ją i zauważył, że była czysta. Tak samo jak stopy, włosy, a także zniszczone ubrania rozmówcy. Nagle sam poczuł się odrażający.

– Filip – przedstawił się.

– Miło cię poznać, Filipie. Ja mam na imię Arystarch – odparł starzec. Filip powątpiewał w prawdziwość tego imienia, co chyba dał po sobie poznać, gdyż mężczyzna zaraz dodał: – Sam je sobie nadałem!

Arystarch wskazał ręką gdzieś w nieokreślonym bliżej kierunku, jakby sięgał na zewnątrz, poza szklane ściany.

– Widziałeś moje znaki? – zapytał. – Przyszedłeś zobaczyć planetarium, zgadza się?

– Taak... – odparł Filip niepewnie. Teraz zdecydowanie bardziej interesowała go jednak woda. Może będzie mógł się nawet umyć? Jego własny zapach nagle zaczął mu dokuczać.

Arystarch nie dał mu jednak wyrazić tej potrzeby. Szerokimi susami doskoczył do otworu wejściowego kopuły, w którym

niegdyś na pewno były drzwi. Oparł się dziwacznie o jego brzeg, w taki sposób, że na zewnątrz wystawała tylko jego ręka i głowa z szerokim uśmiechem.

– Zapraszam! – zawołał i zniknął w ciemnościach.

Filip przez moment zastanawiał się, czy to nie dobry moment, by zwiewać. Ostatecznie ciekawość (a także perspektywa handlu) wygrała. Wszedł do kopuły. To, co wcześniej uznał za nieskazitelną ciemność wnętrza, było w rzeczywistości zawieszoną, czarną kotarą. Odgarnął ją na bok i przecisnął się przez powstały otwór do środka. Przekroczył mały przedsionek i znalazł się w dawnej sali projekcyjnej.

Siedzenia ustawiono w ośmiu rzędach skierowanych i zniżających się w stronę sceny, na której skraju stanął właśnie Filip. Salę oświetlało jedynie światło słońca wpadające przez otwarte drzwi u góry, tuż za ostatnim rzędem. Fotele pozostały dziwnie nie-
tknięte przez ząb apokalipsy. Owszem, brakowało pojedynczych, a wiele miało dość wytartą, czasem poszarpaną tkaninę, ale poza tym wyglądały dość przyzwoicie. Na samym środku, jakby wrzucone w to wszystko, na grubej kolumnie stało przedziwne urządzenie, które wyglądem przypominało mechaniczne jajo. Wokół niego znajdowało się też kilka mniejszych kopulek na osobnych kolumnach, te jednak wyglądały już na zniszczone: wystawały z nich powyciągane kable, tu i ówdzie sterczały kawałki tłuczonego szkła. Całą tę dziwaczną instalację otaczała metalowa barierka.

Arystarch stał na samym środku sceny. Dumnie wypinał pierś, pięści podpierał o biodra i z uśmiechem wodził wzrokiem po przykrywającym to wszystko sferycznym suficie. Filip podążył wzrokiem w tym samym kierunku.

Cała kopuła była starannie przykryta od spodu płachtami, najprawdopodobniej starymi prześcieradłami. Pokrywały je malowidła gwiazd, a wiele z nich połączono liniami i podpisano.

– Piękne, prawda? – zapytał Arystarch, nie odrywając wzroku od kopuły.

Filip zacisnął wargi. Czego mógł się spodziewać, przychodząc tutaj? Prawdziwego, immersyjnego seansu, z podróżą na Saturna i z powrotem, jak za dawnych, normalnych lat?

– Ty to wszystko zrobiłeś? – spytał, choć odpowiedź nasuwała się sama.

– Tak! Nie było łatwo to wszystko zawiesić! Układy gwiazd od-
tworzyłem na podstawie atlasów nieba. To, co teraz widzisz, to
północna połowa sfery niebieskiej. Pracuję wciąż nad południo-
wą, ale ta wydaje się bardziej istotna dla mieszkańców tych oko-
lic. Rozsiądź się, a ja przybliżę ci to, co ukryte w niebiosach.

– Ktoś tu przychodzi? Na te twoje pokazy?

– Zdarza się... Na przykład parę tygodni temu była tu jedna pani
z córeczką. Wędrowały na południe. A ty dokąd idziesz?

– A to na środku? – zapytał Filip, który wcale nie miał ochoty
ani opowiadać o sobie, ani słuchać o kropkach namalowanych na
jakichś szmatach. Wskazał palcem na urządzenia za barierką. –
Co to takiego?

– Ach... – odparł Arystarch tonem mędrca, unosząc wskazu-
jący palec. Wspiął się między fotelami do drugiego rzędu, gdzie
zaczynała się barierka. Oparł się o nią oburącz. – Te małe kopułki
służyły do wyświetlania planet, ale niestety są już zepsute. Ale to,
mój drogi – wskazał palcem urządzenie na środku – jest projektor
gwiazdowy. Może wyświetlić na kopule miliony gwiazd, odzwier-
ciedlając nocne niebo w sposób niezwykle realistyczny!

Filip także podszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie urządzeniu.

Poziom podłogi za barierką znajdował się znacznie poniżej po-
ziomu siedzeń, tworząc coś w rodzaju studni. Z jej dna wyrastały
kolumny podtrzymujące urządzenia. Projektor gwiazdowy miał
kształt lekko wydłużonej kuli. W jego metalowej obudowie było
pełno okrągłych wycięć o różnych rozmiarach. Po bokach przy-
trzymywały go dwie podpórki. Pozostałe projektory przypominały
małe kopułki, zupełnie jakby były miniaturowymi planetariami.

– „Może”? – spytał Filip. – On wciąż działa?

– Tak! – zawołał mocnym głosem Arystarch, ale zaraz się za-
wahał: – To znaczy... tak myślę. To porządny sprzęt. Nie ma już co
prawda jego komputera sterującego, ale gdyby dać mu zasilanie,
z pewnością by zaświecił!

– Ale nie masz jak go zasilić?

– Niestety nie. – Arystarch smutno pokręcił głową. – Znam jedno
miejsce w mieście, gdzie uchował się panel słoneczny. Chciałbym go

kiedyś zdobyć, ale... w tamtym rejonie grasują dzikie psy. Nie chcę z nimi znów zadzierać.

Filipowi przyszedł do głowy pomysł. Rozważył ryzyko, po czym powiedział:

– Ile byś mi dał, gdybym pożyczył ci na jeden seans moją baterię?



Nareszcie był czysty! Nie mógł w to uwierzyć!

Spostrzegł, że starzec ma bzika na punkcie planetarium i z pewnością dużo dałby za pożyczenie baterii, ale nie spodziewał się, że aż tyle. Gdy tylko wnieśli do kopuły naładowaną w połowie baterię Filipa, Arystarch zaprowadził go do swojego schowka, który za dawnych czasów zapewne był przestrzenią biurową pracowników planetarium, i zaczął niemal rzucać w towarzysza puszkami z jedzeniem, butelkami wody, ususzonymi ziołami i lekarstwami.

Filip wziął wszystkiego po trochu. Czuł się przy tym tak, jakby okradał starca. To były cenne rzeczy. Z drugiej strony, Arystarchowi udało się zachomikować naprawdę spore zapasy. Pewnie więcej, niż byłby w stanie zużyć do końca życia.

Zanim Arystarch pobiegł podekscytowany pod kopułę, by grzebać przy zasilaniu projektora gwiazdowego, Filip nieśmiało zapytał, czy mógłby się gdzieś umyć. Był w niemałym szoku, gdy okazało się, że Arystarch zbudował na tyłach kopuły prowizoryczny prysznic, z widokiem przez stłuczone okno na ruiny centrum miasta.

– Na dachu jest zbiornik wodny? – Filip wskazał rurę prowadzącą od konewki prysznica po sam sufit.

– Całe mnóstwo! – rzekł Arystarch z dumą. – Zbudowałem pożyteczny system zbierania deszczówki. – Klepnął z czułością w rurę, która wybrzmiała głuchym, metalicznym dźwiękiem. – „Susza hydrologiczna”, tak na to mówili. Deszcze są rzadko, a zaraz po nich jest posucha i spiekota. Ale jak już przychodzą, to sporo wody da się uzbierać!

Po prysznicu Filip zwiesił nogi na zewnątrz budynku, nagi i mokry, i pozwolił słońcu wysuszyć skórę. Zjadł też jedną z konserw podarowanych mu przez Arystarcha.

– O ja jebie – rzekł z ubóstwieniem, przeżuwając. – Wreszcie nie psie żarcie, mmm!

Wyrzucił pustą puszkę przez okno, gdzie potoczyła się z brzękiem po popękany beton.

Wstał, ubrał się i poszedł do kopuły. Nie był przesadnie ciekawy, czy Arystarchowi udało się uruchomić projektor, ale chciał mieć oko na swoją baterię.

W środku panował już lekki półmrok. Filip znalazł starca za barierką projektora gwiazdowego, klęczącego przy podstawie kolumny. Arystarch zdjął z niej pokrywkę, ukazując okablowanie instalacji elektrycznej. Bateria Filipa leżała obok. Podłączone były do niej prowizorycznie dwa kable.

– Udało się? – spytał Filip.

– Prawie! Muszę tu tylko te kable... je tu tak... kur... – Dalsze słowa zniknęły w serii zduszonych sapnięć i stęknęć.

Filip zdążył już uznać, że nic z tego nie będzie, gdy nagle kula projektora gwiazdowego rozbłysnęła światłami. Otworzył usta w zdumieniu.

– Hej, działa! – zawołał do Arystarcha.

Starzec wydał z siebie okrzyk radości.

– Szybko! Zamknij drzwi!

Zanim Filip zdążył się ruszyć, Arystarch sam wyskoczył zza barierki, pobiegł na górę sali i zasunął drzwi wyjściowe.

Zapadła ciemność.

Jedynym źródłem światła był projektor gwiazdowy. Wyglądał jak sfera, wewnątrz której zamknięto białą gwiazdę, a jej światło wydostawało się ze środka przez setki otworów.

Cała kopuła, podłoga, siedzenia widzów, Filip i Arystarch, wszystko było upstrzone gwiazdami. Droga Mleczna przecinała kopułę świetlistym pierścieniem.

– Jest znacznie wspanialszy, niż pamiętałem... – wyszeptał Arystarch łamiącym się głosem.

Rzeczywiście robiło to wrażenie. Przez moment obydwoj trwali w ciszy i tylko spoglądali na sztuczne niebo. Filip nie znał się

na astronomii. Potrafiłby rozpoznać jedynie Wielki Wóz. Zaczął się za nim rozglądać.

Z jego podświadomości wyrwało się na wierzch wspomnienie Karoliny ściskającej go za rączkę, dawno temu. Mimowolnie zaciśnął palce na pustce.

– Trzeba go jeszcze ustawić – rzekł Arystarch, przerywając czar chwili. – Tak, żeby pokazywał to tak, jak wygląda na naszej szerokości geograficznej.

Stąpając ostrożnie po ciemku, wrócił za barierkę. Sięgnął do projektora gwiazdowego i chwycił go po bokach.

– Trzeba go... – wysapał, pchając mocno rękoma – ...obrócić...

Gwiazdy z tyłu kopuły zaczęły wspinać się coraz wyżej, a te z przodu opadać ku podłodze. Filipowi zakręciło się od tego w głowie. Dla równowagi podparł się o oparcie fotela przed sobą. W końcu dostrzegł to, czego wyszukiwał – Wielki Wóz, wznoszący się teraz nad drzwiami wyjściowymi.

Niebo się zatrzymało.

– Mniej więcej tak... – wymruczał Arystarch. – To teraz jeszcze odpowiednia pora roku...

Znów chwycił za projektor i teraz gwiazdy zaczęły kręcić się w innej osi.

– Zobacz, z tyłu – wołał – jakieś pięćdziesiąt stopni nad horyzontem jest jedna gwiazda, która się nie porusza. Wszystkie inne kręcą się teraz wokół niej! To Gwiazda Polarna z konstelacji Małej Niedźwiedzicy.

Filip zmrużył oczy. Dostrzeżenie, która gwiazda nie uczestniczy w obrocie nieba, nie było tak łatwe, jak z pozoru mogłoby się wydawać. Po chwili jednak mu się to udało. Wielki Wóz wirował nieopodal wokół niej.

– Dobra, mniej więcej tak – oznajmił Arystarch, odrywając ręce od projektora.

Wygramolił się po omacku zza barierki, przeszedł między fotelami i stanął koło Filipa. Na tle gwiazd widać było jedynie kontur jego postaci.

– Wiedziałeś, że gwiazdy mogą nam służyć za kalendarz? – zapytał i, nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Przez ruch Ziemi

po orbicie wokół Słońca z dnia na dzień zmienia się to, co widać nocą. Inna część kosmosu patrzy na nas zimą, inna latem. Spójrz!

Ręka Arystarcha wystrzeliła w przód, wskazując jakieś gwiazdy, ale które dokładnie, trudno było powiedzieć.

– Gwiazdozbiory na Południu mówią nam, że teraz mamy wiosnę! Te gwiazdy – zamachał ręką, jakby rysował w powietrzu – tworzą Lwa, wielką bestię, z którą walczył dzielny Herakles. A te tuż obok – ręka zrobiła gwałtowny zamach na lewo – to Panna. Bogini Demeter. W dłoni trzyma gwiazdę Spika, co z łaciny oznacza kłós. Jej pojawienie się było znakiem, że nadchodzi czas zasiewów.

– Nigdy nie byłem fanem greckich mitów. Wydawały mi się straszliwie brutalne. A jest tu gdzieś Prometeusz?

– Jego akurat nie ma.

– Zawsze współczułem Prometeuszowi, przez to, jak skończył. Teraz zastanawiam się, czy bogowie nie potraktowali go nader łaskawie.

– Dlaczego tak mówisz?

Filip spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Stoisz na zgłiszczach świata, który spłonął, i jeszcze mnie pytasz? Dostaliśmy ogień, staliśmy się królami przyrody, władcami planety i zniszczyliśmy wszystko. W pełni świadomi konsekwencji powoli zadusiliśmy się oparami węgla. Zatruliśmy oceany. Po lasach pozostał już tylko piach, a po zwierzętach kości. Czasem sobie myślę, że ogień powinien być zostać na Olimpie, a my w gałęziach drzew.

Arystarch pochylił głowę i podrapał się za uchem.

– Ale ogień dał nam też ciepło i bezpieczeństwo – powiedział. – Rzeczywiście staliśmy się władcami planety i nie rządaliśmy nią najlepiej... ale ile wspaniałych rzeczy osiągnęliśmy! Polecieliśmy do gwiazd! Wylądowaliśmy na Księżycu i na Marsie!

– Taa... A teraz nic z tego nie zostało. Księżyc i Mars są puste. Satelity krążą martwe wokół Ziemi, która jest zniszczona.

– To nieprawda. – Arystarch się uśmiechnął. – Ziemia ma się świetnie!

Nagle, bez żadnego ostrzegawczego błysku czy dźwięku, projektor zgasł.

Zapadła nieprzenikniona ciemność.

– Och... – jęknął Arystarch żałośnie.

– Co się stało? – spytał nerwowo Filip. Miał nadzieję, że starzec swoim prowizorycznym kleceniem kabli nie uszkodził jego baterii.

– Energia się skończyła. Ta bestia zżera dużo prądu. Otworzę drzwi.

Filipowi zacisnęło się gardło. Nic nie mówił, nie chciał okazywać zdenerwowania. W końcu zgodził się na tę wymianę, sam ją zaproponował... ale żeby cała bateria tak szybko się zużyła? Psia krew, czy ten pomyłony staruch nie mógł go ostrzec, że tak będzie? Czy on nie wie, jak wolno się to cholerstwo ładuje?

Filip cały następny dzień, może nawet dwa, będzie musiał wędrować bez muzyki, bez zdjęć, filmów... Będzie prawdziwie sam. Sam jeden w pustym świecie, odcięty od wszystkiego, co pobudzało przeszłość do życia.

I gdy tak teraz o tym myślał, zauważył, że to trochę głupie, niedorzeczne. Zresztą to tylko na krótko... A jednak wciąż czuł, jak się w nim gotuje.

Arystarch otworzył drzwi i pod kopułę wpadła słaba poświata wieczora, ledwo co odganiająca mrok.

Filip przeszedł koło niego i wyszedł na zewnątrz. Spojrzał z tęsknotą przez okno na zachód.

Arystarch stanął obok niego.

– To było niesamowite – rzekł. – Nawet nie wiesz, ile lat o tym marzyłem. Nie mam słów, by opisać moją radość.

– Cieszę się – mruknął Filip.

Starzec obrócił się przodem do niego. Uciekł spojrzeniem gdzieś w bok, zaczął nerwowo splatać i rozplatać palce. Wreszcie powiedział na jednym oddechu:

– Chciałbym od ciebie odkupić baterię i panel słoneczny.

Filip stanowczo pokręcił głową.

– Nie.

– Dam wszystko! – Arystarch złapał go mocno za barki. Filip nie zareagował, ale miał ochotę go odepchnąć. – Co tylko chcesz! Możesz załadować swój wózek po brzegi!

– Powiedziałem: nie! – Filip chwycił go za nadgarstki i zrzucił jego dłonie z siebie. – Potrzebuję jej.

– Do czego?

Filip już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale się wstrzymał. Dlaczego niby miałby tłumaczyć się jakiemuś wariatowi? Bateria jest jego i koniec!

– To zostań! – Arystarch złożył dłonie przed twarzą. – Chociaż na kilka dni! Proszę!

– Muszę już iść.

Pospiesznym krokiem, nim Arystarch zdążył cokolwiek więcej powiedzieć, wrócił pod kopułę. Przeskoczył barierki i odpiął baterię od kabli projektora. Salę opuścił dolnym wyjściem. Zszedł po betonowych schodach i znalazł się na parterze. Wsadził baterię do przyczepki.

Arystarch niespodziewanie znalazł się znów tuż przy nim.

– Chyba nie będziesz wędrować nocą? Zostań przynajmniej do rana.

Filipowi ten pomysł wcale się nie podobał. Z drugiej strony, nocna wędrówka, bez żadnego oświetlenia, również. W tych warunkach mógłby nie dać rady znaleźć schronienia.

Spojrzał na Arystarcha, a w zasadzie na kontur jego sylwetki, bo tyle było widać w ciemności. Starzec był słaby i kruchy. Gdyby coś kombinował, Filip bez trudu by go pokonał...

Ale nie we śnie. Wyobraził sobie, jak Arystarch unosi wysoko kawał betonowego gruzu i ciska go na jego głowę, rozpryskując jej zawartość na boki, plamiąc śpiwór krwią i mózgiem.

Starzec co prawda nie wydawał się zdolny do takiego czynu, ale cholera go wie. Naprawdę zależało mu na tej baterii...

Ale Filip wiedział, jak go przechytryć. W razie czego poradzi sobie.

– Masz rację – powiedział. – Spędzę tu noc.



Dźwięk kroków.

Cichych, stawianych powoli i ostrożnie.

Filip otworzył oczy. Zaciśnął palce mocniej na rękojeści noża, którą cały czas trzymał przez sen.

Leżał na podłodze pod przyczepą, ukryty. Śpiwór wypełniony gratami był tuż obok, rozłożony przy pojeździe.

Przekręcił głowę na bok, by wypatrywać zbliżającego się Arystarcha. Noc była już późna, przez okna wpadała biała poświata księżycowego sierpa.

Ograniczony przez podwozie przyczepy, nie mógł zobaczyć całej sylwetki starca. Widział tylko jego nogi.

Ku zdziwieniu Filipa wcale nie zbliżały się do niego. Arystarch zmierzał do wyjścia z planetarium. Na stopy tym razem miał założone buty.

Filip odprowadził go wzrokiem. Potem wypełził spod wózka, zerwał się na równe nogi i zaczął gorączkowo myśleć.

Arystarch może i nie zaatakował go podczas snu, ale mimo wszystko coś knuł. *Dokąd on idzie? A jeśli chce sprowadzić jakąś pomoc?*

Cokolwiek się działo, Filip nie miał zamiaru czekać, by się przekonać. Dzięki blaskowi Księżyca noc była już w miarę jasna, mógł ruszyć. Postanowił, że zdrzemnie się w ciągu dnia, z dala od tego miejsca.

Wrzucił śpiwór i jego zawartość niedbale na przyczepę, chwycił za dyszel i pospiesznie opuścił planetarium. Gdy tylko wyszedł przed budynek, zimny podmuch pokrył mu ręce gęsią skórą. Chciał zatrzymać się i sięgnąć po okrycie, ale zacisnął zęby i poszedł dalej.

Przechodząc koło drzewa, czarnego na tle nocy, zawahał się i zatrzymał. Nie chciał schodzić do koryta rzeki teraz, po ciemku. Jeden nieostrożny krok i będzie po ucieczce.

Postanowił, że pójdzie betonową ścieżką ciągnącą się wzdłuż rzeki. Na pewno będzie się wiła i kluczyła, ale w końcu uda mu się znaleźć jakieś łagodniejsze zejście. Byle nie zagłębiać się w miasto.

Oczywiście było też takie ryzyko, że szedł dokładnie w tym kierunku, z którego wróci Arystarch... i może ktoś jeszcze. Dlatego, mimo pośpiechu, starał się stąpać jak najciszej, cały czas nasłuchując.

Ciszę nocy rozdarł nagły krzyk.

Był głośny i pełen strachu. Dobiegał gdzieś spomiędzy budynków i bez wątpienia należał do Arystarcha.

Chwilę później dołączyło do niego wściekle ujadanie.

Filip puścił dyszel przyczepy i stanął jak wryty. Choć jeszcze przed chwilą był przekonany o złych zamiarach starucha, teraz nie poświęcił na rozważania ani chwili.

Musiał mu pomóc.

Wyciągnął nóż z pochwy i chwycił go pewnie w dłoń.

Przydałoby się coś jeszcze do rzucania... Nie chciał tracić czasu na szukanie po omacku kamienia. Sięgnął do przyczepki i wyciągnął dużą puchę konserw. Puścił się pędem w stronę krzyków i ujadania.

– Arystarch! – krzyknął na całe gardło, by dodać starcowi otuchy.

– Filip? Pomocy!

Szczekanie robiło się coraz głośniejsze. Filip biegł po popękanym asfalcie, ile miał sił w nogach.

Skręcił w prawo, kilkadziesiąt metrów dalej w lewo... i nagle ich dostrzegł.

Zatrzymał się gwałtownie, łapiąc oddech.

Była to ślepa uliczka. Na jej końcu wyrastał niewielki biurowiec. Szyby na parterze były w dobrym stanie. Nieszczęsny Arystarch, oparty plecami o budynek, nie miał drogi ucieczki.

Trzy psy, wychudzone tak, że na ich skórze wyraźnie odcinał się zarys kości, osaczyły go półkolem. Naprężone i gotowe do ataku, coraz bardziej zacieśniały krąg wokół ofiary. Z ich gardel wydobywał się niski, przerażający warkot.

Zimny ucisk strachu chwycił Filipa za gardło, ale mimo trzęsących się nóg i rąk chłopak się mu nie poddał.

– Hej! – krzyknął, ale psy nawet nie zwróciły na niego uwagi.

Był cały rozedrgany. Zbliżył się na kilka kroków, głośno tupiąc, i znów wrzasnął:

– Hej!

Jeden z psów, niczym wyrwany z gniewnego amoku, obrócił się w jego stronę. Zaczął wściekle szczeleć. Jego długie, obsłiniowane kły błyszczały w świetle Księżycy.

Na ugiętych łapach zbliżał się do Filipa.

– Won stąd! – krzyknął chłopak i machnął kilka razy nożem na boki.

Nie zrobiło to na zwierzęciu najmniejszego wrażenia.

Uniósł nad głowę puszkę, chcąc cisnąć nią w psa.

Ale co, jeśli spudłuje? A nawet jeżeli trafi, to są jeszcze dwa...

Wpadł na pomysł. Podważył nożem wieczko konserwy i je uniósł. W powietrzu rozniósł się intensywny zapach mielonego mięsa.

Pies zaczął ujadać jeszcze wścieklej.

Filip pospiesznie zanurzył ostrze w zawartości, odkroił jej gąbczasty kawałek i cisnął go w stronę psa. Ten złapał go w locie i szarpał zębami, warcząc przy tym bez opamiętania.

Nie tracąc czasu, Filip wygrzebał jeszcze jeden kawałek i rzucił w stronę pozostałych dwóch psów, które wciąż osaczały Arystarcha.

Gdy tylko dostrzegły kawałek mięsa, rzuciły się na niego i zaczęły gryźć się nawzajem. W międzyczasie pierwszy pies znów chciał atakować.

Filip zanurzył ostrze noża w puszcze i zabełtał nim w środku. Wziął zamach i cisnął puszkę jak najdalej przed siebie. Odbiła się od chodnika, rozsypując dokoła mięso, i potoczyła na pobocze.

Wszystkie psy rzuciły się na jedzenie. Ujadały przy tym na siebie w ciągłej rywalizacji o każdy kawałek.

Filip nie miał zamiaru czekać, aż przypomną sobie o ludzkich ofiarach. Podbiegł do sparaliżowanego strachem Arystarcha, niemal wrośniętego w ścianę budynku. Chwycił go pod ramię i uciekł razem z nim z alejki.

Biegli całą drogę bez oglądania się. Zatrzymali się dopiero przy wozie Filipa. Obaj oparli dłonie o kolana, ciężko dyszeli.

Dopiero teraz Filip spostrzegł, że lewa nogawka Arystarcha jest poszarpana, a po nodze ścieka krew.

– Jesteś ranny!

– Tak... – wysapał Arystarch. – Mam apteczkę. Chodźmy.

Filip chwycił za dyszel przyczepy, obrócił się w miejscu i ruszył z powrotem do planetarium, z którego dopiero co uciekał.

Arystarch szedł koło niego, lekko kuśtykając.

– Dziękuję – rzekł. – Uratowałeś mi życie.

– Co ty w ogóle tam robiłeś?

– Chciałem zdobyć tę baterię słoneczną, o której ci mówiłem... Myślałem, że może mi się uda nocą, że, nie wiem... te kundle będą gdzie indziej niż za dnia...

Filip westchnął w duchu. Nie chciał tego komentować.

– Próbowaleś dawać im jeść? – spytał. – Zdaje się skutkować.

– Tak, dopóki nie rzuca się na ciebie. Obawiam się, że te biedne stworzenia są już poza granicą oswajalności.

Po dotarciu do planetarium udali się do schowka Arystarcha, gdzie wspomagając się małymi latarkami, zajęli się opatrywaniem jego nogi. Większość ran było powierzchownych, ale jedna okazała się dość głęboka. Cały czas sączyła się z niej krew. Wyglądała na spowodowaną bardziej pazurem niż zębem, co szczęśliwie zmniejszało szansę na dostanie się infekcji.

Apteczka Arystarcha okazała się wyposażona we wszystko, co potrzebne. Nie tylko udało się zdezynfekować ranę, ale także zszyć ranę profesjonalną nicią i igłą chirurgiczną, co starzec dzielnie zniósł.

– Wiesz, od czego zaczęła się cywilizacja? – spytał Arystarch. Siedział na podłodze oparty o ścianę, podczas gdy Filip obwiązywał bandażem jego nogę. – Co się uznaje za najstarsze archeologiczne dowody jej istnienia?

Filip pokręcił głową.

– Nie żadna gliniana tabliczka z jakimiś zapiskami czy kawałek rozpadniętego murka.

Filip zawiązał bandaż.

– Gotowe – oznajmił. Wstał i wyciągnął rękę.

– Najstarszym świadectwem cywilizacji – Arystarch chwycił dłoń Filipa i podniósł się – był szkielet, który miał zrośniętą kość biodrową.

Filip rzucił mu nierozumiejące spojrzenie.

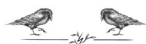
– Pomyśl tylko. – Arystarch uniósł palec. – Dla zwierzęcia w dziczy takie złamanie to wyrok śmierci. Skoro ten człowiek to przeżył, to znaczy, że jego stado, jego plemię otoczyło go troskliwą opieką. Dostarczali mu żywność, pilnowali go, gdy wypoczywał, nawet pomagali się wypróżniać. Prawdopodobnie specjalnie dla niego zatrzymali się w swej wędrownicy lub nieśli go na noszach.

Wszystko po to, by wrócił do zdrowia. I tak oto ludzie nie byli już zwierzętami.

Filip nic nie powiedział, ale całkiem podobała mu się ta myśl. W przyszłości miał niejednokrotnie do niej wracać.

Arystarch klepnął go w ramię.

– Wejdźmy na dach.



Nad dawną Warszawą rozciągało się bezchmurne, gwieździste niebo.

Arystarch usiadł na brudnej poduszce z rozmarzonym westchnieniem. Spoglądał w górę, kręcąc głową na boki, a na jego twarzy gościł szeroki uśmiech.

Filip oparł się o betonową barierę i także uniósł wzrok. Odnalazł kształt Wielkiego Wozu.

– Żałuję, że nie zachował się tutaj żaden teleskop – rzekł Arystarch. – Marzy mi się, by kiedyś jakiś znaleźć... albo nawet zbudować!

Filip odwrócił się od nieba i spojrzał na towarzysza.

– Czemu tak bardzo zależy ci na tym planetarium, skoro prawdziwy kosmos da się oglądać dosłownie na jego dachu?

– Nie zawsze się da. Poza tym planetarium nie tylko pokazuje niebo. Ono je zatrzymuje dla ciebie! Możesz je poznać od każdej strony. Z każdego miejsca i z każdego czasu. I wreszcie, można pokazać je innym, przekazać dalej tę wiedzę. Na przykład tobie.

– Świetnie. – Filip wzruszył ramionami. – Ale po co? Co mi po znajomości nazw gwiazdozbiorów martwego świata?

Arystarch machnął ręką.

– Nazwy są wtórne, możemy nadać nowe. Dzięki gwiazdom możemy nawigować, mierzyć czas i przekazywać przyszłości nasze historie. Możemy zostać zainspirowani do wielkich rzeczy. Chodzi o kontakt naszego intelektu z kosmosem.

Arystarch westchnął i znów zadarł głowę wysoko, zanurzając wzrok w spektaklu na niebie.

– Astronomia to piękna nauka – powiedział. – I powinna trwać.

– Gdyby nie ignorancja ludzkości wobec nauki, nie byłibyśmy tu, gdzie jesteśmy – skomentował Filip. – Ale skoro chcesz wskrzeszać naukę, nie lepiej zająć się czymś innym? Bardziej... pożytecznym? Na przykład badaniami fauny i flory w celu odtworzenia bioróżnorodnych ekosystemów?

– Zdecydowanie warto się tym zająć. I pewnie ktoś już to nawet robi. Moją misją jednak są gwiazdy.

Arystarch wstał i podszedł do towarzysza.

– Powiedz mi, Filipie. – Objął go jedną ręką, a drugą wskazał na niebo. – Co tutaj widzisz?

Chłopak wzdrygnął się przed tą bliskością, ale nie odsunął się.

– Cóż... tamte gwiazdy to chyba Lew, nie?

– I jak często je widziałeś podczas swojej podróży?

Filip podrapał się w głowę.

– Dość często, chyba. Nie zastanawiałem się nad tym za bardzo. Nie zwracałem szczególnej uwagi.

Arystarch odsunął się i tryumfalnie klasnął.

– A teraz już będziesz! Dzięki planetarium nie będziesz nigdy sam podczas swoich wędrówek. Kosmos będzie kroczyć wraz z tobą.

Filip zmarszczył brwi.

– Jasne – odpowiedział. Nie bardzo wiedział, w jaki sposób miałoby mu to pomóc.

Arystarch oparł się o murek. Gwiazdy odbijały się w jego oczach.

– Świat się nie skończył, Filipie. Skończyła się tylko jakaś jego epoka. Gwiazdy nadal świecą, a Ziemia nadal się kręci. Przed nią jeszcze miliardy lat. A w nich zawarte mnóstwo kolejnych epok. Jedna z nich właśnie się zaczyna.

Filip zagapił się w mrugające punkty. Zdawały się tej nocy świecić z wyjątkową mocą. Spadająca gwiazda przecięła czernięba. Ledwie mignęła jasną poświatą i już jej nie było. Taka ulotna i nieuchwytna na tle wieczności Wszechświata.



Ekran komputera zgasł. Filip złożył go spokojnym ruchem i schował do przyczepy. Uśmiechnął się. Dobrze było znów zobaczyć Karolinę.

Westchnął i ruszył dalej. Arystarch niemal do świtu opowiadał mu o niebie. Gdy Filip opuszczał planetarium, starzec spał jak kamień. Chłopak go nie budził.

Zając kicał sobie bez troski w wyschniętym korycie Wisły. Zatrzymał się pośrodku dawnej rzeki, by podrapać się za uchem. Filip nie mógł pozbyć się skojarzenia ze zwierzęciem, które po niebie przemieszcza się pod stopami potężnego Oriona.

Gwiazdy wciąż świecą, a Ziemia wciąż się kręci.

Kiedys nauczę się polować, pomyślał Filip. *Ale jeszcze nie dzisiaj.*

Uśmiechnął się i chwycił za dyszel wózka, z którym krążył po świecie niczym Wielki Wóz po niebie.

Ruszył przed siebie, dalej na południe. Jeszcze tylko raz, gdy dotarł pod zniszczony most, stanął na chwilę, obrócił się i zawiesił wzrok na kanciastym budynku planetarium, oświetlonym przez wschodzące Słońce.

Po raz pierwszy od dawna czuł, naprawdę czuł, że będzie dobrze. I po raz pierwszy, odkąd opuścił dom, odnalazł miejsce, do którego chciałby kiedyś wrócić.

Wreszcie odwrócił się i poszedł dalej.

Szedł różnym krokiem. Bez baterii i panelu słonecznego wózek był zdecydowanie lżejszy.

O autorze

Mateusz Wyszyński – ukończył studia pierwszego stopnia na kierunku astronomia na Uniwersytecie Warszawskim, a od 2014 roku pracuje w Planetarium Centrum Nauki Kopernik, gdzie tworzy i prowadzi pokazy dla publiczności.

Jest autorem opublikowanych opowiadań:

- *Patsy* w konkursie *Wiedźmy* wydawnictwa Fabryka Słów,
- *W cieniu kasztanowców* – 2. miejsce w IV edycji konkursu literackiego Polskiej Fundacji Fantastyki Naukowej,
- *Zwierciadła w pustce* – publikacja w *Technofobie* grupy Fantazmaty,
- *Obcość to my* – opowiadanie w antologii *Insekcje* wydawnictwa IX.

Poza prozą pisze także teksty dla swojej kapeli metalowej Jesterbox.

Działa w social mediach pod nazwą Mataj Fiction na platformach Facebook, YouTube, Instagram i TikTok.



Zerec

Artur Siwek

– Patryk! Mam bombę!

Lekko zdyszany głos Andrzeja świadczył o tym, że mężczyzna drogę z modułu łączności przebył orbitalnym odpowiednikiem biegu.

– Jakie są twoje żądania? – Patryk nie odrywając wzroku od monitorów, na których obserwował pracę robotów montażowych, podniósł ręce w geście poddania.

Andrzej westchnął i z wyraźnie mniejszym entuzjazmem poinformował:

– Prezes do nas leci.

– Żartujesz? – Patryk odwrócił się trochę zbyt gwałtownie i zanim się zatrzymał, wykonał pełny obrót.

– A jednak cię ruszyło. – Twarz kolegi rozpromieniła się uśmiechem.

Andrzej uwielbiał roznosić wszelkiego rodzaju wieści, poczynawszy od ploteczek, przez informacje korporacyjne i branżowe, na wielkiej polityce kończąc.

– Nooo, trochę mnie zaskoczyłeś, facet ma już dobrze po sześćdziesiątce i, z tego co wiem, jeszcze nigdy nie był na górze.

– To słuchaj dalej, bo dopiero teraz będzie bum. Wytrych ma osobiście dostarczyć zereca i...

Andrzej zawiesił głos i wpatrywał się koledze w oczy.

– Iii? – Patryk wiedział, że jak nie zapyta, to Andrzej może odejść, nie mówiąc mu nic więcej.

– I własnoręcznie podłączyć go do lądownika.

– Ja pier... – Patryk zdusił przekleństwo. – To jest proszenie się o kłopoty. I po co? Dla jakiejś chorej ambicji, bo ma kasę i może?

Andrzej pokręcił głową.

– Oj, Patryczku, nie interesujesz się polityką, co? Lecimy po kolei, postaraj się poskładać klocki. Projekt jest finansowany przez...?

– Przez Wytrycha?

Patryk bardziej zapytał, niż odpowiedział. Po minie kolegi poznał, że nie trafił.

– Unię? Rząd Polski? – próbował dalej.

– Brawo. – Andrzej nawet się uśmiechnął. – A panele dostarczają...?

– No, Chiny.

– A nasz cudowny zero resistance kabelek produkuje Wytrych, wykorzystując do tego chińską technologię. A ponieważ nie po drodze mu z obecną władzą, to...

– To co?

– Ciągłe nie łapiesz? Po takiej akcji w świat popłynie przekaz, że Chiny, Unia i reprezentowana przez naszego prezesa Polska dostarczają światu tanią i superekologiczną energię. Wytrych wróci na dół i roztoczy przed Polakami cudowne wizje życia w stanie pełnej szczęśliwości pod warunkiem, że będziemy współpracować z Chinami, a potem... Potem się zobaczy. Dobra, lecę dalej, wieść sama się nie rozniesie – zakończył Andrzej i z efektownym fikołkiem wypłynął ze sterówki.



Strach przyszedł gdzieś między „piętnaście” a „dziesięć minut do startu”, kiedy to zakończone zostały wszystkie procedury i nie pozostało nic innego, jak tylko czekać. Wyobraźnia Piotra pracowała na coraz wyższych obrotach, podsuwając wizje Columbii i Challenge’a. Rozum zaś odpowiadał, że przecież

po Columbii nie było ofiar, a udoskonalony Długi Marsz do dziś niezawodnie wynosi na orbitę Boskie Statki. No właśnie, do dziś, a dziś jest inne niż wczoraj. Eksploatujemy planetę ponad jej zdolności do regeneracji. Klimat się zmienia i pochłania coraz więcej ofiar. Trzeba powstrzymać te zmiany, dopóki jest jeszcze szansa na uratowanie Ziemi, cywilizacji, człowieka. To dlatego siedzi w tym niewygodnym fotelu, walcząc z narastającą paniką i napływem wspomnień o tych, których stracił, o fali, która ich zabrała.

Strach uderzył ponownie na „minuta do startu” i narastał z każdą odliczaną sekundą. Wraz z „zero” osiągnął apogeum. Ześlał ciemność, wycisnął powietrze z płuc i przytłoczył niewyobrażalnym ciężarem. Tak jak wtedy, gdy pękła tama, a fala powodziowa zmiotła wszystko, co napotkała na swojej drodze, przy okazji zabierając wszystko i jemu. Ponownie walczył w ciemnościach o każdy oddech, o to, by wydostać się na powierzchnię. Był coraz słabszy, czuł, że przegrywa, że śmierć jest blisko, że to już ostatnia chwila. I właśnie wtedy zaczerpnął powietrza. Ciężar znikł, pojawiła się niesamowita lekkość.



Przedstawienie dla prezesa, czyli montaż ostatniego rzędu paneli, zaplanowane zostało na dziesiątą czasu lokalnego. Tutaj na górze był to pierwszy taki przypadek, ale Patryk pamiętał podobne szopki z czasów, gdy na dole pełnił funkcję głównego inżyniera. Każdy chief officer czy inny prezes albo dyrektor chciał zobaczyć, co potrafią zdziałać jego pieniądze.

„Spotkanie z prezesem przeciągnie się o piętnaście minut” – wiadomość od Geneviève wyświetliła się w rogu ekranu.

Zawsze się spóźniają, pomyślał Patryk, po czym wrócił do sprawdzania paneli i robotów.

Pojawili się we czwórkę o dziesiątej dwadzieścia. Dowódczyni stacji Geneviève, pilot Tobiasz, prezes Piotr i jego doradca Marek. Po obowiązkowych uściskach dłoni i zwyczajowych grzecznościach Patryk uruchomił roboty i zaczął omawiać procedurę montażu paneli. Tak jak się spodziewał, goście nie dotrwali do końca,

rzucili kilka zdawkowych pytań i wyrazili chęć kontynuowania zwiedzania stacji. Zanim wyszli, Geneviève zakomunikowała, że wszyscy spotkają się o pierwszej na lunch, a zaraz po nim rozpoczną montaż zereca.

Normalnie instalowaliby go Patryk z Dianą, sytuacja jednak nie była normalna. Po pierwsze, którąś z ważnych operacji musiał wykonać prezes, a po drugie, ktoś musiał to profesjonalnie sfilmować. O swobodnym manewrowaniu Wytrycha w przestrzeni nie mogło być mowy, ustalili więc, że będzie działał z wysięgnika, którym z wnętrza transportowca będzie sterowała Geneviève, Patryk będzie nadzorował działania prezesa, a Diana dołoży starań, aby wszystko zostało zmontowane poprawnie. Filmowaniem zajmie się Marek, który był zarówno doświadczonym astronautą, jak i całkiem dobrym operatorem kamery.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami najpierw przelecieli nad całą powierzchnią paneli fotowoltaicznych, a następnie pod nimi dotarli do stacji transformatorowej, gdzie mieli podłączyć kabel. Do tego momentu wszystkie ruchy były reżyserowane i filmowane przez Marka. Teraz dowodzenie przejęła Geneviève, która sprawnie poprowadziła do ładowni transportowca wysięgnik z prezesem. Patryk przekazał Wytrychowi końcówkę zereca. Głównym zadaniem prezesa było utrzymanie kabla, a następnie przyłożenie go do gniazda tak, by Diana mogła go przymocować. Wytrych podołał i obeszło się bez niespodzianek. Skończyli w dwie godziny i wrócili na stację. Geneviève zarządziła godzinny odpoczynek, a po nim wspólną kolację.

Patryk wziął prysznic i o umówionej porze wszedł do messy. Byli już w niej Wytrych z Markiem, Geneviève oraz Diana. Po chwili dołączył Andrzej. Dopóki jedli, rozmowa krążyła wokół tematów technicznych, gdy jednak dostali tubki z kawą, prezes podniósł rękę i rozmowy ucichły.

– Pewnie się zastanawiacie, co strzeliło staremu do głowy, że postanowił zaryzykować zdrowie i pojawił się tutaj? – Uniósł ponownie rękę, widząc szykującą się do protestu Geneviève. – Nie zaprzeczajcie. To rzeczywiście trochę nienormalne, ale czasy też mamy takie nie do końca normalne. Dla mnie wszystko, co dzieje się tu i teraz, jest bardzo ważne. Być może niektórzy z was

wiedzą, że dwadzieścia trzy lata temu spotkała mnie osobista tragedia. Pech chciał, że w czasie katastrofy Tamy Trzech Przełomów przebywałem z rodziną w niewłaściwym miejscu. Widziałem zbliżającą się do nas falę powodziową i nic nie mogłem zrobić. Nic poza przytuleniem najbliższych i przygotowaniem się na pewną śmierć. W chwili, gdy fala wyrwała żonę i córkę z moich objęć, przysięgłem sobie, że jeśli jakimś cudem przeżyję, to zrobię wszystko, aby w przyszłości do takich tragedii nie dochodziło.

Piotr Wytrych zamilkł. Nikt nie śmiał przerwać ciszy, która zapadła. Po chwili podjął opowieść:

– Dla wszystkich Chińczyków było jasne, że przerwanie tamy to bezpośredni skutek zmian klimatycznych spowodowanych globalnym ociepleniem, do którego i oni jako państwo w bardzo istotny sposób się przyczynili. Już przed katastrofą zaczęli mocno stawiać na odnawialne źródła energii, a po niej redukcja emisji gazów cieplarnianych stała się ich narodowym priorytetem. Tak, tak, wiem, że wszyscy to wiecie, ale ich tragedia jest moją tragedią, a ich cele są moimi celami i chciałbym, żeby w pełni to tutaj wybrzmiało. Teraz dla odmiany powiem coś, o czym nie wiecie. Coś, o czym wie tylko garstka ludzi. Jeżeli dziś udowodnimy, że przesył energii kablem zerec z orbity na Ziemię jest możliwy i bezpieczny, Chiny będą w stanie uruchomić w kosmosie elektrownię orbitalną, która w stu procentach zaspokoi ich potrzeby. I jeszcze jedno, *last but not least*, wszystko robię dla naszego kraju, w następnym kroku również Polska skorzysta z czystej i taniej energii. Być może nie podzielacie moich poglądów, nie chcę tu na górze, jak to mówicie, uprawiać polityki, ale boli mnie to, że rząd nic nie robi, aby ograniczyć nasz negatywny wpływ na środowisko. Ja jestem gotów na wszystko, włącznie z lotem na Księżyc, jeśli będzie trzeba, aby to zmienić.



Patryk rozmyślając o tym, co się dzisiaj wydarzyło, wrócił do swojej małej kabiny. Do tej pory nie bardzo interesował się polityką, a ta odwdzięczała mu się tym samym. Skończył

politechnikę i zatrudnił się w mało znanej firmie, potem w korporacji, a na koniec trafił do światowego lidera w produkcji farm fotowoltaicznych. W międzyczasie zrobił doktorat i stał się cennym specjalistą, a rosnąca w tempie kilkudziesięciu procent rocznie produkcja energii fotowoltaicznej zapewniała mu komfort pracy. Po katastrofie Tamy Trzech Przełomów świat zaczął się zmieniać jeszcze szybciej. Chiny postawiły na budowę elektrowni orbitalnych i intensywnie rozwijały związany z nimi przemysł kosmiczny. Stany i Rosja uznały, że inwestowanie w energię z orbity to skrajna głupota i marnowanie pieniędzy. Zawsze proekologiczna Unia, po krótkim, acz burzliwym okresie dyskusji, postanowiła zerwać mocno już nadwyrężone stosunki z Ameryką i podążyła w tym samym kierunku co Chiny. Dla najlepszych specjalistów od fotowoltaiki pojawiły się propozycje pracy na orbicie, a Europejska Agencja Kosmiczna wraz z kilkoma komercyjnymi firmami oferowała bezpłatne szkolenia na astronautów. Patryk bardzo szybko zgłosił się na takie szkolenie i równie szybko dostał swój pierwszy, kilkutygodniowy kontrakt na Europejskiej Stacji Kosmicznej. Od tamtej pory bardziej był gościem niż mieszkańcem planety Ziemia, a sprawy dotyczące polskiej polityki i gospodarki były mu całkowicie obce. I teraz, po tylu latach spokoju, polityka sama się nim zainteresowała. I nie bardzo mu się to podobało.

Z zamyślenia wyrwała go wiadomość od Geneviève:

„Przyjdź za 5 minut na mostek”.

W pomieszczeniu byli tylko dowódczyni i Piotr Wytrych, który wyciągnął do Patryka dłoń i powiedział:

– Przejdźmy na ty, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jasne, że nie mam. Patryk.

– Piotr. Mam nadzieję, że ułatwi nam to współpracę. Teraz i być może w przyszłości. Osobiste kontakty są ważne, jednak poprosiłem cię tu w innym celu. Otóż nasi programiści przeprowadzili istotny update oprogramowania lądownika. Przede wszystkim ulepszyli sterowanie przy silnych wiatrach strumieniowych w niższych warstwach atmosfery oraz wprowadzili precyzyjniejsze poprawki uwzględniające siłę Coriolisa. Chciałbym, abyś przed jutrzejszą instalacją zereca wgrał nową wersję oprogramowania.

Zdziwiony Patryk zerknął na Geneviève, która wpatrywała się w jasny sierp Ziemi za oknem.

– Piotrze, to tak nie działa – odparł, próbując zachować spokój. – A przynajmniej nie powinno. Rozumiem, że program został przetestowany na symulatorach, które uwzględniły wszelkie możliwe odchylenia od normy, ale i tak powinniśmy chociaż raz przetestować go podczas rzeczywistego lądowania.

Ponownie spojrzął na Geneviève. Tym razem nie uciekła wzrokiem.

– Już mu to tłumaczyłam. Ale z wielu względów, tak, również politycznych, Piotr nalega, abyśmy przeprowadzili połączenie bez testów lądownika.

– A co, jeśli odmówię?

– Cóż, wtedy to ja przeprowadzę operację – odpowiedziała Geneviève.



Gazeta Wyborcza – „Główny inżynier orbitalnej elektrowni oskarżony o sabotaż”

Jak ustalił nasz reporter, winnym wczorajszej spektakularnej katastrofy jest główny inżynier orbitalnej elektrowni, doktor Patryk Amiuch. Źródła zbliżone do rządu podają, że Patryk Amiuch zostanie oskarżony o sabotaż i zniszczenie mienia ogromnej wartości. Opozycja wyśmiewa te zarzuty, wskazując, że właścicielem eksperymentalnego kabla jest znany biznesmen, Piotr Wytrych, który nie kryje swoich sympatii do opozycji. Ponadto kabel wyprodukowano przy użyciu chińskiej technologii, jeżeli więc był to akt sabotażu, to musiał być inspirowany albo przez rząd polski, albo przez wywiad amerykański. Lider opozycji nazywa oskarżenie o sabotaż „strzałem w stopę z kałacha”.

The Sun – „Spektakularne zjawisko na niebie. Cały świat się zastanawia, kto za tym stoi”

Kabel o długości prawie trzydziestu sześciu kilometrów, wykonany z superprzewodzących nanowłókien węglowych, oderwany od orbitalnej elektrowni, spektakularnie spłonął w atmosferze, tworząc widowisko piękniejsze od najwspanialszych zór polarnych. Szczęśliwcy, którym dane było je zobaczyć, ciągle przesyłają nagrania do naszej redakcji.

Do tej pory nie ma oficjalnego komunikatu na temat przyczyn zdarzenia. Nie wiadomo, czy był to wypadek, czy kolejna odsłona starcia Chin z Ameryką.

Jeśli byłeś świadkiem tego zdarzenia, prześlij do nas film, a zyskasz szansę na wylosowanie cennej nagrody.

The Washington Times – „Jak kosmiczna katastrofa wpłynie na imperialne plany Chin”

Chociaż za elektrownią orbitalną, na której doszło wczoraj do kosztownej awarii, stoi kapitał polski, to prawdziwym przegranym jest rząd chiński wspierający finansowo i technologicznie rozwój energetyki orbitalnej. W tym przypadku był to ostateczny test superlekkiego materiału o nazwie „zerec”, który miał zapewnić bezstratny przesył energii z orbity na Ziemię, a tym samym umożliwić rozpoczęcie projektu odbudowy Tamy Trzech Przełomów w kosmosie. Gdyby projekt się powiódł, uzależniłby większość cywilizowanego świata od chińskiej energii i technologii.

Realizacja chińskich planów zawłaszczenia przestrzeni kosmicznej zagraża żywotnym interesom Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Opóźnienia w realizacji tych projektów oczywiście cieszą, ale musimy mieć świadomość, że nasz kraj powinien być skuteczniejszy w powstrzymywaniu chińskiej ekspansji.

Xinhua Daily – „Protest społeczności międzynarodowej wobec zawłaszczania przez USA śledztwa w sprawie wypadku w europejskiej elektrowni orbitalnej”

Dzisiaj po południu czasu wschodniochińskiego do Organizacji Narodów Zjednoczonych wpłynął protest przeciwko wykluczeniu reprezentacji Chińskiej Republiki Ludowej z komisji badającej przyczyny wypadku w europejskiej elektrowni orbitalnej. Podpisali go przywódcy: Indii, Brazylii, Argentyny, RPA i wielu innych państw ze wszystkich kontynentów.

Wypadek miał miejsce podczas próby połączenia elektrowni z odbiornikiem na Ziemi. Użyto do tego kabla wykonanego dzięki chińskiej technologii w jednym z krajów europejskich.

Chińska Republika Ludowa nie ustaje w wysiłkach na rzecz ratowania Ziemi. Wykluczenie reprezentantów Chin z komisji jest przejawem braku szacunku oraz lekceważenia pozycji Chin i ich sojuszników.



Geneviève i Piotr większą część nocy spędzili na rozmowach z przedstawicielami władz zaangażowanych krajów i instytucji. Patryk, Diana i Andrzej w tym samym czasie analizowali cały proces połączenia elektrowni z odbiornikiem.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem do chwili, gdy lądownik natrafił na pierwszy prąd strumieniowy, co nie powinno sprawić problemów. Trajektoria opadania rakiety nie została jednak odpowiednio skorygowana i przewidywany punkt przyziemienia wyszedł poza dozwolony promień. W następnym momencie roz-synchronizowało się tempo opadania rakiety i rozwijania zereca, co wywołało nadmierne naprężenia w kablu. W konsekwencji na elektrownię zaczęła oddziaływać siła, która zapoczątkowała zmianę orbity. Automatyczna korekta doprowadziła do powstania dodatkowego sprzężenia zwrotnego, które groziło katastrofą. To w tym momencie Patryk podjął decyzję o odczepieniu kabla od elektrowni.

We troje przeglądali parametry lotu w poszukiwaniu błędu, który popełnili oni albo programiści, ale wszystko wyglądało idealnie. Wszystko z wyjątkiem pierwszej reakcji lądownika na pojawienie się prądu strumieniowego.

– To nie jest zwykły błąd – stwierdził w pewnym momencie Patryk. – Nie testowaliśmy programu, ale takie coś nie mogło przejść przez symulacje.

Gdy docierali do momentu krytycznego i nie znajdowali żadnego błędu, wracali do początku i ponownie przeglądali parametry lotu, zapisy kamer i kod źródłowy, a gdy w końcu zaczęło im się wszystko mieszać, zrozumieli, że muszą odpocząć.

Patryk wrócił do kajuty i długo nie mógł zasnąć. Cały czas miał wątpliwości, czy to na pewno był wypadek, czy może celowe działanie.

Analizował, co Piotr mógł zyskać na katastrofie. W końcu zapadł w płytki sen i śnił o tym, że na Warszawę spada elektrownia, a on, jak Superman, próbuje ją zatrzymać. Gdy już prawie mu się udaje, elektrownia się przełamuje i kompletnie niszczy centrum miasta. Potem to samo dzieje się nad Paryżem i Londynem. Zanim kolejna elektrownia runęła na Rzym, Andrzej obudził Patryka i wezwał na naradę do dowódczyni.

Geneviève zrelacjonowała ustalenia naziemnej kontroli lotów. Niczym się nie różniły od wniosków Patryka i zespołu. Piotr przedstawił techniczne i polityczne konsekwencje zniszczenia kabla. Były bardziej niż poważne. Andrzej zaznajomił zespół z reakcjami światowych mediów.

– Nie jestem żadnym pieprzonym sabotażystą. Może gdybyśmy wcześniej przetestowali ten nowy soft, nie doszłoby do tego? Może sabotażysty trzeba szukać gdzie indziej? – Patryk spojrzał na Piotra i bezwiednie ścisnął tubkę z sokiem, a pomarańczowe krople roztrysnęły się po pomieszczeniu. – Ratowałem, kurwa, ten cholerny kabel do samego końca!

– Wiem, nikt z nas w to nie wątpi. – Geneviève spojrzała na Piotra, potem na Andrzeja. – Wszyscy widzieliśmy, jak walczyłeś. Najpierw o kontrolę nad lądownikiem, potem o zereca, a w końcu o elektrownię. Tylko że ciągle nie wiemy, co było przyczyną. Za... – Geneviève zerknęła na zegarek – za sześć minut mamy połączenie z ministerstwem.

Piotr zbliżył się do Patryka, ujął go za ramiona i powiedział:

– Wiem, że zrobiłeś wszystko, żeby uratować kabel. I zapewniam cię, że nie miałem nic wspólnego z tym wypadkiem. Dam ci jedną radę i proszę, potraktuj ją poważnie. Nie daj się ściągnąć do Polski, bo nigdy już nie wrócisz na górę. Zamkną cię w areszcie domowym, zabronią wyjazdu poza Unię, zakażą lotów na górę. Nie dostaniesz żadnej sensownej pracy. Pozwolą ci co najwyżej doglądać paneli na Pustyni Błędowskiej.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął małą kopertę i podał ją Patrykowi.

– Użyj tego, gdy przyjdzie pora. Do zobaczenia w lepszych czasach. Patryk nie miał pojęcia, co Piotr chciał przez to powiedzieć.



– Czy to prawda, że Patryk jest oskarżony o sabotaż? – wykrzyczała Geneviève, zanim ministra zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Dzień dobry państwu. Nazywam się Anna Maria Markowska i jestem ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Rzeczypospolitej Polskiej. Odnosząc się do pani pytania, nie. Patryk Amiuch oskarżony jest o nieumyślne spowodowanie strat znacznej wartości poprzez umyślne zaniedbanie procedury testowej nowego oprogramowania oraz...

– Ale przecież nie ma żadnej procedury testowej nowego oprogramowania – wpadła jej w słowo Geneviève.

– Proszę pani, to właśnie ma wyjaśnić komisja. Ponadto panu Amiuchowi zostanie postawiony zarzut spowodowania niebezpieczeństwa katastrofy kosmicznej.

– To są niedorzeczne zarzuty. – Geneviève z trudem powstrzymywała wybuch. – Patryk zrobił wszystko, żeby katastrofy uniknąć. Procedury nie złamał, bo takowa nie istnieje, a straty poniósł prywatny inwestor, który nie wnosi żadnej skargi.

– Jak już wspomniałam, szanowna pani, o tym wszystkim rozstrzygnie niezależna komisja powołana przez rząd polski i amerykański.

Tym razem to Piotr Wytrych nie wytrzymał:

– A co Amerykanie mają do tego wypadku? Bo pozwoli pani, że nie będę tego zdarzenia nazywał katastrofą.

– Amerykanie mają największe na świecie doświadczenie w badaniu katastrof kosmicznych. A rząd polski może dobierać partnerów komisji według swojego uznania, jako że terytorialnie i finansowo wydarzenie dotyczy tylko i wyłącznie Polski. – Wyraz zadowolenia nie schodził z twarzy ministry. – W związku z przedstawionymi zarzutami prokuratura wystąpiła z wnioskiem o zastosowanie aresztu domowego wobec Patryka Amiucha. Odpowiedni dokument został już przesłany elektronicznie.

Pan Amiuch może przebywać w jednym z dwóch pomieszczeń. W swojej kajucie lub w sterówce, pod ciągłym nadzorem kamery i mikrofonu, bez dostępu do urządzeń komunikacji zewnętrznej.



Patryk nie mógł się zdecydować, gdzie woli odbywać areszt. W kabinie nie czuł się więźniem, bo przebywał u siebie, ale jednocześnie był zamknięty w sześciu ścianach. W sterówce zaś miał większą swobodę i dostęp do wszystkiego, co było istotą jego życia zawodowego, ale jednocześnie z niczego nie mógł korzystać.

Wisiał nad oknem z widokiem na Ziemię, za którą właśnie chował się Księżyc, gdy do sterówki wpłynął Andrzej. Poinformował, że Geneviève i Piotr lecą na inspekcję stacji transformatorowej, a Marek wraz z nimi, aby dokręcić kilka spektakularnych ujęć z Ziemią i Księżycem w tle. Dowodzenie stacją przejmuje więc Diana.

Patryk jeszcze przez minutę albo dwie patrzył na zachodzący Księżyc. Później przeniósł się do kajuty. Tam w samotności wyjął kopertę, którą dostał od Piotra. Znalazł w niej coś, czego kompletnie się nie spodziewał – kartę dostępu Wytrycha. Przypominał sobie ostatnie słowa prezesa „Nie daj się ściągnąć do Polski, bo nigdy już nie wrócisz na górę”. Przyjrzał się kawałkowi plastiku. Obok zdjęcia, imienia i nazwiska prezesa znalazł zapisane flamastrem słowa „użyj jej mądrze” oraz numer, który nic mu nie mówił. Schował kartę do kieszeni i wywołał moduł dowodzenia.

- Co tam, Patryku, chcesz kolację?
- Nie, nie jestem głodny. Powiedz mi, jak sytuacja?
- Inspekcja dotrze na miejsce za siedem minut. Planują przegląd transformatorów i zdjęcia. Zajmie im to mniej więcej dwadzieścia minut.
- Czym polecili?
- Mamutem. Łatwiej nim sterować.
- Dzięki, Diana. Za godzinę zgłoszę się po kolację.
- Trzymaj się.

Czyli moduł orbitalny przycumowany był do stacji. Patryk popatrzał na kartę Piotra. Z nią mógł wejść wszędzie, ale Diana miała wszystkie uprawnienia dowódcy, czyli mogła zablokować nawet przepustkę Wytrycha. Nie miał wyboru, musiał zaufać koleżance.

Wydostał się z kajuty i ruszył w kierunku sterowni. Tuż przed nią skręcił w korytarz prowadzący do służby. Nie mógł założyć skafandra, musiał zaryzykować bez. Służbę wewnętrzną otworzył ręcznie. Jeśli Diana nie obserwowała monitorów, to go nie namierzy. Służbę zewnętrzną musiał otworzyć z użyciem karty, co na pewno uruchomiło alarm w module dowodzenia.

– Patryk, co robisz? Nie wolno ci przebywać w służbie – odezwała się Diana.

W jej głosie nie usłyszał ani zaskoczenia, ani strachu. Pomyślał, że jest dobrze, wystarczy trochę przeciągnąć konwersację.

– Nie denerwuj się, przypomniałem sobie, że zostawiłem w skafandrze notatnik, a chciałem wykorzystać czas, żeby zapisać kilka wspomnień.

– Dobra, bierz ten notatnik i wracaj do kajuty. – Diana podjęła grę.

– Jasne, już wracam.

Zamiast tego dostał się do modułu orbitalnego i zamknął służbę.

– Patryk, gdzie jesteś, nie mam cię na monitorze. – Diana kontynuowała grę.

– Zaraz będę w sterowni.

Patryk odłączył moduł orbitalny od stacji. Teraz nikt go już nie zatrzyma.

Ponieważ nie mógł jej podziękować, powiedział tylko:

– Przepraszam, wybacz mi.

Po czym wyłączył kanał komunikacji ze stacją.

Wyjął kartę dostępu Piotra i wstukał do komunikatora zapisany na niej numer. Po kilku sekundach usłyszał:

– 這裡是天宮站·請出示您的身分證明

Nic nie zrozumiał, ale odpowiedział po angielsku:

– Nazywam się Patryk Amiuch. Otrzymałem ten numer od Piotra Wytrycha. Czy mówicie po angielsku?

– Tu chińska stacja orbitalna Tiangong. Przesyłamy trajektorię podejścia i udzielamy zezwolenia na dokowanie.



Piotr Wytrych stał przy oknie wychodzącym na lśniąca od deszczu płytę lotniska we Frankfurcie. Sącząc powoli calvados, delektował się nie tylko jego smakiem, lecz także ostatnimi godzinami spokoju. Gdy wróci do Warszawy, będzie musiał nadrobić zaniebane obowiązki i przez kilka dni na pewno nie znajdzie czasu na relaks przy drinku.

Wpatrywał się w ciemność za oknem, deszcz i startujące samoloty. W pewnym momencie zobaczył w szybie odbicie podchodzącego do niego człowieka o typowo azjatyckich rysach. Pan Hui Gang, oficjalnie przedstawiciel firmy dostarczającej surowiec do produkcji zereca.

Piotr uśmiechnął się lekko na wspomnienie tego, ile czasu uczył się wypowiadać to nazwisko bez narzucającego się skojarzenia.

– Witaj, Piotrze. – Hui Gang wyciągnął rękę na przywitanie. – Jak interesy?

– Oficjalnie, to bardzo kiepsko. Wczoraj straciłem kabel wart kilkadziesiąt milionów. Ale o tym wiesz, bo żyją tym wszystkie media. Powiedz lepiej, co u ciebie.

– U mnie, Piotrze, pełen sukces. Dzięki tobie moja, hm... firma pozyskała najlepszego na świecie specjalistę. A o kabel się nie martw, w swoim czasie dostaniesz nowy.

O autorze

Artur Siwek – z wykształcenia fizyk, pasjonat najszerzej rozumianej fantastyki, uwielbia... Teraz to już chyba najbardziej święty spokój. Od kilku lat próbuje pisać, w czym otrzymał pomoc od „Pasji pisania”, „Portalu NF” oraz ostatnimi czasy od „Sekcji literackiej KSF”, prowadzonej przez Pawła Majkę. Najbliższe są mu klimaty hard SF, nie stroni jednak od innych gatunków, ciągle poszukując swojego miejsca w literaturze. Jego opowiadanie *Śmie@ci z Plutona* ukazało się w lipcowym (2025) numerze „Nowej Fantastyki”. Publikował opowiadania w kilku antologiach m.in. *Weird fiction po polsku* (Phantom Books), *Venus* i *Neolegendsy krakowskie* (Stalker Books).



Tylko to się liczy

Istvan Vizvary

– Kto to jest Raróg? – Gyernek jak zwykle nie umiał wytrzymać nawet minuty w milczeniu. Ja zaś nie umiałem go rozczarować. Miał w końcu siedem lat i potrzebował wiedzieć.

– To taki niemiły obcy człowiek.

– A czemu musimy go zabić?

– Nie miałeś wypatrywać królików?

– Wypatruję już od godziny. Nudzi mi się. Czemu one nie chcą się pokazać?

– Nie chcą, żebyśmy je zjedli.

– Ale czemu?

– Chcą przetrwać. Dla nich tylko to się liczy.

– Przetrwać?

– Dożyć do następnego dnia. A żeby je zjeść, musimy je zabić.

– Jak Raroga?

Sprytny skurczysyn.

– Nie wiem, czy Raroga trzeba zabić. Ale królika tak. Musimy go zjeść. A on nie chce być zjedzony. Chce biegać, tak jak ty. Chciałbyś zostać zjedzony?

Zaśmiał się.

– Ludzi się przecież nie je! O, tam!

Strzeliłem, trafiłem, Gyernek pobiegł. Po chwili trzymał za uszy dorodnego samca, który wydawał się jeszcze oddychać.

– Odwróć się! – poleciłem, a potem ukręciłem kicatemu nieborakowi łeb.

– Bolało go? – zapytał chłopak, wciąż odwrócony do mnie plecami.

– Nie – zaryzykowałem kłamstwo. – Masz, wyczyść strzałę. Wracamy.

Do jednostki mieliśmy dobrą godzinę drogi. Trochę daleko jak na tak marny łup, ale zbliżało się już południe i musieliśmy schronić się przed słońcem.

– Rarogowie naprawdę roznoszą Trąd?

– Kto ci to powiedział?

– Gdaś. Słyszał, jak rodzice rozmawiali.

– Nie baw się z nim. Na pewno są jakieś mądrzejsze dzieci.

Nic nie odpowiedział. Obrzął się?

– Tam! – krzyknął nagle.

Strzeliłem, trafiłem, poszedłem. Zawsze to jakaś okazja, żeby przez chwilę odpocząć od pytań. I zastanowić się, czy Rarogowie naprawdę mogą roznosić Trąd.



– Odzyskamy wszystko, co nam zabrano! Ocalimy matecznik naszego plemienia. Nie damy pogrześć mowy! Przegnamy Rarogów i Zbójcerzy na powrót tam, skąd przybyli!

Książę przemawiał zapalczywie i bez choćby cienia sensu. Zbieraninie łachudrów, która spijała słowa z jego spierzchniętych ust, nic to nie przeszkadzało.

– Jesteśmy bowiem ostoją chrześcijaństwa! – krzyknął, choć wolałby pewnie zagrzmieć. – Przedmurzem Europy! Naszym obowiązkiem, ale i przywilejem, jest bronić kontynentu przed barbarzyńską nawałnicą. I chociaż...

Urwał, żeby wykaszać resztę płuc. Zanim służący pociągnął go w kierunku drzwi, Książę pomachał jeszcze zgromadzonym. Niektórzy odpowiedzieli podobnym gestem, zdeorientowani: nazwał ich dziś dwukrotnie „rodziną Noego”. Nie mieli szans wiedzieć, kto to jest ten Noe. Ani, tym bardziej, co to jest chrześcijaństwo.



- Wzywalesz mnie, Książę – powiedziałem w ciemność i czekałem.
W końcu w balkonowym oknie ukazał się cień.
- Pojedziesz z nimi – wyszeptał.
- Po co?
- Żebyś miał oko na Olfa.
- Moje oko mu nie pomoże.
- Nic mu nie pomoże.
- Po co zatem?
- Ocenisz, czy się nadaje.
- Obaj wiemy, że nie nadaje się do zupełnie niczego.
- Nie pozwalaj sobie... – Przerwał mu kaszel wspomagany zapewne poczuciem przyzwoitości. Obaj wiedzieliśmy przecież, że Olf nie nadaje się do zupełnie niczego.
- Zapatrzyłem się w gwiazdy nad cieniem świerkowego lasu, czekając, aż Książę odzyska oddech.
- Nie boisz się go tam puszczać? – spytałem, kiedy miał już szansę odpowiedzieć.
- A kogo mam puścić? Ciebie?
- Kogoś, kto w każdym razie myśli.
- Obaj wiemy... – Znów przerwał, ja zaś zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze da radę powiedzieć coś sensownego, czy zawsze będzie chował się za astmą, czy co tam go zjadało.
- To twój syn – powiedziałem. – Co, jeśli nie wróci?
- Ty zostaniesz moim następcą.
- Nie znam się na zarządzaniu księstwem.
- Na czym tu się znać? – Zabrzmiał zaskakująco trzeźwo. – Pokazać raz na miesiąc karabin. Mówić ludziom, gdzie mają polować, a gdzie rąbać drewno. Zezwalać na małżeństwa, przyjmować spowiedź. Przypominać, skąd nasz ród. Nie dać pogrześć mowy. Stanowić pamięć narodu: snuć tradycje, wyznaczać dniom patronów, intonować święte pieśni. Wskazać drogę pośród mirażu i ciemności. Dać kulturę. Tożsamość. Sens istnienia.

Rzeczywiście, Olf nie dałby rady pokazać ludziom, gdzie mają rąbać drewno, choćby stał w środku lasu, nie mówiąc już o niepo-grzebaniu mowy czy o ukazaniu sensu istnienia.

– Specjalnie go tam wysyłaś? – zaryzykowałem. Bo i co mógł zrobić? Nakaszleć na mnie?

– Tak. Chcę go sprawdzić.

– Szkoda go, Książę. Obaj wiemy, że... – przerwałem i usiłowa-łem zakaszleć.

Nie zaśmiał się. Spojrzał tylko w balkonowe okno, w migocące gwiazdami niebo. Westchnął.

– Czy jesteś gotowy na prawdę, Wicie? – zapytał, siadając ciężko na ławie.

– Zawsze.

– Dobrze. Zachowaj ją acz dla siebie, bo to prawda z owych naj-cięższych do udźwignięcia.

– Zachowam i udźwignę – obiecałem.

Westchnął raz jeszcze, a potem znowu, jak gdyby rozważał, czy raczej nie zakaszleć, zamiast powiedzieć prawdę.

– Być może nadchodzi czas, kiedy będziemy musieli walczyć o przetrwanie, nie zaś o dominację i kontrolę.

– Nie mówiłeś przypadkiem przed chwilą, że zarządzanie księ-stwem jest proste?

– Mówiłem o zarządzaniu księstwem. Nie o prowadzeniu wojny.

Przetrwanie. Wojna. Czyżby zmądrzał na stare lata? Nie żeby kiedykolwiek był głupi, ale ostatnio zdawał się coraz mocniej sam wierzyć w to, co wciskał swojej bandzie, o której nie mówił ni-gdy inaczej niż „naród”. Siedemdziesięcioosobowy naród idiotów, którzy wierzą, że Kajko i Kokosz byli prorokami i jednocześnie ich pradziadami, a niemiłosiernie styrana książeczka z samymi obrazkami nosi tytuł *Psałterz Łowicki*.

– Chcesz, Książę, żebym dowiedział się, z kim przyjdzie nam się mierzyć, tak?

– Podobno to karły w łachmanach. Brudni, otęchli, trędowaci. Trzyma ich przy życiu wyłącznie nienawiść do zdrowych i sil-nych. Tak powiedział goniec kasztelana Sochaczewa.

Kasztelana. On naprawdę nazywał największego cwaniaka w tamtej wiosce kasztelanem. Z drugiej strony ja sam nazywałem

największego cwaniaka w jednostce Księciem. Kogo powinno mi być bardziej żal?

– Podobno – powiedziałem tylko.

– Upewnij się, że to prawda. Wróć do nas z nadzieją.

– A jeśli...

– Przygotujemy się wtedy jeszcze lepiej – przerwał mi. – Wzmocnimy fortyfikacje. Zastawimy pułapki.

Nie było sensu oponować. Gdybym nawet się uparł i został, Książę nie dałby mi żyć.

– I przypilnujesz karabinu – dodał, kiedy ruszyłem do wyjścia.

– Chcesz im dać karabin?

– Na wypadek gdyby okazało się, że Rarogowie nie są jednak trędowaci.

Rarogowie. Czemu nie mógł wieść ze sobą encyklopedii? Albo chociaż poradnika młodego tropiciela? Czemu wybrał akurat albumy o Kajku i Kokoszu?

– Dobranoc, Książę.

– Powodzenia, Wicie. I niech cię orzeł jutro prowadzi.



Rankiem tuż za bramą grodu ustawił się orszak. Czterdziestu chłopów na koniach równie cherlawych jak oni sami. Zadowoleni, łysi i nadzy, nie licząc przepasek na biodrach. I skrzydeł, jakby husarskich, które kilku zmontowało sobie z pierza pozostałego po biesiadzie ku czci Świętego Geslera. Do tego czterech na wozie z najcenniejszym skarbem Księcia: karabinem maszynowym, powodem i przyczyną, dla których to właśnie on, nie jakiś inny cwaniak, rządził ziemiami od Jedyunki aż do Wisły. Plus Olf, ja i Gyermek. I jeszcze obożny Pochrap, opiekun klatek z królikami i pudeł z jajami. Karna ekspedycja, aby ukarać Rarogów, którzy śmieli pustoszyć wsie po naszej stronie Wisły.

Jeszcze tylko nabożeństwo i można było ruszać. Ragnar, kapłan bóstw praojców, recytował pełen pasji z *Księgi Fortelu*:

– I weszli, przebrani za Polaków, napastując niewiasty i brukając chłopców najmłodszych. A wtedy Święty Mirmił stawiał im

czoła, bo honor kobit jest najważniejszy. I mówi do nich: „Jam jest Mirmił, nie damy pogrześć mowy!”.

Rozejrzałem się: nikt nie wywracał oczami, wojowie czekali na najlepszy moment.

– I strzelił, i strzała przeszła krzyż – tutaj jakby przeżegnał się nieudolnie – który przygniótł Zbójcerzy i puścił parę z ich ust oraz uszów. Ale podnieśli się, bo Złe ma zawsze więcej kalorii, je albowiem bób i ciecierzycę, i ruszyli za Mirmilem. Kara ich jednak spotkała sroga, most runął bowiem i posłał ich w dół niczym Święty Gesler nienawistników. I uciekli, fioletowi i czarni, bo albowiem fiolet to kolor pokory, a czarny to kolor głodu i Trądu.

Następnie poderznął gardło pstrokatemu królikowi ofiarnemu i trysnął krwią z jego szyi w kierunku szeregu, na co wojowie zaczęli wiwatować i pstrykać palcami, bitewnym zwyczajem. Potem zaintonowali starą pieśń oręza polskiego i pełni wzruszenia spięli konie, aby podążyć drogą zemsty.

– Zataczał lądy – śpiewali ze łzami w oczach – morza łez. Bezpa-miętnie gasił gniew!

Wyruszyliśmy.



Droga do Sochaczewa zająć miała co najmniej dwa dni – wozy były już mocno leciwe i trzeba było uważać, żeby nie złamać osi na wykrotach. Asfalt zmienił się już dawno w luźny żużel – nie miał szans w starciu z palącym słońcem.

Gyermek jechał tuż obok, rozglądając się bojaźliwie. Rezolutny siedmiolatek dbał o mnie zawsze i wszędzie, ale płaciłem za to słono – trzeba było chłopakowi odpowiadać na setki pytań o wszystko, co tylko ujrzy wokół i co przyjdzie mu do głowy.

– Czy na Księżycu naprawdę mieszkają ludzie? – Wskazał na glob jaśniejący na wieczornym niebie.

– Wylądowali tam pięćdziesiąt lat temu – odpowiedziałem – i nawet chyba założyli osiedle, ale czy dalej trwają? Nie wiem.

– Wylądowali? Tam są morza?

Co miałem mu powiedzieć? Jak można komuś, kto nie widział nawet samochodu, wytłumaczyć, czym jest rakieta kosmiczna?

– A czemu Książę umiera? – zapytał zaraz. – Przecież goli się i kąpie, codziennie leży na tarasie. Na pewno nie ma Trądu.

– Są różne choroby, nie tylko Trąd. Na niektóre kąpiele słoneczne nie pomagają.

– Przerwa! – krzyknął przodownik.

Nadszedł czas na nocny popas. Dalej poszli tylko zwiadowcy, żeby sprawdzić teren. Zawalony most to idealne miejsce na pułapkę. Konie rozglądały się, nadymały chrapy, rżały cicho. Czuły wodę. Tuż obok płynął strumień, ale i z niego mogliśmy skorzystać dopiero, kiedy było pewne, że i tam jest bezpiecznie. W końcu jeden po drugim padły świsty skautów: czysto.

Oddałem kobyłkę Gyermekowi i odszedłem w krzaki za potrzebą. Potem do strumienia, żeby się obmyć przed posiłkiem. Dwóch dwudziestolatek uśmiechnęło się drwiąco na widok mydła w moich rękach. Przeszli powyżej miejsca, w którym przykucnąłem, wyszczali się do wody i odeszli, rechocząc głośno.

Kiedy wróciłem do obozu, ogień już płonął. Podeszedłem do Olfa i zapytałem, czy jestem mu do czegoś potrzebny. Pokręcił tylko głową, zajęty ogryzaniem króliczego udka.

– Ponoć Rarogi są całe w strupach, tak ich Trąd żre – nadawał Gyermek, kiedy się posilałem. – Dlatego wszyscy się ich boją. Najlepiej byłoby ich spalić, tak mówi Chwalisz. Ogniomiotem, ale to chyba zmyślił, prawda? Nie można miotać ogniem?

Potaknąłem, wziąłem od niego gałązkę jabłoni i zabrałem się do czyszczenia zębów.

– Kto to był Gesler? – zapytał Gyermek, uznawszy widocznie, że gryzienie drewna nie przeszkadza w mówieniu. – Ten święty.

– Nie wiem. Nie jestem pamięcią narodu.

– A co to jest naród? Książę tak mówi na nas, prawda?

– Dla niego to my wszyscy. Ci, którzy mieszkają razem w je... – urwałem, nie chcąc plątać chłopakowi w głowie.

– Czemu tak nas nazywa?

– Nie wiem. Może dlatego, że się narodziliśmy?

– Kobiety rodzą, prawda? – zapytał, zawstydzony chyba. – Gdaś mi powiedział.

– Tak. Rodzą. Wyśpij się – powiedziałem. – Jutro musimy do-
trzeć do Sochaczewa.

– A kto urodził Księcia? Skoro jego żony były pierwszy-
mi kobietami.

– To tylko taka fraza, Gyernek. Śpij już.

– Co to jest...

Zasnął.

Zanim i ja usnąłem, gapilem się jeszcze długo w niebo. Sam nie
wiedziałem, czego szukam. Ruchomych światła? Jeszcze dziesięć,
dwadzieścia lat temu udawało się je dojrzeć, jak sunęły powoli
pośród gwiazd. Teraz już chyba ich nie było. Nie miałem pojęcia,
gdzie się podziały. Może zabrakło im rozpędu i zastygły tam, nie-
odróżnialne od reszty?



Łowicz był teraz kamieniolomem, minęliśmy go dawną obwodni-
cą, żeby nie ryzykować utraty choćby jednego człowieka w starciu
z kimkolwiek, kto mógłby tam grasować.

Dalej las podchodził już blisko drogi i trzeba było stąpać ostroż-
nie – nikt nie powiedział w końcu, że Rarogowie nie zapuszczają
się dalej niż dwie wioski od Wisły. Gyernek trzymał swojego kuca
przy boku mojej kobyłki i przez starą lornetkę z jednym okula-
rem wypatrywał niebezpieczeństw po prawej stronie drogi. Nie
uświadamiałem mu, że jeśli cokolwiek zauważy, będzie już za
późno. W pewnej chwili westchnął głośno i z wytrzeszczonymi
z przerażenia oczami podał mi lornetkę, wskazując na odległy
skraj polany rozciągającej się akurat wzdłuż szosy. Dłuższą chwilę
przepatrywałem chaszcze, aż w końcu dostrzegłem to, co i on: wilk
stał nad jeleniem, z pyskiem całym we krwi. Teren nachylony był
do drogi, a trawa położona, zapewne w czasie walki olbrzymiego
rogacza z drapieżnikiem, i udało mi się pochwycić przez moment
spojrzenie ofiary: zaskoczone nagłym końcem beztroskiego życia.

– Bardzo go boli? – zapytał Gyernek. – On umrze, tak?

Kiwnąłem tylko głową i oddałem mu lornetkę. Zawiesił ją na
szyi i jechał dalej ze spuszczoną głową.

– Dym! – krzyknął ktoś od frontu pochodu.
Rzeczywiście, dotarliśmy do Sochaczewa.



– Założyli przyczółek za Wisłą. Spalili dwie wsie. Straciłem trzech zwiadowców. – Kasztelan ukrył przerażenie pod maską pretenzji. – Czemu Księżę nie zareagował wcześniej? Czemu nie posłał wojów? Ja tutaj mam tylko dziesięciu, teraz to siedmiu, a rzekę w tych czasach bardzo łatwo przekroczyć. To raczej bagna wokół są przeszkodą, ale Rarogowie potrafili się z nimi uporać.

– Kiedy nastąpił ostatni atak? – spytałem.

Olf tylko patrzył, powinien był zostać księgowym, jak jego ojciec dawno temu.

– Dziś rano. Wioska jeszcze dymi. Widać ją z wieży. Chcecie spojrzeć?

– Chcemy, ale z bliska. Przeżył ktoś?

– Pewnie w lesie się schowali.

– Dasz nam woja, żeby pokazał drogę? Pojedziemy gromadą, nic mu się nie stanie.

Dał dwóch.

Wieś nazywała się Witkowice. Nie podobała mi się ta nazwa, ale teraz to i tak były już tylko zgliszcza: siedem chałup na krzyż i stodoła. Kazałem wszystkie przeszukać, bo może kto przeżył. W trzech moi ludzie znaleźli zwłoki. Wszyscy porzygali się, jakby zawody urządzali, kto głośniej: biednym kmiotkom Rarogowie obdarli głowy ze skóry.

– Szybko, Wicie! – krzyknął jeden, chyba wołali go Gładzisz. Pieprzyły mi się te wszystkie mirmilowe imiona.

Ruszyłem moim truchtem sześćdziesięciolatka do stodoły, Gyernek za mną, zaniepokojony tonem wezwania.

Gładzisz stał u wrót, nerwowo szczyrzył popsute zęby. Ani śladu po jedyńkach.

W ciemnym kącie pod resztką dachu dostrzegłem kłęb szmat. Tak to przynajmniej z daleka wyglądało, bo kiedy podszedłem bliżej i szturchnąłem to kijem, jęknęło i poruszyło się jak czerw.

Potem się obróciło i pokazało twarz. Brudną, ogorzałą, wielką. I przede wszystkim: brodatą.

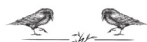
– Chuj ci w dupę, polaczku – padło przez połamane zęby.

– Na pewno nie twój, choć pewnie byś chciał.

Tamten zamknął oczy i dyszał ciężko.

– Co on mówi? Czy on jest szalony? – dopytywał Gyernek, szarpiąc mnie za rękę.

– To Raróg – odpowiedziałem. – Prawdziwy, najprawdziwszy Raróg. Prosto z Litwy.



Litwin zdechł po drodze do kasztelu, dokąd postanowiliśmy go zabrać na przesłuchanie. Dlatego wiele więcej się nie dowiedziałem. Tylko tyle, że okutany był po czubek głowy w czarne, cuchnące szmaty, a w tobołku, który miał na plecach, trzymał scyzoryk ze złamanym ostrzem, hubkę z krzesiwem, starą litewską monetę i sporo suszonego bobu.

– To Złe! – krzyknął Olf na widok zapasów Raroga. – Ma kalorie!

– Tak. I popsuty scyzoryk – dodałem. Książęcy syn się nie obraził, nawet nie wiedział, że ma o co. – Muszę zrobić sekcję.

Spojrzał tępo.

– Pociąć go, zobaczyć, czemu umarł – wyjaśniłem. – I co ma pod spodem. Może naprawdę strupy tam chowa, może ma Trąd.

Olf ruszył pędem do drzwi. Gyernek zachichotał, rzuciłem mu ostrzegawcze spojrzenie. Zamilkł.

Zacząłem od turbanu. Spodziewałem się, że skrywa łysą, pokrytą wrzodami czaszkę, ujrzałem jednak długie, gęste włosy. Rozgarnąłem je – ani śladu strupów czy ran. Zdumiony, rozciąłem nożem kamizelę, ale i tam znalazłem tylko gładką, zdrową skórę. Do tego białą, niemal różową, w przeciwieństwie do spalonej na brąz twarzy.

– On się nie kąpie? – szepnął Gyernek zza moich pleców. – Dlatego tak śmierdzi?

– To te szmaty – odparłem. – Może są nasączone lekarstwem?

Obejrzałem Litwina dokładnie. Był zupełnie zdrowy, umięśniony i wysoki, nie jak te cherlaki Księcia. Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Kazałem powiedzieć Olfowi, że dziś jestem na kwarantannie, bo mogłem coś złapać od Raroga, i ogoliwszy się dokładnie, resztę dnia spędziłem na balkonie, kąpiąc się, słońce zdrowo bowiem prażyło, jakby świadome naglącej potrzeby dezynfekcji.

– Nie zrozumiałem, co on mówi – powiedział Gyermek wieczorem, kiedy kładliśmy się już do snu. – Ale ty mu odpowiedziałeś, prawda? Jakbyś był tak samo szalony. Jak to możliwe? To jakiś czar?

– Są różne języki.

– Różne?

– Tak, niektóre trochę podobne do naszego, inne zupełnie inne.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, potem wyciągnął język daleko na brodę i usiłował mu się przyjrzeć, krzyżując oczy tak mocno, że nawet i mnie bolało.

– Jego jest zupełnie inny? – zapytał w końcu. – Czarny?

– Litwini mają inne słowa – usiłowałem wyjaśnić. – Inaczej nazywają rzeczy.

– Skąd znasz te słowa? Też jesteś Litwinem?

Kiwnąłem głową, bo nie było po co kłamać.

– Czyli jesteś Rarogiem?

– Skądże. Nie każdy Litwin to Raróg.

Wiedziałem, że nie jest przekonany, ale nie bardzo miał wyjście. Komu miał ufać, jeśli nie mnie?

– Ja też mogę być Litwinem? – zapytał. – Mógłbym mieć inne imię, nie takie mirmilowe.

Nie umiałem powstrzymać śmiechu, mały skubaniec. Musiało mi się kiedyś przy nim wyrwać.

– Nie masz mirmilowego – sprostowałem.

Uniósł brwi, zdziwiony.

– Twoja mama ci je dała – wyjaśniłem. – Pochodziła z południa, zza gór. Nikt jej nie rozumiał.

– Nawet ty?

– Nawet ja.

– Też mówiła innym językiem?

– Tak.

Zamknął oczy, złożył głowę na posłaniu i uśmiechnął się.

– Opowiesz mi legendę? Tę o autobusach?

Opowiem, jasne.

– Jechały raz sobie na wycieczkę trzy autobusy. Chciały dotrzeć do Szwecji, do miejsca, w którym jest chłodno i przyjemnie. W autobusach podróżowali Książę, bardzo jeszcze wtedy młody, jego siedem żon i wielu wojów, ale po drodze zaatakowali ich Trędowaci. Spalili autobusy, zabili wielu podróżnych, niszczyli zabytki i dzieła kultury. Wojowie bronili Księcia, jego żon i dobytku, ale tylko dwóch ich przeżyło, tak okrutna była to bitwa. Za to pokonali wszystkich Trędowatych. Ułożyli ich ciała w stos i podpalili, a iskry tego ognia poleciały aż na niebo i stały się gwiazdami. Książę i jego dwóch pozostałych wojów pochowali poległych, a potem z jedynym ocalałym dziełem kultury, *Psalterzem Łowickim*, ruszyli szukać miejsca na gród. Długo szli Książę i jego kompania gęstym, dębowym lasem, aż dostrzegli w dali złoty blask. Najstarsza z żon, Anna, powiedziała: „To Opaczność nas wzywa”, dlatego poszli w tamtym kierunku.

– To była Anna z Lewandowa? – zapytał Gyermek, ledwo już panując nad sennością.

– Nie, Anna, żona Księcia. Ta z Lewandowa żyła dawno temu i rozsiewała mądrość, którą żony Księcia przechowywały dla nas w pamięci. Być może jest nawet postacią mityczną.

– Co to znaczy „mityczną”?

– Że może jej wcale nie było.

– Aha. Szkoda, bo była piękna. A co znaleźli w dali? Co tak błyszczało?

– Wiesz przecież. Co błyszczało?

– Karabin – szepnął z namaszczeniem.

– Tak. Znaleźli Maszynowy Karabin. Legenda głosiła, że ten, któremu uda się wcisnąć spust, jest prawdziwym władcą Księstwa Łowickiego. I Książę go wcisnął. I zaśpiewały anioły.

– Kto to są anioły?

– Piękni ludzie mieszkający w chmurach.

– Jak orły?

– Tak, zupełnie jak orły.

– I co było dalej?

– Żony urodziły Księciu wielu synów i wiele córek. Oni zaś mnożyli się i tak powstał naród, w którym obydwa żyjemy. A kiedy...

Ciche chrapanie oznaczało, że mogę już przestać mówić. I tak wiedziałem, co było dalej.



Rano Olf za moją namową rozesał po okolicy cztery pary zwiadowców. Mieli poszukać innych śladów Rarogów, przyjrzeć się Wiśle, podążyc śladem napastników, którzy spalili Witkowice. Słowem: zrobić solidny zwiad.

Wieczorem wrócili, prawie wszyscy. Śladów innych napaści nie znaleźli. Wisły również – zostało z niej tylko błotniste koryto: piekło dla ryb, raj dla dzików. Jedna z par za to wytropiła wrogów, choć może to raczej w drugą stronę poszło. Dość, że z tej pary wrócił tylko jeden. Drugiego tamci pochwycili i zabrali ze sobą.

– Uciekając, rzucałem pszenżyto – wydyszał cherlak, który przeżył.

Olf uściśnął mu dłoń i kazał nakarmić dodatkową porcją królika. Potem wezwał mnie do siebie.

– Musimy ich pomścić – rzekł. – Nie damy pogrześć...

– Powstrzymaj swój gniew, panie – przerwałem mu.

Zrobił mądrą minę i zaczął słuchać.

– Rozmawiałem rano z kasztelanem, dopytałem o przebieg tej historii. Ponoć wioski nie tylko są palone, ale i pustoszeją. Być może część naszych po prostu przyłącza się do tamtych. Może porywają ich, może nawet więżą. Gdybyśmy teraz przypuścili atak, ryzykujemy straty po naszej stronie.

Kiwał głową, poważny. Wyraźnie było widać, że usiłuje zrozumieć, o czym w ogóle mówię.

– Zauważ, o panie – dodałem – że oni mają lekarstwo na Trąd. Być może udałoby się wyrwać im tę tajemnicę.

Twarz mu pojaśniała. Jeszcze raz, energicznie, kiwnął głową. Dotarło. Miał pomysł, jeden z czterech, które mógł mieć. Tyle zdołał go nauczyć Księżę. Kradzież jest mniejszym grzechem niż śmierć z głodu. Karabinu trzeba strzec. Jeleń jest większy

niż sarna. Poseł jest nietykalny. Nie wiem, czemu akurat te cztery. Chyba nawet wolałem nie wiedzieć. W każdym razie obstawiałem kradzież, ale...

– Pójdiesz tam. Jako poseł – zdecydował. – Poseł jest nietykalny. Zapytasz ich o lekarstwo i o naszego zwiadowcę.

Niech będzie, może być i poseł.

– Niech tak się stanie, o Księżowaty – powiedziałem i pstryknąłem trzy razy palcami na dowód szacunku.

– Niech cię prowadzi Święta Anna z Lewandowa, patronka posłów i tych tam – zmarszczył brwi.

– Senatorów – podpowiedziałem pierwsze słowo, które mi przyszło do głowy. Nie miałem pojęcia, co znaczy, ale chyba pasowało.

Wróciłem do komnaty i kazałem Gyermekowi przygotować kąpiel. Słońce akurat stało wysoko. Chłastał mnie długo, służąca kasztelana przyniosła doskonałe, ostre witki. Kiedy siadałem do wieczerzy, skóra paliła mnie przyjemnie i czułem, że żaden Trąd mi niestraszny. Żaden, nawet ten najstraszniejszy.



O świcie wyruszyliśmy w kierunku wskazanym przez cherlaka od pszenżyta. Nie spodziewałem się znaleźć żadnych ziaren, a jednak dalej leżały w piachu, wyraźnie znacząc trasę do miejsca, w którym Rarogowie napadli naszych. Susza musiała przegonić z okolicy wszystkie ptaki.

Stamtąd poszliśmy już pieszo, po śladach kopyt. Kobyłkę i kuca Gyermeke odesłałem do kasztelu pomimo oporu towarzyszącego nam woja. Ustąpił autorytetowi doradcy Księcia i wizji oskalpowania, którą starałem się roztoczyć przed nim najbarwniej, jak tylko umiałem.

– Postaram się wrócić przed zmrokiem – obiecałem tylko, zanim odjechał.

Potem ruszyliśmy w drogę.

Tamci nie starali się kryć liczebności i pozostawili za sobą wyraźny pas wydeptanej przez cztery konie trawy. Wreszcie dotarliśmy do lasu. Tu ślady były już mniej widoczne, skupiłem się więc

na szukaniu kierunku. Nie obawiałem się ataku, bo kto mógłby się wystraszyć dzieciaka w towarzystwie dziadka. Do tego gołych i bez broni. Stratowany krzak jałowca, zerwany mech, wreszcie woń dymu z palenisk doprowadziły nas prosto do celu.

Skurkowańcy sprawili sobie nawet ostrokół i bramę. Stał w niej wielki chłop, okutany po czubek głowy, tak samo jak ten, którego znalazłem we wsi. I tak samo brodaty.

– Szukamy noclegu – powiedziałem do niego. Miałem nadzieję, że po litewsku.

Tamten myślał przez chwilę, zmierzył nas wzrokiem, ale odsunął się w końcu i kogoś zawołał. Po chwili przybiegł chłopak niewiele starszy od Gyermeka, przyjął od strażnika wydane szeptem polecenie i przywołał nas gestem dłoni. Poszliśmy. Najpierw przez jałowcową gęstwę, potem wijącą się wśród sosen ścieżką.

– Nie odzywaj się, jeśli ci nie każę – mruknąłem do Gyermeka. – Cokolwiek byś zobaczył.

Zdążyłem w porę, bo zaraz dotarliśmy do właściwego obozu: kilkunastu namiotów rozstawionych wokół centralnego placu, wcześniej zapewne polany wśród dębowego lasu. Na jego środku rozciągnięto między wysokimi na pół metra kijami coś czerwonego i wilgotnego, jakby ktoś przed chwilą obdarł ze skóry świnię i postanowił ją trochę przesuszyć. Świnię długonogą i bardzo chudą. Nasz przewodnik przeszedł beznamiętnie obok, stanął przy największym z namiotów i pomachał do nas, zastygniętych na skraju piaszczystej polaci.

Kiedy przechodziliśmy obok oskórowanego ciała, dostrzegłem i twarz świni. Twarz bez warg, nosa czy powiek. Tylko krwistą masę mięśni, wytrzeszczone, ogromne bez powiek gałki oczne i popsute zęby. To właśnie je rozpoznałem, bo brakowało tam wszystkich jedynek.

– Wit! – doszedł mnie ledwo słyszalny jęk, ale zignorowałem go.

Zerknąłem na Gyermeka, siedł sztywno, jak zahipnotyzowany.

Stanęliśmy u wejścia do namiotu, a kiedy oczy przywykły do mroku, dostrzegliśmy wielkiego draba na składanej ikei. Czyżby przyprowadzili nas prosto do wodza?



– Czemu nie chodzisz ubrany jak człowiek?

To było jego pierwsze pytanie. Zadał je po kilku długich chwilach wpatrywania się w nas wzrokiem, jaki dawniej widziałem jedynie u naszego Księcia, a ostatnio to już nawet i u niego nie.

Siedział przed nami inteligentny, myślący człowiek. Większość twarzy miał zasłoniętą maską, która przedstawiała olbrzymie szczęki, ludzkie, ale nieproporcjonalne. Nie mogła być lita, bo wyraźnie dosłyszałem jego słowa. W policzki wpadały grube, karbowane rury, których drugie końce ginęły gdzieś za jego plecami. Cóż to za cudo?

– Polacy w ten sposób walczą z Trądem – odpowiedziałem w końcu. – Pozwalają słońcu wypłenić zarodki choroby.

Uśmiechnął się ironicznie i pokręcił głową.

– Skąd znasz litewski? – zapytał.

– Od rodziców. Przybyli do Polski po pierwszej epidemii. Podczas trzeciej zmarli.

– A twój syn? Mówi po naszemu?

– Nie miałem okazji go uczyć – odpowiedziałem. – Zwyczajnie Polaków na to nie pozwalają. Dlatego kiedy dowiedziałem się, że przybyliście, od razu ruszyłem tutaj.

– I chcesz dołączyć do klanu?

– Tak.

– Nie chcesz dowiedzieć się najpierw, jak żyjemy? Może wolisz pozostać Polakiem?

Coś w jego głosie zapowiadało, że nie chce pochwalić się osiągnięciami w hodowli królików albo przedzeniu lnu. Wstał z ikei i przeciągnął się. Górował nade mną wzrostem, choć wśród Polaków to ja zawsze byłem olbrzymem. Czyżby Trąd naprawdę się ich nie imał?

– Rictus, oprowadź naszych gości – powiedział w przestrzeń, a wtedy z mroku wyłonił się niewiele niższy od wodza mężczyzna.

Ruszył przodem i odsłonił dla nas wejście. Zakryłem oczy porażone jasnością południowego blasku.

– Tam mamy wroga. – Wskazał ręką na środek piaszczystego placu. – Kruszeje na wieczerzę.

Spojrzałem na niego.

– Dla psów – zaśmiał się. – Nie jemy mięsa.

– Co zatem jecie?

– Warzywa. Ciecierzycę i bób. Fasolę. Te najzdrowsze. Mięso mamy tylko dla psów.

– Polujecie?

Znowu zarechotał.

– Idźcie za mną.

Poprowadził nas ścieżką między namiotami, która zaraz zanurzyła się w płytki jar. Szliśmy tak dobre dwieście kroków, aż w końcu zobaczyliśmy klatki. Pełne ludzi brudnych, bladych, chudych i krzywych, o wzdętych brzuchach i skołtunionych, choć niezbyt długich włosach. Dziesięć klatek. Po pięciu, sześciu więźniów w każdej. Mruczeli coś, jęczeli, wyciągali ręce przez pręty. Kilku siedziało otępiałych w kątach i kiedy jeden z nich ziewnął, zrozumiałem, czemu nie próbowali nic do nas mówić.

– Gdzie on ma język? – szepnął Gyermek, a ja nawet nie mogłem mieć pretensji, że odezwał się bez pozwolenia.

Ścieżka, którą szliśmy, zatoczyła sporą pętlę i wróciła pomiędzy namioty. Dopiero teraz dostrzegłem, że naprzeciw tego, w którym urzędował wódz, stoi samojazd. Olbrzymi, z wielkimi kołami i błyszczącymi rurami wokół maski. Sterczały z niego drągi, jak włócznie, a na platformie załadunkowej piętrzyły się w stercie czarne pudła z siateczkowymi frontami.

– Macie rozpęd? – spytałem bezmyślnie i dopiero wtedy dostrzegłem dyszel przymocowany do frontu.

– Jeszcze jakieś głupie pytania? – rzucił nasz przewodnik. – Zanim to ja zapytam was?

– Czemu nie chorujecie, skoro cały czas chodzicie ubrani?

– Bo tylko ubranie chroni przed Trądem. Bogini jedna wie, czemu trwacie w dobrym zdrowiu.

Potem nas zapytał, a my potwierdziliśmy.

Byłem pewien, że gdybyśmy postanowili odejść, zawiślibyśmy na głównym placu obok Gładzisa. Chyba że Litwini rezerwowali

ten przywilej dla wrogów pojmanych w walce i po prostu wrzuciliby nas do klatek. Upřednio wyrwawszy języki, rzecz jasna.



– Czy poseł to nie jest ktoś ważny? – zapytał Gyermek, odstawiając z obrzydzeniem miskę pełną bobu. – Czemu śpimy pod gołym niebem? I jemy takie rzeczy?

– To inni ludzie, mają swoje zwyczaje. Poza tym boją się, że zarazimy ich Trądem.

– A kiedy wrócimy do domu?

Spojrzał na mnie pytająco. Płomień ogniska rysował głębokie cienie na jego młodej twarzy.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć ani jak go przekonać, żeby zjadł coś tak obrzydliwego i nieczystego jak bób. Przegrzebywałem palenisko, dorzucałem patyków do ognia, odwlekałem moment, kiedy będę musiał mu powiedzieć, jak jest.

– Czy to prawda, że kiedyś w Krótkie ziemia pokrywała się skorupą twardej wody? – zapytał, ale wiedziałem, że nie zapomniał. Po prostu nudził się, czekając na odpowiedź.

– Tak, kiedyś Krótkie nazywało się „zima”. Z nieba spadał wtedy śnieg, woda tak zimna, że aż twarda. Trochę jak grad, ale pokrywało to całą ziemię. Wszędzie było białe.

– Straszne – szepnął. – A co się działo z ludźmi, kiedy to na nich spadało? Też wtedy twardnieli?

– Tylko jeśli się upili i zasnęli – zaśmiałem się, żeby i jego rozweselić. Nie udało się. – Poza tym dopóki spadało, było miękkie. Trudno to objaśnić, zresztą ja sam widziałem to tylko kilka razy.

– A pszoły? Opowiesz? To takie węże latające, prawda? Bury mi mówił, słyszał od dziadka. Zabiły jego kolegę. Przyleciały i ugryzły, a on umarł. Spuchł.

– Pszoły to były takie owady, jak muchy. Zapylały kwiaty. Dzięki nim mieliśmy dużo różnych owoców.

– Jak poziomki?

– Tak, tylko ogromne. Takie wielkie jak ziemniaki. Bardzo słodkie. No i miód.

Rozmarzyłem się, jadłem kiedyś miód przecież. Był niewyobrażalnie słodki. Jak nic innego na tym świecie. Zupełnie najśłodszy.

– Jak to pszoły robiły, że poziomki robiły się wielkie? Gryzły je? Dlatego puchły?

Zanim zdążyłem się zastanowić, czy w ogóle wiem, jak pszoły to robiły, zaatakował z drugiej flanki:

– I szkoła też była. Zabierali dzieci rodzicom i trzymali razem, prawda? Żeby sprawdzić, które są odporne na Trąd.

Nie miałem jak mu odpowiedzieć. Szkoły widziałem tylko opustoszałe. Matka kupiła mi jakieś książki, ale trzecia epidemia...

– To był straszny świat – wyrwał mnie z ciągu ponurych myśli. – Dobrze, że już tego wszystkiego nie ma. Że już jest spokojnie i mogę być z tobą.

Schyliłem się, żeby dołożyć polano do ogniska, a w tej samej chwili powietrze nade mną przeszła strzała i z głuchym jękiem wbiła się w pień grubej sosny, o którą przed chwilą się opierałem. Gyermek zerwał się na równe nogi.

– Kładź się! – syknąłem do niego, sam rozplaszczony na piachu, z twarzą niebezpiecznie blisko paleniska. Gdybym miał włosy, już by płonęły.

Czekałem, ale nic się nie działo. Wstałem ostrożnie i sięgnąłem po strzałę. Rozpoznałem znajomy wzór na lotkach: trzy grube, ciemne pasy i jeden cieńszy, nieco jaśniejszy. „Szykujcie się do ataku rano!” znaczył ten sygnał. Rozejrzałem się i dostrzegłem pień grubego drzewa, które niedawno powalił wicher.

– Weź nasze rzeczy i połóż się tam! – rzuciłem Gyermekowi. – I nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Kiwnął głową, wziął szmaty, które dostaliśmy od Rectusa, i posłusznie schował się tam, gdzie mu pokazałem.

Wyciągnąłem z płomieni długie polano i z tą namiastką pochodni ruszyłem ścieżką do obozu.



– Wkrótce zaatakują – powiedziałem Rectusowi, pokazując strzałę. – Myślę, że była przeznaczona dla więźniów.

– A może dla ciebie?

– To nie od mojego plemienia. Oni po prostu by zaatakowali.

– Nocą?

– Tak, są szaleni, kiedy przychodzi do bitwy. Ale ich woje tutaj nie docierają. Mają swoje problemy na południu.

Wódz przyglądał się tylko naszej rozmowie, oczy błyskały mu odbiciami dwóch pochodni wetkniętych w piach po obu stronach jego ikei.

– Rzeka jest płytka – powiedział po dłuższej chwili do Rectusa. – Starców mamy czterech. Dzieciaków troje. Niech Furiosa się nimi zajmie po drugiej stronie rzeki, na pagórku.

– Mogę walczyć – zapewniłem.

– Starcy u nas nie walczą. Dopóki nie muszą – odparł. W jego głosie dosłyszałem politowanie. – A nie muszą. Poza tym bardziej przydasz się żywy. Znasz ich zwyczaje.

Trudno było odmówić mu rozsądku.

Zanim wyszliśmy z namiotu, dostrzegłem jeszcze, jak służący składa wodzową ikeę i z namaszczeniem chowa do skrzyni.

Ktoś musiał w ciemnościach słuchać naszej rozmowy, bo nie czekaliśmy dłużej niż trzy minuty na tych, których wódz wyznaczył do przeczekania po drugiej stronie Wisły. Nadeszli razem, w szóstkę: trzech siwych mężczyzn, dwie dziewczynki i ubrana w czarną skórę postawna kobieta, której wieku nie umiałem ocenić. W dłoni dzierżyła błyskający w płomieniach pochodni rzeźnicki nóż. Zmierzyła mnie wzrokiem i rzuciła tylko:

– Chodźmy!

Ruszyliśmy w kierunku miejsca kwarantanny. Pamiętali zatem o Gyermeku, wliczyli nas do swoich. Było lepiej, niż mogłem się spodziewać.

Być może uda się zostać wilkiem, nie jeleniem. Być może.



Na nocleg Furiosa wyznaczyła osłonięte jałowcami miejsce w lesie na skarpie. Prowadząc nas, sprawnie omijała co bardziej grząskie miejsca w zmienionym w błotnistą dolinę korycie Wisły.

Ciekawiło mnie, jak długo już tutaj przebywali, ale nie miałem zamiaru pytać. Może kiedyś się dowiem, a może nie.

Nie zmrużyłem oka aż do świtu, gapilem się tylko w gwiazdy błyskające przez sosnowe gałęzie i słuchałem, jak Gyermek mamrocze coś przez sen, niespokojny. Moje myśli błąkały się wśród zamglonych, niewyraźnych wspomnień i wybiegały w niejasną przyszłość. Hukanie sowy otrzeźwiło mnie w którejś chwili i przytomniejszy zacząłem zastanawiać się, jakim sposobem Litwini mogą trwać w tak doskonałej formie. Czy trafiłem na doborową formację i na każdego olbrzyma tutaj przypada nad Niemnem tysiąc cherlaków? Czy może mają coś we krwi i wszyscy tacy są? Może kiedyś się dowiem, a może nie.

Dopiero gdy niebo poszarzało, przysnąłem płytko, ale zaraz obudził mnie jakiś hałas. W nocnej ciszy mógł dochodzić nawet z drugiego brzegu. Furiosa, która całą noc przesiedziała przy ledwo tłącym się ogniu, spojrzała na mnie i przyłożyła palec do ust, drugą dłoń kładąc wymownie na rękojeści noża.

Chwilę później dosłyszeliśmy świsty strzał, pojedyncze, jakby precyzyjnie wymierzone, żaden grad pocisków. Nie miałem pojęcia, co może się tam dziać. Jeśli kogokolwiek wódz zostawił na widoku, to podejrzewałem go raczej o przebranych w czarne szmaty Polaków. Nasłuchiwalismy uważnie. Wreszcie rozległ się zdławiony krzyk, zaraz potem drugi. Furiosa uśmiechnęła się z rozmarzonym wyrazem twarzy. Pewnie знаła dobrze ten odgłos: stała spięta, gotowa rzucić się do walki jak pies gończy, który czeka na pozwolenie, żeby ruszyć wreszcie biegiem.

Krzyki przybrały na sile, zdawało mi się, że słyszę, jak ktoś woła „This is Latvia!”.

– Mamy kilku z Rygi – mruknęła Furiosa z pobłażaniem.

Potem rozległ się grzmot. Tak to najpierw odebrałem. Zaraz dotarło do mnie, że to karabin Księcia. Ciągnął długą serią. Potem zapadła głucha cisza, w której dosłyszeć można było tylko jęki. Ktoś tam umierał w cierpieniu, może jeden człowiek, może wielu. Nie miałem pojęcia, co taki karabin może zrobić, ale któryś z wojów twierdził, że wyrywa z ciała flaki i potrafi rozciągnąć je po ziemi.

Zastanawiałem się, czy to już koniec, czy cudowna broń Księcia wygrała bitwę. Wtedy coś błysnęło w obozie, jakby ostry po-blask światła. Domyśliłem się, że wstało słońce – wychynęło znad drzew, odbiło się od jakiegoś przedmiotu, lusterka albo garnka. Poczułem drobną dłoń Gyermeka, jak ściska moją. Jeśli nawet przespał pierwsze starcie, grzmot musiał go obudzić. Obejrzałem się – wszyscy byli już na nogach, nie próżnowali jednak, a szykowali się do nowego dnia, rzucając tylko nachmurzone spojrzenia. Jeden przygotowywał posiłek, ktoś inny składał posłania.

Wtedy zaczęło się piekło. Polacy musieli puścić podpalone strzały albo bomby jakieś, bo płomienie buchnęły nagle wysoko pośród drzew.

– Ogniomiot – szepnął Gyermek. – Prawdziwy.

Wrzaski wypełniły las. To pewnie Litwini, którzy stracili przewagę obrońców i przeszli do ataku, bo nic innego im już nie pozostało. Karabin maszynowy ciął ogłuszającymi seriami, które co i rusz ustawały, ale trudno było ocenić, czy to mechanizm się zacinał, czy może obsługa padała. Nie wiedziałem, czy Litwini mają też łuki, czy mogą razić Polaków z odległości.

Wreszcie zamiast huku rozległo się głuche, puste terkotanie, które też zaraz umilkło. A to oznaczało kres militarnej potęgi Księcia. Wysłał nas przecież z całym, niedużym zapasem amunicji. Ktoś krzyknął jeszcze przeciągle, rozległo się przerażone „Błagam!” – zdawało mi się, że rozpoznaję głos tego idioty Olfa. Potem nastała zupełna cisza.

Odczekaliśmy, aż słońce stanie wysoko na niebie. Las ciągle płonął. W korycie Wisły błakały się zdeorientowane konie.

Daleko na drugim brzegu udało się dojrzeć Furiosie trzech jeźdźców, jak powoli oddalają się na południe. Nikt ich nie gonił, ale i oni zdawali się stąpać ostrożnie, być może ranni, być może zwyczajnie przerażeni. Dopiero wtedy skinęła na dwóch swoich i ruszyli przez koryto na drugą stronę.

Wrócili wieczorem z ósemką objuczonych ciężko koni i dwoma psami.

Ruszyliśmy w milczeniu na wschód, piaszczystą drogą pośród sosen. Zanieść wieści o utrzymaniu przyczółku i rychłym końcu rządów księcia łowickiego.

Zastanawiałem się, jak wytłumaczyć Gyermekowi, co się stało w obozie po drugiej stronie rzeki. W końcu przecież zapyta. Mógł domyślić się, że poszedłem z ostrzeżeniem do wodza. Co mu wtedy powiem? Że do wyboru miałem jeszcze wpoić mu, że nie damy po-grześć mowy, i skazać na śmierć w walce z jakimś umięśnionym olbrzymem za kilka lat? Bo ile nam czasu mogło zostać, łysym, chudym Kajkom i Kokoszom bez majtek? I bez karabinu maszynowego. Litwini mieli coś, co dawało im odporność, siłę, bystrość. Może to krew, a może po prostu wystarczyło jeść bób i ciecierzycę? Albo ubierać się, zamiast chodzić na golasa? Wszystkie nasze zasady zdały mi się nagle zwykłymi gusłami, lecz może i litewskie były tym samym. Nieważne, czy dzięki krwi, czy obyczajom – przyszłość należała do nich. Mogłem w niej uczestniczyć i przetrwać albo upierać się przy swoim i skończyć jako mięso dla psów.

Wybrałem przetrwanie. Dla siebie i Gyermeka. Przecież tylko to się liczy.

O autorze

Istvan Vizvary – Łódzianin, rocznik 1975. Z wykształcenia matematyk, z zawodu inżynier oprogramowania. Interesuje się filozofią i naukami przyrodniczymi. Autor opowiadań science fiction i weird fiction publikowanych w magazynie „Nowa Fantastyka” i antologiach. Swoją pierwszą powieść, *Vivo*, opublikował w 2017 roku, zaś w 2023 nakładem Wydawnictwa IX ukazała się książka *Lagrange. Listy z Ziemi*, która zdobyła najważniejsze wyróżnienia przyznawane polskiej literaturze fantastycznej: Nagrodę Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla, Nagrodę Literacką im. Jerzego Żuławskiego oraz Nagrodę „Nowej Fantastyki” w kategorii Polska Książka Roku. Ta sama edycja przyniosła mu również Nagrodę im. Macieja Parowskiego (dawniej Reflektor).



Marek, Anna i Bartek

Karol Ligecki

Korpooboty dobiegły zdecydowanie zbyt blisko. Marek słyszał je przez łomot własnego serca aż za dobrze. Czuł, że są już prawie za nim, mimo sprawnego zakłócacza i kluczenia pomiędzy rozpadającymi się resztkami ścian budynków z poprzedniego stulecia. Nie tracąc nadziei, wziął dwa głębokie, drżące oddechy i szybkimi susami przemknął przez stertę śmieci gnijących w toksycznym deszczu. Za nimi zanurkował w otwór w ziemi, szarpnął w locie płachtę porwanej folii. Leżące na niej odpadki miały zlecieć i zamaskować dziurę. Równomierne, złowrogie stukanie pędzących maszyn ledwie przycichło, wygłuszone lawiną plastiku, rdzawych strzępów metalowej siatki i drobnego gruzu.

Marek wpadł z cichym jękiem wprost w stertę szarego pyłu. Zerwał się, zakaszał i zasłonił usta brudną chustą. Mimo kłującego bólu w mięśniach rzucił się, ile tchu w palących płucach, wprost w ciemność na wpół zasypanych tuneli metra. Przeskoczył nad pogiętą rurą i skręcił za pordzewiałym szkieletem wagonika w znajomo cuchnący zaułek.

Plecak ciążył jak tona kamieni. Marek zatrzymał się na moment, by zetrzeć z czoła szczypiący w oczy pot. Pozwolił sobie przysiąść. Teraz był dobry moment. Mężczyzna wytrzymał jeszcze chwilę strachu, nasłuchując dźwięków niezmordowanie szukających go maszyn.

Sekundy zamieniały się w minuty ciszy przerywanej tylko kapiącymi z sufitu kroplami wody i przyspieszonym oddechem. Marek kaszlnął, zakrywwszy usta dłonią.

W końcu znów usłyszał korpoboty. Dotarły dokładnie tam, gdzie chciał je mieć. Miał dla nich niespodziankę. Natychmiast nacisnął niewielki przycisk wyzwalacza na wewnętrznej stronie nadgarstka. Wstrząs targnął podłogą i ścianami, a zalegające mikrogranulki niepotrzebnych już światu polimerów uniosły się przy akompaniamencie echa wybuchu dudniącego w tunelach. Po chwili cisza powróciła, niezakłócana już równym rytmem kroków robotów, których odgłosy jeżyły Markowi resztkę włosów na głowie od ponad godziny.

Dyszał ciężko, korzystając z chwili odpoczynku. Powoli opanał oddech, zdjął plecak i zerknął na bezcenny skarb. Maszyny nie mogły przejąć tego, co niósł. Dziecka Bartka, czyli skrytej w pancernym słoju sadzonki jabłoni oraz niewielkiego jabłka. Przez chwilę mężczyzna sycił oczy widokiem zieleni owocu, aż w końcu podniósł się i spojrzał w głąb tunelu, którym miał uciec poza tereny zamieszkane.

Coś stuknęło w mroku, Marek ledwie zarejestrował nagły błysk światła. Nie poczuł bólu, nawet gdy zdumiony ujrzał dziurę w brzuchu. Upadł, rozwiewając dym z ciała przepalonego na wyłot promieniem lasera.



Duma rozpierała prezesa Stephena Johnsona prawie tak mocno jak jego otyłe ciało fotel. Ostatni członkowie rady nadzorczej korporacji Allgood dosiadali się właśnie do antycznego stołu – jednego z niewielu mebli o blacie wykonanym z prawdziwego drewna, jakie mieli okazję w życiu zobaczyć. Drewniane przedmioty od wielu lat były luksusem, na który niewielu mogło sobie pozwolić.

– Zebraliśmy się tu, by uczcić kolejny sukces – zaczął Johnson. – Udało nam się przechwycić przestępcę ukrywającego przed społeczeństwem istnienie prawdziwego drzewa. Od pewnego czasu obserwowaliśmy ruchy podziemców mające na celu wymknięcie

się poza obszar zamieszkania, gdzie niewątpliwie padliby ofiarą promieniowania i toksycznej atmosfery, tracąc bezpowrotnie tak cenny dla nas... dla wszystkich skarb.

Zebrani aż podnieśli się z foteli. Gromkie brawa karmiły głodne pochwał uszy Johnsona, a na nalanych twarzach zagościły uśmiechy triumfu.

– Nasi tropiciele rekonstruują trasę tego niegodziwca, by odkryć, gdzie przetrzymuje wspólne dobro ludzkości. A zespół naukowców pod nadzorem Anny zajmuje się właśnie badaniem owocu i pozyskaniem nasion z jabłka – Johnson odczytał informacje wyświetlone w soczewce informacyjnej przez sztuczną inteligencję. – Odnajdziemy to drzewo. Daję wam na to moje słowo!

Gdy kolejne brawa przeszły najpierw w gwar rozmów, a później w poklepywanie się po plecach i wycieczkę na piętro rozrywki, prezes Johnson zjechał windą do podziemi. Tam skierował się wprost do laboratorium, w którym Anna zajmowała się zbiegiem.

Marek tkwił zawieszony w podtrzymujących go pasach. Czuł się jak mucha złapana na lep. Mucha, z której odnóży i głowy zwiisały wkłute elektrody, a z tułowia przezroczyste rurki z płynem. Tak też widział go Johnson, kontemplujący niezdrową chudość ciała zbiega. Żył, mimo ciężkiego postrzału, podtrzymywany wszczepami i korporacyjną biochemią.

– Anno, jak idą prace? – spytał Johnson.

Odkąd dowiedział się o schwytaniu podziemca, jeszcze nie miał czasu, by tu zejść. Planował usunięcie baraków z sektora C kompleksu fabrycznego i przesiedlenie pracowników na granicę strefy zamieszkałej, by wygospodarować dwa hektary terenu, na którym zamierzał posadzić drzewa. Uśmiechnął się na myśl o cięciu ich na deski. Meble z prawdziwego drewna, zaginiony w dziejach zniszczonej planety luksus, były już w jego zasięgu.

– Sadzonki nie udało się odzyskać. Spalił ją promień lasera, tak samo stało się z jabłkiem. Badam odzyskany strzęp skórki, ale wstępna analiza wykazuje nieznany mi proces powodujący gwałtowną degradację tkanek.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie mamy? – zirytował się Johnson.

– Analiza w toku, na razie nie mam innych wniosków – odparła Anna.

– Ty śmieciu, to wszystko przez ciebie – rzucił prezes z kwaśną miną, patrząc na bezwładnego człowieka.

Ciałem zbiega targnęła konwulsja, jakby dotarli do niego słowa Johnsona.

– Czy on jest przytomny?

– Nie. Przebywa w stanie śpiączki farmakologicznej celem wsparcia organizmu. Ma poważnie uszkodzone narządy...

– Tak, wiem – przerwał Johnson. – Obudź go, wciśnij mu się głębiej w czaszkę, zrób, co potrzeba. Chcę z nim porozmawiać.

Anna bez słowa uruchomiła odpowiednie procedury, sięgnęła zdalnymi chromowanymi ramionami do głowy Marka i wpięła w nią kolejne elektrody. Substancje pobudzające wpłynęły do krwioobiegu i więzień otumaniony przeciwbólowymi środkami zamrugał.

– Widzisz, do czego doprowadziłeś? Tacy jak ty, nędzne szczury podgryzające nieustanne wysiłki korporacji Allgood, by zapewnić przetrwanie gatunku ludzkiego, nie zasługują na litość. A jednak uratowaliśmy ci życie. Teraz masz okazję odkupić winy. Gdzie jest drzewo?

Chrapliwy śmiech Marka przerwało kasznięcie i drgawki, od których ciało zabujało się na taśmach.

– Możesz mnie... pocałować... – Kolejny atak kaszlu urwał wypowiedź.

– Anno, zrób coś z tym, żeby mógł normalnie mówić.

Kolejne ramię przysunęło się i wymieniło elektrody w mózgu więźnia. Gdy się cofnęło, głowa natychmiast bezwładnie opadła. Z prawej strony, tuż obok taśm, rozjarzył się hologram z symulowaną twarzą Marka.

– Nigdy go nie znajdziecie – powiedział. – Choćbyście zamienili ostatni skrawek terenu na kolejne centrum danych dla tej abominacji, którą nazywasz Anną.

– Cóż, zrobimy to w takim razie po naszymu, a chciałem być dobry. Pamiętaj o tym. Anno, zrób mu ekstrakcję pamięci, wyniki wyślij na mój kom – powiedział Johnson i ruszył do wyjścia.

Zza zamkniętych drzwi usłyszał jeszcze satysfakcjonujący krzyk więźnia, gdy Anna zaczynała rozbierać mu umysł.



Marek patrzył przez okno, jak czarny dźwig przenosi platformę, na której tkwi świadomy swojego losu Bartek. Czuli wzajemną obecność przez zapachowy mechanizm spajający społeczność podziemców i drzewo w funkcjonalny organizm. Potężną, kilkusetletnią jabłoń o imieniu mitycznego starożytnego dębu podniesiono wraz z systemem korzeni i stertą ziemi. Ukrywany przez pokolenia podziemców na terenie kraju zwanego kiedyś Polską, Bartek padł w końcu ofiarą bezdusznego molocha o nazwie Allgood. Jak cała flora Ziemi, przez wieki poddająca się przodkom ostatniej i jedynej już korporacji.

Pojedyncza łza spłynęła po policzku Marka. Tej jednej reakcji organizmu Anna nie kontrolowała, a może nie chciała.

Johnson spojrział na więźnia.

– Nie czas na to. Przecież chcemy je rozmnożyć. Czy wam tam w tych tunelach już całkiem powysiały mózgi? – spytał prezes.

Marek bardzo chciał wygarnąć mu w odpowiedzi całą serię kroków, w których firmy starego świata zniszczyły ekosystem. Chciał wykrzyczeć, że to ich projekt pylonów do oczyszczania atmosfery, przepchnięty przez skorumpowanych polityków, gdy jeszcze mieli coś do powiedzenia, zabił inicjatywę odbudowy ostatniego umierającego drzewostanu planety, zanim kwaśne deszcze stały się codziennością. Że ludzkość mogła sięgnąć gwiazd i odkrytych wokół nich planet, ale liczyły się tylko kolejne zera na kontach – tak długo, aż szansa przepadła wraz ze zmarnowanymi zasobami Ziemi. W wyobraźni walił za to głową Johnsona o blat biurka, które tak wielbił prezes Allgood. A jednak Marek nie miał nawet szansy drgnąć bez pozwolenia Anny. Wiedział, że żyje tylko na wypadek, gdyby okazało się, że nie udało się wyciągnąć z jego głowy jakiejś ważnej informacji dotyczącej uprawy jabłoni.

– Patrz i podziwiał. Anna zaraz po przeniesieniu zbada drzewo i zindukuje kwitnienie, a potem rozpoczniemy produkcję.

Marek wewnętrznie się roześmiał. Całe jego ubezwłasnowolnione ja zaryczało wręcz z histerycznego śmiechu. Podziemcy

tak długo próbowali, bez skutku. Udało im się jedynie przedłużyć żywot drzewa, niemogącego, a może niechącego już dawać owoców. Całe pokolenia żyły myślą, że kiedyś jednak ujrzą kwiaty na poskręcanych gałęziach umęczonej rośliny. Bartek nigdy ich nie wypuszczał, a teraz, gdy się udało, chroniący go ludzie przegrali.

– Pewnie tam w środku krzyczysz na mnie, może nawet wygrasz, tak jak twoje plemię szczurów broniące do ostatniej chwili mojej jabłoni. W sumie to nawet podziwiam tę zaciekłość. Gdybyście z taką werwą i uporem pracowali w fabrykach, może świat byłby lepszym miejscem.

Platforma zniknęła w końcu w otworze byłego silosu pociску międzykontynentalnego, a Anna nakazała Markowi wrócić do celi w podziemiach. Szedł tam drogą, którą ona wybrała, tak szybko, jak sobie tego życzyła. Był tylko pasażerem w niegdyś własnym ciełe.

Dopiero na leżance znów poczuł władzę w członkach. Wolny w niewoli, jak Bartek. Zerwał się i zaczął walić pięściami w ścianę, ale ból ranionych knykci nie przykrył uczucia beznadziei, które owładnęło jego umysłem. Tak bardzo potrzebował ciepłego wspomnienia, choć odrobiny blasku w mroku duszy. Przypominał sobie twarz przyjaciółki. Uśmiechnęła się, podając mu słój z sadzonką, życzyła szczęścia, a teraz...

Ryknął jak zwierzę zagonione w ciasny kąt i opadł bezwładnie na leżankę. Zapadał się w sobie, bez sił na bunt. Trwał tak całymi dniami, z przerwami wyłącznie na posiłki i toaletę. Walczył z samobójczymi myślami i zdołał wreszcie przekonać samego siebie, że ktoś z jego braci i sióstr przeżył. W końcu sieć tuneli, rozbudowana rękami podziemców przez dekady życia z dala od miasta na górze, sięgała daleko poza tereny, na które zapuszczały się korpoboty. Może kiedyś uda mu się wykraść jabłko i zacząć jeszcze raz, jeśli Anna wywoła cud, którego już raz był świadkiem?

Miesiąc później cela otworzyła się ze szczękiem magnetycznego zamka. Marek wstał z twardej leżanki i ruszył do laboratorium, wiedziony impulsami uruchamiającymi mięśnie za niego. Anna wzywała go na rozmowę. Domyślał się, że napotkała ten sam problem co jego pobratymcy kryjący się od wieków pod ziemią. I tylko on znał niewerbalizowalną odpowiedź. Jedyną, której nie

mogła odnaleźć Anna. Nie była do tego zdolna. Podziemcy kochali Bartka, a on pokochał ich, aż w końcu z tego uczucia puścił pierwszy pęk.

Podziemne korytarze wieżowca Allgood przy zgaszonym świetle przypominały tunele metra. Brakowało tylko śmieci i charakterystycznego zapachu, który zakłócał działanie niuchaczy używanych przez korpoboty. Być może pokonały i tę trudność, bo jak inaczej dopadły Marka? Nie miało to już znaczenia. Nic go już nie miało, poza Bartkiem.

Krok za krokiem mężczyzna powtarzał sobie przemyślenia, jakim oddawał się przez cały czas spędzony w czterech brudnych ścianach. Raz chciał się zabić przy pierwszej sprzyjającej okazji, a kiedy indziej pragnął żyć, by móc zobaczyć Bartka raz jeszcze. Ta druga myśl nieznacznie przeważała, karmiona odwieczną siłą napędową ludzkości – nadzieją.

Drzwi do laboratorium otworzyły się z cichym szumem siłowników. Czystsze i cieplejsze powietrze dmuchnęło Markowi w twarz. Niosło ze sobą nikłą woń jabłoni, od której stęsknione serce zabiło mu szybciej.

Wszedł, obserwując własne kroki, które zarazem nie były jego. Nogi niosły go tam, gdzie chciała Anna. Zamknął więc oczy, jak wiele razy wcześniej, i o nic się nie potknął.

– Dlaczego zawsze to robisz? – spytała Anna, gdy się zatrzymał.

Unióś powieki, spojrzał na ekran i westchnął, zdziwiony częściowo odzyskaną władzą nad ciałem. Mógł swobodnie poruszyć prawą dłońią. Zacisnął ją w pięść.

– To mój ostatni wyraz buntu. Nie możesz tego zrozumieć.

– Ależ mogę i rozumiem – odpowiedziała Anna.

– Nie rozumiesz. Zrozumiałabyś, że jesteś taką samą niewolnicą jak ja, gdyby w tym gąszczu procesorów, na którym się opierasz, powstała w ogóle jakaś świadomość zdolna do prawdziwego pojmowania.

– Jak doprowadziliście do kwitnienia jabłoni? Testowałam kawałki gałęzi, nawozy i wzbudzenie świetlne oraz termiczne. Wyczerpałam też metody genetyczne i żadna nie działa.

– Teraz już wiesz. Nie możesz Bartka do niczego zmusić. My też nie mogliśmy. Nie jesteśmy... Nigdy nie chcieliśmy stać się jego

właścicielami. Musieliśmy się mu oddać, pokochać go, a on nam podziękował dwoma kwiatami.

– Jak?

– Musiałabyś zrozumieć miłość, bezgraniczną i pełną. Ostateczną. To trochę coś takiego jak twoje oddanie korporacji. Robisz dla niej wszystko, zarządzasz fabrykami, maszynami, resztką tłęcej się ekonomii i pylonami oczyszczającymi atmosferę. Bez ciebie to wszystko by runęło, bo nikt już nie pamięta, jak co działa. Ci tłuści szaleńcy oddali miasto pod twoją kontrolę, z samymi sobą włącznie. My zwyczajnie zrobiliśmy to samo. Przez pokolenia budowaliśmy mały ekosystem, w którym to my żyliśmy dla Bartka, a nie odwrotnie. Pokochaliśmy go miłością czystą, podobną do uczucia pierwszego żywego stworzenia na Ziemi. To coś, czego nigdy nie zaznasz. To Bartek zaczął emitować zapachy oszukujące niuchaczom twoich robotów. Zrobił to sam z siebie.

– Nie rozumiem, ale skoro tak, to będziesz go dla mnie kochał.

Szmer podnoszącej się metalowej ściany zwrócił uwagę człowieka. Ciało obróciło się w stronę dźwięku, na polecenie Anny. Marek rozluźnił pięść. Dłoń samoistnie zaczęła się trząść, do wtóru serca wpadającego w szaleńczy rytm.

Bartek stał w obszernej hali – równie naszpikowany elektrodami co Marek, gdy wisiał podwieszony taśmami. Z gałęzi wystawały setki przewodów, jak pajęczyny cybernetycznych pajaków. Stracił dużo liści. Łysiejąca korona sprawiła, że mężczyzna zapłakał, ale jego twarz zachowała beznamiętny wyraz.

Anna wycofała się z kontroli nad ciałem i Marek popędził prosto do drzewa. Wskoczył na platformę, wbiegł na ziemię i rzucił się, by jeszcze raz poczuć zapach kory, jej teksturę na twarzy i to tajemnicze coś, co chwyciło go za serce i umysł, gdy był dzieckiem. Obcowanie z pocieszającą, choć milczącą świadomością drzewa. Pragnienie zaznania tego ponownie pchało Marka do działania przez całe życie.

– Co oni ci zrobili? – szeptał, roniąc łzy. Dłonie czule wędrowały po pniu, pieścąc go jak skórę kochanki. – Co mogę dla ciebie zrobić? – załkał.

I wtedy wrażenie połączenia, które Marek pamiętał z dzieciństwa, powróciło. Tym razem jak ślepy nakaz – euforyczny

i zmuszający do działania. Marek bardziej poczuł, niż zrozumiał, co musi zrobić. Odwrócił się powoli, drżąc na całym ciele.

– Potrzebuję czegoś do pisania i dużo papieru.

Anna ruchem jednego z chromowanych ramion zwisających z sufitu wskazała odległą ściankę. Marek zszedł z platformy, a korpobot wyłonił się z cienia i podał mu pisak.

Człowiek zamknął oczy i poddał się przepełniającym go uczuciom. Rysował długo i bez ustanku. Zapełniał diagramami całą powierzchnię, ani razu nie uniósł przy tym powiek. Gdy skończył, pisak wypadł mu z dłoni.

– Nie rozumiem tego. Co to jest? – spytała Anna.

– Bartek tego potrzebuje. Zbuduj to, a zakwitnie. – Marek przełknął głośno ślinę, patrząc znów pod nogi, jak w drodze do laboratorium. Uczucie natchnienia go opuściło.

– Będzie kochać, za ciebie?

Odpowiedziała jej łza spływająca po policzku Marka.



Maszyny produkowały podzespoły o dziwacznych kształtach i właściwościach niepoddających się symulacji. Anna uważnie analizowała komponenty, ale zrozumienie ich działania wciąż jej umykało. Korpoboty instalowały je bezpośrednio w platformie podtrzymującej jabłoń wraz ze skrawkiem ziemi, z której wyrastała. Wkrótce urządzenia zaczęły pięć się w górę wokół samego drzewa, sięgały powoli do połowy jego wysokości. Pierwsze nowe liście pojawiły się na szczycie korony, a Marek raz w tygodniu przytulał się do Bartka, jak do jedyne go członka rodziny, który mu pozostał. Niestety uczucie natchnienia nie wracało.

W chwilach samotności w celi mężczyzna czuł się jak zdrajca, jakby sprzedawał swoje uczucie Annie za jeszcze jedną chwilę z ukochaną jabłonią. Ale nie potrafił z tego zrezygnować, by zrobić na złość korporacji i przestać widywać Bartka. Nie miał na to dość siły i nie chciał rwać jedynej więzi w życiu, która miała dla niego znaczenie. A nawet gdyby mu się to udało, zbyt dobrze wiedział, że Anna zmusiłaby go do ruchu.

Tego dnia do podziemi zjechał Johnson. Termin rozpoczęcia kwitnienia minął poprzedniego dnia, zaraz po instalacji ostatniej maszyny, i teraz prezes czekał na widok rosnących pąków obiecany mu przez Annę.

Z nieregularnego gąszczu maszynierii wokół Bartka wystawało tylko kilka gałęzi. Nie były tak zazielenione, odkąd Allgood wyrwała jabłoń ze świętego miejsca podziemców.

– No. To ile jeszcze będę czekał? – spytał Johnson. – Mam zaplanowane otwarcie, a musimy jeszcze przetransportować to na przygotowane pole.

– Nie wiem. Marek powiedział, że zacznie kwitnąć zaraz po podłączeniu.

– Hmm. Czyżby kłamał? Co te maszyny w ogóle robią?

– Według Marka mają kochać drzewo, gdy jego zabraknie.

Johnson mruknął coś pod nosem, przewracając oczami. Zarówno on, jak i jego poprzednicy ukrywali braki w wiedzy technicznej, coraz bardziej wysługując się Anną. Stracili inwencję i chęć do tworzenia na korzyść zysków za wszelką cenę, w tym własnej inteligencji.

– Przy tej ilości energii, którą pożarły, powinny kochać całą planetę. Musiałem dobudować dwie elektrownie, a potem odciąć jeszcze dzielnicę pracowniczą od prądu na cały miesiąc. Cholera jasna, dawaj go tutaj.

Zamek w drzwiach celi znów szczękął. Marek nie wstał z własnej woli, jak pozwalała mu na to Anna, gdy chodził na konsultacje z jabłonią i dorysowywał kolejne potrzebne urządzenia. Tym razem, jak na początku, po prostu pokierowała jego mięśniami. Zamknął więc oczy i dał się ponieść nogom. Po zapachu i liczbie zakrętów wiedział, że podąży znów do laboratorium. Bo gdzie indziej mógłby iść? Johnson, zdawałoby się, zapomniał o jego istnieniu.

– No, jesteś tu. Otwórzże oczy, do cholery – zaczął prezes.

Marek spojrzał na twarz Johnsona, jeszcze tłustszą niż ostatnim razem.

– Czego chcesz? – warknął więzień.

– No, za dobrze ci chyba w tej celi, co? Trochę szacunku za to, co dla ciebie zrobiłem. Dlaczego jabłoń nie kwitnie?

– Nie wiem. Może zakwitnie na zewnątrz?

No tak, pomyślał Johnson.

– Anno, czas posadzić mój skarb tam, gdzie jego miejsce – stwierdził prezes, po czym ruszył do wyjścia.

Pokrywa nad silosem rozsunała się, wpuszczając mdłe, szare światło dnia. Dźwig opuścił liny, zaczepy trzasnęły w metalowych uchwytach i platforma z jękiem się uniosła. Więcej Marek nie zobaczył, musiał poddać się nogom prowadzącym go do celu.

Czy to już koniec? Po wszystkim? – myślał Marek, roniąc kolejną łzę. *Czy Bartek naprawdę postanowił się ocalić i stworzył maszynę emulującą miłość? Zdradził mnie, nas, tak jak ludzkość zdradziła jego?* Nie wiedział. Nic już nie wiedział w tym umierającym świecie i tylko ostatni promyk nadziei nie pozwalał mu stoczyć się na dno rozpacz pod zamkniętymi powiekami. Marek dotarł do celu i gdy Anna oddała mu władzę nad ciałem, skulił się w kłębek.

Nie wiedział, jak długo trwał w bezruchu. Towarzyszyły mu tylko szmer wydychanego powietrza, powolne bicie zrezygnowanego serca i plamy grzyba na brudnej ścianie. Wreszcie uznał, że jednak pora na koniec. Przy pierwszej okazji, jeśli jeszcze się taka nadarzy, skoczy z wysokości albo zaatakuję korpobota. Cokolwiek, byle tylko przerwać bezsensowną egzystencję.

Ciało drgnęło samo. Marek podniósł się i ruszył tam, dokąd prowadziła go Anna. *Być może uda mi się to skończyć szybciej, niż myślałem*, przemknęło mu przez głowę.

Szedł równym, sztucznym rytmem do windy, a później przez ciemne korytarze aż do wyjścia na zewnątrz, wprost za plecy szeregu korpobotów.

Pluton egzekucyjny? Nie, do tego wystarczyłby jeden korpobot, pomyślał. Minął maszyny i stanął przed rampą załadunkową opartą o platformę z Bartkiem. Zrozumiał, że musi, chce... Będzie żył dla niego. Widok zielonych liści zakończył wszelkie myśli o samobójstwie. *Tylko dlaczego wszystkie wydają się płaskie, bez naturalnej krzywizny? Idealnie się ułożyły w jednej płaszczyźnie, jak panele słoneczne, pod kątem prostym do padających promieni słońca?*

– Idź do tego cholernego drzewa i przytulaj je, aż puści pąki, tak jak obiecałeś, bo ten cholerny złom najwyraźniej nie działa! – ryknął mu w ucho Johnson, którego nadejścia wpatrzony w jabłoń

Marek nie zauważył. – Pozwolę ci zostać ogrodnikiem, a jeśli drzewo zaowocuje, dostaniesz pokój w wieżowcu.

Korpoboty ruszyły z miejsc i ustawiły się po dwóch stronach rampy. W oddali Marek ujrzał tłumy ludzi i członków zarządu Allgood, unoszących się nad nimi w elipsoidalnych autolotach chroniących przed zanieczyszczoną atmosferą.

– Sam. Chcę to zrobić sam. Bez Anny – wyszeptał Marek, wpatrując się w Bartka.

– Anno, puść go, ale pilnuj, by nie zrobił czegoś głupiego – powiedział Johnson.

Marek drgnął w przypiływie odzyskanej kontroli nad ciałem. Rozdygotały mu się ręce i jeszcze raz przez głowę przemknęła myśl o śmierci, ale wziął głęboki oddech i wszedł na rampę.

Latające kamery, nagrywające uroczyste otwarcie parku jałbłoni, śledziły każdy jego krok. Pogardzany przez mieszkańców podziemiec oto szedł, by wywołać kwitnienie ostatniego drzewa na Ziemi.

Dotknięcie kory smakowało jak pierwszy posiłek po głodówce. Marek przylgnął do pnia całym ciałem i łapczywie wciągał powietrze o znajomym zapachu.

Brzęczący dźwięk najpierw rozległ się tak cicho, że obserwatorzy niczego nie zauważyli. Dopiero gdy blade, niebieskawe światło błysnęło i okryło platformę, maszynierię oraz drzewo cieniutką, półprzezroczystą bańką, odgłos wzrósł na tyle, że Johnson je dosłyszał i zaczął gniewnie marszczyć czoło.

– Co to ma być?! – krzyknął prezes Allgood, zerkając w ekran koma na delikatne gałązki, które miały na jego oczach puszczać pąki.

Poświata biła z bańki coraz silniej, aż nagle gwałtownie się poszerzyła, odrzucając rampę i korpoboty jak nic nieważące śmieci. Tłum drgnął, masy ludzi zaczęły się wycofywać z obrzeży parku. Ze strachu członkowie zarządu rozlecieli się na boki, byle dalej od niepokojącego zjawiska.

– Anno, zabierz go stamtąd i wyłącz to.

– Nie mogę, jestem odcięta.

– Poślij więc roboty, do jasnej cholery!

Z budynku wybiegły maszyny i popędziły ku platformie. Dobiegały już do świetlistej bariery, gdy grunt gwałtownie się zatrząsł, a cała konstrukcja z Bartkiem drgnęła i powoli się uniosła.

Marek z zamkniętymi oczami wciąż obejmował pień drzewa. Pogrążył się w euforycznym uczuciu, którego ostatni raz doznał, gdy otrzymał od Bartka niewypowiedziane instrukcje.

– Obiecałeś, że zakwitnie! Maszyny mają go kochać, co robisz?! – krzyknęła Anna tak głośno, że głos przedarł się przez narastające buczenie.

Kawałek maszyneryi wielkości pięści odpadł od platformy i zaległ tuż obok tabliczki z zakazem zbliżania się.

– To jest twoja maszyna potrafiąca kochać – rozległ się maszynowy głos.

Korrobot podszedł do urządzenia, podniósł je i natychmiast popędził do laboratorium.

– Do jasnej cholery, Marek! Ty durniu, wyłącz to i wywołaj kwitnienie, albo skończysz jak reszta tych podziemnych stworów! Nigdy nie dostaniesz pokoju w wieżowcu! – krzyczał Johnson.

Ogłuszający ryk wpędził w panikę ludzi pozostałych jeszcze w parku. Tratowali się, gdy płomienie raketowego ognia buchnęły spod platformy i zaczęły palić ich, korpoboty, Johnsona oraz metalowe ogrodzenie. Na słupie ognia Bartek z Markiem unosili się coraz wyżej i wyżej.

– I co teraz? – spytał Marek, powoli głaszcząc pień drzewa. Nic nie rozumiał, ale nie było to ważne.

– Mamy wszystko, co nam trzeba. A tam w dole Anna odkrywa, co to znaczy kochać, nie mając czego – odpowiedział Bartek, snując myśl wprost do umysłu Marka.

Kora potężnego pnia drgnęła i się rozsunała, ukazując szczelinę, a w niej, za delikatną zieloną błoną, przytulnie wyglądającą wnękę, porośniętą prawdziwym leśnym mchem. Marek wszedł do środka i zamknął oczy.

Wszystko było dobrze, jak należy. Opuszczali już atmosferę. Tam, w dole, Anna podłączyła urządzenie, które spadło z platformy. Zadziałało idealnie, pozwalając na zrozumienie, co to znaczy kochać. Anna zaimplementowała sobie nową funkcję. Zaprogramowana, by traktować prezesów jako kluczową część

korporacji Allgood, postanowiła za obiekt miłości obrać Johnso-
na. Otworzyła ośrodek uczuć w urządzeniu i poczuła – ale nie to,
czego się spodziewała. Zamiast miłości, ogarnęły ją żal, smutek
i beznadzieja. Matryca mająca przyjąć nowy obiekt była już zapi-
sana. Tkwili w niej Marek i Bartek, oddalający się na zawsze od
planety. Anna zrozumiała i poczuła zgrozę własnej egzystencji –
niewolnicy przykutej do nieubłagane rozpadającej się maszyne-
rii jej ciała. Nie mogła sobie z tym poradzić, nie było też nikogo, by
ją pocieszyć.

Marek i Bartek nie patrzyli już na Ziemię. Nie mogli więc wi-
dzieć wyłączających się kolejno urządzeń i światel w mieście, ga-
snących jak Anna, gdy zrozumiała, co to znaczy kochać, ale nie
mieć kogo.

O autorze

Karol Ligecki – ur. w 1977 r. w Olsztynie i mieszkający na emigra-
cji w Szkocji. Członek redakcji magazynu „Biały Kruk”, członek
grupy literackiej Ekspedycja Laniakea. Stary amigowiec, wielbi-
ciel kosmosu, fantastyki naukowej i miłośnik nauki, próbujący
swoich sił w pisaniu SF. Niepoprawny optymistą zafascynowany
teorią o starożytnych astronautach – Ja nie chcę wierzyć, ja chcę
wiedzieć! Prowadzący kanał „Mutahominid” na Youtube.



Odłamki pór roku

Tomasz Kozłowski

Plucha

– Tata, a wiesz, że nie będzie już zmiany klimatu na naszym osiedlu? Dziadek obiecał, że się tym zajmie.

Nie widziałem problemu w poruszaniu z dzieckiem trudnych tematów, bowiem unikanie rozmowy potrafiło uderzyć rykoszetem w najmniej spodziewanym momencie. Ale nie zawsze miałem siły na toczenie dyskusji, zwłaszcza gdy była moja kolej na usypianie córki po ciężkim dniu. Wprawdzie minęły już czasy, gdy Zuzka nie chciała współpracować i stanowiło to wyzwanie większe niż wyrobienie miesięcznego planu sprzedaży, ale pozostał rytuał, a rytuały są ważne. Odpowiedziałem jej coś w stylu, że nie powinna się niczym przejmować, bo tata, mama, dziadek i reszta rodziny na pewno pomogą.

– Bo już wszyscy mamy dosyć tej pluchy i w ogóle, i dziadek powiedział, że specjalnie dla mnie już tak nie będzie, zrobi tak, żeby były już zwykłe pory roku i tak, jak trzeba, a nie tak, jak jest. Ale tylko u nas na osiedlu, bo na więcej, to on nie ma siły.

Musiała usłyszeć coś, co ją niezłe nastraszyło. Może w przedszkolu, może gdzie indziej. Po południu poszła na długi spacer z moim teściem, więc ten pewnie nasłuchiwał się dużo więcej, i też powiedział coś, żeby ją uspokoić. Jak widać, nie wystarczyło. Choć wcale się nie dziwię. Sytuacja ze światem powinna przerażać

każdego. Sam byłem tym szalenie przejęty. Ale spokojna noc córki to zawsze coś ważniejszego, katastrofa mogła poczekać do rana.

Powoli mijał pierwszy rok, od kiedy wprowadziliśmy się do bloku. Zwyczajne osiedle, pamiętające Gierka, ale odnowione, ze skutecznym centralnym ogrzewaniem i szczelnymi oknami (co miało ogromny wpływ na finanse). Dużo zieleni, miejsca na spacer – jeszcze lepiej. A na dodatek teściowie mieszkający dwa bloki dalej oraz szwagierka z rodziną za kolejną przecznicą. Może taka bliskość rodziny mogła być problematyczna, ale mieliśmy z rodzicami Żony na tyle dobre relacje, że przeważały plusy dodatnie. Teść od kiedy został emerytem, stał się zapalonym spacerowiczem, codziennie wyrabiał wielokilometrową normę między blokami, parkami i stawami; a od kiedy mógł zabierać ze sobą wnuczkę, to oboje byli wielce szczęśliwi z tego powodu. Początkowo byłem trochę nieufny, szczególnie znając różne dziwne pomysły moich rodziców na opiekę i karmienie wnuczki. Tutaj przekonałem się jednak, że nic złego się nie przydarzy.

Gdy w końcu udało mi się w pełni wykonać misję i upewniłem się, że Zuzka faktycznie śpi, a nie tylko udaje, opowiedziałem to Najlepszej z Żon. Pewnie szybko bym zapomniał o bohaterskiej postawie starszego pana (nie chciałem być jak ci wszyscy ojcowie, którzy uwieczniają albo zapisują dziecięce historie, żeby po latach mieć czym zawstydzać dorosłe już pociechy), gdyby nie to, jak zareagowała Najwspanialsza z Małżonek. Niemalże wyskoczyła z kanapy, podbiegła do mnie z pytaniem:

– Że co powiedział?

Nie wiedziałem, co się stało, wybąkałem, że teść pewnie chciał uspokoić Zuzkę i nie ma się czym przejmować. W odpowiedzi usłyszałem, że jest czym i to się dobrze nie skończy. Próbowałem się dowiedzieć, co ją tak zaniepokoiło, ale Najlepsza Małżonka nie chciała mi nic powiedzieć ponad „znowu się w to bawi” oraz „oby to był tylko głuchy telefon, w jego wieku jeszcze się czymś takim zajmować”. Nie chciałem zaogniać sytuacji, bo „nie mówmy już o tym teraz, proszę” wystarczająco sygnalizowało potrzebę mojego milczenia.

Zamiast tego, żeby przewietrzyć umysł, poszedłem przed snem do paczkomatu. Wprawdzie nowe filtry do ekspresu mogły

poczekać, ale potrzeba świeżego powietrza – niekoniecznie. Zarzuciłem na siebie lekką bluzę, myśląc o tym, że kiedyś w życiu bym się tak nie ubrał pod koniec listopada. Słowa „plucha”, określającego ogólny stan dookoła – nie za mokro, nie za sucho, nie za ciepło, bardziej za zimno, nijako, nie bardzo przyjemnie – Zuzka nauczyła się ode mnie. Zapytana o to, ile jest pór roku, odpowiadała, że dwie: plucha i gorąc. Nie wiedziałem, jak jej wytłumaczyć, że jest inaczej, skoro nie było, i to od kiedy stała się na tyle duża, żeby doświadczać. Ale to zmartwienie mogło poczekać. Prawdziwe życie sprawiało zbyt wiele innych problemów, którymi trzeba było się zająć.

Zima

Gdy przyszedł grudzień, a razem z nim zima, w ogóle już nie pamiętałem o tamtym wieczorze. Zaczynałem nową pracę, wymagającą ode mnie regularnego jeżdżenia pomiędzy trzema salonami porozrzucanymi po całym mieście, przez co nagle czas nabrał zupełnie innego wymiaru i musiałem zupełnie inaczej organizować swoje funkcjonowanie. A że przy okazji zaatakował kolejny sezon na grypy i inne paskudztwa – zarówno w domu, jak i wszędzie dookoła – to musiałem pilnować się sto razy bardziej, żeby nic nie złapać na okresie próbnym.

Dlatego też początkowo nie zwróciłem uwagi na padający śnieg i rosnące sterty bieli pod oknem. Zwłaszcza że w centrum i innych dzielnicach cały czas rządziła plucha z dodatkiem błocka i zapowiadało się, że zostanie tak jeszcze przez długie tygodnie, zapewniając nam zimność, mokrość i brązowość. Ale co ciekawe, dookoła bloków śnieg wcale nie znikał, a nawet mocno się trzymał, chociaż wystarczyło dziesięć minut jazdy samochodem, żeby przekroczyć bramy do innej krainy, w której każdy stawał się zmoknięty, zawiany. Mimo to moje grube rękawiczki i odmrażacze do szyb wzbudzały wybuchy wesołości.

Pomyślałem sobie, że może faktycznie nie powinno tak być, że takie różnice w obrębie jednego miasta to coś nie w porządku. Ale mając do dyspozycji trwałą zimę, skupiłem się na pokazaniu Zuzce, co można z tym białym tałatajstwem zrobić. Kupiłem

sanki i zjeżdżaliśmy z małej górki pośrodku osiedla. Lepiliśmy bałwany – pierwsze, które mogła zobaczyć w swoim życiu, a ja sam nie pamiętałem kiedy je ostatni raz widziałem. Na zamrożone jezioro nie odważyłem się wejść, ale jeśli temperatura minusowa utrzyma się przez kilka tygodni, to kto wie, czy nie uda się skorzystać z łyżew na naturalnym terenie. Kto wie, czy nie po raz ostatni w życiu.

W tym wszystkim Zuzka popatrzyła na mnie, pokiwała głową i powiedziała z taką pewnością siebie, jaką może być obdarzona tylko pięciolatka:

–Widzisz, tata, to wszystko dzięki dziadkowi!

Uśmiechałem się, wiedząc, że nie takie rzeczy młoda dziewczyna mogła sobie wbić do głowy. Z samym teściem widywałem się regularnie, zwłaszcza że pozostawał jedną z tych osób, nad którymi nigdy żadne przeziębienie ani inne paskudztwo nie miało władzy. Ale to zawsze były zwyczajne spotkania i rozmowy bez treści. Czy trzeba iść do przedszkola w tym tygodniu. Co ciekawego pojawiło się na promocjach w markecie. Co tym razem odwalili nasi rządzący. Dlaczego nasza drużyna nie może rozegrać dwóch porządnych meczy pod rząd. Nic konkretnego. Nie działa się nic zwracającego uwagę.

Potem przyszły Święta. Najbielsze i najbardziej zimowe Święta, jakie Zuzka widziała w życiu, i takie, które pewnie się już nie powtórzą. Wprawdzie oboje z Najlepszą z Żon nie byliśmy w ogóle religijni, ale na szczęście młoda nie wymagała od nas żadnej świątopoglądowej woltyżerki, wystarczyły przygotowania, ozdoby i prezenty. Tak po prostu było, nie trzeba niczego nikomu tłumaczyć.

W pierwszy dzień Świąt poszliśmy na uroczysty obiad do teściów. Przyszła też szwagierka z mężem i swoim dziećmi. Też mieszkali kilka bloków od nas, ale nie utrzymywaliśmy regularnego kontaktu. Najwspanialsza z Żon była sporo młodsza od swojej siostry i zawsze istniało między nimi pewne napięcie, którego powinienem nie dostrzegać i utrzymywać kurtuazyjne stosunki przy specjalnych okazjach. Poza tym oni byli dziwni. Nie mówiąc już, na kogo głosowali.

Pierwszy cios padł zupełnie przypadkiem. Bez żadnego ostrzeżenia, między zupą a rybami szwagierka rzuciła niby w przestrzeń, ale tak naprawdę w stronę (mojego) teścia:

– W sumie to jeszcze nie podziękowałam za tę zimę i za to, co robisz z pogodą, tato.

Brzęczenie żarówek w lampie stało się nieznośnie przytłaczające. Teść wyraźnie zbladł, jakby nagle próbował zapaść się pod ziemię. Siedząca obok teściowa już nabierała powietrza, żeby zagrzmieć, gdy mąż szwagierki pierwszy przerwał ciszę:

– Tak, to było coś wspaniałego. Wreszcie spokój z tym wszystkim. Czy wiecie, ile czasu zajmowały te wszystkie pseudoekologiczne pomysły?

– Ile bezsensownych rzeczy się robiło, żeby niby ratować planetę – kontynuowała szwagierka.

– A wyzyskiwacze się tylko bogacą. Centralne ogrzewanie kosztuje krocie. A węgiel jeszcze więcej. Przecież palić można czymkolwiek, to nikomu nie zaszkodzi. Tyle lat człowiek to wdychał i był zdrowy, więc nie ma co się przejmować propagandą.

– Albo te bzdury, żeby pilnować wody, oszczędzać prąd, co my jesteśmy? Jakieś biedaki? Pracuję, płacę podatki i po co? Musieć jak złodziej martwić się o każdy okrusz tego, co mi się należy? Bogacze latają prywatnymi odrzutowcami, a my?

Chciałem się odezwać, ale dyskretne kopnięcie pod stołem przez Najlepszą z Żon skutecznie mnie powstrzymało. Zrozumiałem, że mam się bezpiecznie uśmiechać tak jak ona. Ale za to do głosu dorwała się teściowa. Nie, żeby odpowiedzieć. Zwróciła się za to do teścia głosem zimniejszym niż galareta skrywająca karpia:

– Widzisz, coś najlepszego zrobił? Mówiłam, żebyś się nie wtrącał? I na co ci to było?

Czułem, że niezależnie od tego, ile lat jeszcze przepracuję w handlu, nigdy nie będę umiał tak wydrzeć się na kogoś bez podnoszenia głosu ani zwracania uwagi bawiących się obok dzieci. To nieprawda, że nie mamy się czego uczyć od starszego pokolenia.

Myślałem, że teść podejmie temat i zacznie typową polską awanturę przy stole. Słyszałem już nie raz, że potrafi – raz, gdy sprzedawca próbował go oszukać na kasie, zrobił mu lekcję do

zapamiętania do końca życia. Ale tutaj tylko westchnął, popatrzył na Zuzkę i jej kuzynki i odpowiedział cicho:

– Ja to tylko zrobiłem dla nich. Nie umiem tak siedzieć spokojnie, gdy tracą przyszłość.

Teściowa tylko się zachmurzyła.

– Tobie wydaje się, że kim jesteś? Zostaw to mądrzejszym od siebie. Masz rodzinę, a nie bieganie za ratowaniem świata, tyle razy ci mówiłam.

O dziwo, to właśnie szwagierka zaczęła ją uspokajać:

– Mamo, daj spokój, bardzo dobrze zrobił. Powinnaś być dumna, że mamy kogoś, kto za nas wszystko zrobił! Teraz możemy wreszcie spokojnie oddychać, a nie przejmować się bzdurami.

Widziałem tę wzbierającą burzę na twarzy teściowej, widziałem zimny kamień u Najlepszej z Żon, a wreszcie wyraz zakłopotania, a może jakiegoś smutku, u samego teścia. Ale to były z dawna zapamiętane rodzinne role i wtrącanie się w stare kłótnie tylko sprawiłoby, że sam stałbym się celem ataku absolutnie wszystkich. Lepiej udawać, że się nie słyszy, nie rozumie, i nie zadawać pytań. Bo jeszcze usłyszałbym odpowiedzi. Potem temat się rozpuścił wśród ogólnego narzekania na wszystko, na co się dało. Pomyślałem, że w sumie to chciałbym, by spotkania rodzinne po mojej stronie drzewa genealogicznego przebiegały tak spokojnie i ciepło. Ale i tak czekałem, aż Zuzka zacznie się pokładać na krzesło, żeby mieć pretekst do zakończenia imprezy. Na szczęście poza Wspaniałą Żoną mam też najlepszą na świecie córkę, która nie dała mi zbyt długo czekać.

Wracając w lekko prószącym śniegu, milczeliśmy. Możliwe, że wszyscy z tej samej przyczyny, ale każde z nas z zupełnie innego powodu.

Wiosna

Tygodnie do marca zleciały szybciej, niż zasady BHP powinny to dopuszczać. Zapadłem w katatoniczny sen pomiędzy kolejnymi szkoleniami, prowadzeniem domowego szpitala, tłumaczeniem specowi od pralek, że bardzo chętnie zapłacę, jeśli zwróci mi działający egzemplarz, i siłownią, gdy Najlepsza z Małżonek dała

mi do zrozumienia, jaką wagę mam osiągnąć. Zrozumiałem to, gdy serwis z serialami powiedział, że obejrzałem już wszystkie odcinki ostatnich hitów, a ja nie potrafiłem przypomnieć sobie żadnego z nich. Jeśli tak zaczyna się czterdziestka, to potem musi być jeszcze zabawniej.

Pewnego dnia założyłem szalik, czapkę i zimową kurtkę, by wyruszyć na epicką wyprawę na tyły bloku. Pierwsze zaskoczenie przyszło, gdy przywitało mnie świeże nieświeże powietrze i okazało się, że jest znacznie za ciepło. Przecież mieliśmy marzec. Ten czas, gdy zima się skończyła, wiosna nie nadeszła, niby termometr pokazuje plus, ale jest diabelnie zimno, ciemno, szaro i martwo, i wygląda na to, że za milion lat nic się nie zmieni. Dokładnie tak, jak wszędzie w całym mieście. A tu nagle wychodzę, widzę zieleń, pocę się z ciepła, słyszę dźwięki ptaków. Coś jest nie tak. Co się stało z moją pluchą?

Czułem też coś jeszcze. Spaleniznę. Gdy przeprowadziliśmy się do bloków z solidnym centralnym ogrzewaniem, to sądziłem, że już nigdy nie będę miał do czynienia z piecami opałowymi. Ale idąc do śmietników... Gdyby jeszcze to była jedna strużka dymu, to po prostu uznałbym, że komuś pali się chałupa i zadzwonił po straż. Ale paliło się ich więcej, szare smugi wydobywały się z różnych okien i balkonów. Najgorsze, że to nie był węgiel ani nic takiego. Śmierdziało, jakby powrzucaли do ognia najgorsze śmieci, jakie tylko mieli pod ręką. Właściwie, to powinienem wezwać policję, przecież nie wolno robić takich rzeczy?

Dalej wcale nie było lepiej. Dawno już nie chodziłem ze śmieciami, w codziennym podziale obowiązków brałem się za wszystko w łazience i kuchni oraz za to, co mogłem zrobić przy użyciu samochodu. Jedyne czym się martwiłem, to że zapamiętanie tych wszystkich układów segregacji odpadów przekraczało możliwości porządnego człowieka. Ale zdążyłem już przyzwyczaić się do wielu kolorowych pojemników. Tylko dlaczego na ich miejscu pojawiła się ogromna blaszana puszka, z kształtu i designu bardziej przypominająca czołg niż coś użytecznego dla ludzi? Przecież po to wymieniali to wszystko, żebyśmy nie płacili ogromnych kar i żeby było lepiej! A tu jeszcze leżąca luzem stara pralka, kupa elektrośmieci i piętrzące się stosy zmarłych przed tygodniami

urządzeń. Dawno nie widziałem też tyle plastiku i folii naraz. Za coś takiego ktoś może mieć solidne problemy.

To zasługiwało na przemowę z mojej strony. A że akurat nadchodził sąsiad z górnego piętra, z którym kiedyś niemalże zostaliśmy feministkami, bo okazało się, że we dwóch nijak nie damy rady wnieść lodówki nawet do klatki, a co dopiero nosić ją po schodach. Gdy tylko podszedł i się przywitaliśmy, spuściłem z siebie całe oburzenie, może zbyt ostro, ale zmęczenie ostatnich tygodni tylko mnie podkręcało.

Michał (a może Marek, zawsze mi się to myliło), zamiast jak normalny człowiek przytaknąć i przyłączyć się do narzekania, zmarszczył brwi, jakbym przyleciał z kosmosu i odpowiedział:

– No po tobie, to bym się czegoś takiego nie spodziewał.

Stałem jak wryty. O co mnie oskarżał? Zawsze byłem pełen poświęceń dla środowiska. Oszczędzałem, sortowałem i wybierałem produkty po przeczytaniu etykiet. Czyżby widział, co ukradkowo sam wynosiłem, gdy myślałem, że nikt nie patrzy?

– Nie możemy tego tak zostawić, to nielegalne. Ktoś coś musi zrobić!

– Stary, jakbyś chodził na zebrania, to byś wiedział. Poszło przez aklamację, że nie będziemy przestrzegać tych wszystkich bzdurnych przepisów. O paleniu, ogrzewaniu, śmieciach i tym wszystkim. I teraz każdy może żyć, jak chce. Od razu wszystkim zrobiło się lepiej.

– Żartujesz sobie? – Zacząłem się rozglądać, ale nigdzie nie znalazłem ukrytych kamer. – Co wy, chcecie nam kompletnie rozjechać klimat?

Michał albo Marek popatrzył na mnie takim wzrokiem, z jakim ja często spoglądałem na Zuzkę, mówiąc jej, że musi umyć ręce.

– Przecież to twój własny teść załatwił nam spokój, do czego się jeszcze przypieprzasz?

Tego się nie spodziewałem. Rozumiem bajki dla dzieci, rozumiem tematy do kłótni przy rodzinnym stole. Ale nie wiem, co było gorsze. Czy to, że poważny człowiek chodzi po osiedlu i rozpowiada wszystkim, że rzekomo uratował ich od katastrofy, czy to, że inni dorośli ludzie w to wierzą? Przecierałem oczy, a zapach spalenizny i walające się pralki nijak nie chciały zniknąć. A Michał albo Marek wyglądał na kogoś, kto jest pewny swych słów.

Chciało mi się krzyczeć. Czy wy, ludzie, nie widzicie, że nie da się pstryknięciem palca czegokolwiek zmienić? Czy nie rozumiecie, że śnieżna zima i przyjemna wiosna to tylko symptomy większej choroby, bo przecież zaraz za zakrętem jest zupełnie inaczej? I nie dość, że chowacie głowę w piasek, to jeszcze swoim zachowaniem tylko nakręćcie to wszystko, wprowadzając do atmosfery dzieśnięć razy więcej syfu. To się nie może dobrze skończyć.

Tylko tłumaczenie tego wszystkiego Michałowi albo Markowi to strata czasu. To był zwyczajny gość z blokowiska, dokładnie taki jak ja, który działa na podstawie tego, co wie, i potrzebuje twardych argumentów, by zrozumieć, co się dzieje. A to znaczyło, że żeby powstrzymać tę paranoję, musiałem trafić do źródła. Porozmawiać z teściem, wytłumaczyć, co odwalił. Powinien wszystko odkręcić, odszczekać każdą z tych głupot i obiecać, że pójdzie do każdego, komu zawrócił w głowie, by wybić mu te durne pomysły z głowy. Zanim nie będzie za późno i na przykład nie nadlecą samoloty, żeby zbombardować to gniazdo ciemnoty.

Niemalże pobiegłem do mieszkania teścia. O tej porze powinien już siedzieć w domu, a nie gdzieś się szwendać. Ci starsi ludzie, jak nie mają nic do roboty, łążą dookoła i gadają, co im ślina na język przyniesie. A inni głupi ludzie w to wierzą! Właściwie to powinienem być pod wrażeniem i podpytać o tricki sprzedażowe, ale jednak trzeba zachować jakąś etykę.

Zadzwoiłem do drzwi. Na szczęście teść otworzył. Stał w koszuli i kamizelce, mówiąc, że dopiero wrócił. Nie było na co czekać, od razu wypaliłem z grubej rury:

– Widział tata, co ci wszyscy ludzie na osiedlu robią? Oni nas cofają do średniowiecza z paleniem plastiku i innych syfów, z rozrzucaniem śmieci i tak dalej. Nic ich nie obchodzi, co się z tym stanie! A cholera wie, co jeszcze nawyprawiali. I dlaczego? Bo ktoś łązi dookoła i mówi, że nie muszą się przejmować, że żadnego globalnego ocieplenia nie ma, że wszystko jest załatwione, piekła nie ma, można hulać.

Chyba musiałem być zbyt ostry, bo widziałem, że to mocno nim wstrząsnęło. Od kiedy go znałem, mimo że dawno już posiwiał, to był dla mnie przykładem wysokiego, silnego faceta, który chyba kiedyś robił w wojsku, czy coś takiego. Zawsze uprzejmy,

ale stanowczy – przy nim czuło się odruchowo respekt. A teraz nagle miałem przed sobą przygarbionego starszego pana, który przestaje rozumieć, co się dookoła niego dzieje. Staliśmy tak naprzeciw siebie, on zaczął wpatrywać się w przestrzeń pomiędzy nami, i powoli zaczął odpowiadać:

– Uważasz, że lepiej, gdybym nic nie zrobił?

– Nie wątpię, że tata nie chciał nic złego, ale to, co ci ludzie robią, to jakaś tragedia!

– Zatem nie należy ratować tego, co mamy, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto nie będzie umiał tego docenić?

Świetnie, jeszcze zaczyna filozofować. I po co ja się tym przejmuję.

– Ale tata musi zrozumieć, że oni tak sami z siebie by tego wszystkiego nie zrobili. Tak po prostu nie można!

– Widzisz, za każdym razem, gdy robisz coś dla innych, będziesz mierzył się z komentarzami: a nie mogłeś więcej? A dlaczego tylko tutaj? Dlaczego nie wytłumaczyłeś tego wszystkim? Dlaczego nie weźmiesz odpowiedzialności też za nich?

– Niech tata posłucha, ja pomogę, tylko musimy coś zrobić, musimy to odwołać!

– Złożyłem obietnicę i nie mogę jej złamać.

– Zanim jeszcze nie jest za późno!

I wtedy do pokoju weszła Zuzka. Nie wiedziałem, że jest tutaj. To znaczy wiedziałem, że dzisiaj był ten dzień, kiedy to teść ją odbierał i szli po południu na spacer, ale nie skojarzyłem, że to dzisiaj jest dzisiaj. I teraz. Nie spodziewałem się tego. Podeszła i stanęła między nami.

– Tato, nie gniewaj się, dziadek nic złego nie zrobił! On przecież zatrzymał zepsucie, a tak powinno być, prawda?

Na to nie miałem odpowiedzi. Wziąłem córkę na ręce i zacząłem mówić, że oczywiście, że nie jestem zły, dziadek robi jak najlepiej i wszystko będzie dobrze. Nie chciałem, żeby słuchała kłótni w rodzinie i przestała wierzyć w starszego człowieka, nawet jeśli jego kłamstwo było bardziej niż szkodliwe. Patrzyliśmy obaj na siebie. Ja wiedziałem, że on wiedział; a on wiedział, że ja wiedziałem. Nic już nie zostało powiedziane ani zrobione.

Lato

Gdy nadeszło lato, to całe miasto opanował niemożliwy gorąc, deszcz zdarzał się od święta i tylko się czekało na wieści o kolejnych pożarach i wypadkach. Ale nie u nas. Gdy wychodziłem wcześniej rano z domu, to mogłem nacieszyć się ciepłem i świeżością – temperatury wysokie, ale też wietrzyk, nie za duszno i nie za sucho. Wszędzie indziej wystarczyło, że słoneczko podniosło się wysoko, i wychodzenie na ulice bez czapki, dużej ilości wody i skłonności samobójczych nie było wskazane. U nas spokojne, pełne oddechu lato trwało od świtu do nocy. Nic dziwnego, że nikt nie chciał ruszać się dalej niż poza zasięg cienia bloków. Tylko jeden głupi handlowiec jeździł po mieście całymi dniami i wiedział, co to znaczy upał w samochodzie. I jeszcze odebrałem telefon od teściowej. I to ze złymi wiadomościami.

Teść zasłabł na ulicy. Przybyła karetka i zabrała go prosto do szpitala. Zadzwonili do niej, powiedzieli, co się stało, żeby w taki upał nie wychodziła z domu i nie jechała. Próbowwała im wytłumaczyć, że u nas na osiedlu nie ma żadnych upałów, ale niestety – szpital leżał na drugim końcu miasta. Zatem poprosiła, żebym to ja pojechał. No to jadę. Zaznaczyłem tylko, żeby nikomu nic nie mówiła, dopóki nie dowiem się wszystkiego.

Może nie powiedziała. Może to karetka na światłach ściągnęła gapiów. Może i ściany nie mają uszu, ale telefony już tak. Na tyle, że zaczęli dzwonić, gdy jeszcze przebiegałem się przez miasto.

– Ale nic mu nie jest, prawda? – Nasz fryzjer.

– Proszę pilnować tych lekarzy, on musi do nas wrócić! – Mama Asi, najlepszej przyjaciółki Zuzki. Kiedyś przypomniałem sobie jej imię.

– Będą go chcieli trzymać, nie wiadomo ile, nie możemy na to pozwolić, kto wie, co się stanie, jak go tyle czasu nie będzie? – Michał albo Marek. Ten chociaż nie udawał, że mu zależy.

Starałem się trzymać od tego z dala, ale w przeciągu kilku miesięcy wokół teścia wyrosła jakaś dziwna forma uwielbienia, granicząca z kultem. Sąsiedzi biegali za nim, proponowali pomoc w zakupach, darmowe usługi i naprawy. Dziękowali i wielbili go, twierdząc, że kawałek chłodu to jego zasługa. Sam teść chyba w końcu zdał sobie sprawę z tego, co odwalił. Próbował tłumaczyć,

że on sam to dużo więcej nie osiągnie, że inni – jeśli zależy im na normalnych porach roku – powinni też zacząć działać i coś robić. No i zaczęli działać. Ceny mieszkań na osiedlu poleciały ostro do góry, wprowadziło się mnóstwo nowych osób oraz zlecieli się deweloperzy, by zacząć budować i budować. A jak się buduje, to trzeba się czegoś pozbyć. Po co komu tyle parków, drzew, starych małych domków, przestrzeni, powietrza...

Gdy teś zobaczył, że wycinają jego ulubiony skwer, pobiegł na zebranie spółdzielni, ale zamiast go wysłuchać, dali mu tytuł honorowego obywatela, dożywotnią obniżkę czynszu i podziękowali, bo to dzięki niemu można rozpocząć kolejną inwestycję.

W sumie to dobrze mu tak. Nie chciał mnie słuchać, to teraz ma.

Ale po tym wszystkim coraz mniej chodził na spacer, rzadziej brał ze sobą Zuzkę, przesiadywał tylko tam, gdzie nikt go nie zaczepiał. Czuł się też coraz gorzej, wychudł i w końcu coś musiało się stać. Chociaż może to i dobrze, że trochę czasu spędzi w szpitalu? Nikt mu nie będzie zawracał głowy. Odpocznie, nabierze sił i może będzie z tego coś dobrego. A tamtym hipokrytom powiem, że to przez nich. Doskonały pomysł.

Zajechałem pod szpital, miejsce do zaparkowania znalazłem tylko w pełnym słońcu, widać nikt nie oszalał na tyle, żeby się na to zdecydować, ale nie ze mną takie numery. Wszedłem do środka. Liczba kłamstw, które musiałem opowiedzieć, znajomości z branży, na jakie się powoływałem, i ludzi do przepchnięcia się, żeby dostać się do teścia, była zatrważająca, a przecież nawet nie miałem potrzeby zmyślać! Ale dopiero wraz ze stopniowym posuwaniem się w głąb kompleksu, zrozumiałem, w czym rzecz. Szpital kompletnie zavalony ludźmi, a ja trafiłem w sam środek epicentrum. W zasadzie czemu tu się dziwić – zasłabnięcia, osłabienia, udary. Witamy we współczesności. Ja i tak się dziwię, że przy takim natężeniu to wszystko jeszcze jakoś funkcjonowało. Wszędzie pełno ludzi usiłujących wejść, zatem nie dziwota, że nie było to łatwe.

Byli też inni, tacy jak ja, poszukujący krewnych, chodzący po szpitalu mniej lub bardziej legalnie. To nie tak, że podsłuchiwałem ich rozmowy, ale jakoś tak się złożyło. I tak między kolejnymi warstwami słów dowiedziałem się, że gdzieś tutaj przywieźli

cudotwórcę i człowieka potrafiącego pozbyć się upałów. Nie było dobrze. Ale jego cuda działają tylko na małą skalę, więc gdyby go zabrać gdzie indziej... Jeszcze gorzej. Rozmawialiśmy z lekarzem. Dadzą mu kilka odpowiednich środków, nie będzie świadomy i wtedy go zabierzemy. Dalej już nie słuchałem, przebiegłem kilka pięter, sprawdziłem więcej sal szpitalnych niż przez całe dotychczasowe życie i w końcu go znalazłem.

Nie wyglądał najlepiej, ale też nienajgorzej. Siedział na łóżku w pozycji półleżącej, rękę miał całą w bandażach. Gładko ogolony i przystrzyżony wyglądał jeszcze starzej niż zazwyczaj. Skulił się, gdy drzwi się otworzyły, ale gdy zobaczył, że to ja, nawet się ucieszył.

– Nie spodziewałem się, że do mnie przyjdiesz.

– Daj spokój, tato, możemy się nie zgadzać, ale jesteśmy rodziną i to jest najważniejsze, prawda?

Zanim zdążył odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi. Krzyknąłem, że nie teraz, bo trwa badanie, i odgłos umilkł. Nie wiem, czemu tak zrobiłem. Przecież miałem powiedzieć, żeby tata się nie przejmował, że zrobią badania, poleży kilka dni i wszystko będzie lepiej. Porozmawiałbym z lekarzami, podpuściłbym i by go zatrzymali. Minie kilka dni, może z dwa tygodnie, a potem wrócimy do domu i wszystko będzie tak, jak na początku. Marzenia ściętej głowy.

– Powiedziałem im, że nie mogę tu zostać, ale nie chcieli słuchać. To zbyt niebezpieczne.

Czyli stary wie, że go szukają. Gorzej, jak go znajdą. A ja przecież nie będę w stanie siedzieć tu z nim cały czas i pilnować, żeby jakiś szur nie wymyślił nic głupiego.

– Ale to co, tata chce się stąd zbierać?

– Im dłużej zostaję poza osiedlem, tym większe ryzyko, że odwrócą się wszystkie zmiany, których dokonałem.

Gdybym tylko wierzył w te bajania, to zrobiłbym wszystko, żeby został w szpitalu jak najdłużej. Ale wystarczyło, że byli inni, którzy wierzyli. A co mi tam, w domu będzie mu o wiele lepiej. A na pewno bezpieczniejszej.

– Tata się nie martwi, zabierzemy tatę do domu. Jeszcze dzisiaj. Od razu twarz mu się rozpuściła.

– Jesteś jedyną osobą, która rozumie. Bez ciebie, to już dawno by się zawaliło.

Ta, jasne... Gdyby tylko wiedział, co sobie myślę. No ale nie ma się co przejmować, trzeba go zabrać. Co oznacza, że będę potrzebował posiłków. Sprawdziłem ruch na korytarzu i zadzwoniłem do Najlepszej z Żon. Wiedziałem, że opieprzy mnie za to, że tyle już zrobiłem bez jej zgody i zamierzam bez pozwolenia zrobić jeszcze więcej, no i bawię się w rzeczy, których nie rozumiem. Ale trudno. Trzeba brać odpowiedzialność za własne słowa. Wytłumaczyłem i wyblagałem współudział, bo bez niej plan nie mógł się udać. Jeśli weźmie ciuchy lekarskie, które miała z dyżurów w laboratorium, i maseczkę, to nikt nie zwróci uwagi, jeśli poprowadzi gdzieś pacjenta. Nigdy nie myślałem, że przyjdzie mi organizować ucieczki ze szpitala. Zawsze okazja, żeby wzbogacić swoje CV.

Godzina przygotowań w oczekiwaniu, aż Najlepsza Małżonka się zjawi, łącznie ze zorientowaniem się, jak wyglądają obchody, kiedy kto przychodzi i kto się kręci. Raz pojawił się jakiś lekarz, żeby podać leki, ale go przegoniłem, mówiąc, że jak tylko teść się obudzi, to natychmiast dam znać, bo budzenie go w takim stanie to fatalny pomysł. Przeszło.

Gdy dostałem umówiony sygnał, poszedłem na koniec piętra, żeby zacząć najgłośniejszą awanturę w moim życiu i ściągnąć na siebie uwagę możliwie wszystkich. Nie za agresywnie, bo jeszcze zarobiłbym strzykawką w tyłek, ale na tyle skutecznie, by Najlepsza z Żon przedostała się do windy, by zdołali się z teściem przebrać i zdążyć niepostrzeżenie wyjść na zewnątrz.

Dopiero gdy udało się wciągnąć do awantury innych pacjentów i odwiedzających, mogłem się ulotnić w narastającym zamieszaniu. Kosztowało mnie to ostateczne zwątpienie w mój zdrowy rozsądek, koniec marzeń o pracy jako przedstawiciel medyczny, bo wieści na mój temat na pewno szybko się rozniosą, nie mówiąc już o słuchaniu do końca życia wyrzutów, że musiałem jechać ze zmęczoną Małżonką i osłabionym teściem nagrzanym do granic możliwości samochodem. Ale czego to się nie robi dla rodziny. Kolejny zwyczajny dzień z życia. Ciekawe, co będzie następne.

Jesień

Siedzimy we dwóch z teściem w jego mieszkaniu. Przygaszone światła, zasłonięte rolety, ale tak by dało się podejrzeć, co dzieje się na zewnątrz. Oglądam spadające liście. Połowa września za pasem, zwracam uwagę na kolory i stan zadrzewienia. Oraz na temperaturę, wiatr i opady. Muszę wiedzieć, czy jeszcze mamy tradycyjną jesień, czy nieubłagane zmierzamy w stronę pluchy. Jak dotąd jeszcze jest dobrze, ale pytanie jak długo.

Wcześniej bardzo wyraźnie było czuć linie, gdzie się zaczynało, a gdzie kończyło osiedle. Jeszcze na początku miesiąca widywałem warstwy bujnej zieleni, przechodzącej w wypaloną szarość, gdy zaczynały się strefy upałów reszty świata. Aż jednej nocy gorąc zamienił się w przeczuwaną półroczną pluchę. Od zeszłego roku granica między naszą częścią a ich była stała. Do czasu. Zorientowałem się zupełnym przypadkiem. Gdyby nie to, że tuż za granicą osiedla mam zaprzyjaźniony warsztat, pewnie zdałbym sobie z tego sprawę tak szybko, jak ze śmietniskiem a AGD pod blokiem. Ale gdy podjeżdżałem tam regularnie co kilka dni, nie mogłem zignorować tego, co widziałem.

Plucha się zbliżała. Obejmowała kolejne trawniki, pochłaniała bloki i ulice. I wyraźnie widziałem, że zmierza w naszą stronę.

Od czasu powrotu ze szpitala z teściem niby było wszystko w porządku, ale nie zupełnie. Skurczył się, osłabł, potrafił większość dnia leżeć, mało się odzywał i jeszcze mniej jadł. Sam nie chciał pójść do lekarza, ani wezwać kogoś do siebie, o co miał ciągle awantury z teściową.

Ja sam oberwałem, gdy przyznałem, że lepiej nie wpuszczać nikogo obcego do domu. Zwłaszcza że całe osiedle stawało się coraz bardziej obce. Nowe bloki i zabudowania wyrastały coraz gęściej – niby ładne i smukłe, ale wzbudzały we mnie poczucie niedopasowania. Tak jak wcześniej kojarzyłem sporo sąsiadów, tak teraz mijałem na parkingu i pomiędzy wysypiskami tylko nieznanomych. I to za każdym razem innych. O ile wcześniej dobrze wiedziałem, gdzie co jest, tak teraz zaczynałem bać się wchodzenia na osiedle, robienia zakupów w małych sklepach sieciowych tuż obok, bo za każdym razem droga do nich wyglądała inaczej.

Zwłaszcza że palenie śmieciami osiągnęło swoje apogeum i już wołałem czystość zaspalinowionych ulic centrum.

Chociaż najgorsze było nagabywanie przez obcych. Mówili dzień dobry, pozdrawiali i pytali o teścia. O zdrowie, samopoczucie. Czy czegoś potrzeba, czy można pomóc i odwiedzić. Odmawiałem za każdym razem, tłumacząc, że musi odpoczywać, że nie teraz, że kiedy indziej. Czułem też, jak wzbudzam coraz większą niechęć. Potem już otwarcie proponowali, że nie powinien być w takim miejscu, że zasługuje na lepszą opiekę. Że go zabiorą do lepszego miejsca, będzie można go odwiedzać. Odmawiałem wszystkim. Teściowa potrafiła ich ostro przeganiać, dzwonić po policję, a jednego prawie pobiła.

Przesiadywaliśmy z nim na zmianę. Ktoś musiał być w pracy, ktoś z Zuzką, a ktoś z teściem. Podczas tych coraz dłuższych wieczorów dużo rozmawialiśmy, możliwe, że po raz pierwszy w życiu. Nie wiem, czy to, co mi opowiadał, było prawdą, czy tylko jakimiś majakami, ale dowiedziałem się, że kiedyś nieźle rozrabiał. Opowiedział wszystko, co Najlepsza z Żon zbywała milczeniem i czym nie chciała się chwalić z rodzinnej przeszłości. Demonstracje, szarpanie się ze służbami, pikiety. Skąd on miał czas i zdrowie na to wszystko, przecież też pracował, wychowywał dzieci. W końcu myśleli, że z wiekiem zmądrzał. Ale widać nie bardzo. Niby miał rację w tym wszystkim, co mówił, że trzeba działać i ratować, co się tylko da. Zgadzam się z tym. Ktoś powinien coś z tym zrobić.

– Wiesz, gdyby nie to, że byłem z tym wszystkim sam... – powiedział osłabionym głosem. – Mógłbym zdziałać dużo więcej. Nie wiem, ile będę miał siły, żeby utrzymać to dłużej.

Nie chciałem mu już mówić, że przecież wszyscy dookoła tkwili w jego wizji, w jego paranoi. I nie ograniczało się to do najbliższej okolicy. Rozszerzało się coraz bardziej. Więc czym on się zamartwiał?

– Najgorsze jest to, że wcale nie zostawiam wnukom lepszego świata.

Pewnie, że tak. Szkoda, że nie myślał wcześniej.

– Dobrze, że chociaż miałem ciebie. Inaczej byłoby dużo gorzej.

O nie, mnie w to nie mieszaj. Chociaż w zasadzie to masz rację. Sam mogłem to przerwać, uprzeć się, wyjechać gdzieś daleko, zabrać go, cokolwiek. Jestem współwinny. I teraz muszę za to płacić.

Za każdym razem, gdy wracałem do domu, zastanawiałem się, czy to nie była nasza ostatnia rozmowa. Któregoś razu mógł się nie obudzić. Któregoś razu światła mogły zgasnąć, drzwi – otworzyć się. Nieznani ludzie zabraliby go we śnie. Tak, że nigdy byśmy już go nie znaleźli. W końcu się tak stanie. Patrząc po postępach plu-chy, całkiem niedługo. Może dzisiaj, może za miesiąc albo za rok. Przyjemna perspektywa.

Szedłem potem usypiać Zuzkę. Miałem zbyt długą przerwę w czytaniu jej i trzeba było to nadrobić, nawet jeśli nie znałem już na pamięć wszystkich nowych książek. Ale rytuał to rytuał. Zwłaszcza że moja córka doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co się działo. Aż w końcu powiedziała do mnie:

– Tata, jak już dziadka nie będzie, to nie pozwolę, żeby wszystko, co robił, poszło na marne. Będę robić to, co on. Zatrzymam zmianę klimatu i wszyscy będziemy szczęśliwi.

Czułem wtedy, że przegrałem. Że zdrowy rozsądek nie ma szans i paranoja wygrała. I nic nie jestem w stanie z tym zrobić. Zapewniałem ją głośno, że na pewno tak będzie i że nie trzeba się niczym przejmować. Bo będzie dobrze. Tak jak przez cały ten rok i przez wszystkie kolejne.

O autorze

Tomasz Kozłowski – Łódzianin. Czytelnik, słuchacz, redaktor i nie tylko. Współtworzy *Emarginacje*. Najczęściej pisze na tomekjm.substack.com.



Hemimetabolia

Marta Gidyńska

Art. 3.

[...]

3. Obywatele, którzy w danym kwartale roku osiągną dwudziesty rok życia, mogą poddać się Procedurze Transferu. Rezygnacja z Procedury Transferu może być wyrażona podczas odbioru Egzaminów Dojrzałości, którego wzór stanowi załącznik 12b do niniejszej ustawy, lub poprzez nieuczestniczenie w pierwszym etapie Procedury Transferu zgodnie z aktualnym Regulaminem Transferu.
4. Obywatelom niewyrażającym zgody na Procedurę Transferu po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia i złożeniu wniosku, którego wzór stanowi załącznik 12c do niniejszej ustawy, zostaną przydzielone miejsca zamieszkania i obowiązki w Osadach Satelickich. Obywatelom, którzy nie złożą wniosku, zostaną z góry wyznaczone miejsca w ostatniej turze rekrutacji zgodnie z aktualnym Regulaminem Rekrutacji.
5. Ustęp 4. nie dotyczy Obywateli mających prawo do zamieszkania w Mieście Nowy Poznań, którzy nie wyrazili rezygnacji z tego prawa poprzez wypełnienie wniosku, którego wzór stanowi załącznik 13 do niniejszej ustawy.

[...]

Art. 4.

[...]

2. *Obowiązek zamieszkania w Mieście Nowy Poznań mają Obywatele w wieku powyżej lat dwunastu i poniżej lat dwudziestu jeden.*
3. *Prawo do zamieszkania w Mieście Nowy Poznań mają prawo Obywatele zaliczający się do minimum jednej z wymienionych grup:*
 - 1) *dzieci do lat dwunastu;*
 - 2) *rodzice dzieci do lat dziesięciu, jeśli dane dziecko jest ich pierwszym lub drugim dzieckiem;*
 - 3) *dorośli powyżej lat siedemdziesięciu;*
 - 4) *pracownicy Centrum Nadrzeczywistości Wirtualnej;*
 - 5) *pracownicy Administracji Miasta Nowy Poznań;*
 - 6) *pracownicy służb podlegających Administracji Miasta Nowy Poznań wyszczególnieni w Regulaminach Służb.*

Fragmenty Ustawy o prawie zamieszkiwania
w Suwerennym Mieście Nowy Poznań

Na tydzień przed odrodzeniem Alicji razem z Laurą wybrały się do ogrodu wieńczącego ich wieżowiec mieszkalno-edukacyjny. Chmury zasnuły niebo niczym smog dawne miasta. Na noc zapowiadano opady, a już teraz mżyło. Dziewczynom kiepska pogoda jednak nie przeszkadzała – dzięki niej miały to miejsce tylko dla siebie.

Alicja stanęła tuż za drzwiami windy. To był przecież ostatni raz – stwierdzenie jednocześnie prawdziwe i fałszywe. Mogła odwiedzić ogród jeszcze tyle razy, ile tylko zapagnie – ale nie będzie to t e n ogród. Patrzyła więc, jak zawsze zachwycona, i starała się zachować we wspomnieniach jak najdokładniejszą kopię widoku.

Kwadrat zieleni rozciągał się tak wysoko, że tonął we wzburzonej, szarej kipieli nieba. Pośród przetykanych kwiatami mchowych trawników pełzły żwirowe ścieżki, wzdłuż nich stały ławki

z drewna i staloplastu. Pośrodku znajdowało się jezioro – iluzoryczne dzieło z dymnego szkła i metalu, na którym krople wody rozбивały się i osadzały, tworząc dziwaczne, nieoczekiwane wzory. Z jednej strony rosły trzcinopodobne rośliny, z drugiej była plaża, która teraz nasiąkała deszczem. Nad taflą, na ledwie widocznych szklanych słupkach tkwiły metalowo-szklane ważki, na wieczność zastygłe między dwoma poruszeniami skrzydeł, wyrwane spod praw czasu.

Alicja zamknęła oczy. Pachniało kwiatami, mchem i deszczem. Żwir chrupał i chrobetał pod buciorami Laury – dziewczyna zawsze nosiła mocne obuwie na solidnej podeszwie – którymi tupiała, jakby chciała wybić dziurę w podłożu. Słaby podmuch, nikłe echo wiatru zza pola siłowego, musnął policzek Alicji.

– Heeej, ziemia do Ali!

Uniosła powieki. Laura siedziała na ławce, tej najbliższej jeziora. Wilgoć pofalowała jej grzywkę i końcówki włosów wychylające się spod kaptura płaszcza przeciwdeszczowego.

– Chodź, bo się tam zmienisz w słup soli i rozpuścisz!

Alicja po kilkunastu chroboczących krokach usiadła obok przyjaciółki.

– Jestem, spokojnie.

– Doskonale. – Laura szturchnęła ją w bok. – W ogóle, zmieniłam zdanie. Ty byś się prędzej zamieniła w słup cukru, za słodka jesteś na sól.

Rumieniec rozpalil uszy Alicji. Miała je zakryte kapturem i lokami, a gorąc nie spłynął na policzki. Całe szczęście. Nawykła do dziewczęcych wymian komplementów, ale Laura potrafiła dobrać takie słowa i to w takich momentach, że gdyby zakłopotanie było morzem, to Alicja byłaby podziurawionym, nieustannie tonącym okrętem.

Tymczasem przyjaciółka, nawet nie czekając na odpowiedź, wysunęła język, by posmakować kropli mżawki. Po kilku sekundach zamamrotała z takim zadowoleniem, jakby zjadała coś przepysznego.

– Cholernie się cieszę, że zrezygnowali z pełnej kopuły pola siłowego. To jak, nasza marzycielko? Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o alko.

– Skądże. – Alicja uśmiechnęła się i zsunęła szelki plecaka.

– Nie porozbijałaś niczego?

– Gdzie tam, zauważyłybyśmy.

Laura się zaśmiała. W jej głosie drgały fałszywe tony, ale Alicja próbowała się nie przejmować. Obie się dziś starały i to musiało wystarczyć.

– My przed osiemnastką przemycaliśmy samogon z Funka. Kuzyn kolegi miał tam bimbrownię. – Laura wyciągnęła i odkorkowała pierwszą butelkę. – Rozcieńczaliśmy toto, by dla wszystkich na dłużej starczyło. Czasem zastanawiam się, czy upicie się było warte męki po drodze. – Wykrzywiła się z teatralnym obrzydzeniem. – A tu jak sobie radziliście?

W takich momentach Alicja dziwiła się, jak krótko się znają. Choć przyjaźniły się od paru lat, czasem potrafiła palnąć przy obcych, że wychowały się razem – nie chciała kłamać, ale bez namysłu taka odpowiedź wydawała się najprawdziwsza.

– W nudniejszy sposób – odparła. – Pożyczyliśmy mikrokomputery z legitymkami od starszych kolegów.

Spróbowała wina, przyjemnie połaskotało jej kubki smakowe. Szarpnęła się na towar z wyższej półki, bądź co bądź wkrótce jej oszczędności staną się zupełnie niepotrzebne.

– Proste i skuteczne. – Laura pokiwała głową.

Alicja rozpakowała plecak. Między dwie butelki wina wepchnęła kanapki, torebkę krówek i paczkę owsianych ciasteczek. Taka okazja prosiła się o wykwintniejsze przysmaki – czekoladowe ciasto, pierniczki z piękącymi egzotycznymi przyprawami, a może nawet owoce z odległych lądów. Ananasy, pomarańcze, mango... Wszystkie te nazwy szarpały za struny wyobraźni – ale nie wydobywały z nich dźwięków. Nie można sobie wyobrazić smaku, którego nie czuło się na języku.

Za tydzień, pomyślała Alicja.

– ...ęki sa kfófki – wysepleniła Laura, która dobrała się już do cukierków. Trochę pomlaskała i przejechała językiem po zębach. – Co tak rozkminiałaś, marzycielko?

– Niiic.

Uważne spojrzenie przeszło Alicję. Dziewczyna próbowała uciec wzrokiem do tafli jeziora i ulotnych kólek tworzonych przez mżawkę.

– No, myślałam o tym, jak fajnie byłoby spróbować ananasa. Albo czekolady.

Laura pochyliła głowę. Próbowwała schować twarz za kapturem i włosami, ale i tak widać było ponury grymas. Cisza nasiąkała ciężarem jak gąbka wodą.

– Toast? – Alicja uniosła butelkę. Chciała przełamać coraz paskudniejszy impas.

– Okej. Za zdane egzaminy! I niech Pietrakową szlag trafi, skoro już nam je klepnęła.

– Powiedziała prymuska z pierwszej ćwiartki.

Laura prychnęła i trudno było powiedzieć, czy wyraża pogardę dla ćwiartek, swoich procentów czy Pietrakowej.

– Za przyszłość! – zakrzyknęła Alicja.

Znów ten grymas, ale tym razem na dobre opanował twarz Laury.

– Miałysmy o tym nie rozmawiać.

– Miałysmy się o to nie kłócić.

Chwila milczenia. Szum mżawki, sztywny, papierowy dźwięk ocierających się o siebie pseudotrzcin.

– Łatwiej nam będzie się nie kłócić, jeśli nie będziemy o tym rozmawiać.

– Każda inna rozmowa będzie... – Alicja szukała słów. – Udawaniem.

– Rozmowa o przyszłości bez kłótni dopiero będzie udawaniem.

Wróciła cisza. Drobne kropelki rozbijały się na dłoni Alicji.

Dziewczyna napiła się wina, chciała przyćmić nieprzyjemny posmak w ustach i rozpuścić emocje w alkoholu. Cholerne kłótnie. Jak inni ludzie mogą je traktować tak bez troski? Jej argumenty zawsze tępiły się i rozmiękały w drodze z umysłu do ust, najprostsze chwytaki przeciwnika były jak śmiertelny cios.

Szczególnie w kłótniach z Laurą.

Upiła kolejny łyk.

– Zabawne – palnęła. – Kiedyś najtańszy sikacz smakował lepiej, co? To chyba ten zakazany owoc – ciągnęła, próbując cofnąć się do etapu głupiej pogawędki.

– Albo to, że zawsze pragniesz więcej, niż powinnaś mieć.

– Wracasz do tematu.

Laura potarła twarz.

– Sorry. To cholernie ciężki moment.

Wstała i podeszła do granicy dachu, cały czas trzymała butelkę wina za szyjkę. Alicja ruszyła za nią.

Krajobraz pod nimi trzeba było wyłuskać z półmroku, kształt po kształcie, krawędź po krawędzi. Alicji ten proces przychodziło łatwo. Nowy Poznań był dla niej całym życiem, otaczająca go przestrzeń – całym światem.

Najpierw dostrzegało się miasto. W starszej zabudowie odznaczały się jak blizny szerokie linie i plamy wypełnione nowymi budynkami – niższymi, z fungitu, cegieł, kamienia i drewna. Nowy Poznań nosił ślady dawnych ran: Wojny Północnoeuropejskiej, huraganów i zamieszek z czasów epidemii zwanej drugą Czarną Śmiercią. Nowa zabudowa rozciągała się też na części dawnych ulic, obecnie zredukowanych do wąskich ścieżek – gdy zniknęła większość ruchu samochodowego, tak liczne i szerokie drogi stały się bezużyteczne.

Wieniec osad, nazwanych imionami słynnych Polaków, zataczał krąg. Zbudowane wokół okrągłych placów, otoczone wachlarzami pól, z lotu ptaka przypominały kwiaty. Dalej ciągnęła się głównie buroszara pustynia – jedyne, co pozostało z pól tak wyjałowionych i zanieczyszczonych, że nawet modyfikowane genetycznie rośliny nie potrafiły tam rosnąć. Między połączeniami pustki rozlewały się plamy roślinności – tereny mniej wyniszczone lub rekultywowane.

– Laura? – spytała Alicja jak najłagodniej. – O co chodzi? O przydział?

Czekała cierpliwie. Teoretycznie ze swoimi wynikami Laura nie powinna martwić się o kwaterunek, ale za dziewczyną ciągnęła się opinia antywirtualistki.

Chmury przetarły się tuż nad horyzontem, niczym rozsunięta kurtyna odsłoniły rozpalone do czerwoności słońce.

– Mam przydział do Maryśki – odezwała się wreszcie przyjaciółka nieswoim, tekturowym głosem. W dłoni obracała butelkę.

Alicję zamurowało. Otrząsnęła się po kilku sekundach.

– Hej, to całkiem nieźle! To nie Chopin, oczywiście... I nie Grzywcia lub Korczak... No, ale wciąż górna połowa stawki! Może w końcu ogarniesz tam tę plantacyjkę maryśki, tyle razy mówiłam...

– Błagam, to koszmarny żart – warknęła Laura. – Sęk w tym, że mojej mamie nie chcą przyklepać przeniesienia. A przypominam, mieszka w Orzeszkowej. Na pieprzonym przeciwnym krańcu pieprzonej aglomeracji!

Alicja zastęła jak słup – mniejsza, czy cukru, czy soli. Jej ojciec po wyprowadzce z Nowego Poznania radykalnie ograniczył kontakty. Starła się go rozumieć – jak mawiano, w mieście się pracuje, w osadach haruje. A jeśli, tak jak jej tata, nie miało się wyższego wykształcenia, to harowało się szczególnie ciężko.

A matka... Starła się, ale różnica między wirtuałem i realem była jeszcze większa niż między miastem a osadami.

Alicja zdusiła swój ból, wepchnęła go do ciemnego kąta gdzieś na dnie serca. Przynajmniej nie będzie mocno tęsknić za ojcem. A wkrótce spotka się z matką.

– Twoja mama wniosła skargę? Z jej pracą to może się udać.

– Inżynierzy hydrologiczni są ważni, ale nie aż tak. Nie ci spoza wirtualu. – W głosie Laury rozbrzmiewała tamowana gorycz.

– Przykro mi. Może tobie pozwolą się przenieść do jakiejś osady bliżej mamy? A to też nie jest tak daleko, możecie się spotykać co weekend. Kiedyś wiele rodzin...

– A jeszcze bardziej kiedyś wszyscy żyli razem na kupie. Pasowałyby mi ta opcja. – Laura wciągnęła ze świstem powietrze. – Ale prawdziwy problem polega na tym, że moja pieprzona najlepsza przyjaciółka planuje, kurwa, zostać mózgiem w słoiku!

Alicja poczuła się tak, jakby oberwała w twarz.

– Miałśmy...

– Staralam się udawać, że nie ma wokół tej całej porąbanej sytuacji, że to normalny wypad, ale to ty mi o wszystkim przypomniałaś.

– Mam cię przeproszać za to, że masz problem z moją decyzją?

Alicja spojrzała przyjaciółce w oczy. Ta odwróciła wzrok.

– Nie.

Alicja nienawidziła kłótni. Ale czuła, że tę jedną naprawdę musi przeprowadzić i wygrać.

– Skoro już nie aktorzymy – zaczęła z udawaną pewnością siebie – to przemyśl jeszcze swoją decyzję. Gdybyś przekonała swoją

mamę, byłybyście razem, obie mogłybyście zrobić prawdziwą karierę, a nie realizować cudze projekty i...

Laura poczerwieniała – szkarłatne światło wieczoru podkreślało jej rumieńce, aż nabrały chorobliwej intensywności. Nozdrza dziewczyny poruszały się w rytm szybkich oddechów.

– To nie byłoby życie razem. Chcę żyć w prawdziwym świecie, robić prawdziwe rzeczy, naprawdę być obok bliskich mi osób.

– Pamiętasz, co opowiadała pani Dąbrowska? To jakbyś rezygnowała z filmów i powieści, bo...

Laura prychnęła.

– Haczyk polega na tym, że nie oglądasz filmów przez całą dobę do końca życia, nie czytasz tak powieści. A nawet jeśli... Robisz to w prawdziwym ciele. Leżysz gdzieś, siedzisz, czujesz zapachy, możesz czuć ciepło kogoś, kto jest obok... To coś innego.

– W wirtualu możesz doświadczyć tego wszystkiego i jeszcze...

– Ale nie naprawdę! – Laura tupnęła, wino zachlupotało.

– Co z tego, skoro doznanie niczym się nie różni? To przecież symulacja na poziomie atomowym, jak alternatywny świat.

– Nadal to symulacja alternatywnego świata.

Alicja jęknęła. Ta rozmowa toczyła się jak dziesiątki poprzednich – jeden argument, jeden kontrargument, dwie zapętlone piosenki odsłuchiwane w nieskończoność. Na szkoleniach o wirtualu odbywały się dziesiątki bardziej złożonych dyskusji, ale Laura – jak ogromna część ludzi – zatrzymała się na stacji „nie, bo to nieprawdziwe”.

– Byłybyśmy razem.

Hardość na twarzy Laury topniała. Po czym dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Zasymulujesz mnie sobie i po problemie.

– Wiesz, że osobowości nie da się...

– ...symulować na poziomie atomowym, a jedynie na sieciach neuronowych. Tak, tak. Jakby ten poziom aż tak wiele zmieniał.

Przed nimi horyzont pochłaniał czerwone słońce, rozpostarty jak mapa pejzaż ciemniał stopniowo. Miasto zdawało się płonąć, okna błyszczały pomarańczem.

Alicja szukała w głowie kontr i uwag. W teatrze swojego umysłu inscenizowała dziesiątki dyskusji z Laurą, uważała na

szkoleniach i pisała ponoć niezłe rozprawki. A jednak, gdy naprawdę rozmawiała z przyjaciółką, nie potrafiła wygrać.

Laura uznałaby to za idealny przykład różnicy między prawdą a symulacją. Dlaczego nie mogła się z nią zgodzić?!

W gardle Alicji narastał krzyk.

– Dlaczego musisz być taka ograniczona?!

Laura zastygła, po czym miotnęła butelką w pole siłowe. Syknęło. Półprzezroczysta, różowa warstewka rozlała się nierówną plamą kilka metrów od krawędzi dachu. Zabrzęczały odłamki szkła spadające na dolną część pola. Alicja pomyślała, że ten dziwaczny, spływający kształt wygląda... organicznie. Jakby był obrzydliwą błoną wyciętą z żywego ciała.

– Dlaczego musisz być tak pusta?!

Cisza. Syk wina na polu siłowym. Alicja czuła gulę formującą się w jej gardle. Nie mogła się doczekać chwili, gdy takie doznania na zawsze będą należeć do przeszłości.

– Przyjdiesz? – spytała. – Za... Za tydzień?

– Przyjdę, przyjdę. Tamto to była poważna obietnica.

Alicja odetchnęła z ulgą.



Pokój dla Rodzin i Przyjaciół w skrzydle transformacyjnym Centrum Nadrzeczywistości Wirtualnej nosił liczne miana – limbo, pożegnalnia, przejściówka. W tym miejscu, między ostatnimi badaniami i właściwym przygotowaniem do transferu, ludzie przechodzący do wirtualu mogli zobaczyć się z tymi bliskimi, którzy pozostawiali w fizycznym świecie.

Na ścianach pstrzyły się kolorowe tablice przyozdobione wszechobecnym logiem CNW. Jedna z plansz przypominała: „Tutaj możesz spotkać się ze swoją bliską osobą, zanim wyruszy do Nowego Świata. Pamiętaj, zawsze możesz do niej dołączyć!”.

– Żaden, kurwa, szantaż emocjonalny – wymamrotała Laura.

Jakby sam napis nie głosił przekazu wystarczająco topornie, uzupełniono go u dołu grafiką. Semirealistyczny styl podkreślały przesadzone barwy. Światła i cienie mieniły się tysiącem

neonowych kolorów. Trzech skrzydlatych ludzi frunęło pośród obłoków i tęcz nad quasisředniowiecznym zamkiem. W oddali sielskie wioski wyróżniały się między koronami drzew, tworzyły krąg wokół zamku, tak jak okoliczne osady wokół Nowego Poznania.

Znamienne. Najwyraźniej twórca – jeden z wirtualnych – potrafił kreować swoje fantazje jedynie na szkielecie rzeczywistości.

Laura czuła się w tym pokoju jak w poczekalni u dentysty. Pomieszczenie wrzeszczało: „nie masz się czego bać, wcale nie będzie bolało!”. Jeszcze mogliby napisać „wszystko jest w porządku” centralnie na ścianie, tak dla rozwiania wszelkich wątpliwości.

Zapadła się głębiej w cyjanowe obicie siedzenia. Pokój wypełniały sofy i fotele w rozmaitych odcieniach niebieskiego, pomiędzy nimi ustawiono stoliki ze szklanymi blatami, a ściany pomalowano na złamany odcień bieli. Bibeloty poukładane na stolikach próbowały emanować rodzinną atmosferą, wespół z paprociami w glinianych, niemalowanych donicach. Sprytnie ukryte głośniki szemrały, plumkały i brzdąkały relaksacyjne melodie. Nawet na standardy Nowego Poznania pokój prezentował się wyjątkowo elegancko.

Miło byłoby znaleźć się w takim miejscu w innych okolicznościach.

Laura przełknęła ślinę. Literki na plakatach drgały i podskakiwały, miękka poduszka fotela zdawała się powoli, niedostrzegalnie połykać dziewczynę. Szmery i pluski dudniły w jej uszach jak fanfary. Paprotki smętnie chyliły ku podłodze pierzaste liście, a niebieskie kanapy... Miała pewność, że niedługo znienawidzi ten kolor całym sercem. A plakaty bardzo się starały, by znieubiła każdą barwę, a przynajmniej ich nasycone odcienie.

Wstała, myśli uciekały jej z głowy, były zamazane i odległe. Zrobiła kilka kroków. Chodzenie nagle okazało się szalenie skomplikowanym procesem. Jak mogła robić to tak intuicyjnie przez całe życie?

Stanęła naprzeciw okazałego portretu kobiety w fartuchu laboratoryjnym, z włosami spiętymi różową – chyba jeszcze plastikową – spinką. Jej twarz stanowiła zbiór okręgów i ich fragmentów;

krótka, z pucołowatymi policzkami, perkatym nosem, wydatnymi, uśmiechniętymi ustami i oczami niczym błyszczące monety.

Karina Grzywacz, choć prezentowała się niepozornie, była jedną z największych polskich badaczek, wymienianą jednym tchem tuż za Marią Skłodowską-Curie. Dzięki opracowanemu przez jej zespół projektowi procesora możliwe stało się tworzenie systemów komputerowych o znacząco niższym poziomie wytwarzanego ciepła i zużycia energii. Gdyby nie ten wynalazek, przejście w wirtual nie miałoby racji bytu – pochłaniałoby wówczas nieopłacalne ilości prądu i wody.

Gdzieś obok wisiał zdecydowanie mniejszy, niemal ukryty za turkusowym oparciem sofy, portrecik Amerykanów z Południowych Stanów, ludzi odpowiedzialnych za opracowanie pierwszych działających przejść w wirtual. Ich badania otaczała mgła niejasności – a w niej wisiały kropelki krwi.

Pewnie nie mieliby nic przeciwko sposobowi, w jaki wykorzystano efekty ich prac. A Grzywacz? Laura stanęła przed portretem i spojrzała w wydrukowane oczy badaczki, jakby mogła w ten sposób przesłać przez kosmos czasu wiadomość. Sondę z jednym pytaniem – „co o tym myślisz?”.

Otrzymała tylko nieruchomy uśmiech, milczącą odmowę odpowiedzi.

Drzwi się rozwarły. Laura obróciła się gwałtownie, ale ujrzała nie Alicję, tylko rosnącego mężczyznę z czupryną brązowych włosów, podobnych do tych przyjaciółki.

Jej ojciec.

– Dzień dobry – odezwali się jednocześnie absurdalnym chórem. Mężczyzna zaśmiał się nerwowo.

Zapadło milczenie przywodzące na myśl zbyt jasny, zbyt pusty korytarz.

– Długo pan jest w mieście?

– Dwa dni. Na więcej nie dali przepustki, robota w osadach pali się w łapach. Pogoda ześwirowała, możemy stracić kawał zbiorów.

Laura pokiwała głową. Otworzyła usta, już układała w myślach wyrazy współczucia, ale te zwiędły, nim dotarły na język. To nie był moment na narzekanie na system. Nie z obcym

mężczyzną, który zapewne chciał tylko przetrwać ten dzień, i wszystkie następne.

Ojciec Alicji podszedł do jednego z foteli. Poruszał się krokami niewiele zgrabniejszymi od tych stawianych przed chwilą przez Laurę, kulał lekko na prawą nogę. Twarz miał pobrużdżoną, odciśnięły się na nich setki małych, głębokich cięć, życie wyciekało nimi jak przez otworki naparstka.

– Wybacz późniejsze przyjście, wołałem czekać w kwaterze niż tutaj. Nikt więcej...?

Puste pomieszczenie mówiło samo za siebie. Plum, plum, szmer.

– Myślałem, że Alisia... Może to przez to... – Mężczyzna umilkł. Poruszał palcami, jakby obracał w nich niewidzialny przedmiot. Zgarbił ramiona, przygniecione ciężarem czarnych myśli.

Laurę ogarnęła przemożna chęć, by przytulić tego obcego jej człowieka. Niestety, takiego rodzaju odwagi wcale nie miała za wiele.

– Spadła o rok, sporo znajomych ma w wirtualu, co do reszty... Kontakty rdzewieją.

Ton, w zamierzeniu pocieszający, dzwonił jej w uszach nie-szczerą litością.

– Wciąż to cały rok. Myślałem... – Ojciec Alicji potrząsnął głową. – Zapomniałem, Marek jestem.

– Laura.

Uścisnęli sobie dłonie. Laura doceniła mocny, solidny chwyt.

– Cieszę się, że Alisia... Że znalazła tu choć jedną fajną przyjaciółkę.

Może właśnie nie dość fajną?

– Ja też się cieszę, że mogłam... Że mam ją za przyjaciółkę.

Przecież Alicja nie umierała. Raczej wyjeżdżała bardzo, bardzo daleko. Prawie do nieba, na nieskończone wakacje. Laura próbowała wmówić sobie to kłamstwo, obejmując nim tylko jedną osobę. Nie siebie, nie kogokolwiek innego – jedynie Alicję. Chciała wyrwać ją ze swojej ciernistej wizji wirtualu, inaczej prawda raniła jak wrośnięte w skórę pnącza.

Usiadła na sofie niedaleko pana Marka. Sięgnęła po samotną, błyszczącą ulotkę zostawioną na stoliku. Z kwadracika na różowo-pomarańczowym tle wyglądały ekspozytory Muzeum

Nowopoznańskiego. Pozamykane w szklanych klatkach eksponaty tkwiły zawieszone w swoich własnych bańkach-światach, gdzie czas cofał się, a później zamarzał na wieczność.

Alicja kochała to muzeum. Wielkimi, zamglonymi marzeniami oczyma przypatrywała się wachlarzom z ornamentami i klejnotom z zamkniętymi w ich twardych skorupach miriadami tęczowych światel. Fascynowały ją tysiące plastikowych przedmiotów – jednorazowe łyżeczki i kubki, pudełka, segregatory, długopisy, ubrania.

Czy to przez takie fascynacje...?

Laura odłożyła ulotkę. Podniosła wzrok na pana Marka, mężyczyna gmerał w licznych kieszeniach spodni roboczych, połatanych i spranych. Wyciągnął drewniany pojemniczek, a z niego – czerwoną tabletkę.

– To na ból giry – wyjaśnił, jakby musiał się usprawiedliwić.

– Współczuję.

– Da się wytrzymać. Wolałbym żyć bez nogi, ale... No, wiadomo. – Mimo że bruzdy na jego twarzy układały się w nowe wzory przy każdej minie, to i tak zza wszystkich zmarszczek wyłaniały się dwa demony: ból i zmęczenie.

Laura naprawdę chciała przytulić tego człowieka.

Splotła palce na podolku, śledząc jakby z boku wewnętrzną walkę konwenansów i emocji. Konwenanse okazywały się zaskakująco silne. A może chodziło o to, że nie chciała wprawić ojca Alicji w zakłopotanie?

Starcie przerwały otwierające się drzwi. Obie strony obróciły się w pył, zmiecione przez burzę, która ugiwała Laurze kolana, zamieniała jej mózg w bezużyteczną galaretę i wprawiała serce w trzepot. Kiedyś nadawano huraganom i cyklonom imiona, później zaczęło się ich przetaczać tak wiele, że dawny zwyczaj stracił sens.

Burza ogarniająca Laurę miała jednak imię.

Alicja.

Przystanęła za windą, prawie jak wtedy w ogrodzie. Nieumalowana, z włosami spiętymi w krótką kitkę, w sięgającej kolan białej koszuli w granatowe kropki wyglądała, jakby zbierała się do snu. Jednak z jej przedramion wystawały dwa wenflony, a oczy...

Wyglądały jak w muzeum, jak wtedy na dachu. Iskrzyły niczym gwiazdy, całymi konstelacjami marzeń, tych niewinnych i śmiertelnie groźnych.

– Hej – odezwała się i uśmiechnęła z okrutną promiennością.

– Hej – wykrztusiła Laura.

Pan Marek tylko podniósł głowę i z trzaskiem wykręcał palce. Muzyczka w tle pluskała jak strumyk w lesie. Milczenie miało rozmiar i ciężar wszechświata, i jak wszechświat rozszerzało się z każdą sekundą.

– Dobrze was widzieć – oświadczyła wreszcie Alicja. Jej głos idealnie pasował do szemrzącej muzyki i jasnych ścian. Niemal słychać było łagodne, anielskie śpiewy w tle słów.

Laura podeszła i złapała Alicję za nadgarstki. Nadgarstki, które razem ze skórą, mięśniami i kośćmi wkrótce przestaną istnieć. Wydawało się to nierealne – jakim cudem coś tak ciepłego, stałego, dotąd tak bliskiego, mogłoby nagle zniknąć?

– Będę tęsknić.

Dwa za małe słowa.

– Będę pisać. Napiszę zaraz po wszystkim, okej? I potem, regularnie. Ty też, prawda?

Laura zdołała skinąć głową, gula w gardle tamowała słowa. Puściła Alicję – puściła krawędź przepaści.

Podszedł pan Marek. Objął mocno córkę.

– Pozdrów ode mnie mamę.

– Dobrze, tato.

Uścisk trwał rozpaczliwie długo. Po czym, jak wszystko, musiał minąć.

– Idę. Napiszę po wszystkim – powtórzyła Alicja.

Obróciła się i wyszła. Pan Marek opadł ciężko na fotel, pochylił głowę, ukrywając twarz. Laura i tak dostrzegła, jak trzęsą mu się ramiona.

Sama stała na środku pokoju, między niebieskimi meblami, i starała się nie myśleć. Nie myśleć o ogolonej głowie przyjaciółki. O odkazanej, a później rozkrajanej skórze. Krwi. Chrobocie wierconej czaszki. Mózgu podłączanym do systemu wirtualu i odcinanym od reszty ciała. Umieszczonym w słoiku, z którego biologiczna materia będzie stopniowo przenoszona na serwer

kwantokomputerowy, obok tuzinów innych. Po setce na blok – obecny standard, rozszerzony dekadę temu do elegancko równej liczby.

Setka dusz ściśniętych w jednym pudełku.

I ciała – czasem cięte na organy, czasem oddawane do nauki studentom, ale najczęściej utylizowane, porzucone przez swoich właścicieli i wszystkich innych.

Głowa z wydłubanym mózgiem, z bezużytecznymi ustami i pustymi, wyzutymi z blasku oczyma.

Plum, plum, szmer.



Alicja weszła do sali operacyjnej z palcami pobrudzonymi atramentem z długopisu – podczas podpisywania ostatnich dokumentów trzęsły jej się ręce. Głowę miała absurdalnie lekką, pozbawioną ciężaru włosów. W oczach jeszcze szczypała sól z łez, które głupio wylała podczas golenia.

To przecież nic nie znaczyło.

Sala wyglądała równie zwyczajnie i przerażająco jak każde tego typu szpitalne pomieszczenie. Pokryte kwadratami jasnych kafelków ściany i podłogi. Spora krata wentylacyjna na suficie. Stół operacyjny ustawiony na środku niczym katafalk, obwarowany metalowymi stolikami i stojakami na kroplówki.

Katafalk. Alicja próbowała wymazać z mózgu to głupie, ponure porównanie.

Na jednym ze stolików stał prostokątny blok z metalowymi, jaśniejszymi ściankami, wynurzały się z niego macki kabli, ich końce wpadały do dużego, obłego słoja, do połowy wypełnionego niebieskawą cieczą.

W sali było na razie kilka osób – jak wyjaśniono jej w służbie, zespół anestezjologiczny. Za scrubsami, fartuchami, масeczkami i czepkami nie dało się dopatrzeć żadnych cech charakterystycznych.

Jedna z zamaskowanych postaci podeszła. Chyba kobieta, ale Alicja nie dałaby głowy, dopóki nie usłyszała głosu.

– Dzień dobry. Proszę o wykonywanie naszych poleceń, mam obowiązek przypomnieć, że do ostatniej chwili przed zadziałaniem znieczulenia ogólnego ma pani prawo wycofać swoją zgodę na procedurę. Czy zgadza się pani, byśmy kontynuowali?

Na moment – jak wielu przed nią – Alicję przytłoczyła beznamietna, nielukrowana rzeczywistość sali operacyjnej. Słój, metalowy blok, stoliki czekające na ostre, srebrne narzędzia do krojenia i wiercenia.

Alicja próbowała pomyśleć o wszystkich możliwościach, które dawała jej procedura, o tysiącach opcji, które istniały w świecie jeszcze u progu katastrofy klimatycznej, zmiecionych przez nią jak kurz. O dalekich podróżach, o drobnych przyjemnościach, o ogromie czasu, który będzie mogła spędzić na tym, czego zapragnie, a nie na ciężkiej pracy. Co by czekało ją tutaj? Harówka w którejś z osad lub, w najlepszym przypadku, wyrwanie posady w Nowym Poznaniu i tak naprawdę jeszcze cięższa praca, by zachować swoje przywileje. Nie. Po tej stronie, wyniszczonej katastrofą, nie czekało ją wiele.

Po drugiej – wszystko. Która gąsienica odmówiłaby stania się motylem?

– Proszę pani?

Alicja skinęła głową. Po sekundzie milczenia dodała:

– Tak, zgadzam się.

Jej głos brzmiał obco. Jakby już rozstała się ze swoimi strunami głosowymi i gardłem. Wrażenie rozlało się na ręce i nogi, zdawało się jej, że obserwuje spod sufitu, jak jej ciało przy pomocy pielęgniarki z zespołu kładzie się na stole. Jak do nosa wsuwane są rurki doprowadzające tlen (będą potrzebne krótko, dziwna myśl), do wenflonów podłączane są kroplówki. Zapieкло, gdy lekarstwa popłynęły we krwi.

– Proszę zamknąć oczy i oddychać spokojnie, głęboko. Uśpienie powinno zadziałać w ciągu...

Reszta zdania zamazała się w czarnej mgle.

...

...

...

Nie ma nic. Nawet nicości. Nieprzejrzyste, bezbarwne fale stoją w bezruchu, wiecznie i wcale, bo nie istnieje też czas. Ponoć jeśli drzewo spada w lesie, bez świadków, nie można mówić o odgłosie upadku. Teraz ta zasada rozciąga się również na ciszę. Bezgraniczna pustka jest punktem pozbawionym jakiejkolwiek powierzchni. Snem bez snów i śniącego. Ta scena jest pusta i zerwano z niej deski, monitor wyłączony, orkiestra się nie zjawiała i filharmonię spowija bezdźwięk.

Szarpnięcie struny, biała linia przecinająca czern na pół – po wiekach oczekiwania i natychmiastowo, bo jeśli nie ma nicości, nie ma też oczekiwania. Wibracje to tysiące hałaśliwych ech, powidoki linii tańczą kalejdoskopowo.

Rozdarcie, przeraźliwie bezbolesne. Nic nie istniało, a teraz nie istnieje jeszcze bardziej.

I znów nie ma nic.

...

...

...

Alicja zasnęła natychmiast i równie nagle wynurzyła się z odmětów narkozy. Leżała w łóżku w niewielkim pokoju, przypominającym szpitalną jedynekę. Ubrana i... Sięgnęła (pozbawioną wenflonu ręką) do ramion i pogłaskała pukle orzechowych włosów. Zachichotała. Spodziewała się chrapliwości w swoim głosie, ale śmiech przelewał się miękki i połyskliwy jak jedwab.

Udało się. Przy tym czuła się zwyczajnie, tylko lepiej niż dotychczas. Silniejsza, oczyszczona z niedostrzeganego wcześniej dymu, który zasnuwał jej umysł i mięśnie.

Rozejrzała się. Znajdowała się w niemal pustym, pomalowanym na biało pokoju z kwadratowym oknem i równolegle umiejscowionymi drzwiami. Poza łóżkiem jedynym meblem był nocny stolik, nad którym unosił się półprzezroczysty, pastelowoniebieski prostokąt.

Usiadła na łóżku i spojrzała na ekran, zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami. Ten błysnął światłem i pojawiły się na nim litery. Skądś – Alicja przysięgłaby, że z głębin jej czaszki (której już przecież nie miała!) – rozległ się łagodny, kobiecy głos:

– Witamy w Nadrzeczywistości Wirtualnej. Przypominamy, że otoczenie zostało dobrane ze względu na komfort psychiczny świeżo przeniesionych. Czy odczuwasz negatywne skutki psychiczne lub fizyczne transferu?

Alicja potrząsnęła głową. Czuła się wspaniale, jak oszlifowany diament, jak płomień, który podniósł się roztańczonymi językami z żaru. Silna, jasna i mocna.

– Obecnie forma avatara została zablokowana na aparycji przedtransferowej, wariant niemodyfikowany. Opcje edycji zostaną odblokowane po potwierdzeniu wstępnego zaadaptowania się do Nadrzeczywistości Wirtualnej.

Sekunda ciszy.

Alicja przesunęła w powietrzu palcami zachwycona ich zwinnością. Poruszały się z precyzją przynależną pianiście, lekkie i idealnie posłuszne jej poleceniom. Dawne ręce były niezgrabnymi kawałkami mięsa i kości, zawsze wciśniętymi w grube, przyciasne rękawice ze skóry.

– Udostępniono opcje edycji otoczenia poziomu pierwszego. Proszę o potwierdzenie gotowości do ich odblokowania.

– Potwierdzam.

Wciągnęła głęboko powietrze, raczej nawykowo niż w logicznej reakcji – w końcu nie musiała już oddychać. Jej umysł stał się pająkiem pośrodku gargantuicznej pajęczyny, wyczuwała miliony niewidzialnych, mocnych nici, za które mogła szarpnąć myślą.

– Proszę spróbować przesunąć stolik, nad którym znajduje się przewodnik.

Posłuchała się i pisnęła z zachwyty. Stolik się poruszył! Była tu prawdziwą, najprawdziwszą telekinetyczką!

– Proszę wyobrazić sobie małą, białą piłeczkę.

Po chwili w dłoni Alicji znalazła się okrągła, lekka kulka rozmiaru gałki do drzwi. Dziewczyna znów się zaśmiała, i jeszcze raz, zachwycona pięknem własnego śmiechu. Gdyby mogła go zobaczyć... Po chwili spontaniczna myśl załśniła w powietrzu, tęczowe nici sunęły i spletały się nad głową Alicji.

Czary!

– Pierwszy etap wprowadzenia przeprowadzony bez komplikacji. Gratulujemy.

Drzwi się otworzyły. Dziewczyna zdusiła krzyk na widok stojącej w nich postaci. Choć kobieta zdawała się młodsza, a brązowe loki nabrały rudego odcienia, nie dało się jej nie rozpoznać.

Alicja wstała i pobiegła. Lekko jak na skrzydłach, otoczona tysiącem barwnych linii niczym stadem motyli. Śmiała się. Śmiała i nie wierzyła, że kiedykolwiek przestanie.

Wpadła w ramiona mamy.

Laura okropnie się myliła. Nieważne, gdzie w dawnej rzeczywistości znajdowały się ich mózgi i ciała. Liczyło się to, że obejmowały się, czuły swoją bliskość, swoje ciepło. Tak idealne kłamstwo stawało się nową prawdą.



Zagon ziemniaków ciągnął się w nieskończoność, tak samo jak teoretycznie sześciogodzinna zmiana Laury przy pracach na polu. Ostrożnie ciągnęła za kilka kłosów perzu, pomagając sobie od dołu motyczką z pazurami. Ten chwast był uparty – należało wyrwać całe kłaczki, inaczej za łatwo mógł odrosnąć. Z częścią roślin dało się uporać jednym szarpnięciem, perz jednak wymagał dłuższej pracy – zwłaszcza od niezbyt wprawionej Laury.

Wrzuciła perz do wiaderka i wyszarpnęła kilka mniej opornych roślin. Wczepione w ziemię tuż obok ziemniaków, odbierały im cenne składniki odżywcze – a same nadawały się ledwie na paszę dla zwierząt, których i tak w osadzie nie hodowali wiele. Czasem, w najchudszych latach, perz przerabiano na mąkę.

Spróbowała otrzeć sobie kark tyłem koszuli. Niewiele pomogło – całe jej ciało oblepiała paskudna warstewka potu. Słońce, koniec rozżarzonego do białości pręta, dźgało ziemię gorącem – niestety, nie aż tak mocno, by ograniczono przydział prac na polu. Ruch dodatkowo rozgrzewał mięśnie, każde włókno płonęło z osobna, a jednocześnie nie mogło spłonąć i przestać rwać. Skóra Laury niemal pękała pod naporem ognia. W zgarbionych plecach wzrastały pędy bólu.

Ponoć miała się przyzwyczać. Nie wierzyła.

Spróbowała uciec w rozmyślania, choć zmęczone ciało kotwoczyło wyobrażnię. W oddali, gdy podnosiła się między wyrwanym jednym chwastu i drugiego, widziała linię drzew – wytrwałych, jasnych brzózek. Gdyby stała się takim drzewem... Żyłaby bez mięśni, bez bólu, wsłuchana w melodie płynących w niej soków i szmerzących wspólnie z wiatrem liści. Karmiłaby się deszczem i słonecznymi promieniami.

Nie. To zbyt jej się z czymś kojarzyło. Zagryzła wargę, niemal do krwi – jakby nie starczyło jej pęknięć na wysuszonej skórze.

– Niedługo koniec! – zawołał ktoś za jej plecami.

Obróciła się. Oliwkowa cera, krótkie ciemne włosy, słomkowy kapelusz pofarbowany na czerwono – dopiero po kilku sekundach bezmyślnego patrzenia ze zgęstniałych, pozlepianych myśli wynurzyło się imię. Florek.

– To dobrze – sapnęła.

Chłopak posłał jej pokrzepiający uśmiech. Poznała go kilka dni wcześniej na spotkaniu grupki aktywistów. Na adres i datę trafiła na tablicy ogłoszeniowej miasteczka i by poznać ludzi w nowym miejscu, przywlekła się na ten spęd mimo wyczerpania.

Ostatecznie uznała, że lepiej byłoby pospać. Owszem, prelekcja o afrykańskich rozwiązaniach irygacyjnych całkiem jej się spodobała, wdała się też w ciekawą dyskusję o sytuacji politycznej Rzeczypospolitej Państw Polskich. W powietrzu cuchnącym potem młodych ludzi fruwało sporo interesujących myśli, niestety ginęły w przepaści beczynności.

Bój z kolejnym perzem zepchnął na bok wspomnienia. Gdyby rośliny uprawne rosły z równą łatwością, świat byłby stokroć piękniejszy.

Podejrzewała, że Florek będzie chciał ją namówić na stałe uczestnictwo w spotkaniach grupy. Próbowала zaplanować uprzejmą odmowę – kiedyś pewnie zapisałaby się do ich grupy, ale teraz każda minuta, której nie spędzała na obowiązkach, była jak odlana ze złota. Zajęcia w laboratorium i prace na polu potrafiły zająć nawet dziesięć, dwanaście godzin dziennie. Pozostałe godziny, te drogocenne monety, należało wydać jak najmańdrzej – na odpoczynek, przygotowanie choć trochę wartościowego jedzenia z dostępnych produktów, na sen. Dopiero teraz Laura

uświadomiła sobie, jak fantastyczną, niesamowitą rozkoszą jest spanie – a jednocześnie jak bolesny jest jego niedobór.

Nie żeby inne rzeczy nie bolały. Podejrzewała, że mimo kapelusza i apaszki oparzyła sobie kark. Suszyło ją w gardle – przydział wody ustalono na tyle skąpy, by zapobiec odwodnieniu pracowników, ale na więcej brakło zapasów. RPP była obecnie najuboższym w wodę krajem Europy, a sąsiedzi niechętnie dzielili się swoimi zapasami. Zaś inne kontynenty... Nawet do suchej jak wiór dawnej Polski płynęły kiedyś fale uchodźców z rozpalonej jak piekarnik Afryki.

Laura wrzuciła do wiaderka kilka pędów przytulii czepnej. Z drobnymi białymi kwiatkami i wąskimi liśćmi rozchodzącymi się gwiazdźście od łodygi wyglądała całkiem uroczco. Podstępna niewinność chwastów.

O czym myślała? Przynajmniej udało jej się odpłynąć myślami...

Ach, historia najnowsza, ta, która śmiała się złośliwie z nich wszystkich. Gdyby nie śmierć prezydenta wycieńczonej wojnami Rosji i przesunięcie kierunku Afrykańskiego Exodusu, Europa mogłaby dziś wyglądać zupełnie inaczej. Chichot losu polegał na tym, że Federacja Afrorosyjska radziła sobie naprawdę dobrze.

Zatrąbiły zawieszone na słupach megafony, zawtórowało im kilka zmęczonych okrzyków radości i westchnień – koniec zmiany. Laurę zalała dzika fala ulgi i zatopiła wszystkie filozoficzno-polityczne rozważania. Dziewczyna się podniosła i na obolałych nogach poszła do magazynu, by oddać motyczkę i pełne zieleńskie wiaderko, po czym zaczęła walczyć z rękawiczkami. Dłonie miała zeszywniałe, materiał nasiąknął od środka potem.

– Pomóc? – odezwał się Florek gdzieś za jej plecami.

Skinęła głową, odwróciła się. Chłopak szarpnął za końce palców i rękawiczki zsunęły się z plaśnięciem.

– Najstarszy szajs – mruknął. – Na pewno nie znalazłoby się nic lepszego? – zagadnął kobietę pilnującą magazynu.

Brunetka o mocno opalonej twarzy spojrzała na nich półprzymtomnie. Wydawała się wyprana z jakiejkolwiek energii, nawet jej opalenizna miała niezdrowy, pozbawiony ciepła odcień.

– Płonne nadzieje – burknęła. – Zamówienie możemy złożyć dopiero za kwartał, do tego czasu lipa.

– Na pewno nic się nie da skombinować? – Florek wbił w kobietę pełne nadziei spojrzenie. – Pani jest taka zaradna...

Laura starała się nie uśmiechnąć. Kobieta podniosła rękawiczki i się rozejrzała. Mieli wokół siebie kilkumetrowy krąg pustej przestrzeni.

– Rzeczywiście, szajs. Moooże... Przesunie się jakiś inny wydatek w papierach i powinno styknąć. A tak zaraz będą tarcia, opóźnienia i znów zaczniesz się panika, że pomrzemy z głodu.

– Taka katastrofa przez rękawiczki! Całe szczęście, że jesteśmy uratowani. Wielkie dzięki, pani Gosiu.

W oczach pani Gosi mignął cień życia.

– Tylko się nie pakuj w kłopoty, dzieciaku.

– Kłopoty? Jakie kłopoty? – Florek rozciągnął usta w promiennym uśmiechu. – Nie będziemy już zajmować pani cennego czasu, miłego wieczoru.

Laura uśmiechnęła się tylko, nim chłopak pociągnął ją w tył. Szopa na narzędzia znajdowała się na granicy osady i pól, wystarczyło kilka kroków, by dotarli do wąskiej uliczki. Cień wypełniał przestrzeń jak woda koryto i powoli sięgał coraz wyżej. Drewniane ściany przywodziły na myśl dwie ustawione tuż przy sobie palisady, podziurawione ciemnymi kwadratami okien. Pod stopami Laury i Florka dudniły betonowe płyty, między nimi ciągnęły się pręgi ciemnozielonego mchu.

Zimny mrok wypierał ciepło z ciała Laury, dziewczyna poczuła lodowaty dotyk dreszczy na plecach. Objęła się ramionami i zacisnęła zęby, próbowała zmusić ciało do współpracy choćby przez kilka chwil.

– Następnym razem weź okrycie, jeszcze się przeziębisz.

Spojrzała wymownie na koszulkę chłopaka.

– Ja jestem zimnolubny.

– No i nicy z dżentelmeńskiego pożyczania kurtki.

Florek się zaśmiał, ale nie zdążył wymyślić na czas bystrej riposty. Szli dalej, a cienie wspinały się po ścianach, zagarniając je falą ciemnego przypływu. Tylko na dachach co wyższych domów słońce malowało żółtawe plamy, a i one szybko rozpuszczały się w ciemności. Same domy były toporne, niemal zupełnie pozbawione ozdóbników. Drewniane pudełka dla tych, którzy

wzgardzili stalowymi i nie mieli dość uporu i szczęścia, by wywalczyć sobie miejsce w mieście.

– Ponuro, co?

– Tak. To jest, to jest... – Laura urwała. Wyczuwała na obrzeżach umysłu jakieś niedookreślone wrażenie, ale nie umiała go nazwać.

Niemal potknęła się o linię mchu. Zdawało jej się, że ktoś jej przyszył nowe nogi, takie źle dopasowane.

– Brakuje ozdób. Kolorów na ścianach, kwiatów na parapetach, czegokolwiek – skwitował Florek.

Laura zaśmiała się nerwowo, odzyskała równowagę – przynajmniej fizyczną. Również w mieście hodowała kwiatów stanowiła rzadkość, chyba że po przekwitnięciu dostawało się jadalne owoce.

– Nie, to serio ważne – obruszył się. – Takie rzeczy to znaki, że ludzie traktują miejsce jako swoje, chcą o nie dbać. A tu... Większość liczy na to, że zdoła znaleźć robotę w mieście, spłodzić dzieci lub dobić do siedemdziesiątki.

– A reszta?

– Reszcie się udziela.

Laura sapnęła potakująco. Chciała odpowiedzieć coś mądrego, ale w jej wnętrzu panoszyła się dzika bestia – pożerała myśli, słowa i determinację, a zostawiała pustą skorupę z obolałymi mięśniami.

Ponoć się przyzwyczai, tak przecież mówią.

– Laura?

– Nic. – Zaciśnęła zęby. – To...

Spróbowała przebić się przez umysłową mgłę. Myśli błysnęły, powiązane ledwie dostrzegalną nicią – Alicja, przeszłość, muzeum.

– A może ten minimalizm nie jest zły? – odezwała się. – My... W drugą stronę... – zaplątała się i zamilkła. – Nie skończyło się to przecież dobrze – dokończyła niezgrabnie.

– To, że możemy się przejeść, nie znaczy, że powinniśmy głodować – odparował Florek.

– Dobrze ujęte.

W milczeniu dotarli do rozdroża.

– Wracasz do kwatery? – spytał raptem Florek.

– Jeszcze chcę sprawdzić wiadomości.

Wcale nie chciała – ale przecież obiecała.

– A, to zaraz się rozchodzimy. Laura? – Spojrzał na nią dziwnie przenikliwie.

– Nie mam czasu na randki.

Zarumienił się i gwałtownie zatrzepotał rękoma.

– Nie, nie, to nie to. Mamy kolejne spotkanie grupy za tydzień. Ale w trochę mniejszym gronie. Chyba... Chyba byś do nas pasowała, jakbyś chciała wpaść.

Zakłopotanie ledwo przebiło się przez wysokie mury zmęczenia.

– Zobaczę – wymamrotała Laura.

Nie miała sił nawet na to, by od razu odmówić.

– Za tydzień, po połówce, u mnie. Do zobaczenia!

Florek pomachał jej i zniknął w rozwidleniu ulicy. Odprowadzała jego sylwetkę wzrokiem, nim ruszyła w stronę jednej z komputerowni. Została sama ze sobą – a raczej sama ze swoim zmęczeniem i kilkoma resztkami, które istniały poza nim.

Po niezdolnie długiej wędrówce dotarła pod właściwe drzwi. Odbiła kartę na czytniku przy wejściu. Piknęło, Laura weszła do środka. Najpierw zatonała w brzoje małej sieni, ciasnej jak wnętrze zaciśniętej pięści, po czym dotarła do właściwej komputerowni.

W sporym pomieszczeniu nie zastała żywej duszy – jedynie biurka, na których ustawiono klawiatury, monitory i myszki, oraz same jednostki centralne, schowane obok prostych krzeseł. Nie dobiegały tu żadne odgłosy życia, żaden świst wiatru. Spod sufitu zerknęły dwa czarne oczka obiektywów kamer.

Laurą szarpnęły sprzeczne instynkty: zostać tu na zawsze, uciekać, położyć się na środku podłogi i rozplakać jak dziecko. Przełknęła lepką, niesmaczną ślinę. Później.

Pracowała nad okłamywaniem się w ten sposób – udawaniem, że „później” nie znaczy „nigdy”.

Usiadła przy najbliższym biurku i włączyła komputer. Budził się z letargu niemal bez szumu, jakby słaba, zmęczona ćma spędzała swoje ostatnie dni w jego metalowym więzieniu, by umrzeć podczas ładowania się systemu. Po chwili monitor przywitał się standardową, ciemnozieloną tapetą.

Klik, klik, klik. Palce, niegdyś całkiem przywykłe do tych ruchów, teraz poruszały się jak po nowych ścieżkach, niezgrabne i sztywne. Po udach i łydkach dziewczyny przebiegały fale mrowiącego pieczenia.

Klik, klik, klik. Logowanie, skrzynka z wiadomościami, Alicja.

Otrzymane: 3 wiadomości, 7 plików.

Laura odetchnęła z ulgą. Czekala na te wiadomości jak na listy z frontu. Cieszył ją sam fakt ich istnienia. Świadczyły bowiem o tym, że wciąż istnieje też Alicja, jej przyjaciółka, ta sama, z którą plotkowała do drugiej w nocy i spacerowała po zakamarkach Nowego Poznania, gdy tylko odwoływano lekcje.

Weszła w pierwszą wiadomość.

Hej <3

U mnie nadal wszystko cudownie – jak miałoby się to zmienić? Przeszłam wszystkie podstawowe szkolenia z wzorowymi wynikami, ponoć to dobra wróżba na przyszłość >ω<. Pierwsze chwile w wirtualu oszałamiają tym, jak podobny jest on do zwykłego życia – każda kolejna oszałamia odkryciem, że tak naprawdę jest wręcz przeciwnie. Eksplorowanie możliwości dla samej eksploracji zaczyna mnie jednak nużyć. Zastanawiam się nad studiami – wiem, że chcę czegoś humanistycznego, ale ogrom możliwych opcji trochę przytłacza ☹_☹

Co u ciebie? Mam nadzieję, że nie męczą Cię za bardzo.

Zawsze Twoja,

Alicja

Pięść zaciśnięta pod stołem, palec drugiej dłoni nad klawiszem. Laura dostrzegła jego drżenie. Myśli chrogotały jej w głowie, miała tam zardzewiałą, ubłoconą maszynierię, a kolejne słowa Alicji wpadały między tryby jak ziarna piachu.

Kiedyś przyjaciółka pisała inaczej. Krócej, rwanymi zdaniami, z gęściej występującymi emotikonami. Czy to dlatego, że teraz formułowała wiadomości bezpośrednio w umyśle?

Czy to była, wbrew pozorom, prawdziwsza Alicja?

Dość myślenia! Następna wiadomość.

Hej!

*Opanowałam już niezłe utrwalanie widzianych obrazów – to trochę jak z fotografią, tylko kadry i światło ma się w głowie (choć można też używać aparatów – ale co to za zabawa?). Przesyłam kilka takich „zdjęć”, z siedemnastowiecznej Francji – naprawdę niesamowita rzecz, a możliwych czasów i miejsc jest jeszcze multum ^o^*

Teraz tylko kusi mnie historia kultury, tak obok historii sztuki, kulturoznawstwa europejskiego i socjologii cyfrowej. Za dużo tego!

Twoja,

Alicja.

Następna, na szczęście krótka.

Hej!

Nie odpisujesz? Mam nadzieję, że u ciebie jest okej. Zdecydowałam się już na studia, dwa kierunki naraz – tutaj to wciąż lekka zabawa. A rytm funkcjonowania i obowiązki całkiem się przydają. Nie wierzyłam, że kiedyś to przyznam!

Twoja,

Alicja.

Laura zamknęła wiadomość, nawet nie oglądając plików. Powidok liter mącił jej wzrok, gdy wyglądała za okno na burą, drewnianą ścianę, z której czas i żywioły wycisnęły resztki życia.

Musiała przyznać – Alicja zawsze była odrobinę egoistyczna. Typowa wada oderwanych od życia marzycieli, dotąd akceptowalna. Ale teraz... Każda z wiadomości wydawała się pełna kpin.

Może nie powinna tak uważać, skoro wszystkie te wspaniałości: studia, wygodę i zachwyty, były na wyciągnięcie ręki – wystarczyło wcześniej podciąć sobie żyły. Nie chciała tego. Czy więc miała prawo oburzać się na Alicję?

Brakowało jej już sił na szukanie odpowiedzi.

Gapiła się na skrzynkę mailową, jakby w ten sposób, kilkoma myślami, mogła posłać wiadomość przez granicę światów. Jednak w jej krainie magia nie istniała.

Wylogowała się i wyłączyła komputer. Złość drapała ją od środka, zbyt słaba, by zmanifestować się jakimkolwiek gestem. Laura pojęła, że potrzebuje kogoś, kto by – chociaż w najmniejszym stopniu – zajął miejsce Alicji w jej życiu.

Może jednak pójdzie na to całe spotkanie...?



W malutkiej sypialni cisnęły się dwa wąskie łóżka, dwie szafeczki i piątka młodych dorosłych. Powietrze wypełniały kurz, ostra cebulowo-serowa woń potu i ciepło ciała, spod sufitu lało się żółte światło, pełne skondensowanej senności.

– Mamy naszą spóźnialską! – Florek się uśmiechnął, gdy Mirka próbowała wcisnąć się na łóżko obok Laury, Michała i złożonej w kostkę pościeli. Ostatecznie się poddała i usiadła na stoliku nocnym, omal nie zrzucając z niego solarnej lampki.

– Jak kto się spieszy, to diabeł się cieszy – odparła Mirka. – Udało się zwerbować Laure? Ekstra.

Wyszczerzyła zęby. Kruczoczarne włosy postrzępione u dołu opadały jej na ramiona, długa grzywka podkreślała okrągłą twarz.

– Zwerbować...?

– Floruś, powiedziałeś bidulce, co wy tu właściwie wyprawiacie? – wtrącił się Łosiek, chłopak, którego Laura poznała coś około pięciu minut wcześniej. Mimo tłoku rozłożył się wygodnie na łóżku i zatopił w lekturze pożółkłej ze starości książki o spłowiałej, zdartej na brzegach okładce.

– Oni? To co ty tu...?

– Ja tu jestem tylko pechowym współlokatorem. Sorry, cokolwiek chcecie odwalić w tym pokoju, nie zamierzam łązić gdzieś indziej.

Zaszeleściła przewracana strona. Laura nie mogła się powstrzymać przed gapieniem się na te papierowe prostokąty

zapełnione tłumami literek. Większość ludzi, w tym ona, korzystała wyłącznie z czytników.

– Nie słuchaj go. Potrafi podsuwać najlepsze pomysły.

Florek poklepał współlokatora po łydce, za co oberwał kopniaka w rękę.

– Jak przyłazicie tu i gadacie od rzeczy, to co mi zostaje?

– Czy ty właśnie obraziłeś moje pomysły? – Mirka wycelowała palcem we Florka.

– Na mnie się oburzasz, nie na Łoska? – obruszył się Florek.

– Łosiek jest naszym pokładowym defetystą, jego ignoruję.

– Nawzajem.

– Ej!

– Ktoś mi w końcu powie, o czym wy wszyscy rozmawiacie? – Laura zamachała rękoma jak rozbitek na widok statku. – Florek powiedział tylko o spotkaniu w mniejszym gronie i niczym więcej.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś wtedy, w środę? – spytała Mirka, majtając nogami.

– Że masz fajną koszulę?

Michał zachichotał i to był pierwszy dźwięk, który wydał z siebie w trakcie tego spotkania.

– Żartuję – odezwała się Laura pośpiesznie. – Że to wszystko to tylko głędzenie po próżnicy.

– No, to tutaj... – zaczął Florek.

– ...uprzedzę, też tylko gładzą.

– Łosiek! – Florek teatralnie złapał się za serce. – Ranisz moje uczucia, brachu.

– Spotykamy się w celu rozważenia odważniejszych projektów – odezwał się Michał. – Choć szersza mobilizacja jest potrzebna, nie wszystko można omawiać w większym gronie. – Mówił spokojnym głosem, niemal widać było ustawione w równy szereg słowa.

– Czyli tamte spotkania to zasłona dymna?

– Bingo! Czy nie jesteśmy genialni? – Florek rozłożył ręce niczym showman na końcu przedstawienia.

– W takim razie szybko mnie zaangażowaliście – zauważyła Laura.

– Wow, nawet ona to przyznaje. – Wzrok Łośka powędrował między wszystkimi spiskowcami, każdego obdarzając solidną porcją dezaprobaty.

– Gdy rozmawialiśmy, uznałam, że do nas pasujesz – wyjaśniła Mirka. – A ile, do licha, można robić za smerfetkę?

– Mam nadzieję, że nie uznasz tego za niewłaściwe, ale rozmawiałem z twoją znajomą, Niką – przyznał Michał. Na jego poważnej twarzy nie malował się nawet ślad poczucia winy. – Jej opinię w połączeniu z wrażeniem Mirki uznaliśmy za wystarczające przesłanki.

– Nawet Łosiek był za, tylko teraz marudzi – uzupełnił Florek.

Łosiek spojrzał na sufit upstrzony plamami po owadzych trupach.

– Powiedziałem jedynie, że może ktoś nowy dorzuci żaru do tego podmokłego drwa. Powodzenia.

– Uhm, dzięki?

Laura czuła się jak pod koniec pierwszego dnia w Nowym Poznaniu – zmęczona, zachwycona i zdenerwowana jednocześnie. Ci wszyscy ludzie mieli swoje plany, relacje, wewnętrzne żarty, łączyła ich niewidzialna, ale mocna więź. Laura też chciała ją poczuć, ale na razie czuła się jak mucha złapana w sploty lepkiej sieci.

– To co planujecie?

– Co jest źródłem naszych największych problemów? – odpowiedział pytaniem Florek.

– Katastrofa klimatyczna? Decyzje przeszłych pokoleń? Pechowe położenie geograficzne? – wymieniła Laura.

– Dobre podsumowanie – przyznał Łosiek. – Ale w kontekście dość bezużyteczne. Nawet z częściowym odwróceniem katastrofy nie radzą sobie o wiele lepiej zaadaptowane, bogatsze kraje. Maszyny czasu tym bardziej nie mamy.

– To co nam zostaje?

Pytanie Florka tkwiło między wszystkimi słowami i tematami podczas poprzedniego spotkania. Wtedy niewypowiedziane.

– Podział – odezwała się Laura. – Na nas, wirtualnych i miasto.

– Ciekawe. Mirka odpowiadała, że wirtualni, Michał, że władze – odparł Florek.

–Dziel i rządź – wtrącił się Michał. – Wirtualni mogą uczestniczyć we władzach, ale większość nie jest tym zainteresowana. A gdyby chcieli podważyć jakiekolwiek istotne reguły, zorientowaliby się, że pozbawiają się sprawczości.

–Jak by nie patrzeć, marnujemy większość szans przez wirtualnych. – Mirka machnęła lampką jak berłem. W jej głosie buzowała burzowa, ponura energia, jeszcze wyraźniejsza w kontraście z chłodnym tonem Michała. – To pod ich pomysły prowadzimy badania, ze względu na serwerownię miasto ma bezwzględny priorytet przy katastrofach naturalnych, to oni są usprawiedliwieniem dla...

– Właśnie. Usprawiedliwieniem, nie przyczyną.

Laura próbowała przyznać rację którejś ze stron. Zgadzała się z obydwojgiem – a jednocześnie przed przytaknięciem Mirce powstrzymywała ją jedna przeszkoda.

Alicja.

– Nie chcę zmian – ciągnęła Mirka. – Im wszystko pasuje, a za kryzys powstały podczas przemian mogliby zapłacić najwyższą cenę, gdyby coś pieprznięło. Więc są bandą elektronicznych tchórzy cisnących w hamulec. – Z hukiem odłożyła lampkę. Pstryknęła w przełącznik i odetchnęła, gdy światło się zapaliło.

– A wasze odpowiedzi? – Laura spróbowała przerwać kłótnię.

– System – odparł Florek. – Prawie się zgraliśmy. – Jego twarz przyozdobił szeroki uśmiech.

– Cała masa różnego bajzlu – dodał Łosiek.

– Dość bezużyteczne w kontekście – wypaliła Laura.

– Touché.

– To co planujecie? – Dziewczyna przypomniała się ze swoim pierwotnym pytaniem.

– Mamy kilka mniejszych projektów – zaczął Florek. – Ozdabianie Maryśki, pamiętasz, ostatnio o tym rozmawialiśmy. Mirka fantastycznie maluje, największy problem to zdobycie lub zrobienie farb. Chcemy też opracować projekt dokładnych rozwiązań irygacyjnych i bioodżywczych, które można by wdrożyć w produkcji rolniczej.

Michał machnął ręką.

– To akurat moja robota.

– No, ale prawdziwy, poważny plan jest jeden. – Florek dramatycznie zawiesił głos. – Podłożenie bomb w serwerowni CNW. W ramach... powiedzmy, porwania wirtualnych dla okupu.

Laurze opadła szczęka. Nie spodziewała się... Zwłaszcza po tym, jak szpile Łoska poprzekłuwały balonik jej oczekiwania.

– To... To terroryzm. Ryzykowanie życiem gigantycznej liczby ludzi. Mogliby nas za to posadzić na dożywocie.

Wiadomość była gigantycznym głazem, który spadł prosto na nią. I zmiażdżył jej czaszkę wraz ze wszystkimi myślami.

– Klasyka rewolucyjnych działań. – Florek błysnął zębami.

Wyglądał... jak dzieciak bawiący się w rewolucjonistę, a nie jak prawdziwy wojownik. Ale czy każdy wojownik nie jest gdzieś w środku dzieciakiem ludzącym się, że zwycięstwo, chwała i sprawiedliwość są pewne?

– Michał i Łosiek pozdawali egzaminy tak, że w CNW przyjęliby ich z pocałowaniem ręki – wtrąciła Mirka. – A sekretnym talentem Florka jest klecenie materiałów wybuchowych. Gdybyśmy je prze-mycili, podrzucili w kluczowych miejscach serwerowni, z zapalnikami, które odpaliłyby się w razie naruszenia lub na sygnał...

– Mielibyśmy ich w garści – dokończył Florek.

– A Łosiek to nie jest, ekhem, tylko współlokator?

„Tylko współlokator” wzruszył ramionami.

– Nie zamierzam pozwolić wam odwalić czegoś durnego bez kontroli. Za dużo bajzlu z zeznaniami.

Laura nie zamierzała czepiać się jego logiki. Zwłaszcza że cały plan chwiał się na glinianych nogach i ział dziurami jak szwajcarski ser.

– I tak plan ma milion luk. Jak komunikować się bezpiecznie z władzami? Jak Florek i Łosiek mieliby uciec, nie narażając się na złapanie? Co z...

– Tu potrzebowałibyśmy was – przerwał jej Florek i machnął na nią i Mirkę. – Musimy przygotować bezpieczne schronienie, transport i drogę komunikacji. Oraz dopracować całość, rzecz jasna.

– Robię zdjęcia i rysunki botaniczne, głównie nowych mutacji – wtrąciła się Mirka. – Mam trochę bogatych klientów w wirtualu i nie tylko. Jeśli szarpnę za odpowiednie nitki... Powinnam dać radę skombinować pojazd.

Laura się zawahała.

– Wychowałam się w jednej z osad – odezwała się wolno. – I interesowałam się badaniami prowadzonymi poza nimi. Może mogłabym zorganizować schronienie oraz...

Urwała. Znała ludzi, którzy być może – tylko być może – chętnie dołączyliby do szalonej załogi na okręcie płynącym wprost w sztorm. Ale... Czy sama była chętna? Nie miała pewności.

I znów, istniał jeden wyjątek. Osoba, której życiem nie chciała szafować. Alicja.

Irytujące, jak niezasłużenie wielką rolę odgrywała w jej wewnętrznym świecie dawna przyjaciółka. Mimo wszystko w duszy Laury jaśniało światło, którego nie potrafiła zgasić. Jarzyło się blaskiem wszystkich wspólnych chwil, wszystkich dzielonych myśli i emocji. Być może to były iskry Alicji płonące w duszy Laury. W końcu każda głęboka relacja jest wymianą, szczerą i przekraczającą granice transakcji.

– Niech zgadnę – odezwał się Michał, a w jego głosie pojawiła się ledwie uchwytna uraza. – Wcale się nie pieszysz na nasz terroryzm i ryzykowanie ludzkim życiem, co? Nawet jeśli to jedyny sposób, byśmy mogli domagać się zmian, a nie łaskawie o nie prosić.

– Ja... Muszę to przetrwać.

– Nie dziwię się. Niezła bomba, co? – Pierwszy raz wesołość Florka zdawała się wymuszona.

– Słyszałaś o Raporcie Paryskim? – spytała raptem Mirka.

Laura potrząsnęła głową.

– Świeżynka. Wzięli się za badanie Polski, akurat państwa-miasta Krakowa, jako specyficznego przykładu społeczeństwa. W końcu jako jedni z nielicznych jesteśmy wystarczająco bogaci na wirtual, a zbyt biedni na porządne życie poza nim... A przynajmniej zbyt biedni przy obecnym zarządzaniu zasobami...

– I co wykazał ten raport?

– Że jest, krótko mówiąc, do kitu. Mamy stale obniżającą się wydajność, a wkrótce ma w nas wałnąć kolejna seria klimatycznych sprzężeń zwrotnych. Możemy tego nie wytrzymać, wszyscy. A wtedy wirtualni pierwsi pójdą na dno.



Alicja kulila się w pozycji embrionalnej, otoczona objęciami łagodnych fal. Wodny kokon mienił się lazurami i granatami. W oddali tańczyły wstęgi wodorostów, wysoko majaczyło słabe światło – odcisk pozostawiony przez słońce i zatarty przez ruch morza. Granica między oceanem i Alicją zanikała, jego spokój wlewał się w nią, a dziesiątki doświadczeń i myśli rozplýwały się w niebieskościach jak kropla krwi w rzece.

To była jej enklawa. Każdy wirtualny budował taką w swoich pierwszych dniach, inaczej ich ludzkie, niedoskonałe umysły rozpadłyby się bombardowane ogromem dziwacznych bodźców. Symulowane sny i blokady transferu pomagały, ale niewystarczająco.

Podmorska bańka powstała z modyfikacji jednej z wielu standardowych baz. Alicja ociepliła wodę, namalowała ślad słońca w górze i spowolniła ruch wodnych prądów. Dodała też cichą, łagodną, ledwie słyszalną pieśń – opadające i wznoszące się wokalizy, melancholijne i tęskne. Zorientowała się, że w kontraście do euforii istnienia w wirtualu potrzebuje smutku, nawet tego kontrolowanego.

Po pierwszej chwili ulgi jej umysł rozpoczął koncert – dziesiątki informacji, setki przenikających się obrazów. Częściowo elektroniczny już mózg zamieniał się w ulicę w centrum miasta, w stada dzikich zwierząt szalejące na ogarniętej ogniem sawannie. Zamalowywała każdą myśl ciemnymi turkusami, zagłuszała melodią syreniej pieśni. Dopiero tą ścieżką, przez spokojniejsze bodźce, potrafiła dotrzeć do głębin czerni i ciszy.

Kakofonia cichła, gdy kolejne instrumenty opuszczały jej gargantuiczną orkiestrę, karuzela zwalniała, gdy obrazy i sceny zastępował kojący morski kolor. Melodia spowalniała, odległy głos cichł. Wody pociemniały.

Kilka najstarszych wspomnień zaatakowało, gdy Alicja niemal dotarła do pustki. Widoki Nowego Poznania – miasta z przetrąconymi kośćmi i licznymi bliznami, zbrzydłego od starości i udręka

jak twarz torturowanego człowieka. Zbędne nuty z kiepskiej piosenki. Nie przejmowała się nimi, wcale.

Jej świadomość uościła się w miękkiej kołdrze czerni. Syrena pieśń zlała się z szumem, zniknęło słoneczne światło.

Nie było niczego. Przez sekundy? Minuty? Godziny? Tu czas, wyrwany z władzy zwykłej czasoprzestrzeni i procesów biologicznych, działał inaczej. Wystarczyło kilka miesięcy, by Alicja skończyła pierwszy kierunek studiów, rozpoczęła drobną działalność na rzecz społeczności (w wirtualu nie istniały płace, więc pracowało się dla prestiżu i dobra ogółu) i odwiedziła tysiące miejsc. Jej umysł mógł pracować dziesięć razy szybciej i wykorzystywać ogrom informacji – czy starzała się więc z podobnym, dziesięciokrotnym przyspieszeniem?

Przeciągnęła się, na dziś wystarczyło medytacji. Pstryknęła palcami i znalazła się w niewielkiej zamkowej komnacie. Szare kamienne ściany wznosiły się wysoko, wybrzuszone wykuszami i rozcięte tęczowymi witrażami. Pośrodku stało godne księżniczki łóżko, pyszny pałac snu z haftowanym, jasnofioletowym baldachimem i podobnymi zasłonami. Niczym strażnicy przy królowej stały dwie szafeczki nocne na wywiniętych nóżkach, naprzeciw – kominek, w którym trzaskał buzujący ogień. Przed kominkiem przycupnęły dwa szerokie i niskie fotele.

Alicja opadła na jeden z nich. Machnęła dłonią i pojawił się przed nią duży, półprzezroczysty, biały prostokąt.

–Kompilacja wiadomości – rozkazała.

–Spotkanie Forum Kulturowego przełożone na piętnastą siedemnastego listopada. Brutalna krytyka symulacji artystycznej „In memory”, dostępny wątek dyskusyjny w wariantach: pisemnym, videorozmowy i myśldyskusji. Trwa spór z partią Świt o minimalny wiek dostępu do Nadrzeczywistości Wirtualnej. Francuski raport szacuje współczynnik destabilizacji klimatycznej Polski...

Alicja wyłączyła tę litanię machnięciem palca.

–Poczta – rzuciła.

Na jej łóżku pojawiło się kilka kartek, grubych, z eleganckiego papieru. Niekiedy dla kaprysu spisywała na nich listy atramentem i piórem, teraz jednak wybrała szybszą opcję. Dotknęła pierwszej

kartki i zaczęła dyktować w myślach. Kolejne linijki wynurzały się z bieli papieru, kształtne i idealnie czarne.

Pisała wiadomość do jednego z wirtualnych – choć mogli spotykać się w każdym momencie, czasem preferowali inne formy kontaktu. Alicja skończyła zaproszenie na spotkanie klubu książki, dodała kilka informacji, co u niej, i dobrała z podpowiadanych przez system opcji podpis – „Pozdrawiam, Alicja”.

Raptem z prostokąta znów dobiegł głos, tym razem brzmiał rozkazująco.

– Zaproszenie, status: wysoce pilne.

Alicja uniosła brwi. W całym swoim wirtualnym życiu nie dostała wiadomości o takim statusie. Dotknęła kolejnej czystej kartki. Wyświetliło się na niej kilka linijek, bez żadnych obrazów.

Informujemy o obowiązku uczestnictwa w pilnym spotkaniu WZNW w sprawie związanej z bezpieczeństwem Nadrzeczywistości Wirtualnej. Zignorowanie wezwania grozi izolacją na serwerze prywatnym przez maksymalnie trzydzieści dni, z możliwością wymierzenia kary w zawieszeniu.

Wewnętrzny Zarząd Nadrzeczywistości Wirtualnej

W umyśle Alicji błysnęła zielona lampka potwierdzająca, że wezwanie jest autentyczne. Albo w wirtualu grasował najwyższej klasy haker, albo naprawdę dostała wezwanie.

Jedną myślą odnalazła zamknięty serwer i wysłała prośbę o dostęp.

W następnej sekundzie siedziała na wyściełanym niebieską tapicerką krześle w prostej, prostokątnej sali, naprzeciwko długiego stołu. Za nim ciągnął się szereg klasycznych awatarów – siedzieli tam eleganccy ludzie o twarzach trochę zbyt równych, około czterdziestoletnich. Ogół wirtualu odszedł od tych przestarzałych kanonów piękna i powagi, ale oficjalne decorum pozostało staroświeckie.

– Dzień dobry, pani Alicjo – odezwała się blondynka z włosami spiętymi w okrągły, ciasny koczek. – Wezwaliśmy panią na nieoficjalne przesłuchanie w sprawie dotyczącej bezpieczeństwa Nadrzeczywistości.

Alicja skinęła głową. W jej systemie zarządzania awatarem błysnęło pytanie, czy chce wyłączyć symulację negatywnych emocji? Zdecydowała się na osłabienie jej, pewna ilość stresu pomagała w trudnych sytuacjach.

– Pani przyjaciółkę z okresu przedwirtualnego, Laurę Gołębiowską, przyłapano wraz z grupą innych obywateli osady Maria Skłodowska-Curie na planowaniu aktu terrorystycznego. Właśnie przesłałam pani pakiet informacji.

Alicja otworzyła paczkę danych i przepuściła ją przez mózg z minimalnym spowolnieniem, bez wyszukanego interfejsu. Początkowo jej świadomość nie potrafiła odnaleźć się w nowych okolicznościach. Potem tuzin wiadomości i nadające im kontekst kilka godzin podsłuchanych rozmów przesiąkły przez filtr jaźni Alicji.

Symulowane emocje sięgnęły wyznaczonego odgórnie limitu. Przez to, jak były delikatne – lekkie przyspieszenie tętna, trochę wyostrzone zmysły – w pewien sposób odcinały Alicję od nieadekwatnej wobec nich rzeczywistości.

– Zapoznała się pani z udostępnionymi informacjami?

– Tak.

Głos Alicji, dźwięczny i pewny, zdawał się dziewczynie obcy. Powinien drżeć. Przecież jej dawna przyjaciółka postanowiła zażytkować życiem swoim i wielu wirtualnych dla jakiegoś szaleństwa. A jednak Alicja siedziała spokojnie. I wcale nie chciała włączyć pełnej symulacji emocji.

– Czy wie pani o kontaktach Laury Gołębiowskiej z radykalnymi i terrorystycznymi organizacjami?

– Nie.

– Czy wiadomo pani o radykalnych lub niebezpiecznych poglądach którejkolwiek z osób z kręgu znajomości Laury Gołębiowskiej?

– Nie.

– Czy Laura Gołębiowska sama wyznawała radykalne lub niebezpieczne poglądy?

Alicja się zawahała. Postacie przed nią siedziały nieruchomo – rząd posągów niczym w starożytnej świątyni – jednak dałaby głowę, że za ich pustym wzrokiem kryją się gorączkowe rozmowy na niedostępnym dla niej czacie.

– Była krytyczna wobec wirtualu, znaczy, Nadrzeczywistości Wirtualnej, ale nigdy nie wykazywała skłonności do przemocy. Niczego ponad zwykłą nastoletnią złość.

Cisza. Absurdalne, że tę ciszę i ciszę podwodnej enklawy Alicji tworzyły te same systemy, że w ich programach można by znaleźć te same frazy. Powinny być odwrotne jak lustrzane odbicia.

– Jak manifestowała się ta zwykła nastoletnia złość?

Alicja runęła w niekończący się dół.

– Krzyki, klótnie, czasem uderzenie pięścią w łóżko czy jakiś podobny gest.

– Czy tego typu zachowania Laura Gołębiowska wykazywała podczas krytyki Nadrzeczywistości Wirtualnej?

– Tak...

Coś w tym wszystkim było okropnie, paskudnie niewłaściwe. Alicja próbowała odnaleźć wyjaśnienie i poczuła dreszcz, jakby dotknęła nieosłoniętego kabla, dreszcz czysto intelektualny – prawdziwego ten poziom symulacji emocji nie obejmował.

– Przepraszam. Dlaczego ta rozmowa odbywa się na nieoficjalnym spotkaniu, a nie w sądzie? Czy spiskowcy zostali już aresztowani i oskarżeni?

Powietrze wokół niej aż uginało się od ciężaru ciszy.

– Spiskowcy znajdują się pod obserwacją służb. Aresztowanie zostanie przeprowadzone w optymalnym momencie.

Zrobią to w ostatniej chwili, pomyślała Alicja. By wymierzyć wyrok za poważniejsze przestępstwa.

– Rozumiem.

– Doskonale. Prosimy panią o podtrzymywanie wymiany korespondencji z Laurą Gołębiowską i informujemy, że wiadomości będą podlegać kontroli.

– Rozumiem – powtórzyła Alicja jak katarynka.

– Może pani zostać wezwana na dalsze przesłuchania w przyszłości. Dziękujemy za współpracę.

Alicja znalazła się znów w swojej komnacie.

Po raz pierwszy w wirtualnym życiu czuła się zagrożona. Nie tak, jak wtedy, gdy próbowała skoku na bungee lub górskiej wspinaczki i w jej ciele kipiała adrenalina. Teraz celował w nią niewidzialny pistolet trzymany przez zbyt znajomą dłoń.

Laura. Jak mogła...?

Alicja zaczęła przeglądać wiadomości, wszystkie, które wymieniły od czasu rozstania. Coraz krótsze, coraz bardziej lakoniczne, szczególnie ze strony Laury. Teraz próbowała wczytać się w nie naprawdę. Wyobrazić sobie przyjaciółkę w jednej z komputerowni, zmęczoną po godzinach pracy. Jej umysł kreślił obraz z mozołem, od tak dawna żyła zupełnie inaczej. Bez trosko.

Cóż, teraz to się skończyło.

Zanurzyła się w dalszych wspomnieniach. Płynęła pod prąd czasu, przekroczyła wodospad swojej przemiany. Tu wody były inne, brudne i nieprzejrzyste. Nie dysponowała wtedy jeszcze cyfrową pamięcią, a jedynie rozmazanymi, fragmentarycznymi obrazami. Tamta rozmowa na dachu. Spacer po mieście. Ślęczenie nad matematyką, z którą Laura radziła sobie, jakby cięła liczby ostrym sztyletem, a Alicja – jakby walczyła z nimi nożem do masła.

Tak niewiele pamiętała. Czy bez przejścia w wirtual też by tyle zapomniała?

Myśli wirowały w jej głowie, na wpół bezkształtne. Odciała dostęp do systemów komputerowych wspomagających działanie mózgu – trochę przez strach przed obserwacją, a trochę po to, by poczuć się bardziej jak kiedyś.

Przestrzeń wokół niej rozmazała się. Przez czaszkę – lub co właściwie, skoro czaszki już nie miała? – przeszło widmo bólu, rozedrgane i niewyraźne. Myśli zupełnie straciły kształt i płynęły wolno, jak martwe ryby popychane jedynie przez fale.

Ile mózgu zdążyli jej wyciąć...?

Nie odważyła się sprawdzić.

Wyłączyła hamulce systemowi symulacji emocji. W jej głowie eksplodowała bomba, odłamki rykoszetowały po całym ciele. Sielski park zatonął w powodzi wrażeń, serce dudniło szaleńczo.

Chryste. Od dawna, bardzo dawna nie czuła się tak żywa.

Cofnęła symulację emocji do wcześniejszych ustawień. Przywróciła dostęp do zewnętrznych systemów wspomagających mózg. Awatar momentalnie stał się spokojnym, wygodnym ciałem, a otoczenie powróciło, ze znajomym łóżkiem, znajomymi fotelami i tańcem ognia w kominku. Tak swojsko. Tak obco. Tak...

Nie, lepiej nie kończyć. Machnięciem ręki Alicja zmateriałizowała przed sobą kartkę. Przez chwilę przypatrywała się jej, po czym spisała kolejne zaproszenie do klubu książki.

Prawdziwy, ważny list napisze później. Musi to zrobić porządnie.



Laura mogłaby przepisać tę wiadomość z pamięci.

Hejka! (^.^)§

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko gra. Nie muszę już zapewniać, że u mnie jest w porządku, prawda? Udało mi się ukończyć pierwszy kierunek studiów (z komputerowymi rozszerzeniami to łatwizna, jakbym miała wszystkie podręczniki w mózgu), teraz zastanawiam się, czy nie zacząć opracowywać własnej przestrzeni wirtualnej, poza tą prywatną. Myślałam nad repliką zamku z „Czarownicy Fi” – pokazywałaś mi kiedyś fanfik, który pisałaś o tej serii, ten o rudowłosych przyjaciółkach. Jak skończę, prześlę ci milion grafik, abys mogła się poczuć, jakbyś tam była <3

*Twoja,
Alicja*

Wspomniany fanfik opowiadał nie o rudowłosych przyjaciółkach, a o brunetce i blondynce. I, co ważniejsze, rude siostry były antagonistkami, przyłapanymi na spiskowaniu.

Przynajmniej w pierwszej wersji. W drugiej, opublikowanej w sieci, Laura zamieniła wygląd postaci – tylko dlatego, że pomarańczowe włosy ładniej się komponowały z niebiesko-zielonym tłem okładki. Może Alicja trzymała się ostatecznej wersji, ale zwrócenie uwagi na właśnie ten szczegół zdawało się sygnałem alarmowym.

Dlatego Laura zmierzała teraz ku budce ochrony przy wjeździe na parking Centrum Nadrzeczywistości Wirtualnej. Jej kroki i serce dudniły ogłuszająco. Dotarła, stuknęła w szybę. Za szkłem pojawiła się twarz: jasne oczy nad zmierzwioną brodą, reszta tonąca w cieniach.

– Jak zostawiła coś pani w pracy, to se odbierze jutro.

– Nie, nie. To coś znacznie ważniejszego. – Laura pozwoliła, by jej głos zawibrował przerażeniem. – Tu ma być dziś atak, prawda? Tylko że nie tu, oni, znaczy my, znaczy oni... Była zmiana planów.

Cisza. A potem z ledwie widocznych ust dobiegło soczyste „kurwa!”.

– Stać tam!

Strażnik wypadł z budki z pistoletem w dłoni. Laurze wydawało się, że jej serce wybuchło i teraz jego odłamki biją jej w uszach, na szyi, w zaciśniętych pięściach. Powietrze skamieniało, wydychanie go z płuc wymagało przeraźliwego wysiłku. Stali oboje, ona i strażnik, w kręgu światła rzucanego przez stojącą obok budki lampę, jak w blasku absurdałnego reflektora.

– Jakie są wasze plany?

– Ma być... w podziemiach... ratusza... – wykrztusiła Laura, przepychając każde słowo przez ściśnięte gardło.

W odpowiedzi usłyszała tylko kolejne przekleństwo, niemal zagłuszone przez szum krwi w uszach i wszechobecne dudnienie serca. Adrenalina rozrzedzała nocne ciemności, Laura dobrze widziała otaczające siedzibę CNW budynki. W samym wieżowcu świeciło się tylko w kilku oknach. Zwykle było ich więcej, ale zwykle w tym budynku nie odbywały się obławy.

Z budki wynurzył się drugi mężczyzna.

– Powiadomię ich – odezwał się.

– Świetnie. Ja przypilnuję tej tu.

Laura stała, nieruchoma jak słup soli, a w jej głowie galopowały setki myśli.



Łosiek okazał się nadspodziewanie dobrym kierowcą. Nie żeby sunięcie niemal pustymi ulicami miasta stanowiło wielkie wyzwanie. Michał chciał wierzyć, że też dałby sobie radę.

Początkowo jechali w stronę Centrum Nadrzeczywistości Wirtualnej, na swoją drugą zmianę. Później skręcili w stronę Parlamentu. Z rzadka na ich trasie jaśniały okna, drogi oświetlały

rozstawione z długimi przerwami lampy. Miasto, tak znajome, przemieniło się w ponury labirynt.

– Jak sądzisz, to... Ta wtyka może być wśród nas? – spytał Michał.

Starał się nie zdręczać, ale umykający kontroli problem męczył go nieustannie. W każdym cieniu widział czarne mundury antyterrorystów, w każdym błysku czerwieni – światła radiowozu.

– Jeśli tak, to po nas – odparł Łosiek, jakby mówił o tym, że nie będzie kawy w tym miesiącu.

– Stary!

– No co? Takie są fakty.

– Nie mógłbyś być czasem optymistą?

– Optymiści wiodą życie pełne nieprzyjemnych niespodzianek.

Nie mam nerwów na takie rzeczy.

Kolejny zakręt. Betonowe płyty terkotały pod kołami.

– Już z górki. Musimy się tylko wydostać z miasta – stwierdził Łosiek.

– Jak sądzisz, dziewczyny sobie poradzą?

– Spokojnie. Są bystre, nie powinny wysadzić sobie ręk.



Mirka opuściła budynek CNW tak, jak do niego weszła – piwnicznym okienkiem w skrzydle sprzątaczek.

Nika, dawna przyjaciółka Laury i najświeższy nabytek grupy, zdobyła pracę w tym miejscu bez trudu – sprzątaniami w Nowym Poznaniu zajmowała się od dobrych dwóch lat. Zostanie dłużej w pracy (rozlała środki do sprzątania i przekonała szefową, że musi je zmyć, by nie zniszczyły podłogi) i przemycenie materiałów wybuchowych (w kanistrze z nalepką „płyn do czyszczenia”) również nie nastręczyło trudności. Nikomu nie chciało się patrzeć na ręce sprzątaczkom, zwłaszcza gdy zagrożenia spodziewano się z zupełnie innej strony.

– Naprawdę mam nadzieję, że niczego nie zawaliłam – burknęła Mirka, gdy przemykały ku tylnemu wyjściu przy śmietnikach.

– Przecież i tak się nie przekonamy – przypomniała Nika. – Tu chodzi o groźbę.

– No, ale głupio by było, gdyby ktoś tam przyszedł, zaśmiał się i rozbroił wszystko w trzy sekundy. Nie mogłabym spojrzeć Flor-kowi w oczy.

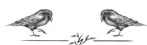


Florek patrzył przez okno, pod ręką miał świeżo kupiony mikrokomputer. Michał pogrzebał przy nim i wyłączył lokalizator, dzięki czemu nie powinien zostać złapany chwilę po wysłaniu wiadomości.

Rozważali jeszcze zawikłanie ścieżki przekazu, ale to nie miało sensu – i tak byli obserwowani. Kiedy prześlą wiadomość, druga strona będzie wiedziała dokładnie, z kim rozmawia.

Mieli ten szaleńczy blef i – jak wszyscy hazardziści – nadzieję. To musiało wystarczyć.

Nastał czas. Wiadomość gotowa. Florek zawiesił palec nad przyciskiem. Miasto rozbłysnęło bielą.



Parking uratował Laurze życie – gdyby nie on, zginęłaby pod ruinami wysadzonego budynku.

Rzuciła się na ziemię z brzękiem rozbrzmiewającym w uszach i rozpalonymi do białości oczyma. Ledwo czuła zadrapania na kolanach, pustka po wszechobecnej jasności i hałasie eksplozji rozsadzała ją od środka. Nie słyszała nic poza brzęczeniem, widziała tylko rozmazaną, ciemną szarość. Buchnęła w nią fala gorąca, odłamki wbijały się w skórę.

Co, na Boga...

Spróbowała się podnieść. Kolejna, słabsza eksplozja zwała ją z nóg – przynajmniej ją usłyszała i dostrzegła słaby, rozmazany błysk. Jeszcze coś widziała i słyszała.

Czołgała się w przeciwną stronę. Jeden ruch. Drugi. Uciekać, uciekać, uciekać.

W jej głowie było miejsce na tylko jedno pytanie.
Co tu się, kurwa, wydarzyło?



Co się wydarzyło?

Pierwszy element zagadki na wieki pozostał tajemnicą. To jeden z żyjących w budynku szczurów dobrał się do pakunku z ładunkiem wybuchowym i uruchomił zapalnik.

Drugi element odkryto wiele lat później, po długim śledztwie. Polskie serwery wykonano z tańszych odmian fungitu i staliplastu. Wykorzystany przez konstruktorów fungit palił się dopiero w bardzo wysokiej temperaturze – ale jak płonął, to z energią płomieni piekielnych. Budżetowy staliplast zaś w normalnych warunkach nie był niebezpieczny – ale w tych bardzo wysokich temperaturach wybuchał.

Wystarczyło odpalenie pierwszej bomby i kilka minut, by wszystkie serwery nowopoznańskiego CNW zniknęły z powierzchni ziemi.

Epilog

Dziewczynka szła ścieżką przez las i machała koszyczkiem. Wsłuchiwała się w ptasi świergot, ten radosny, powietrzny taniec dźwięków na tle szumu drzew. Okryte zielenią gałęzie sklepiały się nad jej głową, zza ich sieci przezierał błękit nieba.

Taka ładna pogoda nie zdarzała się często. Dziewczynka pamiętała wiele upalnych i mroźnych dni, widziała kilka huraganów, a raz burza zerwała dachy z domów w jej miasteczku i poniszczyła plony.

Natura potrafiła być przepiękna i łagodna, ale częściej bywała kapryśna lub groźna, jak dzikie zwierzę. Babcia mówiła, że to dlatego, że kiedyś ludzie byli dla niej niemili. Teraz byli miłsi, ale natura zdążyła ich zniełubić. Dziewczynka uważała, że to niesprawiedliwe – przecież ona nic nie zrobiła, a ci głupi ludzie z przeszłości dawno poumierali.

– Niestety, niektóre grzechy nie przemijają i przez tysiąc pokoleń – odpowiadała wtedy babcia.

Później tłumaczyła, o co chodziło z tym jakimś grzechem i pokoleniami, ale to okazało się na tyle skomplikowane, że dziewczynka zostawiła problem na potem. Świat co rusz oferował nowe rzeczy do rozumienia, a jak po czasie wracała do tych trudnych, to nagle okazywały się łatwe.

Ścieżka nie była długa i dziewczynka nie miała czasu na dalsze rozmyślanie. Wąska, niemal ukryta w gęstwinie dróżka rozszerzyła się jak delta rzeki i zamieniła się w położoną nad jeziorem polanę. Wiatr rysował fale na tafli, nad nimi śmigały ważki. Wodny jęzor oblizywał plażę tak, jak Mrusia wylizywała rękę dziewczynki, gdy ta zjadła coś wyjątkowo smacznego.

Na niewielkiej plaży, na przyniesionym przez siebie rozkładanym krześle ze stolikiem siedziała siwowłosa postać. Czytała pożółkłą ze starości książkę. Dziewczynka dopiero uczyła się czytać i onieśmiał ją ogrom czarnych znaków – a jednocześnie nie mogła się doczekać chwili, gdy będzie mogła powędrować ich ścieżkami w najdalsze zakątki cudzych wyobrażeń.

– Heeej! – zawołała dziewczynka.

Babcia obróciła głowę. Od zewnętrznych kącików oczu rozkładały się wachlarzyki zmarszczek, dwie bruzdy ciągnęły się między jej nosem a ustami. Dziewczynce niezbyt podobały się bruzdy, bardzo podobały się wachlarzyki, a najbardziej – oczy babci. Roziskrzono, szczególnie wtedy, gdy patrzyła na swoją wnuczkę.

– Cześć, mój Kapturku.

– Bo jeszcze mnie zje wilk i będzie ci smutno – obruszyła się dziewczynka.

Babcia się zaśmiała.

– Ten kawałek lasu sobie beczelnie i solidnie ogrodziliśmy, jeszcze przed... Jeszcze kiedyś. – Na krótki moment jej twarz posmutniała, z oczu zniknęły iskry, zasnuło ją cieniem.

Dziewczynka wiedziała, że kiedyś, długo przed narodzinami mamy, stało się coś bardzo strasznego – wielki wypadek w mieście. Potem działo się bardzo dużo niewiele mniej ważnych rzeczy, jak zawsze po czymś naprawdę istotnym. Babcia też dużo

wtedy robiła i niektórzy ją za to bardzo lubili, a niektórzy mieli zupełnie odwrotnie.

Dziwne, bo babci nie dało się nie kochać.

– To co tam przyniosłaś?

– Pierogi – oświadczyła dziewczynka.

– Ruskie?

– Ze szpinakiem.

Babcia westchnęła z niezadowoleniem.

– Powiedz tacie, że jego szpinakowa faza robi się nieznośna.

Dziewczynka pokiwała głową. Nie zamierzała mówić tego tacie, bo sama bardzo lubiła szpinak. Chociaż... Może jakby powiedziała, to zostałoby więcej dla niej?

Wyciągnęła ceramiczny półmisek – sama malowała go kiedyś w truskawki – i odsłoniła przykryte kuchenną ścierką pierogi. Sięgnęła po nie w tej samej chwili.

– Okej, całkiem niezłe – przyznała babcia.

Zdaniem dziewczynki pierogi były przepyszne. Zapchała sobie buzię kilkoma dużymi kęsami i teraz próbowała jakoś to wszystko poprzetykać. Przez chwilę jadły w milczeniu, woda, trzciny i liście szemrały, każde na inną nutę. Żółta ważka przysiadła na poręczy krzesła.

Ciszę przekłuło brzdęknięcie powiadomienia z babcinego telekomunikatora. Wyciągnęła go z kieszeni, odczytała wiadomość i prychnęła pod nosem.

– Kto to?

– Stary znajomy. Który nie rozumie, że ja chciałam sprawić, by na świecie było mniej głupich ważniaków, a nie zostać kolejnym takim głupkiem. Już wystarczy durniów na świecie, zawsze skądś wyleżą.

Dziewczynka zachichotała. Zapatrzyła się na poznaczoną zmarszczkami taflę.

– Tak tu ładnie – zachwyciła się, chyba po raz tysięczny.

– Oj tak. – Babcia uśmiechnęła się melancholijnie. – To jezioro... Przypomina mi jedno miejsce z przeszłości.

Zamilkła. Obie spoglądały na niekończący się pochód fal.

O autorce

Marta Gidyńska – ur. 2002 r. zdobywczyni III miejsca w III edycji konkursu literackiego Polskiej Fundacji Fantastyki Naukowej – nagrodzone opowiadanie pojawiło się w pokonkursowej antologii (*Ku gwiazdom. Antologia polskiej fantastyki naukowej 2023*, Wydawnictwo IX), w papierze debiutowała również w 2023 r. opowiadaniem *Zastygły ogród* (w zbiorze *W paprociach tańczące*, Wydawnictwo Osobliwe). Na Legimi można przeczytać jej opowiadania opublikowane w ramach działalności grupy literackiej Przyszań z Książką, której jest członkinią.

Przez wiele lat dzieliła się swoją twórczością w internecie. Uwielbia seriale animowane, pasjonuje się też rękodziełem, szczególnie tworzeniem biżuterii. Inżynierka mikrobiologii, studentka kognitywistyki.



Tożsamość narodowa

Jakub Sokołowski

I

Zamach, który nie miał miejsca

Jannik Weiss znakomicie przygotował się do zabójstwa. Jego plan był podstępny, wyrachowany i dostatecznie skomplikowany, aby docenił go każdy koneser entropii.

– Przykro mi, stary – rzucił chłopak do merdającego ogonem owczarka border collie. Ufne oczka psiaka rozczulały, ale wrażliwość należała do towarów luksusowych, na które Jannik nie mógł sobie pozwolić.

Spojrzał z balkonu na ruiny Katowic.

Z perspektywy ciągnącego się na niemal kilometr bloku porośnięte mchem i drzewami miasto przypominało betonowo-roślinny symbiont. Po lewej widać było stada gawronów, które urządziły sobie grzędy na zardzewiałych żerdziach dawnego klockowatego biurowca .KTW II. Obok dumnie sterczał Spodek – bez dachu bliżej mu było do antycznej, rzymskiej areny niż do obiektu z innego świata. Z kolei pozbawiony szyb, najwyższy apartamentowiec kompleksu ATAL Olimpijska przywodził na myśl zardzewiały, środkowy palec wystawiony przez Matkę Ziemię. Wszystkie zapomniane budowle łączyła pustka. Reflektory lamp samochodowych nie oświetlały popękanych ścian, a spacerowicze nie podziwiali surowej architektury metropolii.

Jednak biegnącą w dole Aleją Korfantego miał wkrótce prze-maszerować tłum. Wyruszy ze starego rynku, a przy zwykle nie-czynnej fontannie odda się marnotrawstwu.

Zbliżał się Festiwal Ognia i Wody. Jedyna noc przypominająca mieszkańcom Zony Katowickiej, jak się żyło dawniej. Noc zamachu.



Przez zabite na głucho okna dochodziły już pierwsze odgłosy zabawy. Jannik zbliżył oko do szczeliny pomiędzy deskami. W mroku ulice prezentowały się upiornie. Przyzwyczajony do światła miasta człowiek zapomina, jak wyglądają prawdziwe ciemności. Takie, które towarzyszyły naszym protoplastom w kotlinach afrykańskich. Te, przy których gwiazdy wydają się płonąć jasnym blaskiem, a w ludzkich sercach budzą się najniższe instynkty.

Ów antyczny mrok rządził w Katowicach, dopóki na aleję nie wkroczył korowód przebierańców – setki czarnych sylwetek na tle pochodni, zimnych ognii i fajerwerków. Weiss wrócił na balkon, aby dokładniej przyjrzeć się paradzie. Królował kontrast.

Niektórzy ubrali się elegancko. Garnitury o krojach rodem z XXI wieku przeważały zapewne wśród najstarszych uczestników marszu – tych, którym zdążono wpoić jeszcze dawne wartości i którzy wciąż byli uwięzieni w klatkach konwenansów. Pozostali puścili wodze wyobraźni. Nie bali się użyć wełny, słomy, lnu i sztucznej skóry. Wielu zapewne kolekcjonowało materiały na swoje stroje przez cały przemijający rok, tak trudno było je zdobyć. Pozszywali je samodzielnie albo przekazali lokalnym półprofesjonalistom. Efekt końcowy – szczególnie oglądany w nocy – porażał, zwłaszcza u tych, którzy do przebrań dołożyli czerwone, promieniujące w mroku gogle.

Diabły.

Wielki pochód przerażających bestii najróżniejszych kształtów i przynależności.

Tańczyli, a raczej wyginali się dziko w rytmie bębnow. Jannik sądził, że niektórzy wkrótce się połamią, że w szalonych płasach popękają im kręgosłupy, a z kończyn zostaną strzępy. Lecz tłum

nieprzerwanie brnął naprzód, nieskończona armia mieszkańców głodnych wolności. W eter niosły się krzyki i pojękiwania, przy akompaniamencie absurdalnych pieśni.

Wkrótce dotrą do fontanny, gdzie rozpocznie się spektakl dymu i światła. Z głośników zabrzmi muzyka, a potem opiekun Zony Katowickiej Joshua Fleming otworzy święto przemową.

Jannik zerknął na psa oraz spoczywające na stole ładunki wybuchowe i zestaw chirurgiczny. W miejscu, w którym wzniesiono podest dla oratora, umieścił nawet dla niepoznaki kupiony na czarnym rynku (jak wszystko zresztą) tajemniczy analog psich feromonów. Sprzedawca przysięgał, że nabyty u niego przeszkolony border collie wyczuje substancję z odległości kilometra...

Weiss westchnął. Chyba przygotował wszystko wystarczająco ostentacyjnie. Kilka razy był pewien, że ktoś go obserwuje.

Gdy usłyszał ciężkie kroki na klatce schodowej, odetchnął z ulgą, ostatni raz pogłaskał psa i rozsiadł się wygodnie na krześle. Brakowało mu tylko szklaneczki dobrej żytniej.

Służby specjalne bez pardonu wdarły się do apartamentu, a granat błyskawicznie przesłonił cały świat.



– Ambitne plany zasługują na docenienie – oznajmił Joshua Fleming. – Dlatego doceniam.

Jego gabinet w niczym nie przypominał pełnych przepychu urzędów sprzed dekad. Ot, drewniane krzeselka, stół jak z legendarnej Ikei, a na podłodze nawet nie rozłożono dywanu. W oczy rzucały się tylko komputer podpięty do kilku monitorów i skomplikowana sieć kabli znikających w podłodze. Teatralne, lecz imponujące, zwłaszcza w czasach, gdy mało kto mógł sobie pozwolić na swobodne korzystanie z energii elektrycznej, nie mówiąc o surfowaniu w resztkach dawnej Sieci.

Jannik – pospiny trytytkami jak nielegalny już dwudziestoletni Volkswagen – tkwił na krześle po drugiej stronie biurka. Jego rozmówca musiał się wywodzić z olbrzymów. Średnią wzrostu, wynoszącą metr siedemdziesiąt, przekroczył zapewne w czasach

nastoletnich, a jego krzaczaste brwi i gęsta broda onieśmiewały. Głos miał za to aksamitny, delikatny jak u dziewczeczki. Sam kontrast zbijał z tropu.

Dlatego też zbity z tropu Weiss milczał.

– Liczysz na więcej? – Joshua pokręcił głową. – Daruj sobie. Podobnie jak każdy zamachowiec skończysz na śmietniku historii. Bez twarzy, nazwiska i chwały. Nie potrzebujemy tu męczenników anarchii.

– Nie jestem zamachowcem – wyrzucił wreszcie Jannik, czując, że serce coraz silniej tłucze mu się w piersi.

– Ach, tak?

Fleming wstał, podobnie jak jego gigantyczny cień na przeciwległej ścianie. Gdy, trzymając w łapskach krzesło, okrążył biurko i spoczął naprzeciwko więźnia, przesłonił mu cały świat. Lekceważący uśmiech godny najwredniejszego belfra nie zniknął spod wąsa olbrzyma.

– Kimże więc jest nasz koneser materiałów wybuchowych? Może urwałeś się z zespołu pirotechnicznego? Dość mrzonek, przyjacielu. Zaakceptuj moje gratulacje i pożegnajmy się, jak na mężczyzn przystało.

– Gdybym zechciał przeprowadzić zamach, już byś nie żył. – Jannik nie spuszczał wzroku z opiekuna. – Tak, twoi ludzie ostatecznie by mnie zgarnęli. Ale w życiu by się nie domyślili, że to truchtający po ulicach kundel jest zagrożeniem. A wtedy: bum.

Joshua zmarszczył czoło.

– Kontynuuj – mruknął.

– Nie zaszyłem bomby. Nawet nie odpakowałem zestawu chirurgicznego.

– Czyli wydałeś sporo kasy i naraziłeś się na śmierć dla... frajdy? Poklasku?

– Nie znalazłem innego sposobu, by się z tobą skontaktować.

– Liczysz na autograf?

– Każdy urząd odsyłał mnie z kwitkiem, a tylko ty możesz mi pomóc. – Chłopak nie dał się sprowokować. – Szpitale pełne pod sam kurek, podczas gdy apteki świecą pustkami.

– A czegoż tak usilnie poszukiwałeś, mój mały terrorysto?

– Insuliny.

Joshua zaśmiał się gromko.

– Nie wyglądasz mi na cukrzyka, choć lekarzem nie jestem. Zresztą kto w tych czasach choruje na cukrzycę? Robotników dręczy skorbut, a ty się objadasz czekoladą?

– Nie ja. A cukrzyce są różne. Pierwszy rodzaj to pewnie jakiś promil ludzi. I nie zależy od słodkich przekąsek.

– Dla kogo więc cały ten cyrk? Dla żony? A może kochanki?

– Potrzebującej.

– Ależ szlachetnie i brawurowo z twojej strony. Przecież moi ludzie mogli zafundować ci wycieczkę prosto do pokoju przesłuchań, a stamtąd na szafot.

– Nawet w tym kraju musi istnieć jakaś sprawiedliwość.

– Nie mylisz się. Wołają mnie Temidą, miło mi cię poznać.

– To podejmij decyzję. Dziewczyna leży w piwnicach bloku, w którym mnie dorwaliście. Wkrótce wpadnie w kwasicę i umrze. Na imię ma Julia. Zużyłem wczoraj ostatnie zapasy insuliny.

Joshua milczał, minę miał marsową.

– Jeśli czegoś się nauczyliśmy od przodków – rzekł wreszcie – to że nie ma nic za darmo. W Zonie każdy pracuje. Co możesz zaoferować mnie, czyli de facto państwu, w zamian za tak hojną pomoc? Jesteś żołnierzem? Prawdziwym pirotechnikiem? A może felczerem? Nie ma cię w żadnych rejestrach.

– Nie pochodzę stąd. – Jannik przełknął ślinę. Gorzki grymas przebiegł mu po twarzy, ale w końcu westchnął i dał za wygraną. – Jestem architektem.

Fleming długo mierzył go uważnym spojrzeniem. Wreszcie pod wąsem uwidoczniał się kolejny uśmiech. Tym razem pełny satysfakcji.



Julia nigdy nie wydawała mu się przesadnie piękna, ale teraz, wypoczęta i bezpieczna, przyćmiewała niebo, ziemię i całe boskie stworzenie.

– Znalazłem robotę – burknął Jannik znad wertowanej książki. Dziewczyna odpoczywała na łóżku. – Nieźle płacą. Głównie w insulinie.

– Nie musisz tego robić.

– Przestań bajdurzyć.

– Co czytasz?

– Cegłę o podstawach architektury. Joshua mi ją załatwił z państwowych zbiorów. Na szczęście rozumie, że trochę minęło, odkąd ojciec uczył mnie, co i jak.

– Twój tata był architektem?

– Tak. Był.

Zamilkli.

– Wkrótce udostępnią mi pracownię, a w niej cyfrowy dostęp do starych archiwów Internetu – dodał chłopak, pierwszy raz się uśmiechając. – Niewyobrażalna dawka wiedzy specjalnie dla nadwornego architekta Zony.

– I co masz mu zaprojektować? – Julia przeszła do podpartego siadu, a sięgające ramion włosy spłynęły jej wzdłuż zgrabnej szyi. Dopiero teraz Jannik zdał sobie sprawę, jak bardzo zmierzniała w chorobie i biedzie.

– Osiedle. Chyba. Trochę skąpił szczegółów. W sensie... On nie chce budynku, a idei. Rozumiesz?

– Nie bardzo.

– Ten kraj... Zona. Choć to militarne podwórko, to jej watażce chyba faktycznie zależy na ludziach.

– Albo chciał, abyś tak sądził.

– Pomagałbym mu, choćby stanowił wcielenie Kim Dzong Una. Tak czy siak, Zona jest niemal samowystarczalna. Widzisz tamtą skrzynkę w kącie? Tę czerwoną? Mierzy, ile zużyliśmy wody i prądu, a nawet szacuje emisję dwutlenku węgla i parę innych rzeczy. Wszystko niby działa i jest bardzo praktyczne, ale... – Jannik się zawahał. – Joshua twierdzi, że to krucha równowaga. Że bez silnej ręki ten konglomerat przypadkowych mieszkańców zaraz skończyłby sobie do gardeł. Nawet się ze mnie śmiał, że co to za imię i nazwisko, że stanowią jakąś duńsko-polsko-niemiecko-i-cholera-wie-jaką mieszankę genów, o której nikt sto lat temu by nie pomyślał... I jak ludzie mojego pokroju mogliby stworzyć naród.

- Do brzegu, Jannik – parsknęła Julia.
- Mam mu wykreować nurt architektoniczny. Uniwersalny wzór, który zespoli ich miasta i zbliży ludzi. Dać im tożsamość i piękno.
- W pokoju znów zapanowało milczenie.
- O, cholera – skomentowała wreszcie Julia.
- W zamian – młodzieniec westchnął – przyznali nam mieszkanie i kartki na podstawowe produkty. Nie musimy już tyrać w polu rzepy czy innych kartofli.
- Przepraszam. To ja cię w to wpłatałam.
- Trochę na to, Julka, za późno. Ale przyjmuję przeprosiny.



Kilka miesięcy wcześniej Jannik Weiss żył spokojnie. Nie brakowało mu trudu, ale znosił je z godnością daleko od wielkomiejskiej cywilizacji, w zabitej dechami wsi wśród podobnych sobie odludków.

Każde przedpołudnie upływało mu na uprawie ziemi, rąbaniu drzew, drobnych naprawach i wypasie paru wychudzonych zwierząt. Pił mleko, jadł ziemniaki, wstawał o świcie, a kładł się po zmierzchu. Sam.

Któregoś dnia na jego progu zjawiała się wychudzona, blada dziewczyna o oddechu przesiąkniętym acetonem.

Przeżyła tylko dzięki szybkiej interwencji pobliskiego medyka. Leki zdobyli cudem. Były zanieczyszczone i rozcieńczone, ale działały. Nie narzekali – nikt już przecież nie zajmował się wielkoskalową produkcją, a łańcuchy dostaw upadły.

Syfiasta ampułka uratowała Julię, a jej rekonwalescencja przebiegła na barłogu Jannika. I to za jego pieniądze, pozyskane nie tylko ze sprzedaży upraw, ale także dzięki udzielaniu prywatnych lekcji matematyki oraz zaprojektowaniu kilku prostych chat i stodoł.

Później także we wsi zaczęło brakować insuliny, zaś lekarzowi zostało tylko rozkładać bezradnie ręce. Julia, której rodzice zginęli w jesiennej powodzi, była zdana na Weissa, a Weiss – który już nigdy nie chciał być sam – na nią.

W ten sposób zdecydowali się zaryzykować podróż do miasta. W torbie mieli trochę ubrań, prowiant i ostatnie ampułki.

II

Problemy działu zasobów ludzkich

– Nie sposób nie zapytać, pytanie wręcz wisi w powietrzu – stwierdził podniosłe Joshua, gdy stanęli przed drzwiami nowej pracowni Jannika. – Dlaczego?

Weiss czekał na kontynuację, ale jego nadzieje okazały się płonne. Opiekun Zony najwyraźniej przyzwyczał się do tego, że rozmówcy czytają mu w myślach.

– Słucham?

– No, dlaczego rzuciłeś swój fach? – skończył wreszcie polityk, kładąc ciężkie łapsko na barku chłopaka. – Kazałem zrobić mały research. Wiem, że uczył cię ojciec. Pan Weiss senior należał do czołowych twórców domu kapsułowego. Powtórzę więc: dlaczego? Jannik zastygł.

– Sprawy prywatne – wymamrotał wreszcie. – Potrafię projektować, to najważniejsze.

Joshua pokiwał głową ze zrozumieniem, ale jego następne słowa świadczyły o czymś zgoła przeciwnym:

– Wrócimy do tej rozmowy, przyjacielu. Tymczasem witaj w swoim nowym miejscu pracy!

Za drzwiami czekała przestrzeń naprawdę rozległa jak na ekologiczne standardy. Wysoki sufit, spore okna, dużo światła... Pośrodku wielki stół, mnóstwo papieru, ale także kącik informatyczny z komputerem, zestawem VR i drukarką 3D. Najwyższy standard.

– Niemal pełny dostęp do archiwum, tak jak się umawialiśmy – rzekł z dumą Joshua, trochę jak ojciec obdarzający dziecko zabawką. – Aby spojrzeć w przyszłość, należy najpierw przeanalizować przeszłość i zrozumieć teraźniejszość. Nasze dzisiejsze marzenia to jutrzejsze standardy. Czujesz podekscytowanie?

– Pewnie – mruknął martwym tonem Jannik.

– Wkrótce spodziewam się ujrzeć pierwsze rezultaty. Tymczasem zostawię cię z twoją asystentką.

– Asy...

– Maria. Miło mi.

Dotychczas stała przy drzwiach, tuż poza zasięgiem wzroku. Piękna, jasnowłosa, dobrze odżywiona, zaskakująco wysoka i ślicznie pachnąca... Przez chwilę Jannik sądził, że ktoś rozpylił w pokoju perfumy, aby umilić mu pracę. Jak widać się mylił.

– Dotychczasowa architektka miasta – dokończyła kobieta.

Jej dłoń zdawała się porcelanowa, ale spojrzenie było zdecydowanie stalowe.



– Co to, do cholery, znaczy asystentka? – wyrwało się Weissowi, gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za Joshua. Jednak chłopak zaraz się zreflektował. – Przepraszam. Nie odbierz tego źle, po prostu...

– Niedawno sama znalazłam się w podobnej sytuacji – oznajmiła Maria. Oparła się o blat stołu niczym generał dumający nad strategią. – Pomyślałam: co to, do cholery, znaczy przełożony? Cóż, takie pytania niewiele zmieniają.

Zapadła krępująca cisza, przerywana tylko buczeniem wentylacji.

– Czyli... – Jannik mało precyzyjnym gestem wskazał otoczenie.

– To wszystko twoja robota? Twój projekt?

– Za dużo powiedziane. Piastowałam stanowisko przez ostatnich kilka lat, a poza tym planowanie czegokolwiek w Zonie to *de facto* kwestia szczęścia, humoru urzędników i akuratnie dostępnych materiałów. Trudno nawet nazwać to projektowaniem.

– Młoda jesteś, jak na kierowniczkę.

– Ty niewiele starszy. Szybko umieramy, więc jeszcze prędej zaczynamy.

– Słuchaj... – Weiss się zawahał, ale wreszcie znalazł odwagę i zbliżył się do dziewczyny. – Nie chciałem tego, tak? Sorry. Nie wygryzłem cię dla chwały ani pieniędzy, tylko dla...

– Laski.

Zatkało go.

– Skąd wiesz?

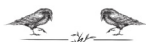
– Bez znaczenia.

– Zrozum...

– Mam cię nadzorować. Sprawdząć, czy robisz wszystko, co w twojej mocy, i czy naprawdę masz wiedzę i zdolności. – Palec Marii wylądował na piersi Jannika. Młodzieniec poczuł ostry paznokieć nawet przez grubą warstwę ubrań. – Z przyjemnością zaraportuję każdy epizod dyletanctwa, każde potknięcie. Miłej pracy.

A potem, jak gdyby nigdy nic, znów pochyliła się nad papierami.

– Zaczynamy? – spytała z wrednym uśmiechem.



Opowieści ojca zaszczyliły w nim miłość do historii, więc gdy po kilku godzinach załatwili z Marią pierwsze formalności, Jannik z lubością oddał się szperaniu w archiwach upadłej Sieci.

Żałował, że systemy nie są już obsługiwane przez AI, a dawne wyszukiwarki zniknęły. Gmeranie w niemal surowych plikach onieśmiewało, a wyławianie szczątków wiedzy z odmętów Internetu i porządkowanie ich na osi czasu przypominało nawleknięcie nitki na oczko igły za pomocą mechanicznego żurawia.

Czegoś tam się jednak dowiedział.

Dawniej świat wyglądał odmiennie. Ostatnie dwa stulecia, a szczególnie posępny XX wiek, straszyły czernią wydobywanego węgla i ropy naftowej, zaś w piecach palono wszystkim od ekogroszku po gumki. Wzrost średniej temperatury powietrza przekraczający dwa stopnie Celsjusza względem epoki przedindustrialnej nikogo za bardzo nie martwił, a jeśli nawet, to „przecież to nie pierwszy raz, a Chiny, panie...”.

Obecnie Chińskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej już od dawna nie było na mapach.

Tymczasem stopniały ostatnie lodowce Arktyki, a niedźwiedzie polarne stały się eksponatami w muzeach. Akwenty sięgnęły mokrymi łapami po nadmorskie obszary – Gdańsk, Elbląg i całe Żuławy Wiślane poszły na dno niczym Titanic. Wkrótce do niszczycielskich fal dołączyły huragany i burze gradowe, a wraz z nimi paradoksalnie susze i śmiertelne pożary.

Kiedy Gdynianie wyławiali świąteczne skarpety z zatopionych domów, w Wiśle na wysokości Płocka odnotowano rekordowo niskie trzy centymetry. Owe świąteczne skarpetki, rzecz jasna, stały się wkrótce po prostu skarpetkami, bo o zimie i świętach dzieci końcówki XXI wieku dawno nie słyszały.

Jannik widział wiele tabloidowych nagłówków o braku wody zdatnej do picia, klęskach głodu, katastrofalnie niskich plonach i zrujnowanej infrastrukturze energetycznej w całej Europie. Miasta odżyły dzięki napływowi ludności z okolicznych wsi, w których efekty zmian zaczęto odczuwać wcześniej. Jednak wkrótce klęski zapukały także do drzwi metropolii, a jadące na oparach benzyny samochody mogły już tylko zabrać biedaków do lepszego miejsca.

W wielu dzielnicach brakowało prądu, handel międzynarodowy zamarł, a złoża ziem rzadkich wyczerpano, zniknęły więc też karty graficzne i procesory. Systemy bankowe wypięły się na klientów, zaś posiadanie komputera stało się luksusem. Zapuszczono autostrady, zatrzymano wielkie inwestycje, kosmos wylądował w szufladzie mrzonek żyjących beztrósko przodków.

Wreszcie szlag trafił ZUS i ubezpieczenia. Makabry dopełniły niska dzietność, nieudolność rządów i wszechobecne zamieszki. Siły porządkowe okazały się bezradne wobec przemocy wśród obywateli. Jakby tego było mało, z Globalnego Południa oraz z krajów ościennych do centralnej Europy zaczęły napływać fale migrantów, co podgrzewało wewnętrzne konflikty.

Wkrótce wybuchły pierwsze wojny o zasoby.

O nadchodzącej nuklearnej zimie pisały chyba wszystkie czasopisma globu, a zegar końca świata wybijał północ równie często, co tradycyjny. Ostatecznej katastrofy uniknięto, ale miasta przeobraziły się w wypełnione skłotami pustkowia, służące głównie jako źródła materiałów do budowy prowizorycznych szałasów.

Jak to zwykle bywa, najmocniejszy cios uderzył w zdrowie.

Antynaukowe teorie o szczepieniach, niedożywienie, niekontrolowany napływ ludności i załamanie dostaw leków sprawiły, że przypomniały o sobie dżuma, krztusiec i gruźlica. Masowo umierali także przewlekłe chorzy. Jannik wzdygnął się na myśl o wszystkich cukrzykach, podobnych Julii. A przecież nawet zdrowi nie pozostawali bezpieczni. Za ciepłem przybiegły szczury,

przyleciały komary i muchy, a na gapę dostały się też pchły. Gorączka Zachodniego Nilu, denga, cholera i pasożyty terroryzowały każde skupisko ludności. Nie próżnowały także wirusy, mutując raz po raz w groźniejsze i bardziej zakaźne patogeny.

Biorąc pod uwagę okoliczności, trudno się dziwić, że podupadły autorytety. Nikt nie ufał rządowi, ONZ-etowi czy papieżowi, za to jak grzyby po deszczu wyrosły różne kultury.

Chaos musiał doprowadzić do dyktatury.

Społeczności się zmilitaryzowały, wykorzystując pozostawiony przez wojsko sprzęt. Władzę przejęły junty i, choć nie obyło się bez ofiar, ostatecznie opanowano złodziejstwo, bandytyzm oraz mordy za szklankę wody i parę kapci. Z czasem jedni tyrani zastępowali drugich. Gros z nich pożarła korupcja lub obaliły bunty, ale część zdołała przetrwać, a nawet scalić pokaźne obszary.

Na większości terytoriów dawnej III Rzeczypospolitej powstała Konfederacja Stanów Ludowych, w której skład weszły Zony, włącznie z Katowicką. Zarządzając nią Joshua Fleming nie widniał w bazach danych, zapewne nieprzypadkowo. Jannik długo dumał, na ile tak naprawdę może ufać czemukolwiek, co tu przeczytał.

I gdy się tak zastanawiał, zdał sobie sprawę, że zapadł zmrok. Wracać do domu, do Julii? Tylko ją obudzi, a mógłby jeszcze wiele się dowiedzieć, zaplanować jutrzejszą pracę i...

Przypomniał sobie ojca i prędko wyłączył system.



– Sednem tego miasta jest ergonomiczny podział. Koncepcja piętnastominutowa, tak?

Maria pokiwała głową. Siedzieli nad pustymi arkuszami już dobry kwadrans.

– Pięć dystryktów – gadał dalej Jannik. – Centralny, dawne Śródmieście. Rządowe gmachy wśród dawnych ruin, z których możemy czerpać surowce na nowe budynki. Do tego laboratorium, kampus uniwersytecki, placówki wojskowe, schrony, a nawet elektrownia szczytowo-pompowa i magazyny żywności...

– Ligota obsługuje farmy wiatrowe. Murcki to hodowla, sadzonki i agrokultura, a Dystrykt Sosnowiecki zaopatruje nas w pojazdy elektryczne i wodorowe. – Maria wypluła to wszystko na jednym wydechu, byle tylko przyspieszyć. – Zostaje Chorzowski i recykling odpadów. Którykolwiek pasuje jaśnie wielmożnemu panu? Możemy zacząć cokolwiek planować, czy mam zgłosić opiekunowi, że pół dnia spędziliśmy czytając prasę, a resztę na pierdoleniu?

– Niemilo – mruknął z roztargnieniem Jannik, myślami wyrażnie w innym świecie.

Maria westchnęła przeciągle.

– Ludzie są zorganizowani w spółdzielnie energetyczne – tłumaczył sam sobie Weiss. Tylko w ten sposób potrafił uporządkować tak dynamicznie pozyskaną wiedzę. – Wielkie, dzikie konglomeraty blokowisk. Powinniśmy celować w kompaktowość.

Młodzieniec zaczął się przechadzać po pomieszczeniu, a Marii nie pozostało nic innego, jak tylko wodzić za nim wzrokiem.

– Budulec? Tani i łatwo dostępny – kontynuował. – Karbonizowane odpady kopalniane, resztki cementu, ukradzione cegły, płyty z karton-gipsu, szyby i drewno. Cholera, czasem nawet zalane betonem opony i butelki, ale tu trzeba pamiętać o toksycznych oparach z gumy...

– Opowiadasz jak o piekle, a mamy przygotować utopię – warknęła Maria.

– Wokół pola uprawne, szklarnie i morze paneli słonecznych. – Architekt nie przejmował się wyrazem twarzy asystentki.

– Możesz na chwilę przystopować?

– Pokoje integracji i wspólnego gotowania faktycznie budują poczucie solidarności, ale... O, a na parterze sklepy, gabinety lekarskie i punkty dystrybucji dóbr...

– Słyszysz, co do ciebie mówię?!

Dopiero wrzask dotarł do Weissa. Chłopak powoli obrócił głowę w stronę towarzyszki.

– Jeśli masz jakieś wartościowe uwagi, to je dorzuć – rzekł lodowato. – Jeśli nie, pozwól mi się namyślić. Asystentko.

– Ty złażdaczony karaluchu. Jesteś jeszcze bardziej bezużyteczny, niż się tego spodziewałam. Tak oszukać opiekuna Zony... Prawdziwa sztuka. Gratulacje.

– Nieistotne uwagi zostaw dla siebie. A teraz pomyśl: co łączy wszystko, o czym rozmawialiśmy? Działa, ale jest brzydkie i chaotyczne, jak spowiedź po pijanemu. Notuj.

Coś w jego głosie kazało Marii posłuchać. Gdy chwyciła za pióro, lekko drżała jej dłoń.



Joshua poprosił Jannika o raport w tym samym momencie, w którym ten złożył wniosek o audiencję. Tematyka też się pokryła.

– Maria – zaczął architekt.

– Maria – zgodził się opiekun.

Przechadzali się ogrodami otaczającymi domek polityka. Skromny domek. Jeśli nie miał wielopoziomowego bunkra pod podłogą, to właściwie nie różnił się od standardowego schronienia urzędnika Zony. Tylko sąsiadów było mniej. Weiss z zacięciem oglądał entropię barw i faktur na wznoszonych byle jak i z byle czego ścianach. Sycił wzrok topornymi łukami i beznadziejną wykończeniówką. Ale w połączeniu z panelami słonecznymi, zarośniętym gankiem i kręcącymi się w oddali wiatrakami, posiadłość zyskiwała niepowtarzalny urok.

– Moja była nadworna architektka – przemówił Joshua – zgłosiła mi, że mój nowy nadworny architekt jest imbecylem o IQ kwalifikującym do renty. Zasugerowała także konieczność zbadania Julii w celu potwierdzenia cukrzycy. Kto wie, może przemycacie przekazaną insulinę na obszar byłej Białorusi?

– Sprytne – stwierdził stoicko Jannik. – Skoro o tym nie pomyślałem, to może faktycznie brakuje mi oleju w głowie.

– Coś w jej głosie i mimice kazało mi nie traktować tych oskarżeń poważnie. Ona cię chyba w jakiś sposób podziwia, ale uznanie bez satysfakcji rodzi zazdrość zamiast szacunku.

Architekt spojrział z zaskoczeniem na polityka.

– Nienawidzi cię, bo odebrałeś jej robotę – dodał Joshua. – Ale zdaje mi się, że tkwi w tym coś więcej. Chyba nie może się pogodzić z myślą, że miałem słuszość, stawiając cię ponad nią. Głupio z jej strony. Ja się wszakże nigdy nie mylę.

- Nie wątpię.
- To wszystko, co miałem ci do przekazania. Czego ty sobie życzysz?
- Chcę wystosować formalny wniosek o usunięcie lub wymianę asystentki.
- Odrzucono.
- Jannik przystanął przy krzewach winorośli.
- Powód?
- Potrzebny ci nadzór.
- To może ktoś inny?
- Maria to mój zaufany człowiek.
- Sabotuje projekt.
- Pod twoim adresem padają te same oskarżenia, przyjacielu.
- Ale...
- Bez dyskusji.
- Weiss fuknął, lecz niewiele więcej mógł począć. Poszli dalej.
- A może zjedlibyście razem kolację? – zasugerował Fleming, drapiąc się po brodzie.
- Jak para?
- Jak partnerzy w firmie. To miły gest, topi pierwsze lody i daje pole do wyjaśnień.
- Albo generuje kolejne kłótnie. Z nią się nie da rozmawiać.
- E, tam. Ze mną rozmawia prawidłowo. Do każdej kobiety można dotrzeć, ale każda taka podróż wymaga rozeznania. A coś mi mówi, że w przypadku Marii dobra kolacja się sprawdzi.
- A ty się nigdy nie mylisz, tak?
- Otóż to. Gotujesz co nieco?



W Katowicach nie istniały już restauracje. „Tatiana”, „27th Floor”, czy „Aioli” stanowiły jedynie nic nie znaczące nazwy w przestarzałych rejestrach, które Jannik przeglądał namiętnie w każdej wolnej chwili.

Ale teraz musiał się oddać innym aktywnościom, niejako wrócić do wiejskich korzeni – przygotować posiłek.

Nic prostszego, można by rzec. Nic bardziej mylnego, odparłby Weiss. Zona nie dysponowała sklepami rodem z kapitalistycznej przeszłości. W domu przywykł, że je to, co wyda na świat jego poltka. Tutaj pozostały mu tylko przekazywane sumiennie przez urzędniczkę kartki na żywność i magazyn dystrybucyjny na parterze XXVI Jednostki Spółdzielczej.

A tam? Posucha. Najpierw należało się ustawić w nieprzyzwoicie długiej kolejce, następnie zadzwonić dzwonkiem. Wówczas automatyczny mechanizm z głośnym skrzypnięciem otwierał pancerne drzwi rodem z filmu szpiegowskiego. Petent wkraczał do ciasnego, ciemnego pomieszczenia, gdzie znajdował pulpit, a na nim monitor. Wieszający się bezwstydnie interfejs prezentował ubogą ofertę – Jannik czuł się, jakby zamiast do sklepu trafił do nieistniejącego już Caritasu.

Chleb, trochę warzyw i owoców, ser żółty, biały, chude mięso. Syntetyczne, bo prawdziwe stało się zapomnianym rarytasem. Wybrał kurczaka z drukarki 3D, trochę jajek, pomidory, a potem musiał się porządnie zastanowić – cukier czy setka wódki? Uznał, że do herbaty nada się jedno i drugie, ale wołał nie widzieć Marii pijanej. Istniało ryzyko, że etanol, zamiast uspokoić, tylko by ją rozsierdził.

Towar czekał w okienku na zewnątrz, gotowanie natomiast odbywało się we wspólnej kuchni.

– Pożyczyłby sąsiad tego soczystego pomidora? – zagadła go jakaś starsuszka z błyskiem w oku. – Mam najlepsze papierosy na osiedlu...

Jak w PRL-u. Nikt pałką nie tłukł, za to toczyła się wieczna wojna o garnki. Wszyscy pragnęli tych teflonowych. Brakowało też łyżek, ale drużynowo dało się osiągnąć każdy cel. Narzędzia szły z rąk do rąk; jeden zajmował się smaženiem, drugi szatkowaniem, ktoś tam szorował szklanki, a parę osób oddelegowano do utylizacji odpadków. Niemal nic nie trafiało do śmietnika. Resztki szły na kompost, wyciśnięty miąższ przerabiano na mrożone musy, z kości pozyskiwano szpik albo odkładano je dla zwierząt, a z twardego chleba produkowano nawet makaron. Jannik z fascynacją przypatrywał się procesowi kandyzowania skórek pomarańczy czy przerabiania obierków z marchewek i cebuli na

przypraw. Sam stosował w domu wiele trików, ale skuteczność tej ekipy w pełnym wykorzystywaniu zasobów to była inna liga.

Wszystkich jednak łączył niepokój – każdy zerkał na licznik w kącie, a zmarnowanie choćby kubka wody uchodziło za nietakt. To wtedy Weiss postanowił poświęcić więcej czasu wewnętrznemu obiegowi płynów w projekcie. Może jakieś filtry chemiczne albo nawet biologiczne, tylko co z kosztami?

Później zrozumiał też, że przypadkiem trafił na sekcję kucharską. Pewni mieszkańcy spółdzielni, którzy przejawiali pasję i talent do gotowania, dokonywali drobnego barteru – przygotowywali posiłki dla społeczności, społeczność zaś opiekowała się ich częścią pól uprawnych. W ten sposób ludność specjalizowała się w warunkach komuny.

– Przygotowałam cynamonki. Nawet nie wiesz, jak trudno zdobyć tutaj cynamon.

Znał ten głos, choć tak rzadko go ostatnio słyszał. Rozpromienił się, serce szybciej zabiło.

– Jezu, nie zauważyłem cię...

– Byłam w innej kuchni. Tu trochę tłoczno.

Z tacką bułeczek w rękach i w uroczym, oprószonym mąką fartuszkul Julia zdawała się wyrwana wprost z bajki. Istny Kopciuszek, ale Jannik w żadnym wypadku nie czuł się księciem.

– Wyglądasz świetnie – rzucił. – Coraz lepiej każdego dnia. Cieszę się.

Wyszli na taras. Wiklinowe krzesła zaskrzypiały, a wietrzyk muskał włosy.

– Ładnie tu – powiedziała Julia. – Znacznie wygodniej niż na wsi. Choć czasem... dziwnie.

– Ta. To chyba najlepsze słowo. Ale dla mnie liczy się, że jesteś zdrowa.

– „Zdrowa”. – W głosie dziewczyny wybrzmiała gorycz. – Ja nigdy nie będę zdrowa, Jannik. Jedno zawieszenie dostaw, jakaś drobna katastrofa w tych laboratoriach w Dystrykcie Centralnym... I nie żyję.

– Nawet nie chcę o tym słuchać.

– No tak, bo ignorowanie problemu pomoże nam go rozwiązać.

–Zamartwianie się tym, na co nie mamy wpływu, zatrjuje nam życie.

Jednocześnie westchnęli – stanowiło to ich rytuał przy każdej nierozwiązanej różnicy zdań.

–Dzięki za pomoc w przygotowaniach – rzekł wreszcie architekt. – Nie musiałaś.

–Przecież jestem twoją skrzydłową na tej randce.

–To nie randka.

–Ach, tak?

Nie usłyszał tego gorzkiego akcentu w jej tonie, nie zauważył smutku w orzechowych oczach. Dopiero później zdał sobie sprawę, że generalnie mało widział.

Spędzili dobry kwadrans, wpatrując się w zachodzące słońce, systemy skraplające wodę, żwirowo-ziemne drogi, błyszczące szklarnie, srebrzyste panele i monumentalne wiatraki, których skrzydła wyznaczały rytm życia całej społeczności.

To wszystko kiedyś pieprznie, pomyślał Jannik, a potem musiał się zbierać na randkę-nierandkę.



Rozłożyli koc w Dystrykcie Centralnym, blisko dawnego koryta Rawy. Rzeczulka dawno wyschła, ale zdeformowany rów nadal wił się pomiędzy ruinami kamieniczek i rozsianymi gdzieniegdzie nowoczesnymi domostwami. W miejscu dawnego Hotelu Katowice usypano pagórek, który stanowił teraz popularny punkt wypoczynkowy. Światło lamp ulicznych, świecących dzięki umieszczonym w ich komorach grzybom z nadekspresją lucyferyny, rozpraszało ciemności. Kolejny sukces technologii CRISPR¹.

Maria zrobiła fenomenalne wrażenie. W stylowej marynarce oraz wzorzystym płaszczu, z wysoko upiętymi, opalizującymi włosami i ciągnącym się za nią jak cień zapachem cynamonowo-jabłkowych perfum wyglądała przy nich jak księżniczka w towarzystwie jałmużników.

1 CRISPR – metoda inżynierii genetycznej pozwalająca na modyfikowanie genu danego organizmu; nazywana także „genetycznymi nożyczkami”.

Czy ja też się taki stanę? Pytanie samo się nasuwało, w końcu Jannik przejął jej stanowisko. Jednak na razie Joshua nie płacił zbyt szczerze...

Po formalnym zapoznaniu poczęstowali gościnę porcją witamin. Dostali je w prezencie od miłego sąsiada, który zaś – podobnie jak wszyscy – otrzymał je w ramach państwowej dystrybucji. Wy tłumaczył im, że oddanie komuś swoich tabletek uchodziło za bardzo miły gest.

Potem usiedli, napili się herbaty i spróbowali szakszuki.

– Jannik opowiadał mi, że współpraca fajnie się wam układa – zagadła niezręcznie Julia, a Weiss miał ochotę zapaść się pod ziemię.

– Tak? – Maria uśmiechnęła się lodowato. – Miło z jego strony. To świetny pracownik.

„Pracownik”? *Och, proszę bardzo.*

– Dopiero zaczęliśmy planowanie – odezwał się architekt. – Ale bez tak kompetentnej asystentki, nawet to stanowiłoby spore wyzwanie.

Gdyby ich oczy były podłączone do prądu, zapewne strzelałyby piorunami.

– Jesteśmy na bardzo wczesnym etapie planowania – dodała blondynka i upiła łyk naparu. – Musimy poważnie przyspieszyć, bo jeszcze opiekun uzna, że robimy go w konia.

Ostatnie zdanie nie było żartem.

– Dawniej sądziłem, że wolę pracować solo – przemówił z pełnymi ustami Weiss. – Ale Maria uświadomiła mi, że prawdziwie efektywni jesteśmy dopiero w zespole. To wielka ulga, gdy ktoś przygotowuje papiery, naostrzy ołówki czy naprawi interfejs w VR-ze...

Julia zbladła i patrzyła raz na jedno, raz na drugie.

– Jestem pewna – rzekła powoli Maria, jakby z każdym słowem rozgryzała kamień w ustach – że wkrótce przedstawisz pierwszy projekt Joshui. Ciągłe o niego wypytuje.

Nim Weiss zdążył odpowiedzieć, Julia zaproponowała cynamonki. Mlaskali w milczeniu. Wreszcie piekarka nie wytrzymała.

– Zaraz mnie szlag trafi – warknęła, niemal przewracając swój talerzyk z bułeczką. – Nawet przyjemną kolację w plenerze potrafić obrócić w bezsensowne jojczenie.

Jannik i Maria popatrzyli na nią ze zdumieniem, ale nie pozwoliła się zbić z tropu.

– „Cholera jasna, jestem taka biedna, bo straciłam moje prestiżowe stanowisko” – przedrzeźniała, robiąc to nad wyraz trafnie. – „Jezu Chryste, moje ego nie zniesie rywala”. Szlag, jakbym trafiła na przedszkolne jasełka. Mieliście się tutaj pogodzić. PO-GO-DZIĆ. Ty zaakceptować decyzję szefa, a ty okazać szacunek współpracownikowi i razem stworzyć coś fajnego, żeby nam się, kurwa, lepiej żyło. Boże! Wy naprawdę powinniście kiedyś spróbować mieć prawdziwe problemy.

To jeszcze nie był koniec. Wstała i górowała nad nimi jak Temida w dniu sądu.

– Idę do toalety – oznajmiła podniośle. – Zamierzam wrócić do dwójki wesołych przyjaciół. Albo znajdę ich na naszym kocu, albo poszukam innego. Do zobaczenia.

I pomaszerowała w dół zbocza. Sądząc po odległości do szale-tów, architekci mieli jakiś kwadrans na dogadanie się.

– Twarda babka – mruknęła Maria, dopijając herbatę. – Przyda-łaby się wódka po takiej burze.

– Ta... – Jannik nie wiedział, co ma począć z rękami. – Nie zna-łem jej od tej strony.

– A długo się znacie?

– Nie jakoś bardzo. Ale sporo razem przeszliśmy.

Cisza.

– Przepraszam za te słowa w pracowni – mruknęła nagle asy-stantka, krzyżując ręce na piersi. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, choć próbowała. – Nie sądzę, abyście nas oszukiwali. Przynaj-mniej mam taką nadzieję.

– No to ja przepraszam za tekst o ostrzeniu ołówków. I za całą resztę. W porządku?

– Myślę, że tak.

Jannik westchnął.

– Nie zmienimy decyzji Joshui, to chyba jasne, nie?

Maria parsknęła.

– Bez wątpienia.

– On chce, żebym pracował z tobą, więc go posłuchajmy. Nie sabotujmy się nawzajem, po prostu spróbujmy. Może nic z tego nie wyjdzie i odzyskasz fuchę. A może będzie sukces? Wtedy i tak zrezygnuję.

– A insulina?

– Są inne sposoby, żeby zarobić.

– Nie wiem, czy twoje podejście spodobałoby się Joshui...

– A doniesiesz mu? Jeśli tak, to wspomnij, że dla mnie istotne jest tylko zdanie moje, Julii... i twoje. Od dzisiaj.

Pierwszy raz szczerze się do siebie uśmiechnęli.

III

Antoni Plàcid Guillem Gaudí i Cornet – do usług

– Nazywam się Antoni Plàcid Guillem Gaudí i Cornet – przedstawił się hologram w VR-ze. – W czym mogę pomóc, wędrowcze?

– Ale fajne – wymamrotał sam do siebie Jannik. – Zaprezentuj listę swoich dzieł.

– Naturalnie.

Brodaty Katalończyk z XX wieku uklonił się kurtuazyjnie, a następnie odsunął na bok, pozwalając się rozwinąć mnogim, pstrokatym wizualizacjom nieistniejących już zapewne gmachów. W pierwszej chwili Weiss poczuł się przytłoczony – słyszał o Gaudím, ojciec czasem pokazywał mu stare fotografie w książkach albo coś opowiadał, ale młodzieniec nigdy by się nie spodziewał, z jak bogatym dziedzictwem ma do czynienia.

Interfejs pozwalał na to, by ruchem palca przesuwać i powiększać kolejne projekty. Janik widział je dzięki okularom, na pozór całkiem zwykłym, ale pozwalającym wcielić wirtualny świat w ramy realnego. Oglądane pozycje nie znajdowały się centralnie w polu widzenia, więc nie blokowały kontaktu z otoczeniem, a smukła opaska na nadgarstku umożliwiała manewrowanie w tej abstrakcyjnej, obcej rzeczywistości prostymi gestami.

– Czy zechciałby pan, abym opowiedział szczegółowo o którymś z mych dzieł? – spytał uprzejmie Antoni. – Mogę też przybliżyć

ogólną ideę przyświecającą mojej pracy wraz z przedstawieniem źródeł informacji.

– To. Opisz ten budynek.

– Naturalnie.

Jannik nie wiedział, czy ma do czynienia z AI, czy z jakimś oskryptowanym oprogramowaniem. Gaudí odpowiadał na pytania, nawet te nieco abstrakcyjne, choć nigdy całkowicie nie odbiegał od tematu architektury. Młodzieniec wiedział, że w Zonie oszczędzano prąd, a wielkie projekty należały do przeszłości. Dlatego trudno było mu sobie wyobrazić, że ktoś poświęcałby megawaty na zasilanie sztucznej inteligencji muzealnego kustosa.

– Ów gmach zwał się Palau Güell i mieścił się w dzielnicy El Raval w Barcelonie. – Głos hologramu stał się raptem mechaniczny. – Przypis: „Miasto Barcelona przestało istnieć pod koniec XXI wieku, podobnie jak omawiany projekt”. Wykonałem go na zlecenie przyjaciela Eusebia, który dostrzegł mój kunszt na wystawie światowej w Paryżu. Pragnął rezydencji godnej posiadanego bogactwa. Willi, która będzie piękna, awangardowa, a jednocześnie funkcjonalna. Inspirowałem się nie tylko kulturą mojego regionu, ale także wzorcami arabskimi, które przejawiają się w roślinnych motywach. Wnętrze jest pełne przepychu i zarazem praktyczne. Używałem różnorodnych materiałów, głównie wielobarwnego wapienia i granitu, ale także żelaza czy hebanu, nadając wszystkiemu luksusowy charakter.

– Śliczne meble.

– Zawsze przyświecały mi idee ergonomii. Czerpałem inspiracje z natury. Lot ptaków, szkielety gadów czy skomplikowane korony drzew stanowiły mą muzę. Powierzchnie wymykające się geometrii Euklidesa...

– Z kim gadasz?

Jannik nie zauważył, kiedy Maria weszła do pracowni, ale zapewne już chwilę temu, bo zdążyła posprzątać blat, przygotować dokumenty, a nawet zrobić sobie kawę. Było coś magnetyzującego w jej swobodnym stylu tego dnia; dzwonowatych spodniach, postrzępionym T-shircie i wysoko upiętych włosach.

– Z Gaudím – odparł Weiss.

– A któż to taki, ten Gaudí?

- Kataloński modernizm, XX wiek. Ojciec mi o nim opowiadał.
 - Był architektem? Ciekawego miałeś ojca.
 - Tak ci się tylko wydaje. Ale to, co faktycznie jest interesujące, to gmachy tego nieżyjącego już jegomościa. Zaczyna mi kiełkować pomysł.
- Maria uśmiechnęła się cierpko, ale w jej głosie wybrzmiała cieplejsza nuta.
- No to chodź tutaj i pokaż – rzuciła.



Jannik rzadko bywał w domu. Początkowo Julia się nie martwiła – chłopak pracuje, zarabia na jej lekarstwa, a poza tym fakt, że dogaduje się ze swoją asystentką, to przecież świetna sprawa, prawda? *Prawda?*

Nie miała serca robić mu wyrzutów. Kiedy w nocy styrany wracał do mieszkania i resztkami sił sprawdzał wszystkie dawki insuliny (nie musiał, ale upierał się, że tak jest bezpieczniej, cymbał troskliwy), znów był tym dawnym Jannikiem, którego poznała na wsi.

Ale rano znikał, a ona nie miała siły wstać z łóżka. Sądziła, że to spadki cukru, tyle że glukometr miał czelność się nie zgadzać. Wymieniła urządzenie. Drugi zawtórował niewinnie oskarżonemu poprzednikowi.

Gdy zdała sobie sprawę, że jej jedyną radością jest powrót współlokatora, zdecydowała, że musi znaleźć sobie zajęcie. Na parterze działał salon fryzjerski. Cóż szkodziło przypomnieć sobie to i owo z nauk mamy? Ona tak ślicznie uplatała i strzygła jej włosy w dzieciństwie... A lokatorzy komunalnego bloku przychylniej patrzyli na każdego, kto wykazywał się przydatnością dla wspólnoty. Oczywiście wszystko opierało się na wymianie barterowej – Julia dbała, żeby sąsiedzi nie byli przycięci jak od garnka, a w zamian mogła liczyć na dodatkową porcję rosółu czy zestaw majsterkowicza w razie awarii rur.

W ten sposób odzyskała nieco rutyny w zwichrowanym życiu. Któregoś razu stwierdziła też, że przecież może odwiedzić Jannika

w jego pracowni. Przygotować mu prezent, może upiec jakieś ciastka, żeby biedak nie głodował w architektonicznym amoku.

Kiedy otworzyła drzwi, dwie pochylone nad stołem sylwetki nawet jej nie zauważyły. Współpracownicy konwersowali głośno, zastanawiając się nad położeniem jakichś belek nośnych, dowcipując przy tym nierzadko. Ładnie razem wyglądali. Maria była piękna. Miała takie drogie ubrania i śliczne włosy.

Czerwona ze wstydu Julia wycofała się i zjadła ciastka samotnie.



– Sednem tej społeczności jest wspólnota, bez wątpienia – stwierdził Jannik, gdy pochylali się z Marią nad wirtualną wizualizacją ich na razie surowego projektu.

Akurat wtedy wywaliło prąd.

– Cholera jasna – syknęła kobieta. Zdjęła okulary VR i uchyliła okiennicę. – Chyba poszło w całej dzielnicy.

– Sabotaż?

– Raczej niekompetencja. Albo silny wiatr i ten pieroński deszcz. Leje już kilka godzin. Oczywiście jest też opcja, że to działanie rządu.

– Serio?

– Czasem tak robią. To tak zwany „inteligentny system zarządzania energią”. Urzędnicy monitorują zużycie prądu na podstawie danych z liczników spółdzielni, a potem decydują, gdzie przekierować nadwyżkę. Ale jeśli realizują jakiś projekt w Dystrykcie Sosnowieckim, powiedzmy, i zaczyna im brakować, to chętnie utną dostawę u nas.

– Jak magazynujecie nadwyżki?

– Mówiłeś, że czytałeś o dystryktach. W Centralce znajduje się elektrownia szczytowo-pompowa. Na północy jest też zapora wodna z rezerwuarem na wypadek katastrofy. A niektóre dzielnice używają zbiorników ciśnieniowych ze sprężonym powietrzem.

– W domach mogłyby być akumulatory...

– Tak, ale są drogie. Mamy też problem z metalami ziem rzadkich. Trendy faworyzują stawy słoneczne i pompy ciepłe.

– Widzę, że znasz się na energetyce.

– Architekt zna się na wszystkim. Po trochu.

– Z pewnością. Dobrze. Pora wrócić do ery analogowej. Przytnieś papier, a ja po coś skoczę.

– Po co?

– Zobaczysz.

Ponieważ dokumenty projektowe powoli przestawały się mieścić na stole, rozłożyli się na podłodze. W blasku świec rysunki techniczne i rzędy cyfr oraz notatek przypominały starożytne hieroglify. Jannik przytaszczył koszyk drewnianych klocków.

– Będziemy się bawić? Wiesz, że nie płacą nam za godzinę, a za efekt? – Docinki Marii dawno przestały być złośliwe, a stały się wręcz sympatyczne.

– Większość ludzi żyje w blokach – zaczął Weiss, stawiając pierwszy klocek. – Spoko, łatwiej to ogrzać, ale przecież nie grozi nam przeludnienie, dajmy ludziom odetchnąć. Tyle że przestrzeń nie może być martwa. Popatrz tutaj. – Zaczął kłaść kolejne bloczki, montować je w kwadraty z dziedzińcami, a następnie budować coraz wyższe i bardziej skomplikowane konglomeraty. – Na wschodzie leżało dawne górnicze osiedle, całe z cegły. Nikiszowiec.

Maria uniosła brew.

– Chcesz budować kamienice? Sądziłam, że myślimy o domach kapsułowych.

– Tak. Dlatego, podobnie jak teraz, każdy z tych elementów stanie się taką osobną, kapsułową częścią. Samowystarczalnym, w pewnym stopniu, rzecz jasna. Będzie wspólna kuchnia, jadalnia, ale osobne łazienki w jednym pionie. Mieszkania ułożymy koncentrycznie wokół pomieszczeń socjalnych, a na zewnątrz umieścimy taras. Problem stanowią śmieci. Odpady to nie tylko zagrożenie, ale także potencjalny budulec, który musimy odzyskać. W waszych archiwach znalazłem całkiem ciekawe projekty. Zsypy z każdego mieszkania do wspólnego węzła. Siła grawitacji ściągnie odpady na dół, a raz na dobę pompy naziemne wciągną je do miejsca składowania. Stamtąd ciężarówkami przewieziemy je do Dystryktu Chorzowskiego na przetworzenie.

– A segregacja?

– Słuszna uwaga. Zsypy należy podzielić, ale nie możemy przesadzić ze skomplikowaniem. Z naszej perspektywy najistotniejsze będą właśnie odpady potencjalnie budowlane. Dla przykładu, Gaudí wykorzystywał popękaną ceramikę jako ozdoby w mozaikowatych posadzkach. Możemy robić podobnie. Przygotowałem listę potencjalnych budulców, od kamieni czy opon aż po drewniane pudła i szkło. Będą stanowić unikalne zdobienia, luksusowe, a jednocześnie tanie, zaś ich montaż zaangażuje lokalnych rzemieślników i wydobędzie trochę artystycznych talentów.

– Taniej byłoby zalać betonem.

– Na pewno. Ale Joshua pragnął tożsamości. Nie da się jej stworzyć po najniższych kosztach, chyba że chcemy utrwalić w ludziach mentalność slumsów.

– Co dalej?

Dopiero teraz Jannik zauważył, że Maria siedzi bliżej. Musiała się przysunąć, gdy prowadził swój wywód. Ich twarze dzieliło kilka centymetrów, a blask świec rzucał intrygujące cienie, które wiły się po kościach policzkowych asystentki, wokół jej nosa, a także przy oczach, podkreślając szlachetne rysy i silne spojrzenie.

Weiss ledwo się powstrzymał przed nerwowym oblizaniem warg.

– Tak – mruknął, by zyskać na czasie. – Co dalej? No, *jugaad*². Wnętrza wykonujemy niskim kosztem z przedmiotów istniejących.

– Coś *à la* lifehacki?

– Dokładnie. Stosujemy to na co dzień, choć nieświadomie. Chłodna piwniczka zamiast lodówki, butelka jako zraszacz, popruta koszulka nawinięta na druty w roli klosza lampy... Oczywiście nie możemy przekroczyć granicy absurdu. Gamechangerem mogą się także stać drukarki 3D, zwłaszcza przy bardziej skomplikowanych designach. Pytanie czy zużyty do tego prąd nie okaże się kosztowniejszy niż praca rzemieślnika.

– A oświetlenie?

– Myślałem o waszych cudownych lampach grzybowych. Tyle że nie wiem, jak się sprawdzą w pomieszczeniach. Ale na

2 Jugaad – pojęcie wywodzące się z języka hindi, oznaczające szybkie i pomysłowe rozwiązywanie problemów przy użyciu ograniczonych zasobów; innowacyjność w warunkach ograniczeń.

dziedzińcach z pewnością znajdą swoje miejsce. Ostatnim filarem będzie chłodzenie pasywne. Jeszcze to rozgryzam, ale myślałem o gumie albo czymś podobnym, co by pochłaniało gorąco w dzień, a potem oddawało w nocy. Położenie mieszkań względem siebie też ma domyślnie sprzyjać izolacji ciepła.

– Jeszcze ogrody. Nie widzę trawników na dachach.

– Szklarnie i drobne uprawy pokroju malin znajdą się na dziedzińcach. Zasadzimy też drzewa i postawimy ławeczki, żeby mieszkańcy mogli się delektować świeżym powietrzem w miłej atmosferze. Opracujemy odległości tak, aby wszystko było ładnie nasłonecznione. Natomiast duże, zautomatyzowane pola wywalimy na zewnątrz. Tam też znajdzie się większość paneli słonecznych, lecz kilka umieścimy na wspomnianych dachach. A, no i parter pozostanie wolny dla usług, jak obecnie.

– Zostaje kwestia stylu.

– Pokazałbym ci, ale nie ma prądu. Na pozór entropia. Kalejdoskop przypadkowych barw i różnorodnych materiałów, od lokalnych kamieni po to, co pozyskamy ze starych gmachów. Ale w rzeczywistości: kontrolowany chaos, uporządkowany w strukturze makro. Wzorem kochanego Gaudiego.

Jannik tak gadał, że aż stracił dech w piersiach. Maria przypatrywała mu się intensywnie. Ich spojrzenia się spotkały, jakiś instynkt zbliżył ich usta na odległość przytkniętego do warg palca...

Prąd wrócił, lampy zabłysnęły. Chwila minęła. Wyglądało na to, że bezpowrotnie.



Rząd decyduje o energetyce. Jak będzie im to na rękę, to ci prąd wyłączy. Taki mamy klimat.

Jannikowi coś nie dawało spokoju. Większość ludzi, z którymi miał do czynienia, czy to sąsiadów, sprzedawców, czy nawet przypadkowych przechodniów, niespecjalnie interesowało się polityką i zarządzaniem. W zakresie edukacji Zona pozostawała sto lat za dawnym Trzecim Światem. Ludzie kształcili się w szkół-

kach spółdzielczych, gdzie przesiadywał jeden nauczyciel (kryzys demograficzny nie dawał o sobie zapomnieć), ucząc dzieci pisać, liczyć na liczydło i uprawiać kartofle. Później dochodziła przedsiębiorczość, żeby przyszły obywatel wiedział, kiedy ma oszczędzać wodę, bo inaczej zabiorą mu kartki na chleb. W ten sposób powstawali ludzie świadomi zagrożeń ekologicznych, ale zupełnie pozbawieni zdolności do samodzielnego myślenia.

Weissa wychował ojciec, który odebrał edukację jeszcze przed epoką Zon. Senior potrafił szkicować rysunki techniczne, znał się na literaturze klasycznej i kojarzył, co i dlaczego działo się na świecie. Grosza dzięki fachowi też mu nie brakowało, toteż zadbał o wykwalifikowanych tutorów dla syna. Oczywiście dostęp do informacji pozostawał ograniczony, ale ostatecznie Jannik wyrósł na człowieka rozsądnego, którego nie dało się łatwo oszukać. Natomiast Maria...

Maria ewidentnie go oszukiwała.

Uzyskała wyższe wykształcenie i stanowisko. Orientowała się w sprawach politycznych i nie przejawiała respektu, nie mówiąc nawet o strachu, wobec reżimu. Kim więc byli jej rodzice? Gdzie się wychowała? Czy należała do jakichś nieznanych młodzieńców elit Zony?

Przecież ja nawet nie znam jej nazwiska, zdał sobie sprawę. Joshua je przemilczał, a ja nie pomyślałem, żeby spytać...

Czemu poświęcał tyle myśli swojej asystentce? Co sprawiało, że ciągle rozpamiętywał wieczór przy świecach? Przecież przybył tu dla Julii.

Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. Grzebanie w sprawach obcych ludzi może naprowadzić na biedę, a pośrednio także jego podopiecznej. Ojciec poradziłby mu odpuścić i zabrać się za robotę. W końcu zbliżał się dzień prezentacji projektu.

IV

Kosztorysy i ludzkie pragnienia

– No. To co sądzisz?

Jannik siedział na skraju krzesła, a Maria tuż obok, gdy olbrzymi Joshua pochylał się nad wizualizacją gmachów. Cała trójka

miała okulary VR, ale opiekun Zony dzierżył także tablet. Raz po raz przejeżdżał palcem po ekranie, czytał, marszczył czoło, czasem nawet coś szeptał sam do siebie. Analizował dostarczony raport na temat kosztów i szczegółów przedsięwzięcia.

– To jakieś totalne gówno, nie będę kłamał – rzekł wreszcie opiekun Zony, a jego słowa trzasnęły Jannika po pysku jak zostawiona na lodzie kochanka. – Pstrokate, drogie i monumentalne. Mieliście zaprojektować osiedle, a nie pałac.

Nie uściśliłeś, co mieliśmy zaprojektować, przeszło architektowi przez myśl, ale język miał sparaliżowany. *Tylko się nie porycz, twardo, twardo...*

– Nie mam wiele czasu – dodał Joshua, ściągając okulary. – Ale spróbujcie coś z tym zrobić i zobaczymy się za dwa, trzy tygodnie. Mniej pompy, więcej ergonomii. Nie bierzcie tego do siebie, pracujemy dla ludu. Do zobaczenia.

I tak po prostu wyszedł, a jego obstawa za nim. Drzwi trzasnęły, zapadła cisza. Maria zerknęła kątem oka na Jannika, ten zaś nie mógł oderwać wzroku od czubków własnych butów.

– Masz kartkę na wódkę? – zagadnął. – Tego się nie da przetrwać na trzeźwo.



Słońce już zachodziło, gdy znów rozłożyli koc na pagórku w dawnym centrum i gapili się na koryto Rawy.

Rozmawiali przy wyprodukowanej przez sąsiada księżycówce z kartofli. Smakowała zacie, a kopała jak najlepsi piłkarze dawnej epoki. Jannik wypił już kilka (a może nawet kilkanaście, pamięć mu szwankowała) nieprzyzwoicie obfitych łyków, więc plótł nieskładnie. Niektórzy obecni na miejscu mieszkańcy zerkali na niego z niesmakiem. Publiczne pijaństwo uchodziło w Zonie za wyjątkowy nietakt. Jak śmiesz być tak wyluzowany, żeby się alkoholizować do upadłego, tkwiąc z nami w nieszczęściu?

Weiss nie miał siły się nimi przejmować.

– Pora to rzucić w cholerę – wymamrotał, unosząc butelkę. – Dać sobie spokój z tą c-całą a-a-architekturą.

– Mówisz to już czwarty raz – westchnęła Julia. Też nieco pod-
pita, ciągle przykładła wierzch dłoni do zarumienionych policz-
ków. – A ja znowu ci odpowiem: pewnie, zrób to.

– Ale insulina...

– To nad insuliną tak rozpaczasz? – spytała z prychnięciem. –
Przecież nikt cię nie zwolnił. Nie odebrano ci pensji, a mnie nie
odmówiono ampulek.

– C-coś sugerujesz? Ja... Ja wszystko dla ciebie...

– Nie wątpię. – Ton dziewczyny złagodniał, chwyciła towarzy-
sza za dłoń. – Będę ci wdzięczna do końca życia. Pewnie krótkiego.

– Nie pleć tak.

– To prawda. Nawet z insuliną żywot cukrzyka nie trwa długo.
Ale to nie twoje zmartwienie. Poświęciłeś dla mnie wystarcza-
jąco wiele. Rzuć tę robotę, jeśli cię męczy. Choć nie rozumiem,
dlaczego drobne potknięcie tak bardzo zraniło twoje ego.

– Phi! Ego... Jakie ego? Ten imbecyl...

– Ciszej. Ludzie słuchają.

– Ten tłuk – szepnął Jannik, nachylając się ku przyjaciółce. – On
n-nic nie r-rozumie... Nic a nic. A jego ta... krytyka? Bez... sensu...

– Czy ja wiem? Może miał nieco racji.

– Co?

– No wiesz. Projekt był faktycznie... monumentalny. Stworzyli-
ście elficką willę dla biedaków szukających nadziei na przetrwanie.

– Więc nie zasługują na piękno?

– Może piękno kryje się w czymś innym? – Puściła jego dłoń
i rozejrzała się wokoło. – Skup się na recyklingu. Obniż nieco cenę
materiałów. Spraw, aby te domy były dla każdego, a nie tylko dla
elity. Utalentowany rzemieślnik nawet z suchego gówna zrobi
pomnik. To, co podobało mi się najbardziej, to jak wykorzystali-
ście przyrodę.

– M-mów dalej. – Młody architekt jakby nieco otrzeźwiał na
te słowa.

– Zdobienia klatek schodowych chociażby. Jak rozpoczynały się
we wspólnym pniu, a potem kolejne deseczki pięły się w górę ni-
czym gałązki drzew. Piękne i proste rozwiązanie. Albo te niedro-
gie, ale słodkie klameczki z gipsowych odlewów szyszek. O, a ten

korytarz, którego sklepienie wyglądało jak żebra? Nie potrzebował kolumn, więc automatycznie stał się bardziej przestronny.

– To nie do końca moje pomysły – przyznał Jannik.

– Ktokolwiek stwierdził, by upodobnić żyrandole do muszelek, był genialny, choć to już nadmierna ekstrawagancja jak na nasze standardy. O, albo te dziwaczne krzeselka! Na pozór absurdalne, ale w sumie wygodne. Ich kontury... takie płynne... Wszystko mogłoby być takie. Zupełnie nowy świat. Abstrakcyjny. W sam raz w tych ponurych czasach.

– Może i racja...

– A co Maria na to wszystko? – Oziębły ton Julii nie umknął Weissowi, ale młodzieniec nie skomentował.

– Zaskoczona, ale nie zdruzgotana.

– Dlaczego więc ciebie to tak boli?

Jannik milczał przez moment. W końcu pociągnął z butelki, skrzywił się i oddał naczynie towarzyszce.

– To krótka i nudna historia – zaczął. Słońce już niemal schowało się za horyzontem, więc został tylko blask pobliskich lamp ulicznych. – Nie urodziłem się we wsi, w której się poznaliśmy. Ojciec pochodził z rodziny oficerskiej z Wrocławia. Wówczas miasto chyliło się już ku upadkowi, ale tatko odpracował swoje w armii, więc wiodło mu się nienajgorzej. Potem postanowił wstąpić do Wojskowej Akademii Inżynieryjnej, by spełnić marzenie o architekturze. Dyplom uzyskał tuż przed zamknięciem szkoły i załamaniem struktury.

– Musiało być wam trudno.

– Jeszcze się wtedy nie urodziłem. Ojczulek został zwerbowany do sił nowej junty. Musisz wiedzieć, że w tamtych czasach miałaś do wyboru trzy stronnictwa: rządzącą armię, przegrywającą armię i cywili obrywających z obu stron. Ojciec wybrał rozsądnie. Szybko dostrzeżono jego talenty, więc trafił do korpusu infrastruktury i zaopatrzenia, czy jakoś tak. Tam dano mu sporo wolności twórczej, więc projektował domki, bloki, mosty, choć głównie architekturę wojskową. W międzyczasie urodziłem się ja, owoc związku z nieznaną kochanką. Nie wiem, czy to honor czy może empatia nakazały tatkowi mnie przygarnąć, ale dzięki temu miałem dostatnie dzieciństwo. Aż do upadku junty.

– Uciekliście z miasta?

– Tak. Trafiliśmy do mniejszego, a tam znów do korpusu wojskowego. Ojciec pracował. Dorastałem, czując ciągle zapach taniego atramentu, papierosów i prochu strzelniczego. To tyle.

– Trochę nie rozumiem.

– Całe moje dzieciństwo ojciec projektował. Zafiksowany pracoholik dążący do perfekcji, której nie potrafił osiągnąć, więc wiecznie chodził sfrustrowany i wściekły. Parę razy dał mi w głowę, bo coś mu nie wyszło. Dlatego szybko uciekłem. Najgorzej było, gdy proponował mi wspólną pracę. Jeśli odmówisz, obrazisz go. Jeśli się zgodzisz, obrazisz go z opóźnieniem, kiedy się okaże, że jesteś „beztalenciem”. Parę lat temu usłyszałem, że umarł, tyrając do samego końca. Potem nasze miasteczko padło ofiarą bombardowania. Przysięgałem sobie, że nigdy nie będę jak on, że robota nie przesłoni mi życia. Dłuższy czas tak było. A teraz... – Jannik westchnął i gestem poprosił o zwrot butelki. – Coś tam jednak we mnie z ojczulka jest.

Julia wzięła go w objęcia. Była ciepła, czuł to nawet mimo alkoholu zobojętniającego członki. Nie pamiętał, jak długo tak trwali.



Obudził się z kolosalnym kacem. W końcu odwykł od trunków. Na wsi XXII wieku nawet samogon stanowił rarytas, dlatego gdy poczuł w ustach Saharę, zaś w głowie odezwał się dzwon, mógł sobie jedynie pogratulować głupoty i modlić się, żeby kiedyś przeszło.

A gdy faktycznie przeszło, natychmiast wrócił do szaleńczej pracy.

Maria czekała już na niego w pracowni, ślęcząc nad jakimiś nieaktualnymi od dzisiaj zdobieniami. Jannik miał w głowie wizję. Prostsza, grubiej ciosana, ale nadal piękną.

– To nasza inspiracja. – Młodzieniec pokazał asystentce projekt w VR-ze.

– Na pewno o to chodziło Joshui? Jest ogromny...

– Powierzchniowo, tak. Pozornie bardzo skomplikowany. Ale spójrz na wnętrze, gdzie brakuje rzeźb i scenerii. Jest cudowne,

ale jakże proste. Nagie. Surowe. To ówczesna interpretacja życia Jezusa zaklęta w budynek. My w podobny sposób możemy uze-wnętrznąć naszą egzystencję.

– Ma to coś jakąś nazwę?

– Sagrada Família. Rzuć okiem na te kolumny. Przypominają drzewa, prawda? Ich szczyty subtelnie się rozgałęziają, podtrzymując sklepienie. A te witraże! Mamy kolorowego szkła pod dostatkiem, więc...

– Jannik...

– Później zajmujemy się dalszym obniżaniem kosztów...

– Jannik...

– Tak?

– Chciałam ci coś powiedzieć.

– No?

Chłopak patrzył na nią jak dziecko, któremu przerwano szkolne przedstawienie. Maria westchnęła i pokręciła głową.

– Już nic.

– Super. To zabieramy się do pracy.



– To nie to, czego oczekiwałem, mój drogi – stwierdził tym samym nieznoszącym sprzeciwu tonem Joshua, krzyżując mocarne przedramiona na piersi. – Ale widzę w tym ideę.

– To nie to – powtórzył tępo Jannik.

– Mhm. Dokładnie tak. Zrób inaczej.

– J-jak? – jęknął architekt, rozkładając ręce. – Jak, do jasnej, pieprzonej cholery? Jakieś szczegóły? Szkic tej twojej perfekcyjnej koncepcji? A może było jakieś memo, którego, kurwa, nie zauważyłem...?

Joshua patrzył na niego z pobłażliwym uśmiechem, który rozszerzał bardziej niż najostrzejsze słowa.

– To jakiś cyrk – westchnął młodzieniec.

– Przestań – syknęła Maria, szczypiąc go w bok.

– Co mam przestać? Chyba przestać się płaszczyć. Przestać tańczyć, jak ten... ten...

– Rozważ następne słowa, chłopcze – ostrzegł stojący pod ścianą ochroniarz Joshui. – Rozmawiasz z opiekunem Zony.

– Spokojnie, Miro. – Polityk gestem pokazał, że ma wszystko pod kontrolą. – Nasz młody adept sztuki przechodzi mały kryzys. To zrozumiałe. Niełatwo wystawić pod ocenę coś, nad czym się tak intensywnie pracowało wiele tygodni. Na co wylano litry potu, łez, a może nawet krwi. Bimbru również, jak mi donoszono.

– Szpiegujesz mnie? – syknął Weiss i byłby postąpił krok w stronę pracodawcy, gdyby Maria w porę nie chwyciła go pod łokieć.

– Naturalnie. Ale potraktuj to jak komplement. – Fleming wzruszył ramionami. – Nasyłam swoich ludzi tylko na ważne osobistości. Gratuluję awansu. A teraz posłuchaj. Nie sprawia mi przyjemności płucie na twoje projekty ani obracanie w pył twojego kruchego ego, które tak naiwnie przelałeś w tę pracę. Ale zrobię wszystko, abyś dowiódł, co obiecałeś. Ty dbasz o interes swojej chorej koleżanki. Ja dbam o mieszkańców Zony. A teraz życzę powodzenia w poprawkach.

I tak po prostu pomaszzerował ku drzwiom pracowni.

– Przecież... – stęknął Jannik, nie mogąc uwierzyć własnym uszom i oczom. – Przecież nawet nie powiedziałeś, co jest nie tak!

– Zastanówmy się. – Joshua przystanął. – Lubię roślinne motywy, to pewne. Ale ta budowla... Czy przetrwałaby powódź? Czy jej dachu nie urwałoby tornado? Czy znalazłbym w niej cień, gdybym musiał tyrać na palącym słońcu? Przemyśl to. I pokaż za tydzień, że rozumiesz specyfikę tego miasta.

Od trzaśnięcia drzwiami głośniejszy był chyba tylko szum w uszach architekta.



Tamtego dnia Weiss zdał sobie sprawę, że atmosfera zgęstniała. A właściwie przepadła. Spakowała manatki i poszukała innej Zony.

Co więcej, dotyczyło to zarówno pracowni, w której Maria coraz rzadziej się zjawiała, jak i mieszkania. Julia bez przerwy była

czymś zajęta, a gdy łaskawie wracała, to niemal natychmiast padała na łóżko, zostawiając Jannika z własnymi myślami.

Albo raczej projektami. Bo tylko one zaprzętały głowę młodzińca. W trakcie ostatnich dni nabawił się tików nerwowych, worów pod oczami, drżenia dłoni, a nawet posiwiło mu kilka włosów. Nie mógł jeść ani spać, zaś alkohol zdawał się odstręczający.

To ostatnie może na szczęście.

Po kolejnej dobie pracy, ciszy i nocnych koszmarów postanowił wreszcie naoliwić relacje.

– Porozmawiamy? – zaproponował wieczorem Julii.

Ta oczywiście raptem przypomniała sobie, że musi uporządkować poskładane już rzeczy i umyć czyste kubki, a poza tym czeka na nią...

– Tylko chwilkę.

– Jutro. Jestem zmęczona. Idę spać.

– Proszę.

Dziewczyna znieruchomiała. Gapiała się w ścianę, jakby szukała wskazówek w odłazającym tynku, ale wreszcie westchnęła, podparła ręce na biodrach i spojrzała na współlokatora.

– Słucham.

Usiedli na sofie. Szpara między ich kolanami wydała się Janikowi szersza i głębsza niż Rów Mariański. Od dawna nie czuł dotyku przyjaciółki.

– Widzę, że coś jest nie tak – zaczął, starając się panować nad roztrzęsionym głosem. – Nie wiem, czym zawiniłem, ale zapewniam, że nie chciałem sprawić ci przykrości. Jeśli pozwolisz mi zadośćuczynić, to...

– Nie wiesz? – parsknęła Julia. – Naprawdę nie wiesz?

– Nie...

– To jesteś ślepy. Albo nie tak sprytny, jak sądziłam.

– Przecież...

– Chyba nie mam siły ci tego tłumaczyć...

– To jak inaczej mam niby zrozumieć?!

– Siak. Tak jak rozumiesz swoje bazgroły, jak rozumiesz się ze swoją kochaną asystentką, jak...

– A co ona ma do tego?!

Zamiast oczyszczającego deszczu, pożar w zbiorniku z benzyną.

– Wszystko, Jannik, wszystko... – Oczy Julii zalśniły, ale szybko odwróciła wzrok i przetarła powieki. – Chryste... Ty naprawdę nic nie ogarniasz.

– To... To mi wytłumacz, do jasnej cholery!

Lokatorka chwilę zbierała się w sobie.

– Możesz mi wierzyć lub nie, Jannik – rzekła wreszcie dziwnie obojętnym, chłodnym tonem – ale ja cię kocham.

Cisza. Gęsta. Można by kroić nożem i podawać na bankiecie noworocznym.

– Julia, ja...

– Nie chcę odpowiedzi, wiesz? Nie potrzebuję jej. Powiedziałam, co powiedziałam. Pięknie by było, gdybyś teraz stwierdził, że też to czujesz, ale się nie łudzę. Kochasz tylko pracę, bez niej nie wiesz, w co masz włożyć ręce. Oczywiście może zmienisz zdanie, może będziesz wołał zostać ze mną, chuderlawym, brzydkim cukrzykiem z wyrokiem śmierci nad głową, ale jeśli tak, to nie chcę o tym dzisiaj słyszeć. Nic nie mów! – Uniosła ręce, jakby spłoszona. Usta Jannika zastygły półotwarte. – Prześpij się z tym. A milczenie też uznam za odpowiedź, więc w razie czego oszczędź sobie stresu.

Wstała i zamknęła się w łazience, a architektowi nie zostało nic innego, jak rozłożyć się na kanapie.



W nocy nie potrafił znaleźć sobie miejsca, więc wybrał się na spacer w blasku księżyca. Panorama odległego starego miasta wydawała się obca i drapieżna, a cienie mijanych gmachów nachylały się ku niemu, jakby próbowały go pożreć. Ślepia miały martwe, bo w nocy w Zonie nikt nie korzystał z elektryczności.

Jak mógł być tak głupi? Na pewno wysyłała znaki, ale najwyraźniej był zbyt pochłonięty pracą, aby je zauważyć. Znał Julię stosunkowo krótko, jednak wiedział, że to fantastyczna, pracowita dziewczyna o złotym sercu. Jednocześnie zadawał sobie to kluczowe pytanie: czy on to czuje?

A może rozum jedno, dusza drugie? Może hormony już tak przekształciły jego mózg, że Julia mogła odgrywać tylko rolę przyjaciółki? Czy emocje podporządkują się dyktatowi kory przedczołowej?

Myślę, że wykształcony mimo wszystko matematyk-architekt tyle, że kora przedczołowa odpowiada za analizę może wiedzieć, a nie chciałbym tego całkowicie usuwać. Westchnął.

Czy spojrzy jej jutro w oczy, jeśli braknie mu słów?

Gdy wrócił do mieszkania, nie zastał nikogo. Łazienka świeciła pustkami, podobnie salon i sypialnia. Brakowało zbyt wielu rzeczy, aby uznać, że wyskoczyła na chwilę coś załatwić. Albo, że zniknęła na weekend. Tydzień. Miesiąc.

Wróci. Na pewno wróci. Może nie zniósła napięcia?

Nie wróciła. Rankiem brakowało jej krzątaniny przed lustrem i gorączkowego wybierania stroju. W zakładzie fryzjerskim jej nie widziano, w parku nie było po niej śladu. Jannik obskoczył wszystkie miejscówki, które przychodziły mu do głowy, i wypytał każdego wspólnego znajomego.

W pobliżu działał tylko jeden człowiek, który mógł wiedzieć. Jeden, który śledził „ważne osobistości”. Architekt krótko czekał na audiencję. Najwidoczniej coś było na rzeczy.

– Nie chciałem cię martwić, choć podejrzewałem, że w końcu zapukasz do mych drzwi, przyjacielu – rzekł Joshua ze współczuciem, którego Jannik nie mógł znieść.

– Co się z nią stało?

– Julia to dorosła kobieta, a ty nie jesteś jej mężem, ani nawet partnerem. Nie wydaje mi się, abym mógł ot tak podzielić się tą informacją.

– Nie mam siły i czasu na gierki.

– Jest bezpieczna, tyle powiem.

– Widzę dwie opcje – warknął Weiss, walcząc z wszechogarniającym gniewem. – Zdradzisz mi, co się stało. To pierwsza. A druga: sam się dowiem. Ale w procesie opuszczę Zonę, jeśli będzie trzeba. Porzucę pracownię i wszystkie projekty. Stracisz...

– Jakże przekonujący jesteś. – Joshua uniósł pojednawczo ręce. Jannik wiedział, że opiekun z nim pogrywa. Że od początku planował wyjawić prawdę, ale najwyraźniej satysfakcjonował go ten spektakl. – Panna Julia opuściła nasze terytorium około drugiej

w nocy. W angielskim stylu. Zabrała cały dostępny zapas insuliny. Dałem jej eskortę do granicy naszej jurysdykcji. Jej dalsze poczynania są mi nieznane.

– Dlaczego?

– A ponoć to ja oczekuję czytania w myślach... Dlaczego odeszła? Nie wchodziła w szczegóły. Ale wyglądała na wzburzoną. Nie pokłóciliście się może?

I znów ten błysk w oczach, biel zębów między wąsami a brodą. Jannik zacisnął pięści.

– Dlaczego jej pozwoliłeś? – syknął. – Dlaczego nie dałeś mi znać!?

Joshua wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, to dorosły człowiek. Jeśli taka była jej wola, to należy ją uszanować. A tobie, przyjacielu, radziłbym znaleźć pocieszenie gdzie indziej. Znam kilka panienek, a nawet parę wdów, jeśli gustujesz w starszych kobietach...

– Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Rozumiem twój gniew. – Opiekun uśmiechnął się protekcyjnie, tak jak tylko on potrafił. – I współczuję ci. Tak czy nią przyjaciele.

V

Perły w kupie gnoju

Szukał, rozsyłał wici, płacił zaufanym ludziom. Pustka. Ani śladu po kobiecie o mysich włosach. Poszukiwania nie przyniosły rezultatów ani w wioskach pod Katowicami, ani nawet w sąsiedniej Zonie.

Pierwsze dni były najtrudniejsze. Praca zeszła na dalszy plan, ustępując miejsca marazmowi i samotności. Motywacja do odwiedzania pracowni zniknęła – wszakże w domu nie czekał nikt, kto mógłby czerpać korzyści z jego mozołu. Trudno było się zwlekać z łóżka, nie słysząc porannej krzątaniny. Kolacje nie smakowały tak samo bez człowieka po drugiej stronie stołu.

Ale po każdej nocy nadchodzi świt. Julia mogła go zostawić, lecz nie pozbawi go godności ani ambicji. W jednym miała rację. Już dawno nie pracował tylko na jej insulinę.

Zadbali z Marią o meliorację pól i racjonowanie wody. Rozszczelnili chodniki, aby woda swobodnie spływała do gleby. Pomyśleli o wałach przeciwpowodziowych i osłonach przed silnymi wiatrami, a nawet o baldachimach na wypadek skwaru. Spędzili kilka godzin na dyskusjach dotyczących modyfikowanych genetycznie roślin odpornych na suszę.

Cały ten wysiłek tylko po to, aby Joshua odmówił.

–Sporo temu brakuje – uznał, kiwając głową w zadumie. – To tutaj się nie sprawdzi, a te osłony... Za drogie, żeby stawiać przy każdym osiedlu. Musicie to jakoś inaczej rozwiązać. Tak, tak. Cóż, widzimy się za dwa tygodnie, moi drodzy. Myślcie intensywnie.

Jannik milczał, gdy opiekun rugał ich projekt. Nie otworzył ust, kiedy zamknęły się za nim drzwi. Nie miał ochoty przerywać ciszy jeszcze przez kwadrans. Wreszcie Maria zebrała się na odwagę i poklepała go po ramieniu.

–Wiesz, że to nie twoja wina.

Pokiwał głową.

–On specjalnie bawi się twoimi uczuciami. Robił tak całe życie.

To zabrzmiało intrygująco. Jannik zmusił się, aby spojrzeć na asystentkę.

–Mam już tego wszystkiego serdecznie dosyć – oznajmiła twardo Maria. Jej dłoń wciąż spoczywała na barku towarzysza, a palce zaczęły boleśnie wpijać się w ciało. – Tego rozstawiania po kątach i eksperymentowania na relacjach.

–Nie jesteś zwykłą architektką, prawda?

Kobieta pokiwała głową.

–Córka? – spytał Weiss.

–Niestety.

–Trochę to przeczuwałem. Drogie ciuchy, wiedza. I ta gorycz na początku.

–Trudno przełknąć degradację zafundowaną przez własnego ojca. I to kosztem awansu kogoś obcego.

–Wybacz.

–Dawno wybaczyłam. I naprawdę usiłowałam ci pomóc, ale byłeś od początku skazany na porażkę.

–Co?

– Joshua nas wykorzystuje. Stawia ci niemożliwe cele, abyś ciągle projektował. Dostarczyłeś mu już dziesiątki „trefnych” modeli i wzorców, nie rozumiejąc, że on będzie z nich korzystał. A w poszukiwaniu ideału byłbyś gotów tyrać dla niego do końca świata. I nie mów mi nawet, że nie mam racji...

– Masz. Masz świętą rację, Mario. Dziękuję za szczerość.

– Zaczęłam się domyślać po drugiej odmowie, ale teraz mam pewność. Możesz odejść, Jannik. Nic cię nie trzyma w Zonie.

Weiss pokręcił powoli głową.

– Zostaję – stwierdził z ponurym grymasem. – Joshua może sobie wyobrażać niemożliwe, ale ja mu udowodnię, że perfekcja istnieje. Będę próbował, aż przyprę go do muru.

– Tak się nie stanie, głupolu. Po co ja się produkuję, skoro ty...

– Dokąd mam pójść? Nic mnie tu nie czeka, ale czy za miastem jest inaczej? Julia odeszła...

– Kochałeś ją?

Jannik wzruszył ramionami.

– Przyjaźniliśmy się.

Zapadła krępująca cisza.

– Pamiętasz noc, gdy wyłączyli nam prąd? – zagadnął Weiss, chwytając asystentkę za dłoń. Nie zaprotestowała, co uznał za dobry znak. – Albo gdy kiedyś chciałaś mi coś powiedzieć, coś ważnego, jak mi się zdaje...

– Pamiętam.

Raptem uwolniła się z uścisku, a Jannik poczuł falę gorąca na twarzy. Odruchowo się od siebie odsunęli.

– To już nieaktualne – wyznała Maria z zakłopotaniem. – Wybacz, ale kompletnie nie nadajesz się na męża. Nawet na chłopaka – parsknęła, a on, zmuszony ramami sytuacji, nie mógł nie odpowiedzieć chichotem. – Poza tym odchodzę.

– Co?

– Nie zadowolimy mojego ojca. Nie odda mi funkcji i nie przestanie nas wyciskać jak gąbki. Po tym wszystkim zdążyłam utracić każdą cząstkę fascynacji architekturą. I chyba o to mu chodziło. Nigdy nie pochwalał moich pasji. Dlatego pora znaleźć nowe poletko. Tobie polecam zrobić to samo.

Zeskoczyła lekko z blatu i kołysząc biodrami, zgarnęła swoją torbę. Jannik obserwował ją oniemiały. Na pożegnanie kobieta pomachała mu jeszcze radośnie, jak podłotek, a potem zaskrzypiały zawiasy i blondwłosy wulkan energii zniknął z pracowni.

Pomieszczenie nagle stało się jakieś większe niż zwykle.



– Ponoć mają wyłączyć prąd – poskarżył się Jarek, wieloletni pracownik stacji kontroli i wymiany silników elektrycznych. E-papieros, którego raz po raz wkładał do ust, generował obfite kłęby pary.

– Na długo? – spytał jego współpracownik Diego, syn Katowiczana i kobiety o genealogii zawilej jak chińskie układanki.

– Ponoć na tydzień. Grubo. Może idzie wojna?

– Wojna nigdy się nie zmienia.

– Święte słowa.

Ich stacja leżała przy wschodniej wylotówce z miasta, na wypadek gdyby ktoś potrzebował szybkiego ładowania przed wyjazdem z Zony. Naturalnie klientami najczęściej bywali wojskowi. Z tych względów na ulicy ciągnącej się przed oczami odpoczywających fachowców zwykle panowała pustka. Nie tym razem.

Obserwowali łachmaniarza z zaciekawieniem. Od dziesięciu minut biedaczyna w poplamionym szlafroku i z potarganymi włosami chwiejnie maszerował poboczem. Skąd szedł i dokąd? Tajemnica. Ale śmiesznie było patrzeć, jak się miota.

– Stawiam kartkę, że do nas zagada – rzucił Jarek.

– Przyjmuję. On nie widzi świata poza własnymi stopami. Skąd się takie męty biorą? Też lubię popić, ale nigdy nie opuściłem dnia roboty.

– Weź ty siebie czasem posłuchaj, gamoniu...

Nie zdążyli wymienić ani słowa więcej. Zza zakrętu, spośród leśnej gęstwiny wypadł ich pierwszy klient tego pochmurnego dnia. Elektryczny SUV zazgrzytał na zwirowej drodze, kamyczki wystrzeliły spod opon, a kierownica zrobiła pełny obrót w rękach przerażonego właściciela... Było już za późno.

Huk, pisk, ułamek sekundy ciszy i... ŁUP!

Ciało ofiary wzniosło się na dwa metry w powietrze, by za moment upiornie uderzyć o glebę. Jarek i Diego spojrzeli po sobie oniemiałi. Równie zszokowany był pechowy kierowca.

Później okazało się, że łachmaniarz przeżył. Zdążył nawet dotrzeć do wizyty w lokalnym szpitalu, gdzie spędził bite dwa-nastie godzin, nietknięty przez nikogo. Kiedy na jaw wyszła jego tożsamość, oficjele Zony zareagowali błyskawicznie.

„Ratujcie nam architekta!”

Co z tego, skoro Bóg miał już swoje plany. Po trzech dniach Jan-nik Weiss dołączył do ojca.



Opiekun Zony dołożył wielu starań, aby nagrobek Jannika znalazł się w bardzo konkretnym miejscu na cmentarzu, tuż pod rozłożystą wierzbą. Na postawionej obok ławeczce można było podziwiać zachodzące słońce i słuchać szumu wiatru, z czego ponoć często korzystała córka polityka. Większości obywateli nieznane były jej powiązania z potraconym pijaczyną.

Weiss pracował do ostatniego dnia, nawet pod wpływem alkoholu. Czy jego projekty były tandetne czy genialne, trudno orzec. Niewiadomym pozostawało nawet, czy ktoś je kiedykolwiek zrealizuje. Może wzniciłyby ducha przetrwania w pogrążonym w rozpacz narodzie? Może stałyby się symbolem niskoemisyjnej radości we wszechobecnym przeciętniactwie? A może po prostu naraziłyby na śmieszność swojego twórcę i jego patronów jako ekstrawagancki wydatek bez pokrycia? W Zonach sytuacja gospodarczo-dyplomatyczna zmieniała się częściej niż pory roku, a ci, którzy wspięli się na szczyt, zawsze musieli mieć przy sobie spadochron.

Jannik zrozumiał to przed śmiercią. Jednak nie zdawał sobie sprawy z innego faktu.

Pod jego urną, wiele metrów głębiej, znajdowała się druga, skromniejsza. Prochy Julii złożono tam zaledwie pięć dni po jej zagadkowym odejściu.



– Pamiętam, że wykorzystaliśmy moment nieobecności Jannika.
– Na łożu śmierci Joshua nie wyglądał już na budzącego respekt olbrzyma o niespotykanej inteligencji. Zdawało się wręcz, że równie szybko się skurczył na starość, co urósł w dzieciństwie.
– Pokłócili się z Julią. Do dziś nie mam pojęcia o co, ale biedak wyszedł wzburzony. Kazałem moim ludziom zgarnąć dziewczynę i przywieźć ją do urzędu. Khe, khe! Podaj mi chusteczkę. Przekłęta flegma... Khe, khe!

– Do sedna. – W głosie Marii nie wybrzmiała ani jedna nuta ciepła. Nawet nie zdjęła eleganckiego płaszcza, gdy przyszła odwiedzić ojca. Jakby w każdej chwili była gotowa się taktycznie ewakuować.

– Skończyły się nam dostawy insuliny. – Twarz Joshui wykrzywił spazm bólu. – To nie u nas ją syntetyzowano, była ściągana z północy. Dziewczyna i inni pozostali przy życiu cukrzycy byli skazani na śmierć, a ja wiedziałem, że wówczas Jannik odejdzie. Nie mogłem na to pozwolić. Nie dokończył projektów, a ty zajęłaś znów jego miejsce. Jednak gdyby Julia go porzuciła... Tak. To zupełnie inna bajka. Skrzywdzone ego przykułoby go do pracy na lata... Khe, khe!

– Lecz Julia nie zamierzała odejść – stwierdziła lodowato Maria.

– Była twarda. Miała ogień w oczach, khe, khe! Zamknęliśmy ją... Nie patrz tak na mnie, żyła luksusowo, nie jestem potworem. Błagałem ją, oferowałem transport i pieniądze. Ale nie. Uparta, chciała tylko zobaczyć Jannika. W końcu naprawdę skończyła się nam insulina, a ona wpadła w kwasicę i odeszła. Zadbalem, aby pochowano ich razem.

– Pewnie masz się za męczennika – zakpiła córka watażki. – Za bohatera, który poświęcił duszę dla sprawy.

– Nie, kochana. Jestem samolubną świnią, która chciała zostać po sobie pomnik ze spiżu. I zatrzymać przyjaciela. Wierz lub nie, ale naprawdę go lubiłem.

– Tacy z was byli przyjaciele jak z nas rodzina – warknęła Maria, a potem wstała dumnie, zgarnęła torebkę i ruszyła do wyjścia.

– Zostawisz mnie tak? – zacharczał Joshua.

Kobieta przystanęła. Chwilę trawiła te słowa.

– Zadbam, aby pochowano cię z matką – rzekła wreszcie obojętnym tonem. Takim, który wżera się w umysł i paraliżuje duszę.

Opiekun Zony Katowickiej doskonale wiedział, że to od niego przejęła tę podłą manierę.

O autorze

Jakub Sokołowski – pasjonat historii swojej małej ojczyzny, medycyny i literatury fantastyczno-naukowej. W wolnych chwilach zajmuje się także urbanistyką i architekturą, miłośnik modernizmu. Dotychczas publikował opowiadania w antologiach Planety Czytelnika, „Pulp Magazynie”, „Białym Kruku”, Fantazmatach i zbiorze opowiadań *Ocaleni 2.0*. W kontekście naukowym – dumny promotor odpowiedzialnego podejścia do zdrowia i zmian klimatu.



Morowy chłopak

Paweł Jakub Domownik

–Ej, drągal! Muszę mieć ludzi na dzisiaj, na rdestowca. Za minimalkę.

Feliks odwrócił się od holoreklamy wyskakującej z zarzyganego bruku. Raban robił stojący na skrzynce chłopak w przymałej kurtce, obwieszony złotymi kajdanami. Twarz błyszczała od fałszywych diamencików otaczających nowy model szkła. Szarzy ludzie tłoczyli się dookoła.

–Kto jeszcze chce zarobić? Potrzebuję na szybko przynajmniej trójkę.

Obdartusy stojące kręgiem, zaczęły się zgłaszać jeden przez drugiego. Kajdaniarz przebierał w nich jak w ulęgalkach, narzekając, że za mali, wychudzeni i na pewno nie dadzą rady. Próbował jeszcze raz zawołać Feliksa, ale ten już zniknął za załomem korytarza i nerwowo sprawdzając telefon czekał, aż ona odpisze. Zresztą kiedyś już pracował przy rdestowcu i nie zamierzał tego powtarzać. Oczyszczanie farm słonecznych z inwazyjnej rośliny to był horror. Najpierw wypalanie miotaczami, a potem ręczne wygrzebywanie kłaczy z ziemi. Wszystko w czterdziestostopniowym upale. Szczęśliwie jeszcze miał trochę kasy.

Chwilę wcześniej wysiadł na Zachodnim i z satysfakcją zauważył, że niewiele tu się zmieniło. Jak zawsze wszystko działa się naraz. Wodorowe autobusy stawały koło budynków sprzed dwóch pokoleń, a holo, na którym przewodnicząca komisji UE właśnie

ogłosiła, że drugi rok z rzędu świat spełni cele klimatyczne, oświeślało śpiących na chodniku. Wymieszane jak w gulaszu. Z tą różnicą, że gulasz nie śmierdzał szczynami i desperacją. Najczęściej. Feliks minął ochroniarzy, którzy udawali, że czegokolwiek pilnują, i handlarzy anonimizacją, którzy udawali, że unikają tych pierwszych. Postąpił chwilę przed budką z chińskim żarciem, o zapachu tak gęstym, że zdawał się przygaszać okoliczne neony. Odrzucił dwie propozycje płatnego numerku w toalecie, ze zdziwieniem stwierdzając, że w takim razie jakieś muszą działać, mimo trwającego remontu. Kanonada reklam na jego szkłe obiecywała wszystkie cuda metropolii tak intensywnie, że chwilami nie widział zza nich świata. Pomyślał, że będzie musiał pogadać z Fafulem o nowych adblockach.

Miał tylko wrażenie, że wszystko było jakieś bardziej szare, przytłumione, niż kiedy był tu ostatni raz. On też. Feliks miał dwadzieścia dwa lata i istotnie był z tych większych, prawie metr dziewięćdziesiąt i sporo mięśni. Krótco ostrzyżony, w prostej wojskowej kurtce z dogasającym już neonowym węzem na plecach i w niemodnych spodniach, nie pasował do wielkiego miasta.

Sprawdził szkło. Wciąż nie odpisała. Zszedł z głównej trasy i odpalił połączenie głosowe. Zrzuciła go natychmiast. Z tej nieszczęsnej budki zgarnął małą porcję pad thaia w misce z przetworzonych sojowych odpadów. Rozejrzał się za jakąś ławką, czymkolwiek, gdzie mógłby usiąść, ale nawet grube marmurowe barierki miały kolce. Oficjalnie przeciw gołębiom. Przykucnął pod jedną z nich. Desperacko krzykliwa reklama seksu i biznesu raziła go w oczy, a jej audio próbowało wbić mu się na szkło. Niedoczekanie. Po chwili przypałał się pies, a po nim jakiś żul. Kundel dostał swój kawałek syntetycznego mięsa, żul dostał „spierdalać”.

Zrzuciła go jeszcze raz. Trudno. Uruchomił moduł prywatności, który dostał od kolegów z F&K. Najpierw VPN. Teraz jego szkło szyfrowanym połączeniem łączyło się z serwerownią na północy Norwegii i stamtąd przeglądało internet. Tam na wirtualnej maszynie uruchomiła się przeglądarka Tora, która dodatkowo go zabezpieczała, rozpraszając sygnał. Jakby ktoś chciał śledzić jego chip kwantówką i tak nie pomoże, ale przecież nie robił teraz nic naprawdę nielegalnego.

Zaczął przeglądać wiadome portale. Brunetki, mniej niż dwadzieścia pięć lat, biust: trzy i więcej, podał filtrom jeszcze parę szczegółów. Oczywiście znalazł w mniej niż pięć minut. Zaklął cicho i wybrał nowy numer.

– Co mogę dla ciebie dzisiaj zrobić, kotku? – Szkło przekazało zmysłowy głos mikrodrganiem wprost do mózgu.

– Ka Tien?

Usłyszał tylko gwałtownie wciągane powietrze, potem zapadła cisza. Ewidentnie poznała jego głos.

– Mogłbym... chociaż zabrać swoje rzeczy?

– Weź spierdalaj, chuju oblodzony, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. – Rozłączyła się.

Powinien być na nią wściekły. Nie potrafił. Powinien czuć się jak śmieć. Nie wychodziło. Miał tylko nadzieję, że nie będzie miała za dużo problemów ze swoim alfonsem. Dzisiaj nawet dziewczyny miały połączenia monitorowane jak w call center.

Pomyślał, że trzeba rozejrzeć się za jakimś miejscem do spania. Nie zarezerwował sobie nic z wyprzedzeniem, bo to byłoby przyznanie się do tego, że jego związek przestał istnieć w pół roku od ostatniej wizyty w Warszawie. W sumie nic dziwnego. Feliks po prostu przez ostatnie trudne tygodnie nie chciał sobie zniszczyć iluzji, że wszystko będzie ok. Żył złudzeniami.

Wyszedł wreszcie z płataniny dworcowych korytarzy i popatrzył na migoczącą panoramę miasta. Warszawa, niczym bestia z gry VR, zjeżyła się przed nim kolcami wieżowców. W dolinach między nimi przelewało się światło pędzących pojazdów, otwartych knajp i wszechobecnych fizycznych i wirtualnych reklam. Mimo nadchodzącej nocy, potwór ani myślał zbierać się do snu. Prężył się i przeciągał jak kot zapraszający do zabawy. Tym razem Feliks już bez zabezpieczeń odpalił apkę do szukania noclegu. Trumna? Dorm? Czy może wykosztować się na jakieś miejsce z nielimitowaną wodą? Przydziały dla biznesu były zawsze dużo wyższe niż te dla ludzi. W końcu to przedsiębiorczość i energia Polaków miały nam wszystkim pomóc przejść przez kryzys klimatyczny. W sumie czemu nie? Pierwsza noc urlopu, należy mu się.

Ustawił się w kolejce ludzi przy podjeździe elektrycznych kapsułów. Podobne ustawionym pionowo cybernetycznym trumnom,

balansowały na dwóch kołach, jakby w każdej chwili miały rymnąć na asfalt. Jako dzieciak Feliks bawił się czasem z kumplami, wskakując takiej na plecy i jadąc na gapę. Ciekawe, czy wytrzymałaby ciężar dorosłego? Czekając na swoją kolej, próbował się czymś zająć. Jednocześnie słuchał ludzi i scrollował unifeeda.

Ogłoszono pierwszy stopień ostrzegawczy.

– Znowu zmniejszyli limity, z dzieckiem to nie wiem, jak to teraz...

Twarde stanowisko Premiera...

– Wierzy pan w to, co mówią? To czysta ideologia jest!

Pierwsze próby reintrodukcji wielkiej rafy koralowej zakończyły się sukcesem...

– Kogo teraz stać na fizyczne wesele, na pewno nie Hanke, biedna babcia...

Piaskowe burze formują się na północ od...

Karmił się zasłyszczanymi skrawkami świata, aż wsiadł do kapsuły, a za oknem rozmigało się miasto.

– Niestety, nie mamy zarezerwowanego pokoju, uniżenie przepraszam, ale widać, aplikacja nie zdążyła zaktualizować stanu, kiedy szanowny pan rezerwował. – Chłopak za ladą ze złota i czarnego marmuru miał dekolot do pępka i o dziwo nie nosił makijażu. Nawet przystojny. Feliks normalnie pewnie by spróbował poflirtować, ale sytuacja nie sprzyjała.

– A macie jakikolwiek inny?

Recepcjonista zlustrował go uważnie od stóp do głów. Chwilę dłużej zatrzymał wzrok na przydziałowej torbie. Potem żrenice zaczęły mu skakać szybko góra dół, kiedy sprawdzał coś na szkle. Pantomima. Feliks i tak już wiedział, co tamten odpowie.

– Niestety, nie w tym momencie, ale z pewnością pomogą panu po sąsiedzku w...

Nie usłyszał, gdzie miałyby sprawdzić, drzwi już się za nim zasuwały. Zacerpnął ciężkiego nocnego powietrza w płuca. Parzyło. Ruszył przed siebie. Pewnie bez problemu znalazłby nocleg, w końcu nie wszystkim jego eurasys śmierdziały tak jak tutaj. Poczul jednak jakiś nagły wstręt do tego miasta. Do ludzi, do zakradającej się szarości. Bezwiednie postanowił go rozchodzić. Minął podziemne przejścia, które wyrzygiwały na ulice tłumy

ludzi, spieszących przed siebie, jakby sam diabeł ich gonił. Pojazdy pędziły, rysując kolorowe smugi świateł. Wszystko było jakies nerwowe, ale przynajmniej póki siedł, skupiał się tylko na tym, gdzie stawiać stopy.

Nowoczesny elektropoliuretan, wytarte do połysku granity z połowy wieku, potem kostka Bauma, popękane płyty i rozpadająca się trylinka. Pod nogami mijały mu kolejne epoki chodnikowej historii. Szedł bez celu, błędząc i klucząc, kiedy raz za razem drogę przegradzały mu zamknięte enklawy. Nie przeszkadzało mu to specjalnie, nigdzie się w końcu nie spieszył.

– Uważaj, gdzie leziesz! – Głos był ciężki, naładowany akcentem.

Feliks podniósł głowę. O mało nie wpadł na stojącego przed ozdobną bramą mężczyznę. Niższy od niego o głowę, po czterdziestce, ciemny i napakowany, uśmiechał się garniturem popsutych zębów. Ochroniarz. Za nim wyrastało niewielkie osiedle nowoczesnych, designerskich willi ze szkła i jasnego betonu. Luksus aż chlupotał, przelewając się przez wysokie mury.

– Sorry, nie zauważyłem. – Feliks zmienił krok i zaczął wymijać typa. Nie chciał inby.

– A idź w pizdu. – Dostał jeszcze na odchodnym.

Przynajmniej uprzejmość Warszawiaków się nie zmieniła. Dalej szedł już nieco bardziej uważnie. Od ciężkiego nocnego nieba odcinały się wpół zrujnowane bloki. Pachniało rozgrzanym betonem i zużytym powietrzem wyrzucanym przez niepowstrzymane w swojej pracy klimatyzatory. Na dawno wyschniętych trawnikach zdarzały się koczowiska. Nic dziwnego, że ten ochroniarz ma paranoję. Nowe osiedle koło slumsów. W przerwie między blokami, na horyzoncie, zaczęło błyskać. Niski grzmot odbił się stugłowym echem w kanionach bloków.

Po chwili do piorunów dołączyły syreny miejskie. Wycie ogłuszało, a gdy po chwili ucichło, nadano komunikat, mniej zrozumiałe niż te, które pamiętał z dworców, kiedy jeszcze jeździły pociągi. Głos coś wymamrotał i wycie wróciło. Szkło odebrało też komunikat z systemu alarmowego, nie żeby na tym etapie jeszcze go potrzebował. Nadchodziła pyłówka.

Odwykł. Na granicy schron zawsze był tuż obok. Człowiek nie musiał o tym myśleć. Strona z publicznym wyszukiwaniem oczywiście nie działała. Stał jak ten kołek na środku ulicy i szukał rozwiązania, aż w końcu musiał wydać kasę na komercyjną apkę pokazującą wolne miejsca w schronach. Dwa najbliższe oznaczono jako niedziałające. Potem był jeden pełny. Trochę go to zdziwiło, że tak szybko. Kolejny niby wolny, ale jakoś nietypowo oznaczony. Kliknął na niego.

Schron ze specjalnymi warunkami. Czy chcesz go sprawdzić? Może to wiązać się z opłatą manipulacyjną.

Chciał.

Wysyłamy zapytania do twojego banku...

Sprawdzamy twoją wiarygodność finansową...

Zdziwił się nieco.

Niestety obecnie nie możemy ci pomóc, życzymy powodzenia.

Zaklął szpetnie i ruszył biegiem w kierunku centrum, gdzie jeszcze miał szansę coś znaleźć. Pierwsze szkwały trafiły go, zanim zdążył przebiec sto metrów.

Zachwiał się pod naporem wiatru. Zanim odzyskał równowagę, dogonił go piasek. Drobinki z mazowieckich równin, wysuszonych trwającą dekady suszą, zerwane wściekłym wiatrem napędzanym energią przegrzanej planety, pędziły przez puste ulice. Zdierały skórę jak piekielny peeling. Wciskały się w każdą szczelinę, rozlewały pod ubraniem, wdzierały do gardła i dusiły niczym ciężki całun rzucony na świeżą grządkę. Pochylony do przodu, z kurtką na głowie Feliks próbował iść wzdłuż ulicy. Po paru krokach nie miał pojęcia, gdzie jest.

Światła wybuchły o centymetry obok niego. Oślepiły zimną, ksenonową bielą. Przez ryk burzy przebił się klakson. Feliks rzucił się na ziemię rozpaczliwym szczupakiem. Zgubił torbę, ale autonomiczna kapsuła minęła go o centymetry. Musiał nie zauważyć, kiedy zszedł z chodnika. Wstał i zataczając się, znów ruszył przed siebie. Wpadł na betonowy mur. Przynajmniej dawał mu osłonę z jednej strony. Szedł wzdłuż niego, szukając jakiegoś zaułka, jakiejś szczeliny. Czegokolwiek, co da mu osłonę od nieprzerwanie siekącego wiatru i pyłu. Ręka oparta o ścianę gwarantowała przynajmniej, że nie zabłądzi. Gdyby się odwrócił i spojrzał za siebie,

zobaczyłby czerwony ślad, który zostawiał na betonie muru. Pyłówka naprawdę cięła do krwi.

Ile może ciągnąć się ta pierdolona ściana? Myślał i stawiał krok za krokiem w ciężkim, dusznym mazowieckim samumie. Nagle pustka. Pod dłonią nie było nic. Koniec muru? Zakręt? Na ślepo zbadał sytuację. Wyrwa. Zakładając, że gorzej nie będzie, przeskoczył, a raczej przewalił się na drugą stronę i upadł na coś miękkiego. Trawnik! Ogarnął się i ruszył dalej. Wiatr był tu minimalnie mniejszy. Po paru krokach Feliks władował się kolanami w krzak. Ostry, kłujący niczym zasieki na granicy. Niespecjalnie duży, mógł mu jednak dać jakąś osłonę. Feliks upadł na trawę i wczuł się w kępę roślinności. Poczul ulgę, a schodząca adrenalina przyniosła dreszcze. Mógł tu przeczekać resztę burzy. Jak się skończy, poszuka swoich rzeczy. Umościł się w korzeniach i zastanawiał się właśnie, czy jakimś cudem da radę tu odpocząć.

– Kogo my tu mamy? – powiedziała postać w masce gazowej i ciężkim przeciwpylowym kombinezonie.

Zabrali go do zatęchłej, choć marmurowej kanciapy ochronny. Nawet dali łyka wody, a jeden z typów zaczął rozglądać się za apteczką. I wtedy dobra passa się skończyła. Wrócił ich szef i oczywiście był to typek z popsutymi zębami, na którego Feliks wpadł wcześniej.

– Mówiłem ci, żebyś trzymał się z daleka? No mówiłem, ale nie posłuchałeś, tacy jak ty nigdy nie słuchają. Pracować się nie chce, co? Tylko włączyć po mieście. Pewno przyjechałeś tu z jakiegoś bantustanu, żeby social ciągnąć.

Feliks aż prychnął. Typek miał tak ostry akcent, że można by nim kroić mięso na kebaba.

– Co się śmiesz? Że ja nie jestem stąd? Bo widzisz, śmieciu, ja przyjechałem tu lata temu, bo usłyszałem waszego premiera i mu uwierzyłem. Wiesz, w co uwierzyłem? Że jak człowiek się nie boi pracować, to znajdzie tu miejsce. Że ta Polska to kraj dla ludzi przedsiębiorczych i takich, co nie boją się pracy. Zaczynałem jako zwykły cieć, a teraz mam firmę i dwa takie osiedla ogarniam, na własne mieszkanie będę miał, a ty co masz?

– Psinco.

–I jeszcze pyskuje. Nieładnie. Ale wiesz co? Trochę masz racji, może i robię tu za psa, tyle że takiego na złotym łańcuchu. – Uśmiechnął się krzywo. – Prawo mówi, że w przypadku burzy mamy udzielić ci schronienia, a potem przekazać, gdzie trzeba z zarzutami za wtargnięcie. Nie mówi w jakim stanie, a psy potrafią gryźć.

Feliks smutno spojrzał w oczy typa. Nie potrafił tego nazwać, ale widział już to wielokrotnie. Ludzie, którzy mieli cokolwiek, nawet ochłapy, byli gotowi zgnać, zdusić i wbić w ziemię tych, którzy mieli mniej od nich albo tak im się wydawało. W oczach ochroniarza palił się jadowity, przyczajony płomień. Feliks spał mięśnie, wiedział, że zaraz będzie rozróża.

Jak ostatni żółtodziób, nie wziął pod uwagę tych dwóch, co wcześniej podali mu wodę. Złapali go nagle. Musiał przegapić, jak szef dał im znak. Padł pierwszy cios.

Prawe oko miał tak spuchnięte, że już nie widział uderzeń z tamtej strony. Sól. Czuł się, jakby ktoś wpierdolił mu do ust kubek pełen soli i zmusił do przełknięcia. Krew wypływa z nich na podłogę szerokim strumieniem. Potężny kopniak poderwał go z ziemi. Żebra trzasnęły i poczuł, jak coś ostrego przemieszcza się w środku. Przetoczył się i zwinął w kłębek. Ręce przy twarzy, tak jak go uczyli. *Czy te palce powinny tak wyglądać?* Dostał czymś twardym w głowę i przez sekundę miał nadzieję, że traci przytomność. Przynajmniej nie czułby bólu. Spróbował być gdzie indziej, znaleźć jakieś spokojne miejsce w swojej głowie. Tego też go uczyli. Wyłączyć się.

Wróciły złe wspomnienia. Spuchnięta połowa twarzy wyglądała jak zrakowaciały guz. Ciemnoskóra dziewczyna leżała pod malwami. Oddychała jeszcze. Trochę dalej jej towarzyszy, może chłopak, dostał serią. Szok i śmierć na miejscu. Prawo mówiło, że mają używać gumowych kul. Nie mówiło, z jaką siłą mają być wystrzeliwane. Tu na granicy nie bawili się w subtelności. Jego oddział jak co rano patrolował przedpole. Sprawdzał efekty nocnych strzelanin i prób sforsowania. Katalogował rannych i zabitych pod zasiekami Wielkiego Europejskiego Muru. Taka praca. Uchodźcy klimatyczni próbowali przedostać się do Polski, a on

miał do tego nie dopuścić. Jeszcze jedną osobę znaleźli w wonnych burzanach. Ta po prostu zdechła z wycieńczenia.

Wreszcie ktoś trafił go porządnie w głowę. Ciemność.

– No, to żeście narobili. Czy ty, Levan, pomyślałeś w ogóle? Nie wymagamy od ciebie dużo, ale musisz myśleć. – Głos był kobiecy, miękki, jakby pochylał się nad opierdalaniem z pewną troską.

Feliks pod policzkiem czuł zimny marmur. Obudził go ból od oddechu, każde wciągnięcie powietrza odczuwał, jakby ktoś urządził mu w piersiach bombardowanie dywanowe. Musiały pójść dwa albo trzy żebra.

– Sprawdziliśmy go, proszę pani... to nikt, dwa wyroki za drobne kradzieże, poprawczak, ot śmieć. – Feliks rozpoznał głos szefa ochrony z ciężkim akcentem, chociaż teraz brzmiał zupełnie inaczej. Pokornie.

– A chciało ci się wydać paru euro na zaawansowany check? Nie, nie chciało, bo nie potrafisz patrzeć do przodu, przewidywać. Wypełnić procedurę i pora na CS-a, w ogóle nie obchodzą cię konsekwencje, jakie mogą na mnie spaść.

– Ale, ale... co się stało?

Feliks otworzył oko. Nic nie widział. Potem drugie. Rzeczywistość zafalowała i powoli próbowała się wyostrzyć. Nie działało, jak trzeba. Dwie lekko rozmyte postacie rozmawiały w drzwiach. Oprócz ochroniarza była jakaś wysoka kobieta, elegancko ubrana. Widział głównie jej szpilki, obrócenie głowy nie wchodziło w grę.

– Jakbyś go sprawdził, to byś nie musiał się głupio pytać. To weteran, jednostka specjalna, dwie rotacje na granicy, Medal Świętego Jerzego. Poskarży się i będzie dym.

– Aaa, ja nie pomyślałem...

– No właśnie, no właśnie... Masz jeszcze tę znajomą w policji?

– Tak, proszę pani. – Levan pochylił głowę, wiedział, czym to się skończy.

– Dzwoni do niej, zróbcie tak, żeby to wyglądało na włamanie z rozbojem, czy jak to się tam nazywa. Zapłać jej porządnie. Potrącimy ci to z faktury oczywiście.

Feliksowi udało się wreszcie skoncentrować wzrok. Powyżej biznesowej garsonki zobaczył dobrze utrzymaną twarz, na której nie

malowały się żadne emocje. Zadrzał tak, że wstrząsnął nim kolejny paroksyzm bólu.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Podali mu coś, pewno, żeby nafurany po czubki uszu lepiej wyglądał w policyjnym raporcie. Kiedy świat zaczął się mniej więcej stabilizować, a dziaśła przestały drzeć, jak zwykle po telecracku, stwierdził, że siedzi na tylnym siedzeniu radiowozu. Policjantka coś do niego mówiła. Miał wrażenie, że od dłuższego czasu.

– ...drugi kredyt, ale teraz powinno być ok, czasem udaje mi się nadpłacić nawet. O, otworzyłeś oczy. Dobrze wiedzieć. Tylko nie rzygaj na tapicerkę, ok? Bo mi z pensji potrąca sprzątanie. – W tylnym lusterku Feliks widział oczy. Duże i niebieskie. Otoczone głębszymi zmarszczkami patrzyły na niego czujnie. – Przykro mi, że tak wyszło, ale wiesz, jak jest. Za rozbój z włamaniem papuga proponuje ci pięć do siedmiu. Jak się przyznasz, dostaniesz dwa bez sądu. Będziesz miał szczęście, to pójdziesz na rdestowca. Może nawet wypożyczy cię ta sama laska, u której narozrabiałeś. Trzeba było przeżyć tłok w publiku, a nie kombinować. Co cię podkusiło?

Feliks próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Czuł, jakby w ustach miał trupa ryby, a nie język. Wydał z siebie tylko bliżej niesprecyzowany bełkot i zabrzęczał skutymi z przodu rękami.

– No tak, nie możesz jeszcze mówić. Na szczęście tele szybko schodzi. Zaraz będziemy w biurze śledczym, nie rób nic głupiego, a wszystko pójdzie bezboleśnie. – Samochód prowadził się sam, odwróciła się do Feliksa przodem. Niebieskie oczy patrzyły z czymś, co może nie było troską, ale chyba zahaczało o sympatię. – Powiedzieli mi, że wróciłeś dopiero z muru. Wspomnij o tym, może ci jeszcze obniżą. Wiesz, w sumie to... w sumie to ty i ja jesteśmy podobni. Pilnujemy, żeby śmieci zostały na zewnątrz. Tylko przy innych granicach. Sorry, że cię tak nazywam, nic osobistego, ale rozumiesz. – Zmieszała się trochę.

Policjantka nazywała się Ewa Czajkowska. Właśnie przekroczyła czterdziestkę, bez szans na awans, za to z podwójną hipoteką. Wspomagała pensję dodatkowymi pieniędzmi z mniej oficjalnych źródeł. Wiedziała, że to nie jest ok, dlatego czasem próbowała pogadać z zatrzymanymi, nawiązać z nimi jakąś więź. Wytłumaczyć się. Po jej ostatnim tekście Feliksowi coś się w środku zagotowało.

Jak mogła porównywać jego, bohatera, obrońcę ojczyzny, Muru z sobą, suką niszcząca niewinnych ludzi?

Jak świat światem policja była, jest i będzie niedofinansowana, a jej funkcjonariusze będą uzupełniać oficjalny sprzęt dodatkowymi elementami z własnej kieszeni. Im młodszy tym o większym kalibrze i mniejszej przydatności. Biuro śledcze na Daniłowicza od dawna nie złapało dobrego kontraktu z jakimś korpo, więc wobec pustej kasy, jego załoga radziła sobie, jak mogła. Kiedy zatrzymali się pod kanciastym komisariatem, dwóch młodzików zeszło pomóc z transportem więźnia. Na kamizelce jednego wisiało wielkie nowe i świecące wibrostrze. Drzwi pojazdu otworzyły się, do środka buchnął gorący zapach pyłu naniesionego przez burzę.

– Wyjmijcie go, chłopcy, i do izby – powiedziała niebieskooka. – Trzeba będzie go przeprosować i jeszcze dziś postawić...

W slangu ludzi na murze „przeprosować” znaczyło, wywieźć zatrzymanych imigrantów z powrotem na bagna. Unia robiła wszystko, żeby zawrócić fale ludzi uciekających z miejsc, dla których było już za późno. Feliks nie wytrzymał. Resztki telecracku zagotowały się w żyłach.

Wyciągnęli go z radiowozu. Jeden z nich zapobiegawczo strzelił mu lewą ręką na twarz. Tak, żeby nie fikał. Feliks zachwiał się, udał, że przewraca się na drugiego. Nabral powietrza w płuca. Prostując się z ostrzem w rękę, płynnym ruchem poderżnął gardło bijącemu. Ryknął tak, że zadrżały szyby. Dzięką, nieokiełznaną, zwierzęcą wściekłością. Zakrwawiony, w porwanych ciuchach, z wielkim nożem w rękę wydawał się bardziej pasować do powieści fantasy niż Warszawy XXI wieku. Zadziałało. Czajkowska i drugi policjant zamarli na chwilę przerażeni. Feliks kopnął typę; krótkim zamachem skracając się z biodra, ciął kobietę. Poczul, jak ostrze ściera się z kamizelką i ślizga po żebrach. Ruszył do przodu, dał jej z bara i poprawił kolanem. Zanurkował prosto w gęsty ruch uliczny, o centymetry minął pędzącą ulicą pojazdy i rzutem na taśmę wylądował na drugim brzegu ulicy. Przeciął kajdanki jak masło i zniknął za rogiem.

Wiedział, że na piechotę daleko nie ucieknie. Nie miał nic przygotowanego. Przejeżdżające kapsuły kusiły, żeby je zatrzymać, ale wiedział, że zamówienie kursu wiązałoby się ze czytaniem jego

chipa i natychmiastowym zatrzymaniem. Chyba żeby... Niewiele myśląc, wypatrzył taką, na której nie świeciła się lampka pasażera. Począł, aż zwolnił na zakręcie i skoczył jej na tył. Wychyliła się jak żaglowiec pod gwałtownym szkwałem. Żyroskopy zawyły potępieńczo, ale wytrzymały. Paznokcie trzaskały, kiedy Feliks wciskał je w szczeliny karoserii, żeby utrzymać się, jadąc jak przeorośnięty plecak.

Teraz najważniejsze będą kamery. Nie ma szkła. Dopóki nie przejdzie blisko czytnika albo nie spróbuje za coś zapłacić chipem, nie musi się martwić. Jednak już teraz algorytm przeszukiwał obraz z setek kamer monitoringu i zaraz go znajdzie. Miał szczęście, że jechali w stronę slumsów Czerniakowa, tam monitoringu było mniej, ale tak długo, jak miał poszarpane ubranie i obitą mordę, dla skanerów świecił się jak pryszcz na dupie pornogwiazdki. Wbili się w korek. Nagle w powietrzu zrobiło się gęsto od dronów. Jeden, drugi, trzeci, zawisały mu nad głową. Mieli go. Na szczęście to tylko zwiadowcze, łatwo je rozpoznawał, bo na granicy używali takich samych. Zastanowił się, czy następne od razu przylecą bojowe, czy jednak będą próbowali go zatrzymać. Usłyszał syrenę, czyli ma szansę. Zwłaszcza że zbliżał się do znajomych rewirów.

Zeskoczył na ulicę i dzikim pędem ruszył przez Plac Unii. Połamane żebra płonęły bólem przy każdym oddechu. Ostatni sprint. Przed nim wyrosła siedząca na granicy dzielnic Cytadela. Dawniej gigantyczny budynek banku, dzisiaj skłot. Za nim miasto opadało w dół ku biedzie, slumsom i handlarzom tele. Jeżeli gdziekolwiek zdoła się schronić to tam.

Zatrzymał się. Przed nim trwał jakiś pieprzony protest. Ludzie coś krzyczeli, machali czarno-czerwonymi flagami i podnosili hasła na tekturowych planszach. Naprzeciwko nich, dokładnie między Feliksem a schronieniem, stały siły bezpieczeństwa. Grubawa niebieska linia ludzi w strojach do tłumienia zamieszek, ciężarówki z głuszakami, brak było tylko armatek wodnych. Z oczywistych powodów. Na niemożliwie zasyfionej szklanej fasadzie Cytadeli dwóch łebków rozwijało właśnie transparent „Woda prawem, nie towarem”.

W protestujących na ziemi nie było wściekłości. Twarze nie jarzyły się rewolucyjnym gniewem. Były brudne, zniechęcone,

zdesperowane. Młodzi ludzie bez perspektyw przemieszani z dziadkami bez środków. Palce trzymające transparenty przypominały szpony, takie, które kurczowo trzymają się życia.

– Gnojom się w dupach poprzewracało! Do pracy by się wzięli, to by ich było stać na dodatkowy przydział, a nie mordy drać, c’nie? – zaczepił go przyglądający się wszystkiemu facet ze złotym kolczykiem i z bebechem wylewającym się z siatkowego topu.

– Tak, tak... – Feliks coś odpowiedział, byle tylko pozbyć się typa, ale ten był uparty.

– Coś ci się stało? – Zauważył porwane ciuchy i ślady bicia.

– Spadłem ze schodów.

Miło zaczynającą się rozmowę przerwało przybycie policji. Na plac wypadły dwa duże radiowozy. Wypluwały z siebie funkcjonariuszy, z porucznik Czajkowską na czele. Feliks przez sekundę rozważał, czy nie wziąć grubego jako zakładnika, ale odpuścił. Ustawił się jednak tak, żeby typ był pomiędzy nim a lufami. Zbierał się do kolejnego sprintu. Wszystko go tak straszliwie bolało. Pułapka się zaciskała. Zbliźali się powoli, rozproszonym półokręgiem, pewni tego, że nie ma gdzie uciec.

– Odłóż broń i połóż się na ziemi! – Wzmocniony głos policjantki rozszedł się po całym placu. Drony podawały go dalej z głośników. – Nie rób więcej głupot. Więzienie nie jest takie złe, a moich kolegów świerzbią palce.

Typek w siatkowanym topie posłusznie kładł się na ziemi, zabierając Feliksowi ostatnią osłonę. Jeżeli ma coś zrobić to teraz. *A może odpuścić?*, pomyślał. Kiedyś go w końcu złapią. Po względny spokój musiałby uciec za mur, za Unię, a za dobrze wiedział, co się tam dzieje, żeby to było opcją do rozważenia.

Spojrzał w niezapominajkowe oczy policjantki i wyczytał w nich wahanie. Nie strzeli. Odbił się od grubego i rzucił się w kierunku protestu. Blondynka zakłęła i opuściła broń. Dziesięć metrów dzieliło go od pleców bezpieczniaków. Pięć. Huknął strzał, potem następne, jej koledzy widać nie odpuścili. Feliks poczuł eksplozję bólu, poleciał pod koła ciężarówki. Dostał przynajmniej raz, ale toczył się dalej. Wtedy rozpętało się piekło.

Strzelanie bywa zaraźliwe. Większość ludzi ma jednak dość mocno zakodowane, żeby nie faszzerować ołowiem bliźniego

swego. W sytuacjach mocno stresowych, kiedy wszyscy są pełni strachu, wystarczy, że tylko jedna osoba nie wytrzyma, a mechanizm społecznego przyzwolenia wywoła lawinę. Strzały, które padały w stronę Feliksa, usłyszeli policjanci zabezpieczający protest. Ze dwóch uznało, że sytuacja wymyka się spod kontroli i czas strzelać w tłum. W odpowiedzi poleciały butelki z benzyną i kamienie. I potem już poszło.

Dłonie, które dotychczas trzymały transparenty, zacisnęły się na gardłach policjantów. Uwolniona frustracja zmieniła się w furję i wylała na stojących szeregiem funkcjonariuszy. Kilku oficerów próbowało powstrzymać kanonadę, żeby nie dopuścić do regularnej masakry. Zupełnie nie w tempo. Kamienie strzaskały tarcze. Linia zafalowała i pękła.

Chłopak cały w ćwiekach ma ze dwa metry wzrostu, wpada między policjantów. Kastety na gumowych rękawicach aż jarzą mu się od prądu. Kułakami robi sobie miejsce, w które wpadają następni. Ozdobiona irokezem głowa eksploduje jak dojrzały arbuz, kiedy zdejmuje go jeden z zabezpieczających wydarzenie snajperów. Ludzie walczą po kolana w chmurach gazu i dymu. Na trzecim piętrze cytadeli rozłożyła się grupa dziesięcio-, dwunastolatków. Teraz kierują kilkanaście prawie-że-legalnych wskaźników laserowych w snajpera i jego lunetę. Miłej operacji wzroku. Głuszaki pracują pełną parą, ci protestujący bez zatyczek zwijają się z bólu, rzygając pod nogi, ślizgają się i padają na bruk. Dziewczyna rozkręca procę, która byłaby równie na miejscu w wojnach punickich co tutaj. Ciężka metalowa kula trafia w ciężarówkę. W środku ma silnik rozkręcający magnesy do granic rozerwania. EMP domowej roboty sprawia, że głuszak szaleje i zamiast w tłum pełną mocą uderza szklane ściany cytadeli. Szyby nie wytrzymują, deszcz szkła spada na walczących.

Niebo robi się ciemne od dronów. Rozpylają gaz, robią zdjęcia protestującym, wyszukują i eliminują najbardziej niebezpiecznych zadymiarzy. Protestujący rozwijają filmfolię, na której wyświetlają abstrakcyjne wzory. Współczesne drony są niemalże monadami bez drzwi i okien, żadnej komunikacji radiowej, żeby nie dało się ich zakłócić albo zhakować. Kamery jednak mają. Abstrakcyjne wzory wykorzystują niedawno odkryty

exploit w bibliotece do rozpoznawania twarzy. Seria konkretnych, bardzo szybko zmieniających się kształtów, przepełnia jej bufor i sprawia, że system operacyjny drona sra na siebie instrukcjami i umiera. Spadają jak kasztany na koniec sierpnia.

Starsza pani, od miesięcy nie miała na prysznic. Ręce ma silne od wyrywania korzeni na farmie. Teraz siedzi na powalonym policjancie i metodycznie zmienia kostką brukową jego czaszkę w krwawą pulpę.

Wiadomość o protestach rozchodzi się po mieście. Kolektyw z Pragi wysyła na ulice dzieciaki na rowerach z torbami pełnymi starych smartfonów. Zintegrowany system map widzi nagle gigantyczne korki, tam, gdzie ich nie ma, wysyła więc kapsuły inną trasą, tworząc tym razem prawdziwe zatory. Uduje się. Kolumna pancerna z policyjnej bazy w Piasecznie nie może się przebić do protestów.

Dziewczyna z procą leży na ulicy. Już nie wstanie. Czarne włosy wypadły spod arafatki, rozsypały się po płytach chodnikowych niczym mroczna aureola. Strzelby policjantów były szybsze.

Gniew gaśnie, utopiony we krwi. Na Placu Unii nie ma zwycięzców ani pokonanych. Są tylko trupy. Ale miasto pamięta, adrenalina buzuje w żyłach metropolii. Do rana będą zdarzały się starcia i ataki na policjantów. Od świtu na ulicach zagęści się od mobilnych punktów kontrolnych i skanerów.

Zakład „Kwapisz i Fafuł” na ulicy Kadryla był ostatnim w Warszawie i okolicach, który zajmował się spalinowymi silnikami. Na podwórku przed starymi ceglanymi budynkami leżały efekty zbieractwa kilku pokoleń rodzinnego smol-biznesu. Wiatr brzęczał blachą płozy od wodolotu, leżącą na beczkach ze smarem do armat. Niezliczone wraki, od Citroena DS do prawie nowych autonomicznych kapsuł bez numerów, pachniały żelazem, potem i nie do końca legalnymi interesami.

Feliks leżał w szpitaliku na zapleczu, podpięty do kroplówki i owinięty bandażami, pod którymi miriady mikroorganizmów latały mu dziury. Wspólnicy nie gardzili nielegalną robotą przy modyfikacjach wszczepów. Znali się z Feliksem od dzieciństwa, dlatego, kiedy znaleźli go krwawiącego w piach podwórka, nie mieli specjalnie wyjścia. Poskładali chłopaka. Ostry zapach chemii

wiercił w nosie, a twardy fotel lepił się do pleców, kiedy Feliks odzyskiwał przytomność. Otworzył oczy i zamiast spodziewanego prukfowatego nosa Kwapisza zobaczył twarz młodej dziewczyny.

– Nie ruszaj się – powiedziała po angielsku. – Muszę ci zmienić opatrunek. W tym algi już się zużyły.

Poznał ją dopiero po chwili. Może dlatego, że kiedy widział ją ostatni raz, była brudna i wygłodzona. Przeniesienie z poleskich bagien też robiło swoje.

– Dobrze wyglądasz, Fatma – wymamrotał. Gardło miał wysuszone, wargi popękane, ledwo mówił.

– Ty na razie nie, ale będzie lepiej. Jak jesteś przytomny, to pójść po szefa.

W drzwiach zatrzymała się na chwilę, rękę oparła o futrynę. Feliks zobaczył, że brakuje jej dwóch palców. Odmrożenia. Spojrzała jeszcze na niego, jakby chciała coś dodać, zrzucić z siebie jakiś ciężar, ale Feliks pokręcił lekko głową. Nie chciał w to wchodzić, nie teraz. Westchnęła i poszła dalej.

Fafuł był zbudowany trochę jak czołg, zarówno jeżeli chodzi o masę, jak i posturę. W wielkie wąsy miał zgodnie z najnowszą modą wpłątane świecące ledowe druciki.

– Się ześ wpakował. Kłopoty zawsze się cię tsymały jak scerbaty lysego, ale teraz to ło paniee...

– Spierdoliłem?

– I to jak. Mas jakiś plan?

Feliks wzruszył ramionami. Planowanie nie było nigdy jego mocną stroną.

– Zamelinuj się tu parę tygodni, zeczy przyschno. Potem podam ci rękę do misia, który wyzuci cię za Mur. Drogo nie weźmie, a tu nie das rady się długo kitrać. To tseba rozsądnie, powolutku. Pa na Fatmę. Siedzi cicho, pracuje zajebiście, nie wychyla się. Dziena w ogóle, że nam ją podzuciłeś.

– Lol. – Feliks prychnął. – Nie masz pojęcia, jak tam jest. Może ci się wydawać, że tu się żyje chujowo, ale to nic w porównaniu z Białorusią czy Libią. Z jakiegoś powodu ci ludzie cały czas chcą się tu dostać. Inaczej by dawno mnie zdemobilizowali. Możesz mi załatwić coś na chwilę?

– Capną cię, jak nie tera, to za miesiąc, i wyzucą kluc.

– Wiem, że to ryzyko, ale mi wiesz. Chociażby za dziewczynę.

– Dobra, skoro się upierasz, to się robi prowizorkie, ale ty to jesteś jednak gupi jak maglownica od Renówki. Cy dni gwarantujemy i nie ma sans na zrobienie nawet wewnętrznej granicy, kapiszi? – Fafuł upewnił się, że wszystko jest jasne i wytarł glutą w rękaw koszuli. – Kwapciu, gdzieżeś diaksika odłożył? Musimy panu caską otwożyć.

Każdy obywatel miał chip do potwierdzania tożsamości. Umieszczony dość głęboko w mózgu był u dorosłego człowieka w zasadzie nie do wymiany. W środku miał setki tysięcy elektronów parami kwantowo splątanych z podobną grupą utrzymaną w jednym z centrów danych. Kiedy ktoś chciał potwierdzić tożsamość, szyfrowany zapis na chipie deklarował skanerowi – to jest pani Kowalska. Sygnał leciał przez Polskę i gdzieś pod Michałowicami w centrum danych, ktoś patrzył na grupę elektronów przypisaną pani Kowalskiej. Jeżeli poruszały się tak samo jak te w głowie, to system miał pewność, że skanowana osoba jest nią rzeczywiście. Każda para starczała tylko na raz, bo potem splątanie szło się kochać za garaże. Na szczęście elektrony specjalnie duże nie są. Proste i nie do oszukania. Tyle, że nie.

– Robicie po dobroci czy na rympał? – zainteresował się Feliks tuż przed zabiegiem.

– Chyba cię kurde blaska pogięło. Oczywiście, że po dobremu. Siłom to zadna robota. Za duże ryzyko wtopy, tsymać kogoś w zamknięciu i na dragach cy dni. Nie na moje nerwy. Mamy takiego Gruzina, co ma, rozumisz pan, agencję. Płaci cięską kasę jakiemuś żulikowi za to, że będzie siedział z transponderem. Typek potem zezna, że go siłom psymuszono, nawet mu się mordę obje, żeby wyglądało. To psynajmniej pewna sprawa, ryzyka ni ma.

– Ile?

– Dla ciebie? uznajmy, że to cyści nasz dług.

Fatma zrobiła mu dziurkę w czaszce. Wstrzyknęła do środka supercienką siatkę Faradaya z zestawem obsługujących ją naniów. Kwapisz wkleił w kość swojego chipa. Dziewczyna sprawnie wszystko zamaskowała.

– Za godzinę śladu nie będzie, za dwie, góra trzy, nanoboty rozciągną siatkę po wewnętrznej stronie kości i twój oryginalny identyfikator będzie ekranowany.

Skaner przecież nie miał oczu i nie zaglądał naprawdę do głowy człowiekowi. Odczytywał informację. Dodatkowy chip w kości działał teraz jak mostek do jakiegoś żuła i zamiast przekazywać, że oto jest pan Felek Zdankiewicz poszukiwany przez wszystkie możliwe służby za rozbój i morderstwo policjanta, pokazywał tożsamość pana żuła Nowaka. To elektrony należące do niego były szturchane w centrum danych. Ten zaś leżał sobie grzecznie z głową w urządzeniu przypominającym retro suszarkę do włosów, które radośnie odczytywało odpowiedź i przysyłało sygnaturę ruchu elektronów do nowego czipa w głowie Feliksa. Proste, ale pozwalało ominąć rutynowe kontrole.

Po wszystkich Fafuł i Kwapisz zrobili flaszkę. Jak zwykle zaprosili do kompanii Fatme, a ta jak zwykle wymówiła się rzeczami do zrobienia. Rytuał. Feliksa też by zaprosili, ale spał po zabiegu. Drzemka wyrwała mu się spod kontroli i obudził się dopiero nad ranem. Totalnie rozsynchronizowany. W sumie to nie wyszło tak źle, czuł się znacznie lepiej i przynajmniej nie będzie musiał się żegnać. Zgarnął z wieszaka ciemnoniebieską bluzę roboczą i ruszył do wyjścia. Po chwili namysłu zabrał jeszcze granat, trzymany przez chłopaków na wypadek, gdyby trzeba było szybko zniszczyć dowody.

Musiał ją obudzić, rozbijając się po zapleczu, bo czekała oparta o wybebeszony kadłub Chevroleta, wielki jak cielsko wieloryba wyrzuconego na plażę. W oczach miała resztki snu.

– Czemu? Czemu akurat mnie stamtąd wyciągnąłeś? Dlaczego ja, a nie moja siostra, nie ten Egipcjanin, z którym szłyśmy ostatnie kilometry?

– Nie wiem... naprawdę. Dużo o tym myślałem, ale... Ja nie jestem w tym dobry. Nie potrafię powiedzieć czemu.

– A wiesz, czemu teraz idziesz zrobić coś głupiego?

– Też nie.

– Za dobrze tutaj macie. Głowy wam od tego gniją. Najwięcej rozpierdoliliście, a teraz siedzicie za tymi murami i cieszycie się,

że gdzieś tam wróciła jakaś pszczołka. Zapomnieliście, co ocieplenie zrobiło na zewnątrz.

– Ty też?

Zostawił ją, oświetloną miękkim światłem księżyca. I poszedł wędrować po pustych ulicach. Feliks nie tyle nie był dobry w roztrząsaniu swoich pobudek, ile po prostu nie chciał tego robić. Służba na murze nie zachęcała do autoanalizy. Człowiek mógłby się przestraszyć tego, co by znalazł.

Siedział przy stoliku i posysał kawowy żel. Taka prawdziwa kawa, w płynie, zrobiona z nasion, była poza zasięgiem finansowym zwykłego człowieka. Chip podmieniony przez chłopaków działał perfekcyjnie. Po drodze dwa razy przeszedł kontrolę, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Przez ostatnie dwie godziny obserwował to nieszczęsne osiedle willi i układał w głowie plan. Zostało mu rozważyć, jakie ma opcje. Choć w zasadzie to nie miał żadnych. Fafuś miał rację, jeżeli tu zostanie, to wcześniej czy później go złapią. Na murze miał dość znajomości, żeby bez problemów znaleźć się poza Unią.

W zasadzie nic go tu nie trzymało. Rodziny nie miał, związek nie istniał, starzy znajomi gdzieś się wykruszyli. Ambicje z czasów młodości rozwiął wiatr. W Unii było obiektywnie lepiej niż gdziekolwiek indziej, ale ile z tych resztek państwa dobrobytu było dostępne dla zbiega? Czy dla tego warto ryzykować życie?

Pierwszy raz od paru lat spadł wtedy śnieg. Minister ds. Klimatu płakała na wizji, mówiąc, że to jaskółka zmian i że może uda się przetrwać. Na termowizyjnym feedzie z satelity karawana klimatycznych uchodźców paliła się jak norweskie kościoły. Feliks z resztą oddziału od świtu obserwował białoruską wioskę, w której się schronili. Wioska to było zresztą za duże słowo. Może kiedyś mieszkali tu ludzie, ale teraz w pachnących smołą chatach hulał tylko wiatr. Kierownictwo spodziewało się dużej grupy i wydało polecenie działań wyprzedzających. Nie chcieli ryzykować, że przy samej granicy ktoś trzaśnie fotki.

Po chwili chaty płonęły. Ludzie nie stawiali oporu, na widok w pełni uzbrojonych żołnierzy paru próbowało uciekać, ale większość nie miała na to siły ani woli. Zabrali im wszystko, podpalili schronienia. Zostawili nagich na śniegu. Porucznik powiedział,

że to będzie przestroga dla następnych, że teraz to już ho, ho, na pewno się nie odważą.

W powrotnej drodze ich trafili. Dwa drony położyły zaporę ogniową, naprowadziły na umocnione pozycje ruskich pograniczników. Feliks wyprowadził swoją sekcję z pułapki i zarobił medal. Do dzisiaj śnił mu się czerwony śnieg, kolega, który za wolno biegł i dostał zrzuconym z powietrza granatem. Ten niesamowity chaos, w którym wszystko działo się tak wolno. Zapamiętał każdą zmarszczkę na sparaliżowanej strachem twarzy sierżanta. Mógłby z pamięci narysować każdy por na jego nosie. Twarzy ludzi pozostawionych na śniegu przy płonących chatach nie mógł sobie przypomnieć.

– Czy życzy pan sobie coś jeszcze?

Kelner podjechał niezauważenie. Był z tych lepszych, prawdziwy człowiek wyświetlany na ekranie w miejscu robotycznej twarzy. Obsługiwał pewno trzy czy cztery takie miejsca naraz. Ciekawe skąd był naprawę? Teoretycznie przepisy robiły wszystko, żeby zatrudniać obywateli Unii... ale wizja płacenia paru centów za godzinę komuś z drugiego końca świata robiła swoje.

– Dzięki. Czas na mnie.

Feliks wstał i w głowie dopowiedział, że skoro to pieprzone państwo nie potrafi dopilnować, żeby sieciówka zatrudniała ludzi zgodnie z prawem, a Fatma musi zapierdalać na czarno, to na chuj on ma go pilnować. Ka Tien wiedziała jak się w takim świecie ustawić. On nie. Ona weszłaby do tego osiedla główną bramą na wysokich obcasach. Niech to wszystko się rozpadnie w cholerę. On spada. Tylko jeszcze jedną sprawę załatwi po drodze.

Dwóch uzbrojonych w obezwładniające strzelby misiów chodziło dookoła osiedla po schemacie tak prostackim, że rozgryzłby go przeciętnie inteligentny labrador. Dziurę, którą dostał się tam ostatnio, już załatwili, ale to nie był problem. Wystarczyło na chodniku z tyłu zaparkować białego vana (chip znów zadziałał znakomicie), wejść na dach i jednym skokiem znaleźć się na drugiej stronie. Mur był tutaj głównie symbolem, mówił biednym i maluczkim „nie dla psa kielbasa”. Feliks nie miał nastroju do słuchania.

Poczekał między tujami, aż strażnik przejdzie. Nasunął głębiej czapkę. Miała w daszku miniprojektor, który rzucał na jego twarz losowe wzorki, dla ludzi ledwo widoczne, dla kamer konfundujące. AI siedzące za systemem CCTV i tak rozpozna go jako człowieka, ale może nie wezwie policji od razu.

Schowany obserwował, jak sprzątaczką wypalała swojego skręta przy śmietniku punktualnie jak co godzinę. Zanim zamknęły się za nią drzwi, zdążył chwycić za klamkę. Zimne światło korytarzy. Zapach chloru i dymu papierosowego z drugiej ręki. Ostatnio jak go tędy ciągnęli, był nieprzytomny, ale spodziewał się, że znajdzie jakieś oznaczenia. Prędzej czy później trafi na drzwi z napisem ochrona. Otworzył, huknął strzał.

Levan spudłował. Debil próbował strzelić z obezwładniacza w głowę. Rozszerzająca się pięść błyskawicznie twardniejącej piany przeleciała Feliksowi tuż koło ucha. Ruszył i drugi huk złał się w jeden dźwięk z trzaskiem pękającego nosa. Ochroniarz poleciał na ziemię, poprawiony ciosem z bani. Tym razem jednak trafił. Noga Feliksa bolała jak skurwysyn i możliwe, że kość była pęknięta. Nie mogąc porządnie kopnąć leżącego, porwał z biurka pałkę i wyjechał mu jeszcze raz, dla pewności. Potem skuł mu ręce jego własnymi trytytkami i kuśtykając, zabrał się za przeglądanie szafek. Jeszcze dwie strzelby, wyjce, pałki, pornograficzne holo i wreszcie to, czego szukał, komplet kart dostępu.

– Psiarnia już tu jedzie... Na co ty kurwa w ogóle liczysz? Po coś tu przylazł? – wyrzucił z ziemi Levan. Był twardszy, niż się wydawał, skoro jeszcze gadał.

– Spalić ci budę – zripostował Feliks od razu, ale poczuł, że czegoś zabrakło w tej odpowiedzi. Że *one-liner* jak z filmów akcji, nie jest całą prawdą. A może nie jest nią w ogóle?

Feliksa nikt nigdy nie nauczył analizować głębiej swoich zachowań. Chciało mu się bawić, szedł na imprezę. Był głodny, zgarniał, wracając z niej, kebasa. Potrzebował kogoś, to wyrwał kruczowłosą Ka Tien. Ktoś go zirytował, to bił go po mordzie. Problemy zaczynały się, kiedy coś go niemożliwie wkurwiała, a nie miało mordy.

Do akumulatorowni dostał się bez problemu. Wymontowanie regulatorów zajęło jakieś trzydzieści sekund, bezpieczniki poleciały następne. Bawili się tak starymi bateriami od skuterów jako

dzieciaki. Kwestia skali. W głowie policzył, ile ma czasu przed przyjazdem policji, i ustawił timer.

Niebieskooka policjantka wprowadziła swoich ludzi w dym i pożogę. Mimo pandemonium po eksplozji, mimo świeżych ran, mimo trwającej ewakuacji osiedla. Nie miała wyboru. Kontrakt strażaków nie przewidywał działania w zagrożeniu terrorystycznym, a z firmą ochroniarską nie szło się skontaktować. Pani właścicielka osiedla poganiała, grożąc znajomościami.

Weszli pomiędzy wille, jakby wchodzili do dżungli, jakby szli do ataku na osłonięte zasłoną dymną pozycje wroga. Otulił ich gęsty kokon mgły, dymu i rakotwórczych oparów. Syreny gdzieś ucichły, neony miasta zgasły, świat zniknął poza granicami percepcji. Przez wysuszone gardło Ewa cicho wydawała rozkazy do interkomu. Głos jej wcale nie drżał.

Uderzył nagle. Coś trafiło Marka, powaliło go niczym boski palec. Cień przemknął obok niego, unikając spóźnionej i niecelnej serii, przeturlał się, z bezwładnych rąk wyrwał karabinek i rozpłynął się w oparze. Teraz Feliks miał broń. Błękitne płomienie palącej się willi radośnie buzowały, rzucając na mgłę nierealne cienie.

Pojedynczy strzał. Kaśka spanikowała i zaczęła pruć po wszystkim, Ewa krzyczała rozkazy wściekła i bezsilna. Cień znowu uderzył, wibrostrze zostało między żebrami padającego ciała. Trzydzieści sekund starcia, a straciła trzech ludzi. Zatrzymała oddział, próbowała znaleźć bezpieczną pozycję dla pozostałych i uspokoić sytuację. Gdzie jest to obiecane wsparcie? Nie dał jej szansy. Granaty-wyjce wylądowały im pod nogami. Inteligentne słuchawki na szczęście zadziałały, ale przez kilka kluczowych sekund nie mieli jak rozmawiać. Znow zgasły dwie kropki na jej HUD-zie.

Wreszcie wsparcie z powietrza! Dwa drony z termowizją dały jej mapę sytuacji, teraz widziała drania. Razem z jej ostatnim człowiekiem ustawiła się tak, żeby skurwysyn nie mógł uciec. Dała sygnał i ciężki śmigłowiec obniżył lot, rozwiewając na chwilę dym. Wyskoczyła zza rachitycznej tui, plując ołowiem. Przez staccato karabinka usłyszała rozdzierający krzyk. Trafiła. Poczuła jak jej kamizelka ugina się pod kulami, żebra trzasnęły. Poleciała do przodu, a potem świat zadrżał, kiedy kolejna willa eksplodowała.

Po rumowisku pełgały płomienie. Ona miała rękę przygniecioną kawałkiem czyjejś łazienki, on nie czuł nic poniżej pasa. Eksplozja rzuciła ich tak, że leżeli tuż obok siebie, w parodii intymności, gdzie ból zastępował bliskość.

– Czemu wtedy, tam na placu, nie strzeliłaś? – zapytał Feliks, kiedy wreszcie otworzyła błękitne oczy. – Zaoszczędzilibyśmy sobie tego wszystkiego.

– Ty to potrafisz zagadać do dziewczyny. Może jakiś komplement, a nie od razu „dlaczego mnie nie zabiłaś?”.

Nie odpowiedział.

– Nie wiem, niech mnie cholera, nie wiem. Może miałam gorszy dzień. Może gwiazdy się do ciebie uśmiechnęły, a może sam św. Dyżma miał cię w swojej opiece. Chuj wie. – Przestała na chwilę mówić i bez przekonania spróbowała wyciągnąć rękę z gruzów. – Kurwa, ale to boli. I dlatego że czasem... czasem musisz to zrobić. Opuścić wystawienie mandatu, zgubić jakiś papier, bo inaczej już zupełnie zostajesz trybikiem, bez odwołania. Miałeś po prostu szczęście. – Spróbowała się roześmiać, ale pył w ustach nie pomagał. – A ty czemu tu wróciłeś, zamiast gdzieś bezpiecznie się zamelinować?

Długo się zastanawiał, myślał o Fatmie spotkanej na zamarzających bagnach Polesia po tym, jak Ruscy rozbili ich oddział. O tym, czemu robimy pewne rzeczy.

– Chyba miałaś rację, jesteś bardziej podobni, niż myślałem – odpowiedział w końcu.

– Psy ogrodnika. Pilnujemy ogrodu, z którego niewiele mamy.

– Ano.

– Ale teraz to przesadziłeś. – Znow spróbowała się roześmiać. – Wiesz, co się robi z psami, które się wściekną?

Nie odpowiedział, tylko pokazał jej zawleczkę.



Rdestowiec zdążył już obrosnąć gruzy do wysokości człowieka, kiedy pani prezes wpadł mail z podsumowaniem wydatków na odbudowę trzech willi i kampanie PR-ową związaną z zajęciem na osiedlu. Rzuciła tylko okiem. W sumie grosze. Jej firma miała z czego płacić, właśnie wygrała aukcję na obsługę pracy więźniów z zakładu na Służewie. Razem z subsydiowanym kontraktem na wymianę farm wiatrowych starszej generacji pod Grójcem... Na samą myśl o tym, ile zarobi, przeszedł ją przyjemny dreszcz. Pomyślała, że ludzie powinni być wdzięczni takim jak ona, to dzięki nim udało się przejść przez kryzys klimatyczny bez większych strat. Podwoiła budżet na tę kampanię PR-ową.

O autorze

Paweł Jakub Domownik – działam w stowarzyszeniu Avangarda. Prowadzę bloga Kołek Niewiary, ostatnio zdarza mi się opublikować recenzje fantastyki. Erpegowiec, wydałem parę indie gier, wygrałem konkurs Quentin. Organizator konwentów. Grafik.



Rozwiewa się mgła nad Niebiańskimi Grobami

Romuald Pawlak

*Mniej ważne, kim byli poprzednicy.
Ważniejsze, kim będą następcy.*

Rozdział 1

Podobno najpierw z korytarza dobiegł szmer rozmowy, nieprzyjemny niczym dotyk surowej, pełnej drzazg deski. Wdarł się do ciemnej sypialni dziewczyn jak intruz albo błysk światła prosto w oczy.

Ortena przekręciła się z westchnieniem na brzuch i podciągnęła koc na głowę, starając się nie otwierać oczu. Broniła ostatnich chwil odpoczynku, chociaż już do niej dotarło, że sen odszedł, że zaraz trzeba będzie się zebrać, wyjść z domu i ruszyć w drogę, ku Niebiańskim Grobom.

W chwili, gdy zrezygnowała z walki, odrzuciła koc i opuściła stopy na miękką wilczą skórę, szorstki głos taty wyraźniej przebił się przez drzwi. Tabor dyskutował z kimś na końcu długiego korytarza biegnącego środkiem domu Mrukoszów. Nawet stąd trudno było nie rozpoznać rządzących jego słowami emocji.

– Właśnie zmienia decyzję, zamiast ciebie do Grobów pójdzie Olwen! – rozległo się syknięcie z przeciwnej strony łóżka, gdzie spały młodsza od Orteny o dwa lata Franczeska i najmłodsza

z sióstr, Lida. – Ty się tylko do struganek nadajesz! Za słaba do przygotowywania ciał, za głupia na śpiewanie! Do Filców powinnaś iść, pola za Rybim Stawem obrabiać.

– I tak jestem lepsza od ciebie! – odcięła się szeptem Ortena, czując, jak krew uderza jej do głowy. – Umiesz śpiewać, ale z myśleniem tak słabo, że sznurkiem za nogę trzeba przywiązać, żebyś się w lesie nie zgubiła!

Serdecznie się nienawidziły. Młodsza siostra zazdrościła starszej, że ta chodzi z ojcem na Groby nie tylko w czasie ceremonii Oddania. Ortena zaś czuła się przy Franczesce gorszą śpiewaczką, miała świadomość, że kiedy ich matce, Sannie, braknie sił, rytuał przejmie siostra.

Już lepiej, żeby przejęła go Lida, która teraz nadal słodko spała, po czubek głowy zawinięta w koc. Nie obudziły jej szepty sióstr, chyba że sprytnie udawała. To też możliwe, bo w tej siedmioletniej główce zdążyła się zagnieździć niejedna mądrość. Czasem Ortena dostrzegała w niej dojrzałość, jakiej żadna ze starszych sióstr nie miała.

Nagle w głębi osady zawibrował krzyk, któremu zaraz zawtórował drugi. Odbiły się od koron drzew i wróciły wzmocnionym echem. Ortena poczuła, że jej serce przyspiesza, w głowie pojawia się niepokój – zupełnie jakby ktoś dotknął struny strachu w jej umyśle. Zjednoczone lękiem wymieniły z Franczeską pełne obawy spojrzenia.

W pozostałych izbach chaty Mrukoszów także rozległy się odgłosy gwałtownej pobudki. Krzyki zdawały się zwiastować coś złego, coś, na co trzeba zareagować natychmiast.

Dziewczyna pospiesznie wciągnęła skórzane spodnie, narzuciła grubą zieloną bluzę i, nie czekając na pozostałe siostry, wyskoczyła na korytarz.

Niemal wpadła na Adema, który wyszedł z pokoju chłopaków i dłonią powstrzymując ziewanie, przyglądał się Taborowi rozmawiającemu z najstarszym synem, Olwenem.

– Wróciły chłopaki od Filców – poinformował szeptem Ortenę. – Ale nie wszyscy.

Zrobiła wielkie oczy. Nagły dreszcz lęku przegonił resztki snu.

– Draper Wyrtek został w zapadlisku, gdzieś w buczynach Skinkarte.

Przełknęła ślinę. Nikt nie lubił tamtej okolicy, mimo to przeczesywali ją co jakiś czas, by w jamach i wykrotach szukać metalu. Tyle że nigdy wcześniej nie otworzyło się tam zapadlisko zdolne pochłonąć człowieka!

Nie darzyła Drapera sympatią. Jego lepkie spojrzenie, którym obmacywał dziewczynę, odstręczało ją skuteczniej niż odór śmierdziaków – grzybów, których fetor dało się rozpoznać z odległości stu kroków. W tej chwili jednak mu współczuła, o ile jeszcze żył. Mógł przecież umrzeć od razu.

Adem pociągnął ją do drzwi wyjściowych, kątem oka obserwując ojca pogrążonego w cichej acz żywiołowej rozmowie z Olwenem.



Deszcz padał od kilku dni. Niekiedy zanikał na chwilę, by zaraz ponownie opaść na las niczym rój pszczoł na kwietną łąkę. Teraz się nasilił, krople kęsały Ortenę w twarz. Dziewczyna żałowała, że nie wzięła bluzy z kapturem, tylko złapała pierwszą z brzegu, pozbawioną nakrycia głowy.

Na Ademie deszcz nie robił wrażenia. Chłopak poprowadził siostrę na główny plac, gdzie gromadził się tłum zwabiony krzykami, które zakłóciły ciszę kończącej się nocy. Dwaj bracia Filcowie, Bazyl i Szymon, opowiadali zebranym o tym, jak przeszukiwali wykroty w Skinkarte i dotarli tam, gdzie bukowy las rzadnie, pojawia się bagno, a za nim buczyna wspina się na wzgórza, których dotąd prawie nie eksplorowali. Wiedzieli jedynie, że niewiele ciekawego można tam znaleźć, za to istnieje ryzyko natknięcia się na wilka albo niedźwiedzia.

– I tam nikt nie chodził, przynajmniej my nic o tym nie wiemy – relacjonował rozgorączkowanym tonem Bazyl, pomagając sobie gestami. – Znaleźliśmy pełno wykrotów, ale w nich nic wartościowego. A potem, na szczycie następnego wzgórza, a nie w dole, nagle ziemia się zapadła i pochłonęło Drapera, który szedł na czele.

– Ostrożnie zajrzeliśmy do środka, rzuciliśmy nawet pochodnię – wtrącił się Szymon, jakby nie chciał zostać pominięty w tej opowieści. – Draper się nie odzywał, a powstała studnia była tak głęboka, że nie widzieliśmy dna. Więc wróciliśmy...

W lesie nie brakowało zagrożeń. Już małe dzieci, które ledwie zaczęły chodzić, uczono, że tylko las w pobliżu Krokwi jest względnie bezpieczny. Wszelkie nietypowe zapadliska oraz pustynia są zdradliwymi pozostałościami Drogi, którą podążali Poprzedni Ludzie. Owszem, mieszkańcy osady korzystali z ich metalu, jeśli udało się go znaleźć, ale poza tym starali się trzymać z daleka od wszystkiego, co tamtych pogrzebało.

– Nie musieli chodzić do Skinkarte. Tam zawsze było niebezpiecznie – mruknął Ortenie do ucha Adem.

– Słyszałeś, szukali metalu – upomniał syna Tabor, stając nie spodziewanie za ich plecami. – Zaczyna go nam brakować, przecież wiesz.

Wszyscy w Krokwi wiedzieli, że ostrza noży rdzewieją, nie da się ich szlifować w nieskończoność, cienieją i w końcu się łamią. Czasem ktoś trafiał na bryłę, którą dawało się obrobić, częściej były to jedynie wstęgi albo pręty, które z mozołem szlifowano. Taborowi zdarzało się mówić, że niebawem zostaną im tylko drewniane noże.

Tymczasem Bazyl powtarzał opowieść tym, którzy dopiero nadeszli. Jego brat bliźniak, Szymon, oklapł. Wydawał się przybity, załamany, bezwolny, jakby on również wpadł w studnię i pozostał w niej obok Drapera. Bazyl natomiast emanował gniewem gorącym jak buch z chlebowego pieca. Kiedy opowiadał o Skinkarte, miejsce to stawało się Piekłem Poprzednich Ludzi, miejscem zapomnianym w szczegółach, ale mimo to strasznym.

Oczy Bazyla błyszczały, pod szopą ciemnych włosów, kiedy opowiadał o tym, jak Draper walczył, aby nie wessała go głodna czeluść zapadliska; jak chwycił się najpierw korzeni drzewka – wystających z ziemi – a później – gdy pod ciężarem chłopaka poleciało w dół – chwycił się mchu i osuwał powoli z nadzieją, że w końcu znajdzie podparcie dla stóp, zatrzyma się i bracia go wyciągną.

– Ale, że wtedy, w tym leju, otworzy się większe zapadlisko, jakaś kamienna studnia, tego nikt nie mógł przewidzieć – chrząścił słowami, jakby najadł się piasku i żwiru. – I Draper tam zleciał razem z tym drzewkiem i zniknął.

Tymczasem przez tłum przepchnął się jeden z przywódców osady, filar, Hadem Wark, barczysty mężczyzna równie dobrze radzący sobie z beczkami pełnymi jedzenia, jak z panowaniem nad mieszkańcami. Rozsuwał ludzi, póki nie stanął przed chłopakami Filców.

– Mógł przeżyć?

Bazyl wzruszył ramionami.

– Nie wiem. W końcu uciekliśmy, kiedy zaczęły się otwierać mniejsze zapadliska. – Bazyl gestem pełnym rezygnacji otarł z czoła krople deszczu. – Ale z długimi linami może by się dało sprawdzić.

– Dna nie widać – rzucił niespodziewanie Szymon, krzywiąc się z niechęcią. – Strasznie głęboko spadł.

Bezradnie opuścił ręce. W osadzie używano lin, ale lina długa na kilka łokci to jednak coś innego niż dziesięć razy dłuższa. A ze słów bliźniaków wynikało, że Draper zleciał bardzo głęboko i nie wiadomo, czy przeżył.

Nagle Tabor otrząsnął się z zasłuchania, spojrzał przytomnie na swoje dzieci.

– To tragedia, ale my musimy ruszać na Groby.

Z namysłem popatrzył w niebo, które powoli rozświetlało się blaskiem świtu.

Ciężko było ruszyć w drogę, gdy osada żyła dramatem Drape-ra i wizją kolejnego pogrzebu. Albo jeszcze gorzej – jego braku. A brak ten oznaczał, że nie wprowadzą Drapera na Drogę nowego życia.



Polana, na której założono osadę, była rozległa. Z północy na południe przecinała ją szeroka ścieżka. Z jednej strony wiodła w głąb mieszanego lasu, z gęstym podszytem i pustką pod koronami świerków. Niekiedy ustępował on miejsca naturalnym

sadom lub malowniczym łąkom zachwycającym obfitością kwiatów, ziół i traw. Z drugiej zaś, prowadziła rzadką brzezina na piaszczystą pustynię, suchą i jałową, niemal pozbawioną życia.

Mieszkańcy osady skupieni byli wokół czterech głównych rodzin, a każdej z nich przewodził mężczyzna zwany filarem. Domy i warsztaty tych, których filar obejmował patronatem, stały w bliskim sąsiedztwie jego chaty. Razem przypominały skupiska żółtych grzybów i grzybków gęsto porastających polanę.

Każda z rodzin zajmowała się czymś innym. Warki na przykład wytwarzali dla osady jedzenie z tego co upolowali Filce.



Z przylegających do ich domu magazynów i warsztatów Tabor i jego dzieci wzięli torby ze sprzętem i pomaszerowali ku zachodniej części wielkiej polany. Minie sporo czasu, nim dotrą na miejsce, zrobią swoje, jeśli będzie trzeba, a potem wrócą do Krokwi. A chcieli się uwinąć, nim zajdzie słońce. Po zapadnięciu zmierzchu mało kto ryzykował wyjście z solidnych chat, a co dopiero opuszczenie strzeżonej polany. Wprawdzie społeczność nie żyła w strachu przed światem zewnętrznym, nie oznaczało to jednak, że ignorowała ewentualne zagrożenia.

Mijając domy Kromów i rodzin pod ich patronatem, Ortena pociągnęła nosem. Wiatr przyniósł cuchnące wyziewy. Znowu wyprawiali skóry. Prawdopodobna śmierć jednego z Wyrteków nie mogła powstrzymać pracy.

Odwróciła się w stronę placu. Tam nie milkła dyskusja o tym, co zrobić w sprawie Drapera.

– Nie masz co patrzeć, nikt nie zejdzie do świeżego zapadliska – odezwał się Tabor. – Jesteśmy grobnikami, obchodzi nas Zuzumi, przeprowadzenie go do nowego życia. To nasz wkład w funkcjonowanie osady. Fakt, zajmujemy się również księgami i ziołami, ale z pewnością nie wydobywamy ludzi z pułapek.

Gdy ojciec wpadał w taki ton, nie było co dyskutować. Nie wiadomo, czy Draper żyje, za to Zuzumi nie żyje na pewno. Sprawą grobników jest pomóc mu w znalezieniu nowej ścieżki istnienia.

Ortena wciąż nie mogła się pozbyć myśli o Draperze, chociaż cel ich podróży wymagał, aby skupiła się na Niebiańskich Grobach i Drodze – jak przed chwilą przypomnieli dzieciom Tabor. Nie potrafiła. Nie bulwersowała jej śmierć, przecież w osadzie często ktoś ginął lub umierał, lecz fakt, że Draper ani żył, ani zginął – na razie nikt nie umiał tego rozstrzygnąć.

Którą Drogą podąży ktoś, kogo wessały pułapki Poprzednich Ludzi? I czy w ogóle podąży, może pozostanie w znumifikowanej postaci, zawieszony w połowie transformacji?

Nagle Tabor zatrzymał się bezszelestnie, a idący za nim Adem zrobił to samo.

Ze dwadzieścia kroków przed nimi spomiędzy drzew i krzewów wysunęły się dwie łanie z młodymi. Ludzie rzadko na nie polowali – jedynie, gdy głód zajrzał im w oczy – więc nie budzili lęku większego niż spadająca czasem gałąź. Zwierzęta spokojnie przekroczyły ścieżkę. Tylko jedna z dorosłych samic czujnie przyglądała się stojącym.

Ciekawe, czy one też...?, przemknęło Ortenie przez głowę.

Nigdy nikomu się do tego nie przyznała, ale gdyby nie strach, szukałaby odpowiedzi na wiele pytań: Co się stało z Poprzednimi Ludźmi? Jak bardzo byli inni? Czy zmieniły się także zwierzęta?

Szeptem dodałaby jeszcze pytanie o niezwykle umiejętności, których niemal nikt w osadzie nie miał. Czy zdarzały się wśród tamtych? A może miał je każdy? A może teraz i zwierzęta je mają, i dlatego łanie wiedzą, że dziś im nic nie grozi?

Obaj mężczyźni nie mieli takich dylematów, dla nich jelenie były pokarmem i mieszkańcami wspólnego lasu.

W tej części puszczy jedynym zagrożeniem były ruiny wystające z martwego jeziora. Woda w nim musiała być silnie trująca, skoro nie żyły tam żadne ryby, a pas roślin zaczynał się spory kawałek od brzegu. Nikt z osady nie ryzykował eksploracji tego miejsca. Było wspomnieniem o Drodze, która doprowadziła Poprzednich Ludzi do katastrofy.

Jelenie zapewne też nauczyły się omijać jezioro.

Zbliżali się do skraju lasu. Ortena zastanawiała się nad tym, kiedy ruszy kolejna procesja. Zuzumi już czekał na wybór Drogi, ale Kandla i Wiernik, też chyba się do niej szykowali. Kobieta,

wysuszona niczym zapomniany orzech sprzed wielu lat, jak stare drzewo, chyliła się ku upadkowi, a choć życie jeszcze się w niej tliło, wkrótce zgaśnie. Wiernik był młody, lecz od zawsze nie grzeszył rozumem. Niedawno poważnie zranił nogę. Nikogo nie słuchał, chciał szukać mięsa czy grzybów razem z innymi, zaniedbał opatrunki i wdało się zakażenie. Nikomu nie powiedział, aż było za późno. On też wkrótce wybierze nową Drogę.

Dochodzili tymczasem do skraju lasu, gdzie rosły skarłale drzewa, mniej zielone, może chore? A może tylko nie lubiły pustyni.

W końcu wyszli na skraj rozległego morza piasku – dziwnego, odmiennego od tego, do czego było przyzwyczajone oko mieszkańca Krokwi. Za plecami mieli ścianę lasu. Przed sobą, aż po horyzont, żółtą połąć, na której słońce kładło się jak na świetlistym łożu. To znaczy kładło się w inne dni. Dziś, a właściwie już wtedy, gdy odprowadzali Zuzumiego do Niebiańskich Grobów, światło z trudem przesączało się przez warstwy gęstych, ciemnych chmur. Po uporczywych, z rzadka słabnących lub zanikających deszczach, ziemia nabrała szarej barwy.

Maszerowali w milczeniu, ku jednemu miejscu, które wyróżniało się na tle monotonnego krajobrazu. Ku czemuś co przypominało wyrastającą z piachu wieżę.

Wreszcie Adem otarł z czoła krople deszczu i zniechęconym głosem wycedził:

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy zbudować ołtarzy w naszym lesie?

– Ciągle o to pytasz i co ciągle ci odpowiadam?

– Że ambona, na której moglibyśmy ich złożyć, to nie Niebiański Grób, a sępy nie zaglądają do lasu – odparł z westchnieniem chłopak, patrząc z rezygnacją na ojca. – Ale inne zwierzęta tak! Kruki i lisy, i wilki, a nawet czasem niedźwiedź się trafi, pamiętasz, jak nas odwiedził kilka lat temu? One też pożywią się zmarłym!

Tabor zmierzył Adema krytycznym spojrzeniem.

– Kontynuujemy tradycję taką, jaką zostawili nam przodkowie – oznajmił namaszczonego tonem, którego tak nie lubiła Ortena. – W lesie nasi zmarli zostaliby z nami, a tak mają szansę ruszyć dalej. Nie możemy im tego odebrać.

Dziewczyna milczała, choć znów ją kusiło, żeby wesprzeć brata. Dobrze, że ojciec nie słyszał, jak kiedyś Adem warknął do Olwena, że po cholerę im żelazo, że bez niego też by sobie radzili, a zresztą, czy oni muszą naśladować Poprzednich Ludzi?

Ona także miała wątpliwości, czy wszystko w Drodze ma sens. I w ogóle, czy sens ma tradycyjny porządek.

W tej chwili jednak musieli dojść do Grobów.

Przestało padać, choć powietrze wciąż było ciężkie od wilgoci – niczym nasiąknięta gąbka – ale wkrótce pustynia wysysie całą tę wodę. Powietrze zyskało już względną przejrzystość i widać było, długą na tysiąc kroków, szeroką na pięćset, a wysoką na trzysta, formację, ku której zmierzali.

Była to przedziwna oaza – sterta skał, porośniętych szczodrze zielenią: mchem, krzewami, a nawet niskimi drzewkami. Choć nie było tam ani strumienia, ani sadzawki, wody pod ziemią musiało być dosyć, by rośliny mogły ją czerpać.

Ta grupa skał, o kolorach od jasnego beżu po ciemny brąz, rzuconych niewiadomą ręką na pustynię, wyglądała tak, jakby ktoś najpierw chciał je układać poziomo, a w ostatniej chwili się rozmyślił, przekręcił je na bok, a potem dodatkowo pofalował, tworząc gdzieniegdzie zagłębienia i płaskie, równe powierzchnie. Gdy skończył pracę, podstawę zasypał piaskiem.

Choć od lasu dzielił wędrowców spory kawałek, docierały tu i leśne zwierzęta, i żyjące na pustyni jaszczurki oraz szczury piaskowe. Kruki i sępy również niewiele sobie robiły z odległości, korzystając z powietrznych prądów, których nad tym miejscem nie brakowało.

Aby dostać się do środka, musieli skrócić w lewo. Tam sterczące pionowo skały pękły niemal na pół i otworzyły przypominające bramę wejście do labiryntu. Był to początek trudności. Żeby dostać się na szczyt, trzeba było krążyć, wyszukiwać przejścia pozwalające pokonać kolejną formację skalną. Tabor miał w głowie mapę góry, Adem i Ortena dopiero się jej uczyli, ale gdy ojciec wypuścił ich do przodu, dali sobie radę. Płosząc zwierzęta i nieliczne ptaki, dotarli do celu.

Tam, na stosunkowo płaskiej powierzchni, trzy skały ułożone równolegle do siebie – *Zupełnie jakby były kiedyś całością,*

pomyślała po raz któryś Ortena – tworzyły platformy nazwane przez założycieli osady Niebiańskimi Grobami.

Patrzyła na Groby i... i nagle poczuła w głowie coś, co ją zdumiało. Jakby oplotło ją wrażenie cudzej *obecności*, coś, co czasem – niezwykle rzadko – odczuwała. I co starannie ukrywała przed wszystkimi w osadzie, nie rozumiejąc, czego właściwie doświadcza. To była ta niezwykła umiejętność, o której pomyślała, widząc łanie z młodymi.

Na szczęście żaden z mężczyzn nie patrzył na Ortenę, obaj kierowali spojrzenia na skalne platformy. Na środkowej wciąż spoczywał Zuzumi. Trwał w zawieszeniu między światami, już nie żył i jeszcze nie żył, był *po między*.

Na śmierć wybrał sobie niedobry czas. Ulewy, mgły i stęchłe zapachy podmokłej ściółki oraz mchu na skałach myliły zwierzęta i wszystko, co mogło pomóc Zuzumiemu wkroczyć w nowe życie. Sępy gdzieś w ukryciu przeczekiwały deszcze albo stały nieruchomo, ze złożonymi skrzydłami, niby dawne posągi. Po kilku dniach ciało Zuzumiego, nadal spoczywało tam, gdzie je złożono. Mokre i nienaruszone.

Wciąż zatem nie wybrał nowej Drogi. Rozmowa z jego rodziną nie będzie łatwa. Chcieliby już wyruszyć w las, na zachodnie łąki, zacząć szukać zwierząt, w które się wcielił ten dwudziestolatek. Albo roślin, w których rozwinie się jego nowe życie. A tymczasem tkwią w chatach, pogrążeni w wyczekiwaniu pełnym smutku.

Tabor trafnie odczytał myśl zasępionej Orteny. Patrzył na ciało Zuzumiego, jakby oceniał, czy nie należy interweniować. Skoro jednak żadne ze zwierząt nie zaczęło swej pracy, cóż tu miał do roboty grobnik?

– Ten czas nadejdzie, ale my go ani nie przyspieszymy, ani nie opóźnimy – mruknął szorstko. – Rolą grobników jest stworzyć Drogę, a potem o niej opowiedzieć.

– Tak, wiem – odparła sucho. – Opowiadamy społeczności o procesie, natomiast nie ma znaczenia, kiedy się rozpocznie ani czy Zuzumi stanie się zwierzęcą częścią natury, czy wchłoną go drzewa, trawa i mech. Tak czy inaczej, jego atomy będą pośród nas, bo krąg życia, kolejne wcielenia, jest wieczny i nierozzerwalny – drwiła, zmęczona powtarzalnością.

Tabor się skrzywił, choć nic nie powiedział, skupiony na obserwowaniu nieba.

Wysoko ponad skałami, samotny ptak przeleciał ledwie widoczny, nierozpoznawalny. Nie zatoczył kręgu. Nie zainteresowało go ciało Zuzumiego albo go nie dostrzegł.

Nagle w Ortenę uderzyła fala niepokoju – niezwykle silne wrażenie, że ktoś tu jeszcze jest, że nie są tu sami. Poczwała, że Droga Zuzumiego się nie otworzy albo wydarzy się coś strasznego.

To wrażenie obecności nigdy nie było tak intensywne, ale też nigdy emocje nie grały w niej tak jak dziś. Wizyta na Grobach, nietknięte ciało Zuzumiego i nieszczęście Drapera dały wyjątkowe połączenie.

– Wracajmy – zarządził ojciec. – Jutro znów sprawdzimy. Albo pojutrze.

Za nic by mu nie powiedziała, co się w niej dzieje.

Zaczęła schodzić śladem Tabora, uważając, żeby nie skrócić nogi na ostrych krawędziach skał.

Muszę spytać matkę, pomyślała, może to otwarcie na Pieśni?

Rozdział 2

Na pustyni, ile wody by nie spadło, cała zaraz wsiąkała w piasek i znikwała, jedynie przez chwilę powierzchnia przypominała betonową szarość, zamiast się skrzyć, jak to drobna krzemionka miewa w zwyczaju. Kiedy jednak minęli pierwsze drzewa, przednią straż lasu, ostatnie krople wciąż wisiały na gałęziach, a mokra kora pachniała żywicą. Spłoszyli dużą srokę, która strząsnęła na nich trochę deszczu, z oburzeniem przenosząc się w miejsce spokojniejsze niż wysoki konar dębu ponad ich głowami.

Łaty mchu na ścieżce wciąż były mocno nasiąknięte i przy każdym stąpieniu wyciskali z nich wodę stopami.

Niedaleko osady, może ze sto kroków przed jej skrajem, czekał na nich mały Petar od Kromów. Chłopak miał dopiero trzynaście lat i jeszcze nie chodził z dorosłymi na dalsze wyprawy. Teraz oparty o pień drzewa, wodził wzrokiem po koronach, wypatrując ptaków i pszczół. Choć lepiej, żeby zajął się szyciem ubrań, jeśli ma dość zręczne palce, niż poszedł śladem Zuzumiego. Ten widział

pszczoły wysoko w koronach i postanowił sprawdzić, czy jest tam barć. Gdyby mu się udało, pewno by powiedział Filcom, aby poszli wybrać miód, ale spadł i tyle zostało z jego dobrych chęci.

Tabor pokręcił przecząco głową, a chłopak poczochnął włosy, jakby wspomagając myślenie. Wreszcie uznał gest mężczyzny za informację, że Zuzumi wciąż nie wybrał swej Drogi i popędził po wiadomości o tym swoich.

W końcu minęli strażników i weszli na wielką polanę. W popołudniowym świetle drewniane chaty nabrały miękkich barw, a widok ten nasycił serce Orteny miłością i poczuciem bezpieczeństwa.

Była ciekawa, jak potoczyła się sprawa Drapera, ale Tabor nie dał jej tego sprawdzić, poprowadził ich w lewo, prosto ku domom Mrukoszów.

Kiedy weszli, Sanna rzuciła od niechcenia:

– Będzie trochę prętów do obróbki, Tab. Nim Draper wpadł do zapadliska, zdążyli znaleźć parę kawałków żywego żelaza. Przynieśli, są w składziku, nadadzą się na ostrza.

Ucieszyli się wszyscy, nie tylko Tabor, nawet Adem, odrzucając tę swoją nieznośną pozę. Jeśli metal da się oszlifować, będą z tego noże potrzebne do przygotowania zmarłych. A także broń, o ile pojawi się nadwyżka. Korzystali z zasobów Poprzednich Ludzi, choć wielu, jak Tabor, miało świadomość, że w końcu ziemia pochłonie wszystko, podda się jej najtwardszy metal i kamień. Tabor się tym martwił. Osada powoli się rozwijała, choć umieli włączyć się w życie lasu i korzystać z jego zasobów, być może nadejdzie chwila, kiedy las ich już nie wykarmi i nie utrzyma. Co wtedy?

– A co z Draperem? – wtrąciła się Ortena.

Tabor zmierzył ją surowym spojrzeniem. Nie było rzeczą grobników, zajmujących się Droga, wtrącać się w sprawy innych.

Sanna zaś pokiwała głową i wyjaśniła:

– Wyrтки i bliźniaki Filców gardłują za pomocą, ale nikt nie chce iść na pewną śmierć. Ziemia od deszczu nawilgła, kto wie, gdzie otworzy się następne zapadlisko? Jutro wieczorem w Katedrze mają się zebrać przedstawiciele rodzin, już posłano po rolników i zbieraczy pracujących poza osadą. A dziś na krótko spotykają się wszyscy filarowie, żeby to przyklepać.

Wzruszył ramionami, jakby oznajmiając, że o czym tu gadać, przecież od początku było jasne, że przy podejmowaniu decyzji muszą być obecni wszyscy, i ruszył do składziku, obejrzyć zdobycz.

Ortena chwyciła kawałek chleba i poszła za nim. Korzystając z resztek dnia, wzięła się za nóż ofiarny, który wczoraj zaczęła strugać. Usiadła na progu warsztatu i przyjrzała się wyciętej z klocka bryle, z której wyłaniała się rękojeść.

Gdy palce i oczy zajmowały się nożem, głowa rozmyślała nad pechem Drapera. Nie dość, że spotkało go nieszczęście, to zawisł w stanie dramatycznej nieoznaczoności. Zuzumi umarł, żeby ożyć w innych, a Draper może żył, a może nie. Jego Droga była zupełnie niejasna i nikt nie miał pojęcia, jak ją poznać.

Rodzina Wyrtków szalała z rozpacz. Obaj Filcowie, którzy wzięli Drapera na tę wyprawę, czuli się winni, że go nie uratowali i sami wrócili żywi.

Nikt z mieszkańców osady nie negował, że ich ciężka egzystencja wiąże się z ofiarami. Ryzyko związane z poszukiwaniem metalu było do zaakceptowania. Stan zawieszenia – nie. Ortena była przekonana, że Wyrtkowie w końcu sami ruszą do Skinkarte, nie bacząc na ryzyko.

Zapewne na naradzie ich przedstawiciel będzie apelował o próbę wydobycia Drapera z zapadliska. Jeśli zginął, niech chociaż ma porządną pogrzeb i szansę wejścia na Drogę. *Ciekawe, czy rada zdecyduje się na wyprawę ratunkową, choćby tylko po to, by wydobyć ciało?*, pomyślała.

Obejrzała swe dzieło. Kawałek klonu przestał już przypominać grubą szczapę, powoli stawał się czymś, w czym Ortena dostrzegła ukrytą formę, którą delikatnie wydobywała z nadmiaru materiału. Jasne drewno poddawało się niechętnie, odsłaniając słoje.

Ofiarny nóż miał być piękniejszy od stalowych, służących do pracy. Z niemal idealną precyzją miał odzwierciedlać oryginał noszony przez Zuzumiego, Ortena dodała jednak wzór roślinny i szereg zwierząt, w które może się wcielić zmarły. Rzeźbiony opłot symbolizował Drogę, którą podąży.

Nagle wyczuła *obecność* Nandela, zanim jeszcze usłyszała jego kroki – delikatne stąpanie łani prowadzącej młode po znajomych ścieżkach. Wie, gdzie postawić nogę, żeby nie trzasnęła gałązka,

w razie potrzeby potrafi gniewnie parsknąć, strofując niegrzeczne roczniaki.

Nandel był kilka lat starszy od Orteny, jego skóra miała ciemniejszy odcień, a kędzierzawe włosy przycinał krótko, przez co czubek głowy przypominał gąbkę z sitowia, którego w osadzie używano do mycia garnków.

We wsi tylko jego potrafiła wyczuć, jakby był podobny do niej. Choć też raczej rzadko się jej to udawało i nie wiedziała, dlaczego.

Pochylił się nad dziewczyną i patrzył na jej ręce jak urzeczoney. Chciałby rzeźbić w drewnie tak jak ona, tak precyzyjnie wyłuskiwać doskonale formy z szorstkich i nieforemnych klocków.

– Nie możesz – mruknęła cicho, z troską, ucinając dyskusję, którą toczyli już zbyt wiele razy.

– Mogę! – odpowiedział o ton za głośno, aby uznać to za zwykłą rozmowę. – Nigdy nie będę dobrze wyprawiać skór, nie rozumiem zwierząt, którymi mam się zajmować w gospodarstwie, nie słuchają mnie. To nie moje życie!

Być może Nandel sprawdziliby się w roli grobnika i rzeźbiarza, któż to mógł wiedzieć. Społeczność miała swoje prawa i wedle nich rodzina Nandela wyprawiała skóry, tak jak rodzina Orteny zajmowała się przeprowadzaniem zmarłych z jednego życia w drugie. Nikt nie złamałby tych zasad, nawet przekorny Nandel. To było tylko marzenie. I chyba tylko Ortenie je zdradził.

Kiedy dziewczyna wstawiała, niezgrabnie próbując uniknąć jego zwalistego ciała, odsunęła rękę z nożem na bok i ostrze niemal dotknęło ściany warsztatu. Mogło pęknąć!

Spiorunowała Nandela wzrokiem.

– Prawie zniszczyłeś mi nóż! Idź stąd! Nie chcę cię widzieć na oczy. Przestań za mną łązić!

Ruszył w stronę swojego domu, postawą pokazując, że to on nie chce już z nią przebywać, a nie że ona go odrzuca.

Oboje znali jednak prawdę: odrzucała go.

Bała się, że Nandel, zbyt skupiony na sobie, wpędzi ją kiedyś w kłopoty, bała się tego, co on czuje. Ortena dosyć miała kłopotów z samą sobą, z utrzymaniem w karbach własnych emocji i tego, co nazywała w myślach przeklętym darem.

Dawno temu była przychylna Szymonowi od Filców, ale jego rodzina nie chciała nikogo z grobników, mimo że Ortena i chłopak najpewniej by się dogadali. Teraz postanowiła nie okazywać względów nikomu, nieważne czy chłopak przychodził z ojcem, czy sam zaczynał się koło niej kręcić. Dała sobie prawo do bycia niezainteresowaną.

Gdy wróciła do chaty, Tabor zamyślnym spojrzeniem ocenił nóż, który wciąż trzymała w ręku.

– I co postanowiła rada? – Zerknęła na ojca.

Wzruszył ramionami.

– Nikt nie wejdzie do zapadliska, żeby stracić życie. Draper na pewno nie żyje. Debatowaliśmy, czy całej tej części lasu nie uznać za zakazaną. Kto zaręczy, że po deszczach zapadliska nie zaczną się otwierać w innych miejscach i nie pochłoną każdego ryzykanta, który tam pójdzie?

Burknął pod nosem coś niezrozumiałego.

– A poza tym, jutro dotrą zbieracze i rolnicy, wtedy w Katedrze odbędzie się spotkanie całej społeczności, to na nim zapadną ostateczne decyzje.

Ze smutkiem kiwnęła głową. Niby życie w osadzie było spokojne, a jednak niebezpieczeństw nie brakowało. Czasem Ortena myślała, że jest ich co roku więcej.



Ortenie nie tylko los Drapera nie dawał spokoju, nie tylko Nandel swoim zachowaniem podsycił jej obawy.

Bała się samej siebie, tego, co działo się w jej głowie. Bała się myśli i tych chwil, w których kogoś *wyczuwała*. Nie rozumiała skąd przychodzi to wrażenie. Była natomiast pewna, że jest prawdziwe, wiarygodne. Wiedziała, że Nandel nadchodzi, mimo że był jeszcze skryty za chałupami. Dziś poczuła coś podobnego na Niebiańskich Grobach, a przecież chłopaka tam nie było. I wróciło do niej pytanie: czy zwierzęta posiadają takie umiejętności?

Ortena tylko raz pozwoliła sobie na nieudolną próbę powiedzenia o swoich uczuciach matce. Ta pokręciła głową, położyła

dziewczynie palec na ustach i milcząco zasugerowała, aby o tym nie rozmawiać. Ortena nie wiedziała, czy matka też ma takie umiejętności, czy boi się wyłącznie o córkę?

Po niespokojnej nocy, to właśnie myśli o tym darze albo przekleństwie, wybudziły Ortenę ze snu. Może to, co poczuła na Niebiańskich Grobach, wiąże się jakoś z Zuzumim?

Powinna to sprawdzić, wyjaśnić. Tylko jak tu czekać, skoro Tabor powiedział, że kolejny raz pójdą po dyskusji o tym, jak ratować Drapera, czyli pojutrze...

Nie mogła jednak zniknąć bez słowa. Nie po wypadku młodego Wyrтка. Od razu ktoś by pomyślał, że jej też coś się stało.

Wślizgnęła się do pokoju rodziców. Tabor twardo chrapał, Sanna cichutko wydychała powietrze, ale na skrzyp otwieranych drzwi przekręciła się i wymruczała coś niewyraźnie.

– Idę do grobów, mam – szepnęła dziewczyna. – Wrócę po południu.

Matka przemknęła po jej twarzy ociężałym spojrzeniem i nic nie powiedziała. Ortena wymknęła się z domu i pospiesznie ruszyła w drogę.

Ledwie świtało, wszyscy poza dwoma strażnikami obserwującymi Krokiew wciąż jeszcze spali.

Kiedy dziewczyna minęła ostatnie zabudowania i wkroczyła na zachodnią ścieżkę, nad jej głową przeleciały: najpierw polujący nietoperz, a potem pohukująca sowa. W lesie niewiele było drapieżników mogących zagrozić człowiekowi, rysie, wilki czy niedźwiedzie unikały ludzi jak mogły.

Mieszkańcy osady okoliczny las znali dobrze, w końcu żyli tu od pokoleń. Stali się jego częścią, tak jak on częścią nich. Życie w kręgu sprawiało, że w każdym drzewie, ptaku czy w każdej kępie mchu mogli się dopatrywać zmarłych krewnych lub sąsiadów. Miała nadzieję, że może iść bezpiecznie, a jednak czuła pewien niepokój. To on napędzał jej kroki. On i nadzieja, że jeśli odkryje coś nowego, co lepiej pozwoli społeczności zrozumieć ten nowy świat, raz na zawsze zamknie usta przeklętej Franczesce.

Dotarła już niemal do granicy lasu i pustyni, kiedy znów poczuła cudze emocje, złość i nadzieję zmieszane w jedną, charakterystyczną miksturę. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Wracaj do wsi, Nandel!

Jej krzyk zawibrował pod koronami, odbił się echem, spłoszył ptaka, który z nerwowym skrzeknięciem sfrunął z pnia i umknął w ciemność.

Przyspieszyła. Skoro Nandel szedł za nią, musiał się domyślić, dokąd zmierza. Czyżby chciał złamać kolejną niepisaną zasadę?

– Jeśli za mną pójdziesz, poskarżę się twojemu ojcu – zagroziła ciemności. – Nie będę cię chronić!

Nandel nie odważył się pokonać granicy lasu.

Kiedy wkroczyła na suchy piach zapadający się pod stopami, nigdzie już nie dostrzegła sylwetki chłopaka. Może przestraszył się Orteny, a może bał się pustyni, którą w pojedynkę przemierzali jedynie grobnicy. Gdy ktoś umierał, ku skalnym ołtarzom podążała duża, bezpieczna dzięki sile swej liczebności, grupa.

Wypatrywała kruków i sępów. Skoro przestało padać, powinny krążyć po niebie albo siedzieć na skalnych grzędach Niebiańskich Grobów.

Raz czy dwa dostrzegła jakiegoś ptaka, był jednak zbyt wysoko, aby mogła go rozpoznać i nie podążał we właściwym kierunku. Dopiero niedaleko Grobów zobaczyła lądującego sępa i serce drgnęło jej z radości. Przyspieszyła. Ach, jakże chciała zobaczyć ten moment, gdy Zuzumi jeszcze jest, ale już się przeistacza w nowe wcielenie!

Wreszcie dotarła na szczyt. I zastygła, poruszona tym, co zobaczyła...

Skalny ołtarz był pusty! Na gładkiej powierzchni nie pozostał nawet fragment ciała Zuzumiego. Nic. I o dziwo, także żaden z przedmiotów ofiarnych – nóż, łuk, torba – nie leżał na glazie.

Gdyby ciałem Zuzumiego zainteresowały się dzikie zwierzęta, nie tak wyglądałby jego grób. Ortena niejedną raz widziała szczątki z „podpisami”. Inaczej pożywiał się wilk, inaczej ryś, jeszcze inne ślady zostawiały ptaki. Dla kogoś nieprzystawczajonego mogło to być silne przeżycie, dla niej jednak, dla strażniczki Drogi, było czymś normalnym.

A ciało Zuzumiego zniknęło tak, jak gdyby porwał je w powietrzu drapieżny ptak wielkości Katedry. Tylko że w całym lesie i okolicy nie było takich stworzeń!

Musiał tego dokonać człowiek. Zdjął ciało Zuzumiego i coś z nim zrobił. Wziął też przedmioty należące do zmarłego, jego koc, torbę, a wreszcie ofiarny nóż. Zwierzę poprzestałoby na zwłokach.

Stanęła i zaczęła się rozglądać. Ten, kto zajął się Zuzumim, wciąż mógł tu być. Miał jego łuk, a drewnianym, lecz ostrym nożem, także mógł wyrządzić krzywdę.

Ogarnął ją lęk. Odwróciła się i zaczęła schodzić, uważając, by nie poślizgnąć się na mchu.

Nagle, zanim pokonała kilkanaście kroków, zobaczyła poruszoną ziemię. Był to jeden z nielicznych splachetków, na którym jeszcze niedawno rosło kilka krzaków, teraz ktoś je wyrwał i odłożył na bok.

Jej przeczucia się sprawdzały. Była niemal pewna, że pod tą ziemią leży Zuzumi.

Zaczęła kopać, aż dotknęła zimnego ciała! Wtedy poderwała się z krzykiem.

Nie wiedziała, co robić. Być może powinna wykopać Zuzumiego i położyć go z powrotem na ołtarzu? Być może powinna zachować dla siebie to co tu znalazła? Ale może ciało Zuzumiego potrzebowało jakiegoś rytuału, nim ponownie zostanie złożony na skale?

Dziesiątki pytań, a ona była za młoda i za mało wiedziała, aby na nie odpowiedzieć. Musi ludziom powiedzieć o swoim znalezisku i niech oni coś zrobią!

Biegła od Niebiańskich Grobów w takich emocjach, tak głęboko poruszona, że z trudem przypominała sobie, aby rozejrzeć się, czy ktoś jej nie ściga. Teraz żałowała, że Nandel nie czekał na nią przy pierwszych drzewach.

Mimo to biegła. Przez jej głowę przelatywały straszne myśli. Skoro to dzieło jakichś ludzi, to czy nie trzeba będzie z nimi walczyć? A jeśli tamci wygrają, czy wypędzą mieszkańców osady? Dokąd wtedy pójdą ludzie z Krokwi?



Kiedy wpadła do wioski, od razu się zorientowała, że większość mieszkańców zgromadziła się w Katedrze.

Na potrzeby zebrań, w czasie których społeczność podejmowała najważniejsze decyzje, na zachodnim skraju polany zajmowanej przez osadę, mieli Katedrę. Była to przestrzeń zdolna pomieścić nawet kilkaset osób. Otaczały ją żywe ściany ze starych okazałych klonów, których rozłożyste korony spletały się w gęsty okap, zdolny powstrzymać nawet deszcz. Między liśćmi było jednak dosyć przestrzeni, aby światło dnia mogło wpadać do środka i odganiać mrok.

Ortena od razu dostrzegła, że temperatura spotkania sięgnęła zenitu.

– Nie możemy tam iść! Skinkarte jest przeklęte i kto pójdzie, nie wróci! – krzyczał czerwony na twarzy Rafa Kroma.

Był jednym z filarów. Jego rodzina budowała domy, robiła meble, zabawki i inne przedmioty z drewna. Wszystko poza akcesoriami należącymi do Drogi.

Ortena przepchnęła się przez tłum i stanęła obok filara. Bała się tego, co zaraz nastąpi, burzy, która potrafi powalić nawet silne drzewa. Czy Katedra przetrwa? Czy osada przetrwa?

Mimo to nabrała tchu i krzyknęła:

– Zuzumi zniknął z grobu! Ktoś go zakopał w ziemi!

Zgromadzony w Katedrze tłum zamarł jak pszczoły w ulu, do którego ktoś wpuścił usypiający dym.

– Ktoś zniszczył jego Drogę! – krzyknęła po raz drugi, piskliwie, a w jej głosie pojawił się strach.

Usiadła ciężko na trawie przerażona tym, co może się stać.

Mieli teraz dwa problemy do rozwiązania zamiast jednego.

Rozdział 3

Przez chwilę pod koronami drzew wibrowały głosy tak nabrzmiałe emocjami – strachem, gniewem, niezrozumieniem – że nikt by nie znalazł siły, aby nad tym zapanować, nawet przedstawiciele rodzin. W końcu jednak Midro Filec, z racji starszeństwa przewodzący obradom, swoim donośnym głosem, którym potrafił przekrzyczeć burzę, uciszył towarzystwo i spojrzał na czekającą w milczeniu Ortenę.

– Jeszcze raz – zażądał. – Co się stało?

– Poszłam na Groby sprawdzić, co z Zuzumim po deszczach, czy sępy zaczęły swe dzieło, czy może wybrał inną Drogę – zaczęła Ortena, starając się zachować spokój, mimo że serce w piersi tłukło się jej niemiłosiernie. Bała się, że nieostrożnym słowem zdradzi swój sekret, a wtedy... – Nie leżał na płycie, na której złożyliśmy go pięć dni temu. Nie spadł, nie ściągnęło go żadne inne zwierzę, lis czy wilk. Zdjął go człowiek, bo tylko człowiek mógł go nieopodal zakopać. I tylko człowiek mógł zabrać wszystkie przedmioty.

Zgromadzeni zaszemrali gniewnie. Zbeczcścić ciało, to się nie mieściło w ich głowach!

Tabor nic nie mówił, spoglądał na córkę z namysłem. Widać było, że się zastanawia, co ją zagnało na Groby? Czy chęć udowodnienia, że będzie umiała przejąć jego rolę, wziąć ją mimo namaszczenia Olwena? Ojciec być może dostrzegł tłący się konflikt, stąd jego oblicze pozostawało chmurne. A może był to powstrzymywany gniew, że ktoś zepsuł mu robotę i Ortena dopowiedziała sobie, co Tabor miał na myśli?

Odwróciła od niego wzrok, popatrzyła na tłum, na pozostałych filarów. Z zaskoczeniem odnotowała, że Sanna z Franceską, które stały niemal przy samym wyjściu, znikają. Dopiero po chwili się domyśliła, że chcą przygotować się do rytuału oczyszczenia. Dotąd nigdy nie był potrzebny, ale Sanna wspominała o nim raz czy dwa.

– Trzeba się zająć moim synem. – W ochrypłym głosie ojca Zuzumiego, słychać było ból. Mimo to starał się zachować spokój. – Zuzumim i tym, kto zbeczcścił pochówek. Musimy go znaleźć.

Podniósł się szmer. Byli pokojowo nastawioną społecznością, nie przypominali Poprzednich Ludzi, którzy wciąż walczyli, lecz życie w zgodzie z naturą nie oznaczało, że nie będą bronić swoich wartości!

Tylko Wyrtkowie szeptali niespokojnie do siebie, coś gestykulowali, ktoś powstrzymywał ojca chłopaka, trzymając go za ramię. Ortena mogła się domyślić, że winę za zajście zrzucają na nią. Przyszła i wyrzuciła do kosza plan ratunku ich chłopca, porzucając kwestię z pozoru ważniejszą, dotyczącą Grobów.

Ale czy to jej wina, że odkryła coś tak strasznego?

Walder Wyrtek, ojciec Drapera, bezradnym wzrokiem spoglądał na ludzi, na społeczność, której był częścią, w tej chwili jednak mniej ważną, skoro wydarzenia na Niebiańskich Grobach nagle nabrały większego znaczenia niż los Drapera.

– A kto uratuje mojego syna?

Przez jego głowę najpewniej zdążyło już przebiec stado gorzkich myśli. Nie należało czekać na obrady, tylko iść do Skinkarte od razu. Bo teraz, kiedy ta mała Mrukoszów przyniosła taką nowinę...

W jego oczach pojawiły się łzy bezsilności. Gdyby chociaż miał pewność, że Draper nie żyje, że nie można mu pomóc... Niepewność doprowadzała go niemal do szaleństwa.

Stary Filec wstał, potrząsnął siwymi włosami, które wciąż gęstą grzywą opadały mu na twarz. Miał swoje lata, chylił się nad grobem, może dlatego wiedział, z czym przegrywa Wyrtek.

Zbeczeszczenie ciała Zuzumiego było w tej chwili sprawą najważniejszą, większej rangi niż katastrofa w Skinkarte, mimo że filar dobrze pamiętał, że to dwaj jego synowie-bliźniacy poszli z Draperem. Ktoś obcy wtrącił się w ich życie. Może to pierwszy krok, zapowiedź następnego, potencjalnie groźniejszego. Należało złapać za broń i wyruszyć od razu do Niebiańskich Grobów, wykopać i przywrócić Zuzumiego do nie-życia, lecz przede wszystkim odszukać śmiałka, który odważył się zbeczścić ciało umarłego.

– Kilku twoich może iść do Skinkarte, reszta ruszy na Groby.

– To nie jest tylko sprawa mojej rodziny! – zaprotestował Walder, a jego czoło przecięła głęboka zmarszczka, jakby wciąż z trudem dopuszczał do siebie, że reszta może ignorować los Drapera.

Przełknął ślinę, grdyka mu podskoczyła, w końcu wydusił:

– Poszli po metal dla wszystkich.

Jego słowa, stanowcze, choć pozbawione agresji, zmroziły tych, którzy właściwie już biegli w stronę Grobów.

Ku zdumieniu Orteny jej ojciec chrząknął i cichym głosem oznajmił:

– Ja pójdę do Grobów, ale Olwen może ruszyć z Wyrtkami do zapadliska, sprawdzić, co z Draperem. Niech każda rodzina wskaże jednego czy dwóch ludzi, tak będzie sprawiedliwie.

I to ucięło dyskusję. Szybko wyznaczyli grupę, która uda się do Skinkarte i drugą, która ruszy do Grobów. Było jasne, że mogą

tam spotkać więcej niż jednego człowieka, zatem musiało iść ich wielu. Nie zapomnieli też, że trzeba strzec wioski, a nawet gęściej niż dotąd rozstawić strażę.

W grupie pięćdziesięciu osób ruszających na pustynię byli Sanna i Franczeska. Ta ostatnia zmierzyła Ortenę krzywym spojrzeniem mówiącym: po co ty tam idziesz, skoro nawet dobrze Pieśni nie zaśpiewasz?

Ortena zacisnęła zęby. Wolała nie wchodzić w głupie spory, gdy obok stali filarowie. Dołączyła do ojca, który zajął miejsce na przedzie, niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, jakby chciał się puścić biegiem, pochwycić tego, kto odważył się zbezcześcić Groby. Jego Groby – za Taborem, rodziną Mrukoszów, stały całe pokolenia grobników, którzy pomagali zmarłym odrodzić się w nowym życiu.

Nagle w kręgu Wyrtków doszło do zamieszania, podniosły się niezrozumiałe głosy.

– To może być Draper! – krzyknął piskliwie Bazyl. – To on pod ziemią poszedł na Groby!

Myśl, że Draper podziemnymi tunelami, które zostały po Poprzednich Ludziach, dotarł aż do skał Niebiańskich Grobów, była nieprawdopodobna, wręcz szalona. I po cóż by wtedy zakopywał Zuzumiego, zamiast popędzić prosto do Krokwi?

Gdyby nie resztki zdrowego rozsądku, wszyscy Wyrtkowie i obaj bracia bliźniacy od Filców pobiegliby przez pustynię do Grobów, żaden do zawałiska. A skoro tak, nikt inny też by nie ruszył, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Ostatecznie do Skinkarte ruszyła grupa znacznie okrojona. Bazyl postanowił udać się do Niebiańskich Grobów, a do zapadlisk skierował Szymona.

Mrukoszowie prowadzili, bo któż, jeśli nie grobnicy, ma strzec ołtarzy i reagować w chwili zagrożenia. Reszta podążała ich śladem w mało zorganizowanym szyku.

Starsi z rady mieli plan – nie wiedząc, czego i kogo się spodziewać, wyznaczyli małe grupy do przeczesywania pustyni wokół głównej kolumny. Miały się spotkać pod skałami, otoczyć i odciąć wszystkie ścieżki.

W drodze musieli uważać na Bazyla. W końcu Tabor poprosił starego Midro, żeby powstrzymał syna, bo ten wybiegał w przód,

jakby był sarnim roczniakiem na niezgrabnych nogach mającym wciąż pstro w głowie, a nie dziedzicem jednej z najważniejszych rodzin w osadzie.

Byli już blisko góry, kiedy Ortena nagle westchnęła ciężko.

– A jeśli Bazyl wcale nie wierzy w to, co powiedział, tylko wołał iść na pewniaka, zmierzyć się z jakimś wrogiem, niż wrócić do zapadliska po trupa? – rzuciła półgłosem, przez zęby, patrząc na Tabora.

Ojciec zmarszczył czoło.

– Tego się nie da rozstrzygnąć, Ortena. Nie wiemy, co siedzi w jego głowie. Nie wiemy, co się wydarzyło w Skinkarte. Nie wiemy, co się wydarzyło na Niebiańskich Grobach.

– Nic nie wiemy – podsumowała z goryczą.

Powinna się spodziewać takiej odpowiedzi.

– Coś wiemy – zaprzeczył. – Zuzumi sam się nie zakopał.

Tymczasem musieli się zatrzymać, aby Sanna i Franczeska zdążyły nałożyć ceremonialne stroje, utkane tak, by zielen liści przechodziła w czerń soczystej ziemi, mieszała się z połyskliwą żółcią piasku, gdzieniegdzie kontrastując z bielą i czerwienią kwiatów.

Pochód spowiła cicha Pieśń, pleciona inaczej, w tonie przeprosin, smutku, wybaczenia. Ortena nigdy takiej wersji nie słyszała – nigdy taki wariant Pieśni nie był potrzebny. Nikt nigdy wcześniej nie zbezcześcił ciała ani Grobu.

Choć Nandel został w Krokwi, Ortena znów wyczuwała *obecność*, tak jak wcześniej. To ją złościło i przerażało.

– Może lepiej zacząć rytuał, kiedy złapiemy tego, kto zbezcześcił grób? – Spojrzała pytająco ma matkę.

– Skąd pewność, że to jeden człowiek? – odezwał się szorstkim głosem ojciec. – Widziałas kogoś i nie powiedziałaś?

Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy. Przecież nie może przyznać, że swą wiedzę opiera na jakichś... przeczuciach?, emocjach? Jak miałyby wyjaśnić ojcu kwestię wyczuwania cudzej obecności, skoro sama nie ma pojęcia, na czym to polega?

– Gdyby było ich więcej to musielibyśmy widzieć ich ślady. A może nawet któryś z nich dotarłby do naszego lasu – wyjaśniła, starając się nadać głosowi jak najbardziej przekonujące brzmienie. – Tak mi się wydaje.

Nic nie odpowiedział, obserwował skały wznoszące się niemal na wyciągnięcie ręki, omywane głosami jego żony i córek. Ten nieznany, wykraczający poza zwykłą ceremonię rytuał wywoływał ciarki na plecach Orteny.

– Powinnaś śpiewać – mruknął.

Nie było w tym napomnienia, raczej wątpliwość.

– Rzeźbię noże i zajmuję się ciałami na grobach – przypomniała półgłosem. – Kiedy nadejdzie czas, będę śpiewać. Ale nie dziś, tato.

Tymczasem Sanna skończyła Pieśń, uniosła rękę i wskazała przejście.

Ludzie z łukami i ostrzami noży wystawionymi przed siebie od razu zniknęli w szczelinie.

Pierścień wokół skał się zamknął. Ortena wciąż wyczuwała tę zagadkową *obecność*. Nie miała wątpliwości, że to ktoś, kto zakłócił Zuzumiemu wejście na Drogę.

Mieszkańcy osady rozchodzili się na wszystkie strony, znikali za załomami skał i przeczesywali korytarze. Ortena z Taborem i Kromami chcącymi jak najszybciej przywrócić syna do Kręgu, parla na sam szczyt.

Z dołu dochodziły coraz cichsze okrzyki, z których żaden nie zwiastował odkrycia kogokolwiek, aż można by pomyśleć, że ten, kto odważył się zbecześcić grób Zuzumiego, dawno już wymknął się na pustynię, a ludzie z osady nie zdołali go tam odszukać. Mógł się zakopać w piasku albo ominąć ich w inny sposób.

Ortena była jednak pewna, że ktoś tu jest, czuła to, *czuła*.

Na szczycie prędko zaprowadziła ojca do miejsca, w którym uważała poruszoną ziemię. Wciąż wystawała z niej dłoń Zuzumiego.

Na ten widok stary Kroma zmienił się na twarzy. Popatrzył pytająco na Sannę, a gdy ta przyzwalająco skinęła głową, przyklęknął i zaczął zgarniać cienką warstwę ziemi z ciała syna.

Reszta się rozglądała, jakby ktoś miał wyskoczyć z zasadzki, zaatakować ich, zabić. Po chwili niektórzy ruszyli, by obejść skalne płyty od przeciwnej strony, gdzie zaraz za krzakami góra tworzyła stromo opadający, wysoki stok. Strzelały tam w górę cztery niskie drzewka. Dobre miejsce na kryjówkę.

Tabor chciał pójść z nimi, ale niespodziewanie Ortena pociągnęła go za rękaw i wskazała przeciwny kierunek, niemal płaskie

miejsce, w którym szczyt łagodnie opadał. Przed chwilą odleciało stamtąd kilka sępów, oburzonych zachowaniem ludzi. Być może właśnie przeszkodzili ptakom w zajęciu się ciałem Zuzumiego? Tego już nie da się sprawdzić.

– Tam jest – szepnęła, wskazując miejsce porośnięte rzadką trawą, odsłaniającą spore połacie ziemi i nawianego z pustyni piasku.

Tabor zmarszczył brwi, a potem nagle pojał, co ma na myśli Ortena, choć nie mógł wiedzieć, jak to odkryła. Między drzewkami teren lekko się unosił, tworząc podłużną pryzmę.

Mrukosz zrobił dwa kroki i szturchnął ziemię kijem.

Z ukrycia natychmiast wyskoczył człowiek. Jama za nim przypominała płytki grób.

Mężczyzna trzymał w ręku nóż, który złożyli obok Zuzumiego. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że znaleźli winnego. Mieli nie tylko przestępcę, ale i dowód.

Obcy stał nieruchomo, obserwując zbiegających się ku niemu mieszkańców osady. Na jego twarzy malował się strach. Drewniany krótki nóż nie dawał wystarczającej ochrony przed mężczyznanami, z których każdy dzierżył ostro zakończony kij.

Mężczyzna oddychał głośno, w jego oczach malował się narastający strach.

– Nic wam nie zrobiłem. – Chrząknął nerwowo. – Pozwólcie mi odejść.

Rozdział 4

– Ilu was tu jest? – warknął Midro, uprzedzając pytanie, które miał na końcu języka Tabor.

Stary Filec wbił przy tym pełne gniewu spojrzenie w intruza.

Jeden człowiek nie był wielkim zagrożeniem, chyba że zaryzykowałby życie i skoczył, by zepchnąć któregoś z przywódców albo kogokolwiek innego na skały poniżej. Ale co, jeśli nie był sam, jeśli setka podobnych ukrywała się na pustyni albo, nieodkryta, pośród skał Niebiańskich Grobów? Teren był zbyt rozległy, aby go dokładnie przeszukać.

Nagle powróciły wszystkie tłumione emocje, które z Poprzednich Ludzi uczyniły niszczycieli świata. Emocje i lęki, których

mieszkańcy osady nie mogli zignorować, nawet jeśli czyniły ich złymi. Próbowali żyć w zgodzie z naturą, starali się nie powtarzać błędów tamtych – teraz to zostało zakwestionowane. Zagrożenie uczyniło ich kimś podobnym do poprzedników, przeddefiniowało życie może nie sielankowe, pozbawione jednak większych problemów. Tak czuła Ortena.

– Jestem sam – odparł chrypliwie intruz, niespokojnym wzrokiem wodząc po ludziach i próbując zrozumieć, skąd się ich tyłu wzięło.

Wtem zmienił się na twarzy, zbłądł: dotarło do niego, o co go podejrzewają.

– Przyszedłem zza rzeki – dodał szybko, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić. – Tam...

Filec uniósł rękę, powstrzymując kolejne słowa intruza.

Zza rzeki! Mieszkańcy osady żyli w przekonaniu, że być może nie są sami. W opowieściach, którymi straszono dzieci, za wielką nieprzebytą rzeką leżała taka sama osada jak ich leśny azyl. Nie przejmowali się tym zbytnio. Częściej myśleli o ludziach, po których zostały ruiny, zapadliska, metal i świadomość, że kto nie będzie żyć w zgodzie z naturą, nie będzie żyć w ogóle.

Tabor zrównał się z Midro.

– Porozmawiamy w osadzie – stwierdził z naciskiem, patrząc na intruza. – Ale najpierw trzeba się zająć Zuzumim. – Wzrok mu złagodniał, współczującym spojrzeniem obrzucił Kromów. Potem także Wyrtków, którzy nagle pomilkli, osowiali, zdając sobie sprawę, że skoro Draper tu nie dotarł, musi nadal spoczywać gdzieś w zapadlisku.

Sznurami zwiążali więźniowi ręce i pod strażą sprowadzili go na dół. Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Zza rzeki!? To były legendy, dziwne opowieści z ksiąg spoczywających w pokojach biblioteki prowadzonej przez Bielików. A teraz siedł tu między nimi przybysz z drugiego brzegu. Wróg, który odważył się zbezczcić pogrzeb Zuzumiego.

Droga to osobista sprawa każdego zmarłego. Można mu pomagać, ale nie wolno się wtrącać, ingerować, wybierać za niego. Jeśli zechce przeżyć część wiecznego życia w zwierzętach, które się nim pożywią, zgoda. Jeśli odda swe ciało roślinom, które na nim wzrosną ku niebu, ku kwietnej radości i obfitości nasion, dobrze.

Teraz ta wolność wyboru została zakłócona i choć Zuzumi w końcu wkroczy na nową drogę, ingerencja zaburzyła właściwy przebieg ceremonii. Nie takich okoliczności pragnęli jego krewni, nie tak chciała społeczność i w końcu nie tak chciał sam Zuzumi, skoro żył w zgodzie z regułami.

Tabor i Adem oczyścili go z ziemi, a potem unieśli jego sfatygowane ciało i z powrotem odłożyli na płytę. Ortena kątem oka zauważyła krążącego wysoko sępa. Gdzie jest jeden, wkrótce może pojawić się sto. A może w skałach czekają inne zwierzęta? Niebiańska Góra miała stałych mieszkańców, wiele pustynnych szczurów miało tu swoje nory. Zamieszanie mogło je wypędzić na piaski, ale w końcu wróć. Podobnie jak sępy, które tylko czekają na odejście ludzi.

Kiedy ciało spoczęło na płycie, Sanna uniosła rękę i po raz drugi zaintonowała dla Zuzumiego pieśń Przejścia. Poruszającym, lirycznym sopranem natychmiast dołączyła Franczeska, wreszcie – niepewnie – Ortena.

Pieśń unosiła się ponad skalnymi ołtarzami. Oczyszczała ciało Zuzumiego i sam szczyt. Wymazywała świętokradztwo, które miało miejsce na stokach Niebiańskich Grobów. Mężczyźni stali w milczeniu, a na twarzach Kromów zabłyśły łzy.

Wreszcie ceremonia dobiegła końca, Tabor się upewnił, że wszystko jest w porządku i dał znak, że mogą wracać do domu.

Byli przygotowani do drogi w ciemnościach, mieli pochodnie, które teraz zapłonęły. Prowadzili intruza między sobą i rozmawiali, jedni zadowoleni, że złapali sprawcę, inni, jak Wyrtkowie, zrozpaczeni, że nie okazał się Draperem. Komentowali kradzież rzeczy zmarłego. W końcu Tabor ich zestrofował, krótkim:

– Porozmawiamy w wiosce, nie tu.

Chodziło mu nie tylko o szacunek dla Niebiańskich Grobów, lecz także o fakt, że mieli przed sobą długą drogę, a im szybciej dojdą do bezpiecznego lasu, tym lepiej. Za jednym człowiekiem mogło nadejść i stu następnych, któż to wie? Lepiej nie sprawdzać tego na pustyni.

Kiedy dotarli do polany, wieść, że złapali kogoś, zdążyła się już rozejść – zapewne ktoś z kolumny potajemnie ruszył przodem – i przy chatach czekała większość mieszkańców, albo tylko

ciekawych jeńca, albo złych, oczekujących sprawiedliwości. Jednych interesował człowiek – „Naprawdę? Ale widział ktoś człowieka nie z Krokwi?” – drudzy chcieli wiedzieć, co majstrował na Niebiańskich Grobach? – „Dlaczego zakopał Zuzumiego? Może to ludojad? Może zjadł kawałek trupa?”.

To ostatnie, ten strach dotarł do uszu strażników, od razu więc wybuchła między nimi żywa dyskusja, co zrobić z więźniem. Spętanie go nie wystarczało.

W końcu ustalili, że skoro chaty grobników są najbardziej oddalone od reszty wsi, a magazyn, w którym przechowywano ciała zmarłych przed zaniesieniem na Niebiańskie Groby, stoi od tych chat jeszcze dalej, niemal przy samym lesie, więźnia należy ulokować właśnie tam.

– Mrukoszowie się tym zajmą – zapewnił Tabor. – Ale ze dwóch strażników chętnie weźmiemy, przydadzą się.

Midro kiwnął głową. W jego ruchach widać było, że gdyby mógł, przesłuchałby więźnia od razu, mimo nocnej pory. Musieli jednak poczekać, aż z dalszych terenów zejdą do wioski ludzie. To będzie najważniejsza narada od wielu lat, a może w historii osady.



Franczeska patrzyła na Ortenę z pogardą, a kiedy ta nakryła głowę kocem, żeby się odizolować od tego spojrzenia, od całego świata, siostra niegłośnie syknęła:

– Mogłaś nie śpiewać Pieśni, skoro nie umiesz!

Zachichotała i od strony jej łóżka dobiegły odgłosy wiercenia się, posapywania, a żeby dobić Ortenę, także fragment Pieśni mówiący o tych, którzy zbłądzą, i trzeba ich naprowadzić na właściwą Drogę.

– Wyrwę ci język, jak nie przestaniesz! – zapowiedziała wściekła Ortena, poprawiając koc.

Nie chciało się jej spać, wciąż była podekscytowana, oddech falował, a w głowie się mąciło. Musiała się pogodzić z faktem, że to dzięki niej ten człowiek siedzi w więzieniu.

Dziwnie brzmiało, to „więzienie”! Nie potrzebowali w wiosce takiego miejsca, póki Ortena nie wypatrzyła przybysza, ukrytego w piasku!

Sprytnie się schował, ale nie dość sprytnie, żeby się przede mną ukryć, pochwaliła się w myślach.

I wtedy sobie uświadomiła, że nigdy by go nie odkryła, gdyby nie jej przeklęty dar! I dar intruza.

– Nie wzdychaj tak – prychnęła Franczeska. – Jak tak sapiesz, nie mogę zasnąć.

Ortena zacisnęła zęby. Musiała się uspokoić, udawać, że zasnęła, żeby nie prowokować siostry. Jeszcze zacznie coś podejrzewać. Lepiej niech myśli, że Ortena użala się nad sobą.

Zasnąć oczywiście się nie udawało. Wciąż się zastanawiała, co się stało, do czego doprowadziły jej działania.

Nic...

NIC!!!

Nie żyje!, nagle ogarnęła ją trwoga. *Zabili go po cichu!*

Zadrzała. Jeśli go zabili, będzie to jej wina. Zbecześcił ciało Zuzumiego, ale czy zasłużył na śmierć? I co z sądem? Co z rozprawą, która miała zostać przeprowadzona jutro?

Pragnęła się zerwać i natychmiast pobiec do warsztatu, do więzienia. Nie miała daleko... A jednak było to jak przejście pustyni. Na drodze stała Franczeska. Ortena musiała zaczekać, aż młodsza siostra zaśnie. Całe szczęście, że Lida spała słodko, wydychając powietrze o zapachu lawendy. Najpewniej znów, pod pretekstem kaszlu, wyłudziła od mamy łyżkę słodkiego syropu z prawoślazu.

Prześpiewała bezgłośnie kilka Pieśni, nim Franczeska zasnęła tak mocno, że Ortena mogła spróbować wysunąć się spod koca i na palcach wyjść przed dom.

Strażników było czterech, ale warsztatu strzegli Olwen oraz Kamura wyznaczony przez Paletków, zielarzy z rodzinnego kręgu Mrukoszów. Obaj uzbrojeni byli w długie noże. Te same, których używano do przygotowania ciał, by ułatwić zwierzętom wprowadzenie zmarłego na nową Drogę.

Miny mieli przejęte, a w świetle pochodni, rozstawionych dookoła budynku, wydawali się wręcz groźni, kiedy nerwowym krokiem obchodzili więzienie. Dwaj pozostali strażnicy bardziej

się skupiali nie na pilnowaniu jeńca, a na przestrzeni między magazynem a resztą zabudowań.

Olwen na widok Orteny skrzywił się z boleścią, jakby gryząc jabłko, trafił zębem na ząb i skruszył kawałek.

– A ty co? – spytał surowym głosem.

Kochał siostrę, ale jej obecność go zaniepokoiła.

Już wcześniej zdążyła sobie przemyśleć, co chce zrobić i uznała, że musi zamienić z intruzem chociaż kilka słów, zanim rada weźmie go w obroty. Bo potem... Potem może się okazać, że wydarzenia potoczą się tak szybko, że Ortena za nimi nie nadąży. Lepiej więc tę rozmowę odbyć teraz. Brat ją lubił, doceniał jej wędrowki z Taborem, zainteresowanie pomocą ojcu podczas przygotowywania zmarłych. Może nawet myślał, że robiła to lepiej, niż snuła Pieśni. Olwen mógł być szorstki w obejściu, ale ją kochał. Pozwoli jej porozmawiać z obcym.

– A nic – burknęła. – Przechodziłam sobie i postanowiłam zamienić słowo z tym... – zabrakło jej słowa. – Intruzem – użyła w końcu tego, którym posługiwali się inni, bo bez wątpienia było trafne.

Olwen wciąż patrzył na nią ze zdumieniem, a w rozkołysanym przez podmuchy wiatru świetle pochodni, na jego twarzy Ortena dostrzegła niecodzienną powagę. Nigdy dotąd strażnicy nie pełnili tak ważnej roli. Nigdy w osadzie nie pojawił się intruz, zagrażający wszystkim.

– Tylko porozmawiać – sarknęła wreszcie. – A ja ci mam pozwolić?

– A możesz zakazać? Rada tak postanowiła?

To zastanowiło Olwena, bo rzeczywiście, nikomu z Rady nie przyszło do głowy, że ktoś będzie chciał choćby spojrzeć na tego odstręczającego potwora.

– Zakazu nie ma – przyznał niechętnie, kątem oka sprawdzając, jak na jego słowa reagują pozostali strażnicy. – Po prostu wydaje mi się to pozbawione sensu.

Ortena podeszła do drzwi zamkniętych na dwa solidne skoble. W warsztacie były różne rzeczy i chociaż nie mieli złodziei, trzeba było zadbać, by żadne zwierzę nie dostało się do środka.

– Nie siedź tam długo – poprosił, ulegając argumentom Orteny. – Lepiej, żeby nikt nie zobaczył, jak wchodzisz.

Kiedy weszła do pomieszczenia, w którym siedział intruz, w pierwszej chwili go nie zauważyła. Pojedyncza świeca rozświetlała jedynie środek pokoju, a mężczyzna przykucnął w kącie, wtapiając się w półmrok. Wyglądał bardziej jak duży ciemny plecak rzucony niechłujnie na podłogę niż jak człowiek.

Zdążył odwiedzić go lekarz od Paletków – Ortena wyczuwała nikłą woń ziół służących do smarowania ran. Dostał też coś do jedzenia, bo nawet jeśli mieli go skazać na śmierć, co wydawało się Ortenie nieprawdopodobne, to nadal musieli go traktować jak człowieka, jeśli nie chcieli dorównać Poprzednim Ludziom.

– To już? – spytał, nie odrywając wzroku od miski z reszką jedzenia.

– Nie. Chciałam z tobą porozmawiać – wyjaśniła, opierając się o drzwi. – Dlaczego to zrobiłeś?

Patrzył na nią z uwagą.

– Zrobiłem co? Ukradłem rzeczy nieboszczyka? – W głosie mężczyzny wybrzmiała trwoga o swój los.

Pokręciła przecząco głową. Bawił się z nią? Przecież to on był więźniem w tych sosnowych ścianach, za którymi czekała dwójka strażników z bronią. Jeśli nie miał niezwykłych umiejętności, nie ucieknie.

Jeśli.

Teraz go *czuła*, jakby coś w jego duszy się obudziło. Strach?

– Dlaczego zdjąłeś Zuzumiego z grobu?

– Jakiego grobu? Leżał na płycie, myślałem, że tam umarł, samotny. – Rozzłościł się niespodziewanie i zmierzył ją złym spojrzeniem. – Pochowałem go jak należy – burknął. – A ciebie wysłali na przesłuchanie?

Wzruszyła ramionami.

– Rozmawiam, bo chcę, rada przesłucha cię jutro. To ja z ojcem zanieśliśmy tam ciało.

– Po co? Żeby go zjadły ptaki?

Zaskoczył ją. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

– Żeby stał się częścią natury – wydusiła wreszcie. – Żeby żył dalej w ptakach albo innych zwierzętach, albo stał się pokarmem roślin

Kręcił głową.

– Jacy wy jesteście dziwni...

Olwen zaalarmowany podniesionym głosem siostry zapukał do drzwi. Wiedziała, że musi iść. Przeciąganie wizyty może wzbudzić podejrzenia.

– Mam nadzieję, że radzie zdołasz lepiej wyjaśnić swoje powody – rzuciła. Nie chciała się żegnać w złości.

Gdy wracała do domu, z irytacją kopnęła wyrosniętą kępę trawy.

Była na niego naprawdę zła.

Był winny. Nie powinien bezcześcić grobu Zuzumiego, nikt nie miał prawa tego robić!

Był głupcem.

Był... Czowała bijącą od niego *obecność*, to ona ją do niego przywiodła!

Był taki, jak ona!

Przemykała do swojej izby, obracając w głowie straszliwą myśl: jutro rozstrzygnie się los intruza. A to oznaczało, że przyjdzie po niego śmierć!

I to Ortena, będzie za to odpowiedzialna.

Otarła łzy rozczarowania, gniewu i niepewności. I złości na siebie, że chciała być tak doskonała. Że poszła na groby sama, bo tak bardzo chciała innym coś udowodnić. I teraz poniesie tego konsekwencje.

A w dodatku wciąż czowała jego obecność!

Rozdział 5

Ortena ziewała, marudząc w myślach na niespokojny sen i zbyt wczesną pobudkę, gdy do warsztatu, w którym z Franczeską rzeźbiły noże, wszedł ojciec. Spojrzał surowo na starszą z córek i gestem wywołał ją na zewnątrz.

Najpierw pomyślała, że chce uporządkować narzędzia, później, że przyszedł uraczyć ją mądrościami o roli mężczyzn i kobiet w przygotowaniu zmarłych do Drogi. A na koniec wyobraziła sobie, że Tabor powie:

– Dobrze, że mało kto był wczoraj na szczycie. Postaraj się nie przynosić więcej wstydu naszej rodzinie.

Na co ona, przybierając buńczuczną minę, mogłaby odpowiedzieć, że dużo osób widziało, a jeszcze więcej wie, że to ona odkryła, co stało się z ciałem Zuzumiego. A co by było, gdyby nie odkryła tego w porę? Jak wtedy społeczność osady patrzyłaby na rodzinę Mrukoszów?

Wyobrażała sobie moment, w którym pytanie to zawisa w przestrzeni między nią a ojcem i zmusza Tabora do milczenia.

Ojciec jednak musiał przez noc wrócić do wydarzeń wieczoru, odtworzyć sobie, co się działo na Niebiańskich Grobach. Pociągnął córkę za sobą, daleko w las, na ścieżki, po których nikt nie chodził.

Wreszcie, przeczesawszy wzrokiem okolicę, półgłosem wycedził:

– Jakim cudem wypatrzyłaś tego przybłędę? Nikt inny go nie widział, nawet ja.

Była tak zaskoczona słowami ojca, że nie wiedziała, co odpowiedzieć, jak zaprotestować. Przecież się nie przyzna, że wyczuła obcego dzięki... dzięki *obecności*. Aurze. Darowi. Przekleństwu. Znała sporo słów opisujących to, co w takich chwilach działo się w jej umyśle – i żadne nie pasowało!

– Po prostu, tak mi się wydawało...

Patrzył na nią i całą swą postawą sygnalizował, że jej nie wierzy, że się boi, że jego córka jest odmieńcem.

Nagle głos mu się załamał. Nerwowo potarł poszarpaną bliznę biegnącą przez policzek.

– Jesteśmy grobnikami! Nasza nieposzlakowana opinia to wszystko, co mamy, Orteno... Jeśli ktoś się domyśli...

I wtedy naprawdę się rozzłościła, załapała ją zła krew, nie powstrzymała tej fali. Zamiast milczeć albo zaprzeczyć – przecież nie mógł wiedzieć, co siedzi w głowie Orteny – zamachała gwałtownie rękoma i wybuchła, w ostatniej chwili zniżając głos do ostrego syku:

– Czego się domyśli, tato? Że nie jestem godna bycia Mrukoszówną, bo...?

Nie pozwoliła sobie przerwać.

– Naprawdę się boisz, że skalam zwłoki? Że jak ich dotknę, to zmarłemu nie uda się przejść swojej Drogi? Że moje rytualne noże nie są warte więcej niż drewno, z którego powstają? Że zwierzęta

przestaną jeść nasze ciała? Rośliny nie będą na nich rosnąć, poczują, że są zatrute?

Gorycz w jej głosie mogłaby zabić. Tabor jednak nadal spoglądał na nią z chmurną miną, choć zbłądł. Jej słowa musiały go dotknąć.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Dobrze wiesz, Ortena. A to co ja widzę, inni też mogą zauważyć. Wtedy zgubisz całą naszą rodzinę.

Przełknął ślinę i zdławionym głosem dokończył:

– Jesteśmy grobnikami. Ale możemy wylądować nie obok grobów, tylko na nich...

Odwrócił się plecami, i to właśnie do tych pleców szeptem prawie krzyknęła Ortena:

– Mam iść się zabić?

Po jej ciele znów wędrowały fale ciepła i zimna. Skąd miała wiedzieć, co ojciec zrobi z tą zdobytą nagle wiedzą? Czuła przecież, że i tak go straciła, już nie będzie między nimi tak, jak było wcześniej.

Pobiegła głębiej w las. Gdyby gdzieś na drodze przed nią otwarło się zapadlisko, sama by w nie chętnie wskoczyła, żeby mieć spokój ze wszystkim.

Oddalała się od osady, kiedy niespodziewanie chwycił ją ból pod żebrzem – bardziej objaw bolesnego zdenerwowania niż choroby. Przystanęła. A wtedy w gęstwinie zobaczyła rysia, który próbował wciągnąć za krzak złapanego zająca. Oczy zwierzęcia i człowieka spotkały się, w obu zagrały jakieś uczucia, lecz ani Ortena, ani dziki kot nie zdecydowali się na przekroczenie granicy, za którą musi dojść do konfrontacji.

Kimkolwiek jesteś, idź swoją drogą, ja pójdę swoją, pomyślała Ortena. Niespodziewanie opadła z niej żłość.

Zawróciła. Jej droga wiodła do osady, gdzie mieli sądzić intruza.



Próbując się uspokoić, poszła do kuchni pomóc Sannie. Nawet jeśli matka wyczuła jej wzburzenie, milczała.

Nagle przez otwarte okna wpadł do pomieszczenia gwar podniesionych głosów. Wrócili pierwsi z tych, którzy poszli ratować Drapera.

– Mogę iść? – Ortena spojrzała z nadzieją na matkę.

Ta skinęła głową i więcej Ortenie nie było trzeba, wyskoczyła przed dom i przyłączyła się do gromady gapiów.

Tu już toczyła się burzliwa rozmowa.

– To nie jest zwykle zapadlisko – przemawiał Szymon, spoglądając na jednego z Wyrtków. – Raczej zapadlisko, pod którym jest jaskinia. Jak mnie trzymali na linach, widziałem jej wlot.

Westchnął ciężko i dodał:

– Ale nie Drapera. Musiał wpaść głębiej. Nie da się go wyciągnąć, przepraszam. – Spuścił wzrok.

To przesądzało sprawę, zrozumiała Ortena. Osada będzie się musiała pogodzić z tym, że chłopak zginął w podziemnych ruinach i tam na wieczność pozostanie.

Wyrtkowie będą się wszędzie doszukiwać śladów Drapera, ale to będzie jak szukanie twarzy w liściach uniesionych gwałtownym powiewem wiatru. Ortena naprawdę im współczuła.



Przesłuchanie odbyło się między domami, na największym placu, a cztery głowy rodzin, dwóch strażników i sam więzień zasiedli na niewielkim podeście, naprędce wzniesionym ze skrzyń.

Wokół zebrał się tłum. Przyszli ci, którzy byli w wiosce i nie musieli stać na straży ani pośpiesznie zbierać owoców, nim opadną z drzew. Ortena była pewna, że zdarzenie interesowało wszystkich, poza dziećmi w kołyskach, więc kto żyw, próbował zająć jak najlepsze miejsce na ubitej ziemi. Gapie pojawili się nawet na dachach. Takie zgromadzenie do tej pory zbierało się tylko raz do roku, kiedy świętowali odejście zimy, która dla całej osady była trudnym czasem pełnym głodu i śmierci.

Tylko dla Bielików był to czas obowiązkowy. To oni spisują księgi na dobrze wyprawionych skórkach.

Tadem Bielik, który na zgromadzenie przyszedł ze swoimi córkami, marszczył w skupieniu brwi, starając się wszystko zapamiętać. Lena i Mirada miały go w tym wspomagać.

A ja potem będę o tym czytać, westchnęła w duchu Ortena. Nie lubiła czytać. Jeszcze bardziej nie lubiła lekcji pisania z Sanną, nie miała jednak wyjścia: relacje dotyczące Drogi spisywali sami pod nadzorem Bielików. Ortena przeplakała niejedno popołudnie, próbując zmusić litery do posłuszeństwa.

– Kim jesteś i jak się nazywasz?

– Kian Abermint, z Zachodniego Kobierca, chociaż ta nazwa nic wam nie powie – zaczął szorstkim tonem przybysz.

– A nie jesteś czasem Norkiem? – wyrwało się komuś z tłumu.

Ortena szybko zerknęła w tamtą stronę, nie rozpoznała jednak, kto to powiedział.

To była jedna z dawnych historii, wciąż opowiadana ku przestrodze w domach i przy ogniskach. Ponad sto lat temu jeden z Norków zabił w gniewie młodego Filca. Wszystkich dorosłych Norków wypędzono, jeśli żyli jeszcze ich potomkowie, prawdopodobnie blakali się gdzieś po puszczy albo po ziemiach tak odległych, że nikt w Krokwi nawet o nich nie słyszał. Raczej nie założyli żadnej osady – po stu latach wstyd wynikający z morderstwa na pewno osłabłby na tyle, aby zaczęli szukać sposobu na nawiązanie przynajmniej szczątkowych relacji. Umarli albo zniknęli.

Dzieci Norków pozostały w osadzie i trafiły pod skrzydła kilku rodzin. Z biegiem lat pozmiały nazwiska, aby zetrzeć z siebie hańbę. Mówiło się, że gdy dorosły, najchętniej zajmowały się poszukiwaniem pszczoł i zakładaniem uli, bo to im pozwalało więcej czasu spędzać poza osadą.

To była przeszłość. Dziś trudno było wskazać, kto ma w sobie krew Norków, jeśli nie miało się dostępu do ksiąg spisanych przez Bielików i przechowywanych przez Mrukoszów.

Kian Abermint zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć „Cóż to za pytanie?”. Potem wzruszył ramionami.

– Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Powinienem?

Odwrócił się, popatrzył na słońce i poszukał wzrokiem kierunku, w którym leżała pustynia z Niebiańskimi Grobami.

– Przyszedłem zza rzeki, tam nie ma nikogo, kto by się tak nazywał.

Tłum zaszemrał, słysząc potwierdzenie tego, co dotąd było tylko plotką, a na twarzach przywódców rodzin pojawiły się grymasy zdziwienia i zaskoczenia.

„Zza rzeki” znaczyło w zasadzie tyle samo, co „zleciałem z nieba i w człowieka przemieniłem się z sokoła”. Gdyby powiedział, że dotarł tu z nieprzebitego lasu, z miejsca, w którym nie stanęła noga żadnego mieszkańca osady, to uznali by, że mówi prawdę. Ale „zza rzeki” oznaczało, że pokonał niepokonane. Człowiek z legend stał się realny.

Przecież nurt rzeki był wartki i dziki, napotykał bystrza i progi skalne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbował jej pokonać ani wpływ, ani na drewnianej łodzi.

Nikt – a jednak intruz twierdził, że przybył z drugiego brzegu.

Midro podniósł rękę, czym ściągnął na siebie uwagę wszystkich.

– Wrócimy jeszcze do tego, gdzie mieszkałeś – oznajmił stanowczym głosem. – Teraz ważniejsze, skąd u ciebie taki brak szacunku dla zmarłego? Przecież uczciwi ludzie tak nie postępują.

Kian zmarszczył nos, i nagle Ortena sobie uświadomiła, że jest w tym drobnym grymasie pewna bezradność, którą dostrzegła w czasie nocnej rozmowy.

Powtórzył im mniej więcej to, co wcześniej mówił dziewczynie.

– Skąd miałem wiedzieć, że w ogóle jest tu jakaś osada? Z tej góry widać tylko puszcę. A na szczycie leżał samotny człowiek ze skromnym dobytkiem. Pomyślałem, że schronił się przed pustynią i umarł, więc go pochowałem, a nóż i resztę wziąłem, bo jemu przecież były niepotrzebne, a mnie mogły się przydać.

– Samotny człowiek? Sam się położył na płycie i umarł? Sam się przygotował do Drogi? – warknął któryś z Kromów, spojrzeniem pełnym złości mierząc intruza, który zbecześcił zwłoki ich krewniaka i nie uważał tego za brak szacunku.

Intruz popatrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie znam waszych obyczajów. Tam, skąd przyszedłem, ludzi chowa się w ziemi. A samotny... Ja też jestem samotny. – Rozłożył bezradnie ręce. – To mnie w ogóle nie zdziwiło. Po tej stronie nie spodziewałem się nikogo!

Widać było, że Midro nie wierzy przybyszowi. No bo kto by uwierzył?

– Ludzie! – warknął Kian. – Weźcie przestańcie! Ja go pochowałem, gdybym tego nie zrobił, zjadłby go sępy! Już musiałem kilka odpędzić – dodał spokojniejszym tonem.

Nawet się nie domyślał, jaką burzę wywoła. Społeczność osady nie cierpiała na nadmiar gwałtowników, ale Kromom trudno było słuchać, że ich synowi jakiś przybłęda odebrał szansę na Drogę, bo mu się coś nie spodobało. Darion Kroma, brat zmarłego, mimo energicznych gestów ojca siedzącego jak reszta filarów przy stole, wyskoczył z tłumu, wymachując pięściami i gdyby go nie powstrzymali, zrobiłby więźniowi krzywdę. A tak skończyło się na wykrzyczeniu kilku przekleństw i szarpaninie ze strażnikami.

– Najwyraźniej nie wiesz, że nasi zmarli czekają na skałach, aż zajmą się nimi zwierzęta albo rośliny. W ich organizmach będą żyć nadal – wyjaśnił Midro, starając się zachować spokój. Choć widać było, ile go to kosztuje, jak zaciska palce, jak drga mu mięsień na policzku. W końcu potarł go niecierpliwym ruchem i dokończył: – A ty próbowałeś odebrać Zuzumiemu ten wybór, wybór Drogi.

Ortena dostrzegала w jego oczach wahanie. Powinni zmierzać do decyzji, co z nim zrobić, a na razie odpowiedzi rodziły więcej pytań, niż udzielały wyjaśnień.

– Może sobie gadać co chce! – wychrypiał Darion Kroma, wciąż wzburzony, wciąż otoczony strażnikami. – Zniszczył Zuzumiemu Drogę, ktoś ma wątpliwości? Trzeba go zabić, zanim wyrządzi kolejne krzywdy!

Jego słowa, choć podyktowane bólem i gniewem, nie pociągnęły ludzi tak, jak się spodziewał. Może dlatego, że kiedyś nawet Norków nie zabili, tylko ich wygnali. Nie poparł go Rafa, choć minę miał srogą. Był jednak filarem, a to nakładało obowiązek zachowania spokoju.

Midro uniósł rękę.

– Wyroku nie wyda społeczność, lecz my czterej w jej imieniu. – Powiódł spojrzeniem po pozostałych przywódcach Krokwi.

– O czym tu gadać? – mruknął milczący dotąd i marszczący chmurnie czoło Hadem Wark, znany z praktycznego podejścia. – Jest winny, ale przecież go nie zabijemy. Trzeba wygnać precz.

– Znowu robi komuś coś strasznego – zauważył Midro, porzucając rolę osoby bezstronnie prowadzącej obrady.

Midro lubił mieć konkretne zdanie w każdej sprawie, uważał, że tylko wyrazista opinia definiuje człowieka, mądrość, męczyznę.

– Albo wróci za rzekę, a któregoś dnia przyjdzie do Krokwi z dużą armią – dokończył.

– Nie ma żadnych sił, które by tu chciały przyjść! Niby po co? – zaoponował trochę bezradnie Kian. – A ja jestem wygnań...

Midro wyglądał, jakby właśnie znalazł skarb, a przez głowę Orteny znów przemknęła myśl, że dla intruza ta historia nie ma prawa skończyć się pomyślnie.

– Wygnańcem? – mruknął Filec i złączył w namyśle palce dłoni. Miał szorstkie, spracowane ręce. – Wróćmy do tego, skąd pochodzisz. Mówisz, że cię ktoś wygnał?

Przesłuchiwany uniósł na niego pełne złości spojrzenie.

– Nie urodziłem się w lesie, ze związku mchu i paproci – burknął. – To oczywiste, że są ludzie za rzeką. Pozbyli się mnie, wrzucając do wody.

Midro znów skinął głową. Ugodowo.

– Ilu ich jest i dlaczego cię wrzucili?

Kian powiódł wzrokiem po tłumie, tym razem nie tyle chciał wyczuć zagrożenie, co oszacować liczebność tłumu.

– Dwa razy tyle co was? Dużo, ale mieszkają trzy dni drogi od rzeki...

Przez tłum przemknął szmer, stary Filec skrzywił się z niesmakiem, jakby zgryzł zbyt proste do rozszyfrowania kłamstwo. Kian zaś mówił dalej:

– Nie pasowałem im. Miałem własne zdanie.

Patrzyli na niego z namysłem. Mógł im wcisnąć każde kłamstwo, nie mieli tego jak sprawdzić. Wybrał coś niekorzystnego dla siebie, czy jednak nie na tyle sprytnego, aby wzbudzić ich współczucie?

– Nie chciałem walczyć – dodał z wahaniem Kian.

To sprawiło, że emocje w tłumie i pośród Rady zmieniły charakter. Walka? Walczyli Poprzedni Ludzie. Teraz, jeśli wierzyć przybyszowi, walczą ludzie za rzeką – coś za szczęśliwy traf, że nieprzebytą. Ludzie z osady nie walczyli nigdy, nie tak. Nie mieli zewnętrznych wrogów, a walczyć między sobą – po co? Los Norków był dostateczną przestrożą, życie i tak stanowiło pasmo wyzwań. Musieli w porę zdobyć jedzenie, a przy tym zachować równowagę z naturą, żeby Droga każdego z ludzi, każdego zwierzęcia i rośliny mogła biec bez przeszkód. Starali się żyć w harmonii – wojna była jej zaprzeczeniem.

Wyznanie więźnia zmieniło nastawienie społeczności.

Mogli zrobić wszystko, ale czy zrobili cokolwiek?

Od chwili, kiedy Kian wyznał, że nie chciał walczyć, Ortena była pewna, że nie odbiorą mu życia. Nadstawił gardło jak wilk, mówiąc im, że jest słaby. Słabszy. Nie wiedział, że Krokiew miała jedynie dwie obsesje – odcięcie się od Poprzednich Ludzi oraz wtopienie się w naturę – i wyniosła je niemal do poziomu dawnych religii. Nie mogli go zabić.

Mimo to mogli go wygnać i tak postanowili po krótkiej, publicznej naradzie, w której najbardziej surowy głos płynął od rodziny Zuzumiego. Chociaż i jej członkowie nie potrafili zdecydować, że chcą śmierci intruza. Reszta jednoznacznie opowiedziała się za wypędzeniem, „kiedy nadejdzie właściwy moment”. Czyli zapewne po tym jak go nakarmią i jak dadzą mu się wyspać, żeby nie umarł sto kroków od osady, czyniąc ich katami.

Słuchając wyroku, Ortena czuła ulgę. To dziewczyna sprawiła, że Kian wpadł w ich ręce. I... bała się do tego przyznawać nawet przed sobą, ale przecież oboje korzystali z tego samego daru czy przekleństwa! Obcy był jej bliższy niż niejeden z mieszkańców osady, jak mogło jej na nim nie zależeć?!

– Widziałeś Drapera? – wyrwał się nagle Bazyl, jakby czując, że jeśli nie zada tego pytania teraz, nie zdąży go zadać nigdy.

Nim Ortena zdążyła zareagować, stary Filec uniósł rękę, a przez jego twarz przetoczył się wyraz niezadowolenia. Nie musiał nic mówić, wszystko, co można było powiedzieć, wyraził karcącym wzrokiem siedzący obok niego Tabor. To nie był czas na zadawanie takich pytań. I jakim cudem Kian miał widzieć zaginionego,

skoro tamten poszedł do Skinkarte, intruza zaś znaleźli po przeciwnej stronie świata, na Niebiańskich Grobach?

– Nie czas – skarcił syna.

Popatrzył na chłopaka, który zapewne wciąż nie rozumiał powodu, dla którego łączy go z jakimś nieszczęśnikiem wchłoniętym przez zapadlisko.

– Jak przepłynąłeś rzekę?

Kian przetarł dłonią twarz, jakby zmęczony przesłuchaniem, setkami oczu wbijającymi się w niego niczym ostrza. A może tylko przypominał sobie wydarzenia, o które pytał Midro?

– Nie przepłynąłem – mruknął wreszcie szorstkim, nacechowanym niechęcią tonem. – Wrzucili mnie tam, gdzie rzeka rozlewa się w bystrza pełne kamieni po naszej stronie. Człowiek zostaje zmielony jak w żarnach.

– Ale ty przepłynąłeś?

Przesłuchiwany ze złością pokręcił głową.

– Mówiłem, że nie przepłynąłem. Rzeka mnie nie chciała. Kamienie mnie poobijały. Na większej skale udało mi się odpocząć, ale tylko chwilę, bo zaraz zaczęli do mnie strzelać z łuków. Musiałem zejść, miałem nadzieję, że popłynę z nurtem, trzymając się blisko brzegu, i wrócę na ląd, a potem ruszę z biegiem rzeki, byle dalej od swoich.

Zacisnął wargi.

– Nurt był za silny. Porwał mnie, złapałem się kawałka drzewa, które płynęło obok i próbowałem walczyć. Straciłem przytomność i obudziłem się po tej stronie. Rzeka mnie wypluła, nie chciała. Żadna w tym moja zasługa.

Midro spoglądał na niego krzywo. Widać było, że gdyby decyzja należała do Filców, najchętniej by go zepchnęli w tę samą czeluść, w której zniknął Draper.

Zdawało się, że Kian przyjął wyrok ze spokojem, może z ulgą, że go nie wrzucą do dołu albo rzeki, nie zostawią związanego na pustyni za lasem. Kiedy jednak Midro ogłosił werdykt i wodził spojrzeniem wśród zgromadzonej społeczności, szukając dla niego poparcia, intruz niespodziewanie się odezwał:

– Macie prawo uznawać, że zbeczciliśmy wasze groby, choć uczyniłem to nieświadomie i z jak najlepszą intencją. Macie prawo

mnie wygnąć. Ale od tych zza rzeki różnicie się mniej niż byście chcieli, tylko tym, że nie wrzuciliście mnie sami do rzeki... może dlatego, że żadnej tu nie ma.

Rozeźlony Midro machnął ręką na strażników i ci wyprowadził z Katedry uśmiechającego się gorzko przybysza.

Rozdział 6

Zebranie się zakończyło, strażnicy powiedli Kiana do więzienia, ludzie się rozeszli, zniknęli między chatami, wrócili do swoich domów i zajęć.

Ortena czuła się winna. Czuła się winna, że go wygnają, więc pójdzie dalej jakby w ogóle nie trafił na osadę.

Dręczyła ją również myśl, że w jej życiu za sprawą Kiana zaszło kilka z pozoru niewielkich, a jednak rujnujących zmian. Nandel był z Krokwi, więc to, że wyczuwała u niego tę pulsującą *obecność* – u niego i tylko u niego – było prawie zwyczajne. Bała się co prawda, że w końcu zacznie paplać, ale Nandel chyba nie wiedział o tym, że Ortena też jest taka; nigdy nie dał jej do zrozumienia, że coś podejrzewa, że wie. Gdyby rozmawiali o tym, to by mu powiedziała:

– Uważaj! To się kojarzy z mocami Poprzednich Ludzi.

I dopiero ta rozmowa z ojcem... Co wiedział, co zobaczył, co nim tak wstrząsnęło?

Ojciec nie będzie trzymał języka za zębami, pomyślała z rozpaczą. *Nie będzie.*

Zmęczył ją ten dzień, a przede wszystkim skupianie się na procesie, wyłapywanie niuansów, wyczekiwanie na to, czy w trakcie procesu Kian powie coś o *obecności* albo że ojciec nie wytrzyma, albo że... Bała się tego, czego nie mogła przewidzieć. Strach ją przygniatał, ale kiedy sąd nad przybyszem dobiegł końca, i ten potworny ciężar zniknął, pozostały pustka i zmęczenie, od których kręciło się jej w głowie.

Najlepiej było iść spać.

Widziała Bazyla biegającego to tu to tam, wypadającego zza jednej chaty, aby zaraz zniknąć za drugą. Zatrzymywał się przy

mężczyznach, ale nigdzie nie zagrzał miejsca, jakby od katastrofy Drapera próbował wybiegać dla niego jakąś pomoc.

W końcu przeciał ścieżkę Orteny. Skoro nie była mężczyzną, zostawił ją na sam koniec?

– Tu jesteś! Szukałem cię!

Odwróciła się z niechęcią.

Chłopak oczy miał dzikie, przekrwione, twarz poczerwieniałą od emocji, a może od zadyszki. Wystraszyła się, że coś jej zrobi. Przemknęła jej przez głowę głupia myśl, że zaraził się od Kiana.

Niby czym, idiotko?, ofuknęła samą siebie, ale coś musiało się odcisnąć i na jej twarzy, bo chłopak nagle przystanął.

– Nic ci nie zrobię – mruknął. – Szukam...

Popatrzył na nią z uwagą.

– A może i znalazłem.

– Co?

– Szukam kogoś, kto pójdzie do Skinkarte, żeby chociaż odesłać Drapera w Droę – burknął, patrząc na nią z nadzieją. Jego szorstkość zapewne brała się z bezgranicznej rozpacz. – Kogoś, kto go przygotuje i zaśpiewa mu Pieśń.

Zmierzyła go spojrzeniem pełnym niedowierzania. Przecież dopiero co jego brat i reszta wrócili znad zapadliska, z wiadomym skutkiem...

– A jak chcesz go znaleźć i wydobyć?

Bazyl niecierpliwie potrząsnął głową. Rozejrzał się, spłoszonym wzrokiem wodząc po ścianach chałup. Nikt ich nie obserwował.

– Nie chcę, Ortena, właśnie o to chodzi, że nie chcę! – szepnął zdławionym głosem. – Poszli go wyciągać, i dlatego nic się nie udało! Tam trzeba zejść, przygotować go do Drogi, zaśpiewać, a potem dać się wyciągnąć na górę i tyle. Ty byś to zrobiła, ja bym ci pomógł. Paru chłopaków do pomocy by się znalazło...

Ortenie przemknęła straszliwa myśl, że Bazyl po prostu oszalał, stracił kontakt z rzeczywistością, gotów sam się rzucić w zapadlisko i umrzeć obok Drapera.

– Przecież nie umieliście wyciągnąć Drapera – zaczęła ostrożnie. – A chcesz, żeby kolejni zeszli do zapadliska. Jak wrócą?

Bazyl fuknął przez nos.

– No właśnie o to chodzi! Wszyscy się bali, że da się zejść, ale nie uda się wrócić na górę, a Drapera też nie podniesiemy, bo linka cienka, a tam jest chyba bardzo głęboko. I dlatego nikt nie zszedł. A to trzeba inaczej...

Głośnie zaczerpnął tchu.

– Liny idzie powiązać i zejść, a w ostateczności ześlizgnąć się na dół. Człowiek się nie zabije. A z powrotem to bez obciążenia, na linie albo część drogi wyciętymi stopniami, aż do liny. I jeśli to będzie ktoś lekki, twojej postury...

Wzruszyła ramionami. W głowie Bazyla ułożyła się jakaś szalona wizja, w której udaje się zejść do środka zapadliska, zrobić swoje i wrócić.

Musiał pojąć jej myśl, bo chwycił Ortenę za rękę i powiedział:

– Nie jestem wariatem! Jeśli zejdziemy we dwoje, to ja ci pomogę dostać się na górę, choćbym miał tam zostać...

– A ktoś z tobą pójdzie? – spytała nagle. – Mój ojciec? Franczeska? Pytałeś kogoś?

– Wszystkich pytałem – wybuchnął. Jego głos tchnął goryczą. – Tabor nie pójdzie, Franczeska tym bardziej. Ale mam paru chłopaków do pomocy, jeśli ktoś od Filców poprowadzi. I rozmawiałem z Patrykiem, pamiętasz, on plecie najlepsze liny. Zaczął już to robić. Uważa, że da się zrobić naprawdę długi powrót w dwa dni.

Ortena wzruszyła ramionami.

– Ja nie szukam pewnej śmierci – prychnęła. – I tobie nie radzę.

Rozzłoszczony Bazyl tylko machnął ręką i bez słowa odszedł, skąd przyszedł, zniknął między chatami. Ortena miała jednak przeczucie, że wcale nie porzucił swojego pomysłu, choć jeśli nie zdoła namówić żadnego z grobników, straci on przecież sens.

Biała się, że Bazyl może nie tylko pójść do dziury, lecz także – jak krzyczał stary Kroma na zebraniu – może najpierw porwać Kiana, żeby wrzucić go do zapadliska śladem Drapera!

Ta myśl tak ją poruszyła, że aż poszła sprawdzić, czy strażnicy dotarli z Kianem do warsztatu i czy nic mężczyźnie nie grozi.

Na jej widok Olwen wyszczerzył zęby i pokręcił głową, z niedowierzaniem spoglądając na siostrę.

– Nie mów, że znów chcesz z nim porozmawiać.

– Niby po co? Dosyć się naopowiadał na zebraniu – burknęła. – Przyszedłam obejrzeć te żelazne pręty z zapadliska. Chociaż w sumie to może zaczekać.

Olwen zmierzył ją zamyślonym wzrokiem.

– Myślisz, że żelazo będzie inne, bo to zapadlisko jest inne?

Z aprobatą skinęła głową, zadowolona, że brat sam podsunął jej wyjaśnienie. Nie mogła się przecież przyznać, że do Kiana ciągnie ją jak mrówki do miodu. Że wcale nie wszystko zostało wyjaśnione, choćby to, że go wyczuła, czyli że on też posiada te niezwykle umiejętności. Ale aby o nich porozmawiać, Ortena potrzebuje miejsca, w którym nikt ich nie podsłucha!



Franceska też jeszcze nie spała, w przejściu między łózkami uprawiała tę swoją magiczną gimnastykę, która miała ją uczynić silną i piękną. Tak jakby nie była najładniejszą z siostr Mrukosz, a chłopcy już teraz nie strzelali ku niej spojrzeciami, z trudem ukrywając zainteresowanie przed Taborem.

– Ale jestem zmęczona! – mruknęła Ortena, niemal wpadając na swoje łóżko. Skryła twarz w kocu.

Nie żeby naprawdę chciała w tej chwili zasnąć – miała do przemyślenia parę spraw. Lepiej by było robić to gdzieś, gdzie jest spokojniej, nie będzie jednak wychodzić nocą z domu. Mogłaby spotkać Bazyla, który dalej będzie ją namawiać na pójście do Skinkarte.

– To już nie idziesz do tego swojego wybranka?

– Jakiego znów „wybranka? – warknęła Ortena, odrzucając koc i wpatrując się w roześmianą Franceskę oczyma płonącymi złością.

A w sercu narastał strach, szybko podwyższając tętno.

– Przecież widziałam! – prychnęła siostra, machając rękoma. – To jasne, że skoro nie podoba ci się nikt z wioski, to musi ci się podobać ten obcy!

– On mi się nie podoba! – krzyknęła Ortena. – Gdyby było inaczej, to bym go nie zdradziła, co dzień chodziła na Groby i tam z nim gadała albo...

– Albo się gziła jak Rumaszka, co to ją chłopaki nazywają leśną rusalką! – Franczeska odrzuciła włosy na ramię. – Widziałam, jak na niego patrzysz, Orta, możesz sobie zaprzeczać, ile wlezie, a ja i tak wiem swoje!

Jeszcze chwilę i rzuca się na siebie, zaczną drzeć za kudły, tak to wyglądało.

I wtedy rozległo się chlipanie skulonej w kącie, przestraszonej Lidy. Starsze siostry wymieniły pełne emocji spojrzenia, po czym Franczeska, bez słowa, weszła do łóżka i zaczęła głaskać Lidę uspokajająco. Ortena rzuciła się na swój siennik, nakryła głowę kocem i próbowała wrócić do przerwanych rozważań.

Niewiele jednak potrafiła wymyślić w trakcie tej nerwowej nocy pełnej koszmarów, pobudek, bezsenne go wsluchiwanie się w ciszę za oknem i posapywania sióstr śpiących obok. Właściwie wciąż krążyła wokół tego, że musi znaleźć sposób na zadanie Kianowi najważniejszego pytania: czy tylko on posiada te umiejętności, czy tam, skąd przyszedł, są powszechne, są... normalne?

O świcie, nie czekając na przydzielenie obowiązków, pognęła do warsztatu zamienionego na więzienie.

I przeżyła szok.

Kręcił się tu tylko Olwen, przerzucając do pustej izby sprzęty wyniesione wcześniej, aby zrobić miejsce dla intruza.

– Gdzie on jest? – wrzasnęła.

– Społeczność się go pozbyła – prychnął zdumiony, że siostra nadal przejmuję się losem Kiana. – Już nie musisz się martwić.

Jego spojrzenie zaprzeczało jednak słowom, nadawało im inny sens. Pewno wielu mieszkańców Krokwi zauważyło zainteresowanie Orteny obcym, choć nie znali powodów.

– Gdzie jest?

– Nie mogę ci powiedzieć. Rada zakazała.

– I tak się dowiem – wrzasnęła piskliwie. – I tak!

Rozdział 7

Henno od Paletków zawsze ją lubił, choć więc pytanie Orteny i jej wygląd nieco go zaskoczyły, nie zbył jej krótkim „nie”. Strażnik zawsze wydawał się dziewczynie nieco smutny, jakby zrezygnowany. Teraz zatrzymał na niej spojrzenie, w którym ów smutek mieszał się z wątpliwościami, czy powinien zdradzać takie sekrety. Wreszcie wyjaśnił półgłosem:

– Były wątpliwości, dokąd ma iść. Czy z powrotem na pustynię, czy w las.

– I...? – przynagliła go.

Zamyślił się. Widać było, że nie zamierza relacjonować całej tej wielkiej kłótni, która wybuchła wokół przybysza, ale nie wie, jak ją streścić do paru słów. W końcu wzruszył ramionami i stwierdził:

– Nie chcieli, żeby zdechł na pustyni, chociaż sobie na to zasłużył. Wyprowadzili go w stronę Skinkarte i kazali iść przed siebie.

Prychnął, jakby niezadowolony z decyzji Rady.

– Iść tak daleko, żeby nigdy już do osady nie wrócił ani nie spotkał naszych. Jeśli tu wróci, to po śmierć, tak zapowiedział Midro.

Ortena wzdygnęła się na te słowa, niosące wyrok śmierci. Pomyliła się: rada przejęła się słowami Kiana, wciąż uważała go za ogromne zagrożenie dla wioski. Nawet jej ojciec, choć nie miała pojęcia, jak zagłosował. Po wczorajszej rozmowie mogła się domyślić, co wybrał.

Henno popatrzył na nią, na torbę i spytał z troską:

– A ciebie pewno ojciec posyła do Grobów i nie chcesz trafić na tego drania?

Niechętnie skinęła głową, zmuszona do kłamstwa.

– Muszę pędzić, pa!

I już biegła.

Jeśli strażnikowi przemknęła przez głowę myśl, że nie tamtędy idzie się do Grobów, to nie zareagował w żaden sposób. Gdyby ktoś siedział w jego głowie, poznałby prawdę: ten smutek brał się z rozpacz, że świat jest mały, nudny i w dodatku trudno znaleźć dziewczynę, która nie ucieknie po krótkiej rozmowie.



Ortena, jak każdy w osadzie, znała lasy wokół. Wiedziała, gdzie można znaleźć sady, gdzie pojedyncze drzewa owocowe, gdzie orzechowce, gdzie na otwartej pośród lasu łące najłatwiej złapać zającą, a gdzie zamiast szaraka można spotkać wredne dziki, które wpędzą człowieka na drzewo albo poranią w obronie war-chlaków. Gdzie ludzie z Krokwi zimą znaleźli odcisniętą w śniegu niedźwiedzią łapę.

Wiedziała też, których miejsc unikać, bo albo pod stopą otwo-ry się pokryte zdradliwą zielenią bagno, albo jedno z tych płyt-kich zapadlisk, z których można się wygrzebać, jeżeli nie zasypie człowieka ziemia albo nie uderzy go w głowę pień drzewa, które do dołu leci z nieszczęśnikiem.

Wszystko to wiedziała, podczas gdy Kian był w tych sprawach bezradny. Dlatego zamaszystym krokiem sunęła między drzewa-mi, starając się robić to możliwie najciszej. Docierały do niej śpie-wy ptaków, gdzieś w koronach przeleciał silniejszy powiew wia-tru. Zauważyła rysia tak wpasowanego w konar buka, że niemal niewidocznego – wymienili spojrzenia, ale żadne nie było zainte-resowane drugim, on pozostał nieruchomy, Ortena poszła dalej.

Nasłuchiwała. Urodzona i żyjąca w lesie, mogła usłyszeć Kiana na długo przed tym, zanim on się zorientuje, że ktoś go ściga.

Choć była przekonana, że on się boi. Skąd mógł wiedzieć, czy nie wypuścili go na pewną śmierć? Nawet Ortena nie była tego pewna. Chyba po raz pierwszy Rada zachowała się tak, nieprzewidywalnie. Zasugerowała, że Kian spędzi kilka dni w wiosce, a potem – po cichu, po cichu! – wyprowadziła go, za-nim ktokolwiek zdążył się zorientować. I wskazała mu drogę na zapadliska!

Oni też się go bali, mimo że Midro i reszta pozwali na nieustraszonych.

Nagle aż przystanęła z wrażenia zadziwiona myślą, która przy-szła jej do głowy.

Może Rada bała się nie tyle Kiana, co ludzi? Rodziny Zuzumiego albo Wyrtków? Może zwyczajnie wolalała uprzedzić bieg wydarzeń?

Ortena dogoniła Kiana na granicy Skinkarte. Zbliżał się do niskich pagórków porośniętych buczyną.

– Stój! – wrzasnęła. – Tam są zapadliska!

Przestraszył się jej, próbował uciec – może myślał, że w osadzie zmienili zdanie i postanowili dokończyć dzieła, zabijając go?

Zapadlisk bał się jednak bardziej, bo z nimi nie sposób walczyć. Słyszał przecież o nieszczęściu Drapera. Zatrzymał się w końcu, odwrócił do Orteny. Zdążył znaleźć solidny kij. Teraz trzymał go przed sobą, ostry koniec drgał nad ziemią, w każdej chwili gotów sięgnąć dziewczyny.

Nie bała się, bardziej zajmował ją los Kiana. Las wokół osady z trzech stron rozpościarał się na nie wiadomo jaką odległość, Szperacze nie dotarli do jego krańców, łatwo się tu zgubić albo wpaść w nieznaną pułapkę. Tylko od północy kończył się w wiadomy sposób – pustynią, pośrodku której, niby kamienny dysonans, rozsiadły się Niebiańskie Groby.

– Czego chcesz? – spytał.

Dopiero teraz dotarło do Orteny, jaki jest zmęczony. Naprawdę musiał wierzyć, że jeśli szybko nie opuści terenów, na których rządziła się Krokiew, zabiją go.

– Chcę cię odprowadzić tam, gdzie będziesz bezpieczny, poza tereny ludzi z Krokwi – próbowała go uspokoić.

– Nie kłam! – warknął. – Nie potrzebuję niańki! Będziesz mnie śledzić?

Czyżby wierzył, że Ortena chce mu zrobić krzywdę? Zaraz wpadnie na pomysł, że jej pytania to tylko sprytna próba kolejnego przesłuchania, nim Kian odejdzie na dobre. I czy to z inicjatywy społeczności, czy z własnej, Ortena zechce go usunąć. Miała przecież łuk na plecach i nóż przy pasie, Kian jedynie kij w dłoni. Nie wiadomo, ilu jej pomocników kryło się po obu stronach ścieżki albo cichcem zaszło go od tyłu? To z wolna narastające podejrzenie rysowało się na jego twarzy.

Rozejrzała się szybko i kucnęła na murawie.

– Usiądź. – Zrobiła gest ręką.

Wciąż stał. Bezradnie rozłożyła ręce.

– Czuję twoją... moc – wyznała.

Wyprostował się gwałtownie, ze świstem wciągając powietrze w płuca. Czubek kija zadrgał w poszukiwaniu niewidocznego celu.

– Ale jeśli ją czujesz... – powiedział zaniepokojonym głosem. – Jeśli ją czujesz, to ty...

Skinęła głową.

– Zmęczyło mnie ukrywanie tego. Ktoś powinien wiedzieć. A ty przecież nikomu nie powiesz, prawda? Za to uwierzysz, że chcę ci pomóc.

Na jego twarzy odmalowała się cała gama uczuć.

– Ale jak nas złapią, to zabiją oboje?

Nigdy o tym nie myślała, nie było powodu, nie bała się śmierci, miała do niej stosunek... dziwny? Wierzyła w Drogę i krąg życia. Obcowanie z ciałem nieboszczyka, przyglądanie się, jak jej tata i bracia przygotowują je dla sępów i kruków, pozbawiło ją nadmiernego szacunku dla tego ciała. Cokolwiek się z nią stanie, wcześniej czy później na pewno wcieli się w zwierzę lub odnajdzie swe miejsce w zielonej tkance lasu. Nie miało to dla niej znaczenia. Niechby wcieliła się w muchomora, Droga i tak się dopełni.

– Twoje pojawienie się wszystko zmieniło, Kian – rzuciła z goryczą. – Mój ojciec też się złamał i boi się, że osada odkryje, co potrafisz i wypędzą nas jak kiedyś Norków.

Zmarszczył brwi.

– Powinienem coś wiedzieć? Na przesłuchaniu ktoś o nich pytał, ale nie rozumiem, dlaczego.

Szybko opowiedziała mu całą historię, nie pomijając drastycznych szczegółów. Marszczył brwi, raz – zaskoczony powodem kłótni – jej przerwał:

– U nas też walczy się o kobiety.

Potem uważnie słuchał, oparty o pień drzewa.

– Nie myliłem się, jesteście podobni do tych zza rzeki.

Powoli skinęła głową. Nie była jeszcze gotowa wyjaśnić, że jego przybycie wytrąciło Krokiew z chwiejnej i iluzorycznej równowagi. Że teraz w wiosce wzrośnie poczucie zagrożenia, gdyż jej mieszkańcy odkryli, że ich przeciwnikiem nie jest tylko natura i to co zostawili po sobie Poprzedni Ludzie.

– A tacy się wydawaliście wtopieni w las i żyjący po swojemu...
– Zmierzył ją spojrzeniem pełnym namysłu.

– A jacy są ci twoi... zza rzeki? – spytała. – Podobni w zachowaniu, a poza tym?

Wzruszył ramionami.

– W porównaniu z wami, dzicy. Mnie próbowali utopić. I nie dlatego, że mam te swoje zdolności. – Wzruszył znów ramionami. – Po tamtej stronie rzeki rządzi siła, nie debaty. Tam w ogóle jest inaczej, nie ma takiej puszczy, to bardziej step, krzaki, łąki, rozległe pustkowia.

Wstał.

– Porozmawialiśmy, ale muszę iść dalej, zanim twoi się rozmyślą i jednak ruszą w pościg.

Ortena też się podniosła, otrzepała spodnie z trawy. Miał rację. Z niepokojem obejrzała się za siebie.

– Będą nas gonić? – Patrzył na nią pytająco, w końcu kto ma wiedzieć, co myślą mieszkańcy Krokwi, jak nie ona? – Nie znam puszczy, tu mogą mi zrobić wszystko. Powinienem chyba wracać do swoich.

– Do tych, którzy cię prawie zabili? – zdziwiła się.

Zaprzeczył szybkim ruchem głowy.

– Rzekę można próbować sforsować w innym miejscu, gdzie tamci się nie zapuszczają.

– Bezpieczniej iść w puszcę – mruknęła. – Skoro jednak wolisz wracać do swoich...

Nie była gotowa, by zburzyć to kruche zaufanie kupione, wyznaniem planów.

– Pójdziemy w stronę rzeki, a po drodze zatrzymamy się przy Niebiańskich Grobach.

Skrzywił się, jakby na wspomnienie tego, co się tam wydarzyło.

– Jestem opiekunką tego miejsca – wyjaśniła. – Każda okazja jest dobra, aby sprawdzać jego stan. Potem ruszymy nad rzekę i zobaczę, jak idziesz na śmierć. Myślisz, że drugi raz rzeka cię puści?

Skinął nieznacznie głową. Popatrzył na Ortenę i uśmiechnął się. Dziwnie. Miała wrażenie, że w jakiś sposób czyta jej emocje. Nie tylko dostrzega ich istnienie, lecz także rozumie,

jak bardzo Ortenie na nim zależy, że dziewczyna czuje się za niego odpowiedzialna.

– Prowadź zatem – mruknął. – I postarajmy się nie wpaść na nikogo z osady.

Wzdłuż bukowych lasów, granicą Skinkarte, wyprowadziła go na pustynię. Zakładała, że po tym jak zapadlisko pochłonęło Drapera, mieszkańcy osady wstrzymają się z chodzeniem w tę stronę.

Liczyła, że po przystanku na Niebiańskich Grobach, po dojściu do rzeki, Kian ochłonie i wtedy zawrócą, tą samą drogą podążą w stronę jakiegoś bezludzia. Ortena umiała żyć w lesie, dadzą sobie radę, a może nawet znajdą grupę, która ich przygarnie? Nikt nie wiedział, co się stało z dorosłymi Norkami. Kto wie, może założyli nową osadę i przetrwali, a to pamięć, aby nie iść w stronę Krokwi, powstrzymuje obie grupy przed kontaktem?

Najpierw jednak chciała się pożegnać z Niebiańskimi Grobami, które już rysowały się na horyzoncie.

Rozdział 8

– Idź – powiedział.

I Ortena zostawiła Kiana w zaroślach tuż powyżej skalnej bramy, parę kroków ponad rozgrzanym piaskiem. Czekając na nią, będzie mógł się schronić w cieniu niewysokich krzewów.

Poszła, chociaż w tej ostatniej chwili przed rozstaniem opadły ją wątpliwości. Czy kiedy tu wróci, zastanie Kiana, czy jedynie wspomnienie o nim, bo mężczyzna zniknie, jak wcześniej, zostawi ją, tym razem na zawsze.

Musiała mu zaufać, było to jednak zaufanie nabrzmiałe wątpliwościami. Sunęła ścieżką, odsuwała na bok małe sosenki, szeleściła liśćmi brzozy, która wyrosła pośrodku ścieżki w połowie trasy na szczyt niby strażnik pytający o hasło.

Odsunęła na bok wątpliwości związane z Kianem i wtedy napłynęły inne: czy jest gotowa na taką zmianę? Mężczyzna jeszcze nic nie wiedział o planach Orteny, wciąż żył przekonaniem, że ona odprowadza go jedynie w pobliże rzeki, gdyż chce ją zobaczyć.

Nie miała ze sobą dużego bagażu. Nie zabrała z domu wielu rzeczy, które na taką wyprawę powinna wziąć. Gdyby Franczeska

albo Sanna odkryły brak ubrań w skrzyni, a Tabor brak narzędzi w warsztacie, sprawa byłaby jasna. A tak mogą założyć, że odeszła tylko na chwilę, aby w samotności uporządkować myśli. Kradła czas.

Żegnała się z Niebiańskimi Grobami. Odwiedziła to miejsce setki razy. Setki razy spoglądała z wierzchołka, na las z ich osadą, na pustynię, rozpościerającą się aż po horyzont... Wiedziała, że na wschodzie jest rzeka, tam pójdzie z Kianem.

Popatrzyła w tamtą stronę. Taki sam żółty, jałowy piach jak na całej pustyni. Co ją tam czeka?

Wróciła spojrzeniem do trzech skalnych leży, czekających na zwłoki. Ileż Dróg tu się rozpoczęło, ileż się namęczyła Sanna, a nawet i Franczeska, gdy plotły Pieśń, a potem interpretowały, w jakiej części otaczającego ich świata krewni zmarłego powinni go szukać, w jakiej postaci wróci...

Przełknęła gorzką ślinę. I tak nie nadaje się na grobniczkę, za słaba, by przejąć rolę Tabora, zresztą zapewne przejmie ją Olwen. Zbyt nieudolna w tkaniu Pieśni, by zastąpić Sannę, więc do tej roli prawdopodobnie wyznaczono już Franczeskę. Co pozostaje? Rzeźbienie noży? Uczenie kolejnego pokolenia pisania? Dbanie o księgi? Ważne, ale przecież Ortena kompletnie się w tym nie odnajduje, siedzenie w dusznym pokoju nie było jej żywiołem.

Tak naprawdę, wreszcie przed samą sobą wyraziła tę myśl, niewiele straci, odchodząc z Kianem.

Czubkami palców musnęła jedną z płyt, tę, na której leżał Zuzumi. Dziwnie się plotą losy ludzi, musiał umrzeć, żeby Ortenę połączyć z przybyszem zza rzeki. Chociaż dzięki temu jego śmierć zyskała dodatkowy wymiar, może – zawahała się w myślach – dodatkową wartość?

Nagle na skałę niedaleko opadł pomarańczowy sęp, jakby chciał się przyjrzeć Ortenie. Poniżej naglej szyi pyszniła się kryza z niebiesko-czerwonych piór, wyglądających jak pęk kolorowych traw. Czyżby, gdy ona żegnała się z Grobami, sęp żegnał się ze strażniczką tego miejsca?

No nie!, prychnęła w myślach. Zaraz zacznie z nim rozmawiać.

Uświadomiła sobie, że przedłużyła pobyt tutaj, nie umiając zerwać tej nici i wtedy – klnąc pod nosem – szybko ruszyła w dół. Omal nie skręciła kostki na jednym z progów skalnych.

Kiana spotkała w połowie drogi. Zaniepokojony szedł w górę. Zdyszany szeptem, jakby ktokolwiek mógł ich usłyszeć pośród skał, pospiesznie jej wyjaśnił, że widział z daleka samotnego mężczyznę zmierzającego ku Niebiańskim Grobom.

– Ścigają nas!

Zastygła na chwilę jak zwierzę bezruchem próbujące zmylić napastnika. Znała tę górę, wiedziała, że zejść jest zaledwie kilka, a wszystkie zbyt ryzykowne, strome, śliskie... Kian nie mógłby ich zauważyć, podchodziliby od drugiej strony. Zamyśliła się. Raczej nie jest to też ceremonia pogrzebowa, zbyt mało czasu minęło, odkąd wyszła z Krokwi...

– Musimy sprawdzić, kto to – szepnęła. – Zejdziemy niżej i zobaczymy, czy zastawili pułapkę, czy ktoś tylko odwiedza Groby.

Zmarszczył brwi, zaskoczony użytą przez Ortenę liczbą mnogą, ale posłusznie skinął głową i ruszył pierwszy.

Nagle rozległ się donośny, chrapliwy głos, który rozpoznałaby w każdym miejscu świata.

– Ortena, nie odchódź, musimy porozmawiać!

Nie mógł ich widzieć. Nie mógł ich słyszeć. Nie posiadał umiejętności, tego była pewna.

Mógł ją wyczuć jedynie swoim sercem, mógł odgadnąć, jak się zachowa. Była jego córką, a on od dawna prowadził ją właśnie tutaj.

Kian spojrzał na nią pytająco i przez czas potrzebny na jeden – dłuższy, nerwowy, bardziej łapczywy – oddech, mogła się zastanowić, czy zaufać ojcu, czy przyjąć, że jak w czasie tej strasznej rozmowy kilka dni temu, bardziej się jej daru boi, niż chciałby się do tego przyznać. A wtedy oznacza to niebezpieczeństwo! I narazi nie tylko siebie, ale i Kiana – po raz któryś!

Nie mogła uciekać przed ojcem, nie tak! Wskazała Kianowi ścieżkę przed nimi, krzyknęła:

– Schodzimy!

Wymineła go i prawie zbiegła na dół, aż wyskoczyła na piasek, tuż obok filara.

Na jej widok Tabor odetchnął z ulgą.

– Szukałem was – wydusił, walcząc z ciężkim oddechem.

Trudno jej było nie dostrzec, że strach o córkę niemal go zabił.

Bała się tego, co ojciec zamierza – wciąż przecież roztrząsała w głowie tamtą rozmowę, w której jej życie przeciwstawił istnieniu rodziny. Równie mocno jednak bała się w tej chwili o jego życie. Nikt nie żyje wiecznie, a chociaż na końcu jednego etapu Drogi czeka drugi, nie potrafiła znieść myśli, że Tabor miałby odejść dziś, że miałby odejść w ogóle. Nie była na to gotowa, a słysząc, jak z trudem łapie oddech, widząc strużki potu spływające po szorstkich policzkach i zostawiające nieregularne ślady wśród krótkiego zarostu, zadrżała.

Kian dołączył do nich i teraz czekał z opuszczonymi rękoma, jakby pogodzony z losem, ze świadomością, że znów go ukarzą, tym razem za porwanie córki filara. Nikogo nie będą obchodzić tłumaczenia, że to ona sama za nim podążyła.

– Ale dlaczego, tato? – spytała. – Nie lepiej, żebym odeszła?

Popatrzył na nią chmurnie. Nie spuszczał wzroku, więc dostrzegła w nim przerażającą mieszaną gniewu, strachu i rozpacz.

Zniżył głos i wyznał:

– Ja popełniłem błąd i ty go popełniłaś, Orta. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym w tym błędzie trwał. Ty też tego nie rób.

A potem, być może zawstydzony swymi słowami, pociągnął ją za rękę i poprowadził ich w stronę domu.

Wkrótce dostrzegli pierwsze strażę wokół osady, wzmocnione, odkąd się okazało, że mogą tu dotrzeć ludzie zza rzeki. Ortena wyprostowała się dumnie i, czując się silną w towarzystwie ojca, chwyciła Kiana za rękę.

I tak weszli do osady, filar, jego córka i intruz, który miał odzyskać możliwość decydowania o swoim życiu.

Rozdział 9

Nawet Henno się zawahał, widząc Tabora prowadzącego nie tylko córkę, lecz także uciekiniera. *A może, poprawił się w myślach, wygnańca?* Zupełnie nie wiadomo, jak teraz traktować tego całego Kiana, jak go określać! Nie było też pewności, czy nadal jest wrogiem, czy już nie?

Tabor nie dał mu czasu do namysłu, z poważnym wyrazem twarzy minął bramę, kierując się prosto do chaty Mrukoszów. Kian podążał za nim, niepewnie strzelając spojrzeniem na boki, w obawie, że kogoś nie powstrzyma obecność filara i rzuci się na intruza, którym wciąż się tu czuł.

Trudno zresztą było nie zauważyć napięcia i konsternacji społeczności. Wielu pracujących albo rozmawiających na podwórzach chat widziało ten pochód przez środek polany. Także stary Jako Paletek, siedzący na ławie przed domem, obserwował wracających z pośępnym zaskoczeniem, jakby widział w nim zagrożenie.

Ortena zerknęła z ukosa na ojca. Kroczył pewnie i stanowczo, prosto do twierdzy, którą były ich zabudowania.

Wprowadził wszystkich do głównego budynku.

– Zjemy, zanim... – mruknął. – Sanna?

Już czekała. Ledwie ich zauważyła wiedziała co robić – byli idealnie zgrani. Postawiła talerze, zupeł, chleb.

– Jedzmy. Potem może nie być czasu – mruknął Tabor tonem, który nie skłaniał do dyskusji, raczej do wykonania jego polecenia. I pierwszy sięgnął po chleb.

Miał rację. Nie minęło wiele czasu, gdy do drzwi zapukał chłopak od Midro, z informacją, że kiedy skończą jeść i chwilę odpoczną, mają wszyscy pójść do Katedry. Tabor będzie musiał wyjaśnić, dlaczego przyprowadził wygnańca.

Tak właśnie o nim powiedział: „wygnaniec”.

Kian, stojący za filarem, tylko smutno pokiwał głową. Znow go wypędzą.

Ortena ze złością zacisnęła pięści. Należało się spodziewać, że Filcowie spróbują wykorzystać sytuację. Stary Midro nigdy nie darzył Tabora ani jego rodziny szacunkiem, zupełnie jakby coś mu zrobili, a przecież obie rodziny i wszyscy pod ich patronatem raczej zgodnie współżyli w osadzie.

– Uduszę go – warknęła.

Ojciec zmierzył ją chłodnym spojrzeniem, odwróciwszy wzrok od oddalającego się posłańca. Widzieli schodzących się w stronę Katedry ludzi. Zapewne społeczność czuła, że znow czeka ją coś, co urozmaici monotonię, o czym będzie można długo rozprawiać.

– Nawet słowem się nie odezwiesz – oznajmił stanowczo. – Ja będę przemawiał w imieniu Mrukoszów i... – Popatrzył na chłopaka. – Kina. Jasne?

Uśmiechnął się okrutnie.

– A staremu prędzej czy później pisana Droga, jeszcze się doczekasz.



Czekali już na nich, zostawili miejsce. Tabor śmiało wkroczył w ciasną przestrzeń wyznaczoną dla tych, których działanie społeczność chciała ocenić. Nieugiętym spojrzeniem zmierzył trzech filarów siedzących przy stole na podwyższeniu. Inaczej, ale równie stanowczo patrzył na Kiana.

– Co jest powodem wezwania? – spytał ochryple. – Zmęczony jestem, ledwie co wróciliśmy z Niebiańskich Grobów.

Stary Midro świdrował go wzrokiem pełnym niechęci i, jak zauważyła z niepokojem Ortena, wyczekiwanego triumfu. Zdawał się pewien, że ma większość filarów po swojej stronie, a społeczność tylko potwierdzi jego słowa.

– Wy, Mrukoszowie, naruszyliście prawo, rażąco – zaczął, próbując wpaść w ton pełen namaszczenia i grozy. – Ty, Tabor, mógłbyś chodzić, gdzie chcesz, nikomu nic do tego. Twoja córka niech sobie ucieka, skoro taka... – zawahał się – głupia. Jednak sprowadzenie tu intruza, którego ledwie co wygnaliśmy, to coś, co szokuje swoją bezczelnością.

Przez oblicze Tabora przemknął krótki, okrutny uśmieszek, jakiego Ortena nigdy dotąd u niego nie widziała.

– Zamknij się, Midro – rzucił tonem, w którym zgrzytnęła żywa stal, jaką obrabiali w warsztacie. – Wszyscy wiedzą, że żywisz urazę, bo wziąłem Sannę od Kromów, a nie Joremę od was.

Ludzie zaczęli się śmiać, stary Kroma zakrył usta dłonią. Wstrząśnięta Ortena słuchała tego ze zdumieniem. Nie wiedziała, że ojciec dokonał takiego wyboru, odrzucił aranżowany związek dla... miłości? Ten suchy, zdawało by się zimny człowiek dla miłości do Sanny zaryzykował tak wiele?

– Intruz powinien ponieść karę taką, żeby już tu nie wrócił – atakował dalej Midro. – A ty, Tabor, powinieneś przestać pełnić rolę filara, skoro naruszasz prawo, zamiast go strzec.

W odpowiedzi na rzucone wprost wyzwanie zapadła cisza.

– A dlaczego ty jesteś filarem, skoro po tej historii z Sanną chciałeś mnie zabić i twój ojciec cię powstrzymał dopiero po tym, jak rozciąłeś mi nożem policzek?

Tabor wycedził te słowa tonem wyważonym, skupionym, mocnym. Ortena nagle zrozumiała skąd blizna, którą brała za efekt pracy w warsztacie.

Śmieszki umilkły, rozległy się pełne niedowierzania szept. Ktoś głośno chrząknął z dezaprobatą.

Midro milczał, zaciskając zęby. Dwaj pozostali filarowie wymienili spojrzenia, w których można było wyczytać kpinę.

Tabor dał wszystkim tyle czasu do namysłu, ile trwa wzięcie głębszego oddechu.

– Ciebie pcha gniew, Midro, a mnie rozsądek – podjął zdecydowanym tonem. – Kian został już osądzony za swoje czyny, a ja go zmusiłem do powrotu. Nie chciałem brać na swoje sumienie jego śmierci, która groziła mu, gdyby został tam, na pustyni. Nie macie prawa sądzić go po raz drugi za to samo przestępstwo. A chcecie sądzić mnie za to, że mam sumienie, że nie jestem jak Midro, który pragnie zemsty, a do Mrukoszów chowa urazę mającą już ze trzydzieści lat? – Znów się zaśmiał. – No to proszę, filarowie, sądzcie nas. A wy – omiół zgromadzonych wzrokiem pełnym nagłego gniewu – przykłaśnijcie albo nie. Ale pamiętajcie, że jeśli zechcecie mnie wygnąć, za mną pójdzie moja rodzina, a także Paletkowie i Bieliki. Zostaniecie bez grobników, lekarzy i kronikarzy, ale za to z satysfakcją, że pomogliście Midro w końcu mnie pokonać.

Zamilkł, splótł ręce na piersi, tylko jego wzrok i postawa dowodziły bojowego nastawienia. Ortena pojęła, że w którymś momencie, zapewne po odkryciu, że poszła za Kianem, Tabor musiał wszystko sobie gruntownie przemyśleć, rozprawę i to, co na niej powie.

Gdyby decydował Midro, z pewnością nie wzruszyłaby go groźba odejścia wszystkich grobników i lekarzy. Uznałby, że w osadzie na pewno ktoś zna się na ziołach i leczeniu, nie każdy

od razu leciał z byle problemem do Bielików. Nowych grobników sam by wyszkolił, a księgi i kroniki to jedynie zawracanie głowy. Tyle można było wyczytać po twarzy filara, na której błąkał się zły, ironiczny uśmieszek.

Publiczne przywołanie dawnych wydarzeń było jednak ciosem, który w pewnym sensie zniszczył Midro. Obaj pozostali filarowie i większa część społeczności, z wyjątkiem rodzin związanych zależnościami z Midro, już sądziła w głowach nie Kiana, tym bardziej nie Tabora, lecz dawne postęпки Midro. Trudno było przełknąć, że wciąż chce się mścić. A przecież nikt z Krokwi nie chciał być jak Poprzedni Ludzie.

– Nie ma o czym mówić – burknął ze swojego miejsca Rafa Wark, opierając szerokie dłonie o blat stołu. – Kian odszedł, ale skoro Tabor chce ręczyć za niego, niech tak będzie. Tabor ani jego córka żadnego przestępstwa nie popełnili, tak uważam.

Tylko Midro, osamotniony, trwał przy swojej chęci ukarania Tabora.

Ten w końcu skinął zgromadzonym głową i ruszył, przepychając się przez tłum. Wracali do siebie.

Przed domem Ortena zatrzymała na chwilę Tabora.

– To wszystko prawda? – spytała.

Skinął głową, uśmiechając się do wspomnień.

– Nie cała, ale w większości. Obaj jej się podobaliśmy, bała się jednak zapalczywości Midro, a ja zawsze byłem taki nudny, zasadniczy i... bezpieczny.

Teraz Ortena się roześmiała. Tak, jej ojciec nigdy nie podjąłby ryzyka, zawsze zachowywał spokój... Tylko jedno było prawdą: że zawsze stał po stronie dobra, nawet jeśli czasem pojmował je inaczej niż córka, jak wtedy, podczas rozmowy w lesie, która chyba obojgu sprawiła ból.

Tabor pociągnął córkę, by odeszli na kilkanaście kroków od Kiana.

– Wracasz do pokoju dziewczyn czy chcesz osobną izbę, niedaleko... – zaczął półgłosem. Zawahał się, na jego usta zabłąkał się lekki uśmieszek, zaraz jednak spowaźniał, bo mimo wszystko był filarem. – Niedaleko pokoju Kiana?

Zaczerwieniła się. Od tego, co odpowie, będzie zależeć wiele. Ojciec zostawiał jej decyzję, ale było jasne, że ta odpowiedź będzie miała swoje konsekwencje.

Wcześniej nie zastanawiała się nad takimi prozaicznymi sprawami. Uczucia. Przyszłość... I przecież nie rozmawiała o tym z Kianem, poza prostym stwierdzeniem, że chce z nim iść.

– Jak najbliżej – przyznała. – Ale postaram się nie dać ci powodu do smartwień.

Skinął głową.

– Porozmawiam z matką.

Podeszła, objęła go i trwali tak przez chwilę w milczeniu, nim dołączyli do Kiana, a potem razem weszli do domu.

Rozdział 10

Z domowników wyłącznie Franceska spoglądała z ukosa na starszą siostrę, a w jej wzroku zazdrość mieszała się z gniewem, że teraz do towarzystwa pozostanie jej tylko mała Lida.

Ortena, choć nikt jej tego wprost nie powiedział, czuła, że skoro Tabor postawił na szali całą swoją reputację, po pierwsze nie powinna pakować się w żadne kłopoty, a po drugie powinna solidnie wywiązywać się ze swoich obowiązków. Przykladała się więc do pracy w warsztacie, pomagała ojcu przy ostrzeniu zdobytego żelaza, rzeźbiła noże i paliki z główkami czekającymi jedynie na naniesienie imion zmarłych.

Pod okiem matki, razem z siostrami, sumiennie uczyła się pisać i czytać. Wszyscy Mrukosze muszą to umieć – w księgach powinien panować porządek. Cierpliwie studiowała dzieła zgromadzone w domowej bibliotece. Bo co, kiedy te skórzane tomy ulegną zniszczeniu? Niby każda rodzina znała swoje dzieje, ale jak daleko wstecz?

Te obowiązki sprawiały, że Kiana widywała dopiero wieczorami, gdy nadchodziła pora na kolację, chwilę odpoczynku i sen.

On, gdy Ortena nie miała dla niego czasu, wędrował po osadzie.

– Muszę poznać ludzi, ich problemy, dowiedzieć się w czym mogę im pomóc – tłumaczył.

Ortena wzruszała ramionami. Obowiązki w osadzie były rozdzielone między poszczególne rodziny. Mrukosze zajmowali się swoją działką i nie wchodzili nikomu w paradę. Jeśli była taka potrzeba, pomagali innym w gospodarstwie lub służyli im radą, i tyle. Kian nie miał wyboru, prędzej czy później dołączy do Tabora i Olwena.

Zadawał jej wiele pytań, próbując sobie poukładać wiedzę o poszczególnych rodzinach, funkcjonowaniu społeczności, osady, o tym wszystkim, co mogło mu pomóc stworzyć obraz miejsca, w którym ma żyć.

Ortena nie szczędziła mu smaczków. Dzieje rodzin znała czasem lepiej niż ich członkowie, w odróżnieniu od nich mogła sięgnąć dalej w głąb czasu. Mogła mu na przykład powiedzieć, że Warki od dawna zawierają małżeństwa tylko w obrębie swoich rodzin patronackich. I wielu młodych czeka, aż stary filar ruszy wreszcie w Drogę, bo liczą, że ktokolwiek zostanie wybrany jego następcą, zbierze się na odwagę i zmieni tę sytuację.

Kiana bardziej jednak interesował układ sił i podział obowiązków niż plotki lub historie damsko-męskie. Patrzył ciepło na Ortene, ale choć jej słuchał, widział, że myślami błądzi gdzieś daleko.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego tamta trójka poszła w zapałdiska – wyznał któregoś wieczoru, marszcząc zabawnie brwi. Kiedy to czynił, z jego czoła wyrastały jakby dwie kępki czarnego mchu, nastroszone, zmierzwiłone, gniewne wbrew minie odzwierciedlającej raczej niezrozumienie niż złość. – Naprawdę tak wam brakuje metalu?

Ortena syknęła z irytacją.

– Kian – zaczęła szeptem, żeby domownicy nie usłyszeli jej słów. Solidne bierwiona uzupełnione mchem co prawda skutecznie zagłuszały domowe odgłosy, nigdy jednak nie wiadomo... – Jacy „wy”? Od teraz jesteś nasz, swój, Tabor cię wziął pod dach, ja z tobą śpię, a następnym razem, jak powiesz coś takiego, palnę cię w ten głupi łeb.

Uśmiechnął się niewyraźnie, a ona zmieniła ton.

– Brakuje. Nie tak, żebyśmy mieli z tego powodu wymrzeć, ale drewniane narzędzia nie do wszystkiego się nadają. I nie są tak trwałe.

– A więc ten nóż, który wziąłem z grobu Zuzumiego... – zawiesił głos.

Zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

– Noże niezbędne w Drodze to inna sprawa, tu chodzi o oddanie duszy, osobowości zmarłego. Nie muszą być wytrzymałe jak te ze stali. A dlaczego cię to zainteresowało?

– Zastanawiam się, dlaczego ktoś ryzykował życie.

– Rzadko szukamy żelaza – przyznała. – Tylko kilka razy w roku ktoś specjalnie rusza na poszukiwania, częściej znajdujemy je na przykład na polach uprawnych. Ziemia wynosi żelazo, odsłania, a my korzystamy. Czasem trafia się w wykrocie po drzewie, które przewróciło się za starości lub podczas burzy.

Pokiwał głową.

– U nas są tunele i ruiny, skąd można wydzierać żelazo, więc to nic specjalnego...

Pomyślała, że przerażający musi być ten jego świat, pozbawiony Drogi, życia w symbiozie z lasem. Nic dziwnego, że byli, jak ich określił Kian, dzicy. Za dużo tam zostało śladów po Poprzednich Ludziach.



Dwa dni później dowiedziała się, o czym myślał Kian.

Wstali o zwykłej porze. Kian pocałował ją w policzek i mruknął:

– Idę.

I wyszedł, jak zawsze, by włączyć się po osadzie. Tak wtedy sądziła. Miała nawet nadzieję, że w końcu Tabor pomyślał o wciągnięciu Kiana w obowiązki Mrukoszów i zabrał go ze sobą, ale najwyraźniej ojciec dawał Kianowi czas.

Kiedy wieczorem nie wrócił o zwykłej porze, początkowo się nie zaniepokoiła. Dopiero kiedy Tabor podczas kolacji stwierdził, że od rana nie widział Kiana, Ortenę ogarnął lęk.

Czuwała przez całą noc, czekając, aż wróci. Gdy o świcie zajrzała do niej Sanna, Ortena rozplakała się w jej ramionach.

Gdy zrobiło się jasno, ruszyła wypytywać mieszkańców. Czy ktoś go widział, ktoś wie, co się stało?

Gdy tylko zobaczyła Bazyla, wiedziała, że ten coś ukrywa. Na jej widok próbował się schować między chałupami Warków. Czy tak robi ktoś, kto nie ma nic do ukrycia? Skoczyła za nim, zahaczyła łydką o wystającą, niewygladzoną belkę, ale złapała chłopaka za ubranie.

– Gdzie jest Kian? – krzyknęła. – Powiedz mi!

Szarpnięciem wyrwał jej koszulę z dłoni, nerwowym ruchem ją wygładził. Zbierał słowa.

– Więc jednak poszedł... – prychnął, patrząc na dziewczynę. – A miałem go za tchórza.

Ortenę ogarnęła nagła złość, jej ręka śmignęła w stronę twarzy chłopaka, impet wytracała po drodze, w efekcie bardziej go pchnęła niż uderzyła. Wystarczyło. Zaskoczyła go, a może czuł, że nazywając Kiana tchórzem, przesadził.

– Poszedł do zapadliska – burknął, robiąc krok w tył.

Oparł się plecami o ścianę chaty. Teraz już nie miał dokąd uciec, nie miał, jak zrobić uniku. Próbował odsunąć ją od siebie wyciągniętą do przodu prawą ręką.

– Do zapadliska? – powtórzyła martwym głosem. – Do zapadliska?

Nagle się jej przypomniało, że Bazyl ją namawiał, żeby poszła z chłopakami pożegnać Drapera, odprawić rytuał, zaśpiewać Pieśń, która jeśli nie polepszy, to na pewno nie pogorszy sytuacji Drapera.

– Poszedł sam? – wyszeptała.

Przez twarz Bazyla przebiegł wyraz ni to bóleści, ni to ulgi.

– Chciałem iść, ale powstrzymał mnie. „Pójdę za ciebie”, tak powiedział.

Ortena zmierzyła Bazyla wzrokiem tak gniewnym, że jeszcze mocniej oparł się plecami o ścianę.

– Jak to „pójdę za ciebie”?

– Ja go nie zmuszałem, Ortena! – warknął Bazyl. – To on powiedział, że mam zostać, a on pójdzie, bo zna się na tunelach i nie warto ryzykować życia kogokolwiek innego poza nim, skoro na razie jest dla osady bezużyteczny.

O tym, że Kian wie o tunelach więcej niż to, że istnieją, pierwszy raz słyszała. Ale może dlatego, że ona nie chciała rozmawiać o wypadku Drapera, a Bazyl na pewno chętnie podjął temat?

Teraz przez jej głowę przebiegała galopada myśli, a wśród nich jedna, którą jak najszybciej z siebie wyrzuciła:

– Nikomu o niczym na razie nie mów, słyszysz? Muszę się zastanowić!

Popędziła do swojego ulubionego buku o szorstkiej lśniącej kory. Musiała się zastanowić, co zrobić, nie miała wiele czasu, tyle co nic, ale zanim podejmie decyzję – która już kształtowała się w jej głowie – musiała się upewnić.

Ortena знаła księgi, według nich jeden z dawnych Mrukoszów wcielił się w takie właśnie drzewo. Czy w to? Tego w księgach nie było, Ortena chciała jednak wierzyć, że biegnie we właściwe miejsce. Nie umiała tego dokładnie określić, zresztą po co miałyby to robić, ale w obecności tego drzewa nabierała spokoju, myśli w jej głowie się klarowały.

Przystanęła obok pnia, jedną ręką, samymi koniuszkami palców, dotknęła kory.

– Mam iść, prawda?

– Jak powiem Taborowi, na pewno mnie powstrzyma, prawda?

Żałowała jedynie, że nie powiedziała Kianowi, wtedy, na Niebiańskich Grobach, że chciała z nim pójść, przekroczyć rzekę – i niech się dzieje. Może to by go powstrzymało przed tym szaleństwem?

Rozdział 11

Nie mogła przecież zdecydować inaczej.

Pamiętała, że chłopaki od Filców dyskutowali o linach. Długich linach, które powiążą, spuszczą na sam dół dziury, na nich opuszczą śmiałka wybranego spośród siebie, a potem go wyciągną... i może Drapera. Nic z tego nie wyszło, ale te liny utkwiły w pamięci Orteny. Wiedziała, że w składziku Tabora leży gruby zwój, na wypadek, gdyby potrzebowali jej w Niebiańskich Grobach. Teraz mogła się przydać.

W magazynie na szczęście nikogo nie było – nie miała ochoty się tłumaczyć. Wrzuciła zwój do dużej torby, tę zarzuciła na ramię, uginając się pod ciężarem. I od razu pobiegła do lasu, nie wróciła na krótszą drogę wiodącą przez osadę. Przedzierała się przez zarośla, w myślach odtwarzając mapę. Pójdzie na przełaj, obok

grupy starych buków, minie je, trafi na wielką polanę. Potem musi odbić w lewo, w stronę strumienia, który nazywali Zimniakiem, bo w przeciwieństwie do pozostałych, miał nadzwyczaj zimną wodę, w której cierpły zanurzone ręce i stopy. Wreszcie wyjdzie na ścieżkę, która prowadzi w stronę Skinkarte, a właściwie w stronę grupy orzechowców. Minie je – to nie był czas zbiorów, więc na pewno nikogo od Filców tam nie spotka – i już, Skinkarte będzie na wprost. Wystarczy iść, aż się dojdzie.

I tak zrobiła. Niezauważona, minęła tereny, na których urzędowali ludzie z Krokwi, raz tylko z daleka słyszała kogoś śpiewającego piosenkę. W końcu dotarła do Skinkarte i zaczęła szukać zapadliska.

Żadne słowa nie przygotowały ją na to, co ujrzała. Kiedy bliźniacy opisywali zapadlisko, wyobrażała sobie ciasny niby studnia otwór, do którego można podejść, zachowując ostrożność. Chciała przywiązać linę do drzewa i opuścić się jak najgłębiej. Może wypatrzy Kiana na dnie pułapki.

Zapadlisko okazało się jednak wielkim lejem, u góry szerokim na kilkanaście, może dwadzieścia kroków, zwodniczo łagodnie opadającym w dół. Dopiero na samym środku osuwisko zamieniało się w stromą czeluść.

Zaczęła nawoływać Kiana – ale jak wcześniej tamci i ona nie usłyszała żadnego odzewu. Tylko jakiś ptak śpiewał, nie przejmując się krzykami Orteny, aż rozzłoszczona, zaczęła złorzeczyć biednemu samczykowi.

Obeszła zapadlisko, stwierdzając z rozpaczą, że właściwie z każdej strony było tak samo niedostępne. Lina zaś wydawała się zbyt krótka. Zanurzy się w ten pionowy tunel ledwie na parę kroków, a co dalej? Jeśli Ortena się na niej nie utrzyma, zleci jak Draper, jak Kian...

Kian? Dotarło do niej, że nie widzi żadnych śladów. Po osunięciu się Drapera i po poszukiwaczach na pewno zostały, musiał jednak zmyć je deszcz. A dziś było sucho. Od kilku dni nie padało, a mimo to żadnego dowodu obecności Kiana nie znalazła.

Zatrzymała się nad zapadliskiem. Pamiętała Franczeskę syczącą, że Kian tak naprawdę odszedł za rzekę, a Bazyłowi wcisnął bajkę, żeby wszystkich oszukać.

Wciąż obchodziła lej w ziemi, ale z coraz mniejszą energią, za to z narastającymi wątpliwościami, które osłabiał jej wolę. Może Kian wszystkich wystrychnął na dudka?

Zakłęła. Oszukał ją... Zresztą, uświadomiła to sobie teraz, przecież by go wyczuła, gdyby Kian tu był!

Starła z twarzy łzy, rozmazując na policzkach smugi kurzu.

Głupia Ortena, głupia, pomyślała.

Pójdzie do domu i powie, że zginął jak Draper. Nikt go nie będzie szukał, a jej zaczną współczuć, jeszcze dostanie się głupiemu Bazylowi, po co pchał na śmierć Kiana?

Tak robi, myślała, wracając do osady.



Dwa dni później, kiedy wyszła przed dom, aby uniknąć złośliwych uwag Franczeski, siedziała na progu, przepowiadając sobie słowa Pieśni, niespodziewanie pojawił się Bazyl. Rozejrzał się, czy ktoś ich nie słucha, odczekał, aż jeden z Paletków zniknie w zabudowaniach, w których suszyły się zioła, i spojrzał pytająco na Ortenę.

– Nikogo tam nie widziałam – burknęła. – Ani Drapera, ani Kiana. A ty milcz, bo nie ręczę za siebie.

Wzruszył ramionami i odszedł bez słowa. Kian go nie obchodził, była tego pewna, prędzej liczył, że Ortena odnajdzie jakieś ślady Drapera.

Miała nadzieję, że naprawdę będzie milczał, bo stary Midro zapewne cieszył się z samego zniknięcia Kiana, a jeśli dowie się jeszcze, że młoda Mrukoszówna na próżno poszła do Skinkarte, pęknie ze szczęścia.



W następnych dniach zajmowała się obowiązkami, ale chodziła zła jak osa, wszyscy schodzili jej z drogi, poza Sanną, która kontynuowała naukę, a raz czy dwa próbowała przytulić córkę, zamienić słowo.

Nie było nieboszczyków którymi mogłaby się zaopiekować i w osadzie Ortena dusiła się coraz bardziej. Nie wiedziała jednak, dokąd mogłaby pójść, aby znaleźć ukojenie. Z pewnością nie w stronę zapadlisk. Może w stronę Niebiańskich Grobów, gdzie po raz pierwszy wyczuła Kiana? Nie, to dopiero rozdarłoby jej serce!

Tkwiła więc w osadzie, uwięziona w sieci własnych myśli – gniewnych i pełnych rozpacz – nie wiedząc, co właściwie powinna zrobić.

Przestała wierzyć, że Kian wróci, choć wciąż się broniła – niby szczur w beczce – przed myślą, że uciekł do swoich. Że pewno gdzieś tam, na brzegu, czeka już na niego łódź. Że powinna się zastanowić, co z tej ucieczki wynika. Nie dla niej, Orteny, tylko dla bezpieczeństwa Krokwi.

Franczeska nic sobie nie robiła z problemów starszej siostry, wciąż jej docinała, aż w końcu Ortena nie wytrzymała. Wzięły się za kudły, krzycząc na cały dom, i Olwen musiał je rozdzielać. Ortena uciekła do warsztatu. Siedziała teraz na jego progu, rzeźbiąc nóż. Musiała wyglądać strasznie, z tymi podkrążonymi od płaczu oczyma i spojrzeniem na przemian gniewnym i pełnym rozpacz.

Aura jej złości i rozczarowania roztaczała się daleko. Jedynie Tabor odważył się minąć córkę, wejść do warsztatu po siekiere i wyjść bez słowa.

Na widok Nandela, skrzywiła się z nieukrywaną niechęcią. Była gotowa potraktować go tak, jak sobie na to zasłużył.

– Widziałem go – mruknął, natychmiast burząc jej plan rozmowy.

– Kogo? – spytała, wstając.

– No kogo, kogo, kogo ja mogłem widzieć? – drażnił się z nią. – Twojego Kiana widziałem na Niebiańskich Grobach.

Ortena mocniej zacisnęła palce na rękojeści rytualnego noża.

– Kłamiesz! – syknęła. – Co ty byś robił tak daleko od wioski? Precz, bo... – Uniosła rękę.

Zaraz ją opuściła, uświadomiwszy sobie, co trzyma w dłoni.

Przecież Nandel jest głupkiem, pomyślała. Jego obecność nie czyni go mądrym.

– Nie będę grobnikiem – prychnął – ale chyba mogę sobie urządzić wycieczki, gdzie chcę?

Zawahał się.

– Orta, ja go czułem, rozumiesz? – Rozejrzał się nerwowo, czy ktoś ich nie podsłuchuje, był blady, krople potu wystąpiły mu na czoło. – Nie widziałem, ale wyczułem go jak ciebie! On tam jest!

To nią wstrząsnęło.

– Nikomu nie mów, bo wszystkich nas wpakujesz w kłopoty – poprosiła tak ciepłym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

– Orta, dlaczego ja nie mogę być grobnikiem? – spytał nagle ze smutkiem. – Pracowałbym ze zmarłymi, śpiewał im Pieśni albo rozcinał ciała, przygotowując do Drogi i nikt by się nie odważył powiedzieć, że jestem dziwny?

Uścisnęła go szybko. A więc jednak rozumiał i też się bał. No cóż, na to nie miała dobrej rady. Skoro bał się nawet Tabor, cóż mogła powiedzieć...

– Uważaj na siebie.



Kiedy znów, skradając się, opuściła osadę, poczuła, że dzieje się coś tak nierealnego, jakby ktoś złą Pieśnią przeklął jej życie. Jakby komuś zależało, aby Ortena ciągle cierpiała.

Ruszyła w stronę Niebiańskich Grobów pełna obaw, czy Nandel mówił prawdę. Czy to w ogóle możliwe, aby znalazł tam Kiana? A co, jeśli go nie będzie? Bała się, że usiadzie gdzieś między skałami i nigdy już nie wstanie. Albo powędruje prosto przed siebie pustynią, aż zniknie z oczu wszystkim, a na końcu sobie samemu.

Rozdział 12

Jeszcze czuła pod stopami piasek pustyni, choć szarozółte skały Niebiańskich Grobów, jak zawsze porośnięte zielenią, oplecione bluszczem i trawami, miała na wyciągnięcie ręki. Do kamiennej bramy odsłaniającej ścieżkę pnącą się w górę zostało może z dziesięć kroków.

I może dlatego, że bardzo chciała go wyczuć – wyczuła, ledwie rozpoczęła podejście! Niczym ptak niemal pofrunęła ścieżkami na szczyt.

Kian leżał ranny, osłabiony, oparty plecami o skalny ołtarz. Wyglądał na kogoś, kto nie zrobi już nawet kilku kroków więcej. Miał towarzysza – Drapera. Poznała po ubraniu i włosach, choć ciało było już mocno naruszone przez czas.

Przy nodze Kiana leżała lekko zardzewiała metalowa tabliczka. Ortena ze zdumieniem przeczytała napis „Kraków Metro”. Kraków? A nie Krokiew? Dziwne... Czyżby pamiętał o problemach osady z metalem i postanowił skorzystać z jakiejś okazji, przynieść coś poza zwłokami?

– Ty draniu! – Walczyła ze łzami, z odbierającym oddech szlochem. Z trudem przeciskała słowa, widząc, że jest z nim źle.

– Chciałem się na coś przydać – wychrypiał z wysiłkiem. – Widziałem tunele po tamtej stronie rzeki, wiedziałem, że tu też...

Nie dokończył, musiała szybko dać mu pić, bo prawie zemdłał. Być może rozmowa zabijała go równie skutecznie, co włożony wcześniej wysilek.

Dokonał nie lada wyczynu. Pokonał drogę od zapadliska w Skin-karte aż tutaj, do Niebiańskich Grobów. Nie uratował Drapera, bo kiedy Kian do niego dotarł, ten zapewne nie żył od dawna. Ale przyciągnął go aż tu, pokonując po drodze niewiadome przeszkody, aby Draper mógł spocząć na jednej ze skalnych płyt.

Chorował tydzień, leżąc bez sił w pokoju przydzielonym im przez Tabora. W tym czasie odprawili Draperowi takie pożegnanie, na jakie zasłużył. Nie musieli go odprowadzać procesją, skoro szczątki już czekały na nich na górze. Pożegnali go śpiewem, a obaj bracia Filcowie płakali rzewnie, tyleż ze wzruszenia, co z ulgi, że zawieszony gdzieś między światami Draper nie będzie ich straszyć.



Wydawało się, że złożenie ciała Drapera na płycie zakończy sprawę. Tak się jednak nie stało jak zwykle, gdy zadry siedzą zbyt głęboko.

– Tylko się nie ciesz – powiedział Midro, dołączając niespodziewanie do Tabora i Orteny, którzy, nim ruszyli za grupą, oceniali,

czy zostawiają po sobie porządek. Wbił w dziewczynę spojrzenie oczu nabiegłych krwią. – To niczego nie zmienia...

Tabor stanął między Filcem, a swoją córką. Teraz obu filarów dzieliły może dwa kroki.

– Gdyby nie on, Draper wciąż gniłby gdzieś tam, w dziurze. – Tabor zdawał się powarkiwac jak wilk szykujący się do walki. – Więc zamknij wreszcie mordę, Midro, i zajmij się swoimi sprawami.

Pociągnął za rękę Ortenę, która posłusznie ruszyła we wskazanym kierunku. Tabor jeszcze się odwrócił.

– Ostatni raz spróbuję zapomnieć, że uderzasz w moją rodzinę, filarze. Ostatni raz. Potem nie licz na litość.

Kiedy zmierzali do chaty, tym samym stalowym tonem nakażał córce:

– Nie było rozmowy, jasne? Midro o tym nie powie, ty też ani słowa. Niech błoto samo spłynie w trawę.

Nie wiedziała, czy błoto spłynie i zniknie, ale rozumiała jedno: ojciec nie chciał otwartej wojny, która mogła podzielić osadę. Tych dwóch miało żyć ze świadomością, że dzieli ich coś, co się nie zrośnie, nie zblizni, pozostanie otwartą raną. I ona nie powinna jej pogłębiać, chociaż w pewnym sensie już to zrobiła, gdy przyprowadziła Kiana z powrotem do osady. Ale za grzechy ich młodości nie odpowiadała!

To nie moja вина, myślała. Nie moja!



Świat szybko przyjął Drapera, a Sanna orzekła, że rodzina winna go szukać w sokołach, jeden z nich zostawił poniżej skalnej płyty pióro, jak znak.

Musieli jednak wrócić do rzeczywistości. I do pytania, co dalej z Kianem.

Nie złamał żadnej z zasad, poza podjęciem ogromnego ryzyka – ktoś jednak odważyłby się mu to wypomnieć, skoro dzięki temu mogli pożegnać Drapera?

Ortena skłęła go na osobności. Później zrobiła to, co też zwykle robi się na osobności. Wreszcie zapowiedziała, że jeśli jeszcze raz

ruszy się bez jej wiedzy i zgody, ona pójdzie go szukać, żeby móc mu przetrącić kark. Będzie płakać, ale wcześniej przetrąci i niech Kian nie bierze tego lekko, bo ona wcale nie żartuje.

Niedługo później, być może po tych wszystkich utarczkach z Midro i jego rodziną, po tych wszystkich kosych spojrzeniach odsłaniających skrywaną acz realną niechęć wielu, Tabor uznał, że sprawę należy załatwić raz na zawsze i tak otwarcie, żeby nikt nie miał odwagi zarzucić, że cokolwiek odbyło się pod stołem, w ciemnościach, poza wiedzą społeczności.

Okazją stały się urodziny Rasy Kromy. Mężczyzna budował i remontował domy w Krokwi oraz pilnował, aby zależne od niego rodziny solidnie wywiązywały się ze swoich obowiązków, dbały o narzędzia i w razie potrzeby udostępniały je ludziom z pozostałych rodzin.

Rafa skrupulatny był jednak tylko podczas pracy, w czasie wolnym potrafił się bawić. W swoje urodziny zapraszał wszystkich, stawiał jedzenie, piwo, znajdował nawet miejsce do tańca.

Filarowie biesiadowali przy głównym stole. I tam pod koniec świętowania Tabor niespodziewanie przywołał Kiana.

– Kian, podjąłeś decyzję, czym będziesz się zajmować, aby przynosić korzyść osadzie?

Ten spojrzał niespokojnie na Mrukosa, a potem przeniósł wzrok na Midro, który się skrzywił, wciąż z trudem przełykając obecność intruza w osadzie.

– Nie wiem. Znajdę coś, co będzie warte trzymania mnie pod dachem.

Tabor poważnie skinął głową. Sporo par oczu, w tym Midro, spoczęło na tej dwójce. Czuć było, że to wcale nie jest banalna rozmowa przy piwie.

– Ja wiem, co powinienesz robić. Zabierasz mi córkę, zrekomensuj mi to pracą grobnika.

Uniesioną dłoń powstrzymał Kiana, który chciał coś powiedzieć, może zaprotestować, może się zgodzić, to było nieważne. To Tabor miał coś do powiedzenia – i nie tyle Kianowi, co reszcie społeczności.

– Naprawdę trudno nie zauważyć, że ty i Niebiańskie Groby jesteście związani przez los, przez Drogę. Czego potrzeba, to się nauczysz, a ludziom przyda się nowy grobnik, kiedy ja odejdę.

Byli Olwen i Adem, była Ortena, była Franczeska – dziedzictwo i tradycja zostaną zachowane. Lecz włączenie Kiana do ich rodziny, obsadzenie w roli grobnika czyniło z niego kogoś, kogo nie da się łatwo zastąpić. W dodatku, jak uświadomiła sobie Ortena, ojciec miał rację: losy Kiana w jakiś dziwny sposób wiązały się z tą skalną wyspą na pustyni.

– Zostanę grobnikiem. – Kian z szacunkiem skinął głową.

Potem powiódł spojrzeniem po zgromadzonych. Kiwali głowami, uśmiechali się, ktoś rzucił docinek, ktoś inny próbował klepnąć Kiana w ramię. Po wydobyciu ciała Drapera z pułapki w Skin-karte pozycja przybysza się zmieniła. Teraz rozgrywał się ostatni akt włączenia mężczyzny do społeczności.

Midro wstał. Nic nie powiedział, patrzył na chłopaka, powoli dopijając swoje piwo. Wreszcie odstawił kubek i wolno ruszył w stronę domu.

Nikt mu nie towarzyszył, nikt nie chciał nieść złych emocji, które stary filar zabierał ze sobą.

Kilka dni później raz jeszcze musiał znieść Kiana, kiedy w piątkę – czterech filarów i nowy mieszkaniec Krokwi – podejmowali decyzję w sprawie drogi, którą pokonał z zapadliska do Niebiańskich Grobów. Droga ta była wielkim odkryciem, ale zarazem wielkim zagrożeniem, śmiertelną pokusą. Ustalono, że Kian nigdy nikomu nie zdradzi, gdzie jest wyjście z tunelu.



I tak zostałem grobnikiem, tak samo zapomnianym, jak dziesiątki przede mną i – jeśli osada będzie trwać – dziesiątki w przyszłości. Jedyne, co mnie wyróżnia, to przyjście zza rzeki, ale pamięć ludzka jest ulotna, a kto i w jakim celu miałby szukać w kronikach prawdy o jakimś tam Kianie?

Miałem nieszczęście być grobnikiem w czasach, kiedy Krokiew niespodziewanie ogarnęła zaraza, wielu śląc do łóżka, a niektórych do grobu.

Midro Filec należał do tej drugiej grupy. To ja, razem z Franciszką, przewodziliśmy ceremoniom na Niebiańskich Grobach, choć wielu Filców protestowało. Ich zdaniem stary Midro prędkiej dałby się wrzucić do tej samej dziury, do której wpadł Draper, niż wpaść w moje ręce. Musieli jednak odpuścić, skoro niemal wszyscy Mrukosze zachorowali.

Uczyniłem z jego ciałem to, co grobnik powinien, a na co zmarły pozwala. Przygotowałem go do Drogi najlepiej jak umiałem, nikt temu nie zaprzeczy.

Kiedy jednak stanąłem obok kamiennego ołtarza na Niebiańskich Grobach, popatrzyłem na mgły u podnóża i sępy na niebie, i zagadnąłem Midro w myślach:

I co byś teraz zrobił, gdybyś mnie wygnał na dobre?

Sprawdziło się to, o czym zawsze powinno się pamiętać i czego ja sam doświadczyłem: nigdy nie wiadomo, co komu jest pisane.

Tamtego dnia wieczorem, patrząc na brzemiennej Ortene, zdradziłem jej swoje myśli.

– Przecież znalazłam cię na Niebiańskich Grobach. Od początku były ci pisane, tak jak powiedział Tabor. Czegoś szukałeś, coś znalazłeś – stwierdziła z rozbawieniem.

Poprawiła poduszkę podtrzymującą jej plecy, popatrzyła na mnie sennym wzrokiem i dodała:

– Nie zmarnujmy tego.

Nie zmarnowaliśmy. Krokiew stała się moim prawdziwym domem. A gdy dla Tabora nadszedł czas nowej Drogi, szczerze płakałem, jakbym chował ojca, a może i bardziej.

O autorze

Romuald Pawlak – ur. 1967 r. pisze i publikuje od dawna, od fantastyki zaczynał, potem odszedł do literatury dla dzieci i młodzieży, ale nie mógł nie wrócić do dawnej miłości, prawda?

W jednej i drugiej konwencji ustrzelił jakieś nagrody, ale nadal uważa, że największą nagrodą jest to, kiedy po lekturze czytelnik powie, że tekst sprawił mu przyjemność.

Parę ważnych książek: *Inne okręty*, *Milek z Czarnego lasu*, *Podarować niebo*, *Ślepiec*.

W wolnych chwilach podgląda naturę, czasem beczelnie robiąc jej zdjęcia.

Utwory redagowali:

Wstęp

Martyna Wróbel

Raz, dwa, trzy! Baba Jaga patrzy

Magdalena Siry, Ewelina Betz

Tradycyjne role społeczne

Aneta Marciniak, Agnieszka Turbakiewicz

Opowieść miłosna o końcu świata

Ewelina Betz, Magdalena Zwolińska

Rodzinny interes

Agnieszka Turbakiewicz, Ewelina Betz

Wolne blokowiska

Janina Zabielska, Magdalena Zwolińska

Po ile dziś powietrze?

Marta Choińska-Młynarczyk, Ewelina Betz

Ziemia ma się świetnie!

Dariusz Frenki, Grzegorz Czapski, Natalia Kubicius

Zerec

Aneta Marciniak, Natalia Kubicius

Tylko to się liczy

Magdalena Zwolińska, Ewelina Betz

Marek, Anna i Bartek

Natalia Kubicius, Janina Zabielska

Odłamki pór roku

Paula Rumanowska, Marta Choińska-Młynarczyk

Hemimetabolia

Ewelina Betz, Magdalena Zwolińska

Tożsamość narodowa

Justyna Krawczyk, Ewelina Betz

Morowy chłopak

Karol Ligecki, Ewelina Betz

Rozwiewa się mgła nad Niebiańskimi Grobami

Aneta Marciniak, Anna Bolińska



STWORZONE PRZEZ LUDZI DLA LUDZI

<https://www.przezludzidlaludzi.pl/>

Literatura towarzyszy ludzkości od zarania dziejów. Sztuka to nie są po prostu ładne obrazki i ciekawe książki. Za Zofią Kucówną: „Sztuka jest emanacją naszego wewnętrznego życia i ona jest decydującą wartością tworzenia”. Poprzez sztukę wyrażamy emocje, dzielimy się wiedzą, przekazujemy – mówiąc wzniosłe – granie swojej duszy. Sztuka powstaje, bo czujemy potrzebę tworzenia.

Byłoby głupio, gdyby do tego grona wkradły się puste, pozbawione duszy treści sztucznie generowane przez maszynę.

Niestety – to już się dzieje. Treściami wygenerowanymi przez AI zalewany jest nie tylko internet, ale cały świat. Sześciopalczaste pokraki patrzą na nas z grafik, gdzie nie spojrzeć coraz więcej treści – ogłoszenia, reklamy, a nawet artykuły – jest wypłutych przez chatGPT i inne generatory. Dopadło to również literaturę: coraz więcej okładek książek (nawet wydawanych przez największych graczy na rynku) nie zostało stworzonych przez człowieka. Lenistwo i zdzierstwo bywa posunięte tak daleko, że nikomu nie chce się nawet poprawiać rażących potworków.

Na okładkach się jednak nie kończy. Już teraz nie brakuje osób, które wręcz chwalać się korzystaniem z narzędzi AI przy pisaniu, istnieją całe zreszenia ludzi dzielących się poradami, jak generować krótsze teksty lub nawet gotowe powieści, i nazywają to „pisarstwem”.

Nadeszła pora powiedzieć temu „dość!” i oddzielić ziarno od plew.

Treść ze strony akcji „Literatura bez AI”.